AARON ALLSTON

ŻELAZNA PIĘŚĆ

CYKL: STAR WARS TOM 110

TOM VI CYKLU X-WINGI

PRZEKŁAD ANDRZEJ SYRZYCKI

TYTUŁ ORYGINAŁU X-WING VI. IRON FIST

AARON ALLSTON

ŻELAZNA PIĘŚĆ

CYKL: STAR WARS TOM 110
TOM VI CYKLU X-WINGI
PRZEKŁAD ANDRZEJ SYRZYCKI
TYTUŁ ORYGINAŁU X-WING VI. IRON FIST

Denisowi Lawsonowi pierwowzorowi Wedge'a Antillesa

ROZDZIAŁ 1

Cyborg nawet nie usiłował udawać, że jest istotą w pełni ludzką. Prawdopodobnie urodził się jako człowiek, ale jego prawą rękę i obie nogi zastąpiono mechanicznymi kończynami - protezami, których nawet nie pokryto skóropodobnym tworzywem, żeby zamaskować sztuczne pochodzenie. Prawą górną połowę łysej głowy szpeciła połyskująca metalowa płytka z zainstalowanym standardowym gniazdem systemu komputerowego.

Przybysz nie starał się także udawać, że żywi przyjazne zamiary. Od razu skierował się do wnęki ze stolikiem, przy którym siedzieli stłoczeni piloci Eskadry Widm. Mijając sąsiedni stolik, chwycił stojącą na nim butelkę wina i bez słowa ostrzeżenia czy groźby opuścił ją na głowę Patyka Ekwesha.

Butelka się nie roztrzaskała. Wydała melodyjny dźwięk, a z szyjki wyciekło trochę wina. Patyk, porośnięta sierścią obca istota o długich zębach i pociągłej twarzy, przewrócił oczami i zemdlał.

Dziewięcioro pilotów, stłoczonych w przeznaczonej dla pięciu osób okrągłej wnęce, miało ograniczoną swobodę ruchów. Na równe nogi zerwał się tylko Kell Tainer, siedzący po drugiej stronie kręgu, obok Patyka.

Nie rzucił się jednak na cyborga, który zaatakował jego skrzydłowego, i nie powalił go silnym ciosem pięści. Odszedł na bok, odchylił się do tyłu i wymierzył napastnikowi kopniaka, który wylądował na jego podbródku, i posłał go na podłogę baru.

Większość pilotów Eskadry Widm wysypała się z wnęki. Pozostali klienci baru, zarówno ludzie, jak i istoty innych ras, także zerwali się z miejsc i zaczęli zastanawiać, czy nie wziąć udziału w tradycyjnej formie zabawy, jakiej oddawali się goście wielu innych barów na różnych planetach galaktyki.

We wnęce został dowódca eskadry, komandor Wedge Antilles. Odwrócił się do lekarza, Tona Phanana, mężczyzny o kpiącym wyrazie twarzy, starannie przystrzyżonych wąsach i brodzie i metalowej płytce przesłaniającej lewą stronę głowy.

- Stało mu się coś złego? - zapytał.

Phanan wzruszył ramionami i zaczął delikatnie obmacywać głowę Patyka.

- Nie powinien mieć pękniętej czaszki - powiedział. - Prawdopodobnie to tylko lekkie wstrząśnienie mózgu. Wiesz przecież, że ma twardą głowę.

Napastnik wstał. On i Kell stanowili niezwykłą parę. Cyborg mógłby uchodzić za potrąconego przez rozpędzony śmigacz przechodnia, którego członki poskładał pijany mechanik. W przeciwieństwie do niego wysoki, niebieskooki i potężnie umięśniony Tainer wyglądał jak

holograficzna reklama biura werbunkowego. Obaj jednak podobnie się uśmiechali: lodowato, nieprzyjaźnie, złowieszczo.

Cyborg odwrócił się i wpadł do sąsiedniej niszy. Roztrącił siedzących w niej gości, którzy zareagowali okrzykami przerażenia, i szarpnięciem oderwał przytwierdzony do podłogi stolik. Uniósł go wysoko nad głowę i zamachnął się szybciej, niż zdołałby jakikolwiek człowiek. Kell zanurkował i przeturlał się po podłodze. Zerwał się na nogi niespełna pół metra przed napastnikiem i wymierzył w jego brzuch trzy szybkie, silne ciosy. Cyborg zatoczył się i cofnął, a Tainer zaatakował stopą. Wykopał stół z jego rąk tak łatwo, jakby niczego innego nie robił od urodzenia.

Pozostali goście baru najwyraźniej doszli do przekonania, że nie powinni się przyłączać do bijatyki. Zamiast tego zaczęli się zakładać. Wedge pokiwał głową, jakby aprobował ich decyzję. Piloci Eskadry Widm mieli wprawdzie na sobie cywilne ubrania, ale wszystko wskazywało, że są w niezłej formie. Goście baru nie mogli wiedzieć, że Kell jest jednym z najlepszych zawodników w walce wręcz. Z pewnością podejrzewali, że pozostali są równie dobrze wyszkoleni.

Gamorreański pilot, przezywany Prosiakiem, oparł się o blat zajmowanego przez Widma stolika, żeby obserwować dalszy przebieg walki... na ile pozwalał na to siwy dym, unoszący się aż do wysokości piersi, w obskurnym lokalu. Obejrzał się przez ramię na Patyka, a później przeniósł spojrzenie na Phanana.

- Stało mu się coś złego? - zapytał. Jego głos stanowił mieszaninę niezrozumiałych chrząknięć, pomruków i wytwarzanych przez elektromechaniczne urządzenie słów, które wydobywały się z implantowanego w gardle, prawie niewidocznego głośnika.

- Wszyscy mnie o to pytają - burknął zrzędliwie Phanan. Zakończył badać czaszkę nieprzytomnego pacjenta, wyjął miniaturową latarkę i poświecił mu najpierw w jedno oko, a potem w drugie. - Dlaczego nikt nigdy nie powie: „Ale go urządzili! Mam nadzieję, że badający go lekarz zachowa zdrowe zmysły”. - Spojrzał na Prosiaka. - Przychodzi do siebie. Prawdopodobnie przez kilka następnych dni będzie oszołomiony. Muszę sprawdzić w bazie danych, jak istoty jego rasy reagują na wstrząśnienia mózgu.

Następny cios cyborga, drugi z wprawnie wymierzonych razów, trafił Kella w brzuch. Rosły pilot obrócił się, żeby zmniejszyć impet uderzenia, i wykorzystał moment obrotowy do kolejnego kopnięcia. Trafiony w mostek napastnik zatoczył się i cofnął. Wyglądał na rozwścieczonego, jakby się nie spodziewał takiego obrotu sytuacji. Kell zgiął się w pasie i chwilę trzymał się za brzuch, na którym wylądował ostatni cios napastnika. Kiedy się wyprostował, miał twarz wykrzywioną bólem.

Kilka sekund później przez główne drzwi baru wpadł tłum mężczyzn i kobiet w charakterystycznych mundurach żandarmerii Nowej Republiki.

Wedge westchnął.

- Zważywszy, jak głęboko jesteśmy pod powierzchnią, dotarcie tu zajęło im zdumiewająco mało czasu - zauważył.

Phanan wyjął niewielką różową fiolkę z jakimś płynem, odkorkował ją i podsunął pod szeroki, płaski nos Patyka. Thakwaashanin rozdął nozdrza i usiłował cofnąć głowę, jakby chciał uniknąć nieprzyjemnego zapachu.

- Spokojnie, kolego - odezwał się Phanan. - Zaraz cię zaprowadzimy gdzieś, gdzie będziesz mógł odpocząć kilka godzin. Założę się, że w towarzystwie grupy czarujących ludzi.

Wedge wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Żandarmi Nowej Republiki wyprowadzili pilotów z zasnutego dymem pomieszczenia na niewiele mniej zanieczyszczoną dokuczliwymi wyziewami powierzchnię Coruscant. Siąpił drobny deszcz, a ściślej mieszanina składająca się w trzech czwartych z deszczówki i w jednej czwartej ze smaru. Wedge uniósł głowę, żeby wypatrzyć w górze choćby skrawek czegoś, co mogłoby być coruscańskim niebem, ale zobaczył tylko wznoszące się w nieskończoność pionowe ściany pobliskich wieżowców. Widok zachmurzonego nieba przesłaniała istna plątanina przejść, kładek, pomostów i chodników, łączących budowle na różnych piętrach. Mimo to na pilotów Eskadry Widm spadały drobne krople deszczu. Zapewne spływały z zainstalowanych w górze rynien, odpływów, okapów i parapetów.

Tyria Sarkin, szczupła blondynka o uczesanych w koński ogon włosach, wykrzywiła twarz w grymasie obrzydzenia.

- Miło byłoby, gdyby tym razem wysłali nas na jakąś czystą planetę - powiedziała. Zobaczyła, że jeden z żandarmów kieruje ich gestem do zaparkowanego śmigacza. Zorientowała się, że to ponury, kanciasty i pozbawiony iluminatorów pojazd używany do transportu więźniów, ale posłusznie skręciła za pozostałymi Widmami w tamtą stronę. Phanan, podtrzymujący wciąż jeszcze oszołomionego Patyka, szedł za nią, a pochód aresztantów zamykali Wedge i cyborg, który wywołał zamieszanie.

Nagle idący przed nią Buźka Loran, niegdyś zabójczo przystojny młodociany aktor, którego twarz szpeciła obecnie zaczynająca się na lewym policzku i kończąca po prawej stronie czoła sina blizna, spojrzał na naszywkę z nazwiskiem na kieszeni munduru najbliższego żandarma.

- Thioro - przeczytał. - To koreliańskie nazwisko, prawda? Funkcjonariusz kiwnął głową.

- Pochodzę z Korelii - burknął. - Tam się urodziłem i wychowywałem.

Buźka odwrócił głowę do idącego za nim Antillesa i obdarzył dowódcę wymuszonym uśmiechem.

- Zupełnie jak nasz komitet powitalny na M2398 - zagadnął. - Co, komandorze?

Wedge zmusił się, żeby nie napiąć mięśni. „Komitet powitalny” na księżycu trzeciej planety systemu M2398 wcale nie składał się z Korelian. Rzekome zaproszenie do lądowania na powierzchni tamtego księżyca okazało się zasadzką. Antilles kiwnął głową.

- Zupełnie jak tam, Buźko - przyznał. - I jak wtedy, jestem twoim skrzydłowym. Zauważył, że piloci jego eskadry wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, i domyślił się, że wszyscy są już czujni i gotowi... może z wyjątkiem oszołomionego Patyka. Buźka nie był wówczas ani dowódcą, ani

skrzydłowym komandora, więc chyba się domyślił, że dowódca czeka tylko, aż jego podwładny zrobi pierwszy ruch.

Przyspieszył i przeciskał się między idącymi przed nim pilotami Eskadry Widm, aż znalazł się na czele kolumny aresztantów, bezpośrednio za plecami pierwszej pary funkcjonariuszy Nowej Republiki. Kiedy stanął obok rufy więziennego śmigacza, strażnicy gestem nakazali mu, żeby wsiadł do kabiny. Garik kiwnął głową... i przystąpił do działania. Grzmotnął pięścią w gardło pierwszego żandarma i rzucił się na drugiego.

Chwilę później do akcji przyłączył się Kell Tainer. Obrócił się i kopnął w nogę stojącego obok niego strażnika z taką siłą, że kończyna żandarma wygięła się w stawie kolanowym w kierunku, w którym nigdy wcześniej się nie zginała. Funkcjonariusz zawył z bólu i upadł.

Nie było ani chwili do stracenia. Wedge usłyszał dobiegający zza pleców szmer wyciąganych ze skórzanych kabur blasterowych pistoletów. Chwycił zaskoczonego cyborga, obrócił go i ustawił w taki sposób, żeby znalazł się między nim a zamykającymi pochód żandarmami.

Funkcjonariusze dali ognia, ale błyskawice ich strzałów wylądowały na piersi cyborga i wypaliły w niej dymiące dziury. Z ran wydobyły się kłęby pary, a w powietrzu rozszedł się odór zwęglonego ciała. Wedge pchnął śmiertelnie ugodzonego cyborga najpierw na jednego, a potem na drugiego żandarma. Kiedy się przewrócili, zobaczył, że po durbetonowym chodniku ślizga się wypuszczony przez któregoś z nich blaster. Puścił cyborga i rzucił się, żeby go schwytać.

Usłyszał dobrze znane odgłosy: gniewny pomruk atakującego Prosiaka, głośne mlaśnięcie jego pięści w zetknięciu z czyimś ciałem, dwa następujące szybko po sobie odgłosy blasterowych strzałów, wycie Patyka, wrzaski żandarma ze złamaną nogą... Towarzyszyły im przerażone okrzyki i tupot stóp przechodniów usiłujących jak najszybciej opuścić strefę walki.

Wedge chwycił blaster, obrócił się i nie mierząc, strzelił do drugiego żandarma. Błyskawica trafiła wstającego funkcjonariusza w gardło i powaliła go na pokryty tłustą mazią durbeton. Antilles mógł teraz lepiej widzieć pole zaimprowizowanej bitwy. Piloci Widm wciąż jeszcze toczyli zaciętą walkę z żandarmami.

- Nie ruszać się! - wrzasnął w pewnej chwili Ton Phanan, który jakimś cudem nie odniósł żadnego obrażenia. Trzymał blasterowy karabin należący nieco wcześniej do któregoś żandarma. Poprzedni właściciel chwiał się na nogach i miał szkliste oczy. Przyciskając obie dłonie do gardła, bezskutecznie usiłował powstrzymać upływ krwi sączącej się między palcami.

Kiedy żandarmi zobaczyli wymierzony w nich karabin, odprężyli się i zamarli. Jeden po drugim rzucili broń i zrezygnowali z dalszej walki.

- Nie poruszał się jak Korelianin - odezwał się rzeczowo Buźka Loran. Wedge domyślał się, ile musi go kosztować zachowywanie spokoju.

Znajdowali się w sali odpraw Dowództwa Gwiezdnych Myśliwców. W przeciwieństwie do baru i ulic Coruscant pomieszczenie było nieskazitelnie białe i czyste. Przesłuchanie prowadził nieznany Antillesowi pułkownik, ale wszystkiemu przysłuchiwał się także siedzący obok niego admirał Ackbar, głównodowodzący sił zbrojnych Nowej Republiki. Ackbar był Kalamarianinem, istotą rosłą

i przypominającą raczej ogromną rybę niż człowieka, ale Wedge wiedział, że naczelny dowódca darzy pilotów Eskadry Widm sporą sympatią.

- To jeszcze nie jest wystarczający powód, żeby atakować kogoś, kto wygląda jak przedstawiciel władzy - odezwał się pułkownik.

Buźka się wyprężył.

- Z całym szacunkiem, panie pułkowniku, ale wystarczający, jeżeli jestem pewien, że mam rację - powiedział.
- Niech pan nie będzie śmieszny - burknął pułkownik. - Nie może pan wyciągać wniosków na temat rodzinnej planety jakiegoś osobnika jedynie na podstawie jego wyglądu.

- Owszem, mogę, panie pułkowniku - nie dawał za wygraną Buźka. Pułkownik był mężczyzną w średnim wieku, a sieć zmarszczek na jego twarzy powstała zapewne w ciągu zbyt wielu lat wojny przeciwko Imperium. Nie sprawiał wrażenia przekonanego. Bez słowa wstał od stołu i odsunął na bok krzesło. Cofnął się kilka kroków, odwrócił, przeszedł tam i z powrotem kilka kroków i spojrzał wyczekująco na Garika.

- Trudno powiedzieć - odezwał się Buźka. - Jeżeli pański chód zachował jakiekolwiek cechy charakterystyczne z okresu młodości na rodzinnej planecie, zatarło je wojskowe szkolenie. O ile się nie mylę, urodził się pan na Vogelu Siedem. Powiedziałbym, że dawno temu odniósł pan poważną ranę i musiał na nowo nauczyć się chodzić... mogło to też być poporodowe zniekształcenie, skorygowane później w trakcie chirurgicznego zabiegu. Naprawdę trudno mi powiedzieć.

Pułkownik podszedł do stołu i usiadł. Na jego twarzy malowało się niewiarygodne zdumienie.

- Nie pomylił się pan ani w jednym, ani w drugim - powiedział. - Jak pan to robi?
- No cóż, byłem kiedyś aktorem - wyznał Garik. - A jakby tego nie dość, przeszkolono mnie, żebym potrafił rozpoznawać, analizować i odgadywać fizyczne manieryzmy. Umiem rozpoznawać także manieryzmy głosowe i kilkanaście innych cech osobowości. Najważniejsze jednak, że mieszkałem kilka lat na Lorrdzie, skąd pochodzi moja rodzina, a przecież to Lorrdianie wymyślili sztukę porozumiewania się za pomocą języka gestów i ruchów ciała.
- Przyzna pan teraz, pułkowniku, że porucznik Loran potrafi rozpoznać, kiedy czyjeś zachowanie stoi w sprzeczności z deklarowaną nazwą planety pochodzenia - wtrącił się admirał Ackbar. Jego nie całkiem ludzki głos brzmiał jak chrapliwy pomruk.

Oficer jakiś czas się zastanawiał.

- No cóż, pod względem statystycznym to zbyt mała próbka, żebym mógł być tego pewien, ale przyznaję, że wykazuje pod tym względem zdumiewające umiejętności - powiedział w końcu.
- Dodajmy do tego szybkość, z jaką żandarmi pojawili się w tamtym barze - podjął Buźka. - Przypominam, że znajduje się głęboko pod powierzchnią gruntu. Nie jest lokalem, którego powinni

pilnować przezorni funkcjonariusze wojskowej służby bezpieczeństwa Nowej Republiki. Doszedłem do wniosku, że to pułapka. Cyborg miał wszcząć awanturę, żeby pojawienie się żandarmów nie wzbudziło naszych podejrzeń. W taki sposób wtrącono do więzienia wielu innych spędzających urlopy pilotów. Pułkownik zignorował jego uwagę i odwrócił się do Phanana.

- Przesądził pan wynik potyczki, obezwładniając jednego z fałszywych żandarmów i zabierając mu broń - przypomniał.

Wedge zauważył, że jego podwładny waha się, co powiedzieć. Prawdopodobnie prowadzący przesłuchanie oficer domyślał się prawdy, którą przedstawiono mu tak dobitnie, a Phanan nie chciał mu tego uświadamiać jeszcze dobitniej.

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł w końcu.

- Tamten funkcjonariusz umarł - ciągnął oficer. - Uszkodzona tchawica, przecięta tętnica szyjna. Mimo to pan komandor twierdzi, że zanim żandarmi wyprowadzili was z baru, przeszukali was i rozbroili. Czym się pan posłużył?

- Niewinnym narzędziem chirurgicznym, panie pułkowniku - oznajmił Phanan. - Laserowym skalpelem. Bez dokładnych oględzin trudno odróżnić go od zwykłego pisaka, a podczas walki wręcz wiem, jak się nim posługiwać.

- Ja myślę - mruknął pułkownik. - Czy zanim stawił się pan na przesłuchanie, przekazał pan tę broń naszym strażnikom?

- Jaką broń, panie pułkowniku? - zdziwił się Phanan.

- Ten laserowy skalpel.

- To nie jest broń, panie pułkowniku - odparł Phanan. - To narzędzie chirurgiczne. Nie poproszono mnie przecież, żebym oddał bandaże, opatrunki przesączone płynem bacta, dezynfekujące pianki czy środki znieczulające. Zapewniam pana, że każdą z tych rzeczy mogę zabić dowolną istotę... naturalnie, we właściwych okolicznościach.

Pułkownik spojrzał na Antillesa z tą samą udręką, jaką komandor widział na swojej twarzy, ilekroć spoglądał w lustro. Obcy oficer sprawiał wrażenie, jakby chciał zadać mu pytanie: „Co za zabijaków mi pan tu przyprowadził?"

Wedge tylko wzruszył ramionami. Pułkownik zamknął wieczko komputerowego notatnika.

- Dobrze - zdecydował. - Jeszcze nie wiem, jak wypadną wyniki dalszego śledztwa w sprawie tego incydentu, ale na razie zamierzam uwolnić pilotów pańskiej eskadry.

- Dziękuję, panie pułkowniku - odparł Antilles.

- Jak miewają się ranni podwładni? - zainteresował się oficer. - Jeden nazywa się Ekwesh, a drugi Janson, prawda?

- Obaj wciąż jeszcze przebywają w izbie chorych - oznajmił komandor. - Patyk Ekwesh ma lekkie wstrząśnienie mózgu i jest ogromnie zakłopotany, że Phanan musiał go uśpić, aby powstrzymać przed udziałem w bijatyce. Porucznik Janson odniósł niewielką ranę, kiedy wystrzelona przez jakiegoś żandarma blasterowa błyskawica otarła się o jego klatkę piersiową. Ma założony opatrunek z płynem bacta, ale za dzień czy dwa powinien zostać wypisany.

Pułkownik wstał. Wedge i jego podwładni zrobili to samo.

- Życzę im wiele szczęścia... i żeby wrócili do służby najszybciej jak to możliwe - odezwał się oficer.

Nie musiał dodawać, że wolałby, aby walczyli z imperialnymi szturmowcami i najemnikami różnych lordów niż z mieszkającymi na Coruscant cywilami. Zasalutował i wyszedł.

Admirał Ackbar odwrócił się do dowódcy Eskadry Widm.

- Zanim się rozstaniemy, chciałbym wiedzieć, co o tym' sądzisz - powiedział.

- Wolałbym się najpierw przekonać, co podwładni generała Crackena wyciągną z rzekomych żandarmów, którzy przeżyli walkę, ale przypuszczam, że to sprawka Zsinja - odparł Antilles. - Kiedy unicestwiliśmy jego „Nieubłaganego", bardzo boleśnie odczuł jego stratę. - Imperialny gwiezdny niszczyciel był dowodzony przez admirała Apwara Trigita, podwładnego Zsinja, który stał się obecnie głównym wrogiem i celem poszukiwań wojskowych Nowej Republiki. - Swego czasu udowodnił, że nieobca jest mu żądza zemsty. Dysponuje wystarczająco dobrze zorganizowaną siecią szpiegów i kontaktów, żeby zastawić taką pułapkę. Chyba się domyślił, jaką rolę odgrywa Eskadra Widm, i postanowił wyrównać rachunki.

Ackbar wstał i pokiwał wielką głową.

- Doszedłem do takiego samego wniosku - stwierdził. - Proszę się zatroszczyć o bezpieczeństwo podwładnych, komandorze. Z pewnością potrafisz podjąć właściwą decyzję, czy zostać z nimi do końca urlopu na Coruscant, czy wrócić do służby i bezpiecznych warunków życia w barakach Dowództwa Gwiezdnych Myśliwców Nowej Republiki. Mam jednak dla ciebie nowe rozkazy. - Poklepał wypukłą kieszeń munduru, w którym Antilles trzymał komputerowy notatnik. - Przekazałem je bezpośrednio do pamięci twojego urządzenia. Sądzę, że przypadną ci do gustu, bo wykorzystują, jakby to określić... umiejętność improwizowania pilotów twojej nowej eskadry.

Wedge się uśmiechnął.

- Ta umiejętność improwizowania zaczyna przyprawiać mnie o siwiznę, panie admirale - powiedział. - Ale mimo to bardzo dziękuję. - Spoważniał. - Mam nadzieję, że nie okażę się arogancki, jeżeli zapytam, czy nie słyszał pan niczego nowego na temat Fela.

Ackbar wyjął swój notes i wpisał jakieś polecenie. Wedge zastanawiał się, czy przełożony naprawdę chce uzyskać dostęp do informacji, czy tylko gra na zwłokę, żeby przemyśleć właściwą odpowiedź.

Po śmierci Vadera baron Soontir Fel uchodził powszechnie za najlepszego imperialnego pilota gwiezdnych myśliwców. Był dowódcą elitarnego 181. Pułku Imperialnych Gwiezdnych Myśliwców i czasami sprawiał sporo kłopotów pilotom Eskadry Łotrów. On i jego podwładni byli jak śmiercionośna broń, często rzucana do walki przeciwko siłom zbrojnym Nowej Republiki. Nieco później Fel przeszedł jednak na jej stronę i jakiś czas nawet latał jako jeden z pilotów Eskadry

Łotrów.

Tylko niewielu wiedziało, że jego żoną jest siostra Antillesa, Syal. Kilka lat wcześniej Fel i Syal zniknęli. Teoretycznie 181. Pułkiem dowodził obecnie inny imperialny oficer służący koalicji moffów i wyższych stopniem oficerów, którzy odgrywali rolę nieoficjalnych spadkobierców szczątków Imperium. Niespodziewane pojawienie się Fela na czele kilku eskadr Sto Osiemdziesiątego Pierwszego, walczących u boku pilotów gwiezdnych myśliwców z pokładu „Nieubłaganego", należało więc uznać za szczególnie niepomyślną wróżbę. Fel i wielu jego podwładnych uniknęli losu, jaki spotkał „Nieubłaganego", ale chyba nikt w Nowej Republice nie wiedział, co się z nimi stało... Wedge podejrzewał jednak, że Fel służy obecnie pod rozkazami lorda Zsinja. W końcu Ackbar spojrzał na Antillesa i pokręcił głową.

- Nie mamy żadnych informacji na temat oficjalnej współpracy między szczątkami Imperium a Zsinjem - powiedział. - Nie mamy pojęcia, dlaczego Imperium miałoby mu wypożyczyć Sto Osiemdziesiąty Pierwszy. Nic nie wiemy o Felu ani o szczegółach jego powrotu... Nie wiemy także nic o członkach jego rodziny. Bardzo mi przykro. Dam ci znać, jeżeli jego nazwisko pojawi się na ekranie mojego notatnika.

- Dziękuję, panie admirale - odparł zrezygnowany Wedge. - Będę bardzo zobowiązany.

Piloci Eskadry Widm, których nie wezwano na drugi etap przesłuchania, zgromadzili się w hangarze, tymczasowo przydzielonym gwiezdnym jednostkom Eskadry Widm. Stało w nim siedem wysłużonych X-wingów, dwa poznaczone śladami trafień porwane myśliwce typu TIE i wyglądający na nietknięty wahadłowiec klasy Lambda. Wedge, Buźka i Phanan poinformowali koleżanki i kolegów o decyzji pułkownika.

- Przykro mi to mówić - podsumował Antilles - ale nasz urlop praktycznie dobiegł końca. Potrzebuję ochotników, którzy by pilnowali Patyka i Jansona, dopóki nie zostaną wypisani z izby chorych. Zanim wystartujemy do następnej akcji, chciałbym również, żeby ktoś się zatroszczył o nasze pojazdy. Chyba nie muszę przypominać, że wszyscy mają mieć oczy nie tylko z przodu, ale także z tyłu i po bokach głowy. Czy to jasne?

Piloci pokiwali głowami.

- Sporządzę harmonogram dyżurów - zaproponował Buźka.

- Dlaczego ty? - zainteresował się Tainer. Garik uśmiechnął się do rosłego kolegi.

- Bo nie ma tu Jansona, żeby się tym zajął - powiedział. - No i dlatego że otrzymałem awans do stopnia porucznika dwie minuty wcześniej niż ty, więc jestem od ciebie starszy jeżeli nie stopniem, to okresem służby. Skontaktuj się ze mną za kilka minut, to przekażę ci listę twoich zadań.

Kiedy piloci Eskadry Widm się rozeszli, Phanan objął ramieniem Kella i popatrzył na jasnowłosą pilotkę.

- Tyrio, zostaw nas na chwilę samych - poprosił. - Muszę powiedzieć na osobności kilka słów twojemu chłopakowi...

Pilotka obrzuciła go oburzonym spojrzeniem.

- Mojemu komu? - zapytała.

Tainer wyprostował się, aż ręka niższego pilota ześlizgnęła się z jego pleców. Spojrzał na niego z nieukrywaną urazą.

- Jej komu? - spytał.
- Co takiego powiedziałem? - Zdumiony Phanan wzruszył ramionami. - Tylko kilka chwil, dobrze?

Tyria także wzruszyła ramionami i ruszyła do swojego myśliwca typu X-wing.

- Usłyszałeś nazwisko tego pułkownika? - zapytał Ton. Uraza w spojrzeniu Kella ustąpiła miejsca dezorientacji.
- O ile dobrze pamiętam, komandor Antilles go nie wymienił - odparł.
- Nazywa się Repness.

Kell obejrzał się na Tyrię, ale młoda pilotka otworzyła panel dostępu do silnika tęponosego myśliwca i coś sprawdzała.

- Tak nazywał się instruktor, który usiłował namówić ją do porwania X-winga - przypomniał sobie. - Jeszcze zanim przystała do Eskadry Widm.
- To ten sam - przyznał Phanan. - Upewniłem się, kiedy wracaliśmy z przesłuchania. Nadal szkoli pilotów gwiezdnych myśliwców tu, na Coruscant, i nawet dostał awans do stopnia pułkownika. Niedługo ma objąć służbę na pokładzie fregaty szkoleniowej „Tedevium". Ma także inne obowiązki, związane zwłaszcza ze szkoleniem ochotników. Nic w tym dziwnego; jest bardzo ambitny. To właśnie on był dzisiaj oficerem dyżurnym w bazie miejscowej żandarmerii i dlatego nas przesłuchiwał.

Kell głęboko odetchnął. Atton Repness specjalizował się w szkoleniu kandydatów na pilotów Nowej Republiki, którzy radzili sobie tak kiepsko, że groziło im oblanie ostatecznego egzaminu. Wsławił się tym, że wielokrotnie ratował z opresji osoby, których myśliwce były skazane na zagładę. Kell i Phanan wiedzieli, że jakiś czas potajemnie zawyżał słabe wyniki Tyrii, żeby stały się możliwe do zaakceptowania, a później starał się ją namówić do współudziału w porwaniu myśliwca typu X-wing. Wyjawieniem faktu fałszowania wyników chciał ją zmusić do milczenia.

- Nie przychodziłbyś z tym do mnie, gdybyś nie miał gotowego planu - domyślił się Tainer. Phanan się uśmiechnął.
- Właśnie to spodziewałem się od ciebie usłyszeć - powiedział. - Chciałem, żebyś przyznał, że

jestem obdarzony wybitnym umysłem, i mam ochotę wyrządzić komuś poważną krzywdę. To mój dobry dzień. Tak, mam pewien plan. Wiemy, że Repness stosuje zawsze jedną i tę samą taktykę. Wybiera osobę, której nie wiedzie się najlepiej podczas ćwiczeń - zazwyczaj jest to młoda, powabna kobieta, ale nie wiemy, czy te cechy mają dla niego jakieś znaczenie, więc wyłóżmy skiftera na stół i postarajmy się tego dowiedzieć - i pomaga jej w dwojaki sposób. Organizuje dla niej dodatkowe ćwiczenia, żeby w legalny sposób mogła poprawić wyniki, i fałszuje najgorsze, aby na pewno zdała ostateczny egzamin. Ma wtedy wobec niego dług wdzięczności, a szantażem można zmusić do milczenia. Gdybyśmy podłożyli mu przynętę, może zdołalibyśmy przyłapać go na gorącym uczynku.

- Hm, przynętę - powtórzył zamyślony Kell. Zmarszczył brwi i oparł się o czołową krawędź płata nośnego najbliższego X-winga. - Nie wiem jak ty, ale nie zdążyłem zawrzeć tu zbyt wielu przyjaźni. Nie potrafię więc ot, tak podać ci nazwiska kogoś, kto nadawałby się na przynętę.

- To prawda, no i w dodatku w przeciwieństwie do mnie nie jesteś obdarzony błyskotliwym umysłem - stwierdził Phanan.

- Jeżeli jeszcze raz wspomnisz o swoim błyskotliwym umyśle, wymyślę coś, żebyś musiał go zastąpić elektronicznym - odciął się Tainer.

Phanan podszedł bliżej, nie przejmując się groźbą.

- Kiedy przebywałem w szpitalu na Borleias, w sąsiedniej sali leżała kobieta - zaczął konfidencjonalnym szeptem. - Piękna kobieta. Przeżyła zagładę „Nieubłaganego".

- Więc jest teraz jeńcem wojennym, prawda? - zapytał Kell. - Przecież nie możemy uwolnić jej z więzienia tylko dlatego, żeby mogła odegrać rolę w twoim planie...

- W tej chwili nie siedzi w więzieniu - wpadł mu w słowo Phanan.

- Była więźniarką na pokładzie „Nieubłaganego" i zmuszaną do uległości kochanką admirała Trigita. Porwano ją z kolonii osadników na planecie, którą Trigit zbombardował i obrócił w perzynę. Odurzono ją narkotykami... resztę możesz sobie sam dośpiewać.

Kell się skrzywił.

- Miała bardzo wiele do powiedzenia funkcjonariuszom Wywiadu Nowej Republiki na temat Trigita i jego metod działania - ciągnął Phanan. - Jest młoda, spostrzegawcza i bardzo inteligentna, nie wspominając o tym, że wyjątkowo urodziwa...

- Już to mówiłeś - przypomniał Kell.

- Owszem, ale to jeszcze nie wszystko - odparł Wes. - Słyszałem, że mają ją przetransportować na Coruscant i poddać dalszemu przesłuchaniu. Gdybyśmy zdołali ją odnaleźć i namówić, żeby nam pomogła...

- Moglibyśmy poprzeć jej podanie o przyjęcie na kurs pilotażu i liczyć na to, że pułkownik Repness spróbuje tej samej żałosnej taktyki. - Kell ponownie spojrzał na Tyrię. - Wchodzę w to.

- To świetnie - mruknął Phanan. - Postaram się ją odnaleźć. Nazywa się Lara Notsil. Potem poproszę Buźkę, by na jakiś czas dał nam wolne, żebyśmy mogli z nią porozmawiać.

- A jeśli się nie zgodzi? - zaniepokoił się Tainer.

- Wtajemniczę go w nasz plan - odparł Phanan, ale spodziewając się sprzeciwu Kella, uniósł ręce. - Naturalnie, nawet nie wspomnę o Tyrii - zastrzegł szybko. - Ani razu nie wymienię jej nazwiska.

- No cóż... niech będzie - zgodził się w końcu Tainer. - Pod warunkiem że Tyria o niczym się nie dowie.

- Załatwione.

Następnego dnia w tym samym hangarze zebrali się piloci Eskadry Widm i kilka innych osób.

Buźka z ciekawością powiódł spojrzeniem po twarzach nowych pilotów. Najwyższy mężczyzna miał szopę długich słomkowożółtych włosów. Obok niego stała ciemnoskóra kobieta o dużych, bystrych oczach. Wplotła czerwony koralik w opadający na czoło kosmyk włosów, a szeroki uśmiech sugerował, że kandydatka umie się cieszyć każdą chwilą życia. Ostatnią i najniższą osobą była Twi'lekanka o zdumiewająco pięknej, jak na ludzki gust, twarzy i przykro kontrastującym z tą urodą spojrzeniu posępnych oczu. Jej głowoogony nie były splecione na ramionach, jak miały zwyczaj robić istoty tej rasy, ilekroć przebywały pośród sprzymierzeńców albo przyjaciół, ale zwisały luźno na plecach. Wszyscy troje mieli na sobie regulaminowe pomarańczowo-białe kombinezony pilotów Nowej Republiki.

- Mam dzisiaj dla was dużo nowin - odezwał się Wes Janson, spoglądając na ekran komputerowego notatnika. Buźka zauważył, że zastępca dowódcy Eskadry Widm przyszedł już do siebie. Na wiecznie młodej, uśmiechniętej twarzy Jansona nie pozostał żaden ślad cierpień po odniesionej ranie. - Niektóre dobre, inne złe.

Zaczynam od złych. Wróciłem. To źle dla mnie, bo miło było odpoczywać, i źle dla was, bo gdyby niektórzy zareagowali trochę szybciej, fałszywi żandarmi by mnie nie postrzelili. Miejcie to na uwadze, kiedy w ciągu najbliższych kilku tygodni będę rozdzielał zadania do wykonania.

Słysząc chór jęków i pomruków, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Patyk jest również zdolny do służby, co także jest zarówno dobrą, jak i złą nowiną, bo niektóre jego osobowości lubią pracę, a inne jej nie znoszą - dodał po chwili.

Piloci Eskadry Widm dobrze wiedzieli, że największą umysłową osobliwością Thakwaashan, do których zaliczał się także Patyk Ekwesh, było zwielokrotnienie osobowości. Rozszczepienia jaźni u istot tej rasy nie powodowały jednak, w odróżnieniu od ludzi, silne przeżycia ani emocje. Zjawisko to występowało jako naturalna część ich rozwoju umysłowego. Do każdej czynności Patyk wykorzystywał inną osobowość, a w miarę jak rozwijał się i uczył, pojawiały się nowe.

- Mamy troje nowych pilotów, którzy uzupełnią stan osobowy naszej eskadry - ciągnął zastępca. Jedna z pilotek zginęła podczas bitwy w pobliżu księżyca trzeciej planety systemu M2398, a dwoje innych podczas walki, która zakończyła się unicestwieniem „Nieubłaganego". - Przedstawiam wam podporucznika Castina Donna, naszego nowego specjalistę od systemów komputerowych. - Jasnowłosy mężczyzna entuzjastycznie pokiwał głową. - Castin pochodzi z Coruscant, więc następnym razem, kiedy postanowicie wpaść tutaj w zasadzkę, zabierzcie go ze sobą, aby upewnić

się, czy to będzie naprawdę dobra zasadzka.

Pani podporucznik Dia Passik pochodzi z Rylotha. - Twi'lekanka kiwnęła głową i powiodła po twarzach pilotów Eskadry Widm czujnym spojrzeniem, jakby starała się odgadnąć, która osoba pierwsza ją zaatakuje. - Ma bogate doświadczenie w pilotowaniu wielu rodzajów wehikułów Imperium i Nowej Republiki, a zwłaszcza dużych statków i okrętów. Wie także dużo na temat organizacji przestępczych, więc stanie się dla nas nieocenionym źródłem informacji, kiedy wynikną problemy związane z przemycaniem towarów, kontaktami z najemnikami albo handlem niewolnikami.

Drugą nową pilotką jest pani podporucznik ShallaNelprin...

- O nie! - przerwał Kell i uderzył głową w kadłub tęponosego myśliwca Buźki. Janson sprawiał wrażenie lekko rozbawionego.

- Chciałeś coś powiedzieć, poruczniku Tainer? - zapytał.

Kell zrezygnował z dalszych prób rozbicia głową kadłuba X-winga i skierował udręczone spojrzenie na Shallę.

- Jesteś może spokrewniona z Vulą Nelprin? - zapytał.

Nowa pilotka Eskadry Widm uśmiechnęła się tak szeroko, że w jej policzkach pojawiły się dołki.

- To moja starsza siostra - powiedziała.

- Czy wasz ojciec szkolił także ciebie?

- Tak, sądzę jednak, że jestem trochę lepsza niż Vula. Kell westchnął.

- Pamiętacie, jak opowiadałem wam o instruktorce, która wprowadzała mnie w tajniki walki wręcz, kiedy służyłem w oddziale komandosów? - zaczął. - Tej samej, która rzucała mną o matę, jakbym był zakurzoną ścierką, i ani razu nawet się nie spociła? To jej siostra.

- Więc nie powinno was zdziwić, że Nelprin będzie naszą nową instruktorką i specjalistką od walki wręcz - odezwał się Janson. - Postarajcie się zrobić z niej najlepszą pilotkę, jaką może się stać w naszej eskadrze, a w dowód uznania dostaniecie od niej solidne lanie. Shella zna się także na doktrynach i taktykach imperialnego wywiadu, co może się nam przydać, bo Zsinj chyba lubi zatrudniać jego funkcjonariuszy. Prawda, Wedge?

- Postarajcie się, żeby nowi piloci poczuli się pośród was jak w domu - powiedział Antilles. - Zamierzam od razu i wam, i im przydzielić zadania związane z nową akcją. - Wyciągnął komputerowy notatnik i wpisał jakieś polecenie. - Przekazałem bezpośrednio do pamięci waszych notesów szczegóły nowego zadania, ale to nie oznacza, że będziemy mogli opuścić Coruscant. - Machnięciem ręki uciszył chór jęków i protestów.

- Bardzo mi przykro, ale od jego wyników zależy następne zadanie, więc postarajcie się spisać jak najlepiej.

Najwyższe Dowództwo ocenia bardzo wysoko nasze starania wyśledzenia admirała Trigita i

zdobycia jego zaufania. Wykazaliśmy, że jesteśmy świetnie wyszkoleni i mamy dużo szczęścia. Musimy teraz tylko udowodnić to ponad wszelką wątpliwość. Zamierzam podzielić was na trzy grupy. Każda ma zadać sobie te same pytania: Co knuje Zsinj? Jakie mogą być jego plany i strategia walki? Kiedy wszyscy znajdą odpowiedzi, zorganizujemy dyskusję i zdecydujemy, które wydają się najbardziej prawdopodobne. Wylecimy w przestworza i postaramy się zdobyć dowody na potwierdzenie naszych przypuszczeń. Orientując się w waszych zdolnościach do taktycznego myślenia i umiejętności przewidywania posunięć nieprzyjaciół, wybieram trzech, którzy staną na czele każdej grupy. Patyku, mianuję cię Zsinjem Jeden, Prosiaku, będziesz Zsinjem Dwa. Buźko, zostajesz Zsinjem Trzy. - Spoglądając po kolei na każdego wymienianego pilota, Wedge kiwał głową. - Dobierzcie sobie współpracowników i ograniczcie się, na ile to możliwe, do źródeł informacji dostępnych tu, w Dowództwie Gwiezdnych Myśliwców. Jakieś pytania? Janson uniósł rękę.

- Czy będziemy współpracowali przy tym zadaniu z pilotami Eskadry Łotrów? - zapytał.

Wedge kiwnął głową.

- Dopiero kiedy wystartujemy w przestworza, ale nie na etapie analizy teoretycznej - powiedział. - Łotry przechodzą pod dowództwo generała Solo i otrzymują zadanie szukania kryjówki Zsinja. Będą stacjonowały na pokładzie „Mon Remondy". Dopiero kiedy i my się tam znajdziemy, nawiążemy z nimi współpracę, jeżeli będą tego wymagały okoliczności.

Druga zgłosiła się Tyria.

- Czy może ci z Wywiadu dowiedzieli się, czy to Zsinj zastawił na nas tę pułapkę?

- zapytała.

Antilles kwaśno się uśmiechnął.

- Ci, którzy przeżyli walkę z wami, bez oporów podzielili się potem swoją wiedzą, żaden jednak nie miał pojęcia, dla kogo pracuje. Podobno wiedział to tylko organizator, który stworzył z nich zespół, szkolił ich i stanął na czele wyprawy. To ten sam, któremu Phanan poderżnął gardło.

Lekarz nie wyglądał na speszonego.

- Wielka szkoda - mruknął do siebie.
- Funkcjonariusze służb wywiadowczych generała Crackena starają się prześledzić ich wcześniejsze poczynania, a także dowiedzieć się, gdzie i na co wydawali kredyty - dodał Antilles. - Może to pozwoli nam uzyskać więcej informacji na temat rzeczywistego mocodawcy. W tej chwili to nie nasz problem. Jeszcze ktoś? Nie? Możecie się rozejść.

W zamieszaniu, jakie później nastąpiło, Patyk wybrał na swoich współpracowników Kella i Tyrię, Buźka - Phanana i Jansona, a Prosiak - Myna i Skrzypka, protokolarnego androida typu 3PO,

który pełnił obowiązki kwatermistrza eskadry. Trzej wirtualni Zsinjowie przyjęli także do swoich grup po jednym nowym członku eskadry: Zsinj Jeden Shallę, Zsinj Dwa Castina, a Zsinj Trzy Twi'lekankę Dię.

- I niech najlepszy Zsinj zwycięży - oznajmił Buźka. - To znaczy, dopóki się nie natknie na pilotów Eskadry Widm - zreflektował się po chwili.

ROZDZIAŁ 2

Siedząc przy komputerowym terminalu w tanim mieszkaniu, wynajętym w jednym z mrowiskowców miasta-planety Coruscant, Gara Petothel sprawdziła ostatni raz poprawność kodu. Powiodła spojrzeniem po przesuwających się po ekranie linijkach tekstu i wydała polecenie skompilowania tego bałaganu w coś, co, jak miała nadzieję, stanie się ostateczną wersją jej programu.

Było to istne dzieło sztuki. Miało przekazać kilka spakowanych i zaszyfrowanych zbiorów danych do pamięci coruscańskiej przechowalni informacji w postaci, która nadawała jej zbiorom wygląd archiwów sporządzonych przed wiekami przez jakiegoś księgowego. Gara musiała starannie zatrzeć wszelkie ślady dowodzące, że wysłała informacje z tego terminalu. Zamierzała posłużyć się siecią holoNetu Nowej Republiki, żeby przekazać je pod zapamiętane wiele tygodni wcześniej adresy, dzięki którym powinny trafić do ośrodków łączności lorda Zsinja.

Jeżeli jest naprawdę bystry, a wszystko na to wskazuje, pomyślała, po kilku następnych tygodniach zostanę jego pracownicą. Będę mogła wydostać się z tego bagna i przestać się obawiać agentów policji i rebelianckiego Wywiadu...

Usłyszała głośne pukanie do drzwi i aż podskoczyła. To z pewnością oznaka nieczystego sumienia, pomyślała. Postarała się nadać twarzy wyraz niewinnego zaciekawienia i pospiesznie wyłączyła zasilanie monitora komputerowego terminalu.

Wstała, żeby podejść do drzwi. Po drodze zerknęła w lustro, by upewnić się, czy naprawdę wygląda jak osoba, za jaką chciała być uważana. Krótkie, kręcone jasnoblond włosy nadawały jej wygląd, do którego wciąż jeszcze nie mogła się przyzwyczaić, podobnie jak do braku pieprzyka na policzku. Miała go od najwcześniejszych lat, ale potajemnie usunęła, kiedy przygotowywała nową tożsamość.

Nie masz się czego obawiać, pomyślała. Nie jesteś zbyt podobna do Gary Petothel, a włosy i makijaż zmieniają twój wygląd do takiego stopnia, że nikt nie powinien cię rozpoznać... przynajmniej do czasu odlotu z Coruscant.

Otworzyła drzwi.

Na korytarzu stali dwaj rebelianccy piloci. Mieli na sobie lotnicze kombinezony i przezroczyste nieprzemakalne płaszcze, dobrze chroniące ubrania przed zdarzającymi się często na planecie deszczami. Jeden pilot wyglądał na osobnika ponurego i małomównego. Górną lewą połowę jego twarzy przesłaniała metalowa proteza, a z miejsca, w którym powinno się znajdować lewe oko, sączyła się czerwonawa poświata. Za to jego towarzysz był zdumiewająco przystojny. Miał bujne ciemne włosy i inteligentne oczy, a rysy twarzy mogły przyprawić wszystkie kobiety o przyspieszone bicie serca. Jego twarz przecinała jednak sina blizna. Wszystko wskazywało, że to ślad po

blasterowej błyskawicy. Blizna zaczynała się na lewym policzku, a kończyła po prawej stronie czoła.
Pierwszy odezwał się mężczyzna z metalową płytką na twarzy. Gara już go znała.

- Jesteś Lara Notsil - powiedział. To nie było pytanie.
- Tak - odparła kobieta.

Skierowała spojrzenie na korytarz, na którym roiło się od przechodniów. Jej małe mieszkanko mieściło się na czterdziestym piętrze, ale korytarz na tym poziomie stanowił fragment głównego ciągu pieszego, którym mieszkańcy Coruscant mogli przemierzać wiele kilometrów. Na korytarzu zawsze panował spory ruch, ale często dochodziło na nim do kradzieży i rozbojów. Mimo to w razie potrzeby Gara mogła szybko wtopić się w tłum, co stanowiło główny powód, dla którego zdecydowała się wynająć właśnie to mieszkanie.
Przeniosła z powrotem spojrzenie na pilota z płytką na twarzy.

- A ty nazywasz się Phanan i jesteś porucznikiem, prawda? - zapytała. - Tym samym, którego widywałam w szpitalu na Borleias? Proszę, wejdźcie, zanim ktoś wsadzi wam wibroostrze pod żebro.

Cofnęła się, pozwoliła gościom wejść i zamknęła drzwi, by odciąć się od tłumu istot na korytarzu.

- Nazywam się Phanan, ale jestem zaledwie podporucznikiem - sprostował posępny pilot. - Porucznikiem jest ten spryciarz obok mnie. Nazywa się Garik Loran.

Kobieta wyciągnęła rękę, żeby uścisnąć dłoń Phanana, ale zamarła w pół ruchu i przyjrzała się uważniej twarzy drugiego pilota. Tak, to naprawdę on! Ogarnęło ją zakłopotanie i coś w rodzaju uniesienia.

- Buźka? - zapytała. - To ty żyjesz?

Garik uśmiechnął się szeroko. Gara wiedziała, że to starannie wyćwiczony uśmiech zawodowego aktora. W taki właśnie sposób Buźka sugerował rozbawienie, wzbudzał sympatię, a może nawet głębsze uczucia. Jej nie zdołał wywieść w pole, nie potrafiła jednak otrząsnąć się z wrażenia, jakie na niej wywarło jego pojawienie się w jej apartamencie. Czuła się, jakby miała spędzić czas tylko w jego towarzystwie. Zakręciło się jej w głowie. Usiadła na fotelu przed monitorem komputerowego terminalu.
- Tak, to ja - przyznał Loran. - Chyba wiem, o co ci chodzi. Ta historia o mojej śmierci była wymyślonym przez Imperium propagandowym chwytem, aby wszyscy sądzili, że w Sojuszu Rebeliantów roi się od złych ludzi, którzy bez wahania zabiją młodocianego aktora. Teraz jestem pilotem.

- Wszystko na to wskazuje. - Gara uczyniła wysiłek, żeby się opanować. Pamiętaj, pomyślała, nazywasz się teraz Lara Notsil, jesteś farmerką z Aldivy i byłą więźniarką admirała Trigita. Musisz

się mieć na baczności. Ci dwaj piloci przybyli, żeby wypytywać cię o niego. Phanan był przecież jednym z Rebeliantów, którzy strzelali do „Nieubłaganego”... strzelali do ciebie. - Proszę, usiądźcie. Przepraszam za ten bałagan. Naprawdę trudno utrzymać tu coś w czystości. Jak mnie znaleźliście?

Phanan usiadł na krawędzi łóżka, a Buźka zajął miejsce na drugim fotelu.

- Sądząc po standardach niższych poziomów Coruscant, każde miejsce, po którym możesz chodzić albo gdzie możesz usiąść bez obawy, że się przykleisz, jest bardzo higieniczne - odparł Phanan. - Dobrze o tym wiemy. A jeżeli chodzi o to, jak cię znaleźliśmy... cóż, zapytaliśmy paru gości z Wywiadu Nowej Republiki. Powiedzieli, że wypisano cię ze szpitala, ale nie zgodziłaś się zostać przetransportowana z powrotem na Aldivę. Skorzystaliśmy z dostępu do baz danych planetarnej sieci informatycznej i zaczęliśmy szukać twojego nazwiska i ostatniego podania o zatrudnienie. Pracujesz teraz jako informatyczka w koncernie transportowym?

Wstała, żeby podejść do drzwi. Po drodze zerknęła w lustro, by upewnić się, czy naprawdę wygląda jak osoba, za jaką chciała być uważana. Krótkie, kręcone jasnoblond włosy nadawały jej wygląd, do którego wciąż jeszcze nie mogła się przyzwyczaić, podobnie jak do braku pieprzyka na policzku. Miała go od najwcześniejszych lat, ale potajemnie usunęła, kiedy przygotowywała nową tożsamość.

Nie masz się czego obawiać, pomyślała. Nie jesteś zbyt podobna do Gary Petothel, a włosy i makijaż zmieniają twój wygląd do takiego stopnia, że nikt nie powinien cię rozpoznać... przynajmniej do czasu odlotu z Coruscant.

Otworzyła drzwi.

Na korytarzu stali dwaj rebelianccy piloci. Mieli na sobie lotnicze kombinezony i przezroczyste nieprzemakalne płaszcze, dobrze chroniące ubrania przed zdarzającymi się często na planecie deszczami. Jeden pilot wyglądał na osobnika ponurego i małomównego. Górną lewą połowę jego twarzy przesłaniała metalowa proteza, a z miejsca, w którym powinno się znajdować lewe oko, sączyła się czerwonawa poświata. Za to jego towarzysz był zdumiewająco przystojny. Miał bujne ciemne włosy i inteligentne oczy, a rysy twarzy mogły przyprawić wszystkie kobiety o przyspieszone bicie serca. Jego twarz przecinała jednak sina blizna. Wszystko wskazywało, że to ślad po blasterowej błyskawicy. Blizna zaczynała się na lewym policzku, a kończyła po prawej stronie czoła.

Pierwszy odezwał się mężczyzna z metalową płytką na twarzy. Gara już go znała.

- Jesteś Lara Notsil - powiedział. To nie było pytanie.

- Tak - odparła kobieta.

Skierowała spojrzenie na korytarz, na którym roiło się od przechodniów. Jej małe mieszkanko mieściło się na czterdziestym piętrze, ale korytarz na tym poziomie stanowił fragment głównego ciągu pieszego, którym mieszkańcy Coruscant mogli przemierzać wiele kilometrów. Na korytarzu zawsze panował spory ruch, ale często dochodziło na nim do kradzieży i rozbojów. Mimo to w razie potrzeby Gara mogła szybko wtopić się w tłum, co stanowiło główny powód, dla którego zdecydowała się wynająć właśnie to mieszkanie.

Przeniosła z powrotem spojrzenie na pilota z płytką na twarzy.

- A ty nazywasz się Phanan i jesteś porucznikiem, prawda? - zapytała. - Tym samym, którego widywałam w szpitalu na Borleias? Proszę, wejdźcie, zanim ktoś wsadzi wam wibroostrze pod żebro.

Cofnęła się, pozwoliła gościom wejść i zamknęła drzwi, by odciąć się od tłumu istot na korytarzu.

- Nazywam się Phanan, ale jestem zaledwie podporucznikiem - sprostował posępny pilot. - Porucznikiem jest ten spryciarz obok mnie. Nazywa się Garik Loran.

Kobieta wyciągnęła rękę, żeby uścisnąć dłoń Phanana, ale zamarła w pół ruchu i przyjrzała się uważniej twarzy drugiego pilota. Tak, to naprawdę on! Ogarnęło ją zakłopotanie i coś w rodzaju uniesienia.

- Buźka? - zapytała. - To ty żyjesz?

Garik uśmiechnął się szeroko. Gara wiedziała, że to starannie wyćwiczony uśmiech zawodowego aktora. W taki właśnie sposób Buźka sugerował rozbawienie, wzbudzał sympatię, a może nawet głębsze uczucia. Jej nie zdołał wywieść w pole, nie potrafiła jednak otrząsnąć się z wrażenia, jakie na niej wywarło jego pojawienie się w jej apartamencie. Czuła się, jakby miała spędzić czas tylko w jego towarzystwie. Zakręciło się jej w głowie. Usiadła na fotelu przed monitorem komputerowego terminalu.

- Tak, to ja - przyznał Loran. - Chyba wiem, o co ci chodzi. Ta historia o mojej śmierci była wymyślonym przez Imperium propagandowym chwytem, aby wszyscy sądzili, że w Sojuszu Rebeliantów roi się od złych ludzi, którzy bez wahania zabiją młodocianego aktora. Teraz jestem pilotem.
- Wszystko na to wskazuje. - Gara uczyniła wysiłek, żeby się opanować. Pamiętaj, pomyślała, nazywasz się teraz Lara Notsil, jesteś farmerką z Aldivy i byłą więźniarką admirała Trigita. Musisz się mieć na baczności. Ci dwaj piloci przybyli, żeby wypytywać cię o niego. Phanan był przecież jednym z Rebeliantów, którzy strzelali do „Nieubłaganego”... strzelali do ciebie. - Proszę, usiądźcie. Przepraszam za ten bałagan. Naprawdę trudno utrzymać tu coś w czystości. Jak mnie znaleźliście?

Phanan usiadł na krawędzi łóżka, a Buźka zajął miejsce na drugim fotelu.

- Sądząc po standardach niższych poziomów Coruscant, każde miejsce, po którym możesz chodzić albo gdzie możesz usiąść bez obawy, że się przykleisz, jest bardzo higieniczne - odparł Phanan. - Dobrze o tym wiemy. A jeżeli chodzi o to, jak cię znaleźliśmy... cóż, zapytaliśmy paru gości z Wywiadu Nowej Republiki. Powiedzieli, że wypisano cię ze szpitala, ale nie zgodziłaś się zostać przetransportowana z powrotem na Aldivę. Skorzystaliśmy z dostępu do baz danych planetarnej sieci informatycznej i zaczęliśmy szukać twojego nazwiska i ostatniego podania o zatrudnienie. Pracujesz teraz jako informatyczka w koncernie transportowym?

- Tak - przyznała kobieta. - Płacą mi... - zawiesiła głos i zamaszystym gestem omiotła niewielki salonik. - Wystarczy na to wszystko.

- Co byś powiedziała, gdybyśmy zaproponowali ci lepszą pracę i stworzyli szansę zamieszkania w lepszych warunkach? - zapytał Buźka.

- Przyjęłabym propozycję z ochotą - odparła Gara. - Co miałabym robić?

- Odbyć szkolenie pilota Nowej Republiki - wyjaśnił Garik. - Cały kurs, jaki przechodzą pozostali kandydaci kształcący się w naszej akademii.

Serdeczne dzięki, pomyślała Gara. A co, gdybym zamiast tego poprosiła was, żebyście przetransportowali mnie na pokład jednego z okrętów floty lorda Zsinja? Nie mogła jednak wypaść z odgrywanej roli.

- To byłoby... miłe - odparła po namyśle. - Ale niemożliwe.

Buźka zaprezentował kolejny uśmiech, tym razem uspokajający i bardzo pewny siebie.

- Dlaczego? - zapytał.

Gara postarała się nadać głosowi ton smutku.

- Kiedy jeszcze mieszkałam na aldivańskiej farmie, myślałam o tym codziennie - powiedziała. - Pragnęłam się nauczyć sztuki pilotażu. Radziłam tam sobie całkiem nieźle, prowadząc śmigacze. Uczyłam się też mówić bezbłędnie w basicu, aby moja mowa nie zdradzała, że jestem farmerką z Aldivy.

- To ci się udało - przyznał Buźka. - Twój aldivański akcent zniknął prawie bez śladu.

Gdybyś wiedział, że urodziłam się i wychowywałam niespełna sto kilometrów od tego miejsca, doceniłbyś, ile wysiłku mnie kosztowało, żeby nauczyć się mówić z lekkim śladem tego akcentu, pomyślała Gara.

- Potem jednak nadleciał „Nieubłagany", a jego artylerzyści zniszczyli Nowe Staromieście - ciągnęła. - Kiedy Trigit zabrał mnie z planety, straciłam zainteresowanie wszystkim. Pragnęłam tylko, żeby ktoś zniszczył „Nieubłaganego". A jeszcze później, gdy Trigit zmusił mnie, żebym została jego ... - Urwała i odwróciła głowę. Nadała głosowi chrapliwe brzmienie i nawet pozwoliła, żeby po jej policzku spłynęła łza. - ...kochanką, oddałabym wszystko, żeby zginął.

- Dopięłaś swego.

- Spełniliście moje najskrytsze marzenie, zabijając go. Wasza eskadra i pozostali. Dziękuję wam. - Jej głos brzmiał udawaną nonszalancją i skrywanym bólem. - Sądzę jednak, że już nic mi nie pozostało, a przynajmniej nie mam żadnych ambicji.

- Przykro mi to słyszeć.

- Zresztą po tym, jak... związałam się z admirałem Trigitem, nie zgodzą się na to wojskowi Nowej Republiki - ciągnęła Gara. - Nie zechcą obdarzyć mnie zaufaniem.

Wzruszyła ramionami, jakby godziła się z przeznaczeniem.

- Wyrazili zgodę - zapewnił ją Buźka. - Nigdy nie wysuwali przeciwko tobie żadnych zarzutów.

Gara kiwnęła głową. Poświęciła wiele tygodni, aby utrwalić wrażenie, że rzeczywiście jest Larą Notsil. Wymagało to starannego planowania, na wypadek gdyby jej zamiar zdobycia zaufania lorda Zsinja zakończył się niepowodzeniem. Pragnąc stworzyć nową tożsamość, musiała wykorzystać rzeczywiste wydarzenia, więc postanowiła wybrać bombardowanie kilku aldivańskich farm. Z dostępnych baz danych dowiedziała się, że zniszczył je admirał Trigit, kiedy farmerzy nie zgodzili się zapewnić mu zaopatrzenia. Przerobiła żałosne strzępki informacji, jakie znalazła o żyjącej na jednej z tych farm młodej kobiecie. Jej zwęglone ciało rozwiewały obecnie wichry na jednym z aldivańskich pól uprawnych, na którym musiały jeszcze do tej pory widnieć ślady żaru turbolaserowych błyskawic. We wszystkich aktach zastąpiła charakterystyczne cechy fizyczne młodej Aldivanki swoim wizerunkiem, odciskami palców i kodem genetycznym. Wymyśliła historię, że na pokładzie „Nieubłaganego" istniały tajne kabiny, o których nikt nie miał pojęcia, nic więc dziwnego, że nie wiedziały o nich pozostałe osoby, które przeżyły zagładę gwiezdnego niszczyciela. Oznajmiła, że chociaż się opierała, Trigit uwięził ją w jednej z takich kabin i faszerował błyszczostymem i innymi narkotykami.

Wojskowi Nowej Republiki uwierzyli w jej historię bez zastrzeżeń. Szczególne interesowali się skandalicznymi szczegółami jej fikcyjnego pobytu w więziennej celi. Słysząc o przewrotności Trigita, kiwali głowami... i wierzyli we wszystkie kłamstwa, jakie im dobrowolnie wyjawiała, powodowana nienawiścią do prześladowcy.

A Gara naprawdę go nienawidziła. Nie mogła mu wybaczyć, że chociaż nie wymagała tego sytuacja na polu walki, zamierzał poświęcić życie wielu tysięcy członków załogi, którzy służyli mu wiernie i mężnie.

Cały czas pamiętała jednak, że nowa tożsamość ma służyć wyłącznie jednemu celowi. Powinna jej pozwolić opuścić przestworza Nowej Republiki i powrócić do służby dla Imperium... a przynajmniej dla kogoś, kto w niedalekiej przyszłości miał szansę stanąć na jego czele.

Pokręciła głową.

- Chyba nie będę mogła wam pomóc... - zaczęła, ale nagle zmarszczyła brwi, jakby sobie o czymś przypomniała. - Chwileczkę. Nie powiedzieliście jeszcze, co spodziewacie się uzyskać w zamian. Przysługa za przysługę. Co miałabym dla was zrobić?

Siedzący na łóżku Phanan pochylił się ku niej.

- Ach, właśnie na tym polega cały problem - powiedział cicho. - Chcielibyśmy, żebyś podczas tego szkolenia nie radziła sobie najlepiej. Powinnaś się starać zostać jedną z najgorszych kandydatek w swojej grupie. Twoje wyniki muszą osiągać zaledwie akceptowalny poziom. Naturalnie, raz powinny być trochę lepsze, a kiedy indziej trochę gorsze. Postępuj, jakbyś leciała nisko nad powierzchnią nierównego gruntu... jeżeli wiesz, co mam na myśli.

- Dlaczego? - zdziwiła się Gara. - Dlaczego nie miałabym dawać z siebie wszystkiego, na co mnie stać?

- Przypuszczamy, że ktoś z instruktorów zgłosi się do ciebie z propozycją udzielenia pomocy, dzięki której będziesz mogła poprawić wyniki... a później upomni się o spłatę długu wdzięczności i zaproponuje ci współudział w nielegalnym przedsięwzięciu - wyjaśnił Phanan.

- Zamierzacie zastawić pułapkę na tę osobę - domyśliła się. - A ja mam posłużyć jako przynęta.

Buźka pokiwał głową.

- To pewien mężczyzna, Garo - powiedział. - Poluje na młode, urodziwe kandydatki, którym nie wiedzie się najlepiej podczas szkolenia. Wykorzystuje je jak admirał Trigit ciebie. Mamy nadzieję, że jeśli i tobie się to przydarzy, może zechcesz wywrzeć na nim zemstę, skoro nie zdołałaś się zemścić na Trigicie.

Kobieta pokręciła głową.

- To nie byłoby to samo - stwierdziła. - A ja nie mogłabym...

Urwała, kiedy pewna myśl eksplodowała w jej głowie niczym protonowa torpeda. Wymyśliła plan, bardzo prosty, który powinien podnieść jej wartość w oczach lorda Zsinja albo innego imperialnego oficera, któremu by zaproponowała swoje usługi. Zakręciło się jej w głowie, podobnie jak wówczas, gdy przypomniała sobie niewinne uczucie, jakim kiedyś darzyła młodziutkiego aktora, Garika Lorana.

- Laro? - zaniepokoił się Buźka. - Dobrze się czujesz?

Kobieta się rozpłakała. Potrafiła płakać na zawołanie i ta umiejętność w przeszłości często się jej przydawała. Jej instruktorzy z imperialnego wywiadu byli tym zachwyceni.

- Nie mogłabym tego zrobić - wykrztusiła. - Wszystko bym straciła. Phanan przysunął się jeszcze bardziej i ujął ją za ręce.

- Co byś straciła? - zapytał. - Co masz do stracenia?

- Straciłam już wszystkich bliskich, krewnych i znajomych - ciągnęła Gara. - Znam tylko ludzi, których spotykałam, odkąd zostałam ocalona. Liczyłam, że znajdę pracę w wojsku... jakieś zajęcie odpowiednie dla cywila. Gdybym zrobiła, o co mnie prosicie, i została pilotką, nie zwiększyłabym swojej szansy znalezienia takiej pracy. Co więcej, na nowo obudziłoby się we mnie dawno zapomniane pragnienie opanowania sztuki pilotażu. Nie potrafiłabym myśleć o niczym innym. Gdybym zaś zastawiła pułapkę na tego instruktora i zrujnowała jego karierę, wszyscy i wszędzie by mówili: „To Lara Notsil, ta zdrajczyni". Nikt nie zgodziłby się mnie przyjąć do swojej jednostki. Wszyscy by mnie uważali za osobę niegodną zaufania.

- To nieprawda - odezwał się Phanan, ale Gara zauważyła, że Buźka wyprostował się na krześle. Wyraźnie zastanawiał się nad jej słowami i wszystko wskazywało, że znalazł w nich źdźbło prawdy.

- Ależ prawda - odparła. - Który dowódca zechce mnie po czymś takim przyjąć do swojej eskadry? Wszyscy pomyślą, że ich szpieguję, a przyjaciele instruktora, którego mam wam pomóc

zdemaskować, zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby na zawsze zrujnować moją karierę. Jeżeli zgodzę się spełnić waszą prośbę, będę musiała mieć okropne wyniki szkolenia. Obawiam się, że moją kandydaturą wzgardzą nawet przedstawiciele cywilnych służb transportowych, którzy poszukują nowych pilotów. - Wbiła spojrzenie w wolną przestrzeń między Phananem a Buźką i chociaż nie powstrzymała łez, uniosła buntowniczym ruchem głowę. - Dobrze wiecie, że to prawda - podjęła po chwili. - Nie możecie się wypowiadać w imieniu żadnego dowódcy eskadry gwiezdnych myśliwców Nowej Republiki... z wyjątkiem swojego, a chyba się domyślacie, że jeżeli przystanę na waszą propozycję, Wedge Antilles nigdy nie zgodzi się przyjąć mnie do jednej ze swoich eskadr.

Buźka wciąż jeszcze wyglądał na zakłopotanego.

- Nie możemy być tego pewni - odezwał się w końcu.
- Ale nie jesteście upoważnieni, żeby się wypowiadać w jego imieniu, prawda? - zapytała Gara.
- Nie, nie jesteśmy - przyznał Garik.
- Czyli chcecie, żebym zaryzykowała całą przyszłość w zamian za opanowanie umiejętności pilotowania gwiezdnego myśliwca - podsumowała kobieta. - Dzięki za taką propozycję. Wiecie, gdzie są drzwi.
- Zaczekaj. - Tym razem Gara nie zauważyła niczego sztucznego w głosie Buźki. - A gdybyśmy ci zagwarantowali przyjęcie do jakiejś eskadry? Trafiłabyś tam, gdzie liczyłyby się prawdziwe umiejętności, a konsekwencje postępowania obróciłyby się na twoją korzyść, a nie przeciwko tobie.
- Gdzie?
- Jeszcze nie wiem. Gara pokręciła głową.
- Nie wierzę, żeby którykolwiek dowódca mógł się okazać aż tak sprawiedliwy - powiedziała. - Po prostu w to nie wierzę.

- A gdyby tym dowódcą miał być Wedge Antilles? Lara wstrzymała oddech.

- Sami mówiliście, że nie możecie się wypowiadać w jego imieniu - przypomniała po chwili.
- Tak, dopóki nie zapoznam go ze szczegółami naszego planu... ale porozmawiam z nim na ten temat. A jeżeli się zgodzi?

Gara umilkła i udawała, że się zastanawia. Znała odpowiedź, ale nie mogła sprawiać wrażenia przesadnie gorliwej.

- Gdybym miała służyć pod rozkazami Antillesa, czy to w Eskadrze Łotrów, czy w tej nowej, w Eskadrze Widm... - zaczęła niepewnie i urwała, jakby wciąż się wahała. - Tak. Wówczas bym się zgodziła.
- Porozmawiam z nim jeszcze dzisiaj - obiecał Buźka. Wstał, a Phanan poszedł w jego ślady. - Dam ci znać, kiedy tylko dostanę od niego odpowiedź.

Gara zareagowała ledwo zauważalnym kiwnięciem głowy. Gdy wyszli, przycisnęła obie dłonie do ust, żeby nie wyrwał się z nich głośny okrzyk triumfu.

Kiedy się trochę oddalili od drzwi apartamentu Lary Notsil, Phanan spojrzał na kolegę pilota.

- Komandor Antilles rozerwie cię za to na strzępy - poinformował.

- Wiem - burknął Buźka, przeciskając się przez zbity tłum przechodniów.

- Za karę wyznaczy ci najgorsze zadania - nie dawał za wygraną Ton. - Będziesz harował, dopóki nie skończysz czterdziestki.

- To możliwe - przyznał Garik ponuro.

- Kiedy się zgłosisz do niego z tą propozycją, komandor zionie ogniem i osmali cię od stóp do głów.

- Może i tak - przyznał Buźka. - Ale wszystkie cierpienia pomoże mi znieść jedna myśl.

- Jaka?

- Będziesz stał obok i smażył się razem ze mną. Phanan się skrzywił, jakby połknął coś kwaśnego.

- Nie ma to jak dobry przyjaciel - mruknął z udawaną urazą.

Pani podporucznik Shalla Nelprin zanurkowała ku powierzchni gruntu... na ile pozwoliły jej coraz mniejsze odstępy między wyglądającymi jak monolit budowlami Coruscant. Przez iluminatory owiewki kabiny X-winga widziała rozmazane plamy, które musiały być zdumionymi albo przerażonymi twarzami mieszkańców planety-miasta.

Piloci dwóch ścigających ją zawzięcie myśliwców typu TIE powtórzyli jej manewr bez większego wysiłku. Kierowali ku ogonowi jej maszyny lufy sprzężonych działek i co kilka chwil posyłali serie zielonych błyskawic laserowych strzałów. Shalla wyrównała lot i skręciła w lewo, na ile pozwalał jej wąski prześwit, dzięki czemu kolejne smugi laserowego ognia odbiły się od wzmocnionych rufowych pól ochronnych i wbiły w ściany budynków po obu stronach jej myśliwca typu X-wing.

- Nie potrafię ich zgubić, Kontrolo - odezwała się pilotka. - Są bardzo dobrzy. W odpowiedzi usłyszała głos Patyka Ekwesha:

- Shallo, jak ci się wydaje, dlaczego lord Zsinj zatrudnia u siebie tylu byłych agentów imperialnego wywiadu? Miał ich wielu na pokładzie „Nocnego Gościa” i „Nieubłaganego”, a wciąż dowiadujemy się o nowych funkcjonariuszach i okrętach...

Kiedy kolejna laserowa błyskawica trafiła w rufowe pola ochronne i wylądowała na kadłubie, tęponosy myśliwiec Shalli zadygotał. Pilotka przeniosła spojrzenie na pulpit aparatury diagnostycznej. Kadłub jej X-winga został lekko uszkodzony, ale nic nie wskazywało, żeby pojawiły się inne problemy. Na razie.

- Zamknij się z łaski swojej, Kontrolo - powiedziała. - Nie rozumiesz, że toczę tu walkę na śmierć i życie?

- To tylko ćwiczenie na symulatorze - przypomniał Patyk. - Twoje wyniki nie są rejestrowane.

- Traktuj każde ćwiczenie na symulatorze jak rzeczywistą sytuację, a pożyjesz trochę dłużej - odparła Shalla. - Przynajmniej tak mówił zawsze mój tata. - Pilotka obniżyła pułap lotu jeszcze jakieś dziesięć metrów w dół i przeleciała pod pomostem łączącym dwa wieżowce. Jeden pilot myśliwca typu TIE powtórzył jej manewr, ale drugi śmignął nad przeszkodą. - No dobrze. Po pierwsze,

wszędzie kręci się ich co niemiara. Nie zapominaj, że pracami imperialnego wywiadu kierowała Ysanna Isard, a odkąd zabili ją piloci Eskadry Łotrów, zdążyło upłynąć zaledwie kilka miesięcy. W ciągu tego okresu jej podwładni musieli dokonać ważnego wyboru. Mogli nadal służyć rządzącej szczątkami Imperium radzie moffów albo przejść na służbę do jednego z imperialnych lordów. Mogli także zostać piratami albo zacząć się ukrywać. Zaczekaj chwilę.

Zauważyła przed dziobem myśliwca i trochę w dole kolejną osłoniętą kładkę. Stwierdziła także, że nieco dalej, bezpośrednio pod nią, prześwit między wzniesionymi po obu stronach ulicy gmachami zwęża się do zaledwie czterech metrów. Ponownie zanurkowała, przeleciała pod kładką, od razu zwiększyła pułap lotu i obróciła tęponosy myśliwiec o dziewięćdziesiąt stopni wokół osi. Kiedy wlatywała w wąską szczelinę między gmachami, jedna para skrzydeł jej maszyny kierowała się ku powierzchni gruntu, a druga ku niewidocznemu niebu.

Jak poprzednio, pilot jednego myśliwca typu TIE postanowił śmignąć nad pomostem, ale drugi podążył za nią. Kształt gały, jak nazywali tego typu imperialne maszyny piloci Nowej Republiki, nie był jednak przystosowany do takich manewrów, odwrotnie niż tęponosego myśliwca. Nie przeszkadzały mu skrzydła, a ściślej zainstalowane po bokach kulistej kabiny dwa płaskie panele z ogniwami słonecznymi. Nieprzyjacielski pilot musiałby mieć do dyspozycji ponad sześć metrów, żeby wykonać taki sam manewr.

Prześwit był jednak węższy. Lecący za Shallą prześladowca obrócił gałę w locie, ale wzniesione po obu stronach ulicy gmachy ścięły górne i dolne krawędzie obu skrzydeł jego maszyny. Myśliwiec typu TIE spadł na chodnik, a kulista kabina odbiła się kilka razy od durbetonowych płyt niczym ogromna piłka, zanim eksplodowała.

Z głośnika komunikatora wydobył się inny głos. Shalla podejrzewała, że to Kell Tainer.

- Doskonały manewr, Nelprin - odezwał się mężczyzna. - Został już tylko jeden, z którym musisz się uporać.

- Serdeczne dzięki. - Pilotka zauważyła, że prześwit między budynkami znów się poszerza. Obróciła X-winga i wyrównała pułap lotu. - Więc nagle pojawia się pełno bezrobotnych agentów imperialnego wywiadu i okrętów - przypomniała. - To podaż.

Nieco gorzej wygląda sprawa z popytem. Z akt, jakimi dysponujemy na temat Zsinja, wynika, że to nałogowym krętacz. Dlaczego miałby zatrudniać funkcjonariuszy, których szkolono, żeby wykrywali wszelkie kłamstwa? Przypuszczam, że nic go to nie obchodzi. On nie kłamie, żeby wprowadzać ludzi w błąd... naturalnie z wyjątkiem przeciwników. Robi to dla rozrywki, żeby jego błyskotliwy umysł mógł wywierać na otoczeniu jak największe wrażenie.

Ścigający ją pilot myśliwca typu TIE otworzył ogień. Pierwsze zielone błyskawice laserowych strzałów przeleciały obok płatów nośnych jej maszyny i wbiły się po obu stronach w ściany niższych poziomów budowli, kilka następnych trafiło jednak w rufowe pola ochronne jej myśliwca.

Nagle Shalla zauważyła w górze i na kursie stado śmigaczy. Sunęły majestatycznie jednym z napowietrznych szlaków niczym wielkie ptaki. Na burtach maszyn widniały charakterystyczne barwy i znaki coruscańskiej policji.

- Hej, istnieje jednak sprawiedliwość na tym świecie! - wykrzyknęła. Zwiększyła pułap lotu i dołączyła do gromady śmigaczy; przeleciała pod ich kadłubami, żeby zapewniły jej osłonę.

Wystrzelone przez jej prześladowcę laserowe błyskawice trafiły kilka policyjnych wehikułów. Większość eksplodowała, a o kadłub tęponosego myśliwca Shalli zagrzechotał grad gorących kawałków metalu.

Kiedy jednak eksplodował lecący przed nią śmigacz, pilotka odcięła dopływ energii do jednostek napędowych swojej maszyny i zwolniła tak raptownie, jak mogła. Jej myśliwiec zadygotał, a Shalli się wydało, że to grzechocą jej kości. Wykorzystując połowę energii silników i ładowniczych repulsorów, wzniosła się ponad chmurę ognia i szczątków... a gdy z niej wylatywała, zauważyła, że ścigająca ją gała leci przed nią i zaczyna się oddalać. Nieprzyjacielski pilot najwyraźniej się nie spodziewał, że jego przeciwniczka tak raptownie ograniczy prędkość lotu. Bardzo szybko się jednak zorientował i zaczął zataczać jeden z niewiarygodnie ciasnych zawrotów, z jakich słynęły imperialne maszyny.

Shalla skierowała ku zawracającemu myśliwcowi typu TIE skanery systemu celowniczego, a kiedy ramka na ekranie monitora celowniczego komputera nad jej głową zmieniła barwę z żółtej na czerwoną, posłała w kulistą kabinę protonową torpedę. Nieprzyjacielska maszyna eksplodowała w oślepiająco jasną chmurę ognia i szczątków.

Ułamek sekundy później Shalla poczuła silny wstrząs i straciła panowanie nad sterami. Zobaczyła zbliżającą się szybko ku niej ścianę jakiejś budowli i przerażone twarze ludzi w oknach... a później ekrany wszystkich monitorów błysnęły i ściemniały.

Usłyszała cichy szczęk. Owiewka kabiny jej myśliwca się otworzyła i do środka wdarło się światło. Obok symulatora stali Patyk, Kell i Tyria. Wszyscy mieli hełmofony na głowach.

- Co się stało? - zapytała urażonym tonem. Kell się uśmiechnął.

- Zderzył się z tobą pilot jakiegoś śmigacza - wyjaśnił beztrosko. - Przelatywał na oślep przez chmurę powstałą w wyniku jednej z wcześniejszych eksplozji i uderzył w bok twojego X-winga.

Shalla syknęła ze złości i wygramoliła się z kabiny symulatora.

- Wszyscy mówią, że miasto to niebezpieczne miejsce - burknęła. - Mają rację.

- To nie twoja wina - usiłował ją pocieszyć Tainer. - Radziłaś sobie doskonale.

- Mówiłaś, że funkcjonariuszy imperialnego wywiadu jest co niemiara, a Zsinj nie ma nic przeciwko temu, że umieją go przejrzeć na wylot i świetnie wiedzą, kiedy kłamie - przypomniał jej Patyk. - Co dalej?

- Shalla powiodła urażonym spojrzeniem po twarzach pozostałych pilotów Eskadry Widm.

- Wygląda na to, że umysł Ekwesha potrafi zaprzątać tylko jedna myśl naraz, prawda? - zapytała.

Wszyscy się roześmiali.

- Na szczęście ma wiele umysłów - odezwał się Kell. - Potrafi jednak każdy z nich zmuszać do niezwykłego skupienia.

- Rozumiem - odparła zdezorientowana Shalla. Na razie niczego nie pojmowała, ale doszła do wniosku, że z czasem wszystko stanie się jasne. Odwróciła się znów do Patyka.

- Prawdopodobnie chodzi nie tylko o to, że Zsinj nie ma nic przeciwko temu - podjęła. - Może przepada za towarzystwem tych, którzy potrafią docenić jego kłamstwa... na tyle dobrze wyszkolonych, żeby mogli zrozumieć i podziwiać jego postępowanie. Prawdopodobnie ma o sobie wyjątkowo wysokie mniemanie.

Patyk zmarszczył brwi. Nie wyglądał wprawdzie dzięki temu jak zamyślona istota ludzka, ale zwężone, pełne wyrazu ogromne oczy sugerowały skupienie.

- Lubi, żeby go doceniano - powiedział cicho, jakby do siebie.

- Tak mi się wydaje - przyznała Shalla.

- Ucieszyłby się, gdyby mógł odegrać rolę bohatera - ciągnął Thakwaashanin. - Bohatera Imperium.

- Oczywiście - zgodziła się z nim nowa pilotka. - Z jakiego innego powodu miałby się tak afiszować z atakami na kolonie, placówki i bazy Nowej Republiki? Z pewnością nie chodzi o ich wartość strategiczną. Niewiele zyskuje na ich zdobywaniu czy niszczeniu. Wyrządziłby więcej szkód, gdyby działał dyskretnie. Prawdopodobnie pragnie udowodnić, że jest walecznym wojownikiem... udowodnić swoim widzom, obojętne kim są.

Zgięła się nisko, aż dotknęła głową do kolan, po czym wyprostowała się i uniosła ręce wysoko nad głowę. Kilkakrotnie powtórzyła to samo ćwiczenie.

- Gimnastykuje się - westchnęła Tyria. - Mamy teraz w eskadrze nałogową gimnastyczkę.

Shalla nawet na nią nie spojrzała.

- Rozciągam mięśnie - wyjaśniła. - Kiedy zbyt długo siedzę w kabinie gwiezdnego myśliwca, dostaję skurczów mięśni nóg.

- Jej siostra też jest taka - wtrącił się Kell. - Zawsze w ruchu. Jeżeli chcesz doprowadzić ją do szału, przywiąż ją na godzinę do krzesła.

W końcu Shalla wyprostowała się i obdarzyła go najbardziej złośliwym ze swoich uśmiechów.

- Spróbuj, poruczniku - zaproponowała.

- Serdeczne dzięki, ale nie - mruknął Tainer.

Wedge wstał tak raptownie, że oparcie odsuwanego krzesła wyrżnęło w ścianę gabinetu.

- Co takiego jej obiecaliście? - wybuchnął.

Phanan i Buźka zerwali się na nogi i stanęli wyprężeni na baczność.

- Niczego jej nie obiecywaliśmy, panie komandorze - odezwał się Garik. - Z wyjątkiem tego, że

się tym zajmiemy.

- Panowie, to sprawa dla Wywiadu Nowej Republiki - ciągnął Antilles śmiertelnie poważnym tonem. - Zgłoście się z nią do podwładnych generała Crackena.

Buźka wyglądał na zaniepokojonego.

- Z całym szacunkiem, panie komandorze, ale wszystko wskazuje, że podwładni Crackena jeszcze nie wiedzą o istnieniu Repnessa - powiedział. - To może dowodzić, że pułkownik ma w Wywiadzie przyjaciela... innego oficera, który zaciera jego ślady. Jeżeli już wcześniej porwał jakiś gwiezdny myśliwiec, a nie mamy powodu sądzić, że tego nie zrobił...

- ...podobnie jak przypuszczać, że to zrobił - wtrącił Wedge.

- To prawda - przyznał spokojnie Buźka. - Ale jeżeli już kiedyś porwał gwiezdny myśliwiec, dlaczego poprzednie dochodzenia zakończyły się fiaskiem? Dlaczego nie zebrano dotąd żadnych dowodów, które mogłyby przemawiać na jego niekorzyść? Moim zdaniem istnieje tylko jedno wyjaśnienie. Musi mieć jakąś wtyczkę pośród podwładnych generała Crackena. Gdybyśmy teraz przekazali tę sprawę Wywiadowi, przyjaciel Repnessa mógłby go uprzedzić. Jeżeli tak się stanie, pułkownik zdąży zatrzeć wszystkie ślady. Następne kilka lat będzie się zachowywał jak wzorowy oficer... a kiedy śledztwo przeciwko niemu zostanie umorzone, podejmie swój proceder na nowo. Znów zacznie wabić w sidła młode kandydatki na pilotów, którym nie wiedzie się podczas szkolenia.

Wedge zastanowił się nad tym, co usłyszał.

- Jeżeli się zdecydujecie przeprowadzić tę operację, podwładni Crackena raczej wam nie podziękują - odezwał się w końcu. - Będą mieli nam za złe, że wkraczamy w ich kompetencje.

Phanan kiwnął głową.

- Istnieje taka możliwość, panie komandorze - przyznał z żalem. - Przypuszczam jednak, że zdołalibyśmy to załatwić, nie budząc niczyich podejrzeń. Wyobraźmy sobie, że Lara Notsil dostaje się na kurs pilotażu z polecenia dziarskiego, szarmanckiego i absurdalnie przystojnego pilota, którego poznała podczas pobytu w szpitalu na Borleias...

- Zakładam, że masz na myśli jakiegoś pilota Eskadry Niebieskich - wtrącił się Antilles.

- Dziękuję za wyrazy poparcia, panie komandorze - odparł Phanan. - Tak czy owak, Lara rozpoczyna szkolenie, ale nie radzi sobie najlepiej. Repness zaczyna knuć swoje plany. Lara wzywa na pomoc znajomego ze szpitala i oboje natychmiast ujawniają knowania nieuczciwego instruktora. Tak będzie wyglądała oficjalna wersja tej historii. Trudno będzie jej cokolwiek zarzucić, nawet gdyby się dokładnie przyglądać.

- A gdyby się przyglądać pobieżnie? - Piorunując obu pilotów spojrzeniem, Wedge w końcu przysunął krzesło i usiadł. Phanan i Buźka odprężyli się i zajęli miejsca po drugiej stronie biurka.

- Istnieje prawdopodobieństwo, że kiedy Lara zacznie mieć kłopoty z Repnessem, będziemy przebywali z daleka od Coruscant - ciągnął z namysłem komandor. - Czy chcecie złożyć podania o zwolnienie ze służby w Eskadrze Widm, żeby czuwać w pobliżu?

- Nie, panie komandorze - odparł Phanan. - Buźka zamierza zdeponować trochę kredytów na

koncie Lary w banku, żeby mogła posłużyć się holoNetem. Tak więc jeśli zacznie mieć kłopoty, będzie mogła się z nami skontaktować niemal natychmiast...

- Zakładając, że nie będziemy akurat wykonywali żadnego tajnego zadania - zastrzegł Antilles.

- Naturalnie, panie komandorze - ciągnął niezrażony Wes. - Zostawimy jej instrukcje, co robić, gdyby nie zdołała się z nami skontaktować. Jeżeli jednak jej się uda, postaramy się dowiedzieć, czy właśnie przebywa na Coruscant ktoś zaufany, do kogo mogłaby się z tym zwrócić. Z pewnością kogoś znajdziemy. To żaden problem. - Phanan spojrzał na Antillesa i nieśmiało wzruszył ramionami. - Mógłby pan porozumieć się nawet z księżniczką Leią Organa...

- Mowy nie ma - uciął Wedge. - Jest ostatnio potwornie zapracowana. A poza tym, o ile mi wiadomo, odleciała w tajnej misji dyplomatycznej, na której temat nikt nie chce nawet puścić pary z gęby.

- To była tylko propozycja - odparł Phanan. - Tak czy owak, jeżeli nas tu nie będzie, żeby pomóc Larze wybrnąć z opresji, znajdziemy przyjaciela, który nas w tym wyręczy. I wszystko pójdzie dobrze.

- Z wyjątkiem jej kariery - przypomniał dowódca. Obaj piloci pokiwali głowami.

Wedge rozsiadł się wygodniej na krześle i długo nad czymś się zastanawiał.

- No dobrze - odezwał się po namyśle. - Zgodzę się na waszą propozycję. Jeżeli Lara doprowadzi do końca wasz pomysł, zdecyduję, czy nie przyjąć jej do którejś z moich eskadr. Pamiętajcie jednak, że decyzję podejmę wyłącznie na podstawie własnej oceny jej umiejętności i charakteru. Nie będę brał pod uwagę wyników szkolenia ani udziału w waszej operacji. Musi dowieść, że nadaje się do latania z Łotrami albo Widmami... A jeżeli to udowodni, przyjmę ją, kiedy tylko zwolni się miejsce. Niczego więcej nie mogę wam obiecać.

Obaj piloci uznali to za koniec rozmowy i wstali.

- Na nic innego nie liczyliśmy - powiedział Phanan. - Dziękujemy, panie komandorze.
- Możecie odejść.

Kiedy wyszli, Wedge uniósł głowę.

- Wes, znów mi to robią - poskarżył się, chociaż w gabinecie nie było nikogo oprócz niego.

ROZDZIAŁ 3

- Wydaje mi się, że wszystko zawiera się w symbolice „Żelaznej Pięści” - stwierdził Buźka.

Piloci Eskadry Widm odpoczywali w oficerskiej świetlicy Bazy Sivantlie, którą przydzielono im do czasu odlotu z Coruscant. Kiedyś był to hotel, w którym mieszkali przybywający z innych planet imperialni urzędnicy niższego szczebla, a obecnie znaleźli zakwaterowanie wojskowi z poddawanych różnym zmianom jednostek Nowej Republiki. To właśnie tu mieszkali żołnierze czekający na transport do nowych jednostek oraz piloci eskadr przenoszonych do innych baz albo do formacji, które dopiero tworzono. Dwa piętra niżej, gdzie hotelowa wieża zaczynała wystawać ponad poziom sąsiednich gmachów, znajdował się hangar wystarczająco duży, żeby pomieścić kilka niewielkich transportowców. Sama świetlica miała ogromne iluminatory, zapewniające pilotom panoramiczny widok nie tylko na bezkresne morze wierzchołków coruscańskich budowli, ale także na zwały burzowych chmur kłębiących się w odległości kilku kilometrów od byłego hotelu. Na ich tle przemieszczały się mikroskopijne ciemne punkty. Nie były to owady, jak można byłoby się spodziewać, ale śmigacze, wahadłowce i transportowce. Wszystkie przelatywały z cichym pomrukiem jednym z napowietrznych szlaków wiodącym wysoko nad wierzchołkami coruscańskich gmachów, ale w bezpiecznej odległości od podstawy szarofioletowych chmur.

Buźka stał przy największym iluminatorze i spoglądał w dół, w mroczne głębiny coruscańskiej ulicy. Usiłował sobie wyobrazić, że ma zupełnie inne upodobania i pejzaż bezkresnego miasta wywiera na nim ogromne wrażenie. Starał się postawić na miejscu lojalnego funkcjonariusza Imperium... choćby tylko na jakiś czas, żeby zrozumieć, jak ludzie takiego pokroju myślą i reagują.

- Więc uważasz, że „Żelazna Pięść” pełni funkcję czegoś w rodzaju młota Zsinja, zarówno pod względem skuteczności, jak i symboliki? - zapytał Janson. Wylegiwał się na wygodnej sofie, a na stoliku obok jego głowy stała szklaneczka wypełniona do połowy dobrą brandy.

Garik pokiwał machinalnie głową.

- Zsinj wykorzystuje okręt do atakowania rzucających się w oczy obiektów - powiedział. - Łatwiejsze czy trudniejsze zostawia w spokoju, napada tylko na te, które mogą przynieść mu rozgłos... w rodzaju Noquivzora. Tamten atak miał się zakończyć unicestwieniem Eskadry Łotrów. Pomyślcie, jakie to byłoby osiągnięcie! Nadał swojemu kolosowi nazwę „Żelazna Pięść” na pamiątkę pierwszego okrętu, jakim dowodził... przestarzałego i pokiereszowanego gwiezdnego niszczyciela klasy Victory. To dla niego symbol, dowodzący, jak szybko skromny oficer mógł dojść do takiej władzy. Wydaje mi się, że to klucz do zrozumienia jego charakteru. - Spojrzał na Patyka,

który leniwie opierał się o wspornik po drugiej stronie największego iluminatora. - Co o tym sądzisz?

Porośnięty brązową sierścią Thakwaashanin odwrócił się w jego stronę. Buźka poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Patyk nie zareagował, jakby był sobą. Przymknął oczy, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Czy pozwoliłem ci się odezwać? - zapytał w końcu. W jego basowym, głębokim głosie nie było słychać melodyjnych tonów ani niezwykłej modulacji.

Buźka się speszył.

- Wybacz - powiedział. - Ale... co sądzisz na temat „Żelaznej Pięści”? Czy nie uważasz, że to najważniejszy symbol umożliwiający zrozumienie osobowości Zsinja?

Patyk pokręcił głową, aż jego długi, lśniący koński ogon zakołysał się z boku na bok. Wyszczerzył wielkie zęby w uśmiechu, który trudno byłoby nazwać przyjaznym.

- Nie rozumiecie Zsinja - zaczął w końcu. - Nie interesują go żadne symbole. Wykorzystuje je jako proste mechanizmy umożliwiające sprawowanie władzy... jak pokrętła i guziki, za pomocą których zmusza podwładnych do posłuchu. Jak wyświetlacze i wskaźniki pozwalające mu odczytywać poziom ich strachu. Nie, prawdziwym narzędziem Zsinja jest sam strach... strach i szacunek. Zsinj jedną ręką miażdży, a drugą karmi. Stara się zastraszyć gubernatorów, którzy wcześniej popierali Imperium, ale teraz nie opowiadają się po żadnej stronie, z drugiej strony zaś usiłuje zaskarbić sobie ich sympatię. Niektórzy z własnej woli zdecydują się jeść mu z ręki, ale większość zostanie do tego zmuszona. - W końcu Patyk uniósł głowę i spojrzał na Garika. - To gubernatorzy - podsumował. - To nie może być nikt inny. Zsinj zrobi wszystko, żeby przeciągnąć ich na swoją stronę, jednego po drugim albo po dziesięciu naraz. Jeżeli trzeba, będzie ich gnębił, zachęcał, kokietował lub terroryzował.

Buźka obejrzał się na Jansona. Zastępca dowódcy eskadry, chyba rozbawiony zachowaniem Patyka, wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale zaraz przechylił głowę na bok i zamarł w pozie androida, któremu ktoś niespodziewanie wyłączył zasilanie. Ta pantomima miała oznaczać osobę niespełna rozumu.

Nagle od strony jednego z ustawionych w świetlicy symulatorów doleciał cichy syk. Owiewka się otworzyła i z kabiny wydostała się nowa twi’lekańska pilotka Eskadry Widm, Dia Passik. Wyskoczyła tak szybko, jakby jej ciało składało się z samych sprężyn. Ze sztucznym uśmiechem skierowała się od razu do baru. Buźka bacznie ją obserwował i doszedł do wniosku, że w ruchach jej ciała widzi coś obcego... Domyślił się, o co chodzi. Na ile pozwalała jej budowa ciała, Dia próbowała kroczyć dumnie jak koreliański pilot. Z pewnością wiele wiedziała na temat języka gestów i ruchów. Co więcej, musiała się znać na symulowaniu manieryzmów.

Chwilę później rozległ się drugi syk i z sąsiedniego symulatora wygramolił się Phanan. Zeskoczył na podłogę i podszedł do Buźki.

- No cóż, spuściła na mnie ciężki młot - powiedział.
- Rozpyliła cię na atomy? - domyślił się Garik.
- Trzy razy na trzy. - Phanan pokiwał głową. - Chyba jeszcze nie jest równie dobra jak Kell i z pewnością nie tak dobra jak komandor Antilles, ale to śmiercionośna maszynka do zabijania. - W jego głosie zabrzmiała nuta nadziei. - Może jednak z uwagi na moją urodę i urok osobisty zechce okazać mi chociaż trochę względów?
- Zechciałaby, gdybyś miał jedno albo drugie - odciął się Buźka.

Udali się do baru śladem Dii, stanęli po obu jej stronach i, podobnie jak ona, zamówili bezalkoholowy musujący napój owocowy. Skrzypek, stanowiący bezładną mieszaninę złocistych i srebrnych elementów protokolarny android typu 3PO, napełnił ich szklanki, głęboko westchnął i mruknął coś na temat niedostatku świeżych owoców na coruscańskich targowiskach.

- Ton twierdzi, że jesteś doskonałym strzelcem - zagadnął Buźka.
- To się nie uda - oznajmiła Twi'lekanka.
- Hm? - Garik spojrzał nad jej głową na Phanana, który odwdzięczył mu się równie zdezorientowanym spojrzeniem. - Co się nie uda? - zapytał.
- Nie powiedziałbyś tego samego pilotowi płci męskiej, gdyby naprawdę nie okazał się wyborowym strzelcem - ciągnęła Dia. - A to oznacza, że zamierzasz tylko wkraść się w moje łaski. Chcesz, żeby skromna pilotka okazała wdzięczność za to, że znalazła uznanie w oczach sławnego Garika Lorana. Wcześniej czy później powinnam paść w twoje ramiona. Mam rację?

Buźka zamrugał.

- Prawdę mówiąc, nawet nie przyszło mi to do głowy - powiedział.
- Nie oglądałam twoich holodramatów, Buźko - ciągnęła Twi'lekanka. - Kiedy dawałeś z siebie wszystko jako aktor, ja ćwiczyłam jako niewolnica, żeby zostać dobrą tancerką. Nie pozwalano mi oglądać w nagrodę rozrywkowych holodramatów. Kiedy dorastałam, nie zajmowałeś ani odrobiny miejsca w moim sercu, do czego przyznaje się większość innych istot płci żeńskiej w moim wieku. Twoje rzekome uroki nie robią na mnie żadnego wrażenia.

Buźka spojrzał znów na Phanana. Czerwony na twarzy lekarz eskadry krztusił się, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Garik odwrócił głowę i nadał głosowi uwodzicielskie, niskie brzmienie.

- Cieszę się, że cię w końcu spotkałem - powiedział. - Szukałem cię całe życie.
- Szukałeś? - Na twarzy Dii odmalowała się konsternacja. - Dlaczego?
- Jesteś jedyną osobą płci żeńskiej, która oparła się moim urokom - wyjaśnił Buźka. - Czy wiesz, ile razy zadawałem sobie pytania: „Gdzie ona jest? Czy naprawdę istnieje?"

Phanan zdołał się w końcu opanować.

- To święta prawda - przyznał z powagą. - Wychowywałem Buźkę od małego i niemal od dnia,

kiedy nauczył się mówić, prosił mnie: Znajdź mi chociaż jedną kobietę, która potrafi mi się oprzeć i będzie mną gardziła za to, kim naprawdę jestem. Aż do dzisiaj wiódł ponure, samotne życie. Od tej pory ty będziesz mogła go maltretować, a ja odpocznę.

Buźka pokiwał ze smutkiem głową.

W twarzy Twi'lekanki drgnął jakiś mięsień, jakby istota chciała się uśmiechnąć, ale szybko się opanowała.

- Nabijacie się ze mnie - powiedziała z lekką urazą. Buźka spoważniał.

- Och, dopiero zaczęliśmy - przyznał beztrosko. - Tak czy owak, po zdawkowej uwadze na temat twoich strzeleckich zdolności, którą zamierzałem rozpocząć rozmową, chciałem cię zapytać, jak to się stało, że pokpiłaś sprawę.

- Pokpiłam sprawę? - powtórzyła Dia. Spojrzała najpierw na jednego, a potem na drugiego pilota. - Nie przypominam sobie, żebym cokolwiek pokpiła - odezwała się w końcu.

- Więc jaki życiowy kataklizm sprowadził cię do Eskadry Widm? - zainteresował się Garik.

- Zgłosiłam się na ochotnika - oznajmiła istota. - Kiedy rozeszła się wieść, że zniszczyliście „Nieubłaganego", zapragnęłam przyłączyć się do tak mężnych pilotów. Dlaczego zapytałeś mnie, co pokpiłam? Czyżbyście wszyscy byli życiowymi niezdarami?

Phanan gwizdnął.

- Nawet tego nie wie - powiedział. - Nasza prawdziwa reputacja jeszcze nie stała się powszechnie znana, a już zastąpiła janowa.

Buźka obrzucił Dię surowym spojrzeniem.

- Przykro mi to mówić, ale chyba skierowano cię do nas przez pomyłkę - zaczął. - Jesteśmy eskadrą pechowców, więc jeżeli naprawdę niczego w życiu nie pokpiłaś, musimy cię mianować honorową niedołęgą. Postaraj się o tym nie zapominać.

- Nie zapomnę - obiecała uroczyście Twi'lekanka.

- Nada się - mruknął Phanan. - Nawet jeżeli nie padnie w twoje ramiona.

- Jak to się stało, że w ogóle trafiłaś do Dowództwa Gwiezdnych Myśliwców? - zainteresował się Garik.

Istota spojrzała najpierw na niego, a potem przeniosła spojrzenie na Phanana, jakby ich oceniała. W końcu wzruszyła ramionami.

- Mój... właściciel pochodził z Coruscant i cieszył się opinią człowieka ogromnie zamożnego - zaczęła cicho. - Był założycielem i właścicielem firmy, w której produkowano profesjonalny sprzęt telekomunikacyjny, na przykład niezawodne odbiorniki holoNetowe. Mieszkał z grupą doradców na pokładzie wielkiego jachtu o nazwie „Fioletowy Rąbek"... co chyba miało związek z kolorem szat

Imperatora. W ciągu kilku lat, kiedy byłam jego niewolnicą, nakłoniłam kilku osobistych pilotów swojego właściciela, żeby nauczyli mnie prowadzenia swoich statków. Chyba nic nie łechce próżności istot płci męskiej bardziej niż możliwość udzielania wskazówek młodym, zafascynowanym istotom płci przeciwnej.

Otworzyła szeroko oczy i przybrała niewinną minę. Buźka parsknął.

- Chcesz powiedzieć, że w końcu porwałaś jakiś gwiezdny statek i po prostu odleciałaś? - zapytał.
- Pewnego razu mojego właściciela odwiedził pilot, który przyleciał uzbrojonym wahadłowcem - podjęła Dia. - Porwałam go i przekazałam w ręce wojskowych Nowej Republiki.

- A co się stało z „Fioletowym Rąbkiem”? - zainteresował się Phanan. Twi’lekanka znów się uśmiechnęła, ale tym razem znacznie mniej niewinnie.

- Przed odlotem wyłączyłam i zablokowałam generatory ochronnych pól, żeby nikt nie mógł ich włączyć - wyjaśniła. - Moją pierwszą akcją bojową, jeżeli można ją tak nazwać, było rozpylenie „Fioletowego Rąbka” na atomy.

Buźka z trudem powstrzymał dreszcz i postanowił szybko zmienić temat rozmowy.

- Ciekaw jestem, czy pozostali nowi piloci też nie mają pojęcia, dokąd ich przydzielono - powiedział. - Castinie?

Siedzący w pobliżu na wyścielanym fotelu jasnowłosy pilot oderwał spojrzenie od ekranu komputerowego notatnika, który trzymał na kolanach. Miał wyraźnie zakłopotaną minę i wyglądał jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku.

- Nic złego nie robiłem - zastrzegł się szybko. Buźka wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Nie szpiegowałem cię - powiedział. - Chciałem tylko zapytać, co takiego przeskrobałeś, że dostałeś przydział do naszej eskadry.

- Zgłosiłem się na ochotnika - oznajmił Castin.
- Dlaczego?

Pilot pogrążył się w zadumie.

- Chciałem się dostać do jednostki, w której dzieje się coś ciekawego - odezwał się w końcu. - A coś ciekawego działo się zawsze tam, gdzie przebywał komandor Antilles. Chcę ścigać nieprzyjaciół w rodzaju lorda Zsinja i eliminować ich, jednego po drugim... usuwać grożące z ich strony niebezpieczeństwa. Pragnę wymazać ich imiona z pamięci mieszkańców galaktyki, żeby wszyscy o nich zapomnieli.
- No cóż, to bardzo szlachetny cel - stwierdził Garik. - Ale mimo wszystko chcę zapytać,

dlaczego.

- Ludzi pokroju Zsinja powinno się miażdżyć możliwie szybko i bezlitośnie, bo jeśli się im da następną okazję, mogą zrobić coś okropnego - odparł Donn. - Zawsze wtedy tracą życie niewinne istoty.

W jego głosie zabrzmiała taka gorycz, że pozostali piloci Eskadry Widm nastawili uszu, żeby lepiej słyszeć.

- Czyżbyś sam przeżył coś takiego? - zapytał zachęcającym tonem Buźka.

- Właśnie. - Castin powiódł spojrzeniem po świetlicy, jakby nie widział odpoczywających w niej pilotów. Starał się przypomnieć sobie wydarzenia z przeszłości. - Tamtego dnia, kiedy zginął Imperator... pamiętacie, co wówczas robiliście?

Buźka nie musiał sobie tego przypominać. Większość ludzi doskonale wiedziała, co się z nimi działo, kiedy rozeszła się wieść, że Palpatine poniósł śmierć w przestworzach Endora.

- Uczyłem się w szkole cywilnego pilotażu na Lorrdzie - powiedział. - Studiowałem astronautykę. Dlaczego pytasz?

- A ja przebywałem wtedy na jednym z placów na Coruscant - wyznał Castin. - Plac był niezbyt duży, mógł pomieścić najwyżej kilkaset tysięcy mieszkańców, i leżał tak wysoko, że ocieniało go tylko pięć czy sześć wyższych budowli. Wieść o śmierci Imperatora szerzyła się niczym pożar w opustoszałym gmachu. Nadawana przez Nową Republikę holoNetowa transmisja była przekazywana w tak szerokim paśmie, że mógł ją odbierać każdy właściciel osobistego komunikatora. Eksplozję drugiej Gwiazdy Śmierci pokazywały bez końca wszystkie projektory hologramów. Tłum oszalał. Na zwolenników Palpatine'a padł blady strach. Niektórzy zasłabli, inni dostali zawału serca, ale Rebelianci i ich zwolennicy zachowywali się jak pijani z radości. Wkrótce potem niektórzy postanowili obalić ogromny posąg Imperatora. Musieli w tym celu posłużyć się grubymi linami i śmigaczami. - Castin wzruszył ramionami. - A później pojawili się szturmowcy.

- Zamierzali przywrócić porządek? - domyślił się Buźka.

- Można to tak określić. - Jasnowłosy pilot kiwnął głową. - Otworzyli ogień do tłumu usiłującego zwalić posąg, ale nie mieli blasterów nastawionych na ogłuszanie. Po placu poniósł się odór płonących ciał. Stałem obok młodej matki z dzieckiem na ręku. Trafiono ją prosto w głowę. Zdążyłem złapać dziecko, które wypuściła z rąk, żeby tłum go nie stratował.

Pokręcił głową i umilkł. Na jego twarzy malowała się udręka.

- Operatorzy imperialnej sieci HoloNetu nie od razu przekazali wiadomość o śmierci Imperatora w normalnych kanałach - przypomniał sobie Buźka. - Musieli ją przedtem odpowiednio spreparować. Zamierzali przedstawić ją w takim świetle, aby wszyscy uwierzyli, że Imperium odniosło wielkie zwycięstwo.

Castin pokręcił głową, jakby wciąż jeszcze nie mógł w to uwierzyć, ale nie spojrzał na Garika.

- Z tego wynika, że ktoś dysponujący odpowiednią wiedzą techniczną musiał odebrać transmisję i przekształcić ją tak, aby nadawała się do imperialnych celów - ciągnął Garik. - To ty?

Castin pokiwał głową.

- Należałem do jednej z wielu grup, które się tym zajmowały - przyznał ponuro.

- Więc uważasz, że Zsinj jest jeszcze jednym imperialnym zabójcą i jeżeli go osobiście nie powstrzymasz, może wydarzyć się to samo, co na tamtym placu - domyślił się Buźka. - Mam rację?

- Może...

- No cóż, to powód równie dobry jak każdy inny - odparł Garik. Wszystko wskazywało, że taka odpowiedź mu wystarczy, przynajmniej na razie. Obawiał się jednak, że chociaż Castin miał znakomitą opinię i zgłosił się do służby w Eskadrze Widm na ochotnika, może miewać bardzo zmienne nastroje. Zadawał sobie pytanie, czy także w psychice Dii i Shalli nie kryją się przypadkiem emocjonalne ładunki wybuchowe, gotowe eksplodować w najmniej stosownej chwili.

- Piraci - odezwał się nagle Prosiak, przerywając tok jego myśli. Gamorreanin usiadł na wyścielanym fotelu w pobliżu Donosa i Castina, między sofą Jansona a barem.

- Sam jesteś piratem - burknął Phanan. - Czy to nowe gamorreańskie pozdrowienie? A może właśnie dzisiaj rano doszedłeś do wniosku, że jesteśmy parszywymi piratami?

- Witaj, krwiożerczy piracie. - Buźka odwrócił się do skrzydłowego i skłonił się sztywno, jakby odpowiadał na jego pytanie.

- Zsinj prowadził negocjacje z piratami z księżyca systemu M2398 - przypomniał im Prosiak. - Starał się zwerbować ich do służby. - Generowane przez elektromechaniczne urządzenie słowa translatora gamorreańskiej mowy brzmiały monotonnie, ale Garik usłyszał w nich nutę pogardy. - Nigdy przedtem nie uciekał się do takiej taktyki. Czyżby się znalazł w takich opałach, że musi wzywać na pomoc piratów? Raczej nie. Podejrzewam, że stara się zorganizować drugą flotę, którą będzie mógł później spisać na straty.

Patyk pokręcił głową.

- Zsinj potrzebuje takich szumowin, żeby wysłuchiwać, co mają do powiedzenia swoimi niewyparzonymi gębami - stwierdził cierpko. - Chce, żeby szpiegowali dla niego i przekazywali mu informacje, których nie może uzyskać z bardziej legalnych źródeł. Sami piraci nic dla niego nie znaczą.

Prosiak roześmiał się chrapliwie.

- Kiedy w końcu te szumowiny zorganizują się i rzucą na ciebie... na nas wszystkich - dodał - będziemy potrzebowali mnóstwa środków czyszczących.

- Może mi pan poświęcić minutę, panie komandorze? - zapytał Castin Donn. Stał na progu drzwi przydzielonego Antillesowi tymczasowego gabinetu, opierając się o framugę. Z jego postawy wynikało, że wolałby znajdować się wszędzie, tylko nie w wojskowej bazie. Był nieogolony i wyglądał na zmęczonego i niewyspanego.

Prawdopodobnie Wedge nie miałby nic przeciwko temu, gdyby takie maniery demonstrował pilot Eskadry Widm, od początku służący w jego eskadrze, ale nie zamierzał ich tolerować u nowicjusza. Groźnie chrząknął i spojrzał na jasnowłosego pilota, jakby nie usłyszał dotąd od niego ani słowa.

Castin chyba zrozumiał aluzję, bo się wyprostował... na tyle powoli, aby zademonstrować, że robi to niechętnie. Zasalutował.

- Podporucznik Castin Donn zgłasza się z prośbą, panie komandorze - zaczął. - Zastanawiałem się, czy zechciałby pan poświęcić mi trochę czasu.

Wedge spoglądał na niego jeszcze chwilę, zanim odwzajemnił salut.

- Naturalnie, Donn - odezwał się w końcu. - Usiądź, proszę.

Pilot usłuchał, ale kiedy osunął się na wskazane krzesło, zaczął znów zachowywać się jak włamywacz komputerowy. Postronny obserwator mógłby odnieść wrażenie, że nowy pilot zostawił kręgosłup w szafce na ubrania.

- Chciałem prosić o przeniesienie do innej kabiny - powiedział.

Wedge wyjął komputerowy notatnik i wpisał polecenie. Na ekranie monitora ukazała się lista nazwisk pilotów i przydzielonych im kwater. Wynikało z niej, że Donn dostał przydział do tej samej kabiny, w której kwaterował Patyk Ekwesh. Thakwaashanin mieszkał poprzednio z Kellem Tainerem, ale odkąd Sluizjanin awansował do stopnia porucznika, przeniesiono go do innej kabiny, którą zajmował sam.

- Masz coś przeciwko dotychczasowej kwaterze? - zapytał Wedge.
- Tak jest, panie komandorze - przyznał Castin. - Nie mogę w niej spać w nocy.
- Nie rozumiem - mruknął Antilles. - Czyżby Patyk tak głośno chrapał? O ile pamiętał, Kell nigdy się na to nie uskarżał.
- Nie, panie komandorze - odparł Donn. - Po prostu nie pasujemy do siebie.
- Konflikt osobowości, hm? - domyślił się dowódca.
- Nie, panie komandorze - powtórzył jasnowłosy pilot.

- Odmawiam, Donn - oznajmił Antilles. - Przynajmniej dopóki nie wymyślisz poważniejszego powodu niż stwierdzenie, że nie pasujecie do siebie.

Castin zaczął się wiercić na krześle. Wedge doszedł do wniosku, że te dziecinne maniery nie przystoją dorosłemu mężczyźnie, który przeszedł szkolenie pilota i uzyskiwał na tyle dobre wyniki, żeby dostać przydział do Eskadry Widm.

- Panie komandorze, on, uhm... cuchnie - wykrztusił w końcu pilot.
- Chcesz powiedzieć, że nie możesz z nim wytrzymać? - zdziwił się Antilles.

- Tak jest, panie komandorze. - Castin pokiwał energicznie głową. - Nie mogę przez to sypiać po nocach.

Wedge starał się zachować obojętny wyraz twarzy, ale zaczął się zastanawiać. Patyk Ekwesh był Thakwaashaninem, człekokształtną istotą rasy, której przedstawiciele mieli ciała porośnięte sierścią i osiągali trzy metry wzrostu. Patyk zasłużył na swój przydomek, bo był, jak na istoty swojej rasy, bardzo niski i szczupły... na tyle, że mógł się zmieścić w niewielkiej kabinie myśliwca Nowej Republiki. Rzeczywiście jego ciało wydzielało inną woń niż ciała ludzi, ale zapach był bardzo słaby i zazwyczaj trudny do wyczucia, jeżeli istota nie zmokła albo nie spędziła co najmniej kilku godzin w kabinie gwiezdnej maszyny.

Wedge pozwolił, żeby nowy członek eskadry pokręcił się niespokojnie na krześle jeszcze chwilę, po czym wydał polecenie wyświetlenia jego pełnych akt. Jasnowłosy pilot pochodził z Coruscant, od najmłodszych lat był włamywaczem komputerowym i członkiem komórki ruchu oporu, która nie utrzymywała kontaktów z Sojuszem Rebeliantów. Prawie cztery lata wcześniej, zaraz po śmierci Imperatora, sprokurował sobie fałszywą osobowość i odleciał z Coruscant. Wylądował na planecie usytuowanej w przestworzach opanowanych przez Nową Republikę, gdzie jego techniczne umiejętności przydawały się nie tylko jemu, ale także przedstawicielom nowej władzy. Służył dwa lata w gwiezdnej flocie jako szyfrant, po czym został przeniesiony do Dowództwa Gwiezdnych Myśliwców, gdzie rozpoczął kurs pilotażu.

Zwięzły życiorys nie pozwalał jednak wyrobić sobie opinii o jego osobowości, więc Antilles odszukał zbiór informujący o udzielonych pochwałach i naganach. Zapoznawał się z nimi, kiedy przyjmował Castina do swojej eskadry, ale zwracał wówczas uwagę tylko na niektóre fakty. Pilot otrzymał kilka pochwał za odwagą i pomysłowość podczas walki, ale także wiele upomnień i nagan za wrodzoną niechęć do wykonywania rutynowych obowiązków. Wedge nie bardzo się tym przejął, bo wiedział, że wcześniej czy później Castin albo się weźmie w garść, albo będzie musiał opuścić szeregi pilotów służących pod rozkazami Dowództwa Gwiezdnych Myśliwców. Miał nadzieję, że ta groźba wystarczy, aby skłonić niezdyscyplinowanego pilota do posłuchu. W jego aktach znalazł także wykaz kłótni i spięć, do jakich dochodziło między Castinem a członkami personelu mostka, w większej części Kalamarianami, jak również zgodę na zwolnienie ze służby w gwiezdnej flocie i przeniesienie do Dowództwa Gwiezdnych Myśliwców z powodu bójki na pięści... z sullustańskim nawigatorem. Hm.

- Mogę cię przenieść do kabiny, w której kwateruje Prosiak, Voort saBinring - odezwał się w końcu.

Castin zaczął się wiercić na krześle jeszcze bardziej niż poprzednio i Wedge domyślił się, jaką usłyszy odpowiedź.

- Nie jestem pewien, czy czułbym się tam dobrze, panie komandorze - odparł pilot.
- Ten sam powód?
- Tak, panie komandorze.
- Donn, ta niezależna komórka ruchu oporu, do której się przyłączyłeś... - zaczął Wedge. - Czy należały do niej jakieś obce istoty?

- Nie, panie komandorze.

To było coś ciekawego. Większość działających na Coruscant komórek ruchu oporu składała się przynajmniej w połowie z istot obcych ras. Grupa złożona z samych ludzi mogła wprawdzie nienawidzić Imperium... ale to by dowodziło, że hołdowała powszechnemu na Coruscant zwyczajowi odnoszenia się do istot obcych ras z niechęcią czy wręcz z nienawiścią.

- Więc nie miałeś okazji dłuższego przebywania w towarzystwie takich istot? - domyślił się dowódca.

- No cóż... to prawda, panie komandorze - przyznał pilot.

- Przykro mi, Donn, ale obawiam się, że po prostu musisz się do tego przyzwyczaić - podsumował Antilles. - Ilekroć będzie ci to sprawiało kłopoty, powinieneś zadać sobie pytanie, jak oni reagują na twój zapach.

- Moje ciało nie roztacza w ogóle żadnej woni, panie komandorze - stwierdził Castin cicho i wyraźną z urazą. - Staram się zawsze utrzymywać je w nienagannej czystości.

- Nie zapominaj, że ich zmysły powonienia reagują inaczej niż twoje - przypomniał Wedge. - Jeżeli kiedykolwiek zdołasz się przemóc, zapytaj ich od czasu do czasu, czy wyczuwają twoją woń i jak na nią reagują. Możesz być zaskoczony tym, co ci odpowiedzą.

Na twarzy Castina odmalowała się udręka.

- Panie komandorze, mamy w bazie wiele wolnych kabin... - zaczął pilot.

- Ale nie będziemy ich mieli wszędzie, dokąd polecimy - przerwał Antilles. - Mogę zmienić przydział kwater, kiedy zaistnieje po temu ważny powód. Nie wcześniej.

- Panie komandorze...

- To wszystko, Donn - uciął Wedge.

Pomieszczenie wyglądało jak mostek „Żelaznej Pięści". Miało biegnący środkiem pomost zwrócony w stronę dziobowych iluminatorów, przez które było widać panoramę bezkresnych przestworzy. Miało również zagłębienie dla personelu, a także wiele kontrolnych stanowisk, plansz i konsolet.

W rzeczywistości było jednak częścią osobistej kwatery lorda Zsinja... pozbawioną załogi repliką prawdziwego mostka. Zamiast iluminatorów wisiały ogromne ekrany z rejestrowanymi przez obiektywy holograficznych kamer widokami prawdziwych przestworzy. Na monitorach kontrolnych stanowisk pojawiały się obrazy i dane, do jakich mieli dostęp pełniący służbę na prawdziwym mostku członkowie załogi. Ukazywały się na nich także rozkazy, które wykonywano równie szybko i sprawnie, jakby w pomieszczeniu pełnili służbę prawdziwi członkowie załogi. Z zainstalowanych w kontrolnych konsoletach głośników wydobywały się jednak tylko piski, meldunki i dźwięki informujące o awariach i funkcjonowaniu komputerów pokładowych. Nikt nie wypowiadał ani słowa.

Między replikami stanowisk kontrolnych przechadzał się lord Zsinj. Zachowywał się, jakby spoglądał nad ramionami niewidzialnych operatorów i starał się oceniać ich poczynania. Był niskim mężczyzną, szerszym w biodrach niż w ramionach, i wyglądał jak aktor odgrywający w holokomedii

rolę oficera. Miał na sobie nieskazitelnie odprasowany biały mundur imperialnego wielkiego admirała, ale jego łysa głowa, bujne wąsy, rumiana cera i demonstracyjna pogoda ducha sprawiały, że wyglądał jak bandyta z zacofanej planety.

W pewnej chwili pochylił się nad oparciem fotela i popatrzył na ekran kontrolnego monitora. Zobaczył na nim odlatujący myśliwiec typu Y-wing z perspektywy pilota ścigającej go imperialnej maszyny przechwytującej. Tło sugerowało, że toczy się zacięta bitwa. Przyglądając się kilka sekund szczegółom, Zsinj zorientował się, że to walka, do jakiej doszło przed prawie czterema laty w przestworzach księżyca-sanktuarium Endora.

Pochylił się jeszcze niżej, żeby przeczytać nazwisko obsługującego to stanowisko członka załogi.

- Chorąży Sprettyn - mruknął do siebie. - Przyłapany na zabawie w symulowane ataki podczas służby na mostku gwiezdnego superniszczyciela. Znów lekceważy swoje obowiązki.

- Może po prostu tak bardzo chciałby zostać pilotem. Mężczyzna, który wypowiedział tę uwagę pewnym, spokojnym tonem, musiał stać za plecami Zsinja. Lord wyprostował się i odwrócił.

- Ach, generał Melvar - powiedział. - Co panu mówiłem na temat podkradania się z tyłu i zaskakiwania mnie swoimi uwagami?

Generał, wysoki mężczyzna, który umiał sprawiać wrażenie sympatycznego i inteligentnego, ilekroć mu na tym zależało, ale także wyjątkowo roztargnionego, kiedy przestawało mu zależeć, uśmiechnął się z przymusem.

- Żebym tego nie robił - powiedział.

- A co pan właśnie zrobił?

- Podkradłem się do pana z wdziękiem postrzelonego w bebechy rankora - odparł Melvar. - Był pan tak pochłonięty obserwowaniem poczynań biednego chorążego Sprettyna, że nie zauważył pan mnie ani nie usłyszał.

- To umiejętność maksymalnego skupienia - burknął Zsinj. - Zdolność do zwracania uwagi tylko na to, co w danej chwili najważniejsze.

- Naturalnie.

- Czego pan chce ode mnie?

Generał wręczył mu komputerowy notes. Na ekranie widniały linijki tekstu.

- Wiadomość przeznaczona tylko dla pana - powiedział. - Przekazana za pośrednictwem dawnego systemu przesyłania informacji admirała Trigita.

Zsinj uniósł brwi i obrzucił go zdumionym spojrzeniem, po czym przeniósł wzrok na ekran i zaczął czytać.

- Hm, pani porucznik Gara Petothel - mruknął w pewnej chwili. - Spodziewa się, że w ciągu kilku najbliższych tygodni zostanie pilotką jednej z eskadr dowodzonych przez komandora Antillesa. Chce wiedzieć, czy byłbym tym zainteresowany... Widzę, że nie brakuje jej poczucia humoru. Co mamy w bazach danych na jej temat?

- Dołączyłem jej akta do tej informacji - odparł Melvar. - Krótko mówiąc, była cudownym dzieckiem imperialnego wywiadu, ale pozostawiono ją na lodzie... Po śmierci Ysanny Isard pracowała dla nas jako supertajna agentka. Rebelianci powierzyli jej koordynowanie swoich poczynań. Jej bezpośredni zwierzchnik był członkiem grupy doradców Isard i także stracił życie. Petothel nawiązała łączność z Apwarem Trigitem. Zaproponowała mu swoje usługi i przekazywała cenne informacje. Umożliwiło mu to wykrycie kilku dość ważnych, chociaż prowizorycznych rebelianckich ośrodków zaopatrzeniowych, a także zniszczenie prawie całej eskadry nieprzyjacielskich myśliwców typu X-wing. Petothel stała się później jednym z członków załogi Trigita, a kiedy Rebelianci unicestwili „Nieubłaganego", uznano, że zginęła.

- A, to ta - przypomniał sobie Zsinj. - Więc nie pozwoliła im się schwytać. A może pozwoliła. Może dopuściła, żeby poddano ją praniu mózgu, a teraz usiłuje się z nami skontaktować, żeby wydać nas w ich ręce. - Lord wzruszył ramionami. - Mamy jej hologram?

- Stwierdziliśmy, że wszystkie jej hologramy, zarówno w imperialnych, jak i rebelianckich bazach danych, przedstawiają inną kobietę - odparł Melvar. - Wygląda na to, że świetnie zatarła swoje ślady. Na podstawie informacji od ludzi, którzy z nią służyli albo uczyli się w tej samej klasie, kiedy przebywała pośród Rebeliantów, przygotowujemy symulację. A ale to zmusi nas do zachowania daleko posuniętych środków ostrożności i zajmie mnóstwo czasu.

- Bardzo dobrze. - Zsinj zwrócił komputerowy notes generałowi. - Proszę się tym zająć. Niech jakiś agent albo komórka na Coruscant postara się zweryfikować prawdziwość tego, co ta Petothel stara się nam przekazać. Proszę się także zorientować, jaką tożsamością się teraz posługuje. Gdy to ustalimy, skontaktujemy się z nią i może nawet powierzymy jej nowe obowiązki, ale przedtem musimy się upewnić, komu naprawdę dochowuje lojalności.

- Załatwione - obiecał Melvar. - A co z chorążym Sprettynem?

- Naprawdę chce się pan tym zająć? - zdziwił się Zsinj. - To zajęcie dla jego bezpośredniego przełożonego.

- Byłbym zachwycony.

- Bardzo dobrze - mruknął Zsinj. - Sprettyn otrzymał wyraźny zakaz tracenia czasu na ćwiczenia na symulatorach, ale on po prostu za bardzo pragnie zostać pilotem. Proszę go wyprowadzić z kabiny którejś nocy. Może pan oznajmić pozostałym członkom załogi, że skazano go na śmierć, bo nie chciał wykonywać rozkazów, ale jemu proszę powiedzieć, że zostaje przeniesiony, abyśmy mogli ocenić jego przydatność jako pilota. Może go pan poddać testom na symulatorach.

- A jeżeli się okaże, że jest dobrym kandydatem na pilota? - zapytał Melvar.

- Nie słyszał pan, co powiedziałem? - Na twarzy Zsinja odmalowało się ubolewanie. - Nie lubię tracić dobrych podwładnych. Naprawdę nie lubię, nie możemy jednak pozwolić sobie na trzymanie pilotów, którzy lekceważą obowiązki. Proszę się zorientować, czy mógłby zostać dobrym pilotem, czy nie, i w zależności od tego udzielić mu pochwały albo nagany. A potem wykonać na nim wyrok śmierci.

- Otrzymaliśmy właśnie z gabinetu admirała Ackbara ocenę wszystkich trzech teorii możliwego postępowania Zsinja - odezwał się Antilles.

Piloci jego eskadry zgromadzili się w tymczasowo im przydzielonej sali odpraw. Mieściła się w

tym samym budynku co świetlica, ale na tyle nisko, że w pomieszczeniu nie przewidziano iluminatorów. Gdyby je zainstalowano i tak ukazywałyby tylko przygnębiająco ponure widoki ciemnych, pokrytych lepką mazią durbetonowych ścian i przejść łączących dolne poziomy coruscańskich gmachów. Zamiast iluminatorów pomarańczowe ściany ozdobiono ogromnymi holoekranami. Ukazywane na nich obrazy przedstawiały na zmianę widoki Coruscant oglądanej z orbity, panoramy powierzchni odległych i pięknych planet albo reklamowe wizerunki wypoczynkowych ośrodków należących do tej samej sieci, której własność stanowił kiedyś imperialny hotel. Przed podwyższeniem z pulpitem, za którym stał dowódca eskadry, siedzieli jego podwładni, wszyscy z wyjątkiem Shalli Nelprin, która niespokojnie przechadzała się na tyłach sali. Dopiero kiedy obróciła głowę i pochwyciła spojrzenie komandora, pospiesznie usiadła na najbliższym wolnym krześle.

- Zanim przejdę do wniosków admirała - ciągnął Antilles - chciałbym, żeby autorzy wszystkich trzech raportów streścili swoje spostrzeżenia, bo podejrzewam, że nie wszyscy się z nimi zapoznali. Patyku?

Pilot z pociągłą twarzą powoli wstał i zaczął się zachowywać jak świadomy własnego znaczenia otyły mężczyzna. Splótł ręce na brzuchu, jak zrobiłby to dobrze odżywiony senator.

- W naszej dobrze przemyślanej opinii - zaczął, znów próbując nadać głosowi aksamitne niskie brzmienie, do jakiego uciekał się Zsinj, kiedy wydawał rozkazy podwładnym - stosowane przez lorda tajne i jawne taktyki sugerują, że zechce nadal powiększać zakres swojej władzy, zarówno jeżeli chodzi o planety, jak i ośrodki przemysłowe. Będzie się starał osiągać cele w sposób jak najbardziej ekonomiczny i skuteczny. To oznacza dalszą ekspansję jego tajemnego imperium finansowego, na którego obrzeża natknęliśmy się podczas wcześniejszej akcji... a także bardziej bezpośredni nacisk na neutralnych gubernatorów planet należących niegdyś do Imperium, a obecnie rządzonych przez następców Palpatine'a. Wydaje mi się, że zechce wykorzystywać „Żelazną Pięść" do działań, które mają przynieść tym gubernatorom większe korzyści niż samemu Zsinjowi. Spodziewam się, że będzie usiłował zrobić wszystko, aby ci gubernatorzy mieli wobec niego jak największy dług wdzięczności.
- Co proponujesz, żeby się temu przeciwstawić? - zapytał Antilles.
- Powinniśmy się zorientować, jakimi siłami i środkami dysponują neutralni gubernatorzy - zaczął Thakwaashanin. - Wybrać tych, których najbardziej opłaca się Zsinjowi kokietować, i przysporzyć im problemów, które tylko on mógłby pomóc rozwiązać... krótko mówiąc, zwabić go do któregoś systemu i stoczyć z nim bezpośrednią walkę.
- Ilekroć wykorzystujesz ten umysł, Patyku, jesteś prawdziwym mędrcem - pochwalił Antilles.

Thakwaashanin przestał się zachowywać jak Zsinj i stał się znów sobą. Ponownie wyglądał jak chuda, zbyt wysoka i dziwacznie się poruszająca obca istota.

- Ale dzięki temu nasza osobowość nadyma się niczym gazowy gigant - powiedział i usiadł.

Dowódca eskadry przeniósł spojrzenie na Voorta saBinringa.

- Prosiaku? - zapytał.

Gamorreanin wstał i chrząknął. Kiedyś z jego gardła wydobyłby się monotonny szum, ale od tamtej pory translator w jego gardle przeprogramowano w taki sposób, żeby wydobywały się z niego różne, chociaż nadal niezrozumiałe dźwięki.

- W ciągu ostatnich kilku tygodni, kiedy atakowaliśmy obrzeża opanowanych przez Zsinja przestworzy, odkryliśmy trzy dziwne sprawy - zaczął z namysłem. - Pierwszą była sieć korporacji przemysłowych usytuowanych w niezależnych, a niekiedy nawet opanowanych przez Nową Republikę gwiezdnych systemach. Wszystkimi zakładami i fabrykami kierował Zsinj, chociaż posługiwał się fałszywymi nazwiskami. Poza tym wykryliśmy, że stara się zwerbować bandy piratów, do której należą najgorsze szumowiny. Do tamtej pory uważaliśmy, że coś takiego jest poniżej jego godności. Trzecia sprawa to odkrycie w jednym z zakładów przemysłowych elementów więziennych cel, identycznych z tymi, w których się wychowywałem po tym, jak imperialni naukowcy zmodyfikowali kod genetyczny mojego organizmu.

To właśnie te modyfikacje zapewniły Prosiakowi obecne, niezwykle łagodne jak na Gamorreanina usposobienie, podobnie jak niespotykany talent do matematyki. Jedno i drugie sprawiło, że istota z Gamorry stała się jednym z najlepszych pilotów Nowej Republiki.

Prosiak urwał i wykonał zamaszysty gest, wskazując kolejno Myna Donosa, protokolarnego androida Skrzypka i Castina Donna.

- Członkowie mojej grupy uważają, że powiązaniami Zsinja z kompleksami przemysłowymi powinni się zająć agenci Wywiadu Nowej Republiki, więc wyeliminowaliśmy to zagadnienie z dalszych rozważań - podjął po chwili. - Spośród dwóch pozostałych osobiście najbardziej interesuje mnie planeta, na której wychowywano mnie po zmodyfikowaniu kodu genetycznego. Wszyscy uważamy jednak, że zyskamy o wiele większą szansę znalezienia kryjówki Zsinja, udając bandę piratów i starając się wywrzeć na nim tak duże wrażenie, aby zwrócił na nas uwagę i starał się nas zwerbować. Takie rozwiązanie pozwoli nam nie tylko nadal latać gwiezdnymi myśliwcami, ale również w pełni wykorzystać umiejętności, jakie, moim zdaniem, zademonstrowaliśmy, polując na „Nieubłaganego” i dowodzącego nim admirała Trigita.

- Dobrze powiedziane, Prosiaku - pochwalił Wedge. - Buźko? Były aktor wstał.

- No cóż, najpierw muszę przyznać, że między członkami mojej grupy doszło do pewnej różnicy zdań - zaczął. - Porucznik Janson i Ton Phanan uważają za najlepszą propozycję Patyka, a Dia Passik i ja popieramy pomysł Prosiaka, aby stać się bandą piratów. Zostałem jednak zobowiązany do przedstawienia naszej taktyki, a oto i ona. Z wnikliwej analizy przeszłości Zsinja wynika, że najwięcej natchnienia czerpie z przedstawień niewielkich grup aktorów. Proponuję, żebyśmy przekształcili się w taką trupę i zaczęli wystawiać przedstawienia takiego rodzaju, w jakich ma największe upodobanie.

Zdezorientowany Wedge postanowił ponownie przeczytać propozycje przedstawione przez

dowódców wszystkich grup. Od razu natknął się na tekst Buźki, ale jego treść nie zgadzała się z tym, co chwilę wcześniej usłyszał.

- Zorientowałem się, że Kell jest obdarzony miłym głosem i mógłby śpiewać jako tenor, a Patyk jest doskonałym mimem - ciągnął Buźka. - To zresztą umiejętność powszechnie spotykana pośród istot jego rasy. Gdybyśmy połączyli nowoczesną technikę holograficzną z tradycyjnym tańcem i śpiewem, zwrócilibyśmy na siebie jego uwagę...

Wedge zauważył, że pozostali piloci Eskadry Widm krztuszą się ze śmiechu. Zaczekał, aż Buźka spojrzy na niego, i obrzucił go ostrzegawczym spojrzeniem.

- Wolałbym, żebyś przedstawił nam te wnioski, z którymi mnie zapoznałeś, Loran - powiedział.

Buźka, o dziwo, sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Ach, to o te panu chodzi? - powiedział. - Bardzo przepraszam. - Spoważniał. - Przypuszczam, że „Żelazna Pięść" ma dla lorda Zsinja ogromne znaczenie. Nie tylko jako potężna broń, ale również jako symbol kariery i władzy. Uważam, że gdyby Zsinj był bardziej podobny do nas niż my do niego, zdecydowałby się wyruszyć na wyprawę do przestworzy rządzonych teraz przez następców Ysanny Isard. Zaatakowałby gwiezdne stocznie planety Kuat i porwał konstruowany w nich gwiezdny superniszczyciel.

Wedge spojrzał na niego z nieukrywanym rozbawieniem.

- Zakładając, że w Kuat Drive Yards rzeczywiście jest konstruowany jakiś gwiezdny superniszczyciel - powiedział. - Okręty tego typu są nieprawdopodobnie kosztowne i chociaż potrafią siać zniszczenia jak żadne inne, mogą zostać unicestwione nawet przez słabszą grupę szturmową... chociaż zazwyczaj za cenę życia bardzo wielu osób.

Buźka kiwnął głową.

- Zgadza się - przyznał. - Ale Zsinj uważa, że nikt nie dysponuje równie doskonałym wywiadem wojskowym jak on, więc pewnie przypuszcza, że uda mu się dokonać tej sztuki. Zasugerował kiedyś, że zamierza powierzyć admirałowi Trigitowi bardziej zaszczytne obowiązki. Przypuszczaliśmy wówczas, że ma na myśli mianowanie go dowódcą „Żelaznej Pięści", ale co, jeżeli chodziło mu o dowodzenie następnym gwiezdnym superniszczycielem?

- Nie zapominaj także o innych szalonych pomysłach, których nie ośmieliłeś się zamieścić w ostatecznym raporcie - odezwał się Phanan.

Buźka usiłował go uciszyć machnięciem ręki, ale Wedge był wyraźnie zaintrygowany.

- Jakich szalonych pomysłach? - zapytał. Buźka zrobił nieszczęśliwą minę.

- Wpadło mi do głowy, że może Ysanna Isard żyje - stwierdził cicho.

- Co takiego? - Antilles wyglądał, jakby ktoś roztrzaskał krzesło na jego głowie.

Kiedy kilka lat wcześniej zginął Palpatine, Ysanna Isard stała na czele imperialnego wywiadu. Przeżyła grono doradców Imperatora, którzy starali się zostać jego następcami, i stopniowo przejęła władzę nad samym Imperium... chociaż nie rościła sobie prawa do tej nazwy. Kilka miesięcy później zginęła, próbując uciec z Thyferry na pokładzie uzbrojonego wahadłowca. Zastrzelił ją kapitan Tycho Celchu, jeden z pilotów Eskadry Łotrów.

- Postarajcie się nadążać za tokiem mojego rozumowania - ciągnął dalej Garik. - Wiele miesięcy temu Ysanna Isard zostaje zmuszona do ucieczki z Coruscant. W rzeczywistości ukrywa się tam dosyć długo i czyni starania, żeby wirus z Krytosa zaraził mieszkańców planety, którzy nie są ludźmi. Kiedy Coruscant zostaje zajęta przez Nową Republikę, wszyscy mają z tym pełne ręce roboty. Dopiero wtedy Isard odlatuje z własnej woli i udaje się na Thyferrę. Przejmuje tam władzę, ale podczas ucieczki zostaje zabita przez jednego z Łotrów. Tyle że... nikt nie widział, jak wchodzi na pokład wahadłowca, który miał umożliwić jej ucieczkę z Thyferry. Mało prawdopodobne, żeby chciała uciekać na pokładzie wehikułu wolniejszego niż myśliwce typu X-wing. A przecież musiała wiedzieć o tym, że w pościg za nią rzucą się właśnie Łotry. Co więcej, już wcześniej zdarzało się jej ukryć i rozpuszczać fałszywe pogłoski o swojej ucieczce. Wszystkie te fakty skłoniły mnie do zadania sobie pytania: a co, jeżeli nie przebywała wówczas na pokładzie tamtego wahadłowca i porozumiewała się ze „ścigającymi" ją pilotami Eskadry Widm za pomocą zdalnego sterownika?

- Z pewnością się mylisz - odezwał się Wedge. - Jej słowa nie docierały do Łotrów z opóźnieniem. Żaden fakt nie przemawia za tym, że nie było jej wtedy na pokładzie tamtego wahadłowca.

- Osobiście przygotowywała statek na wypadek, gdyby chciał nim uciekać Imperator, więc prawdopodobnie zainstalowała na pokładzie zminiaturyzowany system łączności nadprzestrzennej - zaoponował Garik. - Mogła więc odbierać i wysyłać sygnały bez żadnego opóźnienia.

- Buźko, naprawdę podejrzewasz, że Isard żyje? - upewnił się Antilles. Garik pokręcił głową.

- Czasami wolałbym, żeby tak było - powiedział. - Nadal żałuję, że to nie ja zabiłem ją własnymi rękami, sądzę jednak, że naprawdę mnie w tym wyręczył kapitan Celchu. Mimo to...

Wzruszył ramionami i usiadł. Wedge spojrzał na niego z urazą.

- No cóż, to twoja kara za to, że o mało nie przyprawiłeś mnie o zawał serca - zaczął. - Sformułuj swoją teorię na piśmie, a ja przekażę ją nowym władzom Thyferry i generałowi Crackenowi. Może jedni lub drudzy odnajdą dowody na potwierdzenie teorii, że Lodowe Serce żyje... jeżeli jakieś dowody istnieją.

Spróbował się odprężyć i nawet uczynił wysiłek, żeby się uśmiechnąć.

- No dobrze - powiedział. - Jak wspominałem, admirał Ackbar zapoznał się z waszymi teoriami, ocenił ich prawdopodobieństwo i podjął decyzję. Poprosił Crackena, żeby jego podwładni zwrócili szczególną uwagę na gwiezdne stocznie w systemie Kuata. Mają dyskretnie sprawdzić, czy

rzeczywiście trwają w nich prace przy budowie kolejnego gwiezdnego superniszczyciela. Na razie nie to jest jednak najważniejsze, więc nie powinno zaprzątać naszej uwagi. Ackbar chce, żebyśmy połączyli pomysły Patyka i Prosiaka. Staniemy się bandą piratów i zaatakujemy planetarny system, którego gubernatora Zsinj stara się kokietować., a przynajmniej powinien, jeżeli jeszcze dotąd się na to nie zdecydował. Oficjalnie zostajemy przydzieleni na „Mon Remondę", podobnie jak piloci Eskadry Łotrów, więc może się wydać dziwne, że inni piloci nie będą nas widywali na korytarzach.

Musimy także trochę zreorganizować naszą eskadrę w związku z tym, że przydzielono nam nowych pilotów. Podporuczniku Donn, od tej pory jesteś „Widmem Dwa" i moim skrzydłowym.

Pilot z bujną blond czupryną uśmiechnął się z zadowoleniem. Nie mógł wiedzieć, że zgodnie z doktryną Antillesa kryptonim „Widmo Dwa" otrzymywał zazwyczaj niedoświadczony pilot, wymagający dodatkowych instrukcji i ochrony.

- Wes, jesteś teraz „Widmem Trzy", a twoja nowa skrzydłowa, Dia Passik, „Widmem Cztery".

Janson pomachał Twi'lekance, która w odpowiedzi ponuro pokiwała głową.

- Kellu, Patyku, jesteście nadal „Piątką" i „Szóstką" - ciągnął Wedge. - Tak się składa, że Patyk uczy się, żeby zostać naszym nowym specjalistą od systemów łączności telekomunikacyjnej. Phananie, Buźko... w dalszym ciągu latacie jako „Siódemka" i „Ósemka". Za nic nie chciałbym rozdzielać pary najlepszych komediantów, jacy istnieją w galaktyce po tej stronie teatralnej sceny.

- Nie ma to jak wyrozumiały dowódca - odezwał się Phanan. - Nie wiecie przypadkiem, gdzie takiego znaleźć?

- Myn Donos będzie nadal „Dziewiątym" - podjął komandor. - Pani podporucznik Nelprin... Czy dobrze mnie stamtąd słyszysz? Będziesz jego skrzydłową, „Widmem Dziesięć". Prosiaku, zostajesz „Dwunastką", a Tyria będzie od tej pory twoją skrzydłową i „Widmem Jedenaście". Ja staję na czele „Klucza Jeden", Buźka obejmuje dowództwo „Klucza Dwa", a Donos „Klucza Trzy". Pytania?

Wedge umilkł i czekał na nieuniknioną reakcję Tainera. Do tej pory to Kell dowodził „Kluczem Dwa", ale reagował bardzo nerwowo, ilekroć Buźka cieszył się uznaniem, które mogło wpłynąć na jego, Kella, pozycję w eskadrze. Tymczasem to właśnie Garik miał odtąd przejąć jego obowiązki.

Kell sprawiał jednak wrażenie spokojnego. Chyba pogodził się z decyzją dowódcy eskadry, co wprawiło Antillesa w najwyższe zdumienie.

To mogłoby oznaczać, że... Wedge nie był jednak pewien. Albo Kell nie miał nic przeciwko temu, że odtąd Buźka będzie dowódcą klucza, albo stawiał sobie co innego za główny cel życia. Wszystko wskazywało, że nie uważa już dowodzenia za pierwszą pozycję na swojej liście.

Komandor musiał się uzbroić w cierpliwość i zaczekać. Wcześniej czy później i tak dowie się prawdy.

- Wywiad przekazał nam informację o dobrym miejscu na cel naszej nowej pirackiej działalności - powiedział. - Planeta nazywa się Halmad i jest usytuowana na Odległych Rubieżach, niedaleko niewyraźnej granicy czegoś, co uważamy za opanowany przez Zsinja rejon przestworzy. Jest także ośrodkiem handlowym i węzłem kilku uczęszczanych szlaków. Mniej więcej sto lat temu załamał się

przemysł wydobywczy na powierzchni planety, na księżycach i w pasie asteroid, dzięki czemu pozostało sporo opuszczonych kopalń i przetwórni. Wywiad Nowej Republiki wysłał już tam grupę agentów, żeby założyli bazę, byśmy się mieli gdzie schronić po wskoczeniu do systemu. Jeżeli im się to nie uda, powinni przynajmniej znaleźć dla nas miejsce, z którego można byłoby startować do ataków.

Kell uniósł rękę i wstał.

- Czy dostaniemy z powrotem „Nocnego Gościa”? - zapytał. - Mamy latać myśliwcami typu TIE, więc chyba powinniśmy mieć środek lokomocji, który pozwoliłby nam się przenosić z miejsca na miejsce. Inaczej będzie nam trudno atakować cele usytuowane z daleka od nowej bazy.

Wedge pokręcił głową.

- Nie dostaniemy „Nocnego Gościa” - powiedział. - Pomyślcie sami. Do tej pory już chyba wszyscy wiedzą, że gwiezdny niszczyciel admirała Trigita został unicestwiony przez tajemniczą eskadrę gwiezdnych myśliwców, którą osłaniała koreliańska korweta. Teraz pojawia się znikąd eskadra piratów, którą także osłania koreliańska korweta. Z pewnością w mózgu Zsinja rozdźwięczy się co najmniej jeden alarmowy dzwonek. - Obrzucił Kella posępnym spojrzeniem. - Dostaniemy zdolny do lotów w nadprzestrzeni, wysłużony transportowiec klasy Xiytiar... nieuzbrojony, powolny, skrzypiący i przeciekający niczym stara balia. Ale w ładowniach, zamiast skonstruowanych przez was wymyślnych metalowych wsporników do mocowania gwiezdnych myśliwców, znajdziecie kilka poprzecznych belek i ochronnych siatek... żebyście mogli szybko się przesiadać z kabin tęponosych myśliwców do kabin gał. Nie będziecie musieli zmieniać konfiguracji wsporników za każdym razem, kiedy okaże się to konieczne.

Kell usiadł z taką miną, jakby się napił hydraulicznego płynu. Chwilę później rękę uniósł Phanan.

- Czy dostaniemy nowe myśliwce typu X-wing? - zapytał. Antilles pokręcił głową.

- Nie - odparł zwięźle. - W najbliższej przyszłości się na to nie zanosi. Nie dostaniemy ani jednego nowego X-winga. Kiedy formowaliśmy Eskadrę Widm, mieliśmy wielkie szczęście. Gdy piloci Eskadry Łotrów opanowali siedzibę Ysanny Isard na planecie Thyferra, zdobyli sporo myśliwców typu X-wing, które trzymano tam w celach szpiegowskich. To właśnie stamtąd dostaliśmy cztery tęponose maszyny. Od tamtej pory Nowej Republice nie trafiła się jednak druga taka gratka, a Incom produkuje nowe myśliwce równie powoli i starannie jak zawsze. Na razie musimy się zadowolić tym, co mamy... i co zdobędziemy na nieprzyjacielu. Dia Passik trafiła do nas z własnym X-wingiem, ale nadal brakuje nam czterech, żebyśmy mogli tworzyć pełną eskadrę. Pozwolono nam jednak zachować te dwa myśliwce typu TIE, które pozostały po ataku na „Nieubłaganego”... te same, które pilotowali Wes i Prosiak. Rozumiecie więc, że część naszego nowego zadania będzie polegała na porywaniu nowych gwiezdnych maszyn i prowadzeniu za ich pomocą pirackiej działalności... a to oznacza, że musimy porwać te, na które się natkniemy w wojskowych bazach szczątków Imperium albo lordów. Czy nowi piloci mają jakieś doświadczenie w

pilotowaniu maszyn typu TIE, w rzeczywistości albo na symulatorze?

Obie pilotki uniosły ręce. Castin Donn wyglądał na nieszczęśliwego, że nie może pójść w ich ślady.

- Znakomicie - ucieszył się Wedge. - Castin, Kell i Phanan nie mają ani własnych tęponosych myśliwców, ani zbyt dużego doświadczenia w pilotowaniu gał, więc zalecam, żeby spędzili trochę czasu w symulatorach myśliwców typu TIE i zastanowili się, jak powiększyć niewielką liczbę maszyn tego typu, jakimi dysponuje nasza eskadra... ale dopiero kiedy zadomowimy się w nowej bazie. Nie macie wiele czasu, żeby spakować się i załatwić sprawy osobiste. Za trzy godziny transportowiec „Borleias" wystartuje, żeby zabrać nas na Halmad. - Zignorował jęki zawodu i okrzyki triumfu. - Możecie się rozejść. Phananie, Buźko, możecie poświęcić mi jeszcze minutę?

Kiedy pozostali wyszli z sali odpraw, odwrócił się do obu pilotów.

- Coś nowego w sprawie tej, jak ona się nazywa... Notsil? - zapytał. Wes i Garik spojrzeli po sobie.

- No cóż - zaczął Phanan. - Lara chyba jest uspokojona pańską propozycją. Pomogliśmy jej napisać i złożyć podanie o przyjęcie na kurs pilotażu, a Buźka, ja i Kell dołączyliśmy do niego pisemne poparcia. Buźka założył dla niej konto, dzięki któremu będzie miała ograniczony dostęp do HoloNetu, żeby mogła się z nami kontaktować. Zostawimy jej także adres do przesyłania informacji za pośrednictwem bazy Sivantlie. Wszystko zdąża w dobrym kierunku.
- Lepiej, żeby to się udało albo dać sobie z tym spokój - mruknął Antilles - bo jeżeli ktoś coś schrzani, generał Cracken osobiście wepchnie mnie i was do dezintegratora odpadków.

ROZDZIAŁ 4

Cyborg nawet nie usiłował udawać, że jest istotą w pełni ludzką. Prawdopodobnie urodził się jako człowiek, ale jego ręce i nogi zastąpiono mechanicznymi kończynami - protezami z błyszczącej nierdzewnej stali o topornie wykonanych przegubach, a górna połowa twarzy wyglądała jak metalowa kopuła ze standardowym gniazdem systemu komputerowego pośrodku czoła.

Nie starał się także udawać, że żywi przyjazne zamiary. Od razu skierował się do wnęki ze stolikiem, przy którym rosły i sympatyczny przedsiębiorca sączył samotnie jakiś trunek. Mijając sąsiedni stolik, chwycił stojącą na nim butelkę wina i bez słowa ostrzeżenia czy groźby opuścił ją na głowę samotnego gościa.

Butelka się roztrzaskała na dziesiątki okruchów, a ubranie przemysłowca splamiły strugi czerwonego płynu. Mężczyzna zamrugał, wstał i demonstrując godną podziwu odporność oraz świetną kondycję, wymierzył cyborgowi cios, po którym jego głowa zakołysała się jak korek na powierzchni wzburzonej wody. Napastnik zatoczył się do tyłu i wymachując metalowymi protezami, wpadł do niszy zajmowanej przez rozbawioną gromadę imperialnych pilotów.

Siedzący po obu stronach przejścia żołnierze odepchnęli cyborga, dzięki czemu napastnik nadział się na profesjonalnie wymierzony prawy sierpowy przedsiębiorcy. Pięść mężczyzny trafiła cyborga w szczękę i obróciła go wokół osi. Napastnik zachwiał się na nogach i ponownie wpadł do niszy imperialnych pilotów. Wymachując mechanicznymi rękami, roztrącił stojące na stoliku butelki i szklanki, z których chlusnęły na wszystkich strugi likieru i wina.

Imperialni piloci obalili cyborga na posadzkę i wstali.

- Nie róbcie tego! - odezwał się nieśmiało barman, ale sam nie wyciągnął żadnej broni. Nikt też nie zwrócił na niego uwagi.

Sześciu imperialnych pilotów popatrzyło na przedsiębiorcę i cyborga z gniewem i groźbą. Dowódca, najniższy z nich, o ciemnych włosach i twarzy pooranej tak głębokimi bruzdami, że piloci miniaturowych myśliwców typu X-wing mogliby tam ćwiczyć słynną obronę „Przelot Wąwozem”, zwrócił się do walczących przeciwników.

- Jesteście nam winni kolejkę i dwie butelki miejscowego specjału - powiedział. - Zajmiemy także waszą niszę i policzymy dodatkowo sto kredytów za to, że przeszkodziliście nam w zabawie.

Przedsiębiorca obrzucił go lodowatym spojrzeniem.

- Za sto kredytów mógłbym kazać, żeby taki chłoptaś jak ty wylizał do czysta moje buty - powiedział z bezbrzeżną pogardą.

- Wzywam żandarmów - oznajmił barman.

Piloci rzucili się na przedsiębiorcę. Pierwszy dostał cios pięścią w splot słoneczny i zwalił się niczym wór tuberów na podłogę. Drugi potknął się i upadł, kiedy cyborg chwycił go za kolano i ścisnął. Zaatakowany wrzasnął tak głośno, że zadrżały puste szklaneczki na półce za barową ladą. Pozostali czterej imperialni żołnierze zwarli się z przedsiębiorcą i powalili go na posadzkę.

Barman wyciągnął osobisty komunikator, wpisał alarmowe polecenie i zaczął się wsłuchiwać w coraz głośniejsze wycie syreny.

Dwie minuty później walka właściwie się skończyła. Roztrzaskano dwa stoliki, a siedzący przy nich przedtem goście zajęli nisze po przeciwnej stronie sali. Pięciu pilotów i cyborg leżało bez czucia w różnych miejscach podłogi w pozach, w których nigdy wcześniej nie wypoczywali. Między nimi walały się odłamki potłuczonego szkła i talerze z bardzo nieapetycznie wyglądającymi przekąskami. Ochotę do dalszej walki zdradzali tylko przedsiębiorca i dowódca pilotów, który chwiał się na nogach i miał szkliste oczy. Wyglądał, jakby nie obchodziło go nic, co dzieje się wokół. Od czasu do czasu jego przeciwnik bezskutecznie usiłował wymierzyć mu cios w brzuch. Ociekający potem i różnymi trunkami przeciwnicy zataczali się przy każdym ruchu.

Kilka sekund później do baru wpadło sześciu szturmowców w pancerzach imperialnych żandarmów. Kilku gości, którzy wciąż jeszcze obstawiali zakłady, kto zwycięży, wydało jęk zawodu, ale barman odetchnął z widoczną ulgą.

Działając szybko i skutecznie, szturmowcy skuli za plecami ręce ośmiu rozrabiaków. Chyba nikt nie zwrócił uwagi, że chwiejący się na nogach dwaj ostatni uczestnicy bijatyki nie stawiali żadnego oporu. Kiedy próby ocucenia trzech leżących na podłodze pilotów spełzły na niczym, jeden ze szturmowców chwycił dwóch za kołnierze i bez wysiłku przerzucił sobie przez ramiona. Drugi żandarm zarzucił na plecy ostatniego pilota, po czym funkcjonariusze wojskowej policji odwrócili się i ruszyli do wyjścia.

- Zaczekajcie - odezwał się barman. - Gdzie mam podpisać? Dwaj zamykający pochód żandarmi wymienili spojrzenia.

- Dlaczego miałby pan cokolwiek podpisywać? - zapytał podoficer w stopniu sierżanta.

- Żebym mógł się upomnieć o odszkodowanie! Cyborg westchnął.

- Cóż, niech pan po prostu podliczy straty - powiedział. - Pokryję koszty wszystkich zniszczeń.

Barman wycofał się, wyraźnie uspokojony.

- Dobra, niech będzie - powiedział. - Wracajcie szybko. Bardzo sobie cenimy waszą opiekę.

Kiedy szturmowcy wyszli z baru na omywaną strugami deszczu ulicę Hullisa, stolicy Halmada, dowódca pilotów, który do końca stawiał czoło przedsiębiorcy, obrzucił cyborga mętnym, ale aprobującym spojrzeniem.

- Hej, radziłeś sobie całkiem nieźle - powiedział.

- Od czasu do czasu lubię wziąć udział w porządnej bijatyce. - Cyborg wzruszył ramionami. Ten ruch spowodował, że jego kajdanki otworzyły się i spadły na rozmiękły grunt za jego plecami.

Dowódca pilotów spojrzał na niego, jakby niespodziewanie zobaczył ducha.

- Hej, co u... - zaczął.
- Ognia! - odezwał się dowódca imperialnych żandarmów.

Trzej podwładni usłuchali i wyciągnęli blastery. Na piersiach pilotów wylądowały rozproszone promienie nastawionej na ogłuszanie broni. Trafieni nimi mężczyźni, jeden po drugim, zwalili się na chodnik.

Dowódca szturmowców powiódł spojrzeniem po okolicy. Nikogo nie zobaczył, pewnie z powodu później pory i ulewy; w pobliżu przelatywało tylko kilka śmigaczy. Nikt także nie wyszedł z baru ani nikt tam nie zdążał. Zdjął hełm, odsłaniając twarz Wedge'a Antillesa, i jeszcze raz rozejrzał się po okolicy. Nikt nie,był świadkiem sceny, jaka właśnie się rozegrała.

- Pospieszcie się - powiedział.

Pozostali szturmowcy chwycili trzech nieprzytomnych pilotów. Zaciągnęli ich najpierw za róg, a później na tyły baru, gdzie w ciemności oczekiwał zaparkowany śmigacz. Nie był to model typu wojskowego, ale średniej wielkości cywilny pojazd z głębokim bagażnikiem.

Przyglądając się, jak podwładni wciągają do bagażnika nieprzytomnych pilotów i narzucają na nich koce, Wedge spokojnie zdejmował elementy pancerza szturmowca. Kiedy skończył, wrzucił je w ślad za uczestnikami bijatyki.

- Doskonale się spisaliście, Buźko i Kellu - powiedział. - Czy któryś z was odniósł jakieś obrażenia?

Tainer pokręcił głową. Napiął mięśnie i rozerwał łańcuch niezapiętych kajdanków.

- Ten komplet trzeba chyba spisać na straty - powiedział. Phanan także pokręcił głową.

- Kell nie wyrządził mi żadnej krzywdy, ale jeden z tamtych walnął mnie w głowę butelką, która nie była z fałszywego szkła, jak moja. Nawet się nie roztrzaskała. Wciąż mi dzwoni w uszach.

- To może być tylko lekkie wstrząśnienie mózgu - pocieszył go Wedge. - Mimo to powinieneś pogadać z naszym lekarzem.

- Sam jestem lekarzem, i to zbyt dobrym, żeby zgłaszać się po pomoc do kogoś równie skromnego jak ja - parsknął Phanan.

Wedge machnął ręką w stronę jednego z fałszywych szturmowców.

- Buźko, zabierz tym pilotom portfele, portmonetki z pieniędzmi i wszystko, co mają przy sobie - rozkazał. - Interesuje mnie tylko gotówka. Jak myślicie, ile potrzeba na pokrycie szkód wyrządzonych przez tych dwóch żartownisiów?

Kell i Phanan spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami.

- Najwyżej sto - odparł niepewnie Tainer. - Uwzględniając absolutnie wszystkie straty.
- W porządku - stwierdził Antilles. - Jeżeli osobisty majątek tych pilotów nie wyniesie stu pięćdziesięciu, sami zapłacimy resztę. Buźko, wróć do baru i daj te kredyty barmanowi. Powiedz mu, że za wszystko zapłacił cyborg... że to natychmiastowe wyrównanie poniesionych strat. Przekaż mu też wyrazy ubolewania i uświadom mu, że cyborg jest pożałowania godnym starym zabijaką, którego jedyną rozrywką jest wszczynanie awantur w różnych barach.
- Hej! - oburzył się Phanan. - Protestuję przeciwko użyciu zwrotu „pożałowania godny".
- I wróć jak najszybciej - dokończył Wedge, ignorując uwagę Tona.
- Odlatujemy za trzy minuty.

Wedge i Janson leżeli na szczycie wzgórza sąsiadującego z imperialną bazą. Zdjęli hełmy, ale wciąż jeszcze mieli na sobie pancerze szturmowców. Antilles trzymał przy oczach urządzenie optyczne zmieniające noc w zielonkawy dzień.

- To samo co wczoraj wieczorem i przedwczoraj - powiedział. - Na pasie startowym widzę cztery gotowe do startu myśliwce typu TIE. Strzeże ich pół kompanii imperialnych szturmowców.
- Nie żeby nas to szczególnie obchodziło - zauważył Janson.
- Nie żeby interesowały nas właśnie te gały - poprawił go Antilles.
- Nie możemy jednak o nich zapomnieć, kiedy będziemy się stąd wynosili. Czy nadal nikt nie nadlatuje drogą do bazy?

Janson bez szczególnego zainteresowania spojrzał w tamtą stronę. W dole po lewej stronie, u stóp wzgórza, czekali pozostali piloci Widm, cywilny śmigacz i leżący w nim więźniowie. Główna droga do bazy wiodła dołem po prawej.

- W oddali widzę jakieś światła - zameldował. - Kierują się w tę stronę. Prawdopodobnie to jeszcze jeden osobisty śmigacz jakiegoś oficera, którego właściciel wraca do domu po wieczorze spędzonym w mieście.
- Castin Donn przepuścił tyle kredytów w różnych kantynach, że wcześniej czy później trafi się nam to, na co czekamy - zauważył Wedge.
- Możliwe - odparł Wes. - Hej, tamten pojazd nie manewruje jak osobisty śmigacz oficera! Jest wielki i leci dosyć wolno.

Wedge odwrócił się, żeby spojrzeć przez noktowizor na zbliżający się pojazd.

- Imperialna żandarmeria - powiedział. - Dajcie znak Patykowi.

Janson sięgnął po latarkę, skierował ją w stronę pozostałych pilotów Eskadry Widm, po czym trzykrotnie włączył i wyłączył. Znajdowali się zbyt blisko imperialnej bazy, żeby ryzykować posłużenie się komunikatorem. Istniało niebezpieczeństwo, że ktoś mógłby wykryć jego sygnały,

nawet gdyby je zakodowano albo gdyby trwały bardzo krótko. Czekający u stóp wzgórza Patyk powinien skierować na nadlatujący pojazd przenośny skaner.

Od strony miejsca, w którym czekali pozostali piloci Eskadry Widm, doleciał pojedynczy krótki błysk.

- Patyk daje znać, że mamy rację - odezwał się Janson. - To pasażerski śmigacz, wypełniony imperialnymi żołnierzami.

- Wynosimy się stąd - zdecydował Antilles.

Zbiegli po zboczu wzgórza, jednak nie w kierunku pozostałych, ale w bok, żeby spotkać się z nimi w umówionym miejscu. Kiedy dotarli na dół - Janson w pancerzu pękniętym i wybrudzonym po upadku, jaki przydarzył mu się podczas zbiegania - stwierdzili, że pozostali piloci Eskadry Widm zdążyli wyjść na drogę.

Wedge i Janson dołączyli do nich i włożyli hełmy szturmowców.

- Uformujcie porządny szyk marszowy - rozkazał Antilles. - Lewa, prawa, lewa, prawa.

Objuczeni podwładni wyrównali krok i ruszyli w stronę bazy.

Patyk niósł na ramieniu jednego z nieprzytomnych pilotów. Przychodziło mu to bez widocznego wysiłku. Drugiego mógłby nieść Prosiak, ale nie zdołał się wbić w żaden pancerz i musiał zostać na straży przy śmigaczu. Dia i Kell, także zakuci w pancerze szturmowców, ciągnęli między sobą drugiego nieprzytomnego pilota. Zarzucili sobie jego ręce na ramiona, więc po durbetonie wlokły się tylko nogi więźnia. Trzeciego ciągnęli Buźka i Phanan, również przebrani za szturmowców, czwartego Castin i Shalla, a piątego Donos i Tyria. Szósty pilot, oficer w stopniu kapitana, został w kabinie śmigacza pod opieką Prosiaka.

Do bramy bazy pozostawało kilkaset metrów, Wedge spodziewał się jednak, że jeżeli wszystko zostało dobrze zaplanowane, nie będą musieli całą drogę iść.

Wkrótce potem usłyszeli dobiegający zza pleców basowy pomruk ogromnych repulsorów. Antilles obejrzał się. Z ciemności nadlatywał wielki śmigacz, niemal identyczny z tym, który wykorzystali do zastawienia pułapki na Coruscant. Rufowa część pasażerska była osłonięta, więc na działanie sił przyrody byli narażeni tylko pilot i chroniący go strażnik.

Kiedy pilot unieruchomił pojazd obok dowodzonej przez Antillesa grupy fałszywych szturmowców i ich więźniów, zobaczyli na burcie wizerunek polującego drapieżnego ptaka. Był to symbol Bazy Victory, a widoczne nad nim dwie skrzyżowane pałki oznaczały symbol stacjonującej w bazie jednostki żandarmerii.

- Co się wam przydarzyło? - zapytał pilot.

- Zepsuł się nam środek transportu - oznajmił Wedge. - Musieliśmy zostawić go w mieście. Usterka systemu przekazywania energii do repulsorów.

- Podrzucić was do bazy?

- Bardzo chętnie - odparł Antilles. - Dopilnuję, żeby odznaczono was Medalem Bohatera Imperium.

Pilot przycisnął jakiś guzik i otworzyła się klapa włazu na rufie pojazdu. Zawiasy zainstalowano na dole, więc masywna płyta odchyliła się w dół niczym rampa. Wedge zerknął do środka. W przestronnym przedziale pasażerskim siedziało czterech szturmowców i dwóch aresztantów w mundurach imperialnego personelu technicznego. Obaj aresztanci byli przytomni, ale wyglądali na oszołomionych jak po spożyciu nadmiernej ilości alkoholu.

Podwładni Antillesa wciągnęli nieprzytomnych pilotów po rampie, usadowili ich pod półprzezroczystymi burtami na wyścielanych ławach i zaczęli zajmować miejsca między swoimi więźniami. Wedge obserwował, jak siadają, ale miał nerwy napięte jak struny. Obawiał się, że podróżujący w śmigaczu szturmowcy mogą nabrać podejrzeń, i chciał być w każdej chwili gotów do działania. Jego podwładni byli wprawdzie zakuci w białe pancerze, ale Wedge wiedział, skąd je mają. Zabierano je imperialnym więźniom po niezliczonych potyczkach, jakie żołnierze Sojuszu toczyli ze szturmowcami, i przydzielano pilotom Eskadry Widm jako część nietypowego wyposażenia. Pancerze sprawiały wrażenie autentycznych, ale gdyby ktoś chciał się im uważniej przyjrzeć, mogłyby wzbudzić podejrzenia namalowane na nich pieczołowicie przez pilotów Eskadry Widm odznaki imperialnej żandarmerii. A gdyby dowodzący czwórką prawdziwych żandarmów oficer zechciał postępować zgodnie z regulaminem, zażądałby od Antillesa pokazania dokumentów. Tymczasem fałszywy komplet, jakie przed wyruszeniem na wyprawę spreparował Castin Donn... No cóż, Wedge nie znał nowego pilota na tyle dobrze, żeby ufać mu bez zastrzeżeń. Nie wiedział, czy może polegać na jego pracy do tego stopnia, jak polegał na dokumentach fałszowanych przez Młynka, poprzedniego eksperta komputerowego eskadry.

Piloci Eskadry Widm zajęli jednak bez przeszkód miejsca w przedziale pasażerskim. Wedge odprężył się i poszedł w ich ślady. Kiedy klapa rufowego włazu śmigacza się zamknęła, pojazd szarpnął i ruszył w dalszą drogę. Wszystko odbyło się bez zbędnego pytania o dokumenty. Na myśl o tym Wedge lekko się uśmiechnął. Pomyślał, że skoro regulaminów nie przestrzegało się poza bazą, istniało spore prawdopodobieństwo, że lekceważy sieje także w samej bazie.

- Hej, to porucznik Cothron! - zauważył w pewnej chwili jeden z prawdziwych szturmowców.

Buźka kiwnął głową.

- Nie dość, że pijany, to jeszcze bardzo wojowniczy - powiedział.
- Ale normalnie całkiem miły gość - zapewnił szturmowiec.
- Ta-a, możliwe - przyznał obojętnie Garik.
- Grałeś z nim kiedyś w sabaka?
- Jasne - przyznał pogodnie Buźka. - Pewnego razu ograł mnie z całotygodniowego żołdu.
- Chyba żartujesz - obruszył się szturmowiec. - To najgorszy gracz w sabaka, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Garik odpowiedział po sekundzie, którą poświęcił, żeby wymyślić odpowiedź stosowną do zmienionej sytuacji.

- Chyba jednak ja jestem najgorszy - mruknął ponuro.
- Naprawdę? - zdziwił się żandarm. - A nie zagrałbyś ze mną kilku partii dzisiejszej nocy?

- Nie - odparł Garik. - Dostałem wówczas nauczkę na całe życie. Szturmowiec rozsiadł się wygodniej, ale był wyraźnie rozczarowany.

Chwilę później śmigacz zwolnił i znieruchomiał. Wedge usłyszał, że kierujący nim pilot rozmawia z kimś, zapewne z jednym ze stojących przy bramie strażników, ale nie zrozumiał ani słowa. Wkrótce potem pojazd szarpnął i ruszył.

Upłynęła ciągnąca się jak wieczność minuta, zanim znów znieruchomiał. Wedge usłyszał dźwięk wyłączanych repulsorów i poczuł, że śmigacz osiada na twardej powierzchni.

Szczęknął zamek i klapa włazu się otworzyła. Pojazd znajdował się w sporym hangarze. Kilka kroków od śmigacza stał stół, obok którego czekał umundurowany oficer w towarzystwie dwóch innych szturmowców. Dowódca był człowiekiem o siwiejących włosach i stanowczych rysach, ale wyglądał na zirytowanego i znudzonego.

- Wyprowadzić ich - burknął gniewnie. - Natychmiast wyznaczę karę.

Wedge gestem zachęcił prawdziwych szturmowców, żeby pierwsi wyprowadzili swoich aresztantów, a potem głową dał znak podwładnym, by wynieśli nieprzytomnych pilotów. W końcu sam wyszedł z pasażerskiego przedziału.

- Dokumenty - rozkazał oficer dyżurny. Wedge napiął mięśnie, ale szturmowiec, do którego były skierowane te słowa, wręczył oficerowi standardowe karty identyfikacyjne z podobiznami transportowanych aresztantów. Antilles zerknął na Buźkę, który dyskretnie pokazał mu plik kart identyfikacyjnych zabranych ogłuszonym pilotom. Uspokojony Wedge odwrócił się znów w stronę oficera.

Dowódca szturmowców obejrzał dokumenty aresztantów.

- Fakty? - zapytał.
- Pijaństwo i awanturowanie się w Oli - zameldował jeden z żandarmów.

Oficer wykrzywił twarz z niesmakiem i obrzucił aresztantów pogardliwym spojrzeniem.

- Kompletni idioci - oznajmił z wielką pewnością siebie. - Nie mogliście poszukać lepszego lokalu, żeby upijać się i awanturować? - Przeniósł spojrzenie na podwładnego. - Zarzuty?

Eskortujący aresztantów szturmowiec pokręcił głową. Z uwagi na rozmiary hełmu wypadło to przesadnie energicznie.

- Żadnych - powiedział.
- No cóż, nie jest tak źle, jak przypuszczałem. - Oficer zerknął z ukosa na obu aresztantów. - Zakaz opuszczania bazy przez sześć dni.

Pojmani żołnierze wyraźnie się odprężyli.

- To znaczy trzy dni od jutra rana - ciągnął oficer - i trzy dni, począwszy od następnej wypłaty. - Zignorował malujące się na ich twarzach przerażenie i gestem nakazał, żeby udali się do swoich kwater. - Następni.

Wedge podszedł krok bliżej i nie oglądając się, wyciągnął rękę do tyłu. Garik podał mu karty identyfikacyjne imperialnych pilotów, a Antilles wręczył je oficerowi dyżurnemu.

- Pijatyka i awanturowanie się w Rojio - powiedział. - Bójka z cywilami. Dowódca żandarmów popatrzył na niego, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Są nieprzytomni - stwierdził. - Przegrali bójkę z cywilami?
- Tak jest, panie kapitanie - odparł Wedge.
- Z iloma?
- Z dwoma.

Oficer wyglądał na rozczarowanego.

- Pięciu przeciwko dwóm cywilom, a oni byli zbyt pijani, żeby stawić im czoło - podsumował z niesmakiem. - Zapłacą za to, że splamili dobre imię jednostki. - Zmarszczył brwi. - Pięciu... zaraz, zaraz, to przecież kumple od wypitki kapitana Wanatte'a! Co się stało z samym kapitanem?
- Zanim porucznik Cothron stracił ostatni raz przytomność, powiedział, że kapitan znalazł sobie na tę noc inne towarzystwo - zameldował Antilles.
- No cóż, niech się dobrze bawi - mruknął oficer. - Co zbroili?
- Kiedy przekazywaliśmy cywilów w ręce miejskiej policji, jeden zapłacił z własnej kieszeni za wszystkie szkody - wyjaśnił Wedge.
- Proszą, proszę... - zdziwił się oficer. - To miło z jego strony. A jeżeli chodzi o tych pięciu, chyba wystarczy kilka dni prac porządkowych poza kolejnością. To powinno im dobrze zrobić... na jakiś czas, zanim znów wdadzą się w awanturę. Zabrać ich do kwater.

Antilles dziarsko zasalutował i podążył śladami prawdziwych szturmowców, którzy zdążyli do tej pory wyjść z hangaru. Usłyszał miarowy tupot nóg idących za nim pilotów Eskadry Widm i szuranie butów więźniów o chropowaty durbeton. Chwilę później rozległ się odgłos uruchamianych repulsorów śmigacza.

Westchnął z ulgą. Pilot pojazdu nie zauważył, że zabrał jedenastu rzekomo zmęczonych długim marszem kolegów, ale z przedziału pasażerskiego wygramoliło się tylko dziesięciu. Janson zajął miejsce Shalli i pomagał obecnie Castinowi wlec ogłuszonego więźnia. Jeżeli pilot śmigacza postępował zgodnie z imperialnym regulaminem, powinien odstawić pojazd na parking stacjonującej w bazie żandarmerii.

Od tej pory wszystko miało zależeć od Shalli. Ukryła się w pasażerskim przedziale i miała dopilnować, żeby pilot i jego strażnik z nikim nie rozmawiali.

To było jej pierwsze zadanie bojowe. Pierwsze, ale nie jedyne. Była nową pilotką i Wedge niechętnie się zgodził, żeby powierzyć jej tyle odpowiedzialnych zadań podczas pierwszej wyprawy

na teren nieprzyjacielskiej bazy, ale Kell wyrażał się o umiejętnościach członków rodziny Nelprin w takich superlatywach, że Antilles dał się przekonać i wyraził zgodę.

Kiedy oddalił się od hangaru, przystanął i poświęcił kilka sekund, żeby się zorientować. W myślach przeklął ograniczone pole widzenia hełmu szturmowca. Nie mógł dojrzeć niczego, co znajdowało się po bokach, i musiał powoli się obrócić, żeby wyrobić sobie pojęcie o otoczeniu. Przyglądając się bazie z wierzchołka wzgórza, mniej więcej się orientował, gdzie stoją budynki i hangary, ale nie miał pojęcia, w jakim miejscu sam się znajduje. Kiedy sobie to uświadomił, skierował się prosto do zwieńczonych kopułami budowli. Doszedł już przedtem do wniosku, że mieszczą się w nich kwatery oficerów.

Naturalnie, piloci Eskadry Widm nawet nie zamierzali się tam meldować. Porzucili ogłuszonych pilotów w pierwszej lepszej ciemnej alejce, na jaką się natknęli po drodze do oficerskich kwater, i przystąpili do wykonywania głównego zadania.

Lara Notsil, jeszcze nie tak dawno Gara Petothel, skuliła się, kiedy para za parą myśliwców typu TIE łamała szyk i ze skowytem bliźniaczych silników jonowych nurkowała w kierunku niej i jej skrzydłowej. Doskonała metoda to kulenie się, pomyślała. Jeżeli mnie obserwują, na pewno to zarejestrują.

W następnej sekundzie z głośnika pokładowego komunikatora wydobył się głos dowódcy.

- „Złoty Jeden” do Eskadry Złotych. Rozdzielić się na dwójki i nawiązać kontakt bojowy z nieprzyjacielem.

Lara włączyła nadajnik komunikatora.

- „Złota Siódemko”? - zaczęła.

- Jestem twoją skrzydłową, „Ósemko” - usłyszała w odpowiedzi. Skręciła na ster-burtę, żeby odłączyć się od głównego szyku tęponosych myśliwców, i zauważyła na ekranie monitora sensorów, że pozostali piloci także złamali szyk i rozdzielili się na dwuosobowe grupy. Wkrótce potem pojawiły się między nimi pierwsze serie zielonych błyskawic. Pilotowany przez Larę myśliwiec typu X-wing zakołysał się, kiedy dostał trafienie w ogon. Rufowe pola osłabły, ale pilotka od razu je wzmocniła, przesyłając odpowiednią porcję energii z pól dziobowych. Piloci obu imperialnych gał, cały czas zasypując ją i „Złotą Siódemkę” seriami laserowych strzałów, zajęli pozycję za rufami ich czteroskrzydłowców i zaczęli się przygotowywać do zadania śmiertelnego ciosu.

- „Złota Siódemko”, nurkuj i postaraj się ukryć - rozkazała Lara.

Pchnęła lekko drążek sterowniczy do przodu i zauważyła, że widoczne przez dziobowy iluminator ruiny miasta zaczynają się powiększać. Obie pilotki Eskadry Złotych wyrównały lot tuż nad zaśmieconą i zasypaną gruzem ulicą. Leciały niżej niż dachy mijanych domów, ale ich prześladowcy nie zrezygnowali z pościgu. Sensory wskazywały, że z każdą chwilą coraz bardziej się zbliżają. Wkrótce potem trafiony laserową błyskawicą tęponosy myśliwiec Lary zboczył na bakburtę. Pilotka trąciła dźwignię drążka sterowniczego i skorygowała trajektorię lotu.

Zauważyła, że ciągnąca się prosto w pewnym miejscu ulica się rozwidla. Miała świeżo w pamięci obraz tej dzielnicy oglądany z góry i pamiętała, że jeszcze dalej obie odnogi znów się łączą. Pomyślała, że powinna rozkazać „Złotej Siódemce”, aby skręciła na sterburtę. Zamierzała ostrzelać

ścigającego skrzydłową przeciwnika, kiedy odnogi się połączą, i liczyła na to, że jej partnerka ostrzela lecącego za nią nieprzyjaciela.

Przypuszczała, że taka taktyka zakończyłaby się powodzeniem, ale nie po to brała udział w ćwiczeniach na symulatorze.

- „Siódemko", widzisz ten duży niebieski dom? - zapytała. - Zaraz za nim skręcamy ostro na bakburtę.

- Zrozumiałam cię, „Ósemko" - odparła skrzydłowa, ale w jej głosie zabrzmiał lekki niepokój.

Lara wcieliła zamiar w życie. Zaczekała, aż jej tęponosa maszyna przeleci obok okazałego budynku o jaskrawoturkusowych ścianach. Mieścił się w nim kiedyś duży dom towarowy, ale obecnie gmach wyglądał jak wypalony szkielet, a w ścianach widniały dziesiątki osmalonych dziur po blasterowych strzałach. Pilotka skręciła w lewo w wąską przecznicę tak raptownie, że jej myśliwiec obrócił się w locie o dziewięćdziesiąt stopni.

Pokonała zakręt tak szybko, że chyba przeciążyła inercyjny kompensator. Siła odśrodkowa wcisnęła jej plecy w oparcie fotela pilota, a tęponosy myśliwiec ledwo wykonał najbardziej karkołomny manewr, do jakiego kiedykolwiek go zmuszono.

Chwilę później Lara usłyszała donośny zgrzyt i domyśliła się, że spód kadłuba jej maszyny ociera się o frontowe ściany niskich domów. X-wing zadygotał, bo ochronne pola siłowe nie zabezpieczały kadłuba przed takimi uszkodzeniami. Pilotka zerknęła kątem oka na kontrolny pulpit aparatury diagnostycznej. Usiłowała się zorientować, czy nie zapłonęły na nim złowieszcze czerwone lampki informujące o awarii któregoś z pokładowych podzespołów.

Nagle za jej plecami pojawił się oślepiający błysk. Lara usłyszała ogłuszający huk, jej maszyną zakołysała fala udarowa pobliskiej eksplozji... a błękitna plamka reprezentująca „Złotą Siódemkę" zniknęła z ekranu taktycznego monitora.

Lara się skrzywiła. Domyślała się, że jej skrzydłowa nie miała jeszcze tak dużej wprawy, aby poradzić sobie z trudnym manewrem. Trochę się spodziewała takiego wyniku, ale nie mogła sobie pozwolić, żeby ktokolwiek zobaczył uśmiech satysfakcji na jej twarzy. Wiedząc, że nie usłyszy odpowiedzi, ponownie włączyła nadajnik komunikatora.

- „Siódemko"? - zapytała. - „Złota Siódemko", zgłoś się!

Lecący za nią piloci obu myśliwców typu TIE bez trudu pokonali ostry skręt w wąską przecznicę i z wyciem silników przelecieli przez chmurę dymu, która była wszystkim, co pozostało ze „Złotej Siódemki". Zaledwie się wyłonili z chmury, ponownie otworzyli ogień.

Lara poczuła, że po kolejnym trafieniu jej tęponosa maszyna zadygotała i zboczyła z kursu. Pragnąc wyrównać lot, celowo przereagowała i kiedy wbijała się w ścianę pobliskiego domu, pozwoliła, żeby na jej twarzy odmalowało się udawane przerażenie. Przed katastrofą zostało jej tylko tyle czasu, żeby przeczytać wymalowany na ścianie wielki napis: WITAMY W SKLEPIE z ARTYKUŁAMI SPOŻYWCZYMI MOFFICE'A.

Prawdę mówiąc, nie poczuła impetu uderzenia. Nie wyczuła wstrząsu ani żadna siła nie wyrzuciła jej z fotela pilota, ale wszystkie światełka w kabinie jej myśliwca zgasły. Owiewka

otworzyła się nad jej głową.

Obok symulatora stał, piorunując ją spojrzeniem, kapitan Sormic, niski łysy mężczyzna o cholerycznym usposobieniu i twarzy jakby ulepionej nieudolnie z różowej gliny.

- Kandydatko Notsil - warknął. - Może zechciałabyś wyjaśnić na użytek reszty grupy, co właściwie zamierzałaś osiągnąć przez ostatni manewr?

Lara pozwoliła, żeby w jej głosie zabrzmiała nuta niepewności.

- Starałam się odzyskać panowanie nad sterami... - zaczęła.
- Nie o to mi chodzi - przerwał Sormic. - Miałem na myśli ten samobójczy skręt w przecznicę.
- Ach, to - mruknęła Lara, starając się wyglądać na coraz bardziej speszoną. - Uhm, starałam się zgubić ścigających nas pilotów myśliwców typu TIE...
- Właśnie - przerwał znów instruktor. - Doszłaś do wniosku, że para niedoświadczonych kandydatek potrafi wywieść w pole wytrawnych pilotów, lecących w biały dzień i przy idealnej pogodzie maszynami o większej zdolności manewrowania. Zgadza się?
- No cóż, uhm... - bąknęła pilotka.
- Odpowiedź powinna brzmieć: zgadza się, panie kapitanie zagrzmiał Sormic. - Powtórz.
- Zgadza się, panie kapitanie - usłuchała Lara, ale nie rezygnowała z udręczonej miny.
- Doprowadziłaś do tego, że zabiłaś i siebie, i swoją skrzydłową.
- Zgadza się, panie kapitanie.
- Kandydatko Lussatte, czy ty także obrałabyś taką taktykę?

Lara popatrzyła gniewnie na skrzydłową, która wciąż jeszcze siedziała w kabinie swojego symulatora. Sullustanka obrzuciła ją przepraszającym spojrzeniem.

- Nie, panie kapitanie - powiedziała. - A co byś zrobiła na jej miejscu?
- Wystrzeliłabym protonową torpedę...
- Kandydatko Lussatte, przypominam, że imperialni piloci znajdowali się za ogonem twojego myśliwca, nie przed tobą - przerwał instruktor.

Lara zauważyła, że jej skrzydłowa głęboko odetchnęła.

- To prawda, panie kapitanie - dodała po chwili. - Proszę pozwolić mi wytłumaczyć. Doszłam do przekonania, że nie zdołam wywieść w pole imperialnych pilotów. Domyśliłam się, że gdybym raptownie zwolniła, zwolniliby jeszcze szybciej niż ja, bo są bardziej doświadczeni i pilotują maszyny o większej zdolności manewrowania. Gdybym jednak wystrzeliła protonową torpedę w gmach oddalony o jedną przecznicę, mogłabym przelecieć przez chmurę gęstego dymu i liczyć na to, że na kilka sekund stracą mnie z oczu. Gdybym określiła miejsce trafienia z wystarczającą dokładnością, mogłabym w ciągu tego czasu zaryzykować skręt w przecznicę i zgubić pościg, a może nawet zawrócić i ostrzelać ich, zanim zdążą wykonać podobny manewr.

Kapitan Sormic wyraźnie się zastanawiał nad szansami powodzenia jej taktyki walki.

- Pozostali kandydaci, zwróćcie uwagę na to, co powiedziała - odezwał się w końcu. - Taki manewr zwiększyłby do dwudziestu pięciu, a może nawet do pięćdziesięciu procent jej szansę przeżycia następnych dziesięciu sekund i może nawet zestrzelenia jednej gały. Uważam, że to o wiele lepszy sposób niż gdyby podążała śladami Samobójczyni Notsil. Możecie się rozejść.

Kandydaci na pilotów odsunęli krzesła i wstali, a pozostali wygramolili się z symulatorów. Lara wstała z fotela pilota, ale nie udało jej się opuścić kabiny. Uniemożliwiał jej to kapitan Sormic, który wciąż stał obok jej symulatora i zagradzał drogę.

Cały czas spoglądał na nią, niespodziewanie jednak na jego twarzy odmalowało się współczucie. Oficer zniżył głos do szeptu.

- Kandydatko Notsil, osiągasz wspaniałe wyniki w astronautyce i telekomunikacji - zaczął. - Powiedz słowo, a przeniosę cię do grupy osób starających się uzyskać stopień oficera w którejś z tych dziedzin. Czeka cię wspaniała kariera specjalistki na mostku okrętu liniowego.

- Nie, panie kapitanie. - Lara pokręciła głową. - Pragnę zostać pilotką.

- Nie o to chodzi, że nie nadajesz się do służby w wojsku - ciągnął przyjacielsko Sormic. - To po prostu przeniesienie. Gdybyś wyraziła zgodę, mogłabyś naprawdę przysłużyć się Sojuszowi.

- Nie, panie kapitanie. Zamierzam zostać pilotką - powtórzyła z naciskiem Lara. Instruktor porzucił ją urażonym spojrzeniem.

- Więc mam dla ciebie jedną radę - powiedział.

- Jaką, panie kapitanie?

- Pomyśl o kandydatce Lussatte i wszystkich innych, z którymi możesz się zaprzyjaźnić - powiedział oficer. - Pomyśl, jak się poczujesz, jeśli naprawdę ich zabijesz. Uwierz mi, jeżeli zostaniesz tak złą pilotką, na jaką się zapowiadasz, wcześniej czy później przyczynisz się do czyjejś śmierci. Pamiętaj także, że to jeszcze nie jest najgorsze, co może ci się przydarzyć. Jak dasz radę przeżyć, jeśli z powodu swojej niewłaściwej decyzji stracisz przyjaciół?

Odwrócił się i podążył za wychodzącymi z klasy ostatnimi kandydatami.

Lara osunęła się na fotel kabiny symulatora. Nawet nie musiała udawać zniechęcenia. Czuła się paskudnie, bo uważano ją za niezdarę, chociaż potrafiłaby osiągać o wiele lepsze wyniki.

Nie obchodziło jej, co myślą o niej Rebelianci, bo w końcu byli jej wrogami, ale zależało jej na opinii koleżanek i kolegów. Oni wszyscy okazywali tak naiwny entuzjazm i byli tak pełni życia, że po prostu nie mogła ich nie polubić.

Nagle poczuła lekkie swędzenie na karku. Odwróciła głowę i spojrzała przez rufowy iluminator symulatora.

Na progu klasy stał mężczyzna w mundurze rebelianckiego oficera. Kiedy zobaczył, że na niego patrzy, uśmiechnął się z przymusem i zniknął na korytarzu. Sądząc po wzroście i postawie, musiał to być pułkownik Repness.

Kiedy wszedł do klasy? Czy obserwował jej minę po zakończeniu rozmowy z kapitanem Sormicem? Gdy wyszedł, Lara wpatrywała się jakiś czas w drzwi, ale Rebeliant już się nie pojawił.

Zerknęła na chronometr. Na następną godzinę w jej klasie nie zaplanowano żadnych ćwiczeń. Wyciągnęła panel z przyrządami, żeby przełączyć kilka kabli i przestawić kilka przełączników. Z satysfakcją pomyślała, że nabiera coraz większej wprawy w wyprawianiu podobnych sztuczek z elektronicznymi urządzeniami. Wsunęła panel na miejsce i osobiście zatrzasnęła owiewkę kabiny.

Kiedy wcisnęła guzik, który uruchomiłby w trybie awaryjnym silniki prawdziwego myśliwca typu X-wing, jej symulator znów obudził się do życia. Tym razem jednak nie rejestrował jej wyników ani nie przekazywał ich do pamięci centralnych komputerów ośrodka szkoleniowego. Lara mogła być pewna, że wszystko, co obecnie osiągnie, pozostanie na zawsze jej tajemnicą.

Za iluminatorami pojawiła się ponownie panorama zbombardowanego miasta, a kandydatka stała się kolejny raz jedną z pilotek eskadry X-wingów.

ROZDZIAŁ 5

Shalla starała się interpretować każdy zakręt, każdą zmianę kursu śmigacza, w którego przedziale pasażerskim się ukrywała. Domyślała się, że wcześniej czy później pilotujący go szturmowiec odprowadzi pojazd na parking albo wleci do hangaru z innymi śmigaczami. Pilotka Eskadry Widm zacznie wtedy swoje zadanie... zadanie, które musi wykonać kompletnie sama.

W pewnej chwili wyczuła, że pojazd skręca łagodnie w prawo, zwalnia i osiada z głuchym łoskotem metalu uderzającego o durbeton. Uniosła blasterowy karabin i wymierzyła lufę w prostokątną klapę włazu. Niektórzy szturmowcy skrupulatnie stosowali się do regulaminów, inni nie okazywali aż takiej gorliwości.

Prawdopodobnie pilot jej śmigacza należał do drugiej kategorii, bo klapa włazu pojazdu pozostała zamknięta. Chwilę później w przedziale zgasły światła.

Shalla usłyszała dobiegający z zewnątrz śmiech jakiegoś mężczyzny. Napięła mięśnie, ale doszła do wniosku, że to reakcja na usłyszany dowcip. Śmiech nie brzmiał złowieszczo ani złośliwie, nic więc nie wskazywało, że to ktoś naigrawa się z zamkniętej w potrzasku ofiary. Kiedy usłyszała odgłos ciężkich kroków i łoskot rzucanych na durbeton elementów pancerza, uśmiechnęła się do siebie i odprężyła.

Postanowiła odczekać jeszcze minutę. Chciała, żeby szturmowcy oddalili się od śmigacza, nie powinna jednak dawać im zbyt dużo czasu. Obawiała się, czy nie zaczną podejrzewać, że dzieje się coś złego. W końcu wstała i zapaliła miniaturowy pręt jarzeniowy. Odnalazła panel umożliwiający otwieranie klapy włazu i przycisnęła okrągły guzik.

Nie usłyszała jednak niczego, nawet cichego pisku potwierdzającego przyjęcie polecenia. Domyśliła się, że kiedy pilot zgasił światła w pasażerskim przedziale, zasilanie klapy włazu śmigacza także zostało wyłączone. Zaklęła pod nosem, ale wiedziała, jak pokonać tę przeszkodę.

Zdjęła hełm i kilka minut ostrożnie demontowała zainstalowany w nim komunikator. Kiedy skończyła, wyjęła z niego miniaturowe źródło zasilania. Jeszcze trochę czasu poświęciła, żeby odkręcić umieszczony obok klapy panel i dołączyć we właściwe miejsce miniaturowy zasobnik energii. Włożyła pozbawiony komunikatora hełm i sięgnęła po blasterowy karabin.

Tym razem klapa włazu śmigacza posłusznie się otworzyła. W pierwszej chwili Shalla zobaczyła podobną do durbetonowej ściany burtę identycznego śmigacza. Wszystkie zaparkowano w wystarczającej odległości od siebie, żeby klapy pojazdów mogły się odchylać niczym rampy. Ostrożnie wyjrzała i zauważyła po prawej rząd śmigaczy różnych typów i rozmiarów. Niektóre były niewielkie, inne zaś miały sportowy wygląd. Zajmowały cały obszar między nią a ścianą hangaru.

Po lewej ciągnęła się pusta płyta lądowiska. Wolna przestrzeń kończyła się ścianą z zamkniętymi wrotami. Shalla słyszała napływające z głębi hangaru głosy. Nie rozumiała słów, ale mogła się

zorientować, że rozmawiają dwaj albo trzej mężczyźni. W pewnej chwili jeden się głośno roześmiał, jakby usłyszał dobry dowcip. Z przeciwnej strony hangaru dobiegał także cichszy głos innego mężczyzny. Shalla zwróciła uwagę, jak monotonnie imperialny żołnierz wypowiada słowa.

Na razie wszystko szło jak z płatka. Pilotka Eskadry Widm zeskoczyła na durbetonową płytę lądowiska i, wsłuchując się w napływające dźwięki, przycisnęła guzik na panelu burty, żeby zamknąć klapę włazu. Masywna płyta uniosła się tylko do połowy wysokości, potem ze skowytem znieruchomiała i, zaczęła powoli opadać na lądowisko.

Shalla wślizgnęła się pod rampę, napięła mięśnie i uniosła ciężką płytę. Domyśliła się, że zasobnik komunikatora jej hełmu dysponuje zbyt małą ilością energii, żeby klapa mogła się zamknąć. Zamek się nie zatrzasnął, ale płyta wreszcie wsunęła się na miejsce. Pilotka uznała, że podczas pobieżnych oględzin nikt nie powinien tego zauważyć.

Miała do rozwiązania inne problemy: dwie grupy pracowników imperialnego personelu naziemnego czy może strażników i systemy bezpieczeństwa, które prawdopodobnie zainstalowano w ogromnym hangarze. Zaczęła się rozglądać, zwracając szczególną uwagę na miejsca, w których zazwyczaj montowano kamery albo sensory, ale nie zauważyła niczego takiego w rogach hangaru ani na wspornikach łukowato wygiętego sklepienia.

Odetchnęła z ulgą. Widocznie dowództwo imperialnej bazy nie uważało śmigaczy za wystarczająco wartościowy sprzęt, żeby instalować działające całą dobę zautomatyzowane systemy alarmowe. Oznaczało to, że jeden problem rozwiązał się samoistnie. Shalla ruszyła ostrożnie w stronę monotonnie mówiącego mężczyzny. Żałowała, że nie potrafi się podkradać równie bezszelestnie jak Tyria.

Piloci Eskadry Widm rozpłaszczyli się pod zewnętrzną ścianą hangaru, w rzucanym przez nią najgłębszym cieniu.

Stojący za plecami Jansona Wedge zmuszał się do zachowania ciszy. Byli zakuci w połyskujące białe pancerze szturmowców, które w ciemności jakby świeciły własnym światłem. Gdyby w stronę niewielkiej grupy komandosów spojrzał ktokolwiek, musiałby ich zauważyć. Piloci nie mogli jednak pozbyć się pancerzy, więc musieli mieć szeroko otwarte oczy.

Janson zdjął hełm i odwrócił się do Antillesa. Uniósł rękę z wyciągniętymi dwoma palcami i pokręcił głową. Oznaczało to, że frontowej ściany hangaru strzeże tylko dwóch wartowników, ale usunięcie ich nie będzie proste. Wedge zamienił się miejscami z zastępcą i zdjął hełm. Chwilę napawał się omywającym twarz świeżym, chłodnym powietrzem, po czym ostrożnie wychylił głowę.

Front hangaru był rzęsiście oświetlony przez dwa zawieszone wysoko na ścianie źródła światła. Pośrodku ściany widniały dwuskrzydłowe wielkie wrota. Wszystko wskazywało, że masywne skrzydła rozsuwają się na boki. Na durbetonowej płycie przed wrotami widniało wiele osmalonych kręgów. Niewątpliwie z hangaru wylatywali pospiesznie piloci myśliwców typu TIE, którzy od razu wzbijali się w niebo. Mogło to sugerować, że stacjonujący w bazie żołnierze uważają się za asów pilotażu, a ich dowódca nie ma nic przeciwko takim popisom. Jedno i drugie nie wróżyło najlepiej.

Po obu stronach masywnych wrót, mniej więcej w odstępie dwudziestu metrów, stało dwóch zakutych w białe pancerze wartowników. Byli zwróceni twarzami do siebie, żeby każdy mógł widzieć nie tylko kolegę, ale także większą część frontowej ściany. Możliwe, że korzystając z indywidualnego kanału, porozumiewali się ze sobą za pomocą zainstalowanych w hełmach osobistych komunikatorów; wszystko wskazywało, że są uważni i czujni.

Wedge postanowił zrezygnować z zazwyczaj stosowanej w takich sytuacjach taktyki. Piloci

Eskadry Widm nie mogli wywołać hałasu i czekać, aż któryś wartownik wyruszy na poszukiwania źródła dźwięku. Dobrze wyszkoleni strażnicy, nawet gdyby nie byli obserwowani przez przełożonych albo kolegów, na pewno zameldowaliby zwierzchnikowi, że dzieje się coś niezwykłego. Gdyby zaś rozglądający się po okolicy wartownik nagle przestał kontaktować się z kolegą, jego towarzysz także by o tym zameldował. Wkrótce potem przed wrotami zaroiłoby się od szturmowców. Tymczasem Antilles i piloci Eskadry Widm zamierzali spędzić w hangarze sporo czasu, może nawet pół godziny, i musieli mieć pewność, że nikt nie będzie im przeszkadzał.

We frontowej ścianie hangaru, niedaleko stojącego po lewej stronie wrót wartownika, widniały mniejsze drzwi, solidnie opancerzone i zamknięte. Chyba nietrudno byłoby ich bronić, gdyby ktoś nagle zaskoczył pilotów Eskadry Widm w hangarze.

Wedge znów zamienił się miejscami z Jansonem, żeby jego zastępca mógł też rozejrzeć się po okolicy. Szeptem wyjaśnił sytuację pozostałym.

- Macie jakiś pomysł? - zapytał.

- Mógłbym spróbować się włamać do pamięci głównego komputera bazy i oznajmić tym dwóm, że za chwilę pojawią się zmiennicy - zaproponował Castin. - Dwóch naszych mogłoby wówczas podejść do nich i zastąpić ich na warcie... albo po prostu zastrzelić.

Wedge rozważył wady i zalety usłyszanej propozycji.

- To mogłoby się udać, ale musiałbyś cały czas pozostawać w kontakcie z głównym komputerem albo włamać się jeszcze raz kilkanaście minut później, kiedy zdecydujemy się na ucieczkę - oznajmił w końcu.

- To prawda - przyznał Castin.

- Moglibyśmy zaczekać, aż w pobliżu nie będą przelatywały żadne śmigacze i nikt nie będzie zwracał uwagi na wartowników... - zaczęła Dia.

- Musielibyśmy przedtem się upewnić, że ci dwaj nie porozumiewają się z nikim przez komunikatory hełmów - przerwał Tainer.

- ...a później po prostu wyskoczyć z obu stron i ich zastrzelić - dokończyła Twi'lekanka. - Dwaj strzelcy, żadnego czekania. Podbieglibyśmy, chwycili ich i zaciągnęli na tyły hangaru, a w tym czasie dwaj spośród nas stanęliby na straży. Potem moglibyśmy poświęcić tyle czasu, ile trzeba, żeby zdobyć ich klucze i kody dostępu.

Wedge pokręcił głową.

- To zbyt proste - powiedział, ale umilkł i zaczął się zastanawiać. - Z drugiej strony, kto wie, może to i zaleta tego pomysłu? - podjął po chwili. - W porządku, akceptują twoją propozycję. Przedtem jednak, Patyku, postaraj się zorientować, czy ci dwaj naprawdę z kimś rozmawiają. Przeszukaj niestandardowe zakresy imperialnych częstotliwości. Wypatruj sygnałów o niewielkiej mocy. Jeżeli tamci tylko gawędzą ze sobą, na pewno nie korzystają ze zwykłych zakresów.

Thakwaashanin kiwnął głową i wyciągnął z kieszeni u pasa przenośny dyspozytorski komunikator. Urządzenie było jedną z kilku najnowszych zabawek, jakimi dysponowali

funkcjonariusze Wywiadu Nowej Republiki, a Patyk dostał je, kiedy wyraził chęć zostania nowym specjalistą łącznościowcem Eskadry Widm. Wyglądało jak gruby komputerowy notes i chociaż nie umożliwiało wykonywania tylu różnych czynności, co polowy komunikator, którym posługiwała się poprzednia specjalistka eskadry, Jesmin Ackbar, było największym urządzeniem, jakie piloci Eskadry Widm mogli ukryć pod pancerzem szturmowca bez wzbudzania podejrzeń.

Patyk wyjął aparacik i zaczął wystukiwać różne polecenia, ale w końcu zniecierpliwił się i zamienił miejscami z Jansonem. Dopiero gdy stanął tuż za rogiem hangaru, położył komunikator na ziemi i wystawił za róg krótką antenę. Chwilę nasłuchiwał i w końcu kiwnął głową.

Odwrócił się do pozostałych.

- Mamy ich - oznajmił triumfującym szeptem. - To brzmi tak, jakby wydawali komuś rozkazy, ale nic z tego nie rozumiem. Jeżeli chcecie posłuchać, o czym mówią, nastawcie komunikatory na zero-trzy - zero-siedem-cztery.

Wedge poszedł za jego radą i od razu usłyszał głosy rozmawiających wartowników.

Pierwszy mówił aksamitnym basem:

- Lekki pojazd szturmowy dwanaście blokuje alfę dwa. Chrapliwy głos drugiego można byłoby uznać raczej za baryton.

- TIE cztery blokuje deltę szesnaście.

- To poza twoim zasięgiem - obruszył się pierwszy wartownik.

- Wcale nie - odparł drugi.

- Więc przekraczasz plazmową zaporę i eksplodujesz, tak? - zapytał pierwszy. - To miło, że poświęcasz w taki sposób swoją figurę.

- Uhm, niech będzie, że ten TIE cztery blokuje deltę dwanaście.

- Stanowisko ciężkiej artylerii jeden ostrzeliwuje twojego TIE cztery - oznajmił triumfująco pierwszy wartownik. - Spisz go na straty.

- Niech to diabli - burknął drugi. - Wielokrotnie namierzam stanowisko artylerii jeden.

Antilles wyłączył komunikator i odwrócił się do pozostałych.

- Ktoś wie może, o czym mówią? - zapytał.

Dia kiwnęła głową. Wedge wyobrażał sobie, jak Twi'lekanka musi się czuć z głowoogonami wepchniętymi do hełmu szturmowca, ale istota nie narzekała.

- To taka gra. Nazywa się kwadrant - wyjaśniła. - Grywało się w nią kiedyś w Imperialnej Akademii. Jest bardzo stara, ale ostatnio stała się znów modna.

- Patyku, czy transmisji głosowej towarzyszy przesyłanie jakichś obrazów? - zainteresował się Antilles.

Thakwaashanin pokręcił głową. Wedge parsknął cichym śmiechem.

- Grają na pamięć, coś wspaniałego - mruknął. - Hangaru pilnuje para intelektualistów. No dobrze, my także przyłączymy się do tej gry.

Naszymi strzelcami wyborowymi będą Donos i Janson. Myn zostanie tu, a Wes obejdzie hangar i zajmie miejsce za rogiem po przeciwnej stronie. Nastawcie karabiny blasterowe na ogłuszanie. Nie posługujcie się komunikatorami, bo mogliby odebrać wasze sygnały, ale zsynchronizujcie chronometry, żeby ustalić czas ataku. Jeżeli nie usłyszycie ani nie zobaczycie niczego niezwykłego, dajcie ognia dokładnie po upływie trzech minut od tamtej chwili. Gdyby wam coś przeszkodziło, ukryjcie się i spróbujcie jeszcze raz po upływie sześciu minut. Jeżeli i o tej porze nie nadarzy się okazja, zrezygnujcie z ataku i wróćcie tutaj. Kellu, idź z Wesem, żeby go osłaniać. Zaciągniesz na tyły hangaru drugiego wartownika. Phananie, zajmiesz jego miejsce przed wrotami hangaru. Patyku, zostaniesz tu i zaciągniesz na tyły pierwszego ogłuszonego wartownika. Buźko, staniesz zamiast niego przed wrotami.

To były bardzo długie trzy minuty. Mniej więcej w połowie tego okresu obok hangaru przeleciał płaskodenny śmigacz z dwoma szturmowcami i niewielkim laserowym działem na pokładzie. Wedge i pozostali przywarli plecami do ściany budynku, ale pasażerowie pojazdu nawet nie zerknęli w ich stronę.

Myn Donos nie odrywał spojrzenia od wyświetlacza chronometru. Kiedy do końca wyznaczonego czasu zostało dwadzieścia sekund, zdjął hełm. Pięć sekund później sprawdził, czyjego blasterowy karabin jest gotów do strzału i nastawiony na ogłuszanie. Po następnych pięciu wyjrzał za róg i zrobił to samo po kolejnych pięciu. Dokładnie o ustalonej porze wyskoczył zza rogu i dał ognia.

Huk blasterowego karabinu zabrzmiał niewiarygodnie głośno. Wedge był pewien, że odgłos strzału usłyszeli nawet mieszkańcy odległego Hullisa. Nie odrywając pleców od ściany, zaczekał, aż przebiegną obok niego Buźka i Patyk. Dopiero wtedy wyjrzał za róg z blasterem gotowym do strzału na wypadek, gdyby podwładni potrzebowali wsparcia.

Kiedy Thakwaashanin wytracał prędkość przed leżącym nieruchomo wartownikiem, poślizgnął się i omal nie upadł. Schylił się i dźwignął szturmowca niczym piórko, przerzucił go przez ramię i biegiem dołączył do Antillesa. Kell, który wybiegł zza drugiego rogu, uporał się w podobny sposób z drugim wartownikiem, chociaż zajęło mu to trochę więcej czasu i zmusiło do większego wysiłku. Mimo to kilka sekund później dołączył do Patyka i komandora. Nie przejmował się, że ogłuszony szturmowiec obija się niczym wór tuberów o jego ramię.

Przed wrotami hangaru tkwiło nadal dwóch wartowników. Stali na baczność, zwróceni twarzami do siebie. Wedge zerknął na wyświetlacz chronometru. Od początku akcji upłynęło zaledwie piętnaście sekund, a wszystko wyglądało na pozór tak jak poprzednio.

- Castinie, bierz się do pracy - rozkazał.

- Już się tym zajmuję, panie komandorze - odparł ekspert od systemów komputerowych i bezpieczeństwa. - Hełmy zdjęte, żadnych sygnałów od zwierzchników. Sprawdzam, czy mają rozkazy albo karty szyfrowe... Żadnych kart szyfrowych. To oznacza, że hasło jest wypowiadane albo przekazywane przez komunikator. Miejmy nadzieję, że to drugie. Hm...

Shalla kuliła się za samobieżnym wózkiem z narzędziami. Niespełna cztery kroki przed nią znajdowały się drzwi biura. Widziała w nim dwóch szturmowców i podejrzewała, że to pilot i

strażnik śmigacza, którym tu przyleciała. Obaj byli bez hełmów. Jeden z nich, wysoki, jasnoskóry mężczyzna, stał obok drzwi. Trzymał szklaneczkę z niebieskim płynem i mgiełką skraplającej się pary wodnej po zewnętrznej stronie. Drugi był średniego wzrostu i miał skórę równie ciemną jak Shalla. Siedział za biurkiem przy głównym terminalu komputerowym i znudzonym tonem coś dyktował. Z tak bliska Shalla rozumiała wszystkie słowa. Brzmiały jak rutynowy raport, co mogło oznaczać, że siedzący szturmowiec jest oficerem.

- ...bez oporu. Nie wysunięto żadnych zarzutów. Całkowity koszt operacji to cena paliwa do śmigacza, potrzebnego do przelecenia siedemdziesięciu ośmiu kilometrów.

Drugi szturmowiec powiedział coś, ale tak cicho, że Shalla nie dosłyszała. Nie patrząc na niego, siedzący oficer kiwnął głową.

- W drodze powrotnej, mniej więcej pół kilometra od bazy, zatrzymaliśmy się, żeby udzielić pomocy patrolowi dowodzonemu przez sierżanta... - Uniósł głowę i spojrzał na kolegę. - Pamiętasz może, jak się nazywał?

Drugi szturmowiec wzruszył ramionami i pokręcił głową.

- Na razie pozostawię w tym miejscu znacznik - ciągnął oficer. - A więc sierżanta, którego śmigacz uległ awarii. Podrzuciliśmy go do bazy razem z podwładnymi i aresztantami, między innymi porucznikiem Cothronem. Dodatkowy koszt to paliwo zużyte do transportu ciężaru następnych pięciu aresztantów i dziesięciu żandarmów...
- Jedenastu - poprawił go drugi żołnierz.
- Dziesięciu. - Siedzący za biurkiem oficer zaczął się zastanawiać i spojrzał na kolegę. - No cóż, ty zwracałeś na nich większą uwagę. - Ponownie zbliżył usta do mikrofonu. - Jedenastu dodatkowych żandarmów na odległość mniej więcej dwóch kilometrów. - Zmarszczył brwi i pokręcił głową. - Koniec raportu. Przeczytam go jeszcze raz, żeby usunąć zbędne informacje, i zaprogramuję znacznik, aby odszukał i wstawił nazwisko dowódcy tamtego patrolu. To wszystko, co mieliśmy zrobić tej nocy. - Umilkł, ale nie wrócił do przebierania palcami po klawiszach. - Jesteś pewien, że było ich jedenastu? - zapytał w końcu.
- Jestem pewien.

Shalla wstała i ruszyła w ich stronę tak zdecydowanie, jakby od wielu lat pełniła obowiązki dowódcy bazy. Odepchnęła barkiem stojącego przy drzwiach szturmowca i przycisnęła guzik umożliwiający zamknięcie drzwi. Podobnie jak wszystkie wytwory imperialnej techniki, oba skrzydła zatrzasnęły się denerwująco szybko i z donośnym hukiem.
Przebywający w biurze szturmowcy byli wyraźnie wściekli.

- Chyba od dawna nie uczyłem dobrych manier takiego nerfopasa jak ty - warknął ten, którego popchnęła.
- I jeszcze jakiś czas nie będziesz miał tej przyjemności - odparła pilotka Eskadry Widm, wbijając w jego szczękę kolbę blasterowego karabinu. Mężczyzna osunął się na posadzkę, a z

upuszczonej szklanki wylała się struga niebieskiego piwa.

Jego towarzysz zerwał się z krzesła, ale Shalla dała ognia. Blasterowa błyskawica trafiła go w pierś i wypaliła w białym pancerzu dymiącą dziurę. Oficer runął na wznak i znieruchomiał.

Pilotka zdrętwiała. Była pewna, że nastawiła blaster na ogłuszanie.

W następnej sekundzie pierwszy szturmowiec zerwał się z durbetonowej posadzki tak szybko, jakby jej cios nie wywarł na nim żadnego wrażenia. Doskoczył i pchnął ją na biurko z taką siłą, że gdyby nie chronił jej pancerz szturmowca, nadziałaby się na leżące w nieładzie szpikulce i inne drobiazgi. Upadając na blat, rozpłaszczyła je albo zmiażdżyła.

Szturmowiec rzucił się na nią i usiłował wydrzeć z jej rąk blaster. Shallanie starała się uwolnić. Przytrzymała się wolną ręką za róg biurka i wyciągnęła jedną nogę najdalej jak mogła. Zebrała się w sobie i z całej siły kopnęła napastnika w zgięcie nóg. Szturmowiec upadł na durbetonową posadzkę, ale pociągnął ją na siebie.

Wyciągnął wolną rękę i usiłował złapać ją za gardło. Shalla puściła blaster, odtrąciła jego rękę, napięła mięśnie i kantem dłoni zadała napastnikowi cios w grdykę.

Uderzyła tak silnie, że zmiażdżyła mu tchawicę. Przerażony szturmowiec otworzył szeroko oczy, puścił jej blaster i oburącz chwycił się za gardło.

Shalla wyrwała mu karabin i odskoczyła. Mogła już tylko obserwować, jak mężczyzna umiera. Kilka razy się zakrztusił, bezskutecznie usiłując nabrać powietrza przez zmiażdżoną tchawicę. Posłał jej błagalne spojrzenie, ale pilotka Eskadry Widm pokręciła głową. Wiedziała, że przy tego rodzaju obrażeniach nie może mu już nic pomóc.

Uświadomiła sobie, że dygocze, ale wiedziała, że nie jest to reakcja organizmu na zwiększoną dawkę adrenaliny. Pokpiła sprawą i pozbawiła życia dwóch mężczyzn. Nie martwiła się tym zbytnio. Sytuacja podczas walki niekiedy wymagała, aby wojownicy zabijali nieprzyjaciół. Przejmowała się tylko tym, że zapomniała o nastawieniu broni na ogłuszanie... No cóż, ojciec nie byłby z niej dumny.

Pokręciła głową, żeby pozbyć się z wyobraźni wizerunku surowej twarzy ojca, i siłą woli przestała dygotać. Obeszła umierającego szturmowca i przycisnęła guzik wyłączający oświetlenie. Gdyby ktoś przebywający na zapleczu hangaru spojrzał w stronę biura, zobaczyłby tylko ciemności. Prawdopodobnie doszedłby do wniosku, że pomieszczenie jest opuszczone.

Postarała się przypomnieć sobie, co ma jeszcze do zrobienia. Z powodu jej niedopatrzenia lista trochę się wydłużyła. Musiała wciągnąć ciała zabitych szturmowców do pasażerskiego przedziału śmigacza, którym tu przyleciała, a potem posprzątać biuro, aby nikt nie zaczął się zastanawiać, dlaczego ktoś rozlał piwo i zniszczył biurko. Powinna wysłać sporządzony przez oficera raport i wykorzystując zasobnik energii z hełmu któregoś szturmowca, naprawić swój komunikator. Powinna także wybrać jakiś śmigacz... może nawet ten sam, którym przyleciała, i oznaczyć go jako uszkodzony. Nie mogła też zapomnieć o wyłączeniu pokładowego komunikatora, żeby nikt nie mógł się nim posłużyć do namierzenia pojazdu albo przejęcia nad nim kontroli za pomocą zdalnego sterownika. Potem powinna uzbroić się w cierpliwość i zaczekać. Musiała to wszystko zrobić bez wzbudzania podejrzeń osób pracujących, grających w karty albo zajmujących się czymkolwiek innym na zapleczu hangaru... chyba że się zdecyduje usunąć niebezpieczeństwo, jakie mogło zagrażać jej z ich strony.

Westchnęła. Cała ta praca mogła jej zająć nawet kilka godzin. Tymczasem zostało tylko pół

godziny, a może nawet jeszcze mniej.

Castin stracił kolejnych pięć długich jak wieczność minut, zanim uporał się ze złamaniem szyfru, jakim posługiwali się obaj wartownicy. Okazało się, że jeden zapisał w pamięci osobistego notatnika trzydzieści dwa klasyczne warianty gry w kwadrant... wszystkie posunięcia różnych mistrzów tej gry wraz z komentarzami analityków, którzy traktowali ją o wiele poważniej, niż zasługiwała. Castin przypomniał sobie, że miesiąc miejscowego kalendarza ma też trzydzieści dwa dni. Wpisał na panelu obok drzwi nazwę wariantu, którego numer zgadzał się z dniem miesiąca, i z triumfującym uśmiechem obserwował, jak opancerzone drzwi dla personelu się rozsuwają.

Piloci Eskadry Widm wmaszerowali do hangaru w zwartym szyku... ale od razu go złamali, kiedy zobaczyli, co się w nim znajduje.

- Szefie - zawiadomił Castin - trafiła się nam nie lada gratka!

Wedge był zadowolony, że ma na głowie hełm szturmowca, który skrywa jego szeroko rozdziawione usta.

W hangarze nie zaparkowano zwyczajnych maszyn typu TIE, ale o wiele groźniejsze myśliwce przechwytujące.

Dopiero po kilku sekundach Antilles odzyskał panowanie nad sobą.

- Mamy szczęście - przyznał. - Czasami tak się zdarza w życiu piratów, a dzięki tym myśliwcom zostaniemy jeszcze lepszymi piratami. Przestańcie się na nie gapić. Ogłaszam rozpoczęcie fazy trzeciej.

Na tyłach hangaru Castin natknął się na terminal systemu komputerowego. Wyświetlił na ekranie monitora główny spis treści i zaczął sprawdzać, do jakich zbiorów może uzyskać dostęp. Kiedy pozostali upewnili się, że zainstalowane pod sklepieniem hangaru holograficzne kamery są zwrócone tylko na myśliwce, zgromadzili się wokół terminalu.

Po jakimś czasie Castin wyprostował się na fotelu i spojrzał na dowódcę.

- Dobre i złe wieści, panie komandorze - zameldował.

- Chętnie usłyszę jedne i drugie - odparł Antilles.

- Mogę się bardzo łatwo włamać do systemu i zrobić wszystko, co mam do zrobienia, korzystając tylko z tego terminalu.

- Ale? - przynaglił Wedge.

- Kłopot w tym, że system bezpieczeństwa oparto na zliczaniu flag - podjął Castin. - Jeżeli komputer wykryje jakiekolwiek odstępstwo od normy, rejestruje je i zapamiętuje. Przypisuje mu znacznik... tak zwaną flagę, którą później uważnie obserwuje. Jeżeli w jakimś miejscu pojawi się zbyt wiele flag, podnosi alarm i informuje o tym dowódcę bazy. Może poprosić o podanie hasła i w przypadku niewłaściwej odpowiedzi rejestruje kolejne flagi. Może także wydać rozkaz ludziom, żeby zbadali przyczynę odstępstwa od normy. Jeżeli ten system funkcjonuje jak wiele innych imperialnych systemów bezpieczeństwa, z jakimi miałem do czynienia, w zależności od rodzaju anomalii flagom przypisuje się większe albo mniejsze znaczenie. Najlepiej będzie, gdy posłużę się przykładem. Jeżeli otworzy drzwi do magazynu, komputer wyświetli na ekranie małą flagę, jeżeli jednak o niewłaściwej

porze ktoś otworzy drzwi hangaru pełnego cennych myśliwców przechwytujących typu TIE, zarejestruje dużą flagę.

Wedge kiwnął głową na znak, że zrozumiał.

- Czy spowodowaliśmy już wyświetlenie jakiejś flagi? - zapytał.

- Prawdopodobnie nie - odparł pilot z Coruscant. - Otworzyliśmy drzwi hangaru, ale trzymający straż przed wrotami wartownicy muszą przecież od czasu do czasu korzystać z toalety, więc wątpię, żeby otwarcie drzwi spowodowało pojawienie się jakiejkolwiek flagi.

- To dobrze - odparł Antilles i pogrążył się w zadumie. Piloci Eskadry Widm musieli przygotować do startu sześć myśliwców przechwytujących typu TIE, przedtem jednak powinni odłączyć ich pokładowe komunikatory, żeby nie dało się określić pozycji maszyn w przestworzach. Nie mogli też zapomnieć o zainstalowaniu ładunków wybuchowych w kabinach dwóch innych imperialnych maszyn, a może także w różnych miejscach samego hangaru. Odlatując z niego, powinni zrobić to ukradkiem, co oznaczało konieczność odwrócenia uwagi obrońców bazy. Musieli także pamiętać o pozostałych pilotach Eskadry Widm, którzy zamierzali opuścić bazę na piechotę. - Mogę zatem przypuszczać, że modyfikacja harmonogramu napraw spowoduje wyświetlenie mniejszej flagi, niż gdyby zainstalowane pod sklepieniem hangaru holograficzne kamery rejestrowały cały czas poczynania gromady krzątających się w nim piratów - odezwał się w końcu. - Mam rację?

- To rozsądne przypuszczenie, panie komandorze - zgodził się z nim Castin.

- Więc postaraj się dostać do tego harmonogramu - polecił Antilles. - Zgłoś fałszywą prośbę o natychmiastową naprawę myśliwców przechwytujących zaparkowanych w tym hangarze. Podaj fałszywy czas, aby wynikało, że wysłano ją przed godziną, i przydziel naprawę fikcyjnej ekipie techników. Jeżeli zdołasz się dostać do wykazu osób, przydziel ją technikom, którzy w tej chwili nie pełnią służby. Nie zapomnij o wysłaniu potwierdzenia, że pracownicy zjawili się w hangarze kilka minut temu. Zgłoś także awarię holograficznych kamer w tym hangarze i przedstaw prośbę o ich naprawę. Prośba powinna mieć dzisiejszą datę, ale wcześniejszą godzinę i niższy priorytet niż prośba o naprawę gwiezdnych maszyn. Potwierdź, że ekipa naprawcza kamer zjawiła się kilka minut temu.

Castin uporał się z zadaniem w ciągu kilku minut, po czym wyłączył kamery w wielkim hangarze. Podwładni Antillesa mogli przystąpić do pracy.

Pilot z Coruscant nie wstał jednak od komputerowego terminalu. Korzystając z dostępu do sieci bazy, zajął się szukaniem pomysłu na odwrócenie uwagi imperialnych obrońców, kiedy piloci Eskadry Widm zdecydują się na ucieczkę.

Wedge, Janson, Kell, Patyk i Dia zaczęli sprawdzać osiem stojących na lądowisku gwiezdnych maszyn. Wszyscy z wyjątkiem Thakwaashanina mieli większe lub mniejsze doświadczenie w pilotowaniu myśliwców typu TIE. Korzystając z tego, że został specjalistą łącznościowcem eskadry, Patyk odnalazł i uszkodził pokładowe systemy podporządkowania imperialnych maszyn, żeby dowódca bazy nie mógł nimi kierować za pomocą zdalnego sterownika. Kiedy skończył, popsuł także zainstalowane w komunikatorach zautomatyzowane systemy śledzące.

Tyria i Donos zajęli się tym, co pozostali nazwali „wandalizmem". Znaleźli zostawione w hangarze przez imperialnych mechaników przemysłowe przecinaki i laserowe spawarki, wykorzystujące tę samą skupioną wiązkę niszczycielskiej energii, która czyniła z blasterów tak

groźną broń. Posługując się nimi, wypalili na wewnętrznych ścianach hangaru napisy w rodzaju: JASTRZĘBIONIETOPERZE POTRZEBOWAŁY ICH BARDZIEJ NIŻ WY!, UKLĘKNIJCIE PRZED JASTRZĘBIONIETOPERZAMI, PODŁE GADZINY, WYNOŚCIE SIĘ STĄD ALBO POŻAŁUJECIE. TA PLANETA STANOWI OD DZISIAJ NASZĄ WŁASNOŚĆ. Nie zapomnieli także dodać kilku wymyślnych wyzwisk, a Donos zostawił na ścianie całkiem wierny wizerunek jastrzębionietoperza, latającego drapieżnika, żyjącego w głębinach durbetonowych kanionów na Coruscant. Tyria dopilnowała, żeby w napisach roiło się od błędów ortograficznych.

Kiedy skończyli, przyjrzeli się efektom swojej pracy. Zadowolony Donos kiwnął głową.

- Wypisz, wymaluj, robota bezczelnych i zarozumiałych, ledwo piśmiennych piratów - powiedział.

Tyria się uśmiechnęła.

- Byłeś kiedyś funkcjonariuszem oddziałów tłumiących zamieszki - przypomniała. - Czy nie czujesz się urażony?

Donos obrzucił ją ponurym spojrzeniem, na szczęście okazało się, że nie musi odpowiadać. Z głośników używanych przez pilotów Eskadry Widm komunikatorów wydobył się ostrzegawczy trzask.

Wszyscy przerwali pracę i założyli hełmy albo włączyli osobiste odbiorniki.

Usłyszeli szept stojącego na straży Buźki:

- Zbliża się śmigacz pełen szturmowców. Na razie nie przejawiają wrogich zamiarów, ale kierują się w naszą stronę.

- Postaraj się wyglądać na odprężonego - doradził Antilles - ale informuj nas o rozwoju sytuacji. - Powiódł spojrzeniem po twarzach podwładnych. - Tyrio, ty i Donos stańcie obok drzwi i przygotujcie się do osłaniania Buźki i Phanana. Pozostali, meldować stan.

- Do tej pory zdążyliśmy przygotować pięć myśliwców przechwytujących - poinformował Kell. - Patyk i ja pracujemy przy ostatnim, ale nie zdążyliśmy zainstalować ładunków wybuchowych w żadnym z dwóch pozostałych.

- Nie zawracajcie sobie głowy sabotażem - zdecydował Wedge. - Jeżeli nie wystarczy nam czasu, po prostu zniszczymy je strzałami z działek, kiedy będziemy odlatywali.

Nagle z głośników komunikatorów rozległ się głos Phanana.

- To zmiennicy ogłuszonych wartowników - oznajmił Wes. - Mają nas stąd zabrać i zostawić dwóch innych. Na razie Buźka stara się ich zagadywać. Podsłuchiwał, jak tamten wartownik grał z kolegą w kwadrant i zapamiętał jego głos, a teraz usiłuje go naśladować, ale... oho, chyba zanosi się na kłopoty...

Chwilę później z głośników komunikatorów rozległy się odgłosy blasterowych strzałów, a zaraz po nich okrzyki i stuk opancerzonych ciał walących się na twardy durbeton.

ROZDZIAŁ 6

- Właściwie jesteśmy gotowi, panie poruczniku - mówił Buźka, starając się nadać głosowi przekonujące brzmienie. - W środku zostały jednak nasze plecaki. Proszę o pozwolenie wejścia do hangaru i wyniesienia ich stamtąd.

Siedzący obok pilota śmigacza szturmowiec nawet nie starał się ukrywać pogardy.

- Co za idiota pozwolił wam zabrać nieregulaminowe plecaki na rutynową służbę wartowniczą? - zapytał oburzony.

Zasada: kiedy pytają cię o informację, której nie możesz przekazać, postaraj się podsunąć pytającej osobie coś innego, nad czym mogłaby się zastanowić.

- To ten nowy, panie poruczniku - odparł Garik. - Zapomniałem, jak się nazywa.
- Balavan?
- Tak jest, panie poruczniku - odparł z ulgą Buźka.
- No cóż, jest prawdziwym bałwanem - burknął oficer. - Może zmądrzeje, kiedy poza kolejnością będzie pełnił z wami służbę w kuchni. No dobrze, możecie wrócić po nieregulaminowe plecaki, ale przedtem zwolnimy was ze służby.

Odwrócił się w stronę przedziału towarowego i wymownie kiwnął głową. Ze środka wyskoczyli dwaj inni szturmowcy. Zasalutowali i stanęli na baczność obok pilotów Eskadry Widm, zwróceni twarzami jeden do drugiego.

- Uhm, przekazuję ci ten posterunek - wygłosił Buźka.

Zaklął w duchu. Nie miał pojęcia, jak powinien się zwracać wartownik do przejmującego służbę kolegi, ale chyba nie tak, jak powiedział.
Zasada: kiedy masz wziąć udział w rytuale, o którym nic ci nie wiadomo, postaraj się uzasadnić swoją reakcję i wzbudzić dla siebie tyle współczucia, ile zdołasz.

- Ja... - powiedział i udał, że się zakrztusił. W miarę upływu czasu kasłał coraz głośniej. Starał się, aby wyglądało, że wypluwa płuca; zgiął się wpół, jakby coś go bolało. Nie przestając kasłać, zginał się i prostował jeszcze kilka razy. Za każdym razem dziarsko salutował, jak przystało na żołnierza, który mimo przeciwności losu usiłuje wzorowo pełnić swoją służbę.

Oficer sprawiał wrażenie nie tylko oburzonego, ale i zniesmaczonego.

- Co ten szturmowiec robi na warcie? - zapytał. - Powinien leżeć na łożu śmierci, a nie pilnować hangaru!

- Wykazał duże poświęcenie, panie poruczniku - odezwał się pospiesznie Phanan.

- Załóżmy, że to prawda - burknął oficer. - Podajcie mi wreszcie to przeklęte hasło!

- Amelkin przeciwko Tovathowi - wyskandował Phanan. Zapamiętał, że tak brzmiała nazwa klasycznej partii kwadranta, która umożliwiła pilotom Eskadry Widm wstęp do hangaru.

- Co?! - wybuchnął oficer. - Hasło waszej zmiany, idioto!

Zasada: kiedy nie masz pojęcia, co robić, strzelaj do wszystkiego, co się rusza. Buźka wyprostował się, chwycił górną krawędź napierśnika stojącego obok niego wartownika, żeby go przytrzymać, i strzelił mu w brzuch. Phanan odepchnął swojego zmiennika i strzelił w jego hełm.

Otaczając lewym ramieniem zabitego albo konającego wartownika i zasłaniając się nim niczym tarczą, Garik chwycił blaster prawą ręką i omiótł ogniem pasażerów śmigacza. Zauważył, że trafił dwóch, szeregowca i porucznika, ale ułamek sekundy później pozostali wartownicy wymierzyli w niego karabiny i dali ognia.

Do strzałów obu pilotów Eskadry Widm dołączyły śmiercionośne błyskawice krzyżowego ognia z hangaru. Garik zaryzykował i się obejrzał. Stojący w otwartych drzwiach dwaj piloci Eskadry Widm w pancerzach szturmowców - nie wiedział, którzy to - ruszyli w stronę śmigacza, cały czas strzelając.

Opuszczenie bezpiecznej kryjówki to kiepska taktyka, pomyślał Buźka, ale zrozumiał, o co chodzi, kiedy z hangaru zaczęli się wysypywać pozostali podwładni Antillesa.

Pilot imperialnego pojazdu śmignął w górę i skręcił, żeby oddalić się od strzelających intruzów. Wykonał manewr tak raptownie, że wartownicy w przedziale bagażowym z pewnością zwalili się na podłogę, ale na tyle sprytnie, że przed strzałami chronił ich gruby pancerz dna pojazdu. Pilot leciał jakiś czas szerokim prześwitem między budynkami. Wcześniej czy później musiał wyrównać lot, żeby nie roztrzaskać śmigacza o mur, ale kiedy się na to zdecydował, znajdował się tak daleko i leciał na tyle szybko, że strzały Widm nie mogły wyrządzić nikomu żadnej krzywdy. Mimo to Buźka zauważył, że jedna błyskawica trafiła kolejnego szturmowca. Przypuszczał, że to robota snajpera Widm, Myna Donosa. W końcu imperialny śmigacz skręcił za róg i zniknął.

- „Dwójko", otwórz wrota hangaru i zablokuj je w tym położeniu! - krzyknął stojący przy nich szturmowiec. Po charakterystycznym głosie łatwo można było poznać, że to Wedge. - Nie możemy dopuścić, żeby centralny komputer je zablokował. Co z niespodziankami, które mają odwrócić ich uwagę?

- Przygotowałem niespodziankę numer dwa - zameldował Castin. - Na przygotowanie najlepszej potrzebuję jeszcze kilku minut.

- Zaprezentuj tę, która jest gotowa - polecił Antilles. - Później dołącz do „Szóstki", „Ósemki", „Dziewiątki" i „Jedenastki". Opuścicie hangar piechotą...

- Panie komandorze, miałem lecieć jednym z tych myśliwców! - zaprotestował płaczliwie Castin.

- Przestań się mazać. Mamy tylko pięć - zganił go Wedge. - Idźcie w dowolnym kierunku, byle nie

w tym, w którym odlecieli prawdziwi szturmowcy. Zachowujcie imperialny szyk marszowy i nawiążcie łączność z „Dziesiątką”. Zapytajcie ją, czy da radę załatwić wam jakiś środek transportu, żebyście się mogli szybciej wynieść z bazy. Pozostali, wskakiwać do kabin!

- Otworzyli wrota hangaru - zameldował porucznik szturmowców, który kazał pilotowi zaparkować śmigacz za rogiem jakiegoś budynku. - Słyszę dobiegający z głębi odgłos uruchamianych silników jonowych. Moi podwładni zajęli pozycje i są gotowi do strzału. Ja...

Jego następne słowa zagłuszyło przeraźliwe wycie syren alarmowych. Przypominało jęk bólu dawno zapomnianego bóstwa. Od tego przeraźliwego skowytu wszystko wokół zadygotało. Oficer zauważył, że pod wpływem fali dźwiękowej drżą w oprawach nawet transpastalowe iluminatory sąsiednich budynków.

Nieziemskie wycie wydobywało się z zainstalowanych na dachach syren ostrzegających przed nalotem. Archaiczny sygnał miał informować wszystkich w bazie, a także w promieniu kilku kilometrów, że powinni się spodziewać ataku nieprzyjacielskich myśliwców. W zamierzchłych czasach, kiedy baza dopiero powstawała, tymi nieprzyjaciółmi byli imperialni piloci, ale gdy bazę opanowało Imperium, dowództwo postanowiło nie demontować przestarzałego systemu alarmowego. Na wszelki wypadek.

A obecnie działo się coś, co do tej pory uchodziło za niemożliwe. Ktoś atakował bazę z powietrza. Wkrótce potem, kiedy operatorzy potężnych reflektorów zaczęli przeszukiwać nieboskłon w nadziei znalezienia jakiegokolwiek celu, w ciemności pojawiły się słupy światła. Kilka sekund później porucznik zobaczył, że ku napowietrznym celom kierują się kolumny spójnego ognia, i usłyszał huk wystrzałów baterii zautomatyzowanych turbolaserów. Nie widział napastników... ale skoro ogromne działa strzelały, wróg musiał być bardzo blisko.

Kierując całą uwagę na niezwykłe zjawisko, nie zauważył, że z hangaru wyleciał pierwszy myśliwiec przechwytujący.

Buźka złamał szyk biegnących truchtem szturmowców i zrównał się z Castinem.

- „Dwójka”, co właściwie zrobiłeś? - zapytał.

Obserwując go, domyślił się, że pilot z Coruscant jest mocno zakłopotany.

- Znalazłem w pamięci centralnego komputera kilka wariantów wojennych gier, przygotowanych na wypadek imperialnych ataków z powietrza - odezwał się w końcu Castin. - Nie zabezpieczono ich szczególnie starannie, bo traktowano je tylko jako zbiory archiwalne. Zdołałem przesłać tamte dane do sieci sensorów, a one zareagowały, jakby właśnie w tej chwili otrzymywały te informacje, i automatycznie włączyły zabytkowy system alarmowy. Możliwe, że lada chwila...

W oddali wzbiły się w niebo dwie eskadry myśliwców typu TIE. Piloci zamierzali ścigać wyimaginowanych nieprzyjaciół. Castin zrezygnował z dokończenia zdania i wskazał imperialne maszyny.

- „Szóstko”, czy mamy jakieś wiadomości od „Dziesiątki”? - zainteresował się Buźka.

- Mamy - odezwał się Patyk. - Już do nas leci. Przekazałem jej współrzędne naszego wektora.

- Mam nadzieję, że nie zapomniałeś ich zaszyfrować - powiedział Garik.
- Nie zapomniałem.

Szyfr, jakim się posługiwali piloci Eskadry Widm podczas tej wyprawy, wykorzystywał bardzo prosty sposób określania miejsc w razie, gdyby ktoś zrozumiał zniekształcone sygnały. Punkty w terenie identyfikowano za pomocą standardowej imperialnej siatki współrzędnych, ale zmieniano kierunki stron świata: północ zastępowano południem, a zachód wschodem. Co prawda, szturmowcy mogli bez trudu się zorientować, że podawane współrzędne są niewłaściwe. Wystarczyłoby tylko, gdyby rozejrzeli się po okolicy. Piloci Eskadry Widm mieli jednak tak mało czasu na wykonanie poszczególnych zadań, że musieli chwytać się wszystkiego, co mogłoby w tym pomóc. Nawet niewielkie opóźnienie mogło wystarczyć, aby ich wyprawa zakończyła się niepowodzeniem.

Pierwsi wylecieli z hangaru Kell i Phanan. Mieli najmniejsze doświadczenie w zasiadaniu za sterami myśliwców typu TIE i absolutnie żadnego w pilotowaniu imperialnych maszyn przechwytujących, bo nie doskonalili tej umiejętności nawet na symulatorach. Lecąc dzięki repulsorom nisko i bez pośpiechu nad powierzchnią gruntu, zaczęli się oddalać od wrót hangaru. Starali się uważać, ale i tak Ton nie zdołał w porę wytracić niewielkiej prędkości. Zderzył się ze ścianą jakiegoś budynku i z lekkim wstrząsem znieruchomiał.

Kilka sekund później z hangaru wylecieli Wedge, Janson i Dia, którzy czuli się o wiele pewniej za sterami maszyn tego typu. Na dany przez Antillesa znak obrócili myśliwce, skierowali lufy działek w mroczny prostokąt wrót i rozstrzelali trzy pozostałe w hangarze maszyny przechwytujące. Kiedy dokonali dzieła zniszczenia i oddalili się od budynku, przesłali energię do bliźniaczych silników jonowych i pomknęli o wiele szybciej, niż gdyby pilotowali myśliwce typu X-wing. Phanan i Kell dołączyli i zajęli miejsca w szyku za nimi.

- Lećcie cały czas nisko nad powierzchnią gruntu - rozkazał Wedge. - Dopóki wam nie powiem, przesyłajcie maksymalną energię do repulsorów.

Zerknął na wskazania sensorów. Dowodziły, że niewielka grupa pięciu myśliwców przechwytujących rzeczywiście leci bardzo nisko. Na ekranie monitora było także widać trzydzieści sześć myśliwców typu TIE - trzy pełne eskadry - wznoszących się szybko w niebo ku nieistniejącym przeciwnikom.

Wedge odszukał przełącznik, który umożliwiał imperialnym pilotom dostęp do przekazywanych przez bazę danych sensorów. Wynikało z nich, że na niebie roi się od nieprzyjacielskich maszyn. Z wstępnych informacji można było się dowiedzieć, że są to nieco przestarzałe myśliwce typu TIE, których piloci korzystają ze wsparcia imperialnych jednostek pomocniczych. Wprawdzie wszystko wskazywało, że za ich sterami siedzą sprzymierzeńcy, ale ich nagłe pojawienie się, agresywne zamiary i brak odpowiedzi na żądanie podania danych identyfikacyjnych skłoniły główny komputer bazy do uznania ich za prawdopodobnych nieprzyjaciół. Wedge był pewien, że piloci trzech eskadr stacjonujących w bazie myśliwców typu TIE nie poradzą sobie z odparciem tak zmasowanego ataku, kilka chwil później jednak w niebo wzbiły się następne dwie eskadry.

Nie zwracając uwagi na mijane po prawej i po lewej budynki, namierzył źródło sygnałów imperialnych sensorów i przekazał zestaw współrzędnych swoim podwładnym.

- Do dzieła, Widma - powiedział. - Przelecimy nad nimi tylko raz, a potem wracamy do domu.

Przyciągnął drążek sterowniczy do siebie, przeleciał nad dachami domów, zmienił kurs i skierował się w stronę źródła sygnałów. Pozostali utworzyli szyk za ogonem jego maszyny.

Niemal natychmiast cel znalazł się w zasięgu strzałów. Wedge sprzągł wszystkie cztery lasery, żeby strzelały równocześnie. Z początku systemy uzbrojenia jego myśliwca przechwytującego typu TIE miały pewne kłopoty z identyfikacją ośrodka dowodzenia bazy - ogromnego zaokrąglonego bunkra - jako zamierzonego celu, ale Wedge zmusił je, by go namierzyły i uznały stanowiska artylerii i anteny sensorów za indywidualne cele. Wymierzył lufy działek w najbliższe stanowisko sensorów.

- Ognia! - rozkazał.

Piloci Eskadry Widm skierowali myśliwce w stronę bunkra i dwadzieścia laserów plunęło pięcioma strugami śmiercionośnego światła. Na powierzchni bunkra zaczęły rozkwitać rozbłyski trafień. Strzały przebijały na wylot anteny czujników i stanowiska artylerii tak łatwo, jakby chroniące je metalowe płyty nie stanowiły większej przeszkody niż arkusiki flimsiplastu. Piloci Eskadry Widm przelecieli z rykiem silników zaledwie kilka metrów nad zniszczonym bunkrem, zmienili wektor lotu i śmignęli ku wolności.

We wszystkich miejscach imperialnej bazy panował niezwykły chaos. Tu i tam przelatywały śmigacze z oddziałami szturmowców, którzy mieli bronić wybranych obiektów. Cywilni pracownicy bazy, niektórzy niekompletnie ubrani, biegli w różne strony, żeby objąć służbę na wyznaczonych stanowiskach. Chyba nikt jednak nie zdradzał ochoty do zadawania pytań pięcioosobowej grupie zdyscyplinowanych szturmowców. Biegli truchtem tak równo i w tak zwartym szyku, że niewątpliwie mieli do wykonania bardzo ważne zadanie.

W pewnej chwili na szlak, którym podążali, skręciły przed nimi dwa oddziały szturmowców. Piloci Eskadry Widm zauważyli, że w ich stronę biegnie ze dwudziestu żołnierzy.

- Miejcie oczy szeroko otwarte - ostrzegł Buźka. - Jeżeli nas zaczepią, odpowiemy, nie przerywając biegu. Jeżeli zechcą nas powstrzymać, otwieramy ogień i przyspieszamy.

Kilka sekund później za plecami prawdziwych oddziałów szturmowców skręcił na ten sam szlak śmigacz z osłoniętym przedziałem pasażerskim. Pilot zwiększył prędkość, kilku żołnierzy przewrócił, pozostałych roztrącił na boki, po czym skierował się w stronę biegnących pilotów Eskadry Widm.

- To chyba nasz środek transportu - domyślił się Patyk.

Zanim śmigacz zwolnił i zawisnął nieruchomo, kierująca nim osoba zakręciła, żeby rufa i bakburta oddzielały pilotów Widm od rozwścieczonych obrońców bazy. Kiedy pojazd osiadał na powierzchni gruntu, klapa rufowego włazu zdążyła już opaść do połowy.

- Dobra robota, „Dziesiątko” - skomentował Buźka. - Zajmę się obsługą działka. Wszyscy pozostali, wskakiwać do przedziału.

Garik zajął miejsce na fotelu obok Shalli, a czterech pozostałych wbiegło po rampie do pojazdu.

Buźka usłyszał, że jeden z pilotów - sądząc po głosie, Donos - poślizgnął się, upadł i zaklął. Zerknął z ukosa na Shallę, ale pilotka tylko wzruszyła ramionami.

- Kiedy odlatywałam, nie obyło się bez kilku ofiar - zameldowała takim tonem, jakby się tłumaczyła.

Chwilę później rozwścieczeni szturmowcy zaczęli posyłać ku nim serie blasterowych błyskawic, wszystkie odbijały się jednak nieszkodliwie od rufy i burty pojazdu. Donos włączył komunikator.

- Wynosimy się stąd! - krzyknął.

Postanowili wylecieć z bazy przez tę samą bramę, przez którą się tu dostali, ale tym razem nie unieruchomili pojazdu, żeby uzyskać zezwolenie albo zaczekać, aż strażnicy zdecydują się otworzyć zaporę. Lecąc z dużą prędkością, Buźka przeorał wartownię blasterowym ogniem i zmusił pełniącego tam służbę oficera do ukrycia się pod biurkiem. Uniemożliwił mu też włączenie magnetycznych zapór, generatora magnetycznego pola blokującego, min eksplodujących pod wpływem repulsorowego pola i innych pułapek, zazwyczaj zastawianych przez imperialnych strażników, żeby zapobiec zaatakowaniu albo opuszczeniu bazy przez nieprzyjacielskie pojazdy.

Wyrżnęli w metalowe awaryjne wrota, wyrwali skrzydła z zawiasów, wydostali się z bazy i z rykiem silnika polecieli nad wiodącą ku niej drogą.

Gdy pokonali pół kilometra, za pierwszym zakrętem skręcili z drogi. Shalla unieruchomiła śmigacz za tym samym wzgórzem, na którym Wedge spędził tyle czasu, obserwując bazę. Piloci Eskadry Widm wyszli z pasażerskiego przedziału. Shalla wystukała na klawiaturze kontrolnego panelu kilka poleceń. Imperialny śmigacz uniósł się w powietrze, obrócił wokół osi i skierował w stronę widocznych na horyzoncie świateł Hullisa.

- Jakie współrzędne kursu mu wpisałaś? - zainteresował się Buźka. Shalla pokręciła głową.

- Niszcząc komunikator, uniemożliwiłam wykonywanie większości skomplikowanych poleceń - powiedziała. - Mogłam zaprogramować tylko lot po krzywej balistycznej do miasta.

- To powinno wystarczyć - zdecydował Garik. - Postarajmy się, żeby nas nie zauważyli.

Piloci Eskadry Widm wskoczyli do pobliskiego rowu i zaczęli pozbywać się pancerzy szturmowców. Wystawiając nad krawędź rowu głowy do wysokości oczu, obserwowali, jak obok nich przelatują w stronę stolicy trzy śmigacze ze szturmowcami z bazy.

Minutę później dołączyli do Prosiaka strzegącego cywilnego śmigacza, którym tu przylecieli. Kapitan Wanatte, nadal nieprzytomny, leżał nieruchomo w głębokim bagażniku.

Piloci Eskadry Widm zdjęli ostatnie fragmenty pancerzy i pozostali w przepoconych miejskich strojach, jakie nosiło wielu mieszkańców Halmada. Pospiesznie wepchnęli pancerze do plastikowej skrzyni w rufowej części bagażnika i zajęli miejsca pod burtami cywilnego pojazdu.

- Wracamy do kosmoportu - oznajmił Buźka. - Powoli, spokojnie i z godnością, jak przystało na grupę turystów, którzy cały wieczór bawili się i pili, a teraz są zbyt zmęczeni, żeby ruszyć palcem.

Shalla kiwnęła głową.

- Pod tym względem nie mijasz się z prawdą - powiedziała.

Piraci z bandy Jastrzębionietoperzy założyli bazę w głębi ogromnej skalnej kuli krążącej mniej więcej pośrodku pasa asteroid systemu Halmada.

Wiele lat wcześniej znajdował się tam ośrodek wydobywczy A3 Korporacji Górniczej Tonhelda. Zatrudnieni w nim górnicy wydobywali bogatą w cenny metal rudę z głębin ogromnej asteroidy, która powstała w zamierzchłych czasach po eksplozji jednej z najbardziej oddalonych od słońca planet. Asteroida miała grubą kamienną skorupę, a jądro składało się kiedyś głównie z niklu i żelaza. Nie zważając na piętrzące się trudności, pracownicy Towarzystwa Tonhelda wydrążyli je do końca. Zostawili tylko rudę, jaka kryła się w żyłach i gniazdach kamiennej skorupy. Po zakończeniu pracy zdemontowali sprzęt i niektóre moduły mieszkalne, po czym wynieśli się z asteroidy.

Taki stan trwał następne czterdzieści lat. Nawet obecnie, kiedy leciało się ku niej na pokładzie gwiezdnego statku, asteroida wyglądała tak samo jak przed wieloma stuleciami. Gruba kamienna skorupa nadal tłumiła promienie skanerów służących do wykrywania obecności form życia i uniemożliwiała rejestrowanie emisji silników zaparkowanych w głębi gwiezdnych statków.

Mniej więcej w połowie głębokości głównego szybu zaczynała się odnoga wykorzystywana kiedyś przez pracowników Towarzystwa Tonhelda jako baza wypadowa. Odnoga biegła równolegle do powierzchni asteroidy, a połączenie z głównym szybem blokowała gigantyczna durbetonowa tama. Na obu końcach miała zainstalowane wrota śluz, otwierane i zamykane przez ogromne serwomotory.

W najobszerniejszym miejscu odnogi umieszczono wielki hangar. Stały w nim obecnie wehikuły Jastrzębionietoperzy. Piloci Eskadry Widm dysponowali dwoma myśliwcami typu TIE i pięcioma porwanymi maszynami przechwytującymi, ale największą jednostką był frachtowiec klasy Xyitiar, któremu nadano niegdyś nazwę „Słoneczna Trawa".

Frachtowce tego typu należały do najmniej eleganckich transportowców galaktyki. W długim kanciastym dziobie mieściły się głównie ładownie towarowe i równie długi łącznik. Łącznik umożliwiał przejście do krótkiego kanciastego przedziału rufowego, mieszczącego jednostki napędowe. Na domiar złego powierzchnia kadłuba „Słonecznej Trawy" nie maskowała kanciastych kształtów. Prawie każdy centymetr kwadratowy niegdyś błyszczącej powierzchni szpeciły zadrapania i rysy, płaty odstającego lakieru i ciemne smugi po strumieniach zjonizowanych gazów, powstałe w wyniku zbyt bliskiego przelatywania obok jednostek napędowych innych statków. Posępny widok uzupełniały dziesiątki śladów po starych blasterowych strzałach.

Kadłub wyglądał jednak solidnie, a nieco wcześniej zmodernizowane jednostki napędowe były w świetnym stanie.

Statek stanowił kiedyś własność imperialnego przedsiębiorstwa transportowego. Oddziały Wywiadu Nowej Republiki zniszczyły go, gdy spoczywał w suchym doku stoczni remontowej. Podczas ataku część dziobowa pękła, a nadbudówkę zaścieliły szczątki doku. Badając później te szczątki, zwiadowcy Imperium zameldowali, że statek uległ całkowitemu zniszczeniu, obecnie

jednak, po kilku latach napraw i przeróbek, ponownie nadawał się do służby. Ze zmienioną nazwą i wymyśloną historią miał odtąd służyć pilotom Eskadry Widm jako jednostka pomocnicza.

Stojący na mostku „Słonecznej Trawy" Wedge Antilles parsknął pogardliwie. Doszedł do wniosku, że statek jest właściwym symbolem samej Nowej Republiki. Nowa władza istniała dzięki temu, co starej było niepotrzebne. Wykorzystywała do granic możliwości wszystko, co szczątki Imperium uznawały za zbędne. Zadowalając się odpadami, niejednokrotnie krzyżowała imperialne plany. Takie postępowanie kłóciło się jednak z hołubioną przez wielu wizją wolnej od Imperium przyszłości, na której Nowej Republice nadal zależało. Wedge zastanawiał się, czy kiedykolwiek ziści się wizja, w której wszystko było nowe, błyszczące i wolne od pamiątek po poprzedniej władzy.

W pewnej chwili zerknął na mężczyznę siedzącego na fotelu dowódcy frachtowca. Wszystko wskazywało, że kapitan Valton nadaje się idealnie do pełnienia swojej funkcji. Wyglądał na zmęczonego życiem, posępnego człowieka, ale także na kogoś, kto ma przed sobą wiele lat wiernej służby. W jego pociągłej, ogorzałej twarzy trudno byłoby znaleźć charakterystyczny rys, ale bystre oczy zdradzały niezwykłą inteligencję. Antilles pomyślał, że gdyby ubrać oficera w kombinezon odźwiernego, nie wyróżniałby się niczym spomiędzy innych pracowników służby pomocniczej jakiejkolwiek bazy Imperium albo Nowej Republiki. Ciekawe, czy któregoś dnia piloci Eskadry Widm nie zechcą tego wykorzystać, pomyślał.

Na szczęście, kapitan nie wyglądał na gadułę. Kiedy pochwycił spojrzenie Wedge'a, popatrzył pytająco, jakby chciał wiedzieć, czy są do niego jakieś pytania. Gdy się przekonał, że nie, bez słowa odwrócił głowę i spojrzał na ekran komputerowego notesu, na którym obliczał stosunek ilości paliwa do masy statku.

Wedge zwrócił uwagę na pilotów Eskadry Widm, których widział przez dziobowe iluminatory „Słonecznej Trawy". Wszyscy wyglądali na pochłoniętych lakierowaniem porwanych myśliwców przechwytujących. Tyria i Kell ozdabiali swój czymś w rodzaju krwistoczerwonej pajęczyny, zaprojektowanej w taki sposób, żeby nadawała maszynie groźny wygląd i wzbudzała postrach w sercach wszystkich, którzy mogliby ją atakować. Phanan i Buźka nie zmienili koloru lakieru swojego myśliwca, ale upstrzyli kadłub absurdalną liczbą sylwetek rzekomo zestrzelonych gwiezdnych maszyn. Namalowali tyle symboli myśliwców typu X-wing, jakby chcieli wywrzeć wrażenie, że są lepsi niż baron Fel, największy as pilotażu Imperium od czasów Dartha Vadera. Shalla i Donos umieścili na kadłubie maszyny fałszywe ślady po trafieniach przez blasterowe strzały, a nawet polakierowali silnik w taki sposób, aby wyglądało, że nie znajduje się w równej linii z drugim, jakby uległ przemieszczeniu w trakcie pojedynku. Wedge zastanawiał się, czy to rozsądne. Na widok takiej maszyny niektórzy wrogowie mogli dojść do wniosku, że myśliwiec przechwytujący jest poważnie uszkodzony. Z pewnością znajdą się śmiałkowie, którzy zechcą skorzystać z okazji i zapolować na maszynę, którą w przeciwnym razie zostawiliby w spokoju.

Wedge postanowił jednak się nie wtrącać. Mimo wszystko to był eksperyment. Piloci musieli się dopiero przekonać, jak nieprzyjaciele zareagują na widok rzekomo uszkodzonej maszyny.

Nagle rozległ się cichy trzask i do życia obudził się jego osobisty komunikator. Antilles wyciągnął urządzenie.

- Panie komandorze? - usłyszał.

- Słucham cię, Patyku.

- „Narra" wraca - zameldował Thakwaashanin. - Przybliżony czas lądowania za piętnaście minut.
- Dziękuję - odparł Wedge. - Bądź łaskaw przygotować moduł konferencyjny. Bez odbioru.

Opuścił mostek „Słonecznej Trawy" i przeszedł przez rękaw cumowniczy do hangaru, w którym jego nozdrza podrażniła ostra woń rozpuszczalników i lakierów. Gwar rozmów pilotów rozlegał się o wiele głośniej niż wówczas, kiedy patrzył na nich z mostka frachtowca. Tak zachowują się doskonali piloci podczas krótkiej przerwy w walkach, pomyślał. Żałował, że takie przerwy nie zdarzają się regularnie.

Mijając myśliwiec przechwytujący z czerwoną pajęczyną, zobaczył, że Tyria skończyła malować jakiś fragment, odłożyła pędzel na pojemnik z czerwonym lakierem i stanęła na palcach, żeby pocałować Tainera.

Już zamierzał ich skarcić, że okazywanie uczucia w miejscu publicznym jest wysoce niewłaściwe, ale po namyśle zrezygnował. Odwrócił głowę i ruszył w dalszą drogę.

Takie zwrócenie uwagi może i byłoby stosowne w innej jednostce, ale nie w dowodzonej przez niego elitarnej eskadrze gwiezdnych myśliwców. Nie powinien wtrącać się w stosunki, jakie łączą jego pilotów, nawet jeżeli różnili się, jak w przypadku Tyrii i Kella, stopniem wojskowym. Żadne regulaminy nie zabraniały okazywania uczuć w czasie wolnym od służby ani podczas wykonywania mniej odpowiedzialnych obowiązków w rodzaju lakierowania kadłubów gwiezdnych maszyn. Nie robili niczego złego. Dlaczego więc czuł się taki rozdrażniony? Dlaczego, gdyby zareagowali protestem na jego napomnienie, był gotów ukarać oboje służbą w kuchni poza kolejnością?

Przeszedł przez trzecie napędzane przez serwomotory drzwi wiodące dalej w głąb szybu, do rejonu, który piloci Eskadry Widm nazywali Wąwozem.

Był to wykuty w litej skale chodnik o kwadratowym przekroju. Ciągnął się prosto i wyróżniał tym, że był pozbawiony jakichkolwiek cech szczególnych. Pod ścianami ustawiono średniej wielkości moduły towarowe, po trzy, jeden na drugim. Ciągnęły się dosyć daleko w głąb tunelu. Niektóre wyposażono w meble, żeby służyły jako pomieszczenia mieszkalne, inne zaś pełniły funkcje łazienek, ubikacji, modułów konferencyjnych, ośrodków łączności albo magazynów. Do wyższych poziomów ułatwiały dostęp automatycznie opuszczane i podnoszone schody.

Buźka pierwszy zauważył, że gdyby się leciało między rzędami modułów miniaturowym myśliwcem typu X-wing, chodnik przypominałby najeżony stanowiskami śmiercionośnej artylerii, metalowy wąwóz pierwszej Gwiazdy Śmierci. Kilka dni później, wracając ze zwiadowczej wyprawy, której celem było zbadanie powierzchni Halmada, Wedge zauważył, że jakiś żartowniś pomalował sklepienie chodnika na czarno, z wyjątkiem miejsc, w których znajdowały się źródła światła. W dodatku tu i ówdzie przeciągnął pod sklepieniem sznury miniaturowych mrugających lampek, żeby upodobnić sufit do usianych punkcikami gwiazd przestworzy.

Wedge postanowił zachować te dekoracje. Nie zamierzał przeszkadzać swoim pilotom w staraniach ozdobienia tak ponurego miejsca jak ta baza, w usiłowaniu dodania jej odrobiny przytulności. Nie chciał podejmować żadnej decyzji, która mogłaby wywrzeć niekorzystny wpływ na morale członków eskadry albo skuteczność podczas walki. Starał się nie utrudniać im już i tak ciężkiego życia.

A jednak... Zaledwie kilka chwil wcześniej był gotów zrobić właśnie coś takiego. Czuł, że jest coraz bardziej zły na siebie, bo nie bardzo wiedział, skąd to się w nim bierze.

Główny moduł konferencyjny znajdował się na środkowym poziomie, po lewej stronie Wąwozu.

Wedge wspiął się po stopniach i zobaczył, że w pomieszczeniu wciąż jeszcze krząta się Patyk. Thakwaashanin wrzucał do worka butelki i opakowania pozostawione przez kogoś, kto wykorzystywał moduł jako jadalnię. Nie przerywając pracy, zasalutował na widok wchodzącego komandora.

Wedge usiadł na krześle przy największym stole.

- Patyku... - zagadnął.

Thakwaashanin wyprostował się, a jego koński ogon lekko się zakołysał.

- Słucham, panie komandorze - powiedział.
- Czy twoje umysły toczą czasami walkę jeden z drugim albo nie zgadzają się ze sobą?

Obca istota wyszczerzyła długie zęby w szerokim uśmiechu... a przynajmniej w grymasie, który Wedge i pozostali piloci Eskadry Widm przyzwyczaili się interpretować jako uśmiech. Ilekroć Patyk rozciągał wargi i ukazywał wielkie zęby, sprawiał wrażenie, jakby chciał kogoś ugryźć.

- Tak jest, panie komandorze - odparł w końcu. - Nawet często. Możliwe, że gdyby wszystkie miały zawsze reagować tak samo, lepiej by się rozumiały, ale wówczas żaden Thakwaashanin nie potrzebowałby więcej niż jednego.
- To prawda - przyznał Antilles. - A co robicie, kiedy jakiś umysł reaguje w irracjonalny sposób i nawet się nie stara wam wyjaśnić, dlaczego?

Patyk spoważniał i chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. Wykorzystał ten czas na sprzątnięcie ze stołu ostatniego opakowania.

- Musimy pamiętać, że do uzyskania każdej odpowiedzi wiedzie wiele ścieżek - zaczął. - Ścieżka myśli. Ścieżka emocji. Ścieżka pamięci. No i ścieżka biologii... Mimo wszystko nie możemy zapominać o hormonach i naturalnych cyklach naszego organizmu. Do uzyskania odpowiedzi na każdy problem może prowadzić kombinacja tych czterech ścieżek.

- Słuszna uwaga. - Wedge dał znak głową że istota może opuścić pomieszczenie. Możliwe, że Patyk ma rację, pomyślał. Wciąż nie potrafiłby podać rozsądnego powodu, dla którego mógłby chcieć ukarać Tyrię za okazywanie uczucia. Nigdy przedtem nie czuł się równie poruszony widokiem całujących się osób. Wykluczał przyczyny natury biologicznej, które dotąd nigdy nie wyprowadzały go z równowagi.

Pozostawały więc emocje, a Wedge chyba uświadamiał sobie, co odczuwał.

A może nie? Wiedział, że był rozdrażniony, czyżby jednak kryło się pod tym coś jeszcze? Powrócił myślami do tamtej sceny... do spontanicznego gestu Tyrii...

Zazdrość.

Pokręcił głową, starając się usunąć tę myśl z głowy. Nonsens, pomyślał. Nie miał absolutnie żadnego powodu, żeby być zazdrosnym.

Nigdy nie żywił żadnych uczuć względem Tyrii. Przyznawał, że młoda pilotka jest urodziwa, ale była jego podwładną w stopniu młodszego oficera, a on starał się unikać jak ognia komplikacji, jakie mogłaby spowodować łącząca ich zażyłość. Co więcej, Tyria nie była w typie kobiet, które zawsze mu się podobały. Miała zbyt dużo samokrytycyzmu, a zbyt mało pewności siebie. Nie odczuwał także zazdrości na myśl, że Kell i Tyria zakochali się w sobie... nawet wtedy, gdy się o tym dowiedział. A więc to, co czuł, nie mogło być zazdrością.

Tyle że nie mogło być niczym innym...

Może wynikało to z faktu, że sam nikogo nie kochał?

Od czasu do czasu zastanawiał się, kim by się stał, gdyby jego rodzice nie zginęli podczas zniszczenia ich stacji paliw. Kim byłby, gdyby nie został najpierw przemytnikiem, a później pilotem gwiezdnego myśliwca Sojuszu Rebeliantów, do czego miał niezwykłe predyspozycje i prawdziwe powołanie? Prawdopodobnie tamten Wedge Antilles mieszkałby do tej pory bezpiecznie w systemie Korela jako bajecznie bogaty i niewiarygodnie otyły właściciel sieci stacji paliwowych. Miałby żonę i kto wie, ile dzieci. Byłby szczęśliwy. Może Wedge zazdrościł tylko tego, że nie stał się tamtą osobą?

Nie żeby był nieszczęśliwy. Był zadowolony z życia... ale samotny. Może właśnie tak jest najlepiej? Stawiał czoło wyzwaniom i ryzykował przez wszystkie te lata, podczas których otaczający go piloci ginęli w różnych bitwach, jakby stanowili żywą tarczę jego myśliwca typu X-wing. Wedge przypuszczał, że któregoś dnia opuści go szczęście, a on stanie się jeszcze jedną ofiarą bezlitosnej wojny.

Tęsknił jednak do małżeństwa, rodziny i normalnego życia. Wiedział, że to wszystko jest w zasięgu ręki. Musiałby tylko przyjąć propozycję admirała Ackbara, zgodzić się na awans do stopnia generała i podjąć pracę w sztabie za biurkiem.

Rozzłościła go ta myśl. Uznał ją za samolubną i usunął z głowy. Znaczył więcej jako pilot i dowódca eskadry, niż mógłby liczyć się kiedykolwiek jako siedzący za biurkiem taktyk. Był mistrzem drążka sterowniczego gwiezdnego myśliwca, a nie komputerowego notatnika. Dzięki temu mogło przeżyć więcej obywateli Nowej Republiki, a zginąć więcej imperialnych nieprzyjaciół. Dopóki tak wyglądała sytuacja, dopóty nie miał prawa snuć marzeń o wygodnym życiu ani kierować się własnymi pragnieniami.

- „Widmo Trzy” do „Widma Jeden” - usłyszał w pewnej chwili.

Ocknął się z zadumy, uniósł głowę i zobaczył stojącego przed nim Jansona. Obok zastępcy prężyła się na baczność Dia Passik. Wes szczerzył zęby w szerokim uśmiechu i nawet na kamiennej zazwyczaj twarzy Twi’lekanki malowało się rozbawienie.

Na stole stała butelka o ściankach pokrytych mgiełką skroplonej pary wodnej. Wedge nie zauważył nawet, czy trunek przyniósł Janson, czy zostawił go Patyk.

Chrząknął, żeby pokryć zakłopotanie.

- Jakieś wieści z Coruscant? - zapytał.

- No cóż, nie mają litości dla oficerów, którym zdarza się zdrzemnąć podczas służby - odparł Janson, wręczając dowódcy zapieczętowany pakiet. - Rozkazy.

Antilles złamał pieczęć i wyciągnął komputerowy notatnik.

- Chce pan, żebym wyszła? - zapytała Dia.
- Nie, usiądź - odparł Antilles. - Możesz na razie być oficjalnym szpiegiem pozostałych pilotów. Jeżeli zorientuję się, że to coś tajnego, porozmawiam o tym później z porucznikiem Jansonem.

Jego zastępca i Dia usiedli naprzeciwko dowódcy, a Wedge zagłębił się w tekście na ekranie notatnika.

- Gratulują nam ataku na bazę na Halmadzie - przeczytał. - Uważają, że pięć myśliwców przechwytujących typu TIE to cenniejsza zdobycz, niż początkowo planowano. Mamy ich zgodę na finansowanie dalszych operacji z tego, co zdobędziemy jako piraci.
- Ho, ho! - wykrzyknął zastępca. - Nieczęsto się słyszy, żeby podejmowali podobne decyzje!

Dia zmarszczyła brwi.

- Jeżeli można spytać... co w tym takiego niezwykłego? - odezwała się.
- To moment, w którym długotrwałe tajne operacje zazwyczaj zbaczają z obranego kursu - wyjaśnił Antilles. - Zaczyna się od tego, że dowódca wyprawy znajduje prywatne źródło zarobków i finansowania dalszej działalności. Zaniża ilości zdobywanych środków finansowych i robi wszystko, żeby zatajana różnica stawała się z każdym dniem coraz większa. Wykorzystuje ją na dofinansowanie operacji, na które nie ma zgody przełożonych. Wkrótce potem powierza wykonywanie nielegalnych zadań niektórym podwładnym. Ci z kolei odkrywają jeszcze skuteczniejsze sposoby pozyskiwania następnych środków, na przykład przemycanie przyprawy, i w ogóle nie meldują o tym zwierzchnikom. Jeżeli nie położy się wystarczająco szybko kresu takiej działalności, w ciągu zaledwie kilku lat taka grupa może się przeobrazić w świetnie zorganizowany przestępczy syndykat. To właśnie dlatego Nowa Republika, a zwłaszcza Wywiad, na ogół nie wyrażają na to zgody. Wynika z tego, że mają do nas wyjątkowe zaufanie. Janson zerknął kątem oka na Twi'lekankę.
- Do nas, powiada - mruknął. - Łudzi się, że w tym wszystkim liczy się coś więcej niż tylko opinia, jaką cieszy się u przełożonych sam Wedge Antilles.

Dia Passik jeszcze raz uśmiechnęła się z przymusem. Wedge spojrzał ponownie na ekran notatnika.

- Mamy zgodę na planowanie i organizowanie wypraw przeciwko imperialnym i rządowym siłom zbrojnym w systemie Halmada i nie tylko - ciągnął z namysłem. - Co więcej, mamy tu do wykonania także kilka zadań jako Eskadra Widm, działająca na własną rękę lub we współpracy z Eskadrą Łotrów i „Mon Remondą". Ani słowa na temat dostawy nowych X-wingów. - Zamknął wieczko notatnika. - Prawdę mówiąc, niczego innego się nie spodziewałem. Passik, masz jakieś pytania?

- Nie, panie komandorze - odparła Twi'lekanka. - Dziękuję, że pozwolił mi pan tego wysłuchać.

- Wiem, jaką wartość mają najświeższe informacje - oznajmił Antilles. - Możesz odejść.

Kiedy wyszła, Janson przeniósł spojrzenie na dowódcę.

- Poleciłem, żeby niektórzy z tych radosnych lakierników zajęli się rozładowaniem „Narry" - zameldował. - Dostaliśmy kilka zestawów dokumentalnych i rozrywkowych holowideogramów i kilka następnych kompletów fałszywych kart identyfikacyjnych, jakie udało się wydrzeć z gardeł funkcjonariuszy naszego Wywiadu. Przysłali nam także symulacyjny moduł myśliwca przechwytującego typu TIE, żebyśmy zainstalowali w symulatorze zwykłej gały, a także zestaw biernych sensorów, które zamierzałeś wykorzystać do prowadzenia obserwacji imperialnej bazy.

- To dobrze.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoił się Janson. Wedge kiwnął głową.

- To tylko zmęczenie - zapewnił. - Chyba się starzeję. A jeżeli już o tym mowa, powinienem wskoczyć do symulatora i poćwiczyć, żeby nie zostać w tyle za młodzieżą.

- To może ci dobrze zrobić - przyznał zastępca. - Ja po czymś takim zawsze czuję się o wiele lepiej.

Wedge wystukał osobisty kod na klawiaturze zainstalowanej na klapie włazu symulatora myśliwca typu TIE. Nie umieszczono jej na wierzchołku kulistej kabiny, gdzie znajdował się właz prawdziwej maszyny przechwytującej, ale na rufie, gdzie powinny się znajdować bliźniacze silniki jonowe.

Klapa włazu się otworzyła. W ciemnej kabinie majaczyła jakaś postać, która mierzyła do Antillesa z małego blastera. Reagując odruchowo, Wedge rozpłaszczył się na posadzce, przetoczył na bok, uklęknął i wyciągnął swój pistolet.

Z kabiny nie padł jednak żaden strzał ani nie wyskoczył żaden nieprzyjaciel. Nie przestając mierzyć w czarny otwór, komandor wyciągnął komunikator.

- Jakiś problem, dowódco? - zapytał Buźka. Opierał się niedbale o stojący kilka metrów dalej symulator myśliwca typu X-wing.

- Padnij! - rozkazał Antilles. - W tej kabinie kryje się nieprzyjaciel!

Buźka cofnął się za róg symulatora, ale wychylił głowę, żeby zajrzeć do kabiny symulatora dowódcy eskadry.

- E, chyba nie, panie komandorze - powiedział. Jego usta zadrżały, jakby z trudem hamował uśmiech.

Wedge wstał, podszedł krok bliżej i wychylił się tylko na tyle, żeby zerknąć w głąb kabiny symulatora. Kiedy nic się nie stało, wychylił się trochę dalej i spojrzał uważniej.

Intruz w kabinie symulatora gały był Ewokiem.

Naturalnie, nie był to żywy Ewok. W kabinie stała wypchana kukła wzrostu i budowy ciała prawdziwego Ewoka... do złudzenia imitująca żywą istotę.

Miała na sobie zmniejszoną wersję standardowego kombinezonu pilota gwiezdnego myśliwca Nowej Republiki, nie wyłączając autentycznie wyglądającego, chociaż zminiaturyzowanego panelu kontrolnego na piersi, hełmu na głowie i blastera w dłoni.

Kukla trzymała komputerowy notes w drugiej dłoni. Wedge wyszarpnął go i spojrzał na ekran. Widniały na nim słowa:

PORUCZNIK KETTCH MELDUJE GOTOWOŚĆ DO OBJĘCIA SŁUŻBY.

ZYG, ZYG, KOMANDORZE.

Wedge uśmiechnął się z przymusem i pokręcił głową.

- Czasami wydaje mi się, że tracę zmysły - mruknął do siebie. Wywlókł kukłę z kabiny symulatora i podał ją Loranowi.

- Zajmij się tym - powiedział.

Buźka, który tak bardzo starał się zachować powagę, że nie mógł wykrztusić słowa, po prostu zasalutował i odszedł z pilotem-Ewokiem w objęciach.

- Przeniesiono mnie do grupy pułkownika Repnessa? - Lara zerknęła jeszcze raz na otrzymany rozkaz i udała zaskoczenie. - Nie rozumiem. Nie ukończyłam jeszcze podstawowego szkolenia w symulatorach myśliwców typu X-wing. Czyżbym miała trafić do grupy zaawansowanej?

Starosta jej grupy, rudowłosy młokos, którego potrafiłaby pokonać jedną ręką, gdyby nie ograniczenia odgrywanej roli, uśmiechnął się pyszałkowato.

- Rzeczywiście chyba niczego nie rozumiesz - powiedział. - Repness szkoli najgorszych kandydatów na pilotów, a przecież zaliczasz się do ich grona. Notsil, zostałaś wyrzucona z naszej grupy. Repness jest twoją ostatnią nadzieją, ale nie miej żadnych złudzeń. To tylko odroczenie ostatecznego wyroku. W przyszłym tygodniu o tej porze twoja prycza będzie wolna.

- Lowanie, jesteś zerem - warknęła Lara.

- Zapomnę, że to powiedziałaś - oznajmił starosta. - Wyrzucą cię stąd tak szybko, że nawet nie zdążyłbym o tym zameldować.

Odwrócił się, żeby wyjść. Lara odprowadziła go spojrzeniem do drzwi. Wyobraziła sobie, że facet ma na plecach tarczę celowniczą, a ona trzyma blaster i strzela... i nagle średnia wyników kandydatów jej klasy raptownie zwyżkuje.

Nie mogła się jednak rozmieniać na drobne. O wiele lepiej będzie wrócić do służby u lorda Zsinja, zasiąść za sterami myśliwca przechwytującego typu TIE i rozpylić Lowana na atomy podczas powietrznego pojedynku.

Z drugiej strony, jak by się poczuła, gdyby przyszło jej się zmierzyć z kandydatką Lussatte? Sullustanka nie dorównywała jej pod względem umiejętności, ale chociaż uważała się za lepszą, nie gardziła nią ani nie poniżała jej jak Lowan. Lara zestrzeliłaby ją bez problemu... ale coś jej mówiło,

że żałowałaby tego do końca życia.

Pokręciła głową i postarała się o tym nie myśleć. Przeniesienie do innej grupy wiązało się z koniecznością przeprowadzki do innego internatu. Powinna się spakować.

ROZDZIAŁ 7

Jeżeli to ma być nagroda, pomyślał Buźka, to już więcej na nią nie zasłużę.

Bezpiecznie przypięty w kulistej kabinie jednego z porwanych myśliwców przechwytujących typu TIE, siedział w stanie nieważkości na fotelu pilota i spoglądał przez iluminatory na panoramę gwiazd i widoczne w oddali samotne słońce. Widok nie zmieniał się od godziny, podobnie jak muzyka wydobywająca się z głośników kabiny. Może dlatego że słyszał ją ósmy raz, zaczynała mu działać na nerwy. Doszedł do wniosku, że na następne wyprawy, zwłaszcza te, podczas których musi zachowywać ciszę w eterze, powinien zabierać więcej nagrań muzyki rozrywkowej.

Kiedy wyprawił się na przeszpiegi do Hullisa i któregoś wieczoru popijał trunek w jednym ze stołecznych barów, zwrócił uwagę na nawigatora jakiegoś frachtowca. Zauważył, że kiedy mężczyzna sięgał po pierwszą szklaneczkę z trunkiem, jego dłoń drżała, i chyba nie tylko z powodu ogromnej chęci przepłukania gardła. Zagadnął nawigatora, nawiązał z nim rozmowę i upił go do tego stopnia, że mężczyzna zapomniał o zasadach bezpieczeństwa. Buźka stawiał mu kolejkę za kolejką, ale w nagrodę musiał wysłuchiwać, jak jego kompan od wypitki wychwala pod niebiosa inteligencję kapitana swojego statku.

Okazało się, że pijany nawigator służy na pokładzie „Barderii", startującego z Halmada i odbywającego trzyetapowe rejsy frachtowca, którego kapitanowi udawało się jakimś cudem unikać do tej pory ataków gwiezdnych piratów. Porządnie podchmielony mężczyzna zwierzył się Garikowi z tajemnicy powodzenia.

- Odlatujemy z każdego systemu z losowo wybranego punktu przestworzy i wskakujemy do każdego systemu w losowo wybranym punkcie przestworzy - powiedział. - Dzięki temu nikt nie potrafi prześledzić kursu, jakim latamy.

- Wasz kurs musi być potwornie skomplikowany - powiedział Buźka współczującym tonem.

- Nie tak bardzo, jak sobie wyobrażasz - stwierdził nawigator. - Kiedy przylatujemy do jakiegoś systemu, wyskakujemy z nadprzestrzeni w niewielkiej odległości od planety krążącej po najdalszej orbicie od jej słońca. Przeszukujemy pasma częstotliwości telekomunikacyjnych systemu i zapoznajemy się z dostępnymi raportami o ostatnich napadach gwiezdnych piratów. W końcu dokonujemy korekty trajektorii lotu i wyskakujemy w punkcie, w którym chcieliśmy się znaleźć.

- Aha - mruknął Buźka. - A czy ten punkt, w którym wyskakujecie po długim locie w nadprzestrzeni, żeby dokonać poprawki kursu, jest zawsze taki sam? - zapytał.

- To właśnie dlatego moje zadanie jest takie proste - przyznał nawigator.

Kiedy popijawa w barze dobiegła końca, Garik odprowadził mężczyznę na pokład frachtowca.

Nawigator był tak pijany, że nie zwracał uwagi na otoczenie, na kompanów od kieliszka, a nawet na to, co się z nim dzieje. Buźka doszedł do wniosku, że ktoś na tyle beztroski, aby zdradzać nieznajomemu tak ważny szczegół, może okazać się równie beztroski we wszystkim, co dotyczy bezpieczeństwa statku. Przepisał do pamięci swojego notatnika zaszyfrowane informacje, jakie znalazł w komputerowym notesie nawigatora, a kiedy wrócił do bazy Jastrzębionietoperzy, zapoznał z nimi Castina Donna. Pilot z Coruscant bez trudu złamał szyfr i zaczął czytać informacje, ale nie znalazł żadnej, która pozwoliłaby mu się dowiedzieć czegokolwiek na temat szlaków, jakimi latała „Barderia”... Natknął się jednak na listę współrzędnych punktów usytuowanych na obrzeżach wielu gwiezdnych systemów. Na ich podstawie nietrudno było się domyślić, dokąd zamierza się udać następnym razem kapitan frachtowca.

Buźkę potwornie swędziała skóra wokół ust, ale nawet gdyby zdjął hełm imperialnego pilota, nie mógłby się podrapać. Jego twarz szpeciły straszliwie ściągnięte, pomarszczone szramy i blizny... sztuczne, powstałe w wyniku naniesienia na skórę środka chemicznego, który pełnił rolę makijażu. Na twarzy nie brakowało także prawdziwej blizny, którą umiejętnie wkomponowano między te fałszywe.

Prawdziwa blizna przysparzała mu sporo kłopotów. Ilekroć chciał uchodzić za kogoś innego niż w rzeczywistości, musiał ją ukrywać albo otaczać fałszywymi szramami. Mógłby się jej pozbyć dzięki nieskomplikowanemu, chociaż dość kosztownemu zabiegowi kosmetycznemu i kuracji płynem bacta, ale zawsze dotąd uważał, że nie powinien tego robić. Blizna przypominała mu nieustannie o długu, jakiego nigdy nie będzie w stanie spłacić. Występując jako dziecko w imperialnych holodramatach, bezwiednie pomagał specjalistom od imperialnej propagandy przedstawiać Imperium w korzystniejszym świetle, wzbudzać do niego większą sympatię i wysławiać jego poczynania, dzięki czemu przybywało chętnych rekrutów. Buźka uważał, że nie może się wyprzeć tej winy i nie potrafił o niej zapomnieć. Blizna była tego widocznym śladem. Spójrzcie na mnie, mówiła. Tylko ja pozostałam z tamtych czasów.

Wszystkie dodatkowe blizny nadawały jego twarzy groźny wygląd, ale swędziały. Potwornie swędziały. A z głośników sączyła się wciąż ta sama muzyka.

W pewnej chwili zapłonęło światełko na pulpicie sensorów, a na ekranie monitora pojawiła się plamka. Dołączyła do siedmiu, które czekały nieruchomo w przestworzach. Z nadprzestrzeni wyskoczyła „Barderia”... na tyle blisko, że od razu znalazła się w zasięgu działek obu myśliwców, jego i Antillesa.

Kiedy Buźka chwytał drążek sterowniczy, z głośnika komunikatora rozległ się cichy trzask.

- Tu „Jedynka” - odezwał się Wedge. - Lecą bez osłon. Biorę na cel silniki. Ognia!

Kiedy Buźka obrócił myśliwiec przechwytujący typu TIE wokół osi, zobaczył w dole po stronie sterburty mniej więcej stumetrowy, kanciasty koreliański frachtowiec. Po rufie statku tańczyły zielone rozbłyski laserowych błyskawic, wystrzelonych z miejsca odległego o zaledwie dwa kilometry. Garik zachwycił się refleksem komandora. Antilles nie znajdował się ani trochę bliżej, nie był też zwrócony pod lepszym kątem do „Barderii”, a jednak zareagował szybciej niż on.

Kiedy Buźka kierował lufy działek na frachtowiec, zobaczył, że wieżyczka turbo-lasera statku obraca się i kieruje w stronę myśliwca dowódcy. Zgrzytnął zębami, ale uświadomił sobie, że turbolaser nie jest najbardziej niebezpiecznym systemem spośród tych, jakimi wciąż jeszcze

dysponował kapitan statku. Zignorował stanowisko artylerii i wziął na cel zestaw anten systemów, telekomunikacyjnych „Barderii". Pierwszy strzał pozostawił zwęglony ślad na kadłubie, ale drugi przemienił anteny w stopiony metal, a uchodzący gaz wyglądał, jakby doszło do niewielkiej eksplozji. Dopiero kiedy Buźka skierował się w stronę statku, poniewczasie sprzągł lasery, żeby wszystkie strzelały równocześnie, i otworzył ogień do stanowiska turbolasera.

Strzały niosły obecnie większą energię i zupełnie zniszczyły wieżyczkę działa. Wedge i Buźka okrążyli unieruchomiony frachtowiec i z bezpośredniej odległości obejrzeli uszkodzenia.

- Tu „Jedynka" - odezwał się Antilles. - Silniki zniszczone. Żadnych śladów ucieczki atmosfery w przestworza. Wygląda na to, że kadłub nie został przebity.

- T u „Ósemka" - zameldował Garik, - Anteny systemów łączności zniszczone. Główne stanowisko artylerii przestało istnieć. Powiedziałbym, że to doskonała pozycja wyjściowa do negocjacji. Rozpoczynam rozmowę. - Przełączył pokładowy komunikator na szerokie pasmo częstotliwości, zawierające także zakres wykorzystywany przez osobiste komunikatory. Zwiększył moc wyjściową pokładowego nadajnika na tyle, żeby mogli go usłyszeć także członkowie załogi frachtowca. Chrząknął groźnie, jakby zamierzał podkreślić wagę wypowiadanych słów, i postarał się nadać głosowi chrapliwe brzmienie.

- Kapitanie „Barderii", mówi generał Kargin z Niezależnej Gwiezdnej Floty Jastrzębionietoperzy - zaczął. - Zamierzamy opanować twój statek. Jesteśmy przedsiębiorcami i nie wyrządzimy żadnej krzywdy członkom załogi, którzy się dobrowolnie poddadzą. Gwarantuję, że przekażemy ich w ręce ratowników, którzy przylecą z tego systemu. Jesteśmy jednak bardzo podejrzliwi i niecierpliwi, więc jeżeli ktoś zechce stawiać nam opór, sprowadzimy go do naszej bazy, żeby poddać przesłuchaniu, którego nie zapomni do końca życia... o ile przeżyje. Poddaj swój statek i przygotuj śluzy na przyjęcie oddziałów abordażowych... albo przygotuj się na oddychanie próżnią.

Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Niemal natychmiast z odbiornika pokładowego komunikatora usłyszał głos przerażonego mężczyzny:

- Tu kapitan Rhanken z pokładu niezależnego statku towarowego „Barderia". Poddaję swój frachtowiec. Bakburtowe i sterburtowe śluzy gotowe na przyjęcie waszych oddziałów abordażowych.

Okazało się, że oddział abordażowy jest bardzo nieliczny. Na spotkanie z załogą przechwyconego frachtowca przylecieli tylko Buźka, Castin i Phanan. Wszyscy trzej byli ubrani w szare wersje regulaminowych kombinezonów imperialnych pilotów myśliwców typu TIE. W tym czasie pozostali piloci kierowali lufy laserowych działek na kadłub „Barderii". Frachtowiec miał uszkodzone silniki, które nie mogły zasilać ochronnych pól, jednostki napędu nadświetlnego ani systemów uzbrojenia, więc gdyby zdecydowali się otworzyć ogień, statek łatwo padłby łupem „piratów".

Prowadzeni przez drżącego jak liść nawigatora, a zarazem specjalistę od systemów łączności - tego samego, który nieświadomie zdradził Garikowi informacje umożliwiające atak na statek - rzekomi piraci wkroczyli na nieskazitelnie czysty mostek „Barderii". Czekali tam na nich pozostali członkowie komitetu powitalnego. Najbliżej drzwi stał kapitan, siwiejący mężczyzna w średnim wieku o wyglądzie byłego imperialnego oficera. Towarzyszył mu młodszy szef pilotów, z którego

zachowania i butnej miny wynikało, że pełni także obowiązki bosmana. Starał się sprawiać wrażenie, że marzy o rozerwaniu intruzów gołymi rękami.

Buźka zdjął hełm, ukazał straszliwie oszpeconą twarz i w nagrodę usłyszał, jak wszyscy trzej członkowie załogi statku zachłystują się powietrzem.

- Jestem generałem i nazywam się Kargin - odezwał się dumnie, starając się nadawać głosowi niskie, chrapliwe brzmienie. - To ja powołałem do życia oddział Jastrzę-bionietoperzy i stanąłem na jego czele. - Przeniósł spojrzenie na siwiejącego mężczyznę w mundurze dowódcy. - Panie kapitanie?

Dowódca frachtowca nie zasalutował, ale wyprostował się z wyraźnym przymusem, jakby dźgnięty ostrogą.

- Nazywam się Rhanken i jestem kapitanem „Barderii" - powiedział.

- Panie kapitanie? - powtórzył Garik, tym razem nadając głosowi jeszcze bardziej złowieszcze brzmienie.

- I jestem zmuszony przekazać panu dowodzenie tym statkiem - dodał Rhanken. Buźka wyciągnął do niego lewą rękę.

- Manifest okrętowy? - zapytał.

Oficer łącznościowiec, przynaglony do działania groźnym wyglądem rzekomego herszta piratów, zaczął gorączkowo przeszukiwać kieszenie munduru. W końcu znalazł komputerowy notes i wręczył go Garikowi.

Buźka przekazał go Castinowi.

- „Dwójka", poszperaj w pamięci ich głównego komputera i odszukaj prawdziwy manifest okrętowy - rozkazał. - Jeżeli nie będzie się w stu procentach zgadzał z tą listą, wszystkich rozstrzelamy. - Odwrócił się do kapitana i popatrzył na niego groźnie. - Może jednak okażę ci miłosierdzie - dodał po chwili. - Jeżeli podejrzewasz, że w tym wykazie są jakieś błędy, powiedz mi o nich, a unikniesz kary.

Rhanken spoglądał na niego bez mrugnięcia okiem.

- Nie spodziewam się żadnych problemów - powiedział. - Naturalnie, jeżeli nikt z członków mojej załogi sienie pomylił, co nigdy dotąd się nie zdarzyło. - Zerknął spode łba na oficera łącznościowca. - Czy będą z tym jakieś problemy, panie poruczniku? - zapytał.

Młodszy oficer, który nie zaliczał się do mistrzów w ukrywaniu prawdy, wyraźnie zbladł.

- Ja... n-n-nie przypominam sobie, czy zapisałem ostateczną wersję manifestu, czczy planowaną z ubiegłego tygodnia - wyjąkał w końcu.

- Znajdź ostateczną wersję i przekaż mu ją, abyśmy mogli być pewni, że wszystko jest w porządku - warknął kapitan.

- Rozkaz, proszę pana. - Oficer skłonił się i przystąpił do pracy.

Ciekawe. Buźka musiał się bardzo starać, żeby nie okazać pogardy i rozbawienia. Kapitan usiłował się bawić w nieomylnego dowódcę. Zamierzał obarczyć podwładnego odpowiedzialnością za taktykę, za którą powinien sam odpowiadać. Gdyby miał do czynienia z bandą prawdziwych piratów, mogłoby to się zakończyć śmiercią porucznika. Minęło kilka długich minut, zanim oficer łącznościowiec odnalazł w pamięci pokładowego komputera ostateczną wersję manifestu. Castin pokonał zabezpieczenia, włamał się do pamięci komputera i upewnił, że wersja zapisana w pamięci notatnika jest zgodna z ostateczną. Korzystając z tego, że Phanan trzyma na muszce wszystkich trzech, Buźka i Castin zaczęli przeglądać zapiski.

- Spójrz na to! - szepnął w pewnej chwili Garik. - Halmadzka Wyborowa! Całe tony! To najlepszy i najdroższy alkohol zbożowy, jaki produkuje się na Halmadzie. Jego eksport jest możliwy wyłącznie dzięki istnieniu czarnego rynku, a przemyca się go na inne imperialne planety w takich ilościach, że stał się jednym z głównych źródeł eksportowych zysków. Co jeszcze... rozmaite lekarstwa, spryskiwacze do durbetonu, prefabrykowane schrony... Zabierzemy cały transport halmadzkiej wyborowej i niewielkie ilości różnych lekarstw, bo nic więcej nie zmieści się w ładowniach „Słonecznej Trawy". Widzisz jeszcze coś, co może się nam przydać?
- Części zapasowe do zwykłych myśliwców typu TIE i maszyn przechwytujących - odparł szeptem Castin.
- Co? Gdzie? - żachnął się Buźka.

Pilot z Coruscant obrócił komputerowy notes w taki sposób, żeby Garik mógł spojrzeć na ekran. Widniał na nim inny wykaz.

- Ściągnąłem to z pamięci ich komputera, kiedy sprawdzałem zgodność obu wersji manifestu - wyjaśnił Castin tak cicho, żeby nie usłyszał go żaden członek załogi opanowanego frachtowca. - To planowany manifest na następny odcinek podróży. Naprawdę przydałoby się nam trochę części zapasowych i podzespołów, żebyśmy nie musieli się martwić, jak usuwać uszkodzenia.
- Masz rację, ale nasza niespodziewana wizyta z pewnością zmusi ich do zmiany planów na dalszą część podróży - stwierdził Buźka.
- To prawda, ale gdybyśmy potrafili się domyślić, w jaki sposób...
- Słuszna uwaga. - Buźka wyprostował się i spiorunował kapitana spojrzeniem. - Rhanken, poleć swoim ludziom, żeby zgromadzili pozycje od dwudziestej ósmej do sto dwudziestej siódmej i jeszcze dwusetną obok włazu towarowego. „Dwójka", skontaktuj się ze „Słoneczną Trawą". Niech przylecą tu i przygotują się na przejęcie ładunku.
- A co później? - zapytał kapitan.
- Później odlecimy.
- I pozwolicie nam dryfować w przestworzach? Bez systemów łączności, bez źródeł energii? Chcecie, żebyśmy tu zginęli?

Buźka uśmiechnął się lodowato.

- Masz kapsuły ratunkowe z nadajnikami, które powinny ci wystarczyć do powiadomienia ratowników w tym systemie - powiedział. - Oszczędzimy ci trochę czasu i wyślemy sygnał z prośbą o ratunek. Nie chcemy, żebyś miał z naszego powodu jakiekolwiek kłopoty. Możesz także powiedzieć kolegom kapitanom, z którymi się spotykasz w najbliższej przyszłości, że Jastrzębionietoperze nie zabijają... chyba że są rozdrażnieni albo znudzeni. Niech wezmą to sobie do serca.

Pułkownik Atton Repness, dowódca eskadry ćwiczebnej Wrzaskliwi Wookie, stacjonującej na pokładzie fregaty szkoleniowej Nowej Republiki o nazwie „Tedevium", wymierzył w Larę Notsil urządzenie takim gestem, jakby trzymał miniaturowy blaster.

Kandydatka spojrzała na nie z wyraźnym zainteresowaniem. Miało kształt standardowego cylindrycznego komunikatora, ale nim nie było... Lara wiedziała o tym, bo wcześniej zbadała je na wylot. Zrobiła nawet coś więcej, kiedy przed dwoma dniami włamała się do osobistej kabiny Repnessa.

- Bardzo mi przykro, panie pułkowniku - powiedziała. - Czy powinnam podnieść ręce, czy może wygłosić przemówienie?

Starszy instruktor się uśmiechnął.

- Bardzo zabawne - powiedział. - To nie jest broń. To urządzenie ma zapewnić, że nikt nie zarejestruje naszej rozmowy.

- A kto mógłby chcieć ją zarejestrować?

Pułkownik spojrzał w prawo i w lewo, chociaż on i Lara byli sami w skromnie umeblowanej salce konferencyjnej fregaty.

- Czasami nigdy nie wiadomo - powiedział. - Pozostawię je włączone.

- To pan jest dowódcą - odparła potulnie kandydatka, ale uśmiechnęła się w duchu. Stojący przed nią mężczyzna nie zachowywał się jak instruktor. Pewnie nawet sobie tego nie uświadamiał, ale zaczął się zachowywać jak przyjaciel... albo spiskowiec.

- Wiesz chyba, że odkąd przeniesiono cię do Wrzaskliwych Wookiech, uzyskiwane przez ciebie wyniki uległy wyraźnej poprawie - zaczął cicho.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- No cóż, to tylko w części zasługa twoich umiejętności.

- Tylko w części? - zapytała Lara, udając zdumienie.

- Właśnie. - Repness wyjął z kieszeni komputerowy notatnik i popchnął go ku niej po blacie stołu. Widoczny na ekranie zbiór przedstawiał wyniki jej szkolenia, ale te, jakie uzyskała od chwili przeniesienia, zapisano w dwóch kolumnach, oznaczonych odpowiednio PRAWDZIWE i SKORYGOWANE.

Lara popatrzyła na instruktora zdezorientowana.

- Nie rozumiem, panie pułkowniku - powiedziała. - Z kolumny oznaczonej PRAWDZIWE można

wnioskować, że moje rzeczywiste wyniki wciąż jeszcze nie są zadowalające. Co prawda, niewiele mi brakuje do tego, żebym zaliczyła, ale jednak. Nie wiem natomiast, co mają oznaczać wyniki w drugiej kolumnie.

- Cóż, postarałem się, żeby były trochę lepsze - odparł Repness.

Lara pozwoliła, żeby na jej twarzy odmalowało się jeszcze większe zdumienie. Wyglądało na to, że nie wie, jak zareagować ani co powiedzieć.

- Widzisz - ciągnął tymczasem instruktor - wydaje mi się, że masz zadatki na bardzo dobrą pilotkę, więc postanowiłem jakiś czas zawyżać twoje wyniki, żeby cię stąd nie wywalono. Zrobiłem to, bo chyba nie poradziłabyś sobie bez mojej pomocy. Musisz jednak wiedzieć, że to wymaga wspólnego wysiłku... a dotąd nie zrobiłaś niczego, żeby mi w tym pomóc, prawda?

- Tak, ale... bardzo bym chciała - bąknęła kandydatka. - Po prostu nie wiem, w jaki sposób. Wszystko tu jest takie... inne niż w poprzedniej grupie.

- Doskonale - ucieszył się Repness. - Potrzebujemy cię w moim zespole. Współpraca będzie wprawdzie wymagała od ciebie dodatkowego wysiłku... ale czekają cię nagrody, których nie mogłabyś uzyskać w tamtej grupie.

A potem wyjawił, na czym polega jej zadanie. Miała zasiąść za sterami myśliwca typu A-wing i przelecieć nim w pobliże sąsiedniej niezamieszkanej planety, żeby w jej atmosferze doskonalić kilka dziecinnie łatwych, rutynowych manewrów. W pewnej chwili powinna zameldować, że na kontrolnym pulpicie w kabinie jej maszyny zapaliła się ostrzegawcza lampka i sygnał alarmowy sygnalizuje katastroficzne uszkodzenie jednostek napędowych, które rzekomo się przegrzały i groziły eksplozją. Potem powinna czekać, aż Repness wyda jej rozkaz katapultowania... ale przedtem musiała bezpiecznie wylądować całkowicie sprawnym myśliwcem typu A-wing na powierzchni gruntu. Ekipy dochodzeniowe z pokładu fregaty wszczęłyby dochodzenie, lecz umiejętnie zdetonowana w atmosferze bomba jonowa powinna im dostarczyć dowodów potwierdzających całkowite zniszczenie gwiezdnego myśliwca. Wspólnicy Repnessa odprowadziliby maszynę, żeby ją sprzedać na czarnym rynku innej, odległej planety, a pilotkę zabrałaby wezwana ekipa ratunkowa.

Starając się nie okazywać znudzenia, Lara wysłuchała do końca przemówienia pułkownika. Udawała najpierw zainteresowanie, potem przerażenie, a w końcu oburzenie. Z początku odmówiła, ale kiedy Repness oznajmił, że nie ma wyboru, z oporami przyjęła jego propozycję.

Starała się ukrywać ogarniające ją uniesienie. Wiedziała, że dzięki urządzeniu, które miało uniemożliwiać rejestrowanie ich rozmowy, wszystkie wypowiadane przez nich słowa są zapisywane w pamięci pokładowego komputera fregaty pod nazwiskiem nieistniejącego pilota.

Dlaczego miałaby informować pilotów Eskadry Widm, że Repness zdecydował się w końcu złożyć jej propozycję? Dlaczego miałaby zawracać sobie tym głowę, skoro mogła przekreślić jego dalszą karierę i ocalić swoją o wiele łatwiej, niż zdołaliby podwładni komandora Antillesa?

Tym razem to był inny gwiezdny system... system Halmada, i punkt usytuowany w dużej odległości od orbity krążącej najdalej od słońca planety, ale sytuacja wyglądała bardzo znajomo.

Kiedy drugi raz piraci z bandy Jastrzębionietoperzy wkroczyli na pokład jego frachtowca, kapitan Rhanken nawet nie starał się udawać niewzruszonego spokoju.

- Jakim cudem zdołaliście się dowiedzieć, w którym punkcie przestworzy wyskoczymy? - zapytał, a w jego głosie brzmiała czysta rozpacz.

- Zapytaliśmy właściwą osobę - odparł obojętnie Buźka. - System bezpieczeństwa waszej gildii handlowej ma dziury, przez które mógłbym przelecieć Gwiazdą Śmierci.

Naturalnie, nie było w tym ani słowa prawdy. Kiedy ostatni raz przebywali na mostku frachtowca, Castin Donn przepisał z pamięci pokładowego komputera archiwalne dane na temat tras, jakimi latała „Barderia", a potem starannie zatarł po sobie wszystkie ślady. Z rejestrów nie wynikało, jakiej zmiany w harmonogramie lotów mógł dokonać kapitan frachtowca, żeby wyjaśnić, co stało się z transportowanymi towarami... ale można było wywnioskować, w jaki sposób reagował w przeszłości w podobnych sytuacjach. Piraci z bandy Jastrzębionietoperzy napadli na niego drugi raz, kiedy wracał do domu.

Buźka doszedł do wniosku, że jeżeli nawet analitycy ze służby bezpieczeństwa gildii handlowej nie uwierzą w to kłamstwo, to nie szkodzi, bo nic nie ulegnie najmniejszej zmianie. Jeżeli jednak uwierzą, mogą zarządzić gruntowne zmiany w standardach i protokołach przekazywania informacji. Na dłuższą metę uniemożliwiłoby to Jastrzębionietoperzom prowadzenie pirackiej działalności, ale w ciągu tego krótkiego okresu, przez jaki piloci Eskadry Widm zamierzali odgrywać rolę piratów, wywołałoby to zamęt i zmiany, na jakie tylko czekało grono agentów Wywiadu Nowej Republiki.

Piloci Eskadry Widm czuli się doskonale jako piraci.

- Rhanken, niech twoi ludzie zgromadzą obok włazu towarowego pozycje od czterdziestej trzeciej do siedemdziesiątej dziewiątej - rozkazał Buźka. - Zabierzemy je i odlecimy. Już drugi raz muszę cię pochwalić. Miło prowadzi się z tobą interesy.

Kiedy Lara Notsil zaczęła badać zbiór z nagraniem jej rozmowy z pułkownikiem Repnessem, od razu zauważyła, że jest zbyt obszerny i zawiera coś więcej. Pomyślała, że może instruktor wykorzystywał urządzenie zagłuszające także podczas rozmów z innymi osobami.

Przeczucie jej nie zawiodło. Natknęła się nie tylko na swoją rozmowę, ale także późniejszą relację z niej, jaką Repness złożył wspólnikowi o nazwisku Teprimal, instruktorowi w stopniu kapitana. Omawiali szczegóły planu ukrycia i sprzedaży myśliwca typu A-wing.

Lara znalazła także coś jeszcze. Z niesmakiem, ale i z zadowoleniem, zorientowała się, że Repness posługiwał się urządzeniem także w swojej kabinie. Włączał je, ilekroć korzystał z osobistego terminalu, żeby wpisać informacje do pamięci głównego komputera. Tak bardzo się obawiał, iż ktoś go podsłucha, że graniczyło to z paranoją, i właśnie ten strach miał się przyczynić do jego zguby. Starszy instruktor miał zwyczaj, mówiąc do siebie, podawać hasła umożliwiające dostęp i wymieniać nazwiska rzekomych autorów rejestrowanych informacji.

Zaledwie po kilku minutach zapoznawania się z zawartością zbioru Lara uzyskała dostęp do wszystkich zapisków pułkownika i poznała szczegóły jego nielegalnego, ale popłatnego procederu. Repness był czarnorynkowym handlarzem i prowadził działalność zarówno na Coruscant, jak i na pokładzie fregaty szkoleniowej „Tedevium". Przesyłane do ładowni okrętu towary i sprzęt nie trafiały do odbiorców, a czasami nawet nie pojawiały się w wykazach manifestów okrętowych. Zazwyczaj bywały szybko sprzedawane, a zyskami dzielił się Repness z gronem zaufanych wspólników.

Lara znalazła swoje wyniki, jakie osiągała od rozpoczęcia szkolenia, a także wyniki kilkunastu innych kandydatek i kandydatów, których Repness nakłonił albo dopiero zamierzał namówić do współpracy. Niektórzy, jak pilotka Eskadry Widm, Tyria Sarkin, nie zgodzili się mu pomagać w porywaniu gwiezdnych myśliwców... ale Repness szantażem zmuszał wszystkich do milczenia. Inni przyłączali się do jego „zespołu", ale z zapisków pułkownika nie wynikało, czy decydowali się na to pod przymusem, czy z własnej woli. Jeszcze innym kandydatom - niektórych Lara znała - instruktor złożył propozycję, ale dał trochę czasu do namysłu.

Nie znalazła żadnych dowodów, z których można by wywnioskować, że Repness ma wspólników w komórkach wojskowego Wywiadu albo w biurze Generalnego Inspektora. Zaczęła pisać list, który chciała wysłać zarówno do generała Crackena z Wywiadu, jak i do Generalnego Inspektoratu sił zbrojnych Nowej Republiki.

Nikt nie zdoła mnie zobaczyć, poznać ani powstrzymać.

Nie oprze mi się żaden komputer, otwierają się przede mną wszystkie zbiory, nie ukryją się przede mną żadne tylne furtki, informacje przesuwają się ochoczo przed moimi oczami, same proszą, żeby się z nimi zapoznawać, jestem jedi elektronicznego świata.

Natknąłem się na zło na pokładzie „tedevium". natknąłem się na korupcję i jak rycerz jedi postanowiłem ją wykorzenić.

Zbadajcie te zbiory, przekonajcie się, że są autentyczne, zorientujecie się, że to szczera prawda.

Skierujcie się tam, dokąd was zaprowadzą.

Czyńcie swoją powinność, podobnie jak ja czynię swoją.

Powodzenia.

Biały lansjer

Zanim wysłała list, postanowiła przeczytać go jeszcze raz, i dodała kilka błędów ortograficznych i przestankowych. Kiedy skończyła, jej dzieło wyglądało jak typowa notatka anonimowego włamywacza komputerowego, który umila sobie wolny czas, pokonując zabezpieczenia rozmaitych systemów. Lara wiedziała, że nikt na pokładzie szkoleniowej fregaty nie ma pojęcia o jej umiejętnościach, z których słynęło wielu innych członków załogi i kandydatów na pilotów. Istniało duże prawdopodobieństwo, że to właśnie oni będą podejrzewani o włamanie do pamięci pokładowego komputera. Ten i ów mógł nawet, pragnąc zdobyć sławę, sam zasugerować, że jest tajemniczym Białym Lansjerem.

Dołączyła do listu zarejestrowane nagrania rozmów Repnessa oraz wszystkie hasła i nazwiska rzekomych autorów, jakie udało się jej wykryć.

Musiała tylko się zastanowić, co zrobić ze zbiorami dowodzącymi, w jaki sposób Repnessowi udało się usidlić innych kandydatów na pilotów. I tu się zawahała.

Doszła do wniosku, że najlepiej byłoby ujawnić nazwiska wszystkich, którzy dobrowolnie lub pod przymusem zgodzili się pomagać instruktorowi. Domyślała się, że ich kariery legną w gruzach, co mogło zadać bolesny cios Nowej Republice... to znaczy Rebeliantom, poprawiła się w myśli. Drugą korzyścią było to, że do walki przeciwko Imperium stanie mniej dobrze wyszkolonych przeciwników. Gdyby zresztą nieuczciwi kandydaci zasiedli kiedyś za sterami gwiezdnych maszyn, i

tak wcześniej czy później większość zginęłaby podczas pojedynków z imperialnymi pilotami. Lara pomyślała, że jeżeli od razu przekreśli ich kariery, wyświadczy im przysługę. Gdyby się dowiedzieli, że zawdzięczają jej życie, na pewno by jej podziękowali.

Mimo to jeszcze nie zaczęła pisać. Od najmłodszych lat miała nadzieję, że pewnego dnia zostanie pilotką gwiezdnego myśliwca. Kierując się przykładem rodziców, zgłosiła się do służby w Imperialnym Wywiadzie. Zaczęła wtedy zdradzać zamiłowanie do pilotażu i nawet przeszła podstawowe przeszkolenie. Jej przełożeni doszli do wniosku, że ta umiejętność może się jej kiedyś przydać. W końcu Lara uświadomiła sobie, że właśnie latanie jest jej prawdziwym powołaniem. Mimo to jej prośba o przeniesienie do korpusu pilotów została odrzucona. Umiejętności funkcjonariuszki Imperialnego Wywiadu były rzadsze i cenniejsze niż opanowanie sztuki pilotażu, więc wbrew woli musiała nadal szkolić się jako agentka. „Uwierz nam, tak będzie lepiej dla ciebie - mówili wówczas jej instruktorzy. - Któregoś dnia nam za to podziękujesz".

W pewnej chwili na ekranie notatnika pojawiła się młodziutka twarz kandydata na pilota, niejakiego Bickeya, który należał także do dowodzonej przez Repnessa eskadry szkoleniowej Wrzaskliwi Wookie. Bickey trafił do niej zaledwie kilka dni później niż Lara. Jeżeli pułkownik zechce postąpić z nim podobnie jak ze wszystkimi innymi kandydatami, prawdopodobnie po kilku następnych dniach przedstawi mu podobną propozycję. Bickey był bardzo młodym, trochę naiwnym, ale gorliwym kandydatem. Palił się, żeby demonstrować umiejętności i odwagę. Kiedyś zwierzył się jej, że wolałby zginąć młodo podczas bitwy z nieprzyjaciółmi, niż umrzeć w podeszłym wieku na jakiejś farmie. Nie, pomyślała Lara. Bickey nigdy by mi nie podziękował za to, co mogłabym mu zrobić.

Cały czas w rozterce dołączyła wykaz swoich osiągnięć do listu, który zamierzała wysłać do generała Crackena, a potem bardzo starannie zniszczyła pierwotne i rezerwowe pliki przedstawiające w niekorzystnym świetle pilotów i kandydatów, którzy szkolili się w eskadrze Repnessa. Niech zginą, skoro tego chcą, pomyślała. Niech umrą jak piloci.

Zaadresowała gotowe do wysłania listy i zbiory w taki sposób, żeby trafiły tajnymi kanałami do biura Crackena. Przypuszczała, że dotrą do adresata jeszcze tego samego dnia wieczorem i zostaną przeczytane przez jednego z podwładnych generała.

Tego dnia miała jeszcze tylko jedną rzecz do zrobienia.

Spojrzała na urządzenie do zagłuszania dźwięków w dłoni Repnessa, nie kryjąc pogardy.

- Ostrożny jak zawsze, co, Attonie? - zapytała.

Pułkownik się rozejrzał, starając nie okazywać zdenerwowania, ale w klasie pozostał już tylko on i kandydatka.

- Masz się zwracać do mnie „panie pułkowniku" i okazywać mi szacunek - warknął z urazą.

- Będę się zwracała do ciebie „pułkowniku Gnojku" i okazywała, co mi się spodoba - odparła Notsil.

Repness otworzył usta i spojrzał na nią, ale nic nie powiedział.

- Postanowiłam, że nie przyłączę się do twojego zespołu, Repness - skorzystała z okazji Lara. - Nie zamierzam ci pomagać w porwaniu myśliwca typu A-wing. Wręcz przeciwnie. Uprzedzę twoich przełożonych o tym, co knujesz.

Pułkownik roześmiał się z przymusem.

- To ci nic nie pomoże, Notsil - powiedział. - Nie masz żadnych dowodów. To koniec twojej kariery jako pilotki. Nigdy więcej nie zasiądziesz za sterami gwiezdnego myśliwca. Pomyśl tylko, jak będzie wyglądała reszta twojego życia.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła beztrosko kandydatka. - Mogę żyć bez latania myśliwcem, ale nie potrafiłabym żyć bez honoru. - Z pewnym niepokojem uświadomiła sobie, że te słowa wynikają z głębokiego przekonania o ich słuszności, a nie z odgrywanej roli, ale zmusiła się, żeby usunąć tę myśl z głowy. - I mylisz się, twierdząc, że to koniec mojej kariery. Wręcz przeciwnie. To koniec twojej kariery.

- Nie sądzę. - Repness się roześmiał. - Wiesz, co zrobię? Najpierw zasugeruję przełożonym, aby zapoznali się z twoim profilem psychologicznym. Naturalnie, przedtem go zmodyfikuję i już za kilka dni umieszczę w twoich aktach. Kiedy się przekonają, jaka z ciebie nałogowa kłamczucha, nie uwierzą ci, nawet gdybyś im powiedziała, że w idealnej próżni nie da się oddychać.

Lara uśmiechnęła się drwiąco.

- Naprawdę myślisz, że będziesz miał te kilka dni na sfałszowanie moich akt? - zapytała.

- Oczywiście - odparł instruktor, bardzo pewny siebie. - W tym czasie będziesz przecież słodko spała.

Wymierzył jej cios tak szybko, że Lara zobaczyła tylko rozmazaną smugę zamiast jego ręki. Pięść pułkownika trafiła ją w kość policzkową i rozcięła skórę.

Ujrzała oślepiającą jasność i straciła nie tylko ostrość spojrzenia, ale także większość zmysłów. Chwilę miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Gdy pomyślała, że chyba źle rozegrała tę rozmowę, jej plecy i głowa zderzyły się z posadzką. Powinno ją zaboleć, ale nic nie poczuła.

Na chwilę odzyskała normalne widzenie i zauważyła, że Repness stoi nad nią z odchyloną do tyłu nogą.

Potem czubek jego buta trafił ją w skroń i Lara Notsil pogrążyła się w niebycie.

Piloci ośmiu pozostałych tęponosych myśliwców Eskadry Widm przelecieli ostatni raz przed mostkiem kalamariańskiego krążownika. Zakołysali skrzydłami maszyn na znak szacunku, zatoczyli zgrabny łuk i utworzyli szyk dwójkowy, żeby osiąść na lądowisku bakburtowego hangaru „Mon Remondy".

Wedge i jego tymczasowy skrzydłowy, Buźka, pierwsi przelecieli przez kurtynę magnetycznego pola oddzielającego atmosferę w hangarze od próżni przestworzy, pierwsi też zobaczyli komitet powitalny oczekujący na nich w jedynym wolnym miejscu pośród myśliwców typu X-wing i wahadłowców. Wedge zmniejszył dopływ energii do głównych jednostek napędowych i repulsorów i zaczął powoli lecieć ku komitetowi. Z zadowoleniem zauważył, że Garik idealnie wiernie powtarza jego manewr. Osadzili maszyny w dwóch najdalszych od wrót hangaru strefach ładowniczych i równocześnie otworzyli owiewki kabin.

Spojrzeli na stojących w idealnie równym szeregu pilotów Eskadry Łotrów. Wyglądali jak pluton egzekucyjny. Przed szeregiem stał Han Solo. Wyglądało na to, że czuje się nieswojo w mundurze

generała sił zbrojnych Nowej Republiki. Na jego twarzy widniał jednak radosny uśmiech. Han najwyraźniej poczuł ulgę na widok Antillesa.

Wedge zszedł po drabince na płytę lądowiska i zdjął hełm, żeby wystawić twarz na lekki podmuch. Usłyszał charakterystyczny skowyt repulsorów lądujących myśliwców pozostałych Widm, a także dobiegający z daleka brzęk i stuk metalowych narzędzi używanych podczas napraw pozostałych gwiezdnych maszyn. Przy wszechobecnej woni smarów i paliwa, no i napływającym od kurtyny magnetycznego pola zapachu ozonu, Wedge poczuł się w hangarze bardziej swojsko i swobodnie niż w każdej innej kwaterze.

Podszedł do generała Solo, przyjął postawę zasadniczą i zasalutował.

- Komandor Wedge Antilles i piloci Eskadry Widm meldują gotowość do służby, panie generale.

Solo odpowiedział o wiele mniej regulaminowym salutem.

- Witaj na pokładzie „Mon Remondy" - powiedział. - Przedstaw mi pozostałych pilotów... żebym mógł jak najszybciej pozbyć się tego nieznośnego munduru.

Wedge udał zdumienie.

- Ależ... panie generale - zaczął niepewnie. - Właśnie miałem wspomnieć, jak dziarsko wygląda pan w tym mundurze. Sądzę, że powinniśmy pozostać tu w mundurach co najmniej kilka godzin, żeby holo - reporterzy mogli zarejestrować scenę naszego powitania. Rozumie pan... dla potomności.

Solo dalej szczerzył zęby w łobuzerskim uśmiechu, ale na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju paniki, jaką czasami przejawiają zapędzone w róg dzikie zwierzęta. Mimo to jego głos miał beztroskie brzmienie.

- Antilles, chyba każę cię zabić - powiedział.

- Tak jest, panie generale - odparł Wedge. - Mam nadzieję, że z tej okazji włoży pan polowy mundur.

Han udał, że się poddaje.

- Wiesz, że gdybym przy mojej opinii kiedykolwiek oskarżył o niesubordynację jednego ze swoich oficerów, stałbym się pośmiewiskiem całej Nowej Republiki - powiedział.

- Tak jest, panie generale - przyznał ochoczo Antilles. - Prawdę mówiąc, trochę na to liczyłem.

Kiedy wylądowali pozostali piloci jego eskadry, wyłączyli silniki, wyskoczyli z kabin i zaczęli się witać ze wszystkimi. Wedge przedstawił podwładnych pilotom Eskadry Łotrów i przywitał się z kapitanem Onomą, kalamariańskim dowódcą „Mon Remondy".

Wyszli z hangaru i skierowali się do kwater oficerskich korytarzami, które sprawiały wrażenie tworów organicznych. Miały łagodnie zaokrąglone, cieszące oko kształty i miłe pastelowe kolory, bardzo różne od szarych, ponurych korytarzy i pomieszczeń innych okrętów. Solo zapoznał Wedge'a z najnowszymi faktami.

- Oficjalnie w hangarach „Mon Remondy” stacjonują cztery eskadry gwiezdnych myśliwców - powiedział. - Łotry, Widma, Włócznicy... - to eskadra myśliwców typu Awing, Nova, czyli eskadra myśliwców typu B-wing. Naturalnie, piloci Eskadry Widm oficjalnie spędzają większość czasu na długich patrolach. Nikt nie ma pojęcia, że bawicie się w piratów, a wasze obowiązki spadają na barki Łotrów i Włóczników.

- Czyżbym słyszał irytację w twoim głosie? A może zazdrość? - zapytał Antilles.

- Zazdrość - odparł Solo. - Chcesz się zamienić?

- Mowy nie ma.

- Stanąłbyś na czele wszystkich sił zbrojnych, którym Nowa Republika przydzieliła zadanie odszukania Zsinja - kusił Han. - Mógłbym ci nawet załatwić awans na generała.

- Wybij to sobie z głowy.

Udając, że godzi się z odmową, Solo westchnął.

- Tak czy owak, krążymy wokół teoretycznych granic rzekomo opanowanego przez Zsinja obszaru przestworzy - podjął po chwili. - Kiedy funkcjonariusze Wywiadu sygnalizują nam dobry cel, lecimy tam i rozwalamy go na kawałki. Zbieramy także dane na temat prawdopodobnych ruchów „Żelaznej Pięści” w nadziei, że uda się nam ustalić jej macierzysty port albo przewidzieć trasę następnego lotu. Na razie nie mamy zbyt dużo szczęścia, chociaż staramy się zbierać dane i sprawdzać poszlaki tak starannie, jak tylko możemy.

- Kto wie, może nie powinniście ich zbierać ani sprawdzać aż tak starannie? - odezwał się Antilles. - Chyba wiesz, co mam na myśli?

Solo powiódł kolumnę pilotów do kabiny dużej osobowej turbowindy, którą zjechali na niższy poziom ogromnego okrętu.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał.

- Zsinj lubi stosować taktyki walki, które opierają się w dużej mierze na informacjach od agentów jego wywiadu - zaczął Wedge. - Jeżeli celowo rozpuszcza pogłoski, które później sprawdzacie, może chce tylko się zorientować, jak dowódca „Mon Remondy” reaguje na takie wiadomości. Kiedy się w końcu upewni, rozpowszechni jakąś wyjątkowo smakowitą plotkę, a wy, starając sieją zweryfikować, wpadniecie w zastawioną pułapkę, z której nie wyjdzie cało nawet taki krążownik jak „Mon Remonda”.

Solo gwizdnął.

- Słuszna uwaga - przyznał. - Na razie otrzymujemy tylko strzępki informacji, które trudno poskładać w jakąkolwiek całość, więc nie mamy powodu podejrzewać, że któreś są celowo rozpuszczane. Jeżeli jednak przyjmiemy, że Zsinj spodziewa się bardzo dużego profesjonalizmu nawet u nieprzyjacielskich analityków...

- Spodziewa się - przerwał Antilles. - Jeżeli chcesz, mogę polecić swojej specjalistce od spraw wywiadu... nazywa się Shalla Nelprin, spotkałeś ją w hangarze...

- Pamiętam - przytaknął Han.

- ...mogę jej polecić dokonanie analizy otrzymywanych przez was informacji i waszych reakcji - dokończył Antilles. - Przekonamy się, czy postępujecie zawsze według określonego wzorca.

- Powiem, żeby wstawiono do jej kabiny komputerowy terminal - obiecał Solo. Przestał sprawiać wrażenie zakłopotanego. Spoważniał i stał się czujny, jak przystało na dowódcę w mundurze generała.

Buźka wyszedł z kabiny turbowindy za Dią i jednym z pilotów Eskadry Łotrów, Twi'lekiem, który przedstawił się jako Nawara Ven. Przypadkiem usłyszał, że Łotr usiłuje nawiązać z Dią rozmowę. Nie zrozumiał słów i domyślił się, że to twi'lekański, rodzinny język istot z Rylotha.

Dia nie odpowiedziała jednak w tym języku. W jej głosie nie było śladu emocji.

- Proszę, mów w basicu - poprosiła.

Nawara Ven był tak zaskoczony, że dopiero po sekundzie przyszedł do siebie.

- Bardzo przepraszam - powiedział. - Mówiłem, że kiedy będziesz miała trochę wolnego czasu, musimy się spotkać, by porozmawiać.

- O czym?

- O domu... - zaczął niepewnie Ven. - O naszych doświadczeniach. Oboje jesteśmy Twi 'lekami w siłach zbrojnych Nowej Republiki.

- Urodziłam się wprawdzie na Rylothu, ale potem planeta mnie wykopała - odparła Passik. - Oddała mnie jak jakiś przedmiot przywódcy imperialnego syndykatu przestępczego. Przestałam uważać Ryłoth za swój dom. Jestem istotą bez ojczyzny, więc bardzo wątpię, czy mamy podobne doświadczenia... chyba że i ty byłeś niewolnikiem.

- No cóż, nie byłem, ale...

- Więc chyba wyczerpaliśmy listę możliwych tematów rozmowy - ucięła Dia. Przyspieszyła i zostawiła Vena za sobą.

Nawara odwrócił się do innego twi'lekańskiego pilota Eskadry Łotrów, wysokiej istoty o agresywnym wyglądzie wojownika. Buźka przypomniał sobie, że tamten nazywa się Tal'dira.

Wojowniczy Twi'lek spojrzał na Nawarę z wymuszonym uśmiechem.

- Wydaje mi się, że przegrałeś tę sprawę, doradco - powiedział.

- Nie przypominam sobie, żebym brał udział w jakimś procesie - odciął się Nawara.

Kiedy Buźka rozpakowywał rzeczy w kabinie, którą dzielił z Mynem Donosem, rozległ się nagle pisk jego komunikatora. Garik włączył urządzenie.

- Porucznik Loran jest proszony o zgłoszenie się do dowódcy eskadry - usłyszał głos Antillesa.

Buźka wcisnął guzik mikrofonu.

- Rozkaz, panie komandorze - powiedział.

Gdy pojawił się w kabinie dowódcy, Wedge siedział przy małym biurku i wpatrywał się z groźną miną w ekran komputerowego notatnika. Garik zasalutował, a Wedge oddał machinalnie salut i nie patrząc na gościa, gestem dał znak, żeby usiadł.

- Wygląda na to, że problemy z Lara Notsil... się same rozwiązały - odezwał się w końcu.

Buźka poczuł, że ma w żołądku bryłę lodu.

- To zabrzmiało bardzo złowieszczo, panie komandorze - odparł niepewnie.

W końcu dowódca oderwał spojrzenie od ekranu i przeniósł je na podwładnego.

- No cóż, wcale nie tak bardzo - stwierdził. - Wygląda na to, że sama opuściła młot na głowę pułkownika Repnessa. Nie chciała mieszać w to ciebie ani Phanana. Ani słowem nie wspomniała także, że wszystko było z góry ukartowane.
- Słucham, panie komandorze? - zdziwił się Garik.
- Właśnie przekazano mi jej akta - ciągnął Wedge. - Złożyła podanie o przeniesienie do jednej z moich eskadr, Łotrów albo Widm. Z akt wynika, że Repness chciał ją zwerbować do zespołu czarnorynkowych handlarzy. Kiedy odmówiła, pułkownik zaatakował ją, kazał naszpikować narkotykami i zapakował do pokładowej izby chorych. Na szczęście, nieznany włamywacz komputerowy, prawdopodobnie członek załogi fregaty szkoleniowej „Tedevium", zdobył dowody na to, czym naprawdę instruktor się zajmował, i przesłał je bezpośrednio do Wywiadu. Funkcjonariusze Crackena wkroczyli do akcji i aresztowali Repnessa, zanim zdołał wyrządzić Notsil większą krzywdę.

Buźka zastanowił się nad tym, co usłyszał.
- Ale jeżeli we wszystkim innym postępowała zgodnie z pierwotnym planem - odezwał się w końcu - to jej wyniki prawdopodobnie nie pozwolą uzyskać licencji pilotki gwiezdnego myśliwca.

- Masz rację - przyznał Wedge. - Z akt wynika jednak, że kiedy wracała do zdrowia po napaści Repnessa, wyjawiła dowódcy „Tedevium" swoją tajemnicę. Powiedziała mu, że kiedy postanowiła się sprzeciwić Repnessowi, pomogło jej to uporać się z poważnym problemem emocjonalnym, który trapił ją od czasu zniszczenia kolonii osadników na Aldivie, gdzie dorastała. Poprosiła go, żeby pozwolił jej pokazać, co naprawdę umie, a dowódca instruktorów przystał na to. Przeszła przyspieszone szkolenie i osiągnęła zdumiewająco dobre wyniki. Nawet gdyby uśrednić je z tymi, jakie uzyskała poprzednio, dostałaby licencję pilotki bez problemu. Ma tak duże umiejętności i skuteczność, że mógłbym ją przyjąć do jednej ze swoich eskadr.
- Cieszę się, że to słyszę, panie komandorze - odparł z wyraźną ulgą Buźka.
- Kłopot w tym, że obie eskadry nie mają w tej chwili żadnych braków osobowych - podjął Antilles. - Żadna nie potrzebuje nowych pilotów. Na szczęście, Notsil ma własny X-wing... tęponosy myśliwiec, którego przedtem używał pułkownik Repness. Nie sądzisz, że się jej należał?

Garik parsknął drwiąco.

- To akt zemsty ze strony dowódcy „Tedevium”? - zapytał.

- Chyba tak - przyznał Wedge. - Nowym dowódcą fregaty szkoleniowej został generał Crespin z bazy Folor. Muszę przyznać, że rozpoznaję w tej decyzji jego specyficzne poczucie humoru. Może zresztą ktoś uważał, że tęponosy myśliwiec Repnessa przynosi pecha... sam wiesz, jak przesądni potrafią być czasami piloci gwiezdnych maszyn. Tak czy owak, postanowiłem przyjąć Notsil do Eskadry Widm, choćby tylko dlatego, żeby powiększyć liczbę naszych X-wingów.

- To wspaniała wiadomość, panie komandorze - zapewnił Loran. Wedge obrzucił go surowym spojrzeniem.

- Ty i Phanan macie spowodować, żeby także potem była to wspaniała wiadomość - powiedział.

- Rozkaz, panie komandorze - odparł wyraźnie zgaszony Buźka.

- Wyglądasz na przygnębionego, „Ósemka” - zauważył Wedge. - Czyżby twój generator sarkazmu stracił zasilanie?

- Coś w tym rodzaju, panie komandorze - odparł Garik.

- Czujesz ulgę, że problemy związane z Lara Notsil nie wepchnęły twojej kariery w czeluść czarnej dziury ani nie zrobiły z ciebie wroga generała Crackena?

- Tak jest, panie komandorze.

- No cóż, poinformuję mądrale z Eskadry Widm, że jakiś czas mogą się na tobie wyżywać. Możesz odejść.

ROZDZIAŁ 8

- Niedawno przydzielono ją do Eskadry Widm, która stacjonuje na pokładzie „Mon Remondy” - poinformował generał Melvar.

On i lord Zsinj siedzieli sami w oficerskiej świetlicy „Żelaznej Pięści”. Mimo to wokół rozległ się gwar rozmów odpoczywających pilotów, brzęk szklanek i chlupot nalewanych trunków... charakterystyczne dźwięki, jakie Zsinj odtwarzał zazwyczaj przy takich okazjach.

Rozmówca generała zamarł ze szklaneczką w pół drogi do ust. Melvar czuł woń trunku, który wyglądał jak świetna coruscańska brandy, ale wiedział, że w rzeczywistości Zsinj sączy tylko syntetyzowany bezalkoholowy substytut. Czasami lord starał się sprawiać wrażenie, że nie stroni od kieliszka, ale nigdy nie pił, ilekroć dowodził super-niszczycielem. Czasami wypijał kolejkę syntetyku za kolejką i pozwalał podwładnym się łudzić, że jest coraz bardziej pijany. Posuwał się do tego, że mówił bełkotliwie i poruszał się w sposób nieskoordynowany.

- To wspaniała wiadomość - odezwał się w końcu Zsinj. - Dopilnuj, żeby przekazała nam współrzędne kursu i trasy planowanych lotów „Mon Remondy”. Zniszczymy okręt generała Solo i te uprzykrzone eskadry myśliwców typu X-wing, które od tak dawna nie dają mi spokoju. W nagrodę urządzę Garę Petothel na resztę życia, a nawet zaproponuję jej na pokładzie „Żelaznej Pięści” stanowisko, jakie sama wybierze.

- Mam nadzieję, że z wyłączeniem mojego - mruknął Melvar.

- Włącznie z twoim. - Zsinj się uśmiechnął. - Dla ciebie znajdę coś jeszcze lepszego.

- Problem w tym, że dotąd nie zdołaliśmy się z nią porozumieć - ciągnął generał. - Zdobycie jej aktualnego wizerunku zajęło nam sporo czasu, a jeszcze więcej porównanie go z wizerunkami wszystkich innych osób płci żeńskiej, służących w tej chwili w eskadrach Antillesa. Trochę potrwało również upewnienie się, że nazywa się teraz Lara Notsil i jeszcze do niedawna była kandydatką na pilotkę. Bardzo starannie zmieniła wygląd i zatarła wszelkie ślady.

- To tylko dowodzi jej rozsądku - przyznał Zsinj.

- Zaczęła pełnić służbę na pokładzie fregaty szkoleniowej i jakiś czas nie wiedzieliśmy, co się z nią dzieje - dodał Melvar. - Potem trafiła do izby chorych czy aresztu, a jeszcze później odbyła przyspieszone szkolenie, któremu bardzo uważnie się przyglądano. Mogliśmy śledzić jej poczynania, ale nie zdołaliśmy się z nią skontaktować.

Zsinj wpatrywał się w niego jakiś czas i mrugał bez słowa. Z jego twarzy można było wyczytać: Jak to miło, że masz jakiś problem. Postaraj się teraz go rozwiązać.

- Więc znaleźliśmy jednego z jej krewnych - podjął generał. - To właśnie on się z nią skontaktuje.

- Krewnego Gary Petothel? - zainteresował się Zsinj.

- Nie... Lary Notsil, kobiety, której tożsamość sobie przywłaszczyła - wyjaśnił Melvar. - Lara dorastała pośród mieszkańców osady, zwanej Nowym Staromieściem...

Zsinj się wzdrygnął.

- Chyba żartujesz - mruknął. - Żadna osada nie może się tak nazywać.

- Na planecie o nazwie Aldiva - dodał generał. - Admirał Trigit zrównał osadę z ziemią za to, że mieszkańcy nie chcieli go zaopatrywać.

- Jesteś pewien, że nie zrobił tego z powodu jej nazwy? - zapytał Zsinj.

- Trigit nie żyje, więc miałbym kłopot, gdybym chciał go o to zapytać - odparł cierpko Melvar. - Tak czy owak, jeden z braci prawdziwej Lary Notsil, mieszkaniec Nowego Staromieścia...

- Nigdy więcej nie wymawiaj przy mnie tej nazwy - burknął Zsinj. - Drażni moje uszy.

- ...wrócił do domu po kilku miesiącach, jakie spędził, służąc pod przybranym nazwiskiem w Imperialnej Marynarce - podjął niezrażony generał. - Kiedy go odnalazłem, odsiadywał wyrok w więzieniu miasta, którego nazwy nie wolno mi wymieniać w pańskiej obecności.

- Więc wyciągnąłeś go z celi i zwerbowałeś - domyślił się lord.

- Przydzieliłem mu agenta, który uczy go, jak posługiwać się sztućcami, nosić buty i udawać, że Gara Petothel jest jego prawdziwą siostrą. Ma jej przekazać wiadomość o treści: „Żyję i spodziewam się, że ty też żyjesz". Powinien ją wypowiedzieć takim tonem, żeby Gara bez trudu zrozumiała, o co chodzi.

- Doskonale - mruknął Zsinj. - Pospiesz się z tym, Melvar. Chcę, żeby „Mon Remonda" jak najszybciej zniknęła z mojego szlaku. Na mój gust członkowie załogi i piloci są zbyt skuteczni i mają za wiele szczęścia. Jeżeli będą mi nadal uprzykrzali życie, może mnie to słono kosztować.

Planeta ukazywana przez holograficzną kamerę w sali odpraw nie wyglądała zachęcająco. Była średniej wielkości czerwonobrunatną skałą z kilkoma ledwo odcinającymi się od powierzchni czarnymi morzami. Krążyła wokół żółtego słońca charakteryzującego się tym, że wyglądało jak wiele innych gwiazd w galaktyce.

Stojący na podwyższeniu Wedge wskazał mikroskopijny jasny punkt.

- Planeta nazywa się Lavisar, a ta plamka to jej stolica i główny kosmoport, Syward. Z danych archiwalnych zapisanych w centralnej bibliotece planety wynika, że planeta miała kiedyś o wiele większą średnicę i siłę ciążenia, ale została zniszczona w wyniku serii kolizji z ogromnymi asteroidami. Lavisar jest wszystkim, co z niej pozostało. Obfituje w złoża rud metali ciężkich, których pozyskiwaniem i przetwarzaniem zajmują się pracownicy wielu świetnie prosperujących przedsiębiorstw wydobywczych i rafinerii. Ma także bardzo dobrze rozwinięty przemysł stoczniowy.

- To właśnie takie planety Zsinj lubi najbardziej - odezwał się Buźka. Widząc pytające spojrzenie pilota Eskadry Łotrów, Corrana Horna, domyślił się, że powinien powiedzieć coś więcej. - Podczas ostatniej wyprawy natknęliśmy się na obrzeża jego finansowego imperium, o którego istnieniu nikt wcześniej nie miał pojęcia. Zsinj wybiera niewinnie wyglądające planety o prężnej gospodarce. Na każdej jest właścicielem przynajmniej jednego zakładu przemysłowego, ale

sprawuje nad nim kontrolę pod przybranym nazwiskiem... innym na każdej planecie. Może chce tylko zapewnić sobie miękkie lądowanie, gdyby władcy tych planet opowiedzieli się po stronie Nowej Republiki. Nawet w takim przypadku będzie miał dość środków na dalsze finansowanie wojskowej działalności.

- Z ostatnio zebranych danych wynika, że Lavisar może być także jedną z takich planet - podjął Antilles. - Co prawda jest usytuowany poza obszarem, który przywykliśmy uważać za opanowany przez niego rejon przestworzy, ale za to w Sywardzie mieści się baza Drapieżników. Przynajmniej tak można wywnioskować z niedawno przechwyconych sygnałów, jakie udało się rozszyfrować funkcjonariuszom naszego wywiadu. Baza znajduje się na terenie głównego ośrodka przemysłowego firmy Skyrung Manufacturing, która otrzymała licencję na montaż wahadłowców klasy Lambda.

Drapieżnicy stanowili elitarne oddziały sił zbrojnych Zsinja. Lepiej wyszkoleni i wyposażeni niż imperialni szturmowcy, byli najczęściej widzianym i rozpoznawanym symbolem władzy lorda, podobnie jak wszędobylski myśliwiec typu TIE był uniwersalnym symbolem dominacji Imperium.

- Więc jaki mamy plan? - zapytał Tal'dira, jeden z twilekańskich pilotów Eskadry Łotrów. - Atak z powietrza? Szturm oddziału komandosów? A może połączenie jednego i drugiego?

- A może ani jedno, ani drugie - odparł Wedge. - Shallo, przedstaw nam swój raport. Pilotka Eskadry Widm wstała. Wyglądała na trochę zdenerwowaną spojrzeniami Łotrów.

- Dokonałam analizy sposobu, w jaki załoga „Mon Remondy" i jej grupa szturmowa reagowały na rozmaite bodźce zewnętrzne w rodzaju przechwytywanych sygnałów, zeznań pochwyconych podwładnych lorda Zsinja i tak dalej - zaczęła. - Nie brałam pod uwagę reakcji na oficjalne rozkazy wojskowych Nowej Republiki. Zajęłam się tą pracą na wypadek, gdyby to sam Zsinj rozpowszechniał pogłoski, żeby dowiedzieć się, jak na nie reagujemy. Stwierdziłam, że chociaż istnieją pewne różnice w czasie reakcji, grupa szturmowa reaguje zazwyczaj w łatwy do przewidzenia sposób. Każdemu bodźcowi nadaje się priorytet: wysoki, średni, niski albo bardzo niski... proszę pamiętać, że to moje określenia, nie oficerów dowodzących okrętami grupy... i w zależności odwagi priorytetu określa się sposób reakcji. Wysoki priorytet, na przykład wezwanie o ratunek z pokładu okrętu Nowej Republiki, który znajduje się w pobliżu albo jest atakowany, powoduje niezmiennie wysłanie grupy szturmowej o sile ognia trochę większej niż siła ognia okrętów nieprzyjaciół. Grupa szturmowa leci prosto z miejsca, w którym aktualnie znajduje się „Mon Remonda", prosto do punktu, gdzie załoga naszego okrętu przeżywa trudne chwile. Bodziec w rodzaju sygnałów, jakie otrzymaliśmy z Lavisara, powoduje zawsze wysłanie na powierzchnię planety ekipy zwiadowców. Ich zadanie polega na upewnieniu się, czy źródło sygnału może być celem dalszej akcji. Jeśli tak, z reguły następuje później atak z powietrza. - Wzruszyła ramionami przepraszająco. - Dotychczasowe reakcje były bardzo łatwe do przewidzenia. Usiadła, ale kręciła się niespokojnie na krześle.

- A łatwo przewidywalne reakcje to najprostsza droga na tamten świat - stwierdził Corran Horn.

- Więc co powinniśmy zrobić? - zapytał Gavin Darklighter, pochodzący z Tatooine pilot Eskadry

Łotrów. Młody brązowowłosy mężczyzna stoczył i wygrał wiele gwiezdnych pojedynków. Miał duże doświadczenie, któremu zadawała kłam prostoduszna twarz wieśniaka. - Zamiast ataku z powietrza wysłać kwiaty i słodycze?

- Byłoby to lepsze, niż gdybyśmy postąpili jak zazwyczaj - odezwała się Shalla. - Nie wiedzieliby, co o tym sądzić.

Asyr, bothańska pilotka, która siedziała obok Gavina i trzymała rękę na jego ramieniu, pokręciła głową, a po jej sierści przemknęły drobne fale.

- Kiedy zareagujemy pierwszy raz inaczej niż Zsinj się spodziewa, damy mu do zrozumienia, że chcemy go schwytać - stwierdziła.

Wedge spojrzał na nią i uśmiechnął się z przymusem.

- Witaj w świecie wątpliwości dowódców - powiedział. - Masz rację. A teraz jeszcze coś, co pogorszy naszą sytuację. Kiedy otrzymałem raport Shalli... chwileczkę. - Odpiął komunikator od pasa i zbliżył usta do mikrofonu. - Słucham.

Piloci Łotrów i Widm słyszeli wydobywający się z miniaturowego głośnika pomruk, ale nie zrozumieli ani słowa.

- Tak. Jak najbardziej - odezwał się w końcu Antilles. - Najwyższa pora. - Wyłączył urządzenie i z powrotem przypiął je do pasa. - Kiedy dzisiaj rano Shalla przedstawiła mi swój wstępny raport, generał Solo, kapitan Celchu i ja zapoznaliśmy się z danymi na temat dotychczasowych wypraw „Mon Remondy". Informacje agentów wywiadu są ogólnikowe, ale dowodzą, że przynajmniej w pięciu miejscach, które atakowała ostatnio nasza grupa szturmowa, bezpośrednio po ataku zaobserwowano dziwne ożywienie Drapieżników, którzy starali się rzucać wszystkim w oczy. Czy ktoś chciałby przedstawić prawdopodobny powód takiej ich reakcji?

Dłuższy czas nikt się nie odzywał. W końcu rękę uniósł dowódca jednego z kluczy Łotrów, Nawara Ven.

- Możesz mówić - zezwolił Antilles.

- Jeżeli Zsinj pragnie wodzić nas za nos i oceniać nasze reakcje, musi podsuwać nam cele, żebyśmy mogli je atakować - zaczął Twi'lek. - Jeszcze przed chwilą przypuszczałem, że sugeruje nam miejsca, które opanował albo okupuje... a które nie przedstawiają dla niego szczególnego znaczenia. Doszedłem jednak do wniosku, że to by nie wyjaśniało, dlaczego po naszych atakach Drapieżnicy wykazują ożywioną działalność i starają się rzucać w oczy. - Zmarszczył brwi, intensywnie myśląc. - Gdyby jednak starał się nam wmówić, że należą do niego obszary, nad którymi w rzeczywistości nie sprawuje żadnej władzy...

- ... oznaczałoby to, że nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy je atakowali - dokończyła Tyria.

Nawara spojrzał na nią z uwagą.

- Może być jeszcze gorzej - podjął po chwili. - Załóżmy, że dopiero prowadzi rozmowy, żeby przyłączyć do swojego imperium ośrodki albo planety, na których opanowaniu mu zależy, ale negocjacje nie przynoszą spodziewanych rezultatów. Wie, że nasze ataki drastycznie osłabią miejscową obronę i ułatwią Zsinjowi zdobycie tych planet, a przynajmniej prowadzenie dalszych rozmów z pozycji siły.

Buźka przyłożył dłoń do czoła, jakby nagle rozbolała go głowa.

- Chcesz powiedzieć, że nasza grupa szturmowa odwala za niego całą robotę? - zapytał. - A wszystko dlatego że staramy się sprawdzać prawdziwość każdej pogłoski?

Wedge kiwnął głową.

- Bardzo możliwe - przyznał. - Z dalszych badań informacji z komputerów centralnej biblioteki Lavisara wynika, że mieszkańcy planety to istoty miłujące niezależność. Może właśnie dlatego bardziej niż ktokolwiek inny okazują niechęć do przyłączenia się do Zsinja czy do Nowej Republiki. Nie podoba im się nawet perspektywa powrotu na łono Imperium, które straciło władzę nad planetą po śmierci Palpatine'a.
- Więc uważasz, że powinniśmy zareagować na ten bodziec, jak Shalla go nazwała, w łatwy do przewidzenia sposób, ale bez odwalania za Zsinja roboty i bez wpadania w zastawioną przez niego pułapkę - domyślił się Buźka. - Hobbie, to był twój pomysł.

Zastępca dowódcy Eskadry Łotrów, pilot o wiecznie zasmuconej twarzy, wstał niechętnie ze swojego krzesła.

- Zsinj jest przekonany, że pokonamy standardową obronę mieszkańców planety i bezpiecznie wylądujemy na powierzchni nie tylko tęponosymi myśliwcami, ale także jednostkami pomocniczymi - powiedział. - Na ogół nam się to udaje. Uważam, że powinniśmy wysadzić na Lavisarze oddział desantowy, który podłoży pod ścianą głównego budynku planetarnych sensorów sporą bombę i ją zdetonuje... ale w taki sposób, żeby ich nie zniszczyła. Obrońcy planety powinni zachować sprawne sensory.

Gavin Darklighter zmarszczył brwi.

- Wolnego, wolnego - powiedział. - Chcecie, żebyśmy następnie przypuścili szturm na planetę, gdy jej obrońcy będą już świadomi naszej obecności?

Hobbie kiwnął głową.

- Poderwą do lotu swoje myśliwce, a my uciekniemy z podwiniętym ogonem - powiedział. - Udamy, że nie możemy sobie poradzić z pokonaniem mężnych obrońców Lavisara.

Jego słowa wywołały śmiech większości uczestników odprawy.

- Piloci Eskadry Łotrów nigdy nie uciekają z podwiniętym ogonem - zapewnił Corran Horn śmiertelnie poważnym tonem. - Chyba że mają po temu bardzo ważny powód.

Teraz roześmiali się już wszyscy.

- Nie - odezwał się Antilles. - To zadanie przypadnie w udziale pilotom Eskadry Widm.
- A my nie mamy nic przeciwko uciekaniu - stwierdził Buźka. - Nawet jeżeli nie musimy.
- Przy tej okazji upieczemy także drugą pieczeń - ciągnął Wedge. - Udowodnimy, że Eskadra Widm rzeczywiście stacjonuje na pokładzie „Mon Remondy". Musimy wykorzystać każdą szansę podtrzymywania pozorów, że cały czas tu jesteśmy, więc... chwileczkę, chcę wam kogoś przedstawić.

Drzwi na zapleczu sali konferencyjnej rozsunęły się z sykiem i wpuściły kobietę w regulaminowym mundurze pilotki Nowej Republiki. W jednej ręce niosła hełm, a w drugiej niewielki neseser z osobistymi rzeczami. Mimo bandaża na lewym policzku Buźka od razu rozpoznał Larę Notsil. Pomachał do niej i pilotka skierowała się w jego stronę.

- Łotry, Widma, chcę wam przedstawić Larę Notsil, nową pilotkę Eskadry Widm - ciągnął Antilles. - Nie brała jeszcze udziału w żadnej akcji, ale zdążyła zdemaskować grupę czarnorynkowych handlarzy, którzy prowadzili działalność z pokładu fregaty szkoleniowej Nowej Republiki. To bardzo obiecujący start, jeżeli mogę się tak wyrazić.

Wsłuchując się w oklaski i okrzyki podziwu zebranych pilotów, Lara usiadła obok Buźki. Po długim locie wyglądała na zmęczoną, ale czujną.

- Dziękuję wszystkim - powiedziała. - Zanim jednak ktokolwiek z was uzna, że jego uboczna działalność jest zagrożona, chcę powiedzieć, że łatwo mnie przekupić.

Piloci zachichotali, a Wes Janson przeciągnął dłonią po czole, jakby poczuł wielką ulgę. Wedge musiał unieść rękę, żeby wszyscy znów zwrócili na niego uwagę.

- Wracamy do Lavisara i szczegółów planowanej operacji - zaczął, kiedy wszyscy się uciszyli. - Wyślemy na powierzchnię grupę funkcjonariuszy wywiadu, żeby podłożyli fałszywą bombę... i zostali tam, kiedy z przestworzy odleci nasza grupa szturmowa. Przekażemy im analizy Shalli, żeby przedstawili je gubernatorowi Lavisara. Powinni go przekonać, że Zsinj wykorzystuje go jako przynętę, a my, powodami pragmatycznym miłosierdziem, zdecydowaliśmy się jej nie połykać. Może okaże nam wdzięczność i opowie się po stronie Nowej Republiki. Jeżeli nie zechce, zadowolimy się tym, że przyłączy się do szczątków Imperium... ale pozostanie zagorzałym wrogiem lorda Zsinja.
- Nasi agenci na powierzchni Lavisara będą chyba narażeni na bardzo duże niebezpieczeństwo? - zaniepokoił się Buźka.

Wedge kiwnął głową.

- Z gubernatorem skontaktuje się tylko jeden członek tego zespołu - powiedział. - Będzie nim ochotnik z grupy funkcjonariuszy Wywiadu Nowej Republiki. Jeżeli ona albo on nie wróci... pozostali przekażą nam smutną nowinę, a my zastanowimy się, czy zorganizować wyprawę ratunkową czy po prostu zabrać pozostałych i odlecieć.

- Lubi likier ze słońcoowoców - odezwała się nagle Lara. Wedge popatrzył na nią zaskoczony.

- Proszę powtórzyć - powiedział.

- Gubernator Carmal z Lavisara - wyjaśniła nowa pilotka. - Lubi popijać likier ze słońcoowoców. Uważam, że gdyby dostał go od nas w prezencie, może by nas łaskawiej potraktował.

- Skąd o tym wiesz?

Pilotka poruszyła się na krześle, jakby speszona bezpośredniością jego spojrzenia.

- Kiedy starałam się zarabiać na życie na Coruscant, pracowałam w przedsiębiorstwie transportowym - wyjaśniła. - Zajmowałam się tam przetwarzaniem danych. Lavisar figurował w ich bazie jako „planeta stracona w wyniku separacji". Dyrekcja przedsiębiorstwa określała w taki sposób planety, które utrzymywały z nimi stosunki handlowe przed opanowaniem Coruscant przez siły zbrojne Nowej Republiki, ale później je zerwały albo ich nie odnowiły. W pamięci komputera znalazłam wiele danych o planetach i instytucjach „straconych w wyniku separacji". Pośród nich było mnóstwo takich, którymi Nowa Republika się nie interesuje, bo to dane o charakterze handlowym. Pozostawiono je na wypadek, gdyby władze „straconej" planety zechciały się opowiedzieć po stronie Nowej Republiki, żeby przedstawiciele przedsiębiorstwa mieli łatwiejsze zadanie przy ponownym nawiązywaniu stosunków handlowych.

- Dobrze wiedzieć - mruknął Antilles. - Czyżbyś była obdarzona absolutną pamięcią?

- Absolutną może nie, ale całkiem dobrą - odparła nowa pilotka. - Zapamiętuję różne fakty, drobiazgi, informacje o charakterze statystycznym... wszystko, co wpadnie mi do głowy, zostaje tam na zawsze. Nie radzę sobie najlepiej z zapamiętywaniem twarzy, ale potrafię wymienić wszystkie daty oficjalnych świąt na pięćdziesięciu kilku planetach i przynajmniej niektóre na kolejnych pięciuset.

- Ciekawe. - Wedge spojrzał na Skrzypka, protokolarnego androida typu 3PO. Złożony z drażniących oczy złocistych i srebrzystych elementów automat pełnił obowiązki kwatermistrza Eskadry Widm i jak zawsze sterczał pod przeciwległą ścianą sali konferencyjnej. - Musimy...

- Wiem, co chce pan powiedzieć - przerwał mu android urażonym tonem. - Musimy mieć likier ze słońcoowoców. Potrzebujemy także paru innych dobrych rzeczy z tropikalnej planety, której mieszkańcy wiedzą jak się go wyrabia. Najwyższy czas, żebyśmy się przestali zadowalać wytwarzanymi na Coruscant syntetykami. Zajmę się tym ze swoją zwykłą skutecznością.

- No cóż, w takim razie zakończmy sprawę z naszą zwykłą skutecznością - stwierdził Antilles. - Zajmę się dopracowaniem szczegółów wyprawy i o to samo proszę dowódców kluczy obu eskadr. Każdy, kto chciałby uzyskać kilka dodatkowych punktów, może przedstawić nam własne propozycje. Wybierzemy najlepsze i przekonamy się, co z tego wyniknie. Pytania? Nie? To wszystko. Możecie się rozejść.

- Czy zechciałby pan poświęcić mi kilka minut, panie komandorze? - zapytała Tyria Sarkin.

Stała na progu drzwi jego osobistej kabiny i wyglądała na bardzo zażenowaną.

- Naturalnie - odparł Wedge. - Wejdź, proszę.

Wstał od biurka i wskazał jej krzesło, ale pilotka nie skorzystała z zaproszenia. Stała w postawie pozornie swobodnej, ale napięte mięśnie i stężała twarz dowodziły, że nie potrafi się odprężyć.

- Panie komandorze, krąży wiele plotek na temat pani podporucznik Notsil i tej grupy czarnorynkowych handlarzy - zaczęła w końcu.

- Tak? - zachęcił ją Antilles.

- Chyba powinien pan wiedzieć... - W jej oczach mignął strach, ale szybko się opanowała. - Właściwie powinien pan się o tym dowiedzieć dawno temu, i bardzo przepraszam, że panu o tym nie wspomniałam - podjęła po chwili. - Musi pan jednak wiedzieć, że może pan stracić jedną pilotkę. Mnie.

- Dlaczego?

- Bo Notsil nie jest pierwszą kandydatką, którą major... pułkownik Repness - poprawiła się natychmiast - usiłował nakłonić do pomocy przy porwaniu gwiezdnego myśliwca.

Wedge przyglądał się jej spokojnie i rozmyślał. Nagle wiele elementów układanki wskoczyło na swoje miejsca... Zaczął sobie uświadamiać, dlaczego Buźka i Phanan tak bardzo interesowali się Repnessem. Phanan mówił mu kiedyś o osobie, która szkoliła się na pilota i wyjawiła mu tajemnicę czarnorynkowej działalności instruktora... ale wspominając o niej, dał do zrozumienia, że została wyrzucona, a on tylko przypadkiem spotkał się z nią na Coruscant.

Ciekawiło go, czy Tyria od początku była wtajemniczona w szczegóły planu Buźki i Phanana, ale doszedł do wniosku, że to niemożliwe. Pilotka była na wskroś uczciwa i nie potrafiłaby go oszukać ani utrzymać czegoś przed nim w tajemnicy. Nie miała w charakterze zakłamania, co w korzystny sposób odróżniało ją od wielu innych Widm.

- Chyba nie... - zaczął i urwał.

- Nie, panie komandorze - zapewniła Tyria. - Niczego dla niego nie porwałam ani nie ukradłam, ale zachowałam się prawie tak samo nagannie. Pozwoliłam, żeby szantażem zmusił mnie do milczenia. Mogłam go przecież wydać, przeciwstawić się mu, podobnie jak Notsil... ale tego nie zrobiłam. - Na jej twarzy malowało się zażenowanie. - Repness miał obsesję na punkcie sporządzania notatek, panie komandorze - podjęła po chwili. - Rejestrował moje wyniki. Może udowodnić, że je spreparował, abym mogła uzyskać zaliczenie. Kiedy się na to zdecyduje, moja kariera jako pilotki dobiegnie końca.

Wedge westchnął.

- W świetle takich dowodów bardzo wątpię, czy będę mógł ci zapewnić ochronę - powiedział.

- Nie przyszłam do pana z prośbą o ochronę, panie komandorze - żachnęła się pilotka. - Nikt mnie nie ochroni. Chciałam tylko, żeby pan wiedział... żeby mógł się pan zawczasu przygotować... Istnieje możliwość, że zostanę wyrzucona z pańskiej eskadry.

- Rozumiem - odparł Antilles. - Załóżmy jednak, że Repness nie wysunie przeciwko tobie oskarżenia. Co zrobisz, jeżeli skontaktuje się z tobą jako osoba prywatna i oznajmi: „Potrafię storpedować twoją karierę, ale tego nie zrobię. Musisz tylko wysłać mi kilka kredytów, żebym mógł opłacić koszty obrońcy”?

Pilotka nie wahała się ani chwili.

- Jeżeli mnie poprosi choćby o kredyt, panie komandorze, nie dostanie go ode mnie - obiecała. - Niech mnie wyda i niech się to wszystko wreszcie skończy.

- Jesteś tego pewna?

- Jestem - odparła Tyria. - Nie pozwolę się szantażować. Nigdy więcej. Przenigdy.

Wedge umilkł i zamyślił się. Jaka szkoda, że Tyria nie przyszła do niego na początku, zaraz po tym, kiedy ukończyła szkolenie, dostała licencję pilotki i trafiła do jego eskadry. Gdyby się na to zdecydowała, mógłby...

Mógłby? Przecież właśnie to zrobił! Kiedy podporucznik Sarkin została pilotką Eskadry Widm, poprosiła go o kilka minut szczerej rozmowy. Wspomniała mu o kłopotach z Repnessem, ale nie wiedziała, czy przypadkiem ktoś jeszcze, osoba stojąca wyżej niż jej instruktor na szczeblu dowodzenia, także nie należy do jego przestępczej organizacji. Gdyby dowódca Eskadry Widm od razu zwrócił się z tym problemem do przełożonych, któryś z nich mógłby ukręcić głowę całej sprawie. Pragnąc ujawnić machinacje Repnessa, Wedge polecił, żeby Buźka i Phanan znaleźli kogoś, kto zgodziłby się pełnić rolę przynęty. Już kilka tygodni później wykonali jego polecenie i znaleźli osobę, która leżała wówczas w szpitalu na Borleias. Od samego początku to był plan jego, Buźki i Phanana. Realizując go, Lara Notsil trafiła na pokład fregaty szkoleniowej „Tedevium” i zaczęła osiągać tak kiepskie wyniki, że Repness w końcu musiał zwrócić na nią uwagę.

Jedynym szczegółem tej wymyślonej historii, jaki nie dawał mu spokoju, było to, że przypisze sobie całą zasługę za wymyślenie planu, jaki zrodził się w głowach jego podwładnych... ale liczyły się wyniki, a te przeszły najśmielsze oczekiwania.

- Pani podporucznik Sarkin... - odezwał się w końcu.

Tyria usłyszała zmianę w tonie jego głosu i od razu przyjęła postawę zasadniczą.

- Jest pani zbyt dobrą i wartościową pilotką, żebyśmy mieli stracić panią w taki sposób.

- Pod względem osiągnięć jestem najgorsza spośród wszystkich pilotów eskadry, panie komandorze - przypomniała.

- To nieprawda - zaprotestował Antilles. - Ten szczególny zaszczyt przypada w udziale, przynajmniej na razie, jednemu z nowych Widm. A nawet gdyby to była prawda, proszę nie zapominać, że nawet najgorszy pilot Eskadry Widm jest jednym z najgroźniejszych przeciwników w tej galaktyce. W przeciwnym razie nie należałby do mojej eskadry. - Uhm...

- Moje stwierdzenie nie wymaga odpowiedzi - uciął Wedge. - A teraz wydam wyraźny rozkaz. Jeżeli ktokolwiek zwróci się do pani z pytaniami o kontakty z Repnessem, proszę nie udzielać mu żadnej odpowiedzi. Oznajmi pani, że zabroniłem na ten temat rozmawiać, dopóki ta osoba nie zwróci

się do mnie. Czy to jasne?

- Rozumiem sam rozkaz, panie komandorze, ale nie mam pojęcia, co oznacza.

- Oznacza tylko to, że pozostaniesz w Eskadrze Widm, dopóki nie zginiesz albo nie zdecydujesz się przenieść z własnej woli - odparł Antilles. - Nikt spoza eskadry nie będzie decydował, czy należysz do nas, czy nie. Możesz odejść.

Zaskoczona pilotka zasalutowała, odwróciła się i prawie wybiegła z kabiny.

Wedge usiadł i zaczął się zastanawiać. Wymyślona przez niego historia powinna się ostać podczas przesłuchania, przynajmniej dopóki nie złożą zeznań pozostałe zainteresowane osoby, ale coś w głębi duszy mówiło mu, że sprawy nie zajdą tak daleko. Gdyby jednak do tego doszło, ani on, ani nikt z jego podwładnych nie popełniłby krzywoprzysięstwa, więc też nie musieli się obawiać, że ich spotka jakakolwiek kara.

A zresztą, wszyscy już kiedyś zostali ukarani. I z chęcią przeszliby przez to jeszcze raz, choćby tylko po to, aby nie stracić umiejętności, lojalności i przyjaźni pilotki pokroju Tyrii Sarkin.

Lara Notsil przystanęła na progu śluzy i powiodła spojrzeniem po bakburtowym hangarze „Mon Remondy". Czuła się, jakby miała przekroczyć próg innego świata.

W całym ciele czuła piskliwy skowyt testowanych repulsorów. Lubiła ten dźwięk, bo kojarzył się jej ze wszystkim, w czym pokładała nadzieję. Nieco mniej zachwycała się panującym tu chłodem. Ogromne wrota w przeciwległym krańcu hangaru były szeroko otwarte, a atmosferę chroniła tylko niewidoczna kurtyna magnetycznego pola. Pole nie było izolatorem i ciepło po prostu uchodziło w przestworza. Gdyby nie atmosfera, hangary gwiezdnych myśliwców byłyby podobne do ogromnych zamrażarek.

Na lądowisku stało dwadzieścia jeden tęponosych myśliwców... tak blisko obok siebie, że start w przestworza bez uszkodzenia sąsiedniej maszyny musiał stanowić nie lada wyzwanie. Lara uznała, że to typowe dla Wedge'a Antillesa. Komandor zawsze się starał, żeby jego piloci doskonalili swoje umiejętności... nawet w sytuacjach tak błahych jak start w przestworza.

Przekroczyła próg i skierowała się do swojego myśliwca. Lądowała ostatnia i jej X-wing stał najbliżej wrót hangaru, co oznaczało, że gdyby eskadra otrzymała rozkaz startu, musiałaby wylecieć pierwsza. Przechodząc obok innych zaparkowanych maszyn, machała Widmom i Łotrom, a oni pozdrawiali ją gestami, okrzykami zachęty albo udawanym lekceważeniem.

Nie wiedziała, co sądzić o ich zachowaniu. Nie miała pojęcia, co naprawdę czują na wiadomość o kolejnej wyprawie.

Sam projekt wyprawy wyglądał sensownie. Piloci obu eskadr mieli wystartować, przypuścić skazany na niepowodzenie szturm i bez strat własnych wrócić do bazy. Powinni się starać nikogo nie zabić, ale bronić się ze wszystkich sił, gdyby okazało się to konieczne. Mieli dołożyć wszelkich starań, aby Zsinj wyciągnął błędny wniosek, że plan napaści na Lavisar spalił na panewce, bo obrońcy planety okazali się na tyle silni, że odparli atak sił zbrojnych Nowej Republiki.

Lara uświadomiła sobie coś jeszcze, co od samego początku nie dawało jej spokoju. Dopiero po jakimś czasie się zorientowała, że piloci Eskadry Widm nie okazują niezadowolenia. Gdyby na taką wyprawę mieli wyruszyć piloci myśliwców typu TIE eskadr admirała Trigita, także wykonaliby rozkaz bez szemrania, ale nie byliby zachwyceni zakazem likwidowania nieprzyjaciół. Jak bez tego mieliby się wykazać mistrzowskim opanowaniem sztuki pilotażu? Jak się wyróżnić spośród innych

albo okryć sławą, skoro nie można zabijać wrogów podczas walki? Na samą myśl o darowaniu życia uzbrojonym przeciwnikom zareagowaliby oburzeniem.

Wszystko jednak wskazywało, że rebelianccy piloci nie mają nic przeciwko takim ograniczeniom. Wyglądało, że nic sobie z tego nie robią.

Lara doszła do wniosku, że właśnie to niepokoi ją bardziej niż cokolwiek innego. Zawsze dotąd słyszała, że rebelianccy piloci są krwiożerczymi potworami i zachowują się jak spuszczone ze smyczy wściekłe bestie. Co prawda, kiedy leżała w szpitalu na Borleias, spotkała kilku, którzy nie pasowali do tego opisu, ale oni wszyscy wracali do zdrowia po odniesionych obrażeniach. Nic dziwnego, że zachowywali się jak zwykli ludzie, zadowoleni, że mogą się odprężyć i odpocząć. Piloci Eskadry Widm i Łotrów przygotowywali się jednak do walki. Powinni dyszeć żądzą mordu i pałać chęcią wyeliminowania z walki jak największej liczby wrogów.

Czy to możliwe, że funkcjonariusze Imperialnego Wywiadu pomylili się w ocenie rebelianckich pilotów? Lara zaczynała rozumieć, że to nie była przypadkowa pomyłka. Może w rzeczywistości chodziło o to, żeby imperialni piloci byli w każdej chwili gotowi do walki, kipieli chęcią zemsty i nie myśleli o poddaniu. Lara przypomniała sobie, że żyli w ciągłym napięciu, które czasami rozładowywali w aktach przemocy, najczęściej o niewłaściwej porze... kiedy spędzali wolny czas w kabinach, pośród rodzin albo na przepustkach czy urlopach. W porównaniu z nimi piloci tęponosych myśliwców sprawiali wrażenie spokojnych i zrównoważonych.

Pokręciła głową. Co za zdradzieckie myśli... niebezpieczne u kobiety, która w niedalekiej przyszłości miała ponownie zaproponować Imperium swoje usługi. Lara postarała się usunąć te myśli z głowy.

Wspięła się po drabince do kabiny X-winga. Na kadłubie stał mechanik z pokładu „Mon Remondy" i upewniał się, czy jednostka typu R2 tkwi bezpiecznie w gnieździe za kabiną.

- Masz tu prawdziwe cacko - odezwał się w pewnej chwili. Astromechaniczny robot zareagował seriami melodyjnych świergotów, jakby naprawdę dziękował za komplement.

Lara wślizgnęła się do kabiny i usiadła na fotelu pilota.

- Prosto z fabryki - powiedziała.

Nie myliła się. Ilekroć eskadrze szkoleniowej Repnessa przydzielano nowy sprzęt, pułkownik mógł rekwirować dla siebie wszystko, czego potrzebował, i wiele wskazywało, że często z tego przywileju korzystał. Lara kazała skasować zawartość pamięci jednostki typu R2 jego myśliwca i nazwała ją Toninem, co oznaczało „Attonek" w dialekcie basica, jakim mówili mieszkańcy Aldivy. Robot był fabrycznie nowy, a jeżeli nie liczyć krwistoczerwonego wzoru, na jego srebrzystobiałym korpusie nie było widać najmniejszej rysy ani szramy. Zaprogramowano go na wydawanie kilku melodyjnych dźwięków, tak jak wszystkie najnowocześniejsze jednostki tego typu. Lara pomyślała, że kiedy przekaże robota w ręce kwatermistrza lorda Zsinja, oficer będzie miał wobec niej dozgonny dług wdzięczności.

- Wszystkiego najlepszego, pilotko - odezwał się mechanik.
- Dzięki.

Założyła hełm, opuściła owiewkę kabiny i zajęła się wykonywaniem procedur przedstartowych. Wszystkie cztery jednostki napędowe dysponowały pełną mocą i były gotowe do lotu. Repness na pewno dbał, żeby jego osobisty myśliwiec typu X-wing znajdował się zawsze w idealnym stanie. Musiała tylko poprosić mechanika, żeby przesunął do przodu fotel pilota. Na początku fotel był odsunięty daleko od kontrolnej konsolety i musiała mocno wyciągać nogi, żeby dosięgnąć pedałów usterzenia. Przypomniała sobie, że instruktor był bardzo wysokim mężczyzną.

Usłyszała trzask i z odbiornika komunikatora wydobył się głos Antillesa.

- W porządku, Łotry i Widma - odezwał się dowódca. - Meldować stan po kolei.
- „Łotr Jeden" melduje gotowość do startu.
- „Łotr Dwa", wszystkie cztery działające i zielone.
- „Łotr Trzy" gotów do tańca.

Rozkaz lotu do samego Lavisara otrzymały tylko Widma. Piloci Eskadry Łotrów mieli im towarzyszyć do najbardziej odległego pierścienia planet i pozostać tam w pogotowiu. Było wprawdzie mało prawdopodobne, że akcja okaże się pułapką zastawioną przez Zsinja na „Mon Remondę", ale nie dało się wykluczyć takiej możliwości. Gdyby pilotom Eskadry Widm groziło jakiekolwiek niebezpieczeństwo, Łotry miały wskoczyć do systemu i sprawić siłom zbrojnym lorda przykrą niespodziankę.

Lara wzdrygnęła się nagle, jakby poczuła chłód mimo izolowanego kombinezonu pilota i ogrzewania w kabinie jej myśliwca. Przed zawróceniem piloci Widm mieli oddać kilka strzałów, ewentualnie kilkakrotnie trafić nieprzyjaciół, gdyby doszli do przekonania, że nikogo w ten sposób nie zabiją.

W czasie walki wszystko jednak mogło się wydarzyć. Laserowa błyskawica wymierzona w panel z ogniwami słonecznymi mogła przelecieć obok niego i prześwidrować na wylot kulistą kabinę. Niespodziewany manewr mógł zaskoczyć pilota innego myśliwca typu TIE do tego stopnia, że raptownie zmieni kurs i zderzy się z maszyną kolegi.

Tego dnia Lara nie zamierzała nikogo zabijać i to nie tylko ze szlachetnych pobudek, jakimi kierowali się pozostali. Gdyby zabiła imperialnego pilota, a potem wróciła do służby w Imperium, jakiego powitania mogłaby się spodziewać?

- „Widmo Dwanaście" gotów do startu - usłyszała w pewnej chwili wytwarzany przez elektromechaniczne urządzenie głos Prosiaka.

Zapamiętała częścią umysłu, wyćwiczoną, aby reagował automatycznie na pojawiające się bodźce, że kiedy usłyszy głos Gamorreanina, musi zgłosić gotowość do udziału w wyprawie. Usunęła z głowy wszystkie inne myśli, żeby nic nie rozpraszało jej uwagi.

- „Widmo Trzynaście", cztery gorące i zielone - zameldowała.
- Startować po kolei, jak parkujecie względem zasłony magnetycznego pola, i uformować klucze i eskadry - rozkazał Antilles.

To oznaczało, że musi wylecieć pierwsza. Przypomniała sobie listę czynności, jakie musi wykonać: włączyć repulsory, unieść maszynę nad płytę lądowiska, obrócić ją wokół osi i opuścić hangar „Mon Mothmy”... Zamierzała meldować o wykonaniu każdego etapu, żeby dowieść, jak sprawnie to robi, ale po namyśle zrezygnowała. Nie powinna demonstrować prawdziwych umiejętności, dopóki przebywa pośród rebelianckich pilotów. Chwyciła rękojeść drążka sterowniczego, przesłała energię do repulsorów i zaczęła obracać myśliwiec, zanim znalazł się na wysokości dwóch metrów nad płytą lądowiska. Bez trudu przeleciała przez zasłonę magnetycznego pola, które stawiło jej ledwo zauważalny opór, i znalazła się w przestworzach.

Nie pierwszy raz. Wykonywała przecież ćwiczebne loty już po aresztowaniu pułkownika Repnessa, kiedy towarzyszyła pilotującym myśliwce typu Y-wing Wrzaskliwym Wookiem. Latała sama, zarówno myśliwcami typu Y-wing, jak i maszyną Repnessa, a nawet osobiście wybrała i zaprogramowała kurs, kiedy zdążała na spotkanie z „Mon Remondą”... ale to była jej pierwsza wyprawa bojowa.

Nie wyłączając repulsorów, wznosiła się coraz wyżej, dopóki jej myśliwiec nie znalazł się wysoko nad otworem hangaru. Dopiero wówczas zwiększyła dopływ energii do jednostek napędowych i zaczęła się powoli oddalać od kadłuba kalamariańskiego krążownika. Była świadoma, że czyjeś oczy cały czas uważnie obserwują jej każdy manewr.

Kilka chwil później obok niej, ale trochę wyżej znalazł się pilotowany przez Antillesa myśliwiec typu X-wing, a po kilku następnych sekundach po drugiej stronie komandora i na poziomie jej X-winga pojawiła się tęponosa maszyna Garika. Lara wiedziała, że jest dziewiątą pilotką eskadry, której piloci latają dwójkami, więc nie zdziwiła się, że na jakiś czas przydzielono ją jako trzecią do istniejącej pary.

Zamierzali wyskoczyć z nadprzestrzeni w takim miejscu i w takiej chwili, żeby od razu zobaczyć stolicę Lavisara, Syward. I rzeczywiście, kiedy zgasła feeria oślepiających świateł, jakie towarzyszyły powrotom do normalnych przestworzy, ujrzeli prosto na kursie czerwonobrunatną planetę z płonącą pośrodku, nietrudną do rozpoznania plamą. Przed nimi i po sterburcie unosił się w przestworzach główny księżyc, czarny od rzucanego przez planetę cienia. Sięgająca w głąb nadprzestrzeni grawitacyjna studnia satelity wyrwała ich stamtąd i ściągnęła do normalnych przestworzy, dokładnie jak planowali. Przelatując tak blisko księżyca, piloci Eskadry Widm nie mogli jednak marzyć o powrocie do nadprzestrzeni, a im bliżej Lavisara, tym ich sytuacja stawała się trudniejsza. Planetę okrążało kilka księżyców, na tyle dużych, że każdy uniemożliwiał dokonanie takiego manewru.

- Doskonałe wyczucie miejsca, „Dwunastko” - odezwał się Antilles. - No dobrze. Mamy od pięciu do dziesięciu minut, zanim włączą rezerwowe systemy sensorów, na tyle czułych, żebyśmy musieli się nimi przejmować. Pamiętajcie, że bierzemy na cel kompleks trzy razy dłuższy niż szerszy, z kilkoma dużymi budynkami pomalowanymi na błękitny kolor...

- Dowódco, tu „Ósemka” - przerwał mu nagle Buźka. - Wizualne sensory skierowane na wojskową bazę Sywarda ukazują podrywające się do lotu myśliwce typu TIE. Wygląda na to, że obrońcy planety zmobilizowali dwie pełne eskadry. Z koloru skrzydeł maszyn wynika, że to myśliwce planetarnych wojsk obronnych.

- Nie może im chodzić o nas, „Ósemko” - odparł Wedge z lekceważeniem, ale i z lekkim niepokojem. - Ich sensory... Czy możesz skierować obiektywy kamer na główne stanowiska ich

sensorów?

- Już się tym zajmuję, dowódco - odparł Garik.

Lara się uśmiechnęła. Ich rozmowa była zaszyfrowana, ale pilotka się domyślała, że Widma posługują się starszym szyfrem, którego okres ważności miał po kilku następnych dniach dobiec końca. Jeżeli obrońcy planety zarejestrowali tę rozmowę, z pewnością szybko złamią szyfr, a w zawczasu przygotowanym dialogu dowódcy Widm z podwładnym nie zobaczą niczego niezwykłego. Pomyślą, że po prostu napastnicy poczuli się zaskoczeni szybkością reakcji obrońców Lavisara.

- Tonin, przeszukaj zakres standardowych częstotliwości używanych przez Imperium - rozkazała. - Jeżeli znajdziesz coś, co brzmi jak rozmowy imperialnych pilotów, prześlij je bezpośrednio do głośnika mojego hełmu. Gdyby sygnały Widm i nieprzyjaciół się nakładały, rejestruj rozmowy obrońców, ale przekazuj do głośnika tylko słowa wypowiadane przez Widma.

Na ekranie monitora, przeznaczonego specjalnie do utrzymywania łączności z astromechanicznym robotem, pojawiła się od razu odpowiedź:

ZROZUMIAŁEM.

I niemal natychmiast Lara usłyszała przerywane przez' trzaski zakłóceń, zniekształcone słowa.

- ...latują. Utworzyć sz...
- ...wynika, że się do nas zbli...
- Dowódco, tu „Ósemka" - rozległ się nagle głos Garika. - Obserwacje wizualne dowodzą, że nieprzyjacielskie stanowisko naziemnych sensorów nie jest nawet uszkodzone. Lekko osmalony został tylko północno-wschodni mur, przy którym krzątają się teraz jacyś cywile. Wygląda na to, że nasi komandosi pokpili sprawę.

Mimo zniekształceń w głosie Antillesa dało się słyszeć groźbę.

- Już ja się z nimi rozprawię, kiedy wrócą. Pożałują, że nie mają do czynienia tylko z władzami Lavisara. Widma, zawracamy w zwartym szyku. „Dwunastka", proszę potwierdzić i podać współrzędne wektora ucieczki.
- Tu „Dwunastka". Zrozumiałem - odparł Prosiak.

Piloci Eskadry Widm zaczęli zataczać szeroki łuk, aby obrać kurs w stronę otwartych przestworzy.

- ...trola informuje, że nieprzyjaciele zawrócili i ucie...
- Zachować szyk. Będziemy ich ścigać aż do...
- ...jak banthy przed myśliwymi. Nie łamać szyku.

Lara zmarszczyła brwi. Ostatni rozkaz brzmiał bardzo dziwnie.

- Tonin, czy możesz podać współrzędne źródeł dotychczas odebranych imperialnych sygnałów? - zapytała.

W PRZYBLIŻENIU.

- Zajmij się tym, dobrze? - poleciła. - Przekaż je na ekran monitora moich sensorów.

Na ekranie, na którym widniały dotąd najbliższe ciała niebieskie i pojedynczy błękitny punkt reprezentujący Widma, pojawiły się dwa rozmyte czerwone obszary: jeden w pobliżu planety, a drugi w sąsiedztwie najbliższego księżyca, niedaleko obranego wektora ucieczki pilotów Eskadry Widm. W miarę jak astromechaniczny robot korygował obliczenia współrzędnych źródeł sygnałów i przekazywał je na ekran monitora, rozmyte obszary lekko się przemieszczały.

- Tonin, usuń z ekranu źródło sygnałów z Lavisara. POTWIERDZAM.

- Przekaż resztę jednostce typu R2 myśliwca dowódcy Eskadry Widm i poproś ją, żeby wyświetliła to na ekranie monitora jego sensorów - rozkazała Lara.

ZROZUMIAŁEM.

Lara włączyła mikrofon komunikatora.

- Dowódco, tu „Trzynastka". Odbieram dziwne sygnały - zameldowała. - Wynika z nich, że mamy towarzystwo na kursie. Prawdopodobnie wystartowali z garnizonu na powierzchni największego księżyca.

- Zrozumiałem, „Trzynastko" - odparł Wedge. - Doskonała robota. Widma, na mój rozkaz wykonać zwrot na sterburtę. „Dwunastka", podaj nam współrzędne nowego wektora ucieczki.

- Tu „Dwunastka". Przyjąłem - odezwał się Prosiak.

Wedge skręcił na sterburtę i położył myśliwiec na nowy kurs, który powinien pozwolić Widmom przelecieć niedaleko jednego z mniejszych satelitów Lavisara. Piloci mieli wprawdzie dłużej pozostawać w obszarze grawitacyjnych lejów, które uniemożliwiały powrót do nadprzestrzeni, ale to był najkrótszy szlak, jakim mogli się oddalić od planety i nowych nieprzyjaciół. Lara wykonała manewr równie szybko i sprawnie jak drugi skrzydłowy Antillesa.

Rzuciła okiem na ekran monitora sensorów i zauważyła, że sytuacja na nim uległa kolejnej zmianie. Pojedyncza czerwona plamka, która odłączyła się od powierzchni największego księżyca, także zmieniła kurs i kierowała się obecnie w stronę Eskadry Widm kursem na przechwycenie. W pewnej chwili plamka rozdzieliła się na dwie mniejsze. Jedna leciała trochę szybciej, a druga zostawała coraz dalej z tyłu. Lara powiększyła obraz na ekranie i stwierdziła, że pierwsza plamka to lecąca z największą możliwą prędkością eskadra myśliwców typu TIE. W skład drugiej plamki wchodziły cztery jednostki nieznanego typu, ale Tonin był na siedemdziesiąt pięć procent pewien, że to wahadłowce klasy Lambda.

To ma sens, pomyślała pilotka. Producent wahadłowców typu Lambda montował prawdopodobnie także mocniej opancerzone i wyposażone w ciężkie działa modele szturmowe, które mogły zapewniać wsparcie wojskom planetarnej obrony.

- Widma, tu dowódca - odezwał się nagle Antilles. - Mój astromechaniczny robot obliczył, że zanim zdążymy opuścić grawitacyjny lej mniejszego satelity, dopadną nas siły zbrojne z powierzchni

głównego księżyca. Jeżeli nas zaatakują, a my przyjmiemy walkę, będziemy mieli mniej więcej trzy minuty, zanim rzucą się na nas piloci eskadr gwiezdnych myśliwców z Lavisara. Unieważniam pierwotny cel wyprawy. Wszyscy mają nawiązać kontakt bojowy i wyeliminować zagrożenie ze strony nieprzyjaciół, którzy wystartowali z powierzchni księżyca. Potem znów utworzyć szyk i przygotować się do opuszczenia systemu. „Dwunastka”?

- Obliczyłem współrzędne elastycznego kursu ucieczki - zameldował Gamorreanin. - Brakuje im tylko jednej kluczowej zmiennej... dokładnych współrzędnych punktu zbornego, w którym przygotujemy się do skoku.

- Doskonale - odparł Wedge. - Bądźcie gotowi.

ROZDZIAŁ 9

Kiedy nadlatujące eskadry myśliwców typu TIE znajdowały się w odległości zaledwie kilkunastu kilometrów, Antilles włączył mikrofon komunikatora.

- Zablokować płaty nośne w pozycji bojowej - rozkazał. - Rozdzielić się na pary, obrać cele i wyeliminować je jak najszybciej.

Wcielając słowa w czyn, obrócił swój tęponosy myśliwiec i skręcił raptownie w kierunku nadlatujących nieprzyjaciół.

Lara powtórzyła jego manewr ułamek sekundy wcześniej niż Buźka Loran, który wykonał go jednak równie precyzyjnie. Pilotka usłyszała czyjś chrapliwy oddech i uświadomiła sobie, że to z jej gardła powietrze wydobywa się z takim trudem. Skupiła się i spróbowała oddychać wolniej i spokojniej.

W pierwszej fazie walka miała się toczyć między obrońcami z garnizonu na powierzchni księżyca a rzekomymi najeźdźcami z Nowej Republiki. Dwie eskadry gwiezdnych maszyn zbliżały się do siebie z maksymalną szybkością i w pewnej chwili obie strony rozpoczęły ostrzał przeciwników. Lara wiedziała, że kiedy się miną, piloci szybszych i zwrotniej szych myśliwców typu TIE zatoczą ciasne łuki, żeby zawrócić i zaatakować od tyłu wolniejsze i mniej zwrotne myśliwce typu X-wing. Strategia walki imperialnych pilotów była tyleż prosta, co nietrudna do przewidzenia, ale podwładni Antillesa, korzystając z doświadczenia zdobytego podczas dziesiątków podobnych pojedynków, powinni zrobić wszystko, co w ich mocy, żeby im to uniemożliwić.

Spodziewając się starcia, przesłała pełną moc do generatora dziobowych pól ochronnych. Przypuszczała, że Wedge i Buźka postąpili tak samo.

Nagle w jej głowie zrodziła się przewrotna myśl. Zaledwie kilkadziesiąt metrów przed nią leciał Wedge Antilles, ale ogona jego myśliwca nie chroniło siłowe pole. Mogła posłać laserowe błyskawice ze wszystkich czterech sprzężonych działek w silniki jego maszyny i raz na zawsze wymazać jego nazwisko, tak znienawidzone przez pilotów Imperium, z listy personelu wojskowego Nowej Republiki.

To znaczy, z listy rebelianckiego personelu, poprawiła się w myśli. I co dalej?

Potem powinna unicestwić podobnym strzałem myśliwiec Buźki Lorana i poinformować obrońców Lavisara, że się poddaje. Musiałaby już tylko zaczekać na przybycie eskorty, która pozwoliłaby jej bezpiecznie wylądować na powierzchni planety...

Gdyby się na to zdecydowała, mogłaby do końca życia cieszyć się sławą osoby, która pokonała Wedge'a Antillesa.

To było dziwne uczucie. Mogła zestrzelić jednego z najsłynniejszych pilotów, który ufał jej do tego stopnia, że powierzył jej swoje życie.

Naturalnie, nie miał powodu jej ufać, ale jednak zaufał. Nikt nie wierzył w nią aż tak, od czasu gdy... Prawdę mówiąc, nikt nigdy nie miał do niej tak dużego zaufania.

Wystarczyłoby, żeby wyciągnęła palec, a jego życie dobiegłoby kresu.

Powinna walczyć z pokusą, ale... wcale jej nie czuła.

Taki atak równałby się zdradzie, pomyślała.

Roześmiała się głośno. Jaka szkoda, że nie możesz się usłyszeć, pomyślała. Nie ma czegoś takiego jak zdrada. Liczy się tylko skuteczność. Pamiętała, że skuteczność była zawsze jedną z najważniejszych doktryn Imperialnego Wywiadu, a Lara wierzyła święcie we wszystko, co mówili jej przełożeni.

Pewnego razu uświadomiła sobie jednak, że zdradą było to, czego zamierzał się dopuścić admirał Apwar Trigit. Postanowił poświęcić życie wielu tysięcy wiernie mu służących członków załogi gwiezdnego niszczyciela, tylko po to, żeby okręt nie wpadł w ręce wojskowych Nowej Republiki. To z powodu tej decyzji Lara postarała się, aby Trigit poniósł zasłużoną śmierć. Wywarła na nim zemstę w imię uczucia oczywistego, ale co najmniej niestosownego dla funkcjonariuszki Imperialnego Wywiadu. Tym uczuciem był honor.

Nagle usłyszała ostrzegawczy pisk Tonina. Odległość dzieląca obie eskadry szybko malała i właśnie osiągnęła dwa kilometry. Lara wiedziała, że przy tej odległości systemy celownicze tęponosych myśliwców Nowej Republiki mogą skutecznie namierzać cele. Zauważyła, że Wedge i Buźka sprzęgli laserowe działka i zaczęli posyłać ku nieprzyjaciołom czerwone błyskawice śmiercionośnych strzałów.

Znów usłyszała chrapliwy oddech, ale tym razem jej mózg spowiła dziwna mgiełka. Pod tą mgiełką myśli obijały się bez końca i Lara nie mogła ich wyrzucić. Musisz osłaniać swojego dowódcę, myślała. Nie wolno ci zabić ani jednego imperialnego pilota... Za głowę Antillesa wyznaczono tak bajecznie wysoką nagrodę, że mogłabyś bezpiecznie spędzić resztę życia... Zsinj nie jest ani trochę lepszy niż Trigit.

Przełączyła laserowe działka na pojedynczy ogień i szybkie powtarzanie. Jej błyskawice niosły wprawdzie niewielką energię, ale mogła strzelać prawie bez przerwy. Pstryknęła przełącznikiem celowniczego komputera. Niemal natychmiast tańcząca po ekranie żółta ramka skierowała się ku jednemu z nadlatujących myśliwców typu TIE i zapłonęła zielonym blaskiem, co sygnalizowało pewny namiar. Z pokładowych głośników w kabinie myśliwca rozległo się potwierdzające wycie.

Reagując odruchowo, Lara dała ognia. Czerwone błyskawice jej strzałów przemknęły obok nadlatującej maszyny, ale pilotka nie puściła guzika spustowego. Z luf jej działek leciały cały czas długie serie laserowych strzałów. Czuła drżenie rękojeści spustowej w dłoni i strzelała, jakby podlewała wężem trawnik przed domem. W pewnej chwili zobaczyła, że któraś błyskawica trafiła w cel i wypaliła czarną dziurę w bakburtowym panelu z ogniwami słonecznymi nieprzyjacielskiej maszyny.

Niewiele brakowało, a rozpyliłabym go na atomy, pomyślała ponuro. Starała się skupić strzały wokół śladu pierwszego trafienia, a nie na kulistej kabinie pilota, gdy nagle usłyszała ogłuszający huk i jej tęponosy myśliwiec zadygotał od dziobu do ogona. Moduł z przełącznikiem konfiguracji płatów nośnych wyskoczył z obudowy nad jej głową i zaczął się kołysać przed oczami, połączony z gniazdem za pomocą wiązek przewodów. Pilotka odtrąciła go na bok i usiłowała objąć spojrzeniem

iluminator, panel diagnostyczny i ekran monitora sensorów. Zorientowała się, że Wedge wykonuje beczkę i zwiększa pułap lotu. Zrezygnowała z obserwowania sytuacji na ekranie monitora i podążyła śladem dowódcy eskadry.

- Tonin, daj znać głośnym gwizdem, jeżeli nasz myśliwiec został poważnie uszkodzony - rozkazała.

Z głośnika nie wydobył się żaden dźwięk.

- Doskonała robota, „Trzynastko" - usłyszała czyjś głos... „Trójki", jak się jej wydawało. - Potwierdzam zestrzelenie.

- Dzięki, „Trójko" - odparła i te słowa wypadły poza tarczę rozproszonych myśli, jakie izolowały jej mózg niczym nieprzenikliwa mgiełka. Od tyłu, pomyślała. Nieprzyjaciele będą atakować mój myśliwiec od ogona. Obejrzała się, ale zobaczyła tylko wierzchołek błyszczącej kopułki Tonina, więc pospiesznie przeniosła spojrzenie na ekran monitora sensorów. Przeczucie jej nie omyliło. Piloci dwóch myśliwców typu TIE zataczali łuki, żeby zająć pozycje za ogonem jej maszyny. Lara zorientowała się, że wykonują manewr dziwnie powoli, jakby zastraszeni siłą ognia, jaką chwilę wcześniej zademonstrowała. Pomyślała, że zanim zdołają wymierzyć w nią lufy działek, mogłaby skręcić ostro na sterburtę i spróbować zająć dogodną pozycję do następnego czołowego pojedynku...

Nic z tego. Musiała lecieć śladem dowódcy. Musiała go osłaniać.

W pewnej chwili Wedge skręcił ostro na sterburtę. Lara powtórzyła jego manewr, ale tym razem mniej precyzyjnie niż poprzednio. Wykonała skręt zbyt raptownie, żeby zdołały sobie z nim poradzić inercyjne kompensatory, i wisząca na wiązkach przewodów metalowa skrzynka z przełącznikiem konfiguracji płatów nośnych znów zakołysała się przed jej głową, aż uderzyła w bok hełmu. Lara zignorowała to i starała się lecieć za dowódcą eskadry. Dzieliła ją od niego dosyć duża odległość, ale pilotka usiłowała zajmować miejsce z tyłu po stronie jego bakburty. Rzut oka przez sterburtowy iluminator pozwolił jej zobaczyć Buźkę, który także starał się nie łamać szyku.

Nagle w przestworzach dzielących ją od Garika pojawiła się oślepiająco jaskrawa zielona błyskawica. Wedge zakończył manewr i zaczął ostrzeliwać dwa nadlatujące ku niemu myśliwce typu TIE. Lara starała się któryś namierzyć, ale nadaremnie. Pilot nieprzyjacielskiej maszyny dokonywał ciągle drobnych korekt kursu, co utrudniało zadanie jej komputerowi. Mimo to Lara zdecydowała się dać ognia. Cztery błyskawice jej strzałów przecięły przestworza obok sterburtowego panelu z ogniwami słonecznymi nadlatującej maszyny.

Jej pilot odruchowo zmienił kurs na bakburtę, żeby uniknąć trafienia... i nadział się na skupioną wiązkę spójnego światła z czterech sprzężonych działek X-winga Antillesa. Śmiercionośne błyskawice przecięły kulistą kabinę pilota i myśliwiec typu TIE zniknął w oślepiającej pomarańczowożółtej kuli ognia. Kiedy Lara przelatywała przez chmurę szczątków, o kadłub jej maszyny zagrzechotały odłamki. Usłyszała także echo okrzyku. Pokręciła głową. Niemożliwe, żeby to był głos któregoś pilota, pomyślała. Chyba że posługiwał się komunikatorem.

- Tonin, natychmiast przerwij odbiór sygnałów wysyłanych przez imperialnych obrońców -

rozkazała.

ZROZUMIAŁEM.

- Dwa dla dowódcy i jeden dla „Trzynastki” - usłyszała ponownie głos „Dwójki”, ale odepchnęła go na bok, jak poprzednio przeklęty panel z przełącznikiem konfiguracji płatów nośnych. Spojrzała na ekran monitora sensorów, żeby odnaleźć drugi myśliwiec typu TIE, ale nieprzyjaciel uciekał z pola walki. Leciał w kierunku chmury czerwonych punktów reprezentujących dwie pełne eskadry, jakie poderwały się z powierzchni Lavisara.

Prawdę mówiąc, w tamtą stronę kierowali się też piloci pozostałych pięciu myśliwców typu TIE.

- Widma, tu dowódca - usłyszała. - Utworzyć szyk. „Dwunastka”, skończ obliczenia i zabierz nas stąd. Oceniam, że mamy najwyżej minutę, zanim nas zaatakują. Meldować po kolei stan.

- Tu „Trójka” - odezwał się Wes Janson. - Żadnych zestrzeleń. Niewielkie uszkodzenie górnego bakburtowego silnika fuzyjnego. Muszę go wyłączyć.

- Tu „Czwórka”. Dwa zestrzelenia, żadnych uszkodzeń.

Dopiero w tej chwili Lara uświadomiła sobie, co obija się w jej głowie równie natrętnie jak panel z przełącznikiem konfiguracji płatów nośnych o hełm. To była myśl: Zsinj nie jest ani trochę lepszy niż Trigit. Dlaczego właśnie ta myśl nie dawała jej spokoju?

Bo to była prawda. Piloci Drapieżników nie zamierzali toczyć walki z rzekomymi najeźdźcami. Gdyby Lavisar był planetą opanowaną przez Zsinja, Drapieżnicy pierwsi poderwaliby się do lotu, aby utwierdzić napastników w przekonaniu, że są wyjątkowo brutalni i skuteczni. Oznaczało to, że planeta jest naprawdę niezależna, a przechwycone rozmowy Drapieżników, jak podejrzewali przed walką piloci Eskadry Widm, miały tylko wywieść ich w pole.

A skoro obrońcy Lavisara nie zamierzali toczyć walki z pilotami Widm - to miało być tylko ostrzeżenie, w przeciwnym razie wystartowaliby w większej sile - wszystko musiało wyglądać tak, jak twierdził komandor Antilles. To był ukartowany przez Zsinja plan, żeby siły zbrojne Nowej Republiki...

Rebeliantów, poprawiła się znowu w myśli.

...Rebeliantów osłabiły, a może nawet całkowicie wyeliminowały obrońców planety. Zsinj mógłby wówczas wylądować na jej powierzchni albo jako zdobywca, albo jako bohaterski protektor. Obie wersje zapewniały mu to samo: władzę nad Lavisarem.

Lara nie mogła nie podziwiać jego planu, zwłaszcza że obejmował także inne planety, jakie atakowała dotąd grupa szturmowa „Mon Remondy”. Musiała przyznać, że podstęp jest sprytny i skuteczny.

Pomyślała jednak o pilotach, którzy stracili życie, żeby Zsinj mógł się napawać przeświadczeniem o swojej skuteczności. Nie był ani trochę lepszy niż admirał Trigit i wcale nie postępował...

- „Trzynastko”!

... szlachetnie. W jego postępowaniu nie było cienia przyzwoitości.

Lara uświadomiła sobie, że ostatnie piętnaście lat życia Gary Petothel zamyka się nad nią niczym wieko trumny. Jej rodzice byli funkcjonariuszami Imperialnego Wywiadu, ale zostali aresztowani i straceni za bliżej nieokreśloną zdradę. Jakże Gara ich nienawidziła... jak za nimi tęskniła. Jak pilnie się uczyła i jaką lojalność okazywała, żeby nigdy nie przytrafiło się jej nic podobnego.

- „Trzynastko”?

Całe życie uczono ją, żeby nie wierzyć Rebeliantom ani ich naiwnie optymistycznej propagandzie. Nie mogła jednak dłużej dawać wiary przedstawicielom władzy, która zajęła się nią, przeszkoliła i usiłowała ukształtować resztę jej życia. Chyba już nic jej z nianie łączyło.

W końcu jej uwagę zwróciły irytujące piski Tonina. Spojrzała na ekran monitora przeznaczonego do utrzymywania łączności z astromechanicznym robotem. DOWÓDCA CHCE WIEDZIEĆ, CZY NIE JEST PANI RANNA. Ach tak... Włączyła mikrofon komunikatora.

- Bardzo przepraszam, dowódco - powiedziała. - „Trzynastka” melduje... - Urwała i omiotła spojrzeniem pulpit diagnostycznej konsolety. - Dziobowe pola ochronne zmalały do czterdziestu siedmiu procent, ale powoli odzyskują pełne natężenie. Podczas pierwszego czołowego starcia chyba kogoś zestrzeliłam. Niektóre wskaźniki nie działają. - Chwyciła dźwignię przełącznika zmiany konfiguracji płatów nośnych i przestawiła ją w inne położenie, ale płaty się nie złączyły. - Wygląda na to, że mam uszkodzony siłownik skrzydeł. Chyba także coś uderzyło mnie w głowę.

- Wyłącz generator ochronnych pól. Już ci nie będą potrzebne - polecił Antilles. - I nie przejmuj się położeniem płatów nośnych. Po prostu potwierdź odbiór współrzędnych nowego kursu i przygotuj się do skoku na mój znak.

- Zrozumiałam, dowódco - odparła pilotka. - Uhm... odbieram współrzędne kursu. Wszystko się zgadza.

- „Trójka”, chcę, żebyś włączył jednostkę napędu nadświetlnego pięć sekund później niż pozostali - rozkazał Wedge. - Na wypadek, gdyby ktoś miał kłopoty ze wskoczeniem do nadprzestrzeni.

- Zrozumiałem cię, „Jedynka” - odparł Janson.

- Na mój znak... Trzy, dwa, jeden, teraz!

Wylądowali w bakburtowym hangarze „Mon Remondy” prawie w takim samym stanie, w jakim go opuścili, jeżeli nie liczyć zwęglonej smugi na kadłubie myśliwca Prosiaka, o który otarła się nieprzyjacielska błyskawica, i płatów nośnych tęponosej maszyny Lary, które nie chciały się złożyć do pozycji spoczynkowej. Nikomu nie stało się nic złego.

Lara zeszła po drabince na płytę lądowiska i poczuła się jak w mrowisku. Nie kryjąc uniesienia, piloci gratulowali kolegom, ściskali im ręce i poklepywali po plecach.

Lara odnosiła jednak wrażenie, że wszystko to odbywa się jakby w zwolnionym tempie. Nie rozumiała wypowiadanych słów, a dźwięki dobiegały do niej jak z ogromnej odległości. Związane w koński ogon blond włosy Tyrii kołysały się z boku na bok niczym łeb jadowitego węża. Kiedy Prosiak opisywał skomplikowane manewry, statecznie poruszał rękami, jakby przebywał w stanie nieważkości.

Do świadomości docierały tylko słowa i gesty dotyczące jej bezpośrednio. Czuła na sobie

spojrzenia członków grupy, do której należała.

Nie przeżywała niczego podobnego od dnia, kiedy straciła rodziców.

W dodatku piloci Eskadry Widm i Łotrów nie starali się specjalnie dać jej do zrozumienia, że jest jedną z nich. Po prostu traktowali to jak coś zupełnie oczywistego.

- Jakim cudem zauważyłaś tamtą rezerwową eskadrę?
- Doskonały strzał. Jak tego dokonałaś, mając lasery nastawione na pojedynczy ogień?
- To twoje pierwsze zestrzelenie i pierwsza sylwetka na kadłubie.
- Gratulacje i zarazem wyrazy współczucia.

Wszystkie te słowa miały to samo znaczenie: Jesteś jedną z nas.

Przecisnęła się przez tłum rozentuzjazmowanych pilotów i wciąż jeszcze dziwnie odizolowana od słów i emocji otaczającego ją świata skierowała się do kabiny, którą dzieliła z Tyrią.

Może uda mi się dokonać tej sztuki, pomyślała. Może odtąd zawsze będę Lara Notsil, a pani porucznik Gara Petothel, to biedne, nieszczęsne stworzenie, na zawsze pozostanie jedną z ofiar, które straciły życie podczas zagłady „Nieubłaganego".

Jesteś jedną z nas.

Położyła się i zasnęła, ale śniło się jej, że Gara i Lara sprzeczają się ze sobą. Wypowiadały słowa, których właściwie nie słyszała, i wymieniały poglądy, które straciły dla niej wszelki sens, kiedy się obudziła, tak że nadal nie wiedziała, jak naprawdę się nazywa.

Kiedy piloci Eskadry Widm wrócili z nową pilotką do bazy Jastrzębionietoperzy, przekonali się, że podczas ich nieobecności pozostali członkowie eskadry nie siedzieli z założonymi rękami. Kierując się własnym wyczuciem sytuacji, Kell Tainer zaplanował dwie akcje i stanął na czele ich uczestników... a wszystko z powodu Thakwaashanina Patyka.

- Doszliśmy do przekonania, że mieszkańcy Halmada popełnili poważny błąd - odezwała się obca istota o pociągłej twarzy. Nie kryjąc dumy, Patyk stał pod ścianą pełniącego rolę sali konferencyjnej towarowego modułu i wodził spojrzeniem po twarzach pozostałych pilotów, którzy siedzieli stłoczeni wokół owalnego stołu. - Zainstalowali na zachodnim wybrzeżu kontynentu Hullisa nowy zestaw sensorów i wycofali z użytku starsze sensory, rozmieszczone na zachodnich wyspach. Coś nas tknęło, więc postanowiliśmy się zapoznać z właściwościami nowych zestawów, i zauważyliśmy, że ich skuteczny zasięg jest kilkaset kilometrów krótszy niż odległość, jaką powinny pokrywać. Oznaczało to, że dysponujemy wąskim korytarzem powietrznej przestrzeni, którym możemy latać bez obawy o zauważenie. Gdybyśmy lecieli później tak nisko nad powierzchnią gruntu, żeby nie mogli nas wykryć operatorzy innych sensorów, dalibyśmy radę atakować znienacka naziemne cele.

- Pierwszy atak przypuściliśmy na portową dzielnicę magazynów miasta Fellon - podjął Tainer. - Obawiam się, że nie zdobyliśmy tam obfitych łupów. Zabraliśmy tylko spory zapas imperialnych holowideogramów rozrywkowych i propagandowych holo-dramatów, na których widok Buźka by się zarumienił...

- To mało prawdopodobne - przerwał Garik. - Jestem osobą zupełnie pozbawioną wstydu.

- Fakt - przyznał Kell. - Ale kiedy zbieraliśmy się do odlotu, ostrzelaliśmy basen z zacumowanymi jachtami i luksusowymi statkami miejskich bogaczy Hullisa i wyższych oficerów z

bazy Victory. Wyrządziliśmy straty sięgające co najmniej kilkunastu milionów kredytów i posłaliśmy na dno kilka bardzo pięknych jachtów. Podczas drugiej wyprawy dostało się samemu Hullisowi. Dzień wcześniej wylądował tam Castin i zajął się systemami bezpieczeństwa, a potem ja i Phanan nadlecieliśmy nad stolicę i rozwaliliśmy pół ściany jakiegoś budynku. Zabraliśmy do kabin tyle towarów, ile się dało bez narażania naszych myśliwców typu TIE na utratę prędkości, i odlecieliśmy.

- Jakich towarów? - zainteresował się Antilles.

- Imperialnych banknotów kredytowych, monet, klejnotów - odparł beztrosko Tainer. - Okazało się, że włamaliśmy się do jednego z ośrodków oficjalnej wymiany pieniędzy, z którego usług korzystali także funkcjonariusze imperialnej bazy.

Wedge otworzył szeroko usta.

- Chcesz powiedzieć, że obrabowaliście... bank? - zapytał, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Właśnie - przyznał z uśmiechem Kell. - Bawiliśmy się doskonale. Były wprawdzie pewne kłopoty z odwrotem... w końcu stanowiska sensorów znajdowały się bardzo blisko i ich operatorzy musieli nas zauważyć... ale śmignęliśmy w niebo tak szybko, że nie trafili nas artylerzyści planetarnych dział przeciwlotniczych ani nie doścignęli piloci myśliwców typu TIE, którzy rzucili się za nami w pościg. Wszystko kosztem kilku wgnieceń i niewielkich dziur w kadłubie gały Phanana.

- A także kilku wgnieceń i niewielkich dziur w ciele jego pilota - dodał Ton.

- Opowiedzcie im, czego ja dokonałem - zażądał Castin.

- Och, racja - przypomniał sobie Kell. - Castin musiał poczekać dzień czy dwa, aż go stamtąd zabierzemy, więc założył dla nas fałszywe konto w oddziale planetarnej służby informacyjnej. Dzięki temu możemy odbierać wiadomości z ich satelitarnej sieci obrony planetarnej, a także dane przekazywane przez sensory. Naturalnie, nie przesyłają ich prosto do nas... - zastrzegł pospiesznie, chcąc uprzedzić spodziewane pytanie. - W pobliżu jednego z istniejących ośrodków wydobywczych w pasie asteroid zainstalowaliśmy zamaskowaną antenę przekaźnikową. Gdyby przypadkiem ją wykryli, możemy wysadzić przekaźnik, zanim obrońcy planety zdążą się dostać do środka. Z dotychczas przekazanych sygnałów wynika, że budują kilka małych baz gwiezdnych myśliwców. Jedna mieści się w pobliżu Fellona, a inna na wschód od Hullisa, w rejonie, który na pierwszy rzut oka nie wymaga dodatkowej ochrony, więc musimy się zastanowić, co naprawdę tam ukrywają. - Kell uśmiechnął się, najwyraźniej bardzo dumny z tego, co udało się osiągnąć kilku pilotom Eskadry Widm podczas nieobecności pozostałych. - Castin zmodyfikował także systemy telekomunikacyjne naszych myśliwców typu TIE, żeby nadajniki skuteczniej zniekształcały głosy pilotów - podjął po chwili. - Wspomagane przez pokładowy komputer dodatkowe zniekształcenia mogą nie tylko modyfikować akcenty, ale także zmieniać płeć mówiących osób. Dzięki temu słuchacze będą mieli jeszcze więcej kłopotów z identyfikacją pilotów.

- Doskonała robota - pochwalił Antilles. - Ale jeżeli chodzi o waszą piracką działalność, chciałbym, żebyście przestali wyglądać, jakby sprawiało wam to ogromną radość.

Phanan parsknął.

- Zadowolony pracownik to produktywny pracownik - powiedział. Wedge pokiwał głową.

- Ale zadowolony pirat staje się zawodowym piratem - zauważył. - Nie zapomnieliście chyba, że ta cała historia z Jastrzębionietoperzami to tylko kamuflaż?

Kell i Phanan wymienili spojrzenia, z których wynikało, że nikt im tego wcześniej nie powiedział.

- Tak przypuszczałem - mruknął Wedge. - Coś jeszcze?
- Owszem - odezwał się Patyk. - Zidentyfikowaliśmy także harmonogram i trasę lotu ogromnego tankowca, który odlatuje z Halmada i zaopatruje w paliwo kilka rządowych placówek wydobywczych rozmieszczonych w pasie asteroid, a później wraca do samego Hullisa. Eskortuje go kilku pilotów myśliwców typu TIE, ale jeżeli będziemy mieli trochę szczęścia, zaskoczymy ich i wyeliminujemy z walki, zanim załoga tankowca wyśle sygnał z prośbą o ratunek. Możemy opanować ten tankowiec i polecieć dalej planowanym kursem, a potem wylądować w Hullisie z całą eskadrą gwiezdnych myśliwców, a może nawet także „Słoneczną Trawą" na pokładzie, na wypadek gdybyśmy chcieli przeprowadzić tam poważną operację. Opanowanie tankowca opłaci się nam nawet wówczas, gdybyśmy chcieli tylko skorzystać z zapasów paliwa, którego możemy jeszcze potrzebować.
- Dobrze wiedzieć - mruknął Wedge. - W porządku, Widma...

- Jastrzębionietoperze - poprawił go machinalnie Tainer. Antilles obrzucił go surowym spojrzeniem.

- Widma - powtórzył z naciskiem. - Upewnijcie się, że cały zdobyty piracki łup zostanie zgłoszony tym z Coruscant... do ostatniego kredyta. Podczas naszej nieobecności spisaliście się na medal. Postaraliście się, żeby władze Halmada miały do nas jeszcze większe pretensje. - Uniósł rękę i zaczął odginać kolejne palce. - Kiedy porwaliśmy myśliwce przechwytujące, a potem zdobyliśmy części zapasowe, zadaliśmy poważny cios ich zdolnościom obronnym. Ostrzeliwując ich i zatapiając luksusowe jachty i statki, zraziliśmy do siebie część społeczeństwa, które zechce teraz wywrzeć presję na władze, żeby się z nami rozprawiły. Atak na ośrodek wymiany pieniędzy zadał ich gospodarce cios, po którym nacisk społeczeństwa na władze jeszcze wzrośnie. Udowodniliśmy, że potrafimy naruszać i opuszczać ich przestrzeń powietrzną, kiedy i gdzie zechcemy... bez strat własnych i bez większego trudu. Właśnie to uważam za najważniejsze osiągnięcie. Zbyt długo żyli we względnym spokoju i nie wiedzą, jak uporać się z napaściami jednostek w rodzaju Eskadry Widm. Jeżeli będziemy mieli szczęście, skontaktują się z lordem Zsinjem i poproszą go o pomoc...

- Żeby przyleciał do nich i nas pokonał - domyślił się Buźka. Wedge się uśmiechnął.

- Jeżeli jesteście równie trudni do pokonania jak nieprzewidywalni, czeka go niemiła niespodzianka. - Powiódł spojrzeniem po twarzach podwładnych. - No dobrze - podjął po chwili. - Musimy cały czas wywierać na nich nacisk. Chcę, żeby obie bazy gwiezdnych myśliwców zostały zniszczone. Zamierzam przesłać imperialnym siłom zbrojnym na Halmadzie czytelne przesłanie, że cokolwiek zbudują, piraci z bandy Jastrzębionietoperzy mogą obrócić to w perzynę. Uważam też, że jeśli chcemy wykazać swoją wyższość i ich bezradność, powinniśmy zniszczyć obie bazy

równocześnie. Zabierzmy się więc do pracy i zacznijmy układać plany.

Jeden z modułów mieszkalnych bazy Jastrzębionietoperzy urządzono tak, żeby mógł pełnić rolę jadalni i kawiarni eskadry, a sąsiedni przerobiono na prowizoryczną kuchnię. Kiedy większość pilotów Eskadry Widm przebywała na pokładzie „Mon Remondy", Kell i szef mechaników, Cubber Daine, usunęli laserowymi przecinakami sporą część wychodzącej na Wąwóz kamiennej ściany. Postarali się nadać otworowi wygląd pozbawionego transpastalowej płyty ogromnego iluminatora, a nawet ustawili na wyrównanej powierzchni za nim kilka krzeseł i stolików. Odtąd piloci mogli wybierać, czy chcą jadać posiłki w samym „lokalu", czy „na tarasie". Buźka zauważył, że na widok tych upiększeń Antilles pokręcił głową, ale dowódca eskadry nigdy się nie wtrącał, gdy jego podwładni próbowali sobie w jakiś sposób uprzyjemnić życie.

Tego wieczoru, po długim okresie układania planów operacji „Trzęsienie Gruntu", jak Tyria określiła zamiar zniszczenia obu imperialnych baz, Buźka siedział przy stoliku stojącym „na tarasie". Zazwyczaj jadał w towarzystwie Phanana i pomagał mu drwić z pozostałych pilotów, ale tego wieczoru jego skrzydłowy siedział „w lokalu" przy stoliku naprzeciwko Lary Notsil. Garik nie mógł winić kolegi za ten wybór. Lara była urodziwa, inteligentna i sympatyczna. Nic dziwnego, że Phanan czuł się dobrze w jej towarzystwie. W pewnej chwili pilotka roześmiała się z jakiegoś jego dowcipu.

Mimo to z ruchów jej ciała przebijało napięcie. Prawdopodobnie wciąż czuła się skrępowana pośród innych Widm. To mogło potrwać jeszcze jakiś czas.

Powiedziała coś i uśmiechnęła się do Phanana, a potem sprzątnęła tacę i wyszła. Ton pozostał jednak przy stoliku.

Buźka zauważył, że partner zachowuje się dość nietypowo jak na niego. Spuścił głowę i znieruchomiał tak absolutnie, że postronny obserwator mógłby dojść do wniosku, że lekarz eskadry nie żyje, gdyby nie rytmiczne unoszenie się i opadanie klatki piersiowej. Zamknął prawdziwe oko i rozluźnił mięśnie jak ktoś zrezygnowany, godzący się z ostateczną porażką.

Buźka wstał, przestąpił niski kamienny próg wykutego otworu i podszedł do stolika skrzydłowego.

- Ton? - zapytał.

Phanan wzdrygnął się i wyprostował, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Buźko! - wykrzyknął. - Właśnie na ciebie czekałem. Wyczyść moje buty, synu, dobrze? Jutro czeka mnie ważna wyprawa.

Garik nie odpowiedział, ale wymownym gestem wskazał naramienniki swojej bluzy z odznakami porucznika.

- A, prawda, na śmierć zapomniałem - mruknął lekarz. - Jestem obdarzony nadzwyczajnym umysłem, ale ty pierwszy się zorientowałeś, kogo trzeba przekupić, żeby je dostać. No cóż, moja strata.

Wstał, wziął tacę i umieścił ją na przeznaczonym do tego celu stojaku.

- Nic ci nie jest? - zaniepokoił się Buźka.

Phanan spojrzał na niego, jakby nie zrozumiał pytania.

- Oczywiście, że nie - powiedział. - Tyle że martwi mnie stan moich butów. Może wydam polecenie Antillesowi, żeby je wypastował.

Buźka parsknął.

- A co, chcesz, żeby cię wykorzystał podczas ćwiczeń w mierzeniu z lasera? - zapytał. - Jako cel?
- Już kiedyś mu się naraziłem - mruknął lekarz. - Nie zależy mi na powtarzaniu tego doświadczenia. - Przeciągnął się i ziewnął. - Chyba się walnę spać - powiedział. - Jutro wyprawa.
- Racja - przyznał wciąż jeszcze zaniepokojony Garik.

Phanan uśmiechnął się z przymusem, minął go i podążył Wąwozem w stronę kwater pilotów. Buźka nie zatrzymywał go, ale nie potrafił się pozbyć niepokoju. Wydawało mu się, że miał do czynienia z fałszywym Phananem, a prawdziwy gdzieś zniknął.
Godzinę później, po zakończeniu ostatniego symulowanego ataku na Bazę Fellon, Garik przystanął przed drzwiami kabiny, którą Phanan dzielił z Prosiakiem. Zastukał cicho, ale odpowiedzi nie było, więc postanowił zapukać jeszcze raz, głośniej.

- Odejdź - usłyszał. - A jeżeli jesteś oficerem w stopniu porucznika lub wyższym, zechce pan łaskawie odejść.
- Muszę z tobą porozmawiać, Ton - odezwał się Garik.
- Jutro.
- Dzisiaj.
- Nie jestem sam.
- Wiem - przyznał Buźka. - Prosiak powiedział, że poprosiłeś go, aby zostawił ci wolną kabinę na ten wieczór. Zajmę ci tylko kilka minut.

Drzwi zmodyfikowanego modułu towarowego otworzyły się z przeciągłym sykiem. Naturalnie to nie drzwi tak syczały, bo moduły nie miały skrzydeł otwieranych przez hydrauliczne siłowniki. Dźwięk wydawał doprowadzony do ostateczności Phanan. Cybernetycznie udoskonalony pilot miał fałdzisty szlafrok z purpurowego jedwabiu i wściekłą minę.

- O co chodzi? - burknął opryskliwie.

Buźka przecisnął się obok niego do pierwszego pomieszczenia. Podobnie jak wszystkie inne moduły mieszkalne i ten podzielono na trzy części. Największa pełniła rolę saloniku, nieco mniejsza sypialni z dwiema pryczami, a najmniejsza łazienki. Garik przekonał się, że terminal w salonie jest włączony, ale na ekranie monitora nie zobaczył niczyjej twarzy.

- Nikogo tu nie ma - powiedział.
- Mów cicho - napomniał go Phanan. - Zaprosiłem ją do sypialni.
- Tam też nikogo nie ma - sprzeciwił się Garik.
- Chcesz powiedzieć, że kłamię? - zapytał cyborg tonem raczej zdziwionym niż urażonym.
- Nie pijesz, kiedy masz gości - odparł Buźka. - A ja czuję tu woń trunku.

Lekarz wzruszył obojętnie ramionami i wyjął butelkę z kieszeni szlafroka. Z etykietki wynikało, że to Halmadzka Wyborowa, bez wątpienia wykradziona ze skrzynki, którą rzekomi piraci z bandy Jastrzębio-nietoperzy zarekwirowali w ładowni „Barderii". Phanan wyciągnął butelkę w stronę gościa.

- Chcesz sobie łyknąć? - zapytał.
- Nie - odparł Buźka. - O co chodzi, Ton?

Phanan zatrzasnął drzwi kabiny i usiadł, a ściślej runął bezwładnie na stojącą w salonie nadmuchiwaną sofę.

- Ostatnio coraz szybciej się upijam - mruknął do siebie.
- Czyżby oznaka podeszłego wieku? - zakpił Garik.
- Nie. - Lekarz pokręcił głową. - Alkohol ma po prostu coraz mniej do zatruwania. Co roku mniej ciała, a więcej maszynerii, więc trunek szybciej działa na to, co jeszcze ze mnie zostało.

Buźka obrócił stojące przed terminalem krzesło, usiadł okrakiem i położył ręce na oparciu.

- Nie jestem pewien, czy cię dobrze rozumiem - powiedział.
- Nie była mną zainteresowana, Buźko - wyjaśnił cyborg.
- Lara?
- Tak, Lara. - Phanan pokiwał głową. - No cóż, przedtem Falynn, Tyria, różne damy na Folorze, Borleias i Coruscant, później Shalla i Dia, a teraz Lara.

Przyłożył szyjkę butelki do ust i pociągnął spory łyk. Buźka prychnął.

- Może powinieneś popracować nad techniką uwodzenia? - zapytał. - Co jej zaproponowałeś?
- Ach, właśnie na tym polega cały problem - odparł lekarz. - Nie zdążyłem jej niczego zaproponować. Siedziałem w jej towarzystwie, rozmawiałem z nią i wpatrywałem się w jej oczy. Uważała, że moje dowcipy są zabawne. Okazywała zainteresowanie historiami walk, jakie toczyliśmy z admirałem Trigitem, i wydawało mi się, że mnie lubi, ale... nic więcej. Nie uznała mnie za pociągającego. Jakoś od dłuższego czasu kobiety nie dostrzegają we mnie niczego szczególnego.
- Posłuchaj, Ton - zaczął Garik. - Wojna zawsze nakłada ograniczenia na nasze życie towarzyskie. Jestem pewien, że w końcu znajdziesz kogoś...
- Jeżeli nie przestaniesz mnie pocieszać w tak idiotyczny sposób, wypchnę cię stąd przez tę ścianę - zagroził Phanan. Powiedział to łagodnym tonem, ale Buźka nie mógł się łudzić, że jego skrzydłowy żartuje. Cyborg nie spojrzał na niego, nie poruszył się ani nawet nie napiął mięśni, ale

coś w jego głosie dowodziło, że śmiertelnie poważnie traktuje swoją groźbę. - Niczego nie rozumiesz.

- Więc postaraj się, żebym zrozumiał - zaproponował Garik.

Phanan wbił spojrzenie w sufit modułu, jakby chciał przebić go na wylot i popatrzeć na usiane gwiazdami niebo w nadziei, że pośród nich znajdzie natchnienie.

- Dawno, dawno temu, jeszcze gdy brałem udział w bitwie o Endor - odezwał się w końcu - służyłem jako lekarz na pokładzie fregaty, którą trafiła salwa z imperialnych turbolaserów. Potężna siła wyrwała fragmenty kadłuba i wyssała członków załogi w idealną próżnię. Miałem szczęście, bo tylko przygniotła mnie spadająca belka, rozgrzana do czerwoności przez energię laserowego strzału. W jednej chwili pomagałem jakiemuś pilotowi przyjść do siebie po przeżytym wstrząsie, a w następnej dowiedziałem się, że ten pilot od dwóch tygodni nie żyje, a ja mam sztuczną połowę twarzy i mechaniczną protezę zamiast nogi. Od tamtej pory żadna kobieta nie spojrzała na mnie choćby z cieniem zainteresowania.

- Nie chodzi o nogę ani o twarz, Ton - zaprotestował Buźka.

- Wiem o tym, ty niedorozwinięty umysłowo nerfie. - Cyborg spiorunował go spojrzeniem, a płonące rubinowym blaskiem sztuczne lewe oko nadawało złowieszczy wygląd jego twarzy. - Ale kiedy zostałem ranny, w tamtej sali operacyjnej coś we mnie pękło. Straciłem swoją przyszłość. Wydaje mi się, że ludzie, a może tylko kobiety, patrzą na mnie i myślą: on nie ma przed sobą żadnej przyszłości.

- To absurdalne.

- Żadna mechaniczna proteza nie zastąpi ci przyszłości, Buźko - ciągnął Phanan, ignorując jego uwagę. - A za każdym razem, kiedy odnoszę kolejną ranę, łapiduchy muszą wyciąć następną część mojego ciała i zastąpić ją mechanizmem, bo mam alergię na płyn bacta... A ja coraz dalej zostawiam za sobą młodego lekarza, który miał przed sobą świetlaną przyszłość. On już nigdy nie wróci, Buźko. Nie ma go już we mnie.

- Ton...

- Nie staraj się mnie uspokajać twierdzeniem, że nie mam pojęcia, o czym mówię, bo jestem zalany i niespełna rozumu - przerwał lekarz. - Jasne, że jestem zalany i niespełna rozumu, ale prawda tego, co ci właśnie powiedziałem, kłuje mnie w oczy cały czas, nawet kiedy nie jestem pijany. Nawet kiedy się staram cieszyć wszystkim, co niesie życie. Nie mam przed sobą żadnej przyszłości. Nie mam nikogo, z kim mógłbym wiązać jakąkolwiek nadzieję.

- Masz przyjaciół, Ton - sprzeciwił się Garik. Phanan pokiwał głową.

- To prawda - przyznał ponuro. - I jestem za nich bardzo wdzięczny losowi, ale przyjaciele należą do mojej teraźniejszości, nie przyszłości. Kiedy usiłuję dojrzeć miejsce, w którym może się znajdować moja przyszłość, niczego tam nie ma. Nie mam przyszłości.

- Nie wiem, co ci powiedzieć - odparł zrezygnowany Buźka. - Chciałbym, żebyś nie był taki przygnębiony.

- Ja też.
- Oddaj mi butelkę.
- Wiem, wiem... - burknął Phanan. - Jutro wyprawa.

Wręczył mu butelkę, w której brakowało dwóch trzecich zawartości. Garik spojrzał na skrzydłowego.

- Jeżeli nie będziesz się czuł na tyle dobrze, żeby lecieć z nami, chcę, żebyś mi powiedział.
- Tak jest, panie poruczniku.

Buźka chciał coś dodać, ale zniechęcił go oficjalny ton ostatniej uwagi przyjaciela. Pokręcił głową, wstał i wyszedł.

ROZDZIAŁ 10

Tyria weszła do salonu mieszkalnego modułu, który dzieliła z Lara Notsil, i pomachała jej na powitanie kartą danych.

- Poczta z domu - oznajmiła.

Nowa pilotka uśmiechnęła się z przymusem.

- Mam wyjść, żebyś mogła się z nią zapoznać bez skrępowania? - zaproponowała. - To żaden problem.

- To nie do mnie - wyjaśniła Tyria. - Większość członków mojej rodziny nie żyje, a ci, którzy pozostali, mieszkają na Toprawie... A stamtąd nie docierają do nas żadne wiadomości. - Mówiła prawdę. Planetę, skąd oddziały Sojuszu Rebeliantów przekazały informację, która przyczyniła się do zniszczenia pierwszej Gwiazdy Śmierci, zbombardowało Imperium, żeby przestrzec innych, którzy mogliby się buntować. Miasta zostały obrócone w perzynę, a mieszkańcy cofnęli się w rozwoju do czasów barbarzyństwa. - Ta karta jest zaadresowana do ciebie. To ja mogę wyjść, jeżeli chcesz się czuć swobodnie.

Nie kryjąc zdziwienia, Lara wzięła kartę i wsunęła ją do odpowiedniej szczeliny czytnika komputerowego terminalu. U góry ekranu od razu pojawiło się jej nazwisko, a zaraz po nim prośba o wpisanie osobistego hasła. Z załączonej informacji wynikało, że zbiór jest dosyć obszerny, więc oprócz tekstu musiał zawierać także głos, a może nawet i obraz.

- Nie, zostań - powiedziała. - Nie mam żadnych tajemnic. Wpisała hasło i poleciła wyświetlenie wiadomości.

Na ekranie ukazała się twarz przystojnego mężczyzny o krótko ostrzyżonych czarnych włosach, starannie utrzymanych wąsach i wyglądzie zabijaki. Nieznajomy stał na tle gładkiej beżowej ściany przed stolikiem z kilkoma hologramami. Przez otwarty iluminator było widać panoramę spieczonego żarem czarnego gruntu.

- Witaj, Laro - odezwał się mężczyzna. - Z pewnością nie wyobrażałaś sobie, że jeszcze kiedykolwiek zobaczysz mnie i usłyszysz.

Lara zmarszczyła brwi. Kim jest ten nieznajomy? Dopiero po kilku sekundach rozpoznała jego

twarz. Widziała ją zaledwie kilka razy w aktach, które kiedyś pospiesznie przeglądała. Otworzyła szeroko usta ze zdumienia.

- To... to... Tavin Notsil - wyjąkała. - Mój brat.
- Sądziłam, że nie... - zaczęła Tyria.
- Na pewno myślałaś, że nie żyję - podjął mężczyzna z ekranu terminalu. - Ja także byłem pewien, że straciłaś życie, ale wygląda na to, że los oszczędził i mnie, i ciebie. Zanim Nowe Staromieście zostało zniszczone, zawarłem dość szczególną umowę z komendantem miejskiej policji i uczciwie zarabiałem na życie, pływając po Morzu Aldivy. Po powrocie do domu przekonałem się, że nasza osada nie istnieje. Dopiero niedawno się dowiedziałem, że przeżyłaś. Nie masz pojęcia, jak się z tego cieszę.

Tyria podeszła do Lory, objęła ją i uściskała.

- Moje gratulacje - szepnęła. Nie miała pojęcia, że w tym czasie w myślach jej koleżanki panuje kompletny chaos.

Lara wiedziała, że będzie musiała coś odpowiedzieć temu cymbałowi. Powinna wymyślić jakiś sposób, żeby raz na zawsze zerwać kontakt ze wszystkimi członkami rzekomej rodziny. Naturalnie, nie mogła dopuścić, żeby mężczyzna zobaczył jej twarz... twarz Gary Petothel.

Przeniosła spojrzenie na hologramy stojące za Tavinem. Przedstawiały sceny z życia rodzinnego. Na jednym rodzice prawdziwej Lary Notsil siedzieli na huśtawce przywiązanej do konara drzewa, które rosło za domem na ich farmie. Na drugim o wiele młodszy Tavin Notsil pływał w przydomowym basenie, a trzeci przedstawiał repulsorową młockarnię. Siedziała na niej uśmiechnięta Lara Notsil...

Ale nie była to prawdziwa Lara Notsil. To ona, Gara Petothel. Miała jasne włosy, wiejskie ubranie i opaleniznę, której nigdy w życiu się nie dorobiła. Unieruchomiła obraz i zaczęła mu się uważnie przyglądać. Wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Nagle świat wokół niej zawirował i kolana ugięły się pod ciężarem jej ciała. Osunęła się na krzesło i poczuła, że Tyria stara się ją podtrzymać.

- Spokojnie, spokojnie... - usłyszała jej szept. - Wiem, że to dla ciebie wielki wstrząs. Zaraz wezwę doktora Phanana.

Lara chwyciła ją za rękę i nie pozwoliła jej wyjść z modułu.

- Żadnego lekarza - powiedziała. - Zaraz mi przejdzie.

Słyszała, że jej głos brzmi bardzo cicho, ale nie mogła pozwolić, żeby ktokolwiek oglądał ją w takim stanie... przynajmniej dopóki się nie zorientuje, o co chodzi.

Nigdy nie była na Aldivie. Nigdy w życiu nie siedziała na tej młockarni. Kilka tygodni wcześniej w ogóle nie miała pojęcia o istnieniu Lary Notsil. A może to wszystko jej się wydawało? Może naprawdę była Lara, a wspomnienia o Garze Petothel tylko dziwacznym urojeniem? Uczyniła

wysiłek, żeby przezwyciężyć ogarniające ją poczucie nierzeczywistości, ale odnosiła wrażenie, że ściany modułu wirują wokół niej jak szalone. Usiadła prosto i zaczęła wyświetlać resztę wiadomości.

Jej brat zerknął na ekran komputerowego notesu.

- Posłuchaj, czy to nie ironia losu? - zapytał po chwili. - Zapewne pamiętasz, że zamierzałaś się przeprowadzić do Greentona i złożyłaś podanie o przyjęcie do pracy w tamtejszej Lachany Foods? Tak się złożyło, że wpadł mi w ręce oryginał twojego podania. Pozwól, że ci przypomnę, co tam napisałaś: „Gdybym się tam przeprowadziła, czy byliby państwo zainteresowani zatrudnieniem technika o moich umiejętnościach i specyficznej wiedzy? Mam nadzieję, że zechcecie państwo pozytywnie rozpatrzyć moją prośbę".

Lara zamknęła oczy. Z trudem oparła się pokusie zatkania uszu, żeby nie słyszeć nieustannego jazgotu półprawdziwych wspomnień. Pamiętała te słowa. Sama je napisała. A jeśli to był fragment podania Lary Notsil, nazywała się Lara, nie Gara.

- Wyobraź sobie, że ci z Lachany Foods odpowiedzieli na twoją prośbę - ciągnął mężczyzna. - Chyba jednak przed wysłaniem odpowiedzi nie sprawdzili, że Nowe Staromieście zostało zrównane z powierzchnią gruntu. Innymi słowy, nie mieli pojęcia, że nie żyjesz... chciałem powiedzieć, że wszyscy uważają cię za zmarłą. Tak czy owak, proponują ci pracę, o którą się starałaś, a nawet wynagrodzenie, jakie miałaś nadzieję otrzymywać. Naprawdę są zainteresowani tym, co możesz im zaproponować. - Na twarzy Tavina odmalowało się przejęcie. - Posłuchaj, Laro, podobno dostałaś jakąś pracę w ośrodku przetwarzania danych na Coruscant. Jeżeli jesteś z niej zadowolona, bardzo się cieszę, wątpię jednak, żeby to zajęcie dawało ci satysfakcję. Te wszystkie wysokie gmachy... Jeżeli jeszcze ci zależy na pracy, o którą się starałaś, skontaktuj się ze mną, a ja przekażę im twoją odpowiedź. Mogę nawet załatwić ci powrót na Aldivę, tylko daj mi znać, co sądzisz o tej propozycji.

Tavin spojrzał w bok, ale zaraz znów przeniósł spojrzenie na obiektyw holograficznej kamery.

- Muszę już kończyć, bo inaczej nie będę mógł pokryć kosztów tej rozmowy - powiedział. - Bez względu na to, czy jeszcze zależy ci na tej pracy, czy nie, odezwij się do mnie. Wszystkiego najlepszego i do zobaczenia.

Uśmiechnął się z przymusem i obraz na ekranie zastygł.

Chwilę później nałożyły się na niego białe litery informujące o drodze, jaką przebyła wiadomość, zanim trafiła do rąk adresatki. Lara przeczytała, że Tavin przesłał ją z Aldivy na nieaktualny adres jej apartamentu na Coruscant. Stamtąd trafiła do Głównego Ośrodka Pocztowego Nowej Republiki, a później, już zaopatrzona w klauzulę tajności, najpierw na pokład „Tedevium", a następnie „Mon Remondy". W końcu dotarła do jej rąk, chociaż na ekranie nie było na ten temat żadnej wzmianki. Obecność pilotów Eskadry Widm w systemie Halmada wciąż jeszcze była utrzymywana w ścisłej tajemnicy.

Lara starała się uspokoić oddech i zrozumieć, co to może mieć z nią wspólnego.

W końcu przyszło olśnienie. To były naprawdę słowa z jej listu, który napisała, kiedy jeszcze

przebywała na Coruscant, ale wysłała go potajemnie do lorda Zsinja. Napisała je Gara, a nie Lara, pod którą się podszywała.

Wreszcie zaczęła oddychać spokojnie i miarowo, jakby nagle ktoś rozwiązał sznur, jaki dotąd krępował jej pierś. Znów wiedziała, kim jest i jak się nazywa.

Tylko dlaczego Tavin Notsil cytował w rozmowie z nią słowa listu, który napisała i wysłała do Zsinja? Istniała tylko jedna możliwość. Lord otrzymał jej list i obecnie starał się z nią skontaktować w taki sposób, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Uznał, że najlepiej będzie to zrobić za pośrednictwem Tavina Notsila. To miało nawet sporo sensu. Prawdopodobnie Tavin został zwerbowany, żeby pomóc lordowi nawiązać z nią kontakt.

Lara poczuła, że znów kręci się jej w głowie. Wiedziała już, że Zsinj przejrzał na wylot jej fałszywą osobowość. Nie mogła dłużej czuć się bezpieczna. W jej oczach zakręciły się łzy i tym razem nie potrafiła ich powstrzymać. Chyba straciła, przynajmniej na jakiś czas, legendarną umiejętność płakania i powstrzymywania łez na żądanie. Ukryła twarz w dłoniach i pozwoliła łzom spływać po policzkach.

- Nie przejmuj się tym - odezwała się Tyria. - Nawet dobra wiadomość może czasami wywołać silny wstrząs. Na pewno nie chcesz, żebym wezwała lekarza?

- Wszystko w porządku, naprawdę - zapewniła ją Lara.

Co miała robić? Zaledwie kilka dni wcześniej postanowiła zrezygnować z poprzedniego planu, bo doszła do wniosku, że już nie pragnie wrócić do służby dla lorda Zsinja. Chciała zostać, gdzie jest... żeby poczuć się w pełni członkiem nowej społeczności. A Zsinj usiłował przekreślić przyszłość, jaka się przed nią otwierała.

Chociaż wciąż jeszcze czuła drżenie nóg, wstała, odwróciła się i uśmiechnęła z przymusem do koleżanki.

- Myślę, że dobrze mi zrobi spacer - powiedziała.

- Rozumiem - odparła Tyria. - Gdybyś później chciała porozmawiać...

- Dziękuję.

Wyszła z modułu mieszkalnego, skręciła w prawo i ruszyła w głąb Wąwozu, który służył pilotom Eskadry Widm za mieszkanie. Byle dalej od towarzystwa ludzi.

Buźka znów siedział przy ulubionym stoliku „na tarasie” i notował ostatnie uwagi na temat czekającej ich następnego dnia wyprawy. W pewnej chwili zauważył, że Lara wychodzi z modułu mieszkalnego i kieruje się w głąb Wąwozu. Odprowadził ją wzrokiem i wrócił do pracy, ale chwilę potem znów przeniósł na nią spojrzenie. Lara zachowywała się jakoś dziwnie... bez wątpienia była zdenerwowana, może nawet wściekła, ale nie tylko to wzbudziło jego podejrzenia. Nowa pilotka poruszała się tak, jakby przebywała na Coruscant. Stawiała krótkie kroki i szła zgarbiona, jak ktoś, kto spędził wiele lat pośród przytłaczających ogromem wieżowców i przyprawiających o klaustrofobię kamiennych wąwozów planety tronowej Imperatora.

A może to admirał Trigit nauczył ją tak chodzić, kiedy naszpikował ją narkotykami i uwięził w osobistej kabinie? Garik pomyślał, że to możliwe. Mężczyzna pokroju Trigita nie mógł pewnie znieść widoku długich, swobodnych kroków młodej kobiety z aldivańskiej farmy, więc kiedy postanowił

złamać jej wolę, zmusił ją także do zmiany stylu chodzenia.

Buźka westchnął. Podejrzewał, że w umyśle Lary Notsil panuje większy rozgardiasz, niż ktokolwiek sobie wyobrażał. Miał nadzieję, że kiedy pilotka znajdzie się w tarapatach, poprosi kolegę albo koleżankę z Eskadry Widm o pomoc, ale dopóki się na to nie zdecyduje, dopóty mógł tylko ją obserwować i być gotowy do udzielenia tej pomocy.

Wciąż jeszcze trochę zaniepokojony, spojrzał na ekran komputerowego notatnika i zajął się dopracowywaniem szczegółów planu.

Jedną „przecznicę" od modułu mieszkalnego, to znaczy w pierwszym wolnym miejscu pod ścianą Wąwozu, gdzie moduły nie stały tuż obok siebie, Lara natknęła się na Kella Tainera. Rosły pilot okładał pięściami ćwiczebnego manekina - wypchaną człekokształtną kukłę z materiałów na tyle elastycznych i wytrzymałych, żeby zniosły siłę ciosów, które jej wymierzał pięściami, stopami, łokciami i kolanami. Na widok Lary odwrócił się do niej.

- To właśnie tak pozbywasz się napięcia? - zapytała Lara.

- Zgadza się - odparł Tainer.

- A co robisz, kiedy po prostu chcesz się wykrzyczeć? Porucznik odwrócił się i pokazał w głąb Wąwozu.

- Dwie przecznice dalej, po lewej stronie, znajdziesz drzwi otwierane przez siłowniki - powiedział. - Umożliwiają wstęp do bocznego tunelu. Jest oświetlony i panuje w nim sztuczne ciążenie, ale tylko na pierwszych stu metrach. Granica jest oznaczona żółtą krechą, więc staraj się jej nie przekraczać.

- Dziękuję.

Pilot mówił prawdę. Kiedy ciężkie drzwi do bocznego tunelu zatrzasnęły się za jej plecami, Lara od razu poczuła, że jest odizolowana nie tylko od pilotów Eskadry Widm, ale także od kontaktów z wszystkimi innymi. Otaczały ją kamienne ściany, pośród których czuła się bezpieczna, bo wiedziała, że jej nie zawiodą. Pragnąc wyrzucić z siebie gniew i dezorientację, zaczęła krzyczeć tak głośno, że zabolało ją gardło. Jej okrzyki odbijały się od kamiennych ścian skąpo oświetlonego chodnika i cichły w dali, której nawet nie widziała. Krzyczała i krzyczała, aż prawie straciła głos i prawie przestała myśleć. Czuła tylko zmęczenie. Oparła się plecami o chropowatą ścianę, usiadła pod nią i ukryła twarz w dłoniach. Jej krótkie wakacje dobiegły końca. Musiała znów zacząć trzeźwo myśleć. Musiała przeanalizować swoją sytuację.

Po pierwsze, Zsinj zamierzał pozbawić ją przyszłości, na którą kilka dni wcześniej się zdecydowała. Co zrobić, żeby temu zapobiec?

Po drugie, właśnie przeżyła kryzys osobowości, który przenigdy nie powinien się jej przydarzyć. Nie mogła się zastanawiać, kim jest ani skąd pochodzi. Bardzo chciała być Lara Notsil, ale nie potrafiła się dłużej łudzić, że nigdy nie nazywała się Gara Petothel. O co w tym wszystkim mogło chodzić?

No dobrze. Po kolei. Najpierw pierwszy problem.

Możliwe wyjście: wrócić do pierwotnego planu i przyłączyć się do Zsinja. Zastanawiając się nad tą możliwością, Lara pokręciła głową. Jeszcze w przestworzach Lavisara doszła do wniosku, że

tego nie zrobi. Zsinj nie był jej wart, nie zasługiwał na jakąkolwiek pomoc w odniesieniu sukcesu. Postanowiła, że nie przyłączy się do niego.

Drugie możliwe wyjście: wyznać wszystko dowódcy eskadry. Doszła do wniosku, że to kiepski pomysł, bo rozwiązałby tylko niektóre jej problemy. Wedge Antilles mógłby wprawdzie nadal korzystać z jej pomocy w walce przeciwko Zsinjowi, ale już nigdy nie miałby do niej zaufania. Ani on, ani nikt inny. Lara przekonała się, że to zaufanie działa na nią silniej niż narkotyk, zwany przyprawą, o którego istnieniu kiedyś się dowiedziała. Nie mogłaby dłużej żyć bez tego zaufania, i zastanawiała się, jak mogła przeżyć tyle czasu bez niego.

Istniał także drugi aspekt tego wyjścia. Jednym z członków Eskadry Widm był porucznik Myn Donos, który zanim został podwładnym Antillesa, dowodził Eskadrą Szponów. Gara, pozostając na usługach admirała Trigita, ślepo wykonywała wszystkie jego polecenia. Pewnego razu włamała się do bazy danych Nowej Republiki, żeby umieścić w niej fałszywą informację, z której wynikało, że jakaś planeta jest bezpieczna. Opierając się na tej informacji, Eskadra Szponów poleciała tam, ale została zaatakowana i uległa zagładzie. Zginęli prawie wszyscy piloci oprócz Donosa. Gdyby Myn dowiedział się, że to jej sprawka, mógłby ją po prostu zabić.

Trzecie możliwe wyjście: zbywać Zsinja i grać na zwłokę, a może nawet przekazywać mu fałszywe informacje. Wątpiła, aby Zsinj sam oddał się w ręce wojskowych Nowej Republiki albo pozwolił się schwytać żywym, więc musiałaby cierpliwie czekać, aż zostanie zabity. Przypuszczała, że to tylko kwestia czasu. Kiedy Zsinj zginie, nie będzie mógł zdradzić jej prawdziwej tożsamości. To całkiem niezłe rozwiązanie, pomyślała. Gdyby rozegrała to umiejętnie, jej plan miał wszelkie szanse powodzenia. Postanowiła, że na razie nie będzie się zastanawiała nad inną możliwością.

Musiała się jeszcze uporać ze swoim emocjonalnym kryzysem sprzed kilku minut.

Nagle usłyszała wewnętrzny głos: *Musisz się wczuć w swoją rolę.*

Głos był męski i jedwabisty, jakby pieścił jej uszy. Można by pomyśleć, że mężczyzna troszczy się ojej dobro, ale Lara wiedziała, że to nieprawda. Nieznajomy tylko udawał troskę.

Do kogo należał ten głos? Lara nie potrafiła sobie przypomnieć. Podejrzewała, że to jeden z instruktorów, którzy udzielali jej wskazówek, zanim została funkcjonariuszką Imperialnego Wywiadu. Liczyła na to, że pamięć podsunie jej coś więcej.

Głęboko w umyśle zainstaluj ukryte przełączniki, mówił wtedy mężczyzna. Kiedy zostaną włączone, staniesz się sobą. *Postaraj się osiągnąć zamierzone cele, a potem zapomnij o wszystkim i zacznij znów odgrywać rolę tej samej osoby, co poprzednio.*

Lara nie widziała jego twarzy, bo źródło silnego światła znajdowało się za jego głową. Kiedy wpatrywała się w nie, łzawiły jej oczy.

Zapomnij, że nazywasz się Gara, mówił instruktor. *Cały dzisiejszy dzień będziesz się nazywała Kirney.*

Drgnęła i otworzyła oczy. Zupełnie zapomniała, że kiedyś naprawdę nazywała się Kirney Siane. To była jej pierwsza rola, jej ćwiczebna rola. Wcieliła się w coruscańską studentkę ekonomii, córkę nieistniejącego hotelarza. Odgrywała tę rolę tak doskonale, jakby naprawdę była Kirney Siane. Fałszywa tożsamość pozwoliła jej udawać, że należy do średniej warstwy coruscańskiego

społeczeństwa. Mogła prowadzić swobodne rozmowy z żonami oficerów, flirtować i piąć się po szczeblach społecznej drabiny jak wiele innych dziewcząt, których jedynym celem życia było poślubienie obiecującego oficera.

Pokręciła głową i usunęła te wspomnienia z głowy. Kirney należała do jej przeszłości... tak odległej, jakby w ogóle nie istniała. Kiedy skończyła wykorzystywać ją jako ćwiczebne narzędzie, otrzymała wyraźny zakaz posługiwania się tym nazwiskiem i tą tożsamością.

Jeżeli coś ma jakiekolwiek praktyczne znaczenie, zachowaj to, mówił mężczyzna. Jeżeli ma znaczenie wyłącznie sentymentalne, porzuć. On, jej tajemniczy instruktor, miał na myśli nie tylko wyrzucenie z głowy szczegółów fałszywych tożsamości. Chodziło mu także o związki emocjonalne. Nawet o wspomnienia. Powinna usuwać z myśli wszystko, co nie miało związku z jej zawodem, a nawet z aktualnie wykonywanym zadaniem.

Tęskniła do osobowości Kirney. Czuła się wówczas tak beztrosko.

Zanim pod prawdziwym nazwiskiem wstąpiła na służbę u admirała Trigita, nazywała się jakiś czas Chyan Mezzine i służyła jako pani oficer łącznościowiec na pokładzie fregaty Nowej Republiki o nazwie „Morska Kolebka". Przypominała sobie wszystkie słowa tajnych meldunków, jakie przesyłała z pokładu fregaty swojemu imperialnemu opiekunowi, a potem Trigitowi. Mimo to nie przypominała sobie szczegółów życia w postaci Chyan Mezzine. Co wówczas robiła? Kogo znała? Czy miała jakichś przyjaciół?

Czuła, że w jej głowie dzieje się coś złego. Wszystko przez to, co wyprawiali z nią imperialni instruktorzy, odkąd była małą dziewczynką. Chciałaby to usunąć z głowy, ale nie miała pojęcia, gdzie tego szukać.

Poniewczasie uświadomiła sobie, że patrzy na parę butów. Uniosła głowę i zobaczyła Myna Donosa. Porucznik był ubrany w kombinezon pilota, a na ramieniu niósł futerał z karabinem.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, podając jej złożoną chusteczkę. Lara przyjęła ją, jakby nie wiedziała, co z tym zrobić.

- To do oczu - przypomniał pilot.

- Och... dziękuję. - Lara otarła łzy. Nawet sobie nie uświadamiała, że cały czas płynęły.

- Słyszałem, że otrzymałaś radosną wiadomość, ale wcale nie wyglądasz na zachwyconą. - Myn wzruszył ramionami. - To nie moja sprawa, ale gdybyś chciała porozmawiać...

Lara bardzo chciała, chociaż wiedziała, że postępuje niewłaściwie. Jej imperialni instruktorzy nigdy by tego nie pochwalili, ale musiała się z kimś podzielić myślami.

- Dostałam wiadomość od brata - zaczęła. - Zawsze dotąd myślałam, że zginął, kiedy moją osadę zniszczyli artylerzyści z pokładu „Nieubłaganego". Okazało się jednak, że przeżył.

Donos zdjął futerał z ramienia, oparł go o przeciwległą ścianę i kucnął przed Lara.

- A ty nie uważasz, że to wspaniała wiadomość? - zapytał.

- Niezupełnie - odparła pilotka. - Ja... naprawdę nie obchodzi mnie, co się z nim działo - zaczęła w końcu. - Był przestępcą. Kiedy Nowe Staromieście legło w gruzach, powinien gnić w miejskim więzieniu, ale jakimś cudem wyszedł, bo podał się za kogoś innego. Jest do szpiku kości zepsuty i

nieuczciwy. Chyba się cieszę, że żyje, ale gdybyś go znał równie dobrze jak ja, zrozumiałbyś, dlaczego jego list... No cóż, ociekał sarkazmem, którego nie potrafiłby dostrzec nikt oprócz mnie. Chce, żebym się do niego przyłączyła. Chce wciągnąć mnie w sieć podstępnych intryg i przestępczych machinacji. Tylko z tego powodu się ze mną skontaktował. Czegoś ode mnie potrzebuje. Zastanawiając się nad jej słowami, Donos skrobał się po brodzie.

- Czy możliwe, że pozostaje na usługach Zsinja? - zapytał w końcu.

- Co takiego? - żachnęła się zaskoczona Lara.

- Wysłuchaj mnie do końca - poprosił pilot. - Wiem, że Zsinj interesuje się żywo wszystkim, co ma jakikolwiek związek z eskadrą gwiezdnych myśliwców Antillesa. Wyobraźmy sobie, że zobaczył twoje nazwisko na liście podwładnych znienawidzonego komandora Nowej Republiki, a potem się dowiedział, że twój marnotrawny brat żyje, chociaż wszyscy uważają go za zmarłego. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że postanowił go wykorzystać do swoich celów. Czy twój brat mógłby przejść na służbę kogoś takiego jak Zsinj tylko dla pieniędzy?

Lara poczuła, że myśli w jej mózgu wirują jak szalone. Tak bardzo się starała, żeby fakty z przeszłości jej fikcyjnej osobowości nie wpływały na teraźniejszość, ale lada moment mogło dojść między nimi do kolizji.

- Naturalnie - odparła z przekonaniem. - Nie zastanawiałby się nawet coruscańskiej sekundy.

- A więc może tylko chce wyciągnąć z ciebie kilka kredytów... albo usiłuje cię zwabić w zastawioną przez Zsinja pułapkę - podsumował Donos. - Czy uważasz, że to możliwe?

- Nawet bardzo prawdopodobne - przyznała bez wahania.

- Chyba powinniśmy się tego dowiedzieć - stwierdził pilot. - Wiem, że to oznacza wtrącanie się w twoje rodzinne sprawy... ale jeżeli Zsinj chce cię zwabić w pułapkę za pośrednictwem członka twojej rodziny, może spróbować tego samego z pozostałymi Widmami. Musimy się upewnić.

- Masz rację - odparła Lara. - Ale powinnam zająć się tym sama. Mój brat nie zaufa nikomu oprócz mnie.

- Nie możesz lecieć tam sama. Nie ma mowy. - Donos stanowczo pokręcił głową. - A jeżeli to pułapka? Co zrobisz, jeżeli wejdziesz do jego domu, a on ogłuszy cię strzałem z blastera? Potem odda cię w ręce Drapieżników Zsinja, którzy zabiorą cię na pokład „Żelaznej Pięści", gdzie zostaniesz poddana „delikatnemu przesłuchaniu"?

Pilotka się wzdrygnęła. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że naprawdę czuje lęk.

- Masz rację - powtórzyła.

- Jeżeli chcesz, zajmę się dopracowaniem szczegółów tego planu i przedstawię sprawę komandorowi Antillesowi - zaproponował Donos. - Na Aldivie wylądujesz tylko w towarzystwie niewielkiej grupy osób, które będą cię osłaniać. Zobaczymy, co się kryje za tą propozycją.

- Zrobisz to dla mnie, naprawdę? - ucieszyła się pilotka. - Byłabym ci bardzo wdzięczna.

W jej głowie cały czas kłębiły się myśli i mniej ważne wspomnienia odgrywanych roli i przyjmowanych osobowości. Z pewnością nie potrafiłaby myśleć na tyle trzeźwo, żeby zaplanować szczegóły tej wyprawy.

- Pewnie, że zrobię. - Donos wstał i sięgnął po odstawiony karabin.

- Po co ci to? - zainteresowała się Lara.

- Mniej więcej dwieście metrów dalej ten tunel skręca w prawo, rozszerza się i następny kilometr biegnie prosto jak strzelił - odparł pilot. - Ustawiłem na przeciwległym końcu cele i wprawiam się w strzelaniu.

- To już poza granicą sztucznego ciążenia, prawda? - domyśliła się Lara. Donos kiwnął głową.

- Brak ciążenia utrudnia mi nabranie wprawy, ale strzelanie to jedna z umiejętności, dla których Antilles ściągnął mnie do swojej eskadry - powiedział. - Wymaga ode mnie, żebym miał zawsze celne oko, a takie ćwiczenia pozwalają mi zachować skupienie i jasny umysł.

- Może i ja powinnam pomyśleć o czymś takim - przyznała pilotka. - Przydałoby mi się trochę więcej skupienia i jasności myśli.

Pilot się uśmiechnął.

- Postaraj się odpocząć - doradził. - Musisz być czujna i gotowa.

- Wiem, wiem - odparła Lara. - Jutro wyprawa.

Donos pomachał jej na pożegnanie i zostawił samą z myślami.

Nie powinna się zgodzić, żeby to on opracowywał szczegóły i przedstawiał dowódcy eskadry propozycję wyprawy na Aldivę. Sama musiała się tym zająć i dopilnować, by nie zdarzyło się nic, co ujawniłoby jej prawdziwą tożsamość i zrujnowało przyszłość.

O dziwo, jakoś wcale się tym nie przejmowała. Może dlatego że... że... zaufała Mynowi Donosowi. Zaufała mu. Zaufała jakiejś osobie.

Pokręciła głową. Popełniła błąd. Nie powinna nikomu ufać. To stało w sprzeczności ze wszystkim, co wbijali jej do głowy imperialni instruktorzy.

Mimo to zaufała Donosowi. Znowu uświadomiła sobie, że płacze, nie rozumiejąc dlaczego.

Wedge wspiął się po drabince do włazu kabiny myśliwca przechwytującego typu TIE i spojrzał w głąb, żeby się upewnić, czy porucznik Kettch, ewokański pilot, znów nie czeka tam na niego z wyciągniętą bronią. Okazało się, że jego kabina jest pusta. Antilles zerknął w bok i zobaczył Buźkę, który właśnie znikał we włazie swojego myśliwca przechwytującego. Garik pochwycił jego spojrzenie i uśmiechnął się z przymusem. Bez wątpienia odgadł powód spojrzenia dowódcy. Komandor udał, że robi gniewną minę, i zniknął w otworze kabiny pilota. Chwilę później usłyszał okrzyk Buźki:

- Sithowe nasienie!

Z włazu kabiny myśliwca podwładnego wyleciał porucznik Kettch. Zmierzający do swojej gały Phanan zręcznie schwytał wypchaną kukłę i wręczył ją Skrzypkowi.

Wedge pokręcił głową. Dobrze chociaż, że morale jest wysokie, pomyślał. Włączył silniki i zajął się wykonywaniem procedur przedstartowych.

Do tej pory z hangaru „Narry" zdążyli wylecieć Kell, Patyk, Donos, Tyria, Prosiak i Castin. Ich wyprawa miała się zakończyć mniej więcej w tym samym czasie, co wyprawa pozostałych Jastrzębionietoperzy, ale początkowe etapy wymagały więcej czasu. Wedge zastanawiał się, czy ich zadanie nie jest bardziej niebezpieczne niż innych pilotów jego grupy. Nie był pewien, czy postąpił słusznie, mianując dowódcą Kella Tainera. W ciągu kilku pierwszych tygodni służby w Eskadrze Widm młody pilot borykał się wprawdzie z osobistym problemem, ale wszystko wskazywało, że się z nim uporał.

Wedge nie zwierzył się z tego Jansonowi ani żadnemu innemu podwładnemu, lecz podejrzewał, że problemem Kella nie było tchórzostwo. Ojciec Tainera zginął - nawiasem mówiąc, z ręki Jansona - w początkowym okresie istnienia Sojuszu Rebeliantów, kiedy starał się uciec z pola walki, ale Kell tracił głowę w obliczu trudności, raczej dlatego że za bardzo się niepokoił, czy sobie poradzi. Na szczęście przezwyciężył ten problem podczas ostatecznej walki, która się zakończyła zagładą „Nieubłaganego". Wedge i Janson nadal dyskretnie go obserwowali, ale chyba martwili się niepotrzebnie.

Wszystkie pokładowe systemy były sprawne, a zainstalowane na diagnostycznym pulpicie wskaźniki dowodziły, że całkowita skuteczność myśliwca przechwytującego sięga dziewięćdziesięciu ośmiu procent. Wedge pomyślał, że to całkiem niezły wynik jak na mechaników, którzy nie mieli doświadczenia w obsłudze imperialnych maszyn.

- Dowódca Jastrzębionietoperzy do pilotów eskadry - odezwał się Buźka. - Podajcie swój stan.

Jego głos miał niskie, gardłowe brzmienie. Wedge zastanawiał się, czy Garik sam go zmienił, bo takie wymagania stawiała odgrywana przez Buźkę rola, czy osiągnął ten efekt dzięki zainstalowanym przez Castina indywidualnym modyfikatorom głosów pilotów.

- „Jastrzębionietoperz Siedem", dwa zielone, wszystkie systemy naładowane - odezwał się Phanan. - Mam tu trochę likieru miętowego, który zamierzam popić lomińskim piwem.

Jego głos brzmiał jak basowy pomruk i Antilles zrozumiał, że podwładny sam nie potrafiłby mówić takim tonem.

- „Jastrzębionietoperz Dziesięć", wszystko gotowe. Głos Shalli miał zdecydowanie męskie brzmienie. Wedge chrząknął.

- „Jastrzębionietoperz Jeden" gotów do startu - zameldował.

Z głośnika komunikatora rozległ się chóralny śmiech co najmniej kilku osób. Komandora zdenerwowało, że nie może ich zidentyfikować.

- Jakiś problem? - zapytał cierpko.

- Nie, wszystko w porządku, proszę pana - odezwał się chrapliwie Buźka. - Słyszymy pana głośno i wyraźnie.

Mimo to Wedge się zorientował, że Garik tylko z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

Korzystając z tego, że gotowość meldowali pozostali podwładni, Antilles przełączył komunikator na osobistą częstotliwość, na której utrzymywał łączność ze swoim tęponosym myśliwcem i jego astromechanicznym robotem.

- Szlaban, jak mnie słyszysz? - zapytał.

Jego jednostka typu R5 odpowiedziała serią radosnych świergotów.

- Kiedy wypowiem słowo „start", zacznij rejestrować moje słowa - rozkazał Wedge. - Kiedy powiem „stop", zakończ rejestrowanie i prześlij mi to, co nagrałeś. Start. „My, Sojusz Rebeliantów, działając z upoważnienia i w imieniu wolnych istot galaktyki, uroczyście deklarujemy i publikujemy nasze zamiary". Stop.

Chwilę później usłyszał swoje słowa, ale głosu nie rozpoznał. Mówił niewyraźnie i piskliwie, podobnie do znajomego bełkotu Ewoka, który nauczył się basica. Głęboko odetchnął.

- Dziękuję ci, Szlaban - powiedział. - Bez odbioru.

Przełączył komunikator z powrotem na częstotliwość Eskadry Jastrzębionietoperzy i kilka razy uderzył hełmem o drążek sterowniczy. Dobrze chociaż, że morale pozostawało wysokie.

Eskortowanie było zajęciem nudnym, ale bardzo popłatnym, i właśnie tak podchodził do niego porucznik Milzin Veyn, pilot gwiezdnego myśliwca i mieszkaniec Hullisa. Miał żonę i trójkę dzieci i zawsze się cieszył, gdy mógł zarobić kilka dodatkowych kredytów.

Tego dnia on i jego skrzydłowy eskortowali tankowiec „Bastion". Veyn uważał, że to bardzo wojownicza nazwa dla takiej nieeleganckiej, ponurej i rdzewiejącej starej balii... Statek spoczywał obecnie na stanowisku siedemnastym w doku jednej z kilku ostatnich placówek wydobywczych, jakie kapitan tankowca miał zaopatrzyć w paliwo. Veyn i jego partner, siedząc za sterami myśliwców typu TIE, obserwowali statek z wysokości mniej więcej kilometra.

W pewnej chwili z głośnika komunikatora oficera wydobył się szum.

- Hej, panie poruczniku - odezwał się jakiś mężczyzna, prawdopodobnie jeden z techników.

- Tu Veyn - zgłosił się oficer.

- Złe wieści - usłyszał w odpowiedzi. - Mamy poważną awarię pompy paliwa. Mechanicy już usuwają usterkę, ale to potrwa jeszcze co najmniej kilka godzin.

- Może powinniście zrezygnować i wracać do domu? - zaproponował porucznik.

- Może tak, ale kapitan twierdzi, że musielibyśmy wówczas wrócić tu jutro i przepompować to, co jeszcze zostało - odparł mężczyzna. - A skoro mamy części, żeby dokonać naprawy na miejscu, właśnie tym się zajmujemy.

- Wspaniale - mruknął zrezygnowany Veyn.

- Możemy włączyć nasze sensory - zaproponował nieznajomy mężczyzna. - Pan i pański kolega moglibyście wylądować, żeby napić się świeżej kafeiny. Właśnie parzymy nową porcję.

- Chyba nie powinniśmy... - mruknął pilot, ale nie potrafił odpędzić myśli, jak miło byłoby zamiast przebywać w stanie nieważkości, spędzić te kilka godzin w ogrzewanej mesie nad kubkiem

parującej, aromatycznej kafeiny.

- No cóż, a gdybym powiedział, uhm... że kapitan chce z panami porozmawiać na temat spraw związanych z bezpieczeństwem i ochroną „Bastiona" podczas dalszej podróży? - nie dawał za wygraną mężczyzna.

- To brzmi poważnie - odparł ucieszony porucznik. - Zaraz lądujemy. Kilkanaście minut później Veyn i jego skrzydłowy wylądowali w zatłoczonym głównym hangarze placówki wydobywczej, wygramolili się z kabin, zeszli po drabinkach na płytę lądowiska... i spojrzeli w wyloty luf blasterów.

Dwie mierzące do nich osoby były ubrane w szare, a nie tradycyjnie czarne, kombinezony imperialnych pilotów myśliwców typu TIE. Jedną była chyba wysoka kobieta, a drugą - bardzo silnie zbudowany mężczyzna. Trzeci nieprzyjaciel, mężczyzna trochę więcej niż przeciętnego wzrostu, miał także na sobie szary kombinezon pilota, ale skrywał twarz pod chroniącą przed chłodem maską. Nie miał dodatkowego sprzętu pilota i mierzył do nich z blasterowego karabinu. Veyn i jego partner unieśli ręce.

- Mam dla was złą i dobrą wiadomość - odezwał się mężczyzna z karabinem. - Zła to ta, że jesteśmy piratami z bandy Jastrzębionietoperzy. Zamierzamy porwać wasze gwiezdne myśliwce i wykorzystać je do zniszczenia kilku naziemnych instalacji. A dobra wiadomość: naprawdę czeka na was w mesie świeżo zaparzona, gorąca kafeina. - Wykonał znaczący ruch lufą w stronę głównego wyjścia z hangaru. - W drogę.

Kiedy mężczyzna z karabinem i dwaj imperialni piloci wyszli, Tyria włączyła komunikator.

- „Piątka", piloci już tam idą - zameldowała. - Będzie nam tu potrzebna „Dwójka", żeby sprawdzić systemy bezpieczeństwa ich myśliwców.
- Już do was zmierza - usłyszała w odpowiedzi.
- Jak sobie radzicie z zakładaniem ładunków wybuchowych?
- „Bastion" jest gotów do eksplozji. Powinien narobić mnóstwo bałaganu.

Lecąc w zwartym szyku, Jastrzębionietoperze zanurkowali w głąb wąskiego korytarza, którego nie obejmowały planetarne sensory. Pokładowe czujniki wskazywały, że „Bastion" także zbliża się do planety zatwierdzonym przez władze kursem, jakby naprawdę wracał po zaopatrzeniu w paliwo placówek wydobywczych w pasie asteroid systemu Halmada. Piloci Jastrzębionietoperzy nie mogli jednak nawiązać łączności z tankowcem i nikt nie wiedział, jak radzą sobie pozostali.

Kilka minut później Wedge i jego podwładni przemykali nisko nad powierzchnią morza kursem wiodącym ku portowemu miastu Fellon, a ściślej ku wznoszonej potajemnie na południe od miasta niewielkiej tajnej bazie. W Fellonie nie nastał jeszcze świt; na myśliwce Jastrzębionietoperzy padał blask kilku księżyców Halmada.

Na czele szyku rzekomych piratów lecieli Phanan i Buźka. Dowódcą wyprawy musiał zostać Garik, który odgrywał rolę założyciela Niezależnej Gwiezdnej Floty Jastrzębionietoperzy, generała Kargina. Wedge wiedział, że wydawane przez niego rozkazy zostaną przechwycone i zarejestrowane,

więc nikt nie powinien się zorientować, że w rzeczywistości dowódcą jest ktoś inny. Nie martwił się, jak sobie poradzi Buźka, ale jego skrzydłowy, Phanan, nie spisywał się równie dobrze ani za sterami tęponosego myśliwca, ani imperialnej gały.

Za Buźką i Phananem leciał Wedge w towarzystwie obu tymczasowych skrzydłowych, Lary i Shalli. Lara nie miała dużego doświadczenia, siedziała więc za sterami jednego z dwóch myśliwców typu TIE eskadry. Imperialne gały nie były tak groźne jak myśliwce przechwytujące, ale Lara pilotowała swoją z niepospolitą wprawą. Wedge nie martwił się także, jak z pilotowaniem myśliwca przechwytującego poradzi sobie Shalla. Była doskonałą pilotką i świetnie współpracowała z innymi podwładnymi Antillesa. Miała talent do planowania i analizowania, co stawiało ją na czele listy kandydatów do awansu do stopnia porucznika. Musiała wprawdzie jeszcze udowodnić, że potrafi dowodzić, ale powinna odnaleźć w sobie i ten talent.

Na końcu szyku lecieli Janson, drugi pod względem doświadczenia pilot eskadry, i Dia, która, podobnie jak Wedge, zestrzeliła dwie nieprzyjacielskie maszyny podczas odwrotu z przestworzy Lavisara. Antillesowi towarzyszyli więc naprawdę doświadczeni piloci. Zadanie pilotów Jastrzębionietoperzy nie sprawiało wrażenia przesadnie trudnego.

Z drugiej strony... Antilles zawsze traktował podejrzliwie zadania, które od początku wydawały się łatwe.

ROZDZIAŁ 11

- Obraliśmy kurs na Hullis i przygotowujemy się do wejścia w atmosferę - zameldował Patyk, który siedział na miejscu pilota „Bastionu". Czuł się wyraźnie nieswojo na fotelu dostosowanym do rozmiarów kogoś o wiele niższego. - Do zwrotu na wschód zostało pięć minut.

Zajmujący fotel dowódcy Kell wystukał kolejne polecenie diagnostyczne na klawiaturze wyposażonego w komunikator ogromnego notesu, który trzymał na kolanach. Typ urządzenia wskazywał, że mogło służyć dowódcy kompanii piechoty do utrzymywania dalekosiężnej łączności. Kiedy skończył, spojrzał na Patyka.

- Zainstalowałeś program nawigacyjny? - zapytał.
- Zainstalowaliśmy - odparł Thakwaashanin.

Tainer włączył komunikator, którzy trzymał w rękawicy.

- „Dziewiątka", co z wahadłowcem? - zapytał.
- Gotów do startu - odparł Donos.
- Niech nadal będzie gotów. - Poklepał Patyka po plecach i wstał z fotela. - Aktywuj ten program nawigacyjny, a potem się zmywamy.
- Aktywujemy - zameldował Patyk.

Tyria i Prosiak, którzy ich eskortowali, pilotując myśliwce typu TIE, nie potrzebowali odrębnych rozkazów. Ich zadanie było bardzo proste. Mieli towarzyszyć „Bastionowi" do czasu, aż archaiczny tankowiec zacznie opadać nad miasto Hullis, a potem skręcić na wschód i skierować się do drugiej imperialnej bazy, którą wznosili dowódcy sił zbrojnych Halmada. Dopóki tankowiec nie znajdzie się kilka kilometrów od bazy, dopóty mieli także osłaniać go przed imperialnymi pilotami, którzy z pewnością zechcą go przechwycić. Naturalnie, kiedy Kell włączy miniaturowy komunikator, żeby wywołać eksplozję zainstalowanych ładunków wybuchowych i resztek paliwa, powinni się znajdować bardzo daleko od tankowca. Tainer liczył na to, że zdąży się dostać na pokład „Narry" przynajmniej dwie minuty przed eksplozją. Zamierzał w tym czasie nawiązać łączność z imperialną placówką, żeby zalecić jej ewakuację. Celem Jastrzębio-nietoperzy było zniszczenie bazy, a nie mordowanie jej personelu.

Kiedy Patyk aktywował nawigacyjny program, wstał z fotela, a Kell poszedł w jego ślady.

Nagle panel sensorów rozjarzył się setkami świateł. Obaj piloci Eskadry Widm osłupieli. Nie wierząc własnym oczom, wpatrywali się w światełka, z których wynikało, że na zachodzie dzieje się

coś złego, a na wschodzie pojawiło się źródło potężnego sygnału zakłócającego.

Kell opadł na fotel oficera łącznościowca i włączył mikrofon pokładowego komunikatora „Bastionu".

- „Piątka" do „Jedynki". Jak mnie słyszysz? - zapytał.

Zamiast odpowiedzi z głośnika wydobył się tylko złowieszczy syk zagłuszającego sygnału.

- „Piątka" do „Jedynki". Mamy problem - powiedział Kell. - Jak mnie zrozumiałeś?

Kiedy piloci Jastrzębionietoperzy przelecieli nad linią brzegową, pod kadłubami maszyn pojawił się las przetykany gdzieniegdzie wstęgami rzek i taflami jezior albo stawów. W pewnej chwili Wedge usłyszał chrobot wierzchołka drzewa o spód kabiny. Starając się trzymać jak najniżej nad powierzchnią gruntu, piloci lecących przed nim i za nim myśliwców i maszyn przechwytujących typu TIE zmieniali wysokość niczym korki na powierzchni wzburzonego oceanu.

Dalmierz wskazywał, że do celu dzieli ich zaledwie dwadzieścia sekund. Dziesięć, pięć... Kiedy Wedge zobaczył imperialną bazę, lecący przed nim Buźka i Phanan dali ognia.

Ich celem była długa platforma ładownicza, na tyle wytrzymała, żeby mogły na niej osiadać gwiezdne myśliwce i wahadłowce. Wspierała się na dwóch potężnych kolumnach z szybami turbowind i pomieszczeniami dla personelu. Tuż pod platformą biegł osłonięty łącznik, umożliwiający bezpieczne przejście między kolumnami bez potrzeby wychodzenia na płytę lądowiska. Zazwyczaj wsporniki takich platform wyrastały z powierzchni gruntu, tutaj niknęły w niemal niewidocznym pośród drzew krytym hangarze o rozmiarach niewiele mniejszych niż samo lądowisko.

Wedge zauważył wszystkie te szczegóły, ale nie miał czasu się zastanawiać nad ich znaczeniem. Skierował ramkę systemu celowniczego myśliwca na standardowe stanowisko generatora promienia ściągającego i dał ognia.

Ułamek sekundy później, lecąc śladem Buźki, śmignął nad platformą i zaczął zataczać krąg, żeby przystąpić do drugiego ataku.

- Dobra robota, Jastrzębionietoperze - usłyszał chrapliwy głos Garika.

- Dowódco, tu „Czwórka" - odezwała się Dia Passik. - Nasze strzały trafiły w siłowe pole.

- „Czwórko", co ty wygadujesz? - żachnął się Buźka. - Tam nie ma żadnego siłowego pola!

- Nie było, kiedy się zbliżaliśmy, panie generale - odparła Twi'lekanka. - Włączyli generator, zanim otworzyliśmy ogień. Platforma nie została nawet lekko uszkodzona. Powtarzam, nie jest nawet lekko uszkodzona.

Kiedy zatoczyli krąg, przekonali się, że Dia miała rację. Z platformy ładowniczej nie unosiły się słupy dymu, a sensory Jastrzębionietoperzy dowodziły, że imperialną bazę chroni obecnie tarcza siłowego pola.

Sekundę później ze wszystkich stron pojawiły się myśliwce i maszyny przechwytujące typu TIE. Leciały nisko nad koronami drzew. Było ich co najmniej dwadzieścia.

Więcej niż dwadzieścia. Po chwili ukazała się jeszcze jedna grupa imperialnych maszyn. Wedge

zerknął na ekran monitora sensorów. Nadlatywało ku nim trzydziestu sześciu nieprzyjaciół, trzy pełne eskadry gwiezdnych myśliwców.

- Już nie żyjemy - odezwała się Shalla z rezygnacją, wyraźnie słyszalną nawet mimo zniekształceń głosu.

„Bastion" zadrżał.

Patyk omiótł spojrzeniem pulpit diagnostyczny.

- Trafili nas? - zapytał.

- Nie, schwytali promieniem ściągającym - odparł Kell. - Oni. - Pokazał na ekranie monitora sensorów wyraźnie widoczny wielki kształt. - Coś podobnego! Zwiększamy pułap lotu!

Z głośnika interkomu dobiegł głos Donosa:

- Co się dzieje?

- Schwytali nas - odparł Tainer. - Nasze starania idą na marne i jeżeli szybko czegoś nie wymyślimy, już po nas. Zaczekajcie. Patyku, włącz pokładowy komunikator i zwiększ moc wyjściową najbardziej jak możesz.

- Zrobione.

- „Piątka" do „Jedynki", jak mnie słyszysz? Odbiór. W odpowiedzi usłyszał tylko szum zagłuszeń.

- „Piątka" do „Jedenastki", jak mnie słyszysz? Odbiór.

- ...denastka", sły... cię. Syg... z przerwami.

- Przerwać wykonywanie zadania - rozkazał Kell. - Powtarzam, przerwać wykonywanie zadania. Odbiór.

- ...Zaprze... Czekamy na wa... ucieczkę. Odbiór.

- Nie czekajcie - odparł Tainer. - Daję wam wyraźny rozkaz. Natychmiast przerwać wykonywanie zadania. Proszę potwierdzić. Odbiór.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

- Nadlatują ku nam gwiezdne myśliwce - zameldował Patyk. - Wszystko wskazuje, że wystartowały z hangaru jakiegoś okrętu liniowego.

- Jasne, że nadlatują - odparł Kell. - Bez nich nasze zadanie byłoby nudne, prawda?

- Potwier... - rozległ się nagle głos Tyrii. - Przerywamy. Odbiór.

Punkciki na ekranie monitora sensorów, reprezentujące myśliwce jej i Prosiaka, zmieniły kurs i obrały wektor ucieczki.

Kell głęboko odetchnął. Bardzo chciał przesłać Tyrii wiadomość, że ją kocha, ale nie powinien ułatwiać zadania nieprzyjaciołom. Nie mógł dawać im dodatkowej wskazówki, która pozwoliłaby na identyfikacją pilotów Jastrzębionietoperzy. Wyłączył mikrofon komunikatora. Zastanawiając się, co dalej, poczuł, że ogarnia go odrętwienie.

- Jaki mamy plan, „Piątko”? - rozległ się znów głos Donosa z odbiornika interkomu.

- Zaraz dołączy do ciebie Patyk - odparł Tainer. - Będę miał cały czas na oku ten okręt liniowy i powiem ci, kiedy wylecisz „Narrą” z hangaru tankowca. Będziemy się wówczas znajdowali na tyle blisko okrętu, żeby nas nie wciągnięto do środka, ale na tyle daleko, żebyś zdążył wylecieć i przyspieszyć. Będziesz miał najwyżej kilka sekund, zanim schwytają cię następnym promieniem ściągającym, ale to mi wystarczy, żeby uzbroić detonatory ładunków wybuchowych.

Zobaczył, że Patyk szeroko otwiera oczy i mruga. Jak zawsze w takich sytuacjach, obca istota zmieniała swoją osobowości, żeby wybrać tę, której umiejętności będą najlepiej dostosowane do nowej sytuacji.

Chwilę później z głośnika interkomu znów rozległ się głos Myna:

- Uhm, jeżeli chcesz to zrobić, musisz przebywać na pokładzie wahadłowca.

- Nie mogę tam być, „Dziewiątko” - wyjaśnił Tainer. - Nadajniki obu komunikatorów, mojego i waszego, mają zbyt małą moc wyjściową, żeby pokonać ich zagłuszania.

- Więc zaprogramuj chronometry, żeby ładunki eksplodowały w określonej chwili.

- Wtedy nie będziemy pewni, że tankowiec znajdzie się wystarczająco blisko okrętu liniowego, aby spowodować jak najwięcej zniszczeń.

- Wykorzystaj czujniki zbliżenia „Bastionu” - nie dawał za wygraną Donos.

- Z odległości mniejszej niż dwa kilometry czujniki zbliżenia „Bastionu” to po prostu ludzkie oczy, „Dziewiątko” - odparł Kell. - Mamy szczęście, że ta balia ma w ogóle ubikacje.

- Zaczekaj chwilę. Chyba Castin i ja coś wymyśliliśmy - oznajmił Donos i kilka sekund zachowywał milczenie. - Już wiem, jak wywołać eksplozję ładunków wybuchowych z dużej odległości.

- Bez posługiwania się komunikatorem? - zapytał sceptycznym tonem Kell.

- Bez posługiwania się komunikatorem - potwierdził Korelianin.

- Jak zamierzasz to zrobić?

- Jestem specjalistą, a ty nie - burknął Myn. - Chcę tylko, żebyś nastawił pokładowy komunikator „Bastionu” na odbiór kierunkowego sygnału w szerokim paśmie częstotliwości.

Kiedy Kell domyślił się, na czym polega plan Donosa, od razu poczuł się znacznie lepiej.

- Zrozumiałem cię - powiedział. - Nastawię ten komunikator i zaraz tam będę.

- Rozdzielić się na klucze - rozkazał Buźka. Mimo zniekształceń w jego głosie słyszało się napięcie. - Strzelać bez rozkazu i niech... - Urwał, jakby się zawahał. Wedge wiedział, że Garik chciał powiedzieć: „I niech Moc będzie z wami”, ale uświadomił sobie, że to kiepski pomysł, bo zdradziłby ich prawdziwą tożsamość. Połapał się jednak tak szybko, że Antilles bardzo wątpił, czy ktokolwiek, kto go nie znał, zorientował się w tej pomyłce. - ...los zrządzi, że wieczorem będziemy sączyli najlepszy trunek z czaszek naszych wrogów!

Wedge skręcił na bakburtę i skierował się ku największemu gąszczowi nieprzyjacielskich maszyn typu TIE. Shalla i Lara zgrabnie powtórzyły jego manewr.

Taktyka. Wrogowie pokładali zaufanie w przewadze liczebnej i sprawiali wrażenie bardzo pewnych siebie, więc Jastrzębionietoperze musiały ich tego pozbawić na samym początku walki.

Z kilku dwójek lecących ku nim myśliwców typu TIE Wedge wybrał tę, która wydała mu się

najbardziej niebezpieczna. Zauważył, że piloci dwóch maszyn przechwytujących zdradzają większą pewność siebie niż pozostali. Kiedy dzieląca ich odległość zmalała, wizualne sensory pokazały, że na panelach z ogniwami słonecznymi obu myśliwców widnieją poziome czerwone pasy 181. Pułku Imperialnych Gwiezdnych Myśliwców barona Fela. Wedge oparł się pokusie i nie zaklął.

- „Dziesiątko", „Trzynastko", weźcie na cel bakburtową maszynę - rozkazał.

Kiedy odległość do nadlatujących myśliwców zmalała do trzech kilometrów, zaczął wykonywać uniki. Ułamek sekundy później, gdy dzieliły ich niespełna dwa kilometry, wrogowie otworzyli ogień. Między myśliwcem Antillesa a maszynami obu jego skrzydłowych przemknęły zielone nitki laserowych strzałów.

Jego błyskawice otarły się o kadłub jednej z nadlatujących maszyn i zwęgliły miejsce w okolicy górnego iluminatora... a potem wszyscy troje przemknęli obok nieprzyjaciół i skierowali się w stronę oddalonej gromady maszyn typu TIE.

Wedge i obie jego skrzydłowe powinni zawrócić, żeby znaleźć się za nieprzyjacielskimi pilotami, z którymi dopiero co stoczyli pojedynek, ale Wedge postanowił zignorować konwencjonalną taktykę walki. Skręcił na sterburtę i zanurkował w stronę dwóch gwiezdnych maszyn, których piloci starali się zająć dogodne pozycje do ostrzelania myśliwców Jansona i Dii Passik. Wystrzelił z luf wszystkich czterech sprzężonych działek. Oślepiające błyskawice wbiły się w kabinę pilota pierwszego myśliwca i przemieniły go w przetykaną czarnymi odłamkami pomarańczową kulę ognia. Sekundę później bakburtową skrzydłowa Antillesa sprzęgła oba działka, dała ognia i trafiła maszynę kolegi zestrzelonego pilota. Czyżby Shalla? - zdziwił się Wedge. Zaryzykował i obejrzał się w tamtą stronę, ale zobaczył myśliwiec Lary, a nie maszynę przechwytującą Shalli.

Znów skręcił na sterburtę. Pilotujący myśliwce przechwytujące nieprzyjaciele, z którymi stoczyli pierwszy pojedynek, zdążyli zawrócić i ruszyli do pościgu. Dzieliła ich wprawdzie jeszcze duża odległość, ale z każdą sekundą się zmniejszała. Wedge zauważył, że z góry nurkują trzy inne myśliwce typu TIE, i domyślił się, że ich piloci zamierzają się rozprawić z jego kluczem.

Ściągnął drążek sterowniczy, wprowadził myśliwiec przechwytujący w ruch obrotowy i śmignął świecą w górę tak raptownie, że przyspieszenie wbiło jego plecy w oparcie fotela. Kiedy nadlatujący nieprzyjaciele znaleźli się w zasięgu systemów celowniczych jego maszyny, któryś zatańczył na mgnienie oka w kwadracie na ekranie monitora celowniczego komputera. Reagując odruchowo, Wedge przycisnął guzik spustowy i w nagrodę zobaczył, że bakburtowe skrzydło myśliwca typu TIE eksploduje pod ogniem jego strzałów. Imperialna gała obróciła się w locie i zaczęła niekontrolowany lot ku powierzchni Halmada.

Wedge nie przestał lecieć w górę, ale chociaż wirował w locie, przyspieszenie nadal wciskało go w oparcie fotela. W pewnej chwili osiągnął taką wysokość, że chyba nikt nie mógł go zaatakować z góry.

Wyrównał lot i zobaczył w dole myśliwiec i maszynę przechwytującą typu TIE. Jego sensory sygnalizowały, że to przyjaciele. Wedge pomyślał, że to pewnie Buźka i Phanan. Obaj lecieli w jego stronę.

- Dowódco, „Siódemka", tu „Jedynka" - powiedział. - Lecimy do was. Mamy czterech bandytów na ogonach.

- „Jedynka", tu dowódca. Widzimy ich - potwierdził Garik. - W zamian możecie się zająć tymi,

którzy lecą za nami.

Z tyłu, za maszynami Buźki i Phanana, Antilles zobaczył dwie pary myśliwców typu TIE, których piloci starali się zająć dogodne pozycje do strzału. Niektórzy z niecierpliwości zbyt szybko otworzyli ogień. Na razie błyskawice ich strzałów przelatywały z daleka od maszyn obu pilotów Eskadry Widm, ale wcześniej czy później musiały okazać się skuteczne.

Wedge, Shalla i Lara zanurkowali i ze skowytem silników polecieli na spotkanie Buźki i Phanana. Wszyscy pięcioro Jastrzębionietoperze otworzyli ogień i w przestworzach pojawiły się zielone błyskawice śmiercionośnych strzałów skierowanych ku wrogom ścigającym przeciwną grupę. Skupione błyskawice z luf działek Antillesa trafiły w nasadę wspornika panelu z ogniwami słonecznymi nieprzyjacielskiej maszyny, oderwały go i posłały wirującą gałę w największy gąszcz drzew na powierzchni Halmada. Wedge nie czekał, aż ujrzy błysk eksplozji, i od razu przeniósł ogień na następny myśliwiec. Ułamek sekundy później maszyna skrzydłowego zestrzelonego pilota eksplodowała. Przelatując przez ognistą chmurę, Wedge został na chwilę oślepiony. Usłyszał grzechot odłamków o kadłub myśliwca i zmusił się, by się nie skulić. Wiedział, że duży kawałek metalu może przebić kabinę pilota pozbawionego ochronnych pól imperialnego myśliwca. Chwilę później usłyszał głos Jansona:

- Sześciu się prosiło, sześciu dostało. Włączył mikrofon pokładowego komunikatora.
- Słucham, „Trójko”? - zapytał.

- To wynik tej sztuczki, której udało się panu dokonać - wyjaśnił Wes. - Stuprocentowa skuteczność. Sześciu prosiło się o nauczkę i sześciu ją dostało.

Wedge zerknął na ekran monitora sensorów. Na początku walki widział na nim świetliste punkciki trzydziestu sześciu wrogów i siedmiu przyjaciół. Obecnie widniało już tylko dwudziestu pięciu wrogów i nadal siedmiu przyjaciół. Cicho gwizdnął.

- Dowódco, tu „Trójka” - usłyszał. - Właśnie przełączyłem sensory na daleki zasięg. Z ich sygnałów wynika, że zza horyzontu wyłonił się okręt liniowy. Leci w naszą stronę.
- Krążownik? - zapytał Antilles.
- Gwiezdny niszczyciel - odparł Janson. - Co najmniej gwiezdny niszczyciel.

Okazało się, że to gwiezdny superniszczyciel o nazwie „Żelazna Pięść”. Kiedy Kell i Patyk wbiegli po ładowniczej rampie „Narry” i skierowali się do sterowni, wzmocniona przez wizualne sensory sylwetka ogromnego okrętu zajmowała większą część dziobowych iluminatorów wahadłowca. Okręt unosił się wprawdzie jeszcze wysoko na orbicie, ale wyglądał, jakby znajdował się przeraźliwie blisko.

- Już nie żyjemy - stwierdził Tainer.

Castin i Donos siedzieli w sterowni w drugim rzędzie foteli i pochylali się nad długą bronią - snajperskim karabinem laserowym Korelianina.

- Nie wiedzieliśmy, że zabrałeś to na pokład - zdziwił się Patyk. Donos parsknął.

- Zabieram go na przyjęcia i uroczyste obiady, a nawet do łazienki - powiedział. - Ukryłem go w przedziale przemytniczym „Narry". Kellu, masz kod wywołujący eksplozję ładunków wybuchowych?

Tainer poklepał kieszeń, w której ukrył komputerowy notatnik.

- Daj go Castinowi - polecił Donos.

Patyk usiadł na fotelu pilota, a Kell przekazał notes pilotowi z Coruscant.

W pewnej chwili wizerunek „Żelaznej Pięści" ściemniał, a niebieskie i białe światła pozycyjne ogromnego okrętu rozmyły się, jakby coś przeleciało o wiele bliżej tankowca. Thakwaashanin wyłączył urządzenia powiększające obrazy z wizualnych sensorów.

Ich wahadłowiec stał w ładowni „Bastionu" z iluminatorami zwróconymi w stronę wolnych przestworzy. Członkowie załogi mogli widzieć panoramę usianego punkcikami gwiazd nieba z wyjątkiem drobnego wycinka, przesłoniętego przez kadłub tankowca. Na niebie roiło się od latających tam i z powrotem myśliwców typu TIE.

Kell poczuł przepływ paniki, ale zmusił się do zachowania spokoju i zaczął liczyć świetliste punkty na ekranie monitora sensorów. Naliczył sześć, ale przemieszczały się bardzo szybko i na początku odniósł wrażenie, że jest ich o wiele więcej. Domyślił się, że skoro członkowie załogi nieprzyjacielskiego okrętu liniowego i tak wciągali schwytany tankowiec do głównego hangaru, imperialni piloci wystartowali tylko po to, żeby dać pokaz siły.

- Zachowajcie spokój - powiedział. - Nie latają tam, żeby do nas strzelać.
- To twoja opinia - sprzeciwił się Donos.
- Ale jedyna, jaką mam - odparł Tainer.

Wedge wyobraził sobie strefę walki i spróbował ją nanieść na ekran monitora sensorów. Miała kształt półkuli o średnicy mniej więcej ośmiu kilometrów. Jego klucz znajdował się obecnie na dużej wysokości w południowej części niewidzialnej czaszy, a Janson i Dia przelatywali jakiś kilometr pod nimi. Żadne nie toczyło walki z nieprzyjaciółmi. Liczba imperialnych myśliwców typu TIE trochę zmalała. Najbliższe znajdowały się niespełna kilometr na północ, ale ich piloci chyba nie przejawiali chęci do dalszej walki, a przynajmniej nie starali się zająć dogodnej pozycji do strzału. W północnym kwadrancie pozostali już tylko Buźka i Phanan. Toczyli pojedynki z parą pilotów myśliwców typu TIE, ale do obu Jastrzębionietoperzy zbliżały się szybko dwie maszyny przechwytujące.

Wedge sprawdził swoją pozycję względem wschodzącego słońca i skierował się ku prześladowcom Buźki i Phanana takim kursem, żeby ognistą kulę mieć za ogonem swojej maszyny. Ułamek sekundy później strzał ścigającego Jastrzębionietoperzy imperialnego pilota dotarł jednak do celu i trafił silniki maszyny Donosa. Myn stracił panowanie nad sterami, na krótko je odzyskał... a w końcu zanurkował w gąszcz drzew i zniknął wszystkim z oczu.

Plamka oznaczająca maszynę „Jastrzębionietoperza Siedem" ściemniała i zniknęła z ekranu monitora sensorów.

- To się nie uda - oznajmił Castin, który obserwował rosnącą sylwetkę „Żelaznej Pięści". - Wrota naszej ładowni są zwrócone w górę, więc jeżeli wystartujemy, wlecimy prosto do ich hangaru.

- Zajmę się tym - stwierdził Kell i zerwał się na nogi. - Patyku, zostań na fotelu pilota. Włącz silniki i bądź gotów do natychmiastowego startu. Nie zawracaj sobie głowy procedurami przedstartowymi.

Łomocząc butami, zbiegł po ładowniczej rampie wahadłowca.

Kiedy znalazł się na niewielkim pokładzie lotniczym archaicznego tankowca, odnalazł urządzenia zapewniające kontrolę nad generatorem sztucznego ciążenia i repulsorami statku. Bez trudu unieważnił identyfikację ogromnej masy „Żelaznej Pięści" jako gwiezdnego superniszczyciela i zamiast niej określił okręt jako planetoidę. Zmienił konfigurację sztucznej grawitacji w taki sposób, żeby spód statku zwrócił się w stronę powierzchni rzekomej skalnej bryły. Pomyślał, że jeżeli operatorzy „Żelaznej Pięści" nie zechcą poświęcić ogromnej ilości energii generatora promienia ściągającego i czasu na ponowną zmianę orientacji „Bastionu" w przestworzach, górna burta tankowca będzie się obracała, dopóki się nie zwróci w stronę powierzchni Halmada, a stępka w kierunku unoszącego się w górze superniszczyciela.

Kiedy ponownie wbiegał na pokład wahadłowca, tankowiec zaczął się obracać, ale „Żelazna Pięść" znajdowała się o wiele niżej. Opadł na fotel drugiego pilota, zapiął pasy ochronnej uprzęży i spojrzał na Donosa.

- Jesteś gotów? - zapytał.

Strzelec wyborowy Widm wzruszył ramionami.

- Jestem, ale nie wiem, czy będzie pożytek z roboty Castina - powiedział. - Jeżeli nie, już po nas.

- Musi się udać - uspokoił go pilot z Coruscant. - Moje kody i przeróbki zawsze się sprawdzają.

Pozostali obrzucili go sceptycznymi spojrzeniami. Castin odwzajemnił się im spojrzeniem kogoś przyłapanego na jawnym kłamstwie.

- No cóż, zazwyczaj się sprawdzają - mruknął cicho.

Kiedy Wedge uświadomił sobie, jaki los mógł spotkać Phanana, poczuł się, jakby jego żołądek ścisnęła lodowata dłoń. Jastrzębionietoperze powinny obecnie zataczać kręgi nad miejscem, w którym zniknęła zestrzelona maszyna. Musieli ustalić, czy pilot zginął, czy jeszcze żyje, a jeżeli tak, ochraniać go przed ostrzałem nieprzyjaciół. Istniało jednak niebezpieczeństwo, że jeśli się na to zdecydują, sami zostaną także zestrzeleni.

Włączył mikrofon pokładowego komunikatora.

- Jastrzębionietoperze, tu „Jedynka" - zaczął. - Zalecam przerwanie wyprawy. Szturmusie.

Na niektórych planetach słowo „szturmusie" było ostrzegawczym okrzykiem ogarniętych paniką bywalców barów, którzy pierwsi zauważyli oddział interweniujących szturmowców. Kiedy piloci Eskadry Widm stali się Jastrzębionietoperzami, powszechnie znane hasło zastąpiło Sygnał Omega

jako rozkaz natychmiastowej ewakuacji.

Wedge przygotował się na zdecydowany protest Garika, ale z odbiornika komunikatora dobiegły go nie te słowa, jakich się spodziewał.

- Jastrzębionietoperze, tu dowódca - powiedział Buźka. - Potwierdzam, szturmusie.

Chwilę później jego maszyna przechwytująca zniknęła między koronami drzew. Wedge zauważył, że Garika nadal ścigają dwaj lecący bardzo szybko piloci myśliwców typu TIE.

Zanim „Bastion" znalazł się w pobliżu kadłuba gwiezdnego super-niszczyciela, do hangaru wleciało pół eskadry myśliwców typu TIE. Kell zaczekał, aż przestarzały tankowiec znajdzie się bezpośrednio pod ogromnymi wrotami głównego lądowiska. Był pewien, że niebawem „Bastion" zacznie zwiększać pułap lotu i wcześniej czy później wpadnie w łapy podwładnych Zsinja. Włączył mikrofon interkomu.

- Uważajcie - ostrzegł. - Zanim się zorientują, że wystartowaliśmy, i uruchomią jeszcze jeden generator promienia ściągającego, upłynie najwyżej kilka sekund. „Dziewiątka", postaraj się wykorzystać je jak najlepiej.

Donos pobiegł na rufę i zajął stanowisko w awaryjnej śluzie. Miał na sobie uszczelniony kombinezon pilota, żeby mógł spędzić te kilka sekund w idealnej próżni. W ostatniej chwili uświadomił sobie, że gdyby nadal przebywał w sterowni wahadłowca, fototropowe osłony iluminatorów mogłyby mu uniemożliwić wykonanie zadania. Zaprojektowane w taki sposób, żeby nadlatujące błyskawice laserowych strzałów nie oślepiały przebywających tam członków załogi, okazałyby się także skuteczną ochroną przed niosącym mniejszą energię strzałem z jego karabinu.

- Jestem gotów - zameldował.
- Do dzieła.

Patyk wcisnął guzik, który miał wystrzelić „Narrę" z ładowni „Bastionu". Nastawił przepustnicę na dopływ pełnej energii do jednostek napędowych i śmignął jak wyrzucony z katapulty. Tak bezczelnie osmalił kadłub statku, że spotkałoby się to z protestami każdego kapitana.

Od razu zaczął się oddalać od kadłuba niezgrabnego tankowca. Z początku opadał w stronę powierzchni Halmada, ale kiedy zatoczył łuk, w iluminatorach sterowni pojawiła się czarna powierzchnia kadłuba „Bastionu" i błyszczący kadłub unoszącego się nad nim gwiezdnego superniszczyciela.

W pewnej chwili w przestworzach między „Narrą" a „Bastionem" pojawiła cię cienka nitka światła.

Nic się nie wydarzyło.

Kell czuł się ogromnie zawiedziony. Strzał okazał się zbyt trudny nawet dla Donosa, który był doskonałym snajperem. Stojąc w śluzie lecącego szybko wahadłowca, musiał jednak trafić w antenę systemu telekomunikacyjnego tankowca promieniem laserowym, zmodyfikowanym w taki sposób, żeby niósł kod wywołujący eksplozję ładunków wybuchowych zamiast energii śmiercionośnego strzału.

Donos strzelił ponownie. Bez skutku.

Nagle „Narra" zadrżała w charakterystyczny sposób, jak niewielka jednostka schwytana przez potężny promień ściągający. Kell pokręcił głową. Donos wymierzył starannie i znów strzelił.

W iluminatorach i otworach włazów „Bastionu" pojawiła się jaskrawopomarań-czowa poświata. Chwilę później tankowiec zniknął w żółto-pomarańczowej kuli niszczycielskiej energii. Rozprzestrzeniając się we wszystkie strony, ognista chmura objęła najpierw główną ładownię i spód kadłuba „Żelaznej Pięści", a potem zaczęła sunąć w stronę „Narry".

Buźka zanurkował między drzewa i spojrzał na ekran monitora sensorów. Pierwszego prześladowcę dzieliło od niego mniej więcej dwieście metrów, a drugiego - tego, który zestrzelił Phanana - dwa razy więcej. Chociaż Garik leciał szybszą maszyną, nie miał warunków do wykorzystania tej przewagi. Mógł tylko pokładać nadzieję w lepszym opanowaniu sztuki pilotażu i liczyć na to, że przeżyje w środowisku obfitującym w naturalne przeszkody. Na szczęście, ogromne drzewa rosły w dużych odległościach jedno od drugiego. Mógł lecieć względnie szybko i wymijać pojawiające się przed nim raz po raz grube pnie.

W pewnej chwili pierwszy prześladowca wystrzelił. Jego laserowa błyskawica spopieliła pień drzewa rosnącego po stronie sterburty maszyny Buźki. Garik zaklął. Miał nadzieję, że imperialni piloci nie znajdą się w sytuacji dogodnej do strzału, ale pierwszy przeciwnik zaczynał go doganiać.

Nagle drzewa zniknęły i na kursie ukazało się spore jezioro. Buźka leciał nisko nad powierzchnią wody. Nie mógł liczyć, że się ukryje, ale zmieniona sytuacja dawała mu inne możliwości. Skręcił ostro na ster-burtę i obrócił maszynę w locie tak raptownie, że siła odśrodkowa wcisnęła jego plecy w oparcie fotela. Kiedy kończył zataczać ciasny łuk, spojrzał przez górny iluminator i zauważył, że pierwszy imperialny pilot wyleciał z lasu i natychmiast powtórzył jego manewr.

Nie widział drugiego prześladowcy, ale wyczucie podpowiedziało mu, gdzie i kiedy może się go spodziewać. Jeżeli drugi pilot leciał za kolegą, powinien się wyłonić spomiędzy drzew mniej więcej w tym samym miejscu i ułamek sekundy później niż pierwszy. Nie czekając, aż go zobaczy, Buźka dał ognia ze wszystkich czterech działek.

Drugi napastnik wyłonił się i nadział na błyskawice jego strzałów. Garik dostrzegł kątem oka, że pod wpływem dużej energii sterburtowe skrzydło nieprzyjacielskiego myśliwca typu TIE wyparowało, a przedziurawiona kabina eksplodowała.

Na kursie zobaczył znów linię drzew. Wyrównał lot, skręcił pod kątem prostym do pierwotnego kursu i śmignął między drzewa.

Zauważył, że pilot pierwszego myśliwca typu TIE powtórzył jego manewr.

Nagle nad jego maszyną śmignęła ze skowytem silników połowa eskadry nieprzyjacielskich maszyn. Buźka odruchowo się skulił. Imperialni piloci lecieli na wysokości kilometra i z pewnością go poszukiwali. Nie zawrócili, żeby go ścigać, więc prawdopodobnie go nie zauważyli.

Przelatując obok drzew, trącał drążek pilota raz w prawo, a raz w lewo. Starał się nie poddawać panice. W pewnej chwili na kursie pojawiło się następne jezioro. Było o wiele mniejsze niż poprzednie i pokryte długimi łodygami roślin z dużymi zielonymi liśćmi. Za jeziorem zobaczył skraj kolejnego lasu.

Drzewa rosły tu bliżej siebie i musiał zwolnić, żeby jego myśliwiec zmieścił się w wolnych miejscach między pniami. Od jakiegoś czasu jego prześladowca nie otwierał ognia i Buźka przypuszczał, że przestało mu już zagrażać niebezpieczeństwo z jego strony. Obawiał się jednak, że coraz trudniejsze warunki lotu mogą wcześniej czy później przyczynić się do jego śmierci.

Chyba że... Przypomniał sobie taktykę, jaką zastosowała na Coruscant Shalla podczas ćwiczeń na symulatorze. Następnym razem, kiedy musiał skręcić w bok, żeby znaleźć bezpieczny prześwit między drzewami, wybrał tak wąski, że chyba jego żołądek zawiązał się na supeł. Właściwie nie miał prawa się tu zmieścić... ale obrócił maszynę w locie w taki sposób, żeby sterburtowe skrzydło zwróciło się ku powierzchni gruntu. Taki manewr był możliwy, bo myśliwiec przechwytujący typu TIE miał mniejszą wysokość niż szerokość, ale i tak panele z ogniwami słonecznymi ścinały gałązki i zrywały liście.

Jego prześladowca starał się lecieć za nim, ale zbyt późno uświadomił sobie, że taka taktyka okaże się zgubna. Buźka wyleciał z wąskiego prześwitu i sekundę później usłyszał dobiegający z tyłu huk eksplozji.

Zwolnił i zawrócił. Zauważył, że w pewnej odległości po prawej płonie las. Z pewnością pożar wywołała eksplozja silników maszyny jego prześladowcy. Mógł odetchnąć. Sensory dowodziły, że pozostałe Jastrzębionietoperze kierują się ku otwartym przestworzom. Większość nieprzyjaciół ich ścigała, a piloci sześciu myśliwców, które widział kilka chwil wcześniej wysoko na niebie, znajdowali się w odległości kilku kilometrów na zachód... i rozdzielili się, żeby skuteczniej prowadzić poszukiwania.

Miał kilka sekund. Mógł spróbować ucieczki w przestworza.

Nie, nie mógł. Przynajmniej dopóki się nie upewni, co się stało z Phananem. Istniało prawdopodobieństwo, że przeżył. Kiedy pilotowany przez niego myśliwiec typu TIE runął między drzewa, Buźka nie usłyszał huku ani nie zobaczył błysku eksplozji.

Polegając na dobrej orientacji w terenie i odrobinie szczęścia, odnalazł niewielkie jezioro z pływającymi po powierzchni zielonymi liśćmi i od razu osiadł na wodzie blisko brzegu. Zanim kulista kabina zdążyła się skryć do połowy pod powierzchnią wody, myśliwiec spoczął na mulistym dnie jeziora.

Buźka przesłał energię do repulsorów, żeby pchnęły go bliżej brzegu. Zauważył, że powoli zaczyna się pogrążać, mimo to nadal kierował maszynę ku brzegowi, aż powierzchnia wody zrównała się z górną krawędzią dziobowego iluminatora.

Posłużył się awaryjnym wyłącznikiem, żeby odciąć zasilanie, a potem ręcznie otworzył właz i wygramolił się z kabiny.

Powierzchnia była wzburzona i zewsząd dobiegały głośne pluski. W pewnej chwili Buźka zauważył, że do wody wskoczyło spore zwierzę ziemno-wodne. Postanowił, że nie będzie się nim przejmował.

W zasięgu jego ręki pływało kilka pędów z zielonymi liśćmi. Wychylił się z kabiny i chwycił ząbkowaną krawędź liścia. Przyciągał łodygę, aż zdobył więcej liści i przesłonił nimi zatopiony myśliwiec.

Kiedy skończył, usiadł na skraju włazu i zaczął się zastanawiać nad sytuacją.

Nie musiał się obawiać wykrycia przez promienie imperialnych skanerów. Nieprzyjacielskich pilotów mogła zwieść obecność wielu innych form życia, tłumiący wpływ wody albo fakt, że jego myśliwiec przechwytujący był zupełnie pozbawiony zasilania. Tak czy owak, pomyślał, już niedługo się przekonam.

Rozprzestrzeniająca się chmura ognia otoczyła „Narrę” i wstrząsnęła jej kadłubem silniej niż przedtem energia promienia ściągającego. Patyk pozwolił sobie na okrzyk uniesienia.

- Jesteśmy wolni! - wykrzyknął.

- Włącz zasilanie i zabierz nas stąd - polecił Kell. Wzdrygnął się, kiedy w rufową część kadłuba uderzył jakiś ciężki metalowy przedmiot. - „Dziewiątka", nic ci nie jest?

Nie usłyszał odpowiedzi.

Zaczął rozpinać sprzączki ochronnej uprzęży, ale po namyśle zrezygnował. Bardzo chciał pobiec do śluzy, żeby się przekonać, co stało się z Donosem, ale siła odległej eksplozji mogła go zwalić z nóg, cisnąć o ścianę albo przegrodę i może nawet zabić. Musiał zaczekać, aż wszystko się uspokoi.

- „Dziewiątka", zgłoś się - powiedział.

Z głośnika pokładowego interkomu wydobył się cichy trzask.

- Tu „Dziewiątka" - usłyszał w końcu. - Zmagam się z klapą włazu, żeby ją zamknąć. Zostałem trochę przysmażony.

- Wspaniały strzał, „Dziewiątko" - pochwalił Tainer. - Zostań, gdzie jesteś, dopóki wszystko nie ucichnie.

- Potwierdzam.

Wystrzelili z ognistej kuli niczym protonowa torpeda z wyrzutni tęponosego myśliwca. Wizualne sensory dowodziły, że stępkę „Żelaznej Pięści" za ich rufą wciąż jeszcze otacza jaskrawopomarańczowa chmura, przetykana czarnymi okruchami odłamków kadłuba „Bastionu".

Kell nie odrywał spojrzenia od wizerunku, który z każdą chwilą stawał się coraz mniejszy.

- No dalej, dalej, zrób nam tę przyjemność! - odezwał się w pewnej chwili. - Przełam się na dwoje i eksploduj!

Ośmiokilometrowej długości kadłub okrętu liniowego nie spełnił jednak jego życzenia i pozostał w jednym kawałku.

- Żadnych promieni ściągających, żadnego pościgu - zameldował Patyk.

- Miejmy nadzieję, że tak już zostanie - odparł Kell. - Castinie, oblicz współrzędne wektora ucieczki w przestworza i skoku do nadprzestrzeni. Wszystko jedno, w którą stronę.

- Już się tym zajmuję, szefie - odparł pilot z Coruscant.

ROZDZIAŁ 12

Buźka zauważył mimo ochronnej warstwy liści, że niebo nad głową pojaśniało. W miarę upływu czasu w kabinie myśliwca przechwytującego wzrastały temperatura i wilgotność. Od czasu do czasu słyszał napływający z góry charakterystyczny skowyt przelatujących maszyn typu TIE. Pocił się i czekał.

Po jakimś czasie przestał słyszeć cokolwiek oprócz melodyjnych świergotów, które przypisywał stworzeniom podobnym do ptaków, a także pochrząkiwań i pomruków, których nie potrafił skojarzyć z żadnym znanym zwierzęciem. Odgłosom towarzyszył dobiegający co pewien czas plusk wody rozchlapywanej przez ziemno-wodne jaszczury wielkości dorosłego człowieka.

W końcu chwycił blaster, otworzył klapę włazu i wygramolił się z kabiny. Starannie zamknął i uszczelnił właz i dopiero wówczas odsunął na bok pędy z zielonymi liśćmi. Zsunął się po wypukłości kabiny i zanurzył w wodzie. Do brzegu miał zaledwie kilkanaście metrów, ale przepłynięcie ich w kombinezonie pilota stanowiło nie lada wyzwanie.

Przepisał do pamięci komputerowego notatnika współrzędne punktu, w którym sensory zarejestrowały katastrofę myśliwca Phanana, i porównał je z miejscem, w którym ukrył swoją maszynę. Upewnił się, że potrafi odnaleźć pilotowany przez Phanana myśliwiec typu TIE. Był gotów zastrzelić każdego, kto spróbuje go przed tym powstrzymać.

Piloci Eskadry Widm, siedzący wokół stołu w module konferencyjnym bazy Jastrzębionietoperzy, wyglądali na przygnębionych.

Nikt nie odniósł ran ani obrażeń, jeżeli nie liczyć osmalonego śladu na policzku Donosa, ale na twarzach podwładnych malowała się rezygnacja, jakby zostali pokonani.

- Wszyscy niepokoimy się losem Buźki i Phanana - odezwał się w końcu Antilles. - Musimy się liczyć z tym, że nie żyją. Chcę wam jednak zakomunikować coś bardzo ważnego. Dzisiaj odnieśliśmy wielkie taktyczne zwycięstwo. Zadaliśmy wrogom o wiele więcej strat niż oni nam. W rzeczywistości to my ich przechytrzyliśmy, a nie na odwrót. Zastawiliśmy pułapkę, która okazała się skuteczniejsza. A jeżeli nasza tożsamość pozostanie niewykryta, Jastrzębionietoperze mogą nadal realizować nasz plan.

Gdyby z tej perspektywy spojrzeć na nasze straty, należy przyznać, że nie są bardzo duże.

- Co zrobimy, żeby ich odnaleźć? - zapytała Tyria.

- Jak tylko będzie można, wyślemy ekipę poszukiwawczą na powierzchnię Halmada - obiecał Wedge. - Przedtem jednak musimy zebrać tyle informacji, ile zdołamy, na temat ruchów naszych nieprzyjaciół w rejonie, w którym wylądowali. - Przeniósł spojrzenie na Castina Donna. - Miałeś nas

zapoznawać z informacjami, których otrzymywanie umożliwiało ci tamto konto.

Castin pokręcił głową.

- Nie mogłem, panie komandorze - zameldował.
- Żądam wyjaśnień - burknął Antilles.
- Konto zostało zamknięte - odparł Donn. - Kiedy usiłowałem nawiązać z nim łączność, znalazłem tylko odnośnik do dwóch zbiorów. Jeden zawierał krótki, anonimowy list oznajmiający, że klient, to znaczy ja, nie jest upoważniony do odbioru strumienia informacji o takim stopniu poufności. Drugi miał o wiele większą objętość i zawierał kompletny hologram lorda Zsinja.

Pozostali piloci spojrzeli po sobie i zaczęli coś mówić, ale Wedge uciszył ich, unosząc rękę.

- Zapoznałeś się z tym zbiorem? - zapytał. Castin kiwnął głową.

- Nie wiedziałem, że to Zsinj, dopóki nie obejrzałem tego hologramu - powiedział. - To wiadomość dla Jastrzębionietoperzy.
- Wyświetl ją - rozkazał komandor.

Pilot z Coruscant pochylił się do przodu, żeby wystukać polecenie na klawiaturze niewielkiego holoprojektora.
Nad stołem pojawił się metrowej wysokości wizerunek lorda Zsinja w nieskazitelnie białym mundurze imperialnego oficera. Castin zmienił położenie wizerunku, żeby lord stał zwrócony twarzą w stronę Antillesa.

- Mam nadzieję, że zwracam się do tak zwanego generała Kargina z bandy Jastrzębionietoperzy - odezwał się dostojnik z łaskawym uśmiechem. - Jak pan widzi, reguły w systemie Halmada uległy dramatycznej zmianie. Planeta należy odtąd do mojego sojuszu, a ja nie wyrażam zgody, żeby pan nadal sprawiał mi tu kłopoty. Musi pan zrozumieć, że mniej wyrozumiały człowiek niż ja byłby na pana bardzo rozgniewany. Ja nie jestem. Szczerze mówiąc, wywarł pan na mnie duże wrażenie. Zdecydował się pan zaatakować moje myśliwce z dwóch stron równocześnie i przy minimalnych stratach własnych wyeliminował pan z walki dwie pełne eskadry. To niezwykłe osiągnięcie. Naturalnie, przegrał pan, ale zwycięstwo kosztowało mnie o wiele więcej niż powinno. To chyba najlepiej świadczy o umiejętnościach i zadziorności pana i pańskich podwładnych. Teraz jednak musi pan dokonać wyboru. Może pan zostać tu i nadal atakować Halmad. Wcześniej czy później jednak w czasie wolnym od innych zajęć zapoluję na pana i pańskich ludzi i wszystkich zabiję. Może mnie to drogo kosztować, ale się nie cofnę. Wiem dobrze, że wszyscy na tym stracą, ale najwięcej straci pan i pańscy podwładni. Może pan także opuścić przestworza Halmada i rozpocząć działalność w rejonie przestworzy, który na razie nie należy do Zsinja. To kosztowny wybór, tym bardziej że nikt na tym nic nie zyska. Ja będę się musiał pogodzić ze stratą dwóch eskadr w zamian za nic... jeżeli nie liczyć sojuszu z władzami tej planety. Trzecia ewentualność umożliwi jednak osiągnięcie korzyści i panu, i mnie. Chciałbym się z panem spotkać. Załączam do hologramu informacje zawierające współrzędne kursu przez nadprzestrzeń. Proszę polecieć tym kursem albo przynajmniej wysłać statek

z przedstawicielem, który będzie mógł się wypowiadać w pańskim imieniu. W określonym miejscu zostawię nadajnik nawigacyjnego sygnału namiarowego. Kiedy pan albo pański podwładny tam się znajdzie, pozna współrzędne dalszego kursu. Spotkam się z nim albo z panem i dołożę starań, żeby rozmowa ze mną sowicie się wam opłaciła. Nie daję słowa, że nie spotka pana żadna krzywda. Nie, żebym nie zamierzał go dotrzymać, ale nie sądzę, żeby pan mi zaufał. Może pan jednak wierzyć, że Zsinj jest człowiekiem interesu, a gdybyśmy połączyli siły, skorzystalibyśmy obaj. Proszę się zastanowić nad moją propozycją.

Zsinj przerywa połączenie.

Wizerunek otyłego mężczyzny zamigotał i zniknął.

Wedge usiadł wygodniej na krześle, nieświadomy, że trwał pochylony do przodu, jakby to pozwalało mu lepiej wsłuchiwać się w propozycję dostojnika.

- Widma - zaczął uroczystym tonem. - To może nas słono kosztować... ale operacja „Jastrzębionietoperz" właśnie zaczyna przynosić pierwsze owoce. Musimy wybrać kogoś, kto nawiąże z Zsinjem pierwszy kontakt.

Powiódł spojrzeniem po twarzach podwładnych.

- Wiadomo, że nie mogę to być ja ani Wes - podjął po chwili. - Wojskowi Imperium zbyt dobrze znają nasze twarze. Rozpoznają nas, nawet gdybyśmy zmienili wygląd i usiłowali udawać kogoś innego.

Nie dodał, że to byłoby bardzo trudne, skoro najlepszy charakteryzator eskadry zaginął i zachodziła obawa, że nie żyje.

- Castinie - ciągnął Wedge, przenosząc spojrzenie na nowego pilota. - Zanim odzyskałeś wolność, uważano cię za Coruscant za przestępcę i buntownika, więc prawdopodobnie Zsinj dysponuje informacjami na twój temat.

Włamywacz komputerowy kiwnął głową.

- Starałem się kasować moje dane wszędzie, gdzie tylko mogłem znaleźć, ale po prostu szerzyły się zbyt szybko, żebym mógł wszystkie unicestwić - powiedział.

- Kell może być brany pod uwagę, chociaż ma charakterystyczną budowę ciała - podjął Wedge.

Rosły pilot się uśmiechnął.

- Cieszę się z tego powodu - powiedział.

- Myn jest wykluczony - oznajmił Antilles. - Jesteś zbyt sławny jako odznaczony członek koreliańskich sił zbrojnych, a potem dowódca eskadry pilotów Nowej Republiki. Patyku, ty także nie masz szans, przynajmniej dopóki w szeregach pilotów gwiezdnych myśliwców galaktyki nie będzie służyło więcej Thakwaashan o równie wątłej budowie. Prosiak jednak...

Gamorreański pilot kiwnął głową.

- Mógłbym się przebrać za barbarzyńcę, żeby stanowić odpowiednie tło dla pozostałych - zaproponował.

- Racja - przyznał komandor. - Z drugiej strony jednak... Zsinj jest chyba typowym wytworem imperialnej szkoły myślenia. Może się poczuć urażony widokiem istoty obcej rasy w szeregach Jastrzębionietoperzy. Będziemy musieli to jeszcze przemyśleć. Mogą być też brane pod uwagę Dia, Shalla, Tyria i Lara, ale muszę mieć trochę czasu, żeby się zastanowić, która najlepiej się nadaje do grupy kontaktowej.

- Ale nie wyklucza pan takiej możliwości? - chciała wiedzieć Shalla. Wedge pokręcił głową.

- Nie wykluczam - powiedział. - Właśnie po to tu się zebraliśmy. Do tej grupy wyznaczę jednak tylko ochotników, więc jeżeli ktoś z was nie chce brać udziału w wyprawie, niech prześle mi wiadomość. Możecie się rozejść.

Zauważył, że piloci wychodzą z uniesionymi wysoko głowami i bardziej energicznie, niż kiedy wchodzili. Możliwe, że stracili przyjaciół na powierzchni Halmada... ale nie zapomnieli, o co toczy się walka.

Castin Donn zamierzał wyjść ostatni, ale zanim przekroczył próg, zamknął drzwi i odwrócił się do Antillesa.

- Panie komandorze, ja także chciałbym wziąć udział w tej wyprawie - powiedział.

- Castinie, sam przyznałeś, że jesteś zbyt dobrze znany - zwrócił mu uwagę Wedge. - Dowódcy oddziałów Imperium mogli zapamiętać twoją twarz.

- To prawda, panie komandorze - przyznał pilot z Coruscant. - Ale chcę się tam wyprawić potajemnie. Mam pewien pomysł.

Wedge gestem zaprosił go, żeby usiadł.

- Chętnie się z nim zapoznam - stwierdził, chociaż bez przesadnego entuzjazmu. Castin usiadł na poprzednim miejscu.

- Jak pan wie, znam się na wielu imperialnych systemach komputerowych - zaczął.

- Wiem.

- Mógłbym zaprojektować program, który zmusiłby pokładowy komputer „Żelaznej Pięści" do okresowego wysyłania sygnału o treści: „Tu jestem. Przybywajcie i rozprawcie się ze mną". Jestem pewien, że zdołałbym ten program zainstalować, gdybym tylko ukradkiem się dostał na pokład superniszczyciela.

- Takiego programu nie potrafiliby wykryć specjaliści Zsinja? - zapytał sceptycznie Antilles.

- Zgadza się, panie komandorze - przyznał Donn. - Nakładałby się na wysyłane sygnały, żeby technicy Zsinja nie mogli go od razu zauważyć. Naturalnie, operatorzy okrętowego systemu

komputerowego sprawdzają od czasu do czasu własne programy, często kasują zawartość bloków pamięci i tak dalej, więc wcześniej czy później muszą zauważyć nawet tak niepozorny program. Może przetrwać tydzień, może dwa, a może nawet miesiąc, ale w tym czasie powinien przekazać nam dość informacji na temat ruchów gwiezdnego superniszczyciela.

- W podobny sposób jak admirał Trigit starał się śledzić ruchy naszych jednostek za pomocą Programu Morrt - domyślił się Antilles.

- Zgadza się, panie komandorze - stwierdził Castin. - To może oznaczać przełom w naszych poszukiwaniach. Uda nam się zaskoczyć Zsinja i jego superniszczyciel, jeżeli będzie przebywał w jakimś miejscu wystarczająco długo, żebyśmy zdążyli ściągnąć jednostki floty i go zniszczyć.

- Czego byś potrzebował? - zapytał Wedge.

- No cóż, dysponuję tu symulatorami programów - odparł Donn. - Musiałbym mieć tylko kompletny zestaw elementów pancerza szturmowca, który by mi posłużył za przebranie. Przydałby się także przenośny terminal z notatnikiem wyposażonym w standardowe gniazdo i wtyczkę, żebym mógł się podłączyć do pokładowego systemu komputerowego superniszczyciela. Ukryłbym się w przedziale przemytniczym „Narry”... Jeżeli zmieścił się tam Prosiak w kombinezonie pilota, z pewnością znajdzie się dość miejsca dla mnie w pancerzu szturmowca.

Wedge zastanawiał się jakiś czas nad jego propozycją.

- Castinie, chciałbym, żebyś się zajął opracowaniem tego programu - odezwał się w końcu.

- Dziękuję, panie komandorze. - Pilot wstał, zasalutował i odsunął krzesło, żeby wyjść z modułu.

- Zaczekaj chwilę - powstrzymał go Antilles. - Nie wyrażam zgody na twoją wyprawę, a przynajmniej nie tym razem.

- Słucham? - Castin osunął się na siedzenie. Miał minę jakby Wedge go spoliczkował.

- Zsinj nie jest głupcem - wyjaśnił Antilles. - Wyślemy do niego grupę piratów, których nigdy nie widział. Z pewnością wyda rozkaz, żeby ktoś miał ich ciągle na oku. Pierwsze spotkanie nie jest odpowiednią porą, żeby próbować takiej sztuczki. Zrealizujemy twój plan później, kiedy spotkania staną się regularne, a funkcjonariusze jego służby bezpieczeństwa przyzwyczają się do naszego widoku.

- Panie komandorze... - Wedge zauważył, że broda Castina drży, jakby podwładny z trudem utrzymywał nerwy na wodzy. - Panie komandorze, jestem lepszy niż jakikolwiek funkcjonariusz służby bezpieczeństwa, któremu Zsinj może zlecić to zadanie. Nie doradzam panu, jak latać, bo jest pan w tym najlepszy, więc proszę mi nie mówić, z jakimi systemami bezpieczeństwa potrafię sobie poradzić, a z jakimi nie.

- Stajesz się bezczelny - odparł Wedge. - Podaj mi nazwisko dowódcy pokładowej służby bezpieczeństwa lorda Zsinja.

- Nie znam go, panie komandorze - oznajmił nowy pilot.

- Więc skąd wiesz, że jesteś lepszy niż on? - zapytał komandor. - Skąd wiesz, że tamten nie wprowadził zabezpieczeń na wypadek programów tego rodzaju, jaki zamierzasz zainstalować?

- Bo jestem lepszy niż wszyscy inni, panie komandorze. Wedge westchnął.

- Panie podporuczniku Donn, daję panu wyraźny rozkaz - zaczął oficjalnym tonem. - Proszę

zaprojektować swój program, ale niech pan się nie spieszy i sprawdzi wszystko bardzo starannie. Tym razem nie poleci pan z pozostałymi na pokład „Żelaznej Pięści". Wykorzystamy pański pomysł przy innej okazji. To wszystko. Może pan odejść.

Castin zaczerwienił się i wyglądał, jakby zamierzał zaprotestować wobec tej decyzji. W końcu wstał, zasalutował z wojskową precyzją, co prawdopodobnie miało oznaczać sarkazm, odwrócił się i wyszedł.

Wszystko wskazywało, że pilotowany przez Phanana myśliwiec typu TIE zderzył się z miękką powierzchnią gruntu na polanie, odbił od jakiejś skały niczym płaski kamień od powierzchni stawu i roztrzaskał o skraj młodego zagajnika. Spoczywał na zmiażdżonym sterburtowym skrzydle, a główny iluminator kabiny pilota pogrążył się do połowy w miękkim gruncie. Maszyna opierała się o pnie trzech przygiętych prawie do ziemi młodych drzew, których wyrwane korzenie wystawały do połowy spod powierzchni gruntu. Bliźniacze silniki jonowe na rufie pokrywała skorupa gąbczastej substancji, prawdopodobnie gaśniczej piany rozpylonej przez kogoś, kto pojawił się po katastrofie.

Obok uszkodzonego myśliwca stał na straży szturmowiec i rozmawiał z dwoma mężczyznami w charakterystycznych mundurach Drapieżników Zsinja. Obok nieuszkodzonego sterburtowego panelu z ogniwami słonecznymi myśliwca unosiły się dwa rakietowe skutery, pola - kierowane także w barwy Drapieżników.

Buźka krył się kilkadziesiąt metrów dalej w charakterystycznym dla młodych lasów gęstym poszyciu. Czując chodzące po karku i rękach insekty, otarł z czoła krople potu, które zaczynały spływać do jego oczu. W końcu poczołgał się w stronę szturmowca i Drapieżników, żeby podsłuchać ich rozmowę.

Najwyraźniej słyszał wzmocniony przez elektroniczną aparaturę hełmu głos szturmowca.

- ...spójrzcie tutaj. Krople krwi. Musiał się czołgać, ale pierwsi nasi ludzie dotarli tu dopiero pół godziny po katastrofie, więc nie mogło mu chodzić o to, żeby go nikt nie zauważył. Musiał być ranny. Dopiero teraz okolicę przeszukują nasi ludzie na rakietowych skuterach. Twierdzą, że ślad ciągnie się niespełna kilometr i po prostu znika po drugiej stronie rzeki na skalistym zboczu.

Obaj Drapieżnicy spojrzeli po sobie.

- Czy wzdłuż tropu widać ślady kurzu wznoszonego przez repulsory? - zapytał wyższy i chyba starszy stopniem.

- E, nie - odparł szturmowiec. - Zameldowano by mi o tym, gdyby je znaleziono. Wszyscy przypuszczają, że ukrył się gdzieś między tamtymi wzgórzami.

- Nie sądzę - odparł ten sam Drapieżnik. - Zostawiłby więcej śladów krwi. Nawet gdyby obandażował ranę, poraniłby ciało, czołgając się po tamtych skalach. Mało prawdopodobne. Domyślam się, że omiatanie terenu promieniami skanerów także nie przyniosło żadnego rezultatu?

- Po okolicy kręci się wielu ludzi - wyjaśnił przepraszającym tonem szturmowiec. - To zawodowi myśliwi, którzy polują tu na grubego zwierza. Każemy się wynosić stąd wszystkim, których spotykamy, ale z powodu ich obecności nasze skanery wariują od nadmiaru sygnałów.

Drapieżnik westchnął, jakby zdziwiony niekompetencją szturmowca, i odwrócił się do

rakietowych skuterów.

- Znajdziemy go - odezwał się jego kolega. - A potem powiemy wam, jak to zrobiliśmy.

Odwrócił się i także poszedł do skuterów.

Buźka zaczął się czołgać tak szybko jak mógł bez obawy, że szelest zwróci uwagę strażnika. Szturmowiec patrzył na Drapieżników, ale z ruchów jego ciała wynikało, że najchętniej zatłukłby obu kolbą blasterowego karabinu. Nie usłyszał, że Garik pełznie w jego stronę.

Drapieżnicy wskoczyli na siodełka skuterów, ale nie ruszyli. Rozmawiali półgłosem i od czasu do czasu chichotali, co pozwalało się domyślać, że przedmiotem ich drwin są szturmowiec i jego koledzy. W końcu zapalili silniki i wystartowali.

Buźka zerwał się zza krzaka, który rósł na ich drodze. Pierwszym strzałem z blastera trafił w pierś lecącego po prawej stronie Drapieżnika, który spadł z siodełka za rufą skutera. Garik odskoczył w bok i wystrzelił, kiedy drugi Drapieżnik przelatywał obok niego. Strzał trafił mężczyznę w bok głowy. Martwy albo śmiertelnie ranny żołnierz przemknął tak blisko niego, że Buźka poczuł podmuch powietrza z repulsorów skutera i swąd spalenizny z hełmu Drapieżnika.

Zobaczył, że strzegący wraku szturmowiec unosi do ramienia karabin blasterowy. Upadł na ziemię i częściowo skrywany przez krzak, oddał pospiesznie trzy strzały. Pierwsze dwa chybiły, a strzał nieprzyjaciela zwęglił grunt w odległości niespełna metra przed jego głową. Na szczęście trzeci strzał trafił szturmowca w podbrzusze, gdzie elementy białego pancerza łączył elastyczny czarny materiał. Imperialny żołnierz z jękiem runął na twarz.

Nagle Buźka usłyszał dobiegający zza pleców huk eksplozji. Błyskawicznie obrócił się na plecy i uniósł blaster do strzału, ale przeciwnika nie było. Okazało się, że to drugi skuter rakietowy wbił się w gruby pień drzewa i eksplodował. Ogniste szczątki spadały niczym deszcz na okoliczne krzaki.

Buźka nie miał czasu się tym przejmować. Zerwał się, podbiegł do uszkodzonego myśliwca Phanana, wspiął się po wsporniku zmiażdżonego skrzydła i zerknął w głąb kabiny. Nie zobaczył w niej kolegi, co wynikało zresztą z podsłuchanej rozmowy, ale nie zamierzał zostawiać żołnierzom Zsinja informacji, jakie mogliby uzyskać, analizując szczątki maszyny. Posłał w głąb kabiny serię blasterowych błyskawic i zeskoczył na ziemię dopiero, kiedy fotel pilota i pulpit kontrolny stanęły w ogniu.

Odwrócił się i przekonał, że pierwszy skuter rakietowy wbił się w pień innego drzewa, ale nie eksplodował. Mimo to nawet z tej odległości widział, że przedni statecznik jest zgięty. Nie wróżyło to najlepiej planom jego ucieczki, bo ograniczało w poważnym stopniu prędkość i zdolność manewrową szybkiego wehikułu.

Schylił się, podniósł blasterowy karabin szturmowca i pobiegł do skutera. Mijając ciała obu Drapieżników, upewnił się, że nie żyją. Zabrał ich blasterowe pistolety, komunikatory i różne dokumenty oraz karty danych.

Jak się obawiał, statecznik ocalałego skutera był bardzo odkształcony. Buźka nie dysponował odpowiednimi narzędziami, żeby go naprawić. Zaklął pod nosem, wskoczył na siodełko i wystartował.

Silnik pojazdu zakrztusił się, coś zagrzechotało i pojazd skręcił w dół i w prawo. Do ubrania tego kierunku zmuszał go wygięty statecznik. Mimo to podróżowanie skuterem było szybsze niż pokonywanie odległości pieszo. Garik starał się lecieć maszyną wzdłuż wyraźnie widocznego śladu, jaki zostawił ranny Phanan.

Z oddali napływał stłumiony warkot silników innych skuterów rakietowych. Buźka włączył

odbiornik rakietowego skutera i komunikator jednego z Drapieżników. Usłyszał rozmowy wielu osób.

- Chyba mam tu jakiś trop... coś jak ślady czołgania. Nigdzie jednak nie widać ani kropli krwi.
- I De Siedem Cztery Dwa, czy Ajaf i Matham już się do was zgłosili?
- Kwadrat dwa-cztery przeszukany. Żadnych dużych form życia z wyjątkiem nas.
- Jaka szkoda, że skanery nie reagują tylko na inteligentne formy życia, Dofey. Od razu wyeliminowałyby ciebie.
- Żadnych uwag osobistych, szeregowiec!

Zmuszając do posłuszeństwa uszkodzony skuter, Buźka leciał śladami Phanana. Wyraźnie widział zgniecioną trawę i dwie koleiny wyżłobione przez kolana w miękkim gruncie. Obserwując je, doszedł do wniosku, że czołgający się przyjaciel pokonał sporą odległość. Po pierwszych dwustu czy trzystu metrach w lesie pełznął jeszcze pół kilometra i w końcu dotarł do brzegu wąskiej i dość płytkiej rzeki. Prawdopodobnie to była ta sama, o której wspominał przedtem szturmowiec.

Po drugiej stronie rosło wąskie pasmo rzadkiego lasu, a jeszcze dalej zaczynały się skaliste wzgórza. Porastały je gęste, ale niewysokie krzaki i nieliczne młode drzewa. Buźka pokręcił głową. Phanan na pewno nie usiłowałby się ukryć w terenie, w którym łatwo byłoby go wypatrzyć z powietrza... Zaledwie o tym pomyślał, znad grzbietu najbliższego wzgórza wyłonił się myśliwiec typu TIE. Jego pilot leciał nisko i na tyle powoli, że z pewnością wypatrywał śladów na powierzchni gruntu. Mimo to Garik zauważył po drugiej stronie rzeki ślady Phanana. Były wyraźniejsze niż poprzednio i wiodły właśnie w stronę skalistych pagórków.

Ciekaw był, czy to dowód wrodzonej przewrotności przyjaciela. Szturmowiec powiedział, że ślady znikają na skalistym gruncie, a oddziały przeszukujące teren nie odnalazły tam Phanana... Nie odnalazły, chociaż ranny pilot mógł się tylko czołgać.

Phanan wiedział równie dobrze jak Garik, że zestrzelony pilot, który dotarł do brzegu rzeki, miałby większą szansę przeżycia, gdyby podążał z jej prądem. Na brzegach rzek ludzie wznosili miasta i osady. Rzeki mogły się łączyć z innymi rzekami, zazwyczaj oznaczały także obfitość świeżej wody.

A jeżeli... Ślady są wyraźniejsze niż poprzednio, przypomniał sobie Buźka. A jeżeli jego przyjaciel wyszedł na drugim brzegu rzeki, żeby dotrzeć do pierwszego miejsca, w którym jego trop przestawał być widoczny, a później przeczołgał się po własnych śladach z powrotem do rzeki? To wyjaśniałoby, dlaczego były wyraźniejsze.

Takie postępowanie miało sporo sensu, bo mogło zmylić jego prześladowców. Prawdę mówiąc, zmyliło jego prześladowców.

Buźka skręcił w prawo, w kierunku biegu rzeki, i zaczął lecieć powoli tuż nad powierzchnią wody.

Od razu się zorientował, że to o wiele lepsza droga ucieczki niż zapuszczanie się między skaliste wzgórza. Konary rosnących na brzegach drzew sięgały nad wodę tak daleko, że ich liście osłoniłyby uciekiniera przed spojrzeniami z góry. Same brzegi były porośnięte długą trawą i gęstymi krzakami, których liście pływały po powierzchni. Buźka zaczął się zastanawiać, czy i one, podobnie jak

korzenie, dostarczają roślinom koniecznej wilgoci, ale pokręcił głową. To nie była odpowiednia pora, żeby tracić czas na studiowanie botaniki Halmada.

Z dobrodziejstw rzeki musiało korzystać także wiele dużych zwierząt. Od czasu do czasu, z przodu i z tyłu było słychać plusk wody, a na powierzchni pojawiały się zmarszczki sugerujące, że przepływają tamtędy spore zwierzęta ziemno-wodne. Buźka pomyślał, że prawdopodobnie takie same, jakie widział w wodach jeziorka. Trzymały się w przyzwoitej odległości, bo chyba były bardzo płochliwe. Garik uznał tę ewentualność za bardziej kojącą niż możliwość, że starają się na niego zapolować.

Kilometr dalej poczuł silny ból w lewej skroni, który na chwilę prawie go oślepił. Omal nie spadł z siodełka rakietowego skutera. Szybko się wyprostował, sięgnął po blaster i wymierzył w rosnącą na lewym brzegu kępę bujnej trawy. W ostatniej chwili zauważył, że macha stamtąd do niego czyjaś blada ręka.

Zawrócił, zeskoczył z siodełka i zaczął brnąć do brzegu. Woda sięgała mu do połowy uda.

Zobaczył spoconego i bledszego niż zazwyczaj Phanana, który, oparty o stromy brzeg, siedział pod osłoną liści. Szaremu kombinezonowi pilota myśliwca typu TIE brakowało maski do oddychania, hełmu i rękawic, a materiał na piersi był rozdarty. Garik podejrzewał, że rozerwał go sam Phanan, żeby ochłodzić trawione gorączką ciało.

- Cieszę się, że cię widzę - odezwał się lekarz. Jego cichy głos miał chrapliwe brzmienie.
- Tak bardzo, że postanowiłeś rzucić we mnie kamieniem? - zapytał Buźka.
- Nie mogę krzyczeć.
- Jesteś ranny? Cyborg kiwnął głową.
- To coś poważnego? Kolejne kiwnięcie głową.
- Jestem pewien, że... mam krwotok wewnętrzny - odparł lekarz. - Chyba nie zdołam dalej iść o własnych siłach.
- Zabiorę cię do bazy Jastrzębionietoperzy - obiecał Buźka. - Dasz radę utrzymać się za moimi plecami na siodełku rakietowego skutera?

Phanan długo nie odpowiadał.

- Chyba... tak - odezwał się w końcu.
- Zaraz cię tam posadzę - odparł Garik. - Bardzo sprytnie wywiodłeś ich w pole. Odlecimy stąd, zanim poszukiwania obejmą większy obszar.

Pomógł mu wstać i podejść do skutera, a później wspiąć się na siodełko. Jego zadanie nie było wcale łatwe. W pewnej chwili przyjaciel jęknął z bólu i skulił się jak po silnym ciosie w brzuch. Trzęsąc się jak liść, pozostał w takiej pozycji jakiś czas, a Buźka go podtrzymywał, żeby nie zsunął się do wody. W końcu lekarz wyprostował się na tyle, żeby wgramolić się na siodełko skutera. Buźka zauważył, że kiedy cyborg wynurzył się z chłodnej wody, zaczął się bardzo pocić. Z pewnością miał wysoką gorączkę.

Garik wspiął się przed nim na siodełko i uruchomił jednostkę napędową wehikułu. Silnik zakrztusił się głośniej niż poprzednio, zadygotał i zgasł.

- Domyślam się, że kiedy go kupowałeś, był używany? - zakpił Phanan.

Ranny pilot leżał na plecach na skuterze. W prawej dłoni trzymał panel sensorów, który Buźka wyciągnął z obudowy tak daleko, na ile pozwalały wiązki przewodów.

Repulsor skutera był sprawny, więc Garik otworzył niewielki przedział bagażowy, wyciągnął linę i przywiązał jeden koniec do statecznika. Brnąc w zimnej wodzie przy brzegu kilka metrów przed skuterem, ciągnął pojazd z odpoczywającym przyjacielem.

- To bardzo miło z twojej strony - odezwał się w pewnej chwili Phanan. - Obierz mi ze skóry kilka słońcoowoców, skoro już jesteś taki uczynny, dobrze?

Mówił z wysiłkiem, a jego chrapliwy głos dowodził, że zmaga się z bólem.

- Jasne - mruknął Buźka. - Zerwij je, to ci obiorę. Co słychać u naszych prześladowców?

- Sensory wskazują, że w ich zasięgu nie ma żadnych skuterów rakietowych ani myśliwców typu TIE - odparł cyborg. - Wyłączyłem nadajnik komunikatora sensorów, żeby nie mogli go zmusić do wysłania sygnału.

- To dobrze.

- Buźko? - Tak?

- Dziękuję, że po mnie wróciłeś.

- Gdyby cię schwytali, musiałbym wypełnić mnóstwo formularzy.

- To rozsądny powód - przyznał Phanan. - A przy okazji, masz jakiś plan, czy zamierzasz w nieskończoność wędrować wzdłuż brzegu rzeki?

- Naturalnie, to najważniejsza część mojego planu - przyznał Garik. - A poza tym, spacer z biegiem rzeki zwiększa moją wrażliwość na nieprawdopodobną różnorodność cywilizacji istot ludzkich. Wcześniej czy później powinniśmy natknąć się na miasto albo osadę. Kiedy coś takiego zobaczymy, podkradnę się i porwę jakiegoś lekarza.

- Akurat - odezwał się Phanan, zamykając organiczne oko. - Jakbym nie wiedział, że nie potrafisz odnaleźć własnych pleców bez uciekania się do pomocy namiaru z satelity.

- Kiedy już tam dotrzemy, wyślemy sygnał do bazy - ciągnął niezrażony Buźka. - Istnieje duża szansa, że jeszcze przed świtem odlecimy z tego bagna.

- Akurat - mruknął cyborg.

- Kto wie, może nawet znajdę dla ciebie odpowiednią młodą lekarkę, która zakocha się w tobie na zabój, nie zważając na twoje słabostki i drobne wady charakteru?

- To wykluczone - odparł lekarz. - Wiesz, jakie będą jej pierwsze słowa?

- Jakie?

- Powie: „Garik Loran? Buźka? To naprawdę ty? O-och, chyba zemdleję...” Buźka przystanął i odwrócił się do przyjaciela.

- Przyjrzyj mi się - powiedział.

Phanan wykręcił głowę i spojrzał na niego kątem oka.

- Ach, masz rację - przyznał ponuro. - Twoją twarz nadal szpecą paskudne blizny, więc może jednak będę miał u niej jakąś szansę.

Skrzywił się i pragnąc złagodzić ból, z wysiłkiem obrócił się na bok i prawie zwinął w kłębek.

- Och, daj spokój - mruknął Garik. - Muszę zrobić wszystko, żeby ktoś się tobą zajął. Nawet gdyby to oznaczało wysłanie sygnału do żołnierzy Zsinja, że zamierzamy się poddać.

Phanan znów się wyprostował i obrócił na plecy, ale przy tej okazji omal nie spadł z siodełka. Wyglądało na to, że coraz szybciej traci siły.

- Podejdź do mnie - powiedział.

Buźka odwrócił się i rozchlapując wodę, zbliżył do skutera.

Kiedy stanął obok unoszącej się nad powierzchnią maszyny, cyborg chwycił go za kołnierz bluzy. Jego organiczne oko płonęło prawie takim samym blaskiem jak sztuczne.

- Posłuchaj uważnie - zaczął. - Nie wolno nam się poddawać. Od razu by rozpoznali moje protezy i twoją twarz pod tym makijażem. Jeżeli się poddamy, w łeb weźmie cała operacja „Jastrzębionietoperz", a poszukiwania Zsinja trzeba będzie rozpoczynać od nowa. Nigdy do tego nie dopuszczę.

- Nawet gdyby to miało kosztować cię życie - domyślił się Buźka.

- Zgadłeś. - Wyczerpany wysiłkiem Phanan ułożył się wygodniej na siodełku skutera. - Oznaczałoby to stratę czasu - podjął po chwili.

- Zsinj mógłby zbombardować więcej kolonii i zniszczyć więcej okrętów. Dzień zwłoki może oznaczać, że jego ofiarą padnie inny uzdolniony młody lekarz, który stanie się tym, kim jestem w tej chwili.

- Nie widzę w tobie niczego, czego mógłbyś żałować - odparł Garik. Cyborg pokręcił głową.

- Nie dorastam do pięt pewnemu obdarzonemu bystrym umysłem dzieciakowi, którego jedynym celem życia jest, żeby ludzie byli chociaż trochę lepsi - powiedział. - Dobrze, że to spotkało mnie, a nie jego. - Głęboko odetchnął. - Jeżeli umrę...

- Nie umrzesz - przerwał mu Buźka.

- Zamknij się i posłuchaj - burknął Ton. - Jeżeli umrę, nie możesz pozwolić, żeby znaleźli moje ciało, boby je zidentyfikowali. Zrób wszystko, żeby wrócić do eskadry, ale nie pozwól im mnie znaleźć.

- Nie umrzesz - powtórzył Garik.

- Obiecaj, że pozbędziesz się moich doczesnych szczątków. Buźka się wzdrygnął.

- Obiecuję - powiedział. - Ale na pewno nie umrzesz.

- No cóż, trzymam cię za słowo. - Phanan zamknął organiczne oko.

- Nie ma tłoku na drodze, a jednak stoimy. Dlaczego się zatrzymałeś?

Buźka wyszczerzył zęby w wymuszonym uśmiechu, odwrócił się i rozchlapując wodę, ruszył w

dalszą drogę.

- To twoja wina - powiedział. - Wynająłeś niekompetentnego przewoźnika.

Słońce zaszło i na niebie pojawiło się niezliczone mnóstwo księżyców Halmada. Świeciły jasno na tle usianych miliardami gwiazd przestworzy. Planeta miała wprawdzie dobrze rozwinięty przemysł, ale powietrze pozostawało względnie czyste.

Na zakręcie rzeki, gdzie drzewa rosły rzadko, Phanan spojrzał w niebo.

- Co to? - zapytał.

Buźka odwrócił się, żeby zobaczyć, na co patrzy przyjaciel. Na tle tarczy jednego z księżyców przelatywał jasno oświetlony spiczasty trójkąt, mikroskopijny z powodu dużej odległości.

- Domyślam się, że to „Żelazna Pięść" - odparł po chwili.

- Ach - westchnął cyborg: - Miło ją widzieć ostatni raz przed zniszczeniem. Dwieście metrów dalej Garik usłyszał, że lekarz się krztusi, jakby miał kłopoty z oddychaniem. Rozchlapując wodę, podbiegł do niego, ale i tak zajęło mu to więcej czasu, niż przypuszczał. Zorientował się, że porusza się z coraz większym trudem. Od brodzenia w zimnej wodzie jego nogi stały się ciężkie jak z ołowiu.

Phanan nie kulił się z bólu, jak Buźka się spodziewał. Leżał wyprostowany w pozycji, która sprawiała mu najmniejszy ból, ale jego twarz zdradzała skrajne wyczerpanie.

- Bardzo przepraszam - odezwał się lekarz. - To chyba panika. Jego głos brzmiał ciszej niż poprzednio.

- Panika? - zdumiał się Buźka.

- Wyobraziłem sobie, jakim ponurym miejscem stanie się galaktyka bez mojego wspaniałego umysłu i zdumiewającej osobowości. - Phanan zrobił wysiłek i ledwo dostrzegalnie wzruszył ramionami.

- To i tak nie będzie twoje zmartwienie - zażartował Garik.

- Tak czy owak, masz rację.

Przyjaciel wyciągnął do niego drugą rękę, w której coś trzymał. Buźka wyjął z jego palców niewielki komputerowy notes.

- Co to? - zapytał.

- Nazywa się kom-pu-te-ro-wy no-tes - wyskandował cicho ranny pilot. - Dzieciaki z Imperium i Nowej Republiki uczą się tym posługiwać od najwcześniejszych lat dzieciństwa.

- Bardzo zabawne.

- Zabierz go ze sobą - odparł Phanan. - Zarejestrowałem w nim kilka ostatnich myśli.

Buźka się wzdrygnął. Uświadomił sobie, że chłód z nóg zaczyna ogarniać także górną połowę jego ciała.

- Co ty wygadujesz, Ton? - zapytał. - Nie bądź takim pesymistą. Nie dręcz siebie. Spomiędzy spękanych warg rannego pilota wydobył się chrapliwy chichot.
- Ty to wiesz najlepiej, co? - zapytał. - To twoja specjalność, prawda?

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Robiłem to, co robiłem, bo tak bardzo chciałem odpłacić się ludziom, którzy i mnie wyrządzili podobną krzywdę - zaczął Phanan. - Ty zaś robisz to, co robisz, żeby ukarać małego chłopca, który kiedyś występował w imperialnych holodramatach.
- To absurdalne.
- Naprawdę? - zadrwił cyborg. - Buźko, jak ci się wydaje, ile jesteś winien Nowej Republice?
- No cóż... trochę jestem - przyznał niechętnie Garik.
- Za to, że byłeś aktorem? - nie dawał za wygraną Phanan. - Że twój udział wspomagał kiedyś imperialną propagandę?
- Masz rację.
- Za to ty jej nie masz - odciął się lekarz. - Dawno przestałeś być małym chłopcem, ale wciąż jeszcze składasz na jego barki ogromny ciężar.
- No cóż, czuję się, jakbym miał wielki dług, i staram się go spłacać w niewielkich ratach - przyznał Buźka.
- Twoje konto jest czyste - oznajmił Ton. - Nikomu nic nie jesteś winien i niczego nie musisz spłacać. - W jego cichym głosie brzmiała pogarda. - Nie możesz traktować inteligentnych istot jak suche liczby i wymieniać je, jakby to były kredyty. Nie możesz taką samą miarą oceniać tego, co kiedyś robił niewinny chłopiec, i porównywać z tym, co przez resztę życia musi robić dorosły mężczyzna.
- Zaczynasz bredzić - odparł trochę urażony Buźka.
- Dobrze wiedzieć - odparł z ulgą cyborg. - Hej, znów się zatrzymaliśmy!

Trochę później Phanan znów coś powiedział, ale tak cicho, że skowyt repulsora skutera prawie zagłuszył jego chrapliwy szept. - Znów tam jest.

- „Żelazna Pięść”?

Buźka spojrzał w niebo. Sylwetka gwiezdnego superniszczyciela Zsinja ponownie przelatywała na tle tarczy jednego z księżyców. Unosiła się bardzo daleko i wyglądała jak ogromny grot włóczni nadprzyrodzonego bóstwa z dawno zapomnianego mitu, głoszonego na jednej spośród setek planet. Okręt przelatywał powoli, nie troszcząc się o życie, śmierć, zwycięstwo i tragedie istot mieszkających na powierzchni planety. A kiedy opadał, siał śmierć. Buźka doszedł do wniosku, że właśnie to stanowi główną cechę „Żelaznej Pięści”. Taki okręt po prostu nie miał prawa istnieć.

Zamierzał uczynić wszystko, żeby przyczynić się do jego zagłady, nawet gdyby miało mu to zająć resztę życia.

Postarał się, żeby w jego głosie nie zabrzmiało obrzydzenie.

- Z tak daleka wygląda zupełnie niewinnie, prawda? - zapytał. Phanan nie odpowiedział.

- Powiedziałem, że stąd wygląda zupełnie niewinnie, nie uważasz? Znów nie usłyszał odpowiedzi.

Przystanął, ale nie odwrócił się, by spojrzeć na przyjaciela. Nie zamierzał do niego podchodzić na zdrętwiałych z zimna nogach. Obawiał się, że mógłby uzyskać potwierdzenie swoich obaw.

Dopiero kiedy przepływał obok niego niesiony prądem rzeki skuter, Buźka go zatrzymał.

Zauważył, że pierś Phanana nie unosi się już ani nie opada. Jego organiczne oko było otwarte i skierowane w niebo, a z twarzy zniknął ból, cynizm i ochronna tarcza udawanej pewności siebie... Oblicze wyglądało jak twarz zachwyconego pięknem mrugających gwiazd małego dziecka.

Buźka stracił ostrość spojrzenia, a w jego oczach zakręciły się łzy... pierwsze, jakie popłynęły, odkąd sam przestał być dzieckiem.

ROZDZIAŁ 13

Dopiero o świcie postanowił opuścić prowizoryczny obóz na niewielkiej polanie. Odchodząc, rzucił spojrzenie na zawiniątko, jakie zostawiał... Kryło uszkodzony rakietowy skuter, zmarłego przyjaciela i osobisty komputerowy notes. Buźka sprzągł go z zabranym zabitemu Drapieżnikowi komunikatorem, który pieczołowicie przeprogramował, korzystając z blasku księżyców Halmada. Z bagażowego przedziału skutera wyciągnął termiczny koc, okrył nim doczesne szczątki Phanana i skierował się do lasu.

Mimo pulsującego bólu, który podczas snu wdarł się w jego mięśnie i kości, poruszał się zaskakująco zwinnie i szybko. Orientował się nieźle w terenie i nie musiał już holować rannego pilota.

Mniej więcej po godzinie minął wypatroszony wrak imperialnego myśliwca Phanana. Nie znalazł obok niego żadnych ciał. Z pewnością zabrali je członkowie ekipy dochodzeniowej Zsinja, którzy przybyli tu i odeszli, nie zostawiając nikogo na straży wypalonego bezwartościowego kadłuba. Z oddali nie napływał warkot silników rakietowych skuterów ani charakterystyczny skowyt jednostek napędowych myśliwców typu TIE. Wyglądało na to, że poszukiwania zostały zakończone albo przeniesione w inne miejsce.

Mniej więcej pół godziny później Buźka podpłynął do częściowo zanurzonego myśliwca przechwytującego, wgramolił się do kabiny i zajął wykonywaniem procedur przedstartowych.

Wiedział, że kiedy je zakończy, nie może tracić ani chwili. Miał niewiele czasu i musiał go jak najlepiej wykorzystać.

Kiedy włączył silniki, mętna woda za rufą myśliwca zawrzała. Kadłub maszyny lekko zadrżał, a bąble i kłęby pary omyły dziobowy iluminator.

W końcu repulsory pokonały opór mułu, w którym spoczywał myśliwiec. Buźka wypłynął na powierzchnię wody i od razu śmignął w niebo.

Skierował się na południowy zachód, przeleciał nad wąskim pasmem lasu i kilka sekund później znalazł się nad rzeką. Leciał z jej prądem tak szybko, że powierzchnia gruntu pod kabiną wygląda jak rozmazana plama.

Kiedy rozpoznał okolicę, wysłał sygnał na częstotliwości, na którą nastawił komputerowy notes. Sprzężony z nim komunikator Drapieżnika zaczął nadawać impulsy sygnału namiarowego i chwilę później Buźka zawisnął nieruchomo nad niewielką polaną, na której spędził samotnie resztę nocy.

Zobaczył czarny koc okrywający zwłoki przyjaciela.

Nie mógł się wahać. Całą noc czuł niesmak na myśl o tym, co ma zrobić z ciałem Phanana, ale musiał się zdecydować. Obrócił myśliwiec w dół, jakby zamierzał wbić maszynę w powierzchnię gruntu.

Strumień powietrza z repulsorów wzniósł tumany kurzu i suchych liści; przygiął do ziemi źdźbła traw i pnie młodych drzew. W pewnej chwili silniejszy podmuch zdarł termiczny koc z uszkodzonego skutera i zwłok Phanana.

Buźka zauważył, że organiczne oko przyjaciela jest zamknięte... sam zamknął je ostatniej nocy. Mimo to sztuczne oko nadal płonęło czerwonawym blaskiem, jakby się w niego wpatrywało. Garik się zastanowił, co mogło widzieć.

Sekundę później przestał się wahać i dał ognia.

Strumienie światła z luf laserowych działek przemieniły środek polany w ogniste piekło. Zwęgliły rakietowy skuter, spopieliły ciało i protezy przyjaciela. Płonący krater wypełnił się popiołem i bulgoczącym metalem. Buźka nie przerywał ognia, dopóki na polanie nie zostało nic, co ekipy dochodzeniowe Zsinja albo władz Halmada mogłyby zidentyfikować jako Tona Phanana.

Potem skierował dziób myśliwca przechwytującego typu TIE w niebo i śmignął w przestworza.

Kiedy Wedge wysłuchał jego raportu, spojrzał na niego współczująco.

- Jadłeś coś? - zapytał.

Garik kiwnął głową i potarł szczękę w miejscu, skąd usunięto jedną z fałszywych blizn generała Kargina. Z zaskoczeniem stwierdził, że ma tam szczeciniasty zarost.

- Trochę - powiedział.

- To dobrze - podjął Antilles. - Wiem, że to cię nie pocieszy, ale z twojego raportu i danych zarejestrowanych przez aparaturę pokładową myśliwca wynika, że nie popełniłeś żadnego błędu. Zrobiłeś, co możliwe, żeby nie wyjawić nieprzyjaciołom prawdziwego celu wyprawy i nie narazić na szwank życia pozostałych pilotów. Bardzo wysoko oceniam wszystko, co osiągnąłeś na powierzchni Halmada.

- Nie udało mi się ocalić życia Phanana - mruknął Buźka. Wedge pokiwał głową.

- Mnie także nie udało się ocalić życia wielu przyjaciół - przypomniał ponuro. - Nie zamierzam ci wmawiać, że nie będzie cię to gryzło. Będzie. Mnie także gryzło i nadal nie daje mi spokoju. Chcę ci tylko powiedzieć, że nie ty jeden musisz się uporać z takimi myślami. Jeżeli chciałbyś o tym porozmawiać, możesz się zwrócić do mnie, do Wesa albo do Myna. Nie przypuszczam, żeby rozmowa z którymś z nas poprawiła twoje samopoczucie... ale przynajmniej przypomni ci, że to z czasem minie.

- Tak jest, panie komandorze. - Garik wyglądał na zamyślonego. - Jeżeli pan pozwoli, chciałbym się czymś odwdzięczyć.

- Co masz na myśli? - zainteresował się Antilles.

- Znałem Tona lepiej niż inni pańscy podwładni - zaczął Buźka. - Uważam, że powinienem pomóc panu napisać list informujący krewnych o jego śmierci.

- No cóż, to nie będzie konieczne - odparł Wedge. - Ominął nas ten nieprzyjemny obowiązek. Kiedy przygotowywałeś swój raport, przejrzałem akta Phanana i jego komputerowy notes, który mi przekazałeś. O jego śmierci powinniśmy poinformować tylko ciebie.

Buźka otworzył szerzej oczy.

- Mnie? - zapytał. - Dlaczego nie kogoś z jego krewnych albo bliskich?
- Nie miał żadnej rodziny - wyjaśnił komandor. - Był jedynym dzieckiem i przyszedł na świat, kiedy jego rodzice byli w kwiecie wieku. Oboje umarli, zanim skończył szkołę. Nie miał rodzeństwa ani nikogo oprócz dalekich kuzynów, którzy go nigdy nie widzieli. Jesteś również jego spadkobiercą.

Garik nie znalazł słów, żeby odpowiedzieć, i tylko siedział z otwartymi ustami.

- Muszę jeszcze podpisać kilka dokumentów i dopiero wtedy będę mógł ci je przekazać - ciągnął dowódca. - Uporam się z tym dopiero za kilka dni. Tymczasem się prześpij, a przynajmniej odpocznij.
- Rozkaz, panie komandorze.

Wedge odpowiedział na jego salut i przyglądał się, jak Garik wychodzi. Kiedy podwładny zniknął za drzwiami, na wszelki wypadek odczekał jeszcze kilka sekund.

- Wes - powiedział w końcu.

Na progu kabiny stanął Janson. Na jego zazwyczaj pogodnej twarzy malowało się przygnębienie.

- Słucham, panie komandorze - powiedział.
- Dopilnuj, żeby Lara Notsil latała odtąd jako jego skrzydłowa - rozkazał Antilles. - Powiedz jej także, że zostaje nowym lekarzem eskadry, gdyż odbyła wojskowy kurs udzielania pierwszej pomocy najpóźniej spośród wszystkich Widm. Przekaż jej instruktażowe hologramy i sprzęt, którego może potrzebować. Aha, i poproś, żeby miała Buźkę na oku. Niech wypatruje oznak nadmiernego napięcia czy przesadnej reakcji na śmierć Phanana. Musi to jednak robić bardzo dyskretnie. Garik nie może się zorientować, że go szpiegujemy.
- Nawet chociaż będziemy go szpiegowali - dokończył Janson.
- Zgadza się - przyznał Wedge.

Zaraz po wyjściu zastępcy usłyszał pukanie do drzwi.

- Wejść - powiedział.

Na progu jego kabiny stanął Myn Donos i zasalutował.
Wedge oddał salut i postarał się nie okazać zaskoczenia. W zachowaniu pilota zaszła jakaś zmiana, ale w pierwszej chwili nie zorientował się, o co chodzi. Myn miał wprawdzie taki sam jak zawsze ponury wyraz twarzy, a gęsta czupryna czarnych włosów prawie przesłaniała smutne ciemne oczy, ale znikło z nich poczucie winy, jakie Wedge widział, odkąd Korelianin został pilotem jego eskadry.
Dopiero po chwili dowódca uświadomił sobie, o co chodzi. Donos miał na sobie ciemny polowy mundur z naszywką Eskadry Szponów na rękawie bluzy i koreliańskimi krwistoczerwonymi

lampasami na nogawkach spodni.

Przyznano mu to wyróżnienie, kiedy służył jako strzelec wyborowy w koreliań-skich siłach zbrojnych, ale w ciągu pierwszych kilku tygodni służby w Eskadrze Widm Myn nie nosił lampasów, chociaż miał do tego prawo. Chciał w ten sposób podkreślić brak szacunku do samego siebie za to, że dopuścił do zagłady Eskadry Szponów.

Wyglądało na to, że jego duchowa rana się zabliźniła. Wedge pomyślał, że to dobry znak. Donos nie był próżny. Nie nosiłby takiego odznaczenia na polowym mundurze, gdyby nie miał ważnego powodu. Komandor spojrzał na podwładnego podejrzliwie i gestem zaprosił go, żeby usiadł.

- Jestem pewien, że nie chodzi ci o Buźkę - powiedział.

- Zgadza się, panie komandorze - przyznał Korelianin. - Chodzi o panią podporucznik Notsil.

Opowiedział dowódcy o jej bracie, który nie powinien przeżyć, ale przeżył, i nie powinien jej odnaleźć, ale jakimś cudem odnalazł. A później przedstawił szczegóły proponowanej wyprawy na rodzinną planetę Lary, Aldivę.

Buźka wstał dopiero kilka godzin później. Prawie wcale nie spał, ale nie mógłby powiedzieć, że jest rozbudzony. Cały czas tkwił w pośrednim stanie - nie potrafił trzeźwo myśleć, ale zarazem nie mógł zasnąć. W jego głowie kłębiły się sceny z ostatnich dwóch dni spędzonych na powierzchni Halmada.

W końcu zwrócił uwagę na mrugające światełko na obudowie komputerowego terminalu. Oznaczało, że pojawiła się nowa wiadomość albo nowy zbiór danych. Wstał i włączył urządzenie.

Od razu natknął się na rozkaz dowódcy. Lara Notsil, „Widmo Trzynaście", miała odtąd być jego skrzydłową i nowym lekarzem eskadry. Nie zdziwiło go to.

Chwilę później zauważył sporządzony przez Phanana testament. Postanowił, że na razie do niczego nie zajrzy.

Była także wiadomość od Phanana. Ton zarejestrował ją niecałą godzinę przed śmiercią. Garik głęboko odetchnął i polecił ją wyświetlić.

Na ekranie komputerowego monitora pojawił się sam tekst. Kiedy ciężko ranny pilot rejestrował wiadomość, na nic więcej nie miał siły.

Buźko, nie zamierzam Cię wtajemniczać w szczegóły moich obrażeń. Wystarczy, jeżeli Ci powiem, że to ma coś wspólnego z uszkodzeniem niektórych narządów i krwotokiem wewnętrznym. Możliwe nawet, że mam pękniętą nerkę. Nie mam jak tego sprawdzić. Tak czy owak, chyba już długo nie pociągnę.

Pochlebiam sobie, że to Cię bardzo zasmuci (jeżeli się mylę, nie pozwól, żebym się o tym dowiedział). Z jednej strony wolałbym, żebyś się tak nie martwił, a z drugiej to doceniam.

Wiem także, że będziesz winił siebie za to, co się stało. Chciałbym, żebyś nie miał wyrzutów sumienia. Tylko dwie osoby odpowiadają za to, że odniosłem tak rozległe obrażenia. Jedną jestem ja, bo nie okazałem się takim asem pilotażu, jakim powinienem. Drugim jest pozostaj ący na usługach Zsinja nieznany pilot, którego zabiłeś (przy okazji, jestem Ci za to bardzo wdzięczny, na wypadek, gdybym nie zdążył sam Ci powiedzieć). Nie ma powodu, żeby obwiniać za to ktokolwiek innego, więc daj sobie spokój.

Zostawiam Ci trochę pieniędzy. Prawdę mówiąc, całkiem sporo. Jestem jedynym synem

zamożnych rodziców i nie zdążyłem wydać wszystkiego na hulanki i protezy. Zgodnie z warunkami mojego testamentu część tego, co Ci zapisuj ę, ma zostać wykorzystana w specyficznym celu. Jeżeli tego nie wykorzystasz, cała suma ma zostać przekazana i tak już bogatemu aktorowi, o którym się wyrażałeś z pewną dozą pogardy. Będziesz obserwował, jak się bogaci, chociaż nie ma talentu ani charakteru. Ale do rzeczy.

Naprawdę nie mam dużo czasu i staram się znaleźć sposób, żeby w skrócie wyrazić to, co chciałbym Ci powiedzieć. Sądzę, że wszystko sprowadza się do jednego:

Dziękuj ę, że byłeś moim przyjacielem. Potrzebowałem przyjaźni, a Ty mi ją dałeś.

Ton Phanan Pilot o bystrym umyśle i wybitnej osobowości Aha, jeszcze jedno. Nie dopuść, żeby moje szkliste szperacze zginęły z głodu czy z pragnienia. To takie oryginalne małe insekty. Oryginalność powinna być pielęgnowana.

Buźka zaczekał, aż coś go uderzy, ale czuł tylko ten sam tępy ból, który towarzyszył mu całą noc. Polecił, żeby komputer wyświetlił testament Phanana, i zaczął go czytać.

- Jak wiecie, niektórzy spośród nas wezmą udział w różnych wyprawach - odezwał się Wedge. - Kilkoro pozostanie jednak tu, w bazie Jastrzębionietoperzy, żeby dopilnować napraw i zatroszczyć się o bezpieczeństwo. Pozostali... uwaga, postarajcie się panować nad sobą... mogą lecieć na krótki urlop.

Zaczekał, aż ucichnie gwar radosnych okrzyków. Piloci Eskadry Widm siedzieli w konferencyjnym module, ciasno stłoczeni wokół stołu, a na ich twarzach malowały się różne uczucia, począwszy od przygnębienia, a skończywszy na nieoczekiwanej radości... no cóż, stłumionej radości. Wszyscy mieli świeżo w pamięci śmierć Phanana.

- Pierwsza wyprawa to spotkanie z lordem Zsinjem - ciągnął Wedge. - Jej dowództwo obejmie Buźka, który zdecydował, że będą mu towarzyszyli Dia i Kell. Przedsięwzięcie jest bardzo trudne, ma charakter szpiegowski i dlatego wezmą w nim udział same zabijaki. - Jego stwierdzenie wywołało chichot podwładnych. Wedge zauważył, że trochę zirytowana Tyria żartobliwie szturchnęła Kella w ramię. Niewątpliwie była niespokojna, że Tainer będzie uczestniczył w niebezpiecznej wyprawie, i bardziej niż trochę rozczarowana, że nie może mu towarzyszyć, aby wyciągać go z opresji. - Wszyscy troje polecą na pokładzie „Narry".

Druga wyprawa to spotkanie Lary z bratem. Mamy nadzieję, że chodzi tylko o radosne połączenie członków rodziny, ale musimy się liczyć z możliwością, że to pułapka. Zsinj już nieraz udowodnił, że celuje w ich zastawianiu. Larze będzie towarzyszył porucznik Donos. Oboje polecą myśliwcami typu X-wing.

Prócz tego muszę wrócić tęponosym myśliwcem na Coruscant, żeby złożyć raport z dotychczasowej działalności i odebrać nowe rozkazy. Dysponujemy tyloma X-wingami, że może mi towarzyszyć jeszcze pięć osób, żeby trochę się rozerwać i odpocząć. Porucznik Janson zostanie tu jako dowódca... bo ostatnio on składał raport i teraz jego kolej pełnić służbę w bazie.

Janson sposępniał.

- Nikt z tych, którzy polecą na Coruscant, nie ma prawa się dobrze bawić - powiedział. - Każdego, który się wyłamie, ukarzę miesięczną służbą w kuchni.

- Obiecujemy, że wszyscy będziemy się smętnie snuli po kątach - zapewnił Wedge. Zauważył, że jeden z podwładnych uniósł rękę. - Słucham, Castinie - powiedział.

- Panie komandorze, czy przypomina pan sobie tę tajną operację, o której niedawno wspominałem? - zapytał. - Chodziło mi o wprowadzenie do systemów nadprzestrzennej łączności „Żelaznej Pięści" tajnego programu, który miałby od czasu do czasu informować nas o aktualnej pozycji superniszczyciela w przestworzach.

- Pamiętam - odparł Antilles. - Powiedziałem, że to dobry plan, ale że nie wykorzystamy go podczas pierwszej wyprawy.

Castin machnął ręką, jakby nie zwrócił uwagi na ostatnią część wypowiedzi dowódcy.

- Panie komandorze, napisałem ten program - zameldował triumfującym tonem.

- Napisałeś? - Komandor pokiwał głową. - To świetnie.

- Napisałem go w samą porę, żeby wykorzystać podczas tej wyprawy, panie komandorze - stwierdził Castin. - Do jego zainstalowania będzie konieczny doświadczony włamywacz komputerowy, bo w przeciwnym razie program nigdy się nie przedrze przez zabezpieczenia systemu. Sprawdziłem go na swoich symulatorach imperialnych systemów komputerowych. Działa bez zarzutu.

- Nie wykorzystamy go podczas tej wyprawy, Castinie - powtórzył z naciskiem Wedge. - Postaram się jednak sprowadzić z Coruscant udoskonalony symulator, żeby zapewnić ci jeszcze większą przewagę.

- Do diabła, panie komandorze! - wybuchnął pilot. - To jedyna okazja, jakiej możemy być pewni! Musimy ją wykorzystać! Jest pan zbyt ostrożny, a to może nas drogo kosztować.

Pozostali piloci przenieśli spojrzenia z niego na dowódcę i spoważnieli. Antilles głęboko odetchnął i odczekał kilka sekund, żeby się uspokoić.

- Panie podporuczniku Donn - powiedział.

- Tak, panie komandorze - odparł Castin.

- Panie podporuczniku Donn - powtórzył Wedge.

Okazując niepokój, pilot powiódł spojrzeniem po twarzach pozostałych pilotów, a potem wstał i przyjął postawę zasadniczą.

- Słucham, panie komandorze - wyskandował.

- Pańska znajomość taktyki i przeczucie podpowiadają panu, że to najwłaściwsza pora na zainstalowanie swojego programu. Moje mówią mi, że lepiej będzie zrobić to później. Skoro liczy się tylko pańskie i moje zdanie, jak pan sądzi, czyje ma większą wagę?

- No cóż... pańskie, panie komandorze - przyznał niechętnie Castin. Pod surowym spojrzeniem dowódcy zaczynał się czuć coraz bardziej nieswojo.

- Proszę się zastanowić nad tym, co powiem - ciągnął Wedge. - Jeżeli postawię na swoim i będę miał rację, nie dopuścimy do śmierci wielu istot. Jeżeli postawię na swoim, ale się pomylę, zaprzepaścimy okazję... ale zdarzy się następna, jeżeli pozostała część wyprawy potoczy się po naszej myśli i Jastrzębionietoperze zaczną służyć pod rozkazami lorda Zsinja. W tym drugim przypadku obaj czegoś się nauczymy. Wprawdzie mój prestiż trochę ucierpi, ale zapewniam, że jakoś się z tym pogodzę.

Z drugiej strony, jeżeli to pan postawi na swoim i będzie miał rację, pański pomysł przyspieszy zagładę „Żelaznej Pięści" i szybciej położy kres działalności lorda Zsinja. Jeżeli jednak postawi pan na swoim, ale się pomyli, zabije pan nie tylko siebie, ale także wszystkich pozostałych uczestników wyprawy. To będzie strata o wiele boleśniejsza niż uszczerbek na moim prestiżu. Czy rozumie pan tę różnicę?

- Tak jest, panie komandorze, ale... - zaczął pilot.

- Proszę ją dobrze zapamiętać - przerwał Wedge. - A teraz niech pan sobie wyobrazi, że jest pan pilotem Nowej Republiki, który musi poddać krytyce postępowanie albo sposób rozumowania wyższego stopniem oficera. Jeżeli pominiemy wszystko inne, czy powinien pan to robić na forum publicznym, czy w cztery oczy?

Castin się przygarbił.

- W cztery oczy, panie komandorze - odparł cicho.

- Dam panu trochę czasu, żeby mógł się pan nad tym zastanowić - ciągnął Antilles. - Kiedy pozostali piloci odlecą na Coruscant, zostanie pan w bazie Jastrzębionietoperzy. Może pan usiąść.

Zaczerwieniony Donn usiadł. Wyglądał na nieszczęśliwego. Wedge powiódł spojrzeniem po twarzach pozostałych.

- Jeszcze coś? - zapytał. - Nie? Więc przygotujcie się do wykonania rozkazów. Możecie się rozejść.

Buźka dogonił Castina w połowie Wąwozu.

- O co ci chodziło? - zapytał.

Pilot pokręcił gniewnie głową ale nie zwolnił. Szybko szedł donikąd środkiem szybu wykutego w litej skale.

- Nie ma racji, Buźko - powiedział. - Po prostu jest w błędzie.

- Dlaczego tak uważasz? - zainteresował się Garik.

- Chyba tak bardzo się troszczy o nasze bezpieczeństwo, że nie chce obrać taktyki, która mogłaby zakończyć tę wyprawę za jednym zamachem.

- Nie masz racji - odparł Buźka. - Castinie, dowódcy nie o to chodzi. Nie zależało mu na naszym

ani na własnym bezpieczeństwie nigdy, odkąd zostałem pilotem Eskadry Widm. Chodzi mu o coś innego. Mimo wszystkich dowcipów o tym, że podobno Kore-lianie nie przejmują się szansami, Antilles bierze je pod uwagę. Zna się lepiej na środkach zaradczych i strategiach niż ktokolwiek z jego podwładnych, więc jeżeli twierdzi, że twój pomysł nie jest wart ryzyka...

- ...ma rację, a ja się mylę - dokończył Castin.

- Chyba tak.

- W porządku.

- Obiecaj mi, że nie zrobisz niczego na własną rękę.

- Obiecuję. - Castin stanął i powiódł spojrzeniem po skalnych ścianach. Minęli już kuchnię i mesę. - Zgłodniałem - stwierdził. Odwrócił się i ruszył z powrotem.

- Długi i szybki spacer zazwyczaj właśnie tak działa na organizm - przyznał Buźka. Nie podążył jednak śladami komputerowego włamywacza. Uznał, że lepiej nie przeciągać struny.

Buźka obserwował, jak dwie szare plamki pilotowanych przez Larę i Donosa myśliwców typu X-wing przelatują przez kurtynę magnetycznego pola utrzymującego atmosferę w hangarze Jastrzębionietoperzy. Siedząc w sterowni wahadłowca, widział, jak znikają w ciemności przestworzy. Kilka minut później przeleciało obok niego pięć innych tęponosych maszyn: Antillesa, Patyka, Shalli, Tyrii i Prosiaka, którzy udawali się na Coruscant.

Garik im zazdrościł, ale nie tych kilku godzin, jakie mieli, żeby rozerwać się i odpocząć. Jego zadanie było o wiele trudniejsze i trochę się niepokoił, jak zareaguje na widok lorda Zsinja. Nie czuł strachu przed samym dostojnikiem, ale obawiał się, że podczas rozmowy z nim wyobrazi sobie Phanana. A wtedy mógłby się nie powstrzymać i rzucić na Zsinja z gołymi pięściami. Nieważne, czy zraniłby go, czy nawet zabił; taka napaść z pewnością zakończyłaby się śmiercią wszystkich uczestników wyprawy.

- Energia? - zapytał.

- Dziewięćdziesiąt siedem procent, rezerwy sto procent - zameldowała Dia Passik, siedząca obok niego na fotelu drugiego pilota. Buźka spojrzał na nią. To nie była ta Twi'lekanka, do której widoku się przyzwyczaił. Istota wyglądała jak członek bandy Jastrzębionietoperzy o nazwisku Sęku i prawie nie przypominała pilotki Eskadry Widm. Buźka pomyślał, że on też nie wygląda jak Garik Loran. Miał na twarzy straszliwe blizny, które nadawały mu wygląd generała Kargina.

Jej zazwyczaj gładkie głowoogony - albo lekku, jak nazywali je mieszkańcy Ry-lotha - ozdabiał zawiły wzór wytatuowanych czarnych hieroglifów. Znaki opowiadały w języku Twi'leków historię jej rzekomych przestępstw i miały potwierdzać jej fałszywą tożsamość. Zamiast szarego munduru imperialnego pilota myśliwca typu TIE, które mieli na sobie Kell i Buźka, Dia włożyła kamizelkę, spodnie i buty z czarnej skóry... wyściełane dla wygody, jak zapewniła, i ozdobione błyszczącymi metalowymi imitacjami zwierzęcych zębów i pazurów. Twi'lekanka ubłagała Cubbera, żeby zrobił je w czasie wolnym od służby. Buźka uważał, że Dia zawsze wygląda ładnie, ale obecnie miała jeszcze bardziej ponętną powierzchowność barbarzyńskiej wojowniczki.

- Dziewięćdziesiąt siedem procent? - powtórzył. - Dlaczego nie sto? Dia wzruszyła ramionami.

- Cubber twierdzi, że to wynik uszkodzeń, jakie odniosła „Narra", kiedy ją wlókł promień ściągający „Żelaznej Pięści" - wyjaśniła. - Nie może ich usunąć, dopóki komandor nie wróci z Coruscant z odpowiednimi częściami zapasowymi.

- Wspaniale - mruknął Garik. - Czy powiedział, co jeszcze może zawieść podczas tej wyprawy?

Za ich plecami stanął Kell i wsunął głowę między Dię a Buźkę. Sluissianin miał fałszywe wąsy, brodę i perukę absurdalnie długich ognistorudych włosów.

- Problemy mogą stwarzać uszczelki kadłuba - powiedział. - Po powrocie musimy się uporać z drobnymi przeciekami, ale poza tym wahadłowiec jest w dobrym stanie. Zakładając, że nie natkniemy się na inny gwiezdny niszczyciel, powinniśmy dać sobie radę.

- To dobrze - odparł Garik. - Czy pamiętasz jeszcze swój charakterystyczny ruch? Kell zmrużył oczy. Starannie wyćwiczonym, nonszalanckim gestem zgarnął włosy zwisające mu na prawe ramię i odrzucił je na plecy. Odwrócił się, spojrzał na Buźkę z bezczelnym uśmiechem i pokręcił głową w taki sposób, żeby włosy lekko zafalowały. Wprawdzie nie nauczył się tego od Buźki, ale gest był doskonale wypracowany, bo nadawał Kellowi wygląd aroganckiego egoisty. Dia obdarzyła obu wymuszonym uśmiechem.

- Jest obrzydliwy - stwierdziła.

- I o to chodziło - zapewnił Garik, spoglądając na Tainera. - Dobra, a teraz przypnij się i przygotuj do startu w przestworza. Musimy się stawić na umówione spotkanie. Zaraz, zaraz... zaczekaj chwilę. Wyciągnij przedtem Castina z przedziału przemytniczego i wykop go z pokładu wahadłowca. Nie wolno nam zabierać żadnych pasażerów na gapę.

Szczerząc zęby w uśmiechu, Kell przeszedł na rufę i wystukał skomplikowany rytm na powierzchni sterburtowej grodzi. Fragment płaszczyzny, która na pierwszy rzut oka wyglądała jak idealnie gładka płyta, odchylił się na zawiasach w dół i znieruchomiał. Tainer sięgnął do środka. Chwilę później zajrzał do przedziału.

- Hej, nie ma tu żadnego Castina - zameldował wyraźnie zaskoczony.

- Schowek jest pusty? - zapytał Buźka.

- Tego nie powiedziałem - odparł Kell. Wyciągnął coś dużego i kosmatego, uniósł wysoko i pokazał pozostałym uczestnikom wyprawy wypchaną kukłę Ewoka. - Przywitajcie się z porucznikiem Kettchem - powiedział.

- Nie wiesz przypadkiem, jak się tam znalazł? - parsknął Buźka. - Czasami zachowuje się jak żywy.

Kell spojrzał znów w głąb przedziału.

- Jakaś litościwa dusza ukryła tu także kilka innych rzeczy - oznajmił po chwili. - Parę blasterów, liofilizowaną żywność, jakieś koncentraty i kilka butelek halmadzkiej wyborowej...

- Hej, przynieś je do sterowni! - ucieszył się Buźka.

Tainer wrzucił porucznika Kettcha do przemytniczego przedziału i zamknął klapę włazu.

- Nie ma mowy - stwierdził stanowczo.
- Każdy generał ma prawo być pijany podczas dyplomatycznej wyprawy - oznajmił Buźka.

Kell usiadł na fotelu za plecami Dii i zaczął ćwiczyć swój ruch głową. Za każdym razem wychodziło mu to coraz bardziej naturalnie... i obrzydliwie.

- Nie przestanę, dopóki nie zapomnisz o halmadzkiej wyborowej - powiedział.
- Wygrałeś, buntowniku - mruknął Garik z udawaną rezygnacją. - Przygotujcie się do startu w przestworza.

ROZDZIAŁ 14

„Narra” wyłoniła się z nadprzestrzeni dokładnie w wyznaczonym miejscu.

Wskazany przez Zsinja punkt znajdował się w głębinach przestworzy. W promieniu sześciu lat świetlnych nie było widać żadnego ciała niebieskiego, ale na pilotów Eskadry Widm coś jednak czekało... potop nakładających się sygnałów. Zalały odbiorniki komunikatorów, powtarzając przesunięte w czasie wersje tej samej wiadomości:

- Pozdrawiam was Jastrzębionietoperze mówi pozdrawiam was Jastrzębionietoperze lord Zsinj nie przesyłajcie witam was mówi przygotujcie się do odbioru po prostu lord Zsinj nowego zestawu pozdrawiam was obierzcie nowy współrzędnych nie przesyłajcie ich przygotujcie się po prostu zapraszam was na obiad nikomu innemu obierzcie nowy kurs do odbioru nowego was na obiad na obiad i rozmowę nowego zestawu i rozmowę, która przyniesie zestawu współrzędnych nikomu innemu nam wspólną korzyść...

Powtarzające się słowa tworzyły nieprzerwany strumień. Buźka pokręcił głową.

- Co za kakofonia - mruknął do siebie. - Przekonajmy się, czy da się to przefiltro-wać, żeby zrozumieć, o co chodzi. - Zaczął przebierać palcami po klawiaturze komunikacyjnej konsolety. - W porządku. Prosto na kursie mamy niewielkiego satelitę. Jeden sygnał jest silniejszy niż pozostałe, co pozwala nam...

Wcisnął jakiś guzik, żeby wyodrębnić sygnał z satelity.

- Pozdrawiam was, Jastrzębionietoperze. Mówi lord Zsinj. Witam was. Przygotujcie się do odbioru nowego zestawu współrzędnych. Nie przesyłajcie ich nikomu innemu. Po prostu obierzcie nowy kurs. Zapraszam was na obiad i rozmowę, która przyniesie nam wspólną korzyść.

Później wiadomość zaczęła się powtarzać.

- Odbieram jakiś zbiór w tym samym paśmie - zameldowała Dia.

- Nie wpisuj go do pamięci nawigacyjnego komputera - ostrzegł Kell. - To może być program w rodzaju tego, który wymyślił Castin. Coś, co przekaże im więcej informacji o nas, niż chcielibyśmy ujawnić.

Buźka kiwnął głową.

- Słuszna uwaga - powiedział. - A zresztą, to nie jest duży zbiór. Zapiszę go w pamięci

komputerowego notatnika i osobiście wprowadzę dane do nawigacyjnego komputera. Jak myślicie, co by się stało, gdybyśmy spróbowali przesłać ten zbiór komuś innemu?

- Jedno z dwojga - odezwała się Dia. - Ten satelita może być wyposażony w dodatkowy system. Może mieć broń, żeby rozpylić nas na atomy, albo nadajnik sygnału nadprzestrzennego, który uprzedzi Zsinja o naszej wizycie, ale zarazem poinformuje go, że nie zastosowaliśmy się do jego polecenia.

Kell jeszcze raz odgarnął rude włosy na ramię.

- Zainstalował system, który był tańszy - powiedział.

- No cóż, w takim razie nie zrobimy tego. - Buźka porównał nawigacyjne dane z ekranu komputerowego notatnika z tymi, które właśnie skończył wpisywać do pamięci nawigacyjnego komputera. Oba zestawy się zgadzały. Wcisnął klawisz wykonania polecenia i kiwnięciem głowy polecił, żeby Dia położyła „Narrę" na nowy kurs. - No dobrze. Etap drugi - oznajmił z powagą.

Dwa myśliwce typu X-wing wyskoczyły na skraju systemu Aldivy, wewnątrz grawitacyjnego leja słońca, które uniemożliwiało powrót do nadprzestrzeni.

Lara od razu włączyła wizualne sensory i skierowała obiektywy na planetę. Spojrzała na ekran, na którym pojawił się drżący i rozmazany wizerunek błękitno-białej kuli, ale nie dostrzegła żadnych punktów szczególnych, które potrafiłaby zidentyfikować.

Miała ochotę się skrzywić. Na temat planety wiedziała tylko to, co zapamiętała z meldunków imperialnych zwiadowców i powszechnie dostępnych informacji. Znała mapę powierzchni Aldivy, ale teraz widziała planetę z tak dużej odległości, że powłoka chmur skrywała zarysy kontynentów.

Nagle z głośnika pokładowego komunikatora wydobył się cichy trzask.

- W pasmach częstotliwości imperialnych systemów komunikacyjnych panuje absolutna cisza - zameldował Donos. - Rozmowy prowadzi się tylko w standardowych kanałach łączności planetarnej i komercyjnej. Prawdę mówiąc, nawet tych sygnałów odbieram bardzo niewiele.

- Aldiva nie jest gęsto zaludniona - wyjaśniła Lara. - Na jej powierzchni znajduje się najwyżej kilkaset miast i osad. Kiedy planetę opanowali żołnierze Imperium, nie przedstawiała dla nich dużej wartości, więc nie zadali sobie wiele trudu, żeby zapewnić jej ochronę. W szczytowym okresie imperialnej okupacji planety strzegli tylko dwaj piloci myśliwców typu TIE i załoga starego wahadłowca.

- Domyślam się, że nie bierzesz pod uwagę wojsk obrony planety - odezwał się Donos.

- Uhm, tak. - Lara chciałaby, żeby przestał zadawać jej tyle pytań. Obawiała się, że wcześniej czy później przyłapie ją na błędnej odpowiedzi. - To była nasza policja - oznajmiła. - Podejrzewam, że nie stanowiła wystarczającej obrony przeciwko oddziałom szturmowym.

- Czy twój dom znajduje się teraz po jasnej, czy po ciemnej stronie?

- Właśnie staram się to ustalić - odparła pilotka. Zamknij się wreszcie, pomyślała. Przestań mnie zamęczać pytaniami. - Na razie nie jestem pewna. Zorientuję się, kiedy podlecimy bliżej.

Główne drzwi wiodące na fałszywy mostek „Żelaznej Pięści" uniosły się ze zwykłą zaskakującą szybkością i do pomieszczenia wszedł generał Melvar. Zamarł na widok nakrytego stołu ustawionego pośrodku pomostu dowodzenia.

U szczytu stołu siedział lord Zsinj. Rozpierał się na krześle, a nogi położył na blacie. Na włączonych holoekranach za jego plecami było widać te same obrazy, które oglądali pełniący służbę na prawdziwym mostku oficerowie superniszczyciela. Wizerunki usianych punkcikami gwiazd przestworzy otaczały Zsinja z trzech stron, co sprawiało wrażenie, że jest najważniejszą osobą w galaktyce.

Lord uśmiechnął się na widok wchodzącego generała.

- Co o tym sądzisz? - zapytał.

- Bardzo ostentacyjna demonstracja - przyznał Melvar, ruszając w stronę stołu. - Czy nie powinien pan się otoczyć świetlnym nimbem, żeby wywrzeć na naszych gościach jeszcze większe wrażenie?

- Niezły pomysł - przyznał dostojnik. - Może następnym razem. Co cię do mnie sprowadza?

- Operatorzy sensorów meldują, że z nadprzestrzeni wyłonił się nieznany wahadłowiec - odparł generał. - Leci kursem, który przekazał pan Jastrzębionietoperzom. Powinien wylądować za kilka minut.

Zsinj zdjął nogi ze stołu i wstał.

- Zgromadzić aktorów - rozkazał. - Poinformować kambuz i powtórzyć role. To powinno być bardzo zabawne.

Obserwując, jak sylwetka „Żelaznej Pięści" rośnie w dziobowym iluminatorze „Narry", Buźka nie mógł pozbyć się łaskotania w żołądku.

- Słuchajcie - odezwał się w końcu. - Mam dla was kilka ostatnich rad. Nie zapominajcie, że jesteśmy równie aroganccy jak oni, ale o wiele słabsi, więc możecie demonstrować złe maniery tylko na tyle, żeby nas nie zabili.

Kell udał, że wyciąga komputerowy notatnik i wystukuje coś na klawiaturze, jakby zapisywał tę radę w jego pamięci.

- ...nas nie zabili - powtórzył. - Postaram się o tym pamiętać.

- Chciałbym polecić, żebyście zostawili całą rozmowę mnie, ale wiem, że to się nie uda - ciągnął Garik. - A poza tym, musimy wywrzeć wrażenie, że jesteśmy gotowymi na wszystko indywidualistami. Postarajcie się nie wypadać z ról i pozwólcie, że sam będę odpowiadał na pytania dotyczące naszej siły, gotowości do walki i tak dalej.

- Zrozumiałam, panie generale - odparła Dia.

Jej głos brzmiał mrukliwie i arogancko; w niczym nie przypominał wypranych z wszelkich emocji dźwięków, do jakich Buźka się przyzwyczaił. Spojrzał na Twi'lekankę i zobaczył kogoś obcego... istotę o rysach twarzy Dii Passik, ale spojrzeniu innej osoby. Miała oczy częściowo tylko oswojonego drapieżnika, który obserwuje właściciela w nadziei, że zauważy oznaki słabości. Garik odwrócił szybko głowę. Nie wiedział, czy Dia jest urodzoną aktorką, czy też tylko dotychczas

ukrywała prawdziwą osobowość.

Personel mostka „Żelaznej Pięści" polecił, żeby wahadłowiec Jastrzębionietoperzy wylądował w rezerwowym hangarze, usytuowanym o wiele bliżej dziobu niż główny.

Garik poczuł się zawiedziony. Bardzo chciałby zobaczyć zasięg zniszczeń wyrządzonych w głównym hangarze przez eksplozję ładunków wybuchowych w ładowniach tankowca. Pragnął się także przekonać, jak szybko postępuje ich usuwanie.

Dia skierowała „Narrę" do wskazanego hangaru. Na lądowisku stały już para myśliwców przechwytujących typu TIE, inny wahadłowiec klasy Lambda i duży prom transportowy Drapieżników - niezgrabny, kanciasty statek, którym oficerowie Zsinja transportowali żołnierzy.

Na przybyszów czekał także komitet powitalny: oficer i sześciu szturmowców. Jeden, dając znaki rękami, kierował pilotkę „Narry" na wolne miejsce oznaczone czerwonym kręgiem. Dia pewnie osadziła wahadłowiec we wskazanym miejscu.

- Czas zacząć przedstawienie - odezwał się Buźka.

Jastrzębionietoperze zeszli po ładowniczej rampie w ustalonej kolejności: pierwszy Buźka, a Kell i Dia o krok z tyłu po obu jego stronach. Garik podszedł do oficera i przystanął tuż przed nim. Z niejakim zaskoczeniem stwierdził, że ani dowódca, ani żaden ze szturmowców nie zareagował na widok koszmarnych blizn na jego twarzy. Pomyślał, że chyba pierwszy raz się zdarzyło, aby ktoś zachował na jego widok taki spokój.

Spodziewał się, że na jego powitanie wyjdzie sam Zsinj. Nigdy przedtem nie widział stojącego przed nim oficera. W twarzy wysokiego i szczupłego mężczyzny nie byłoby nic szczególnego, gdyby nie drapieżny uśmiech. Wyglądał, jakby promieniował z niego wewnętrzny blask. Garik podejrzewał, że to oznaka niebezpieczeństwa. Oficer pewnie lubił wygrywać, zabijać albo zadawać ból... Buźka wiedział, że musi się przed nim mieć na baczności. Podwładny Zsinja miał prócz tego absurdalnie długie i wypolerowane do połysku paznokcie. Mogły być metalowe i wyglądały na bardzo ostre.

Garik chrząknął.

- Nazywam się Kargin i mam stopień generała - oznajmił z dumą. - Jestem założycielem i dowódcą Niezależnej Gwiezdnej Floty Jastrzębionietoperzy. - Zaprezentował uprzejmy uśmiech i dodał półgłosem: - Wydaje mi się, że zostaliśmy zaproszeni.

- Rzeczywiście was zaprosiliśmy - przyznał oficer. - Nazywam się Melvar i też mam stopień generała. Jestem dowódcą oddziałów szturmowych lorda Zsinja i w jego imieniu witam was na pokładzie „Żelaznej Pięści". - Chwycił mocno dłoń gościa i potrząsnął nią energicznie, ale nie na tyle, aby zademonstrować swoją wyższość. - A pańscy towarzysze? - zapytał.

Garik wskazał najpierw Dię, a potem Tainera.

- To pani kapitan Sęku, moja zastępczyni, a to porucznik Dissek, mój osobisty ochroniarz - powiedział.

- Jestem zachwycony - odparł Melvar. - Zanim przejdziemy do rzeczy, muszę jednak załatwić

kilka nieprzyjemnych spraw porządkowych.

- Hm? - mruknął Garik.

Imperialny oficer nadał twarzy wyraz ubolewania.

- Zsinj ma wielu wrogów - wyjaśnił półgłosem, jakby zdradzał ściśle strzeżoną tajemnicę. - Z tego powodu, dla własnego bezpieczeństwa, musi zachowywać konieczne środki ostrożności, a ja nie pozwalam mu o nich zapominać. Muszę więc poprosić was, żebyście na czas pobytu na pokładzie okrętu przekazali broń w ręce moich podwładnych.

Buźka wzruszył ramionami i wyciągnął blasterowy pistolet tak szybko, że zupełnie zaskoczył czujnych szturmowców. Mógłby zastrzelić Melvara i jednego albo dwóch jego podwładnych, zanim pozostali zdołaliby wymierzyć w niego lufy blasterowych karabinów. Mimo to równie szybko podrzucił broń w powietrze, chwycił ją za lufę i podał kolbą naprzód najbliższemu szturmowcowi.

- Nie obawiam się tu żadnej zdrady - powiedział. - Dopóki żyję, mogę zapewnić Zsinjowi pomoc i poparcie. Jeżeli zginę, na nic mu się nie przydam, a moja śmierć będzie go słono kosztowała.

Melvar uprzejmie pokiwał głową i wzruszył ramionami. Starał się sprawiać wrażenie, że przyjmuje słowa gościa za dobrą monetę. Dia i Kell wręczyli szturmowcom swoje blastery w mniej dramatyczny sposób.

- Druga część mojego niemiłego obowiązku polega na tym, że mam was poddać skanowaniu - odezwał się Melvar. - Musimy wiedzieć, czy przypadkiem nie zapomnieliście wręczyć jakiejś sztuki broni, bo nosicie ją tak często, że traktujecie bardziej jak część stroju niż element osobistej ochrony. Bardzo proszę.

Buźka i pozostali unieśli ręce i pozwolili, żeby jeden ze szturmowców przesunął wzdłuż ich ciał ręcznym skanerem. Okazało się, że Garik ani Dia nie ukryli żadnej broni.

Potem przyszła kolej na Tainera. Jego przebranie także nie uruchomiło czujnika skanera, ale stojący za jego plecami szturmowiec prawdopodobnie doszedł do wniosku, że przeszukiwany gość uniósł ręce zbyt nisko. Trącił lufą karabinu wewnętrzną powierzchnię prawego ramienia na znak, że Kell powinien je unieść trochę wyżej.

Rzekomy kapitan Dissek cofnął się pół kroku i przycisnął prawym ramieniem do boku lufę broni imperialnego żołnierza. Raptownym skrętem ciała wyszarpnął karabin z rąk szturmowca, lewą ręką chwycił broń za lufę i prawym łokciem wymierzył żołnierzowi cios w brodę. Gdyby odrobinę zmienił kąt uderzenia, zmiażdżyłby mu tchawicę, ale chciał tylko trafić go w szczękę. Wszyscy usłyszeli chrzęst łamanej kości.

Szturmowiec jęknął i z trzaskiem pancerza runął na płyty pokładu.

Pozostali żołnierze wymierzyli w Kella lufy karabinów. Okazując godną podziwu zimną krew, rzekomy kapitan Dissek odłączył zasobnik energii karabinu i zwrócił lufę w stronę leżącego właściciela broni.

- Jakiś problem? - zapytał.

Generał Melvar rozciągnął usta w grymasie przypominającym uśmiech.

- Wygląda na to, że właśnie ukarał pan jednego z moich podwładnych - powiedział.
- Ukarał? - Tainer spojrzał na leżącego szturmowca, jakby widział go pierwszy raz w życiu. - Och, zapewniam pana, że nie zamierzałem go karać. To był zwyczajny odruch. Gdybym go chciał ukarać, błagałby mnie w tej chwili, żebym go dobił.

Buźka odwrócił się znów do imperialnego oficera.

- Bardzo przepraszam - powiedział. Generał pokręcił głową.

- Nie musi pan za nic przepraszać - stwierdził z kwaśną miną. - Szturmowiec nie miał rozkazu traktować tak szorstko honorowych gości. Myślę, że dobrze mu zrobi solidna porcja elektrowstrząsów. - Gestem zachęcił innego podwładnego, aby się zajął nieprzytomnym kolegą, a potem skinął na Buźkę, żeby szedł obok niego. - Ile pan płaci za usługi temu Dissekowi? - zapytał półgłosem.
- Nigdy panu tego nie zdradzę - odparł równie cicho Garik. - Jeżeli chce go pan nakłonić do przejścia na służbę u siebie, musi mu pan zaproponować więcej, nie znając mojej stawki.

Melvar ciężko westchnął, jakby dawał upust dręczącej go frustracji.
Wylądowali w starym sadzie niespełna kilometr od pokrytej zwęglonym pyłem przestrzeni, która była wszystkim, co pozostało z Nowego Staromieścia. Była noc, a wąski sierp samotnego księżyca rzucał jedyny blask.
Lara i Donos podeszli do spopielonego miejsca od wschodu, gdzie wierzchołek niskiego wzgórza umożliwiał widok na zniszczoną okolicę. Pilotka pokazała swojemu towarzyszowi miejsce na którym kiedyś stał dom mieszkalny na jej farmie. Nie wyjawiła, że dowiedziała się tego z powszechnie dostępnych informacji, jakie zapisano w pamięci głównego komputera Aldivy na krótko, zanim admirał Trigit obrócił miasto w perzynę. Podpełzli na czworakach na wierzchołek wzgórza i wychylili głowy tylko na tyle, żeby obejrzeć zniszczony teren.
Ruiny Nowego Staromieścia były czarne niczym bezksiężycowa noc. Lara widziała tylko rzędy zwęglonych bruzd i kraterów sugerujących, że kiedyś mieściła się tam osada i otaczające ją farmy. Mogła wprawdzie dostrzec tylko część terenu najbliżej wzgórza, ale z pewnością właśnie tak wyglądało obecnie całe miasto.
Pośrodku stał samotny dom wzniesiony z prefabrykowanych cegieł. Ściany pomalowano na absurdalnie niebieski kolor, a okna były jaskrawo oświetlone. Budynek wyglądał jak tandetny domek dla dużych lalek.
Donos postanowił mu się przyjrzeć przez wizjer lunety snajperskiego karabinu i zabrał się do nastawiania ostrości urządzenia. Nie odzywał się, ale z jego ruchów przebijały precyzja i pewność siebie. Lara doszła do wniosku, że musiał to robić wielokrotnie w podobnych okolicznościach.

- Kiedy się tam pojawię, prawdopodobnie omiotą okolicę promieniami skanerów, żeby się

przekonać, czy w pobliżu nie kryją się duże formy życia - odezwała się w końcu. - Będą się chcieli upewnić, czy nie sprowadziłam kogoś do pomocy.

- Od tego domu dzieli nas prawie kilometr - zauważył Donos. - Możliwe, że mają wystarczająco czuły skaner, żeby mnie wykryć, ale raczej w to wątpię. Nastawiłaś komunikator na ciągłe nadawanie?

- Nie. - Lara pokręciła głową. - Na pewno zechcą sprawdzić, czy nie wysyłam jakichś sygnałów. Pójdę tam z wyłączonym komunikatorem i nie będę go uruchamiać.

Donos spojrzał na nią. Cień na jego twarzy pozwalał dostrzec tylko jedno oko.

- To nie jest dobry pomysł - powiedział. - Jeżeli wpadniesz w tarapaty...

- Jeżeli wpadnę, uniosę ręce z zaciśniętymi pięściami - przerwała pilotka. - Wtedy pospieszysz mi na ratunek. Jeżeli tego nie zrobię, bądź pewien, że panuję nad sytuacją.

Myn westchnął, ale nie wyglądał na uspokojonego.

- Niech będzie - odezwał się w końcu. - Ale wezwij mnie na pomoc, kiedy poczujesz, że sytuacja wymyka ci się spod kontroli.

- Jeżeli to w ogóle nastąpi - mruknęła Lara.

Zawahała się, jakby nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć. Zorientowała się, że Donos nie tylko zachowuje się jak doświadczony zawodowiec. Mogłaby przysiąc, że naprawdę się troszczy o jej bezpieczeństwo. Nie była do tego przyzwyczajona i nie miała pojęcia, jak zareagować. Nie znalazła właściwych słów, więc po prostu wstała, zeszła po zboczu wzgórza i skierowała się do domu o absurdalnie niebieskich ścianach.

Ukryty w przemytniczym przedziale Castin Donn obserwował, jak operatorzy skanerów Zsinja przeszukują sterownię wahadłowca. Zainstalował w niej kilka mikroskopijnych holokamer, żeby rejestrowały wszystko, co się dzieje, ale przekazywany przez obiektywy niebiesko-biały obraz na ekranie monitora jego ręcznego czytnika był niewyraźny i rozmyty. Mimo to Castin mógł zauważyć, które kontrolne panele otwierają intruzi, żeby zainstalować przyniesione urządzenie. Pomyślał, że to prawdopodobnie miniaturowy nadajnik sygnału namiarowego. Przybysze wywołali także główny program kontrolny wahadłowca, ale na zapoznanie z nim nie poświęcili dużo czasu. Zapewne chcieli tylko skasować z pamięci współrzędne kursu i możliwego wektora ucieczki. Castin wiedział, że i tak ich praca pójdzie na marne. Spędził wiele godzin, żeby wprowadzić do programu własne przeróbki i zabezpieczenia, dzięki którym wszystko, co wyglądało na standardowe odnośniki do pozostałych programów wahadłowca, w rzeczywistości było warstwą fałszywego oprogramowania. Komputerowi włamywacze mogli zmieniać takie warstwy do woli, ale ich modyfikacje prowadziły donikąd. Castin wiedział, że zostaną później przedstawione upoważnionym operatorom „Narry” w celu potwierdzenia ważności albo skasowania.

W końcu szturmowcy ze skanerami opuścili pokład wahadłowca i zamknęli ładowniczą rampę. Castin pomyślał, że czas przystąpić do pracy.

Wyłączył holograficzne kamery i ostrożnie odłożył na bok miniaturowy czytnik z monitorem. Musiał działać szybko, ale ostrożnie. Leżał zakuty w biały pancerz szturmowca, a mimo to, jeżeli nie

liczyć hełmu, który położył obok głowy, zajmował tylko połowę przemytniczego przedziału. Przecisnął przewody holograficznych kamer i rurkę do oddychania przez osłonę skanera - nie korzystał z nich, kiedy podwładni Zsinja przeszukiwali pomieszczenie - ale przemytnicza skrytka nie miała klimatyzacji, a on pocił się w niej od wielu godzin. Cuchnął niczym banth w okresie godów.

Spojrzał na umieszczone obok lustro. Jego rolę pełnił długi pasek odbijającego materiału. Castin przykleił go pod kątem czterdziestu pięciu stopni do górnej i dolnej powierzchni przemytniczego przedziału, żeby każdy, kto zajrzy do środka, zobaczył górną płaszczyznę zamiast tylnej ściany. Stwarzało to złudzenie, że schowek jest pusty.

Musiał wykonać czynności, dzięki którym się w nim znalazł, ale w odwrotnej kolejności. Odkleił samoprzylepną taśmę, która przytrzymywała lustrzany pasek, i ostrożnie umieścił go obok siebie. Odsunął na bok przedmioty, które miał w przedziale, dzięki czemu mógł się z niego wydostać. Pstryknął przełącznikiem otwierającym klapę, wyślizgnął się ze schowka i zaczerpnął potężny haust świeżego powietrza. Łapczywie oddychając, leżał kilka sekund na płytach pokładu, po czym usiadł, sięgnął do przedziału po hełm i inne swoje rzeczy i ostrożnie zamknął klapę.

Mógł przystąpić do wykonania zadania. Musiał opuścić pokład wahadłowca i wymknąć się z hangaru ogromnego okrętu, żeby nie zauważyli go czuwający w nim strażnicy. Musiał też znaleźć działający terminal komputerowy, pokonać zabezpieczenia i zainstalować swój program... a potem wrócić na pokład „Narry" i zaczekać na przybycie pozostałych członków załogi. Wiedział, że jego zadanie nie jest łatwe, ale w końcu był Widmem. Powinien sobie poradzić.

A wiele dni później, kiedy „Żelazna Pięść" przemieni się w ognistą kulę przegrzanych gazów albo dostanie się w ręce wojskowych Nowej Republiki, komandor Antilles będzie musiał przyznać, że od początku to on, Castin Donn, miał rację.

Generał Melvar z Jastrzębionietoperzami weszli na mostek, na którym roiło się od zapracowanych członków załogi.

Na pomoście dowodzenia stał wąski stół, na tyle długi, żeby mogło przy nim ucztować dwadzieścia kilka osób. Na razie otaczało go kilkunastu biesiadników. U szczytu rozpierał się lord Zsinj. Zwrócony plecami do iluminatorów udających nadprzestrzeń miał na sobie nieskazitelnie biały mundur wielkiego admirała. Zaplótł dłonie na wydatnym brzuchu, a na jego ozdobionej obwisłymi wąsami twarzy malowało się zadowolenie.

Siedzący przy stole oficerowie wyglądali na pogrążonych w ożywionej rozmowie, ale kiedy na pomost weszli piloci Jastrzębionietoperzy, nie usłyszeli ani słowa, bo wszystko zagłuszał gwar napływający z wnęk dla personelu mostka.

Pełniący w nich służbę umundurowani członkowie załogi zdradzali zaskakujący brak poszanowania dla wojskowej dyscypliny. Niektórzy śledzili obrazy na ekranach monitorów, siedząc na fotelach i opierając nogi na pulpitach kontrolnych konsolet. Inni stali w grupach po trzech albo czterech i tylko niekiedy zerkali na ekrany, a cały czas z zapałem rozmawiali. Kilku pochylało się przed ekranami monitorów, lecz ich uwagę pochłaniały ćwiczenia na niezbyt skomplikowanych symulatorach myśliwców typu TIE. W pewnym miejscu w pobliżu dziobu dwaj szturmowcy toczyli pozorowany pojedynek na wibroostrza. Wyglądało na to, że tylko ćwiczą, ale ich ciosy pozostawiały głębokie rysy na białych płytach pancerza.

Wszyscy coś mówili, często wręcz się przekrzykiwali. Ich głosy powodowały harmider pasujący bardziej do sali konferencyjnej niż do mostka gwiezdnego super-niszczyciela.

Generał Melvar poprowadził pilotów Jastrzębionietoperzy do stołu, poprosił ich o zajęcie miejsc

i dopiero potem dopełnił ceremonii powitania.

- Dostojny lordzie, pozwól sobie przedstawić generała Kargina, panią kapitan Sęku i porucznika Disseka, szlachetnych przedstawicieli Jastrzębionietoperzy - powiedział. - Generale Kargin, to nasz gospodarz, lord Zsinj.

Buźka skłonił się lekko, nie wstając z krzesła.

W końcu Zsinj zwrócił uwagę na gości i obdarzył ich łaskawym uśmiechem.

- Cieszę się, że was w końcu widzę - zaczął. - Witam was na pokładzie „Żelaznej Pięści".

- Wspaniały okręt - pochwalił Garik. - Mam nadzieję, że nie wyrządziliśmy poważnych szkód.

- Naturalnie, że nie - odparł beztrosko imperialny dostojnik. - Kilka takich eksplozji sprawiłoby nam pewien kłopot, ale nasze umiejętności remontowe nie mają sobie równych w całej galaktyce.

Buźka przeciągnął dłonią po czole, jakby chciał zademonstrować wielką ulgę.

- No cóż, to powód do świętowania - powiedział. - Bez skrupułów poluję na ubija-czy gruntu w rodzaju mieszkańców Halmada, ale... i mówię to bez uszczerbku dla honoru i dumy... wolałbym uniknąć trwałej wrogości lorda Zsinja.

Dostojnik uśmiechnął się jeszcze łaskawiej.

- Od początku się domyślałem, że jest pan inteligentnym piratem - powiedział. - W przeciwnym razie nie osiągnąłby pan takich sukcesów. Zanim przejdziemy do głównego tematu rozmowy, powinniśmy trochę się posilić.

- Bardzo chętnie.

Garik był pewien, że nie widać po nim napięcia, ale nie usunął go ze swoich myśli. Wiedział, że wspólny posiłek daje gospodarzowi doskonałą okazję sprawienia im nieprzyjemnej niespodzianki w rodzaju zatrutego jedzenia, ale jeżeli właściwie ocenił Zsinja, nie musiał się obawiać podstępu z jego strony. Naturalnie, mógł się mylić.

Lara stanęła przed drzwiami domu. Ukradkiem dotknęła kolby Mastera, żeby upewnić się, że ma broń pod ręką.

- Hej, obozowisko! - zawołała zwyczajem podróżujących przybyszów z Aldivy, którzy właśnie tymi słowami pozdrawiali gospodarzy. Nawet jeżeli wchodzili do ogromnego budynku rządowego albo okazałej willi, tradycja nakazywała nazywać je obozowiskami. - Tavinie, jesteś tam?

Frontowe drzwi się otworzyły i na progu stanął mężczyzna z odebranej wiadomości, sprawca jej życiowych komplikacji. Śniadoskóry, ciemnowłosy i przystojny, wyglądał na człowieka świadomego, jak przy każdej okazji używać swojej urody. Na jej widok się rozpromienił.

- Witaj, Laro - powiedział. Podszedł do niej i wyciągnął ręce, jakby zamierzał ją objąć i uściskać.

Pilotka oparła dłoń na piersi Tavina i nie pozwoliła mu podejść bliżej.

- Ani mi się waż - oznajmiła. - Na razie nie jesteś mi aż tak bliski. Tavin sposępniał.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Kto wie, może później to się zmieni. Masz ochotę wejść do środka?

- Nie. - Lara pokręciła głową. - Zbyt dużo czasu spędziłam w ciasnej kabinie. Cieszę się, że mogę oddychać świeżym powietrzem.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- No cóż, w takim razie zapalę światło. - Wrócił do domu i pstryknął przełącznikiem. Źródło światła nad drzwiami oświetliło półokrąg zwęglonego gruntu. - Chciałbym ci kogoś przedstawić.

- Tak przypuszczałam - mruknęła Lara.

Tavin skinął dłonią i po chwili na progu stanął jeszcze jeden mężczyzna. Był chudy jak szczapa i ubrany w brązowy strój aldivańskiego farmera, ale cienkie jasne włosy, brak odcisków na palcach, władczy wyraz twarzy i - na co także zwróciła uwagę - blaster u pasa uświadomiły jej, że nie ma do czynienia z tubylcem ani tym bardziej z wieśniakiem.

- Pozwól, że przedstawię ci kapitana Rossika - ciągnął Tavin. - Bardzo chciał z tobą porozmawiać.

Jasnowłosy mężczyzna się uśmiechnął, ale w tym uśmiechu kryło się coś fałszywego. Podszedł, żeby uścisnąć jej dłoń.

- Naprawdę - powiedział. - Pani porucznik Petothel, chciałbym pogratulować wszystkiego, co udało się pani osiągnąć.

Lara zareagowała na komplement lodowatym uśmiechem i ledwo zauważalnym kiwnięciem głowy. To dlatego się nie zgodziła, żeby jej komunikator wysyłał ciągle sygnały. Nie mogła dopuścić, żeby Donos poznał jej prawdziwe nazwisko.

- Cieszę się, że w końcu zdołaliście się ze mną skontaktować - powiedziała.

- Tavinie, przynieś nam krzesła i coś do picia - polecił Rossik, a kiedy rzekomy brat Lary zniknął w domu, przeniósł spojrzenie na pilotkę. - Jak długo może pani tu zostać bez wzbudzania podejrzeń przełożonych? - zapytał.

- Najwyżej kilka dni - odparła beztrosko Lara. - Z powodu niespodziewanej wiadomości od Tavina dostałam urlop, ale nie mogę przebywać tu dłużej.

- No cóż, z akt wynika, że jest pani bardzo sprytna - ciągnął Rossik. - Tyle powinno wystarczyć do opanowania zasad obsługi sprzętu, jaki chcemy pani przekazać.

- Sprzętu? - powtórzyła Lara.

- Specjalnego nadajnika - oznajmił kapitan. - Wysyła krótkie pakiety informacji za pośrednictwem starego, imperialnego HoloNetu. Waży najwyżej trzydzieści kilogramów, ale kosztuje

więcej niż myśliwiec przechwytujący typu TIE. Posłuży się nim pani, żebyśmy mogli śledzić ruchy „Mon Remondy" i ją zniszczyć.

- Ze mną na pokładzie - przypomniała Lara.

- Oczywiście, że nie - żachnął się Rossik. - Zainstaluje pani ten nadajnik, a potem, przy okazji kolejnej wyprawy, po prostu pani zniknie i wróci do nas. Dopiero wtedy zniszczymy „Mon Remondę".

Lara udała, że się zastanawia. Milczała tak długo, aż z domu wyszedł Tavin z pewną siebie miną. Przyniósł trzy krzesła, ustawił je półkolem i wrócił do domu. Lara skorzystała z zaproszenia Rossika i usiadła.

- Bardzo mi przykro, ale to się nie uda - oznajmiła.

- Dlaczego?

- Dowódca „Mon Remondy" stara się zachowywać wszelkie możliwe środki ostrożności - wyjaśniła pilotka. - Kiedy wracamy nawet z krótkiego urlopu, bardzo starannie przeszukują nasze bagaże. Nie mamy prawa wiedzieć, dokąd lecimy ani gdzie się znajdujemy. Podczas odpraw używa się tylko zaszyfrowanych symboli. Nawet przed nami utrzymują wszystko w ścisłej tajemnicy. Rossik uniósł brwi.

- Nie miałem pojęcia, że Rebelianci przedsięwzięli takie sensowne środki ostrożności - powiedział. - Ta cała ich paplanina o swobodach osobistych...

Lara machnięciem ręki przerwała potok jego wymowy.

- To kłamstwo - stwierdziła. - Nigdy mnie tak uważnie nie śledzono na pokładzie „Nieubłaganego" jak obserwuje się nas w pomieszczeniach tego rebelianckiego okrętu.

- No cóż, więc może zna pani inny sposób wysyłania tych sygnałów za pośrednictwem systemów łączności nadprzestrzennej „Mon Remondy", żebyśmy mogli śledzić jej ruchy? - zapytał Rossik.

Lara udała ponownie, że się zastanawia.

- Tak, to dałoby się zrobić - odparła w końcu. Pomyślała, że mogłaby zwabić „Żelazną Pięść" w pobliże skupiska okrętów Nowej Republiki i obserwować, jak ich artyle-rzyści rozpylają okręt na atomy. - To byłoby prawdopodobnie najlepsze rozwiązanie.

Rozległ się cichy pisk i Rossik wyciągnął z kieszeni komputerowy notes. Spojrzał na ekran i napiął mięśnie.

- Niech się pani nie rusza - powiedział. - Mamy w domu skaner form życia, który pokazuje, że ktoś przebywa niespełna kilometr na wschód od nas. Chyba się kryje za wierzchołkiem najbliższego wzgórza.

Lara postarała się nadać głosowi nonszalanckie brzmienie.

- To mój skrzydłowy - oznajmiła. - Towarzyszył mi tu ze względów bezpieczeństwa.

Rossik obrzucił ją lodowatym spojrzeniem.

- Zabawne, że nie wspomniała pani o nim wcześniej - powiedział.

- Uznałam, że to bez znaczenia - odparła beztrosko pilotka. - Został tam, żeby zatroszczyć się o nasze myśliwce, podczas gdy ja składam wizytę drogiemu bratu.

- No cóż, problem w tym, że jest bardzo blisko i mógł mnie zauważyć - ciągnął kapitan. - Nie mogę tego tak zostawić. Z pewnością Rebelianci mają w swoich aktach hologramy z moją podobizną. Rozmawiajcie dalej, a ja wrócę do domu, wyjdę tylnymi drzwiami i spróbuję zajść go od tyłu. Jeżeli mam to zrobić po cichu, muszę mieć dziesięć albo piętnaście minut.

- Nie - sprzeciwiła się Lara.

- Co pani powiedziała?

- Powiedziałam, że nic z tego - powtórzyła pilotka. - Wylądowałam na Aldivie w towarzystwie skrzydłowego i nie mogę bez niego wrócić do eskadry. Z pewnością wzbudziłoby to podejrzenia.

Nawet się nie starała ukrywać sarkazmu w głosie. Rossik zaczął się zastanawiać.

- No dobrze - odezwał się w końcu. - Mam inny plan. Podkradnę się tam i zabiję pani skrzydłowego, a potem oboje wrócimy myśliwcami typu X-wing na pokład „Żelaznej Pięści". I to natychmiast.

ROZDZIAŁ 15

Buźka jadł z apetytem główne danie - ptasie mięso w marynacie ze słońcoowo-ców. Zastanawiał się, czy nie jest zatrute, kiedy Zsinj zadał mu pytanie, na które zupełnie nie był przygotowany.

- Czy oszalałem, generale Kargin, czy naprawdę macie w swojej eskadrze pilota Ewoka?

Garik zamarł. Przełknął kęs i chrząknął.

- Co skłoniło pana do wyciągnięcia takiego wniosku? - zapytał.
- Przechwycone rozmowy - odparł lord. - Analiza charakterystycznych cech głosu jednego z waszych pilotów, „Jastrzębionietoperza Jeden", sugeruje, że prawdopodobnie, chociaż nie na pewno, jest Ewokiem. Nie rozumiem tylko, jak to możliwe.

Buźka wzruszył ramionami i pospiesznie przebiegł w myślach listę kilkunastu możliwych odpowiedzi.

- No cóż, to naprawdę Ewok - przyznał w końcu. - A przynajmniej po części. Nazywa się Kettch i jest porucznikiem. Prawdą mówiąc, to nasz najbardziej zadziorny pilot. Jest wprawdzie zbyt niski, żeby dosięgnąć do urządzeń kontrolnych gwiezdnego myśliwca, ale pewien skorumpowany ortopeda z Tatooine sporządził mu protezy zwiększające zasięg rąk i nóg, żeby jego wzrost nie stanowił przeszkody.
- To sprytne - przyznał Zsinj. - Sądziłem jednak, że Ewoki to istoty zbyt zacofane, aby obsługiwać skomplikowane urządzenia. Nigdy dotąd nie wyobrażałem sobie, żeby zdołały opanować teorię i praktykę lotów w przestworzach, nie wspominając o toczeniu walk. Są na tyle prymitywne, że nie potrafią nauczyć się mówić w basicu.
- To prawda - przyznał Buźka. - Ale Kettch jest... inny. Zmodyfikowany. Nie mamy pojęcia, kto to zrobił, gdzie ani dlaczego. Za młodu został porwany z księżyca-sanktuarium Endora i dorastał w laboratorium zwariowanego naukowca. Szpikowano go tam środkami chemicznymi, które chyba zwiększyły pojemność jego mózgu. Jest geniuszem, zwłaszcza jeżeli chodzi o matematykę.

Prawdę mówiąc, tak wyglądała historia życia Prosiaka i Buźka był bardzo zadowolony, że może z niej skorzystać.

Zsinj i Melvar wymienili spojrzenia i Garik nagle poczuł, że jego serce zaczyna bić jak szalone. Imperialni dostojnicy patrzyli na siebie tylko sekundę, ale z wyrazu ich twarzy dało się wywnioskować, że temat rozmowy ma dla nich wielkie znaczenie. O co im mogło chodzić?

- Na nieszczęście Kettch ma paskudne usposobienie - podjął Buźka po chwili. - Nie ośmieliłbym się go panom przedstawić, nawet gdyby poprosił mnie pan o to podczas wcześniejszej rozmowy. Chodzi o to, że gryzie wszystkich nieznajomych. Nie zniósłbym myśli, że musiałbym wydzierać z jego zębów kawałki Zsinja. Jestem pewien, że z powodu jego złych manier kazałby pan wystrzelić pozostałych w idealną próżnię.

Zsinj jowialnie się uśmiechnął i spojrzał na Garika.

- Bardzo zabawne - powiedział. - Mimo to chciałbym się przekonać, do jakiego stopnia opanował umiejętność pilotażu. Może nawet udałoby mi się go namówić na pojedynek z naszym najlepszym pilotem.

Buźka powiódł spojrzeniem po mostku superniszczyciela.

- Jest tu? - zapytał.
- Baron Fel? - domyślił się Zsinj. - Nie. Pełni służbę. - Wzruszył ramionami. - Tak czy owak, nie byłby odpowiednim gościem podczas uroczystego obiadu.

- A co, on też gryzie nieznajomych? - zapytał niewinnym tonem Garik. Zsinj wybuchnął rubasznym śmiechem.

Castin zaczekał, aż korytarz na chwilę opustoszeje. Szybko podbiegł do zamkniętych drzwi szybu turbowindy i otworzył klapkę panelu umożliwiającego dostęp do kontrolnych obwodów. Zobaczył zwyczajne kable i płytki z elektronicznymi obwodami. Pospiesznie ściągnął izolację z dwóch przewodów i skręcił razem obie żyły.

Drzwi szybu się rozsunęły i pilot Eskadry Widm ujrzał mroczną czeluść. Rozplótł przewody i przycisnął umieszczony na kontrolnym panelu guzik zamykania drzwi. Zajrzał w głąb szybu i chwycił metalowy szczebel naprawczej drabiny. W ostatniej chwili cofnął nogi, żeby nie przycięły ich szybko zatrzaskujące się skrzydła.

Musiał odszukać poziom, na którym nikt by mu nie przeszkadzał... i gdzie miałby dostęp do gniazda pokładowego systemu informatycznego.

W górę czy w dół? Dość wysoko nad głową widział dno unieruchomionej na najwyższym poziomie kabiny, ale chociaż uważnie się wpatrywał, nie dostrzegł dna szybu pod stopami. Oznaczało to, że dół może stwarzać więcej możliwości. Westchnął i zaczął ostrożnie schodzić.

Kilka sekund później przemknęła obok niego kabina turbowindy i pilot Eskadry Widm musiał zacisnąć palce na szczeblu z całej siły, jakby od tego miało zależeć jego życie. Mimo to pęd wypieranego powietrza wstrząsnął nim tak silnie, że zsunął się ze śliskiego szczebla. Klnąc pod nosem, podciągnął się i ruszył w dalszą drogę.

Jaka szkoda, że ci imperialni głupcy nie zaopatrzyli wewnętrznych płaszczyzn drzwi w tabliczki z napisami w rodzaju: „Poziom dwunasty: hangary, zbrojownia, kantyna”, pomyślał w pewnej chwili. Takie napisy ułatwiłyby jego zadanie.

Niemniej mógł się sugerować śladami pozostawionymi na metalowych ścianach szybu przez

kabinę turbowindy. Zwrócił uwagę, że na poziomach, na których się zatrzymywała częściej niż na innych, pozostawiła więcej rys i zadrapań, a nawet drobnych wgnieceń. Doszedł do wniosku, że powinien się trzymać od tych poziomów jak najdalej.

Schodził dalej, ale dopiero sześć pięter niżej natknął się na drzwi, obok których nie zobaczył prawie żadnych śladów. Uznał to za dobry znak. Otworzył panel umożliwiający dostęp do kontrolnej skrzynki... i omal nie ześlizgnął się z wrażenia.

Kontrolna skrzynka różniła się od wszystkich, jakie mijał poprzednio. Wyglądała jak zapieczętowany moduł systemu bezpieczeństwa. Mogłoby to sugerować, że coś, co znajduje się za drzwiami, musi mieć dla kogoś bardzo duże znaczenie.

Po kilku następnych sekundach znów śmignęła obok niego kabina turbowindy, tym razem z dołu do góry. Castin przywarł do ściany i chwycił szczebel z całej siły. Kiedy winda go minęła, ponownie spojrzał na panel. W pierwszej chwili pomyślał, że to zbyt niebezpieczny poziom, aby wprowadzać plan w życie, ale nie mógł opanować ciekawości. Sięgnął po torebkę z narzędziami.

Otworzenie zapieczętowanego modułu stanowiło nie lada wyzwanie, Castin umiał jednak radzić sobie z trudniejszymi problemami. Większą część życia spędził, włamując się do różnych imperialnych systemów i pokonując zabezpieczenia rozmaitych programów. Po kilku minutach pracy dostał się do środka urządzenia. Zawierało standardową aparaturę kontrolną drzwi szybu turbowindy... ale także skomplikowane systemy bezpieczeństwa. Dostrzegł zestawy sensorów rejestrujących, kiedy drzwi szybu otwierają się albo zamykają, i zapamiętujących numery poziomów, z których kabina przybywa i na które odjeżdża. Niewątpliwie wszystkie te informacje wędrowały do pamięci głównego komputera superniszczyciela. Pilot Eskadry Widm odłączył zestawy sensorów, ale doszedł do wniosku, że nie powinien wyciągać wtyczki z gniazda komputerowej magistrali danych. Z pewnością przekazywano nią także sygnały, dzięki którym upoważnione osoby mogły dostawać się na ten poziom albo go opuszczać. Gdyby wyciągnął wtyczkę, a ktoś uprawniony chciałby wejść albo wyjść, od razu by się zorientował, że ktoś wprowadził niedozwolone zmiany.

Mógł bez trudu otworzyć drzwi z wnętrza szybu, ale po ich zamknięciu nie zdołałby opuścić poziomu bez odpowiedniego zezwolenia, więc musiał na poczekaniu wymyślić jakieś rozwiązanie. Zastanowił się i w końcu postanowił dołączyć do obwodów mały komputerowy notes sprzężony z komunikatorem. Zaprogramował hybrydę w taki sposób, żeby wykonywała dwa zadania: odbierała sygnał na określonej częstotliwości i wysyłała rozkaz otwarcia drzwi szybu turbowindy. Uznał, że to powinno załatwić sprawę.

Kiedy skończył instalować urządzenie, schował narzędzia i wyciągnął blaster. Przestawił dźwignię przełącznika i otworzył drzwi.

W przeciwieństwie do innych poziomów, skrzydła rozsunęły się bezszelestnie na boki. Castin zobaczył pogrążony w półmroku, opustoszały korytarz. Zeskoczył ze szczebla naprawczej drabiny na posadzkę, kucnął i zatoczył półkole lufą blastera, ale nikogo nie zauważył.

Dopiero wówczas stwierdził, że to wcale nie jest korytarz. Ciągnęło się przed nim coś w rodzaju długiej galerii. Jedną ścianę zajmowały wielkie iluminatory, a widoczne za nimi pomieszczenia były jasno oświetlone. Doszedł do wniosku, że to pomyślna wróżba, bo mógł się nie obawiać, że zauważy go ktoś z wewnątrz. Sięgnął do szybu, przestawił dźwignię przełącznika w pierwotne położenie i szybko cofnął rękę, żeby skrzydła drzwi jej nie ścisnęły.

Obok framugi ujrzał standardowe gniazdo pokładowego systemu komputerowego, ale skorzystanie z niego mogłoby być niebezpieczne. Stawiając sprężyste kroki jak prawdziwy

szturmowiec, ruszył galerią, ale rozglądał się dyskretnie, czy nie zobaczy gdzieś innego gniazda.

Przechodząc obok wielkich iluminatorów, zerkał do mijanych pomieszczeń. Pod przeciwległą ścianą pierwszego, bardzo dużego, zauważył obszerne klatki i cele. Były ustawione po trzy, jedna na drugiej, i sporządzone z grubego szkła albo transpastali. W każdej znajdowało się jakieś stworzenie. Castin zauważył Ewoka, kilku Gamorrean i ogromnego ciemnego stawonoga, którego celę pokrywała organiczna pajęczyna. W ogromnym pojemniku, wypełnionym w trzech czwartych wodą, pływała dianoga, obdarzone mackami wszystkożerne stworzenie z grubą szypułką zakończoną pojedynczym okiem. Kiedy Castin mijał iluminator, odniósł wrażenie, że oko się obraca, jakby go obserwowało. Klatek i cel pilnował tylko jeden mężczyzna. Trzymał nogi na blacie biurka z dużym terminalem komputerowym i od niechcenia wystukiwał coś na klawiaturze osobistego notatnika. Wyglądało, jakby dla zabicia czasu oddawał się jakiejś rozrywce. Siedział zwrócony plecami do iluminatora i na pewno nie zauważył przekradającego się Castina.

Dalej w głębi galerii, gdzie panował większy półmrok, pilot Eskadry Widm zauważył biurko ze stojącym na nim terminalem. Nie potrafiłby powiedzieć, czy galeria kończy się w tamtym miejscu, czy tylko skręca w prawo, ale uznał, że to nieważne. Interesował go sam terminal. Był ciekaw, czy zdoła go włączyć bez zwrócenia czyjejś uwagi.

Przeszedł obok kilku następnych iluminatorów. Mieściła się za nimi nieduża sala operacyjna. Czterech mężczyzn w rękawiczkach i maskach na twarzach operowało właśnie rosłą, porośniętą białą sierścią istotę o dwóch parach oczu, większych i mniejszych. Castin zorientował się, że to Talz, ale jego uwagę przyciągnęło coś dziwnego.

Z obandażowanej głowy obcej istoty wychodziło kilka rurek. Wszystko wskazywało, że zaopatrują mózg Talza w jakieś płyny z pojemników stojących na samobieżnym wózku obok stołu operacyjnego. Istota była przypięta do stołu... i przytomna. W pewnej chwili otworzyła usta i chyba ryknęła, ale dźwięk nie przedostał się przez taflę iluminatora. Zakończone pazurami palce dłoni Talza kurczowo otwierały się i zamykały, jakby istota usiłowała rozerwać krępujące ją więzy, a z czworga płonących czerwonym blaskiem oczu wyzierały niewiarygodna wściekłość i nienawiść.

Kiedy Castin uświadomił sobie, że to nie był ryk bólu, lecz gniewu, poczuł się dziwnie niespokojnie. Zawsze słyszał, że Talzowie to istoty ciche, spokojne i pokojowo usposobione.

Przeszedł kilka następnych kroków i minął salę operacyjną. Usiadł przy biurku przed wyłączonym terminalem i ponownie otworzył torebkę z narzędziami.

- Wrócimy na pokład „Żelaznej Pięści”? - powtórzyła Lara. - Nie sądzę. - Pokręciła głową. - O wiele bardziej przydam się Zsinjowi, jeżeli pozwolisz mi nadal pełnić służbę na pokładzie „Mon Remondy”.

- Niekoniecznie - odezwał się Rossik. - Zdobędziemy parę X-wingów, którymi będziesz latała na wyprawy szpiegowskie. Co więcej, przedstawisz nam analizą dotychczasowych wypraw i zapoznasz nas ze sposobem myślenia pilotów swojej eskadry. To powinno mieć dla Zsinja równie wielką wartość jak dokładna pozycja „Mon Remondy” w przestworzach.

- Mimo to wolałabym wrócić do eskadry - upierała się pilotka.

- No cóż, twoje życzenie się nie spełni - odparł kapitan. - Zakładam, że twój skrzydłowy nas obserwuje. Odwracaj jego uwagę i udawaj, że rozmawiasz z Tavinem, a ja tymczasem zajdę go od tyłu.

Kiedy Lara uświadomiła sobie, co powinna zrobić, sposępniała. Zanosiło się na to, że w jej ręce wpadną osoby, które znają tajemnicę jej prawdziwej tożsamości. Teraz już będzie musiała wyjawić swój sekret komandorowi Antillesowi. Pokręciła głową.

- Nie sądzę - powtórzyła. - Rączki do góry. Możecie się uważać za więźniów Nowej Republiki.

Tavin sięgnął pod tunikę, wyciągnął niewielki blaster i wymierzył go w rzekomą siostrę. Rossik pokręcił głową, obrzucił go pogardliwym spojrzeniem i położył wymownym gestem dłoń na kolbie swojego blastera.

- Twoje położenie nie pozwala ci stawiać nam warunków, Petothel - powiedział. - Twój partner znajduje się kilometr od nas i może nawet nie widzi, co się dzieje. Wiemy, że nie wysyłasz mu żadnych sygnałów, bo inaczej powiedziałyby nam to skanery.

Lara spojrzała na blaster w dłoni Tavina i nie wstając z krzesła, uniosła ręce niedbałym gestem, jakby miała zamiar się poddać... albo beztrosko rozprostować mięśnie.

- Daję wam obu jeszcze jedną szansę - oznajmiła. - Natychmiast rzućcie broń. Rossik spojrzał na Tavina.

- Trzymaj ją cały czas na muszce blastera, a ja zrobię, co powiedziałem - rozkazał. - Wymknę się tylnymi drzwiami i zajdę od tyłu jej partnera. Nie pozwól, żeby ci uciekła albo narobiła hałasu.
- Poradzę sobie z tym bez trudu - zapewnił Tavin.
- Powinniście byli się poddać - powiedziała Lara, zaciskając dłonie w pięści.

Oślepiający sztych światła ze szczytu wzgórza trafił Tavina w brzuch. Nagła eksplozja przegrzanych tkanek rzuciła ciemnowłosego mężczyznę do tyłu, a mały blaster upadł na zwęgloną glebę.
Rossik odwrócił się w kierunku źródła laserowego strzału i zrobił krok do przodu. Lara wyciągnęła blaster. Trafiła kapitana w bok, gdy właśnie chciał paść na ziemię. Upadł i więcej się nie poruszył.
Lara wstała z krzesła i mierzyła do obu leżących mężczyzn cały czas, kiedy Donos pokonywał biegiem odległość dzielącą go od chaty. Nie potrafiłaby nawet powiedzieć dlaczego, bo od początku wiedziała, że nie żyją. Starała się udawać roztrzęsioną, ale z niejakim zaskoczeniem stwierdziła, że naprawdę tak się czuje. Przypuszczała, że jej reakcja wynika częściowo z nagłej ulgi, jaką poczuła na myśl, że jej tajemnica jest na razie bezpieczna.
W końcu stanął przed nią zdyszany Donos.

- Nic ci się nie stało? - zapytał. Lara pokręciła głową.
- Chcieli... - Zająknęła się i znów uświadomiła sobie, że nie udaje.
- Zamierzali mnie zmusić, żebym wróciła z nimi na pokład „Żelaznej Pięści". Nie chcieli słyszeć o tym, żebym nadal pełniła służbę w eskadrze i tylko przekazywała im informacje... fałszywe informacje - poprawiła się po chwili. - Miałam po prostu zniknąć. - Wzdrygnęła się.

- Nie mogłam do tego dopuścić.

Donos trącił Rossika czubkiem buta. Ciało obróciło się na bok i oboje ujrzeli otwarte, szkliste oczy. Pilot Eskadry Widm pochylił się i wyjął z kabury blaster imperialnego oficera.

- Dlaczego twój brat mierzył do ciebie? - zapytał.

- Bo się nie zgodziłam - stwierdziła Lara. - Oznajmiłam, że nie polecę z tym mężczyzną... Rossikiem. Mój brat zareagował, jakby jakaś duża suma miała uciec mu sprzed nosa, jeżeli nie usłucham polecenia jego kompana. Widocznie doszedł do wniosku, że jeśli nie dostanie zapłaty, musi mnie zabić.

- Tak się nie zachowuje kochający brat - zauważył Donos. Pochylił się nad ciałem Tavina i podniósł jego blaster. Wyprostował się i spojrzał przez ramię na Larę. - Przepraszam - powiedział. - To było niedelikatne z mojej strony.

- Nic nie szkodzi - odparła pilotka. - Tavin, jakiego znałam i kochałam, po prostu przestał istnieć, kiedy jeszcze byłam małą dziewczynką. Przemienił się w tego... tego potwora. Żałuję go, ale ten, którego zastrzeliłeś, dawno przestał być moim bratem.

- Nie możemy być pewni, czy Rossik nie miał innych wspólników - stwierdził Donos. - Zabierzmy ich dokumenty, przeszukajmy dom i wracajmy do myśliwców. Chcę wynieść się stąd tak szybko, jak to możliwe.

Ponawiając próby pokonania oporu systemów ochronnych i zabezpieczeń pokładowego komputera „Żelaznej Pięści", Castin musiał zwracać także uwagę na mroczną galerię za plecami. Do tej pory nie pojawił się tam żaden prowadzący obłąkańcze eksperymenty chirurg ani naukowiec, ale pilot Eskadry Widm nie mógł liczyć na to, że jego szczęście będzie trwało w nieskończoność.

Musiał przyznać, że zabezpieczenia pokładowego komputera są bardzo dobre, niemal doskonałe. Ktoś prawie równie dobry jak on zaprojektował wielopoziomową obronę, która na razie uniemożliwiała wprowadzenie obcego programu do systemu łączności nadprzestrzennej superniszczyciela. Castin był pewien, że jest lepszy niż nieznany programista, ale tamten na doskonalenie systemu ochronnego miał tygodnie, miesiące, a może nawet lata. Tymczasem on starał sieje pokonać w ciągu kilku minut. Był bardziej doświadczony, sprytniejszy i dysponował odpowiednimi narzędziami, a mimo to nie radził sobie najlepiej.

Czuł, że ogarnia go frustracja. Z najwyższym trudem skupiał uwagę na zadaniu.

Nie, to nie miało sensu. Trudne do pokonania systemy zawsze stanowiły dla niego wyzwanie, a nie przeszkodę. Nie tylko nie rozpraszały jego uwagi, ale wręcz potęgowały skupienie. Dlaczego więc był rozdrażniony? Usiadł prosto i przestał się wpatrywać w ekran monitora komputerowego terminalu, który dotąd odrzucał wszystkie jego najrozsądniejsze żądania. Postanowił zastanowić się nad możliwym powodem swojej irytacji.

W pewnej chwili poczuł, że niepokój zagnieździł się w żołądku. W końcu się domyślił, co może być jego źródłem. Widoki, jakie oglądał kilka minut wcześniej. Istoty w klatkach albo w celach. Przytomny Talz na operacyjnym stole... Pokojowo usposobiona istota, doprowadzona do szału wskutek podania jakichś środków chemicznych.

To śmieszne. Nigdy przedtem nie zawracał sobie głowy takimi drobnostkami. Mimo wszystko to nie byli ludzie, a obce istoty nie miały dla niego absolutnie żadnego znaczenia. Nic go nie

obchodziło, że imperialni naukowcy postanowili prowadzić na nich doświadczenia.

Czuł jednak, że ogarnia go coraz większe obrzydzenie.

Życie tamtego Talza właściwie się zakończyło. Nawet gdyby jakimś cudem istota wyrwała się z niewoli, pozostałaby na zawsze zmieniona przez to, co z nią wyprawiano. Czy mogłaby odlecieć na ojczystą planetę, wiedząc, jakiego gwałtu się na niej dopuszczono? Czy umiałaby wrócić na łono rodziny ze świadomością tego, co czuła i musiała robić? Czy potrafiłaby podjąć na nowo życie, jakie przedtem prowadziła? Castin doszedł do wniosku, że to wykluczone, i Zaklął. Nie miał czasu zastanawiać się nad takimi głupstwami. Nie musiał się przejmować losem nieszczęsnych istot, na których sługusy Zsinja dokonują zbrodniczych eksperymentów.

Pokręcił głową.

Obrazy tamtych istot nie chciały zniknąć. Wypierały techniki i procedury, których potrzebował do wykonania zadania. Castin stwierdził, że ogarnia go coś dziwnego. Współczucie.

Współczucie dla kosmatych, cuchnących i zupełnie niepodobnych do ludzi obcych istot, stłoczonych w celach i pojemnikach, obok których przechodził. Te istoty przeżywały straszliwą tragedię.

Starając się usunąć te myśli z głowy, usłyszał cichy syk rozsuwających się gdzieś za jego plecami drzwi turbowindy. Wyłączył terminal, schował komputerowy notatnik, chwycił hełm, skoczył za róg i dopiero wtedy ostrożnie wystawił głowę i spojrzał w stronę szybu turbowindy.

W jego stronę szło niespiesznie sześciu szturmowców. Mimo panującego w galerii półmroku wyraźnie widział ich białe pancerze. Kiedy pokonali mniej więcej połowę odległości, ich dowódca wyrżnął kilka razy pięścią w taflę najbliższego iluminatora, chcąc pewnie zwrócić uwagę pracujących tam ludzi. Potem wymownym ruchem poklepał bok hełmu. Bez wątpienia dawał znak, żeby niewidoczna osoba wyciągnęła komunikator i odebrała jego wiadomość.

Niech to diabli, pomyślał Castin. Szukali go. Gdzie mógł popełnić błąd? Był pewien, że zanim włączył ustawiony w rogu galerii terminal, starannie zatarł wszelkie ślady.

Zaraz, zaraz. Popełnił błąd jeszcze w szybie turbowindy, kiedy otworzył pokrywkę kontrolnej skrzynki i natknął się na zapieczętowany moduł systemu bezpieczeństwa. Nie wiedział o jego istnieniu, dopóki nie zajrzał do skrzynki. Prawdopodobnie była zabezpieczona sama skrzynka, a on uruchomił alarm, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Podobne zabezpieczenia stosowano bardzo często, żeby uniemożliwić intruzom wstęp do chronionego obiektu albo pomieszczenia.

Cofnął się kilka kroków. Za plecami miał jeszcze jeden iluminator. Widział za nim skąpo oświetlony, ale pusty gabinet. Obok iluminatora zobaczył opancerzone drzwi, a przy nich standardowy panel dostępu. Przycisnął guzik z napisem OTWIERANIE, ale na niewielkim ekranie pojawił się napis: WPROWADŹ AKTUALNE HASŁO.

Szturmowcy szli wprawdzie powoli, ale musieli go zauważyć, zanim zdąży się uporać z zabezpieczeniem i zniknąć w gabinecie.

Zastanawiał się, co robić, blefować czy walczyć, ale doszedł do przekonania, że w tym przypadku nie zdoła wywieść wrogów w pole. Gdyby się na to zdecydował, musiałby siedzieć bezczynnie i czekać, aż go zauważą. Przygotował karabin blasterowy.

W pewnej chwili idący na czele szturmowiec skręcił za róg i zamarł na jego widok.

- Jaki jest twój... - zaczął.

Castin dał ognia. Jego strzał trafił szturmowca w brzuch z taką siłą, że odrzucił żołnierza na przeciwległą ścianę.

Pilot Eskadry Widm nie czekał, aż zza rogu wyłoni się następny szturmowiec. Strzelił w iluminator i kiedy tafla się rozprysnęła na tysiące kawałków, wskoczył do gabinetu.

Wylądował, przetoczył się po usianej okruchami posadzce i skierował lufę broni w dziurę po iluminatorze. Zauważył, że dwaj inni szturmowcy, którzy skręcili za róg, unieśli długie karabiny i wymierzyli lufy w miejsce, w którym znajdował się chwilę wcześniej. Strzelił dwukrotnie, ale tylko pierwsza błyskawica trafiła jednego żołnierza w środek napierśnika. Jego towarzysz rzucił się pod biurko i zniknął za dolną krawędzią iluminatora. Drugi strzał Castina chybił.

W tej samej chwili rozległo się świdrujące w uszach zawodzenie syreny alarmowej, a światła w gabinecie zaczęły pulsować w rytm przeraźliwych dźwięków.

Castin rozejrzał się wokół i zauważył w jednej ze ścian drzwi wiodące w stronę turbowindy. Otworzył bez trudu umieszczony obok nich standardowy panel dostępu. Za drzwiami znajdowała się łazienka z mnóstwem umywalek, natrysków i dekontamina-cyjnych komór, ale bez wychodzącego na galerię iluminatora.

Drzwi w przeciwległej ścianie łazienki dały się otworzyć równie łatwo jak poprzednie i pilot stanął na progu sali operacyjnej. Zauważył, że chirurdzy i technicy przestali się zajmować Talzem i z uwagą obserwowali wszystko, co dzieje się po drugiej stronie ogromnego iluminatora. Właśnie przechodził za nim ostatni szturmowiec. Skradał się w stronę pola bitwy, które pilot Eskadry Widm właśnie opuścił.

Ułamek sekundy później nad ramieniem uciekiniera śmignęła blasterowa błyskawica i trafiła jednego z techników w tył głowy. Strzał przemienił ją w bezkształtną zwęgloną masę, a mężczyzna runął na twarz tak majestatycznie, jakby pogrążał się w zbiorniku gęstego oleju. Castin zwrócił uwagę, że pozostali technicy zwrócili głowy w stronę zabitego kolegi tak powoli, jakby na zwolnionym filmie.

Odwrócił się i wystrzelił, jeszcze zanim dostrzegł cel. Na progu drzwi łączących łazienkę z gabinetem czaił się szturmowiec. Stał bardzo blisko, a oddany na oślep strzał trafił go w kolano. Mężczyzna wrzasnął z bólu i upadł.

Castin uderzył otwartą dłonią w przycisk zamykania drzwi na kontrolnym panelu i płyta błyskawicznie się zasunęła. Odwrócił się do techników. Mieli uniesione ręce i patrzyli na niego z przerażeniem. Tylko jeden nie mógł oderwać oczu od dymiących resztek głowy kolegi.

Castin wymierzył lufę blasterowego karabinu w najbliższy iluminator. Wiedział, że wystarczy strzelić, wyskoczyć i dobiec do drzwi turbowindy, zanim go zauważą pozostali przy życiu trzej szturmowcy, ale kiedy odchodził na bok, żeby dać ognia, kątem oka zauważył obserwującego go Talza. Czworo oczu nieszczęśnika przypominało ogniska skoncentrowanego bólu. Zawahał się, podszedł do operacyjnego stołu i wyciągnął z torby u pasa niewielkie wibroostrze. Przeciął pęta krępujące kostki istoty i skierował buczące ostrze w stronę więzów unieruchamiających nadgarstki.

- Niech pan tego... nie robi! - zachłysnął się jeden z techników. W jego szeroko otwartych oczach malowała się groza. - To już nie jest łagodny Talz. To zabójca...

- Masz rację. - Castin skończył przecinać pęta i odskoczył od stołu.

Technik, który usiłował go powstrzymać, rzucił się do drzwi i otwartą dłonią trzasnął w przycisk na kontrolnym panelu. Płyta się odsunęła, ale mężczyzna, trafiony w podbrzusze przez blasterowy strzał, runął na posadzkę. Zwinął się w kłębek i zawył z bólu.

Talz zsunął się z operacyjnego stołu, ale nie wyszarpnął rurek dostarczających mózgowi jakichś płynów. Spojrzał na Castina z nienawiścią, odwrócił się i ruszył w stronę chirurgów i techników.

Nie przejmował się, że ciągnie wózek z pojemnikami chemicznych roztworów. W pewnej chwili zauważył stojącego w drzwiach szturmowca, który ranił jego prześladowcę, i znieruchomiał, jakby się zastanawiał, kogo pierwszego zaatakować.

Castin strzelił do iluminatora i wyskoczył przez otwór w popękanej tafli. Pomyślał, że zdąży dobiec do drzwi szybu turbowindy, zanim go zauważą imperialni żołnierze. Odrzucił na bok wibroostrze i w biegu wyciągnął komputerowy notatnik.

Nagle poczuł ból, dotkliwy i zupełnie niespodziewany. Potknął się, upadł i z rozpędu przejechał kilka metrów po posadzce.

Ból zgiął go wpół niczym przewrotne dziecko lalkę. Wciąż jeszcze nie rozumiał, co się stało, ale kiedy odwrócił głowę, zobaczył czarne miejsce na lewym udzie, gdzie blasterowa błyskawica przebiła pancerz i zwęgliła kryjące się pod nim ciało. Dostrzegł także szturmowca, który go postrzelił. Imperialny żołnierz podchodził do niego powoli z karabinem gotowym do następnego strzału.

Castin spojrzał w przeciwną stronę, na drzwi szybu turbowindy. Znajdowały się o wiele za daleko, żeby dostał się do nich, pełznąc po posadzce.

Mieli go. Dostali i jego, i komputerowy notatnik ze wszystkim, co Zsinj chciałby wiedzieć o nim i o celu jego wizyty na pokładzie „Żelaznej Pięści".

Drżącymi z bólu palcami przytrzymał komputerowy notes przed lufą blasterowego karabinu, a drugą ręką przycisnął guzik spustowy.

- A teraz - odezwał się Zsinj, kiedy na deser podano lodowy przysmak - przejdźmy do sedna naszego spotkania. Buźka wyprostował się i zrobił zadowoloną minę. Bardzo chętnie - powiedział.

- Opracowuję plany nowej akcji - oznajmił lord. - To będzie wyprawa wojskowa zakrojona na szeroką skalę.

- Zamierza pan zaatakować naszych rebelianckich wrogów? - domyślił się Garik.

- Zgadza się - przyznał Zsinj. - Spodziewam się, że do walki z nami rzucą okręt liniowy i gwiezdne myśliwce, więc musi mnie osłaniać tylu pilotów, ilu zdołam zmobilizować... A wie pan, że ostatnio liczba moich pilotów wyraźnie zmalała. - Ostatnie zdanie zabrzmiało jak groźba. - Jeżeli jednak podczas walki przeciwko moim wrogom okażecie się równie skuteczni jak walcząc przeciwko mnie, będę mógł uważać, że nie poniosłem żadnej straty. - Jeden z doradców pochylił się nad jego ramieniem i szepnął mu coś do ucha. Zsinj nie zmienił wyrazu twarzy, ale wstał od stołu. - Przepraszam was na kilka minut - ciągnął, jakby się nic nie stało. - Mam do załatwienia ważną sprawę. Melvar, proszę kontynuować odprawę.

Odszedł kilka kroków na bok, żeby porozmawiać z doradcą. Generał przybrał taki wyraz twarzy, jakby chciał dać do zrozumienia, że najchętniej zająłby się wyrywaniem skrzydełek żywym owadom.

- To orbitalna placówka handlowa i punkt zaopatrywania gwiezdnych statków w paliwo - zaczął. - W magazynach znajdują się duże ilości sprzętu i materiałów, których zdobycie może mieć dla nas ogromne znaczenie. Musimy mieć trochę czasu, żeby przetransportować wszystko do ładowni naszych frachtowców, obawiamy się jednak, że w tym czasie wojska obrony planety zdążą wysłać przeciwko nam eskadry gwiezdnych myśliwców, a inne eskadry wystartują z hangarów krążących po orbitach okrętów liniowych.

Buźka gwizdnął.

- Zamierzacie pewnie zdobyć cenne łupy - zauważył. - Co to takiego? Melvar pokręcił głową.

- To tajemnica... przynajmniej do czasu, aż pojawimy się na miejscu akcji - powiedział.
- Musimy wiedzieć - odezwał się Zsinj, który skończył rozmawiać z doradcą i usiadł na poprzednim miejscu - ilu pilotów gwiezdnych myśliwców możecie oddelegować do wsparcia tej wyprawy.
- Sześciu - odparł bez namysłu Garik. Zwrócił uwagę, że lord ma teraz minę jakby mniej beztroską.
- Tylko sześciu? - zdziwił się Zsinj.
- Walczą jak dwudziestu - zapewnił go Buźka.
- Walczą jak trzydziestu - poprawił go lord. - I zapłacę wam, jakby było was trzydziestu.
- Co pan chce przez to powiedzieć? - zainteresował się rzekomy dowódca Jastrzębionietoperzy.
- Wasza prowizja wyniesie czterysta tysięcy imperialnych kredytów - oznajmił Zsinj. - Otrzymacie je natychmiast po zakończeniu wyprawy.

Buźka postarał się nie okazać zaskoczenia. Wymieniona suma oznaczała prawdziwą fortunę. Wystarczała na zakup dwóch tęponosych myśliwców i części zapasowych.

- A jeżeli pańska wyprawa zakończy się niepowodzeniem, nie dostaniemy ani kre-dyta? - zapytał.
- Nie, wypłacę wam całą sumę bez względu na jej wynik - obiecał lord. - Zakładając, że nie pozwolicie mi podczas niej zginąć.
- Udało się panu mnie zaskoczyć - przyznał Garik. - Gdybym nie znał umiejętności i możliwości swoich podwładnych, podejrzewałbym, że pan przepłaca.

Zsinj przestał udawać zadowolenie.

- Rzeczywiście przepłacam - stwierdził prosto z mostu. - Spodziewam się, że podczas walki, do jakiej musi dojść w przestworzach, niektórzy spośród pańskich i moich pilotów zginą. Zamierzam zapłacić wszystkim tyle, żeby mieli motywację do zwycięskiej walki. Żeby narażali dla mnie życie bez wahania... i byli pewni, że nawet jeżeli polegną, wdowy i dzieci nie będą się musiały o nic martwić do końca życia.

Buźka udał, że zastanawia się nad tym, co usłyszał.

- Z radością zarobiłbym jeszcze większą sumę - odezwał się w końcu. - Mam więcej Jastrzębionietoperzy niż gwiezdnych maszyn. Wielu ma duże techniczne doświadczenie, a kilku następnych inne umiejętności, które mogą się panu przydać.
- Na przykład przenikania na teren nieprzyjacielskiego obiektu? - domyślił się Zsinj.

Garik się uśmiechnął.

- Nie pomyliłem się - powiedział. - Zamierza pan wysłać grupę dywersantów, zanim pojawią się okręty pańskiej floty.

Lord wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że myślimy tak samo - przyznał niechętnie. - Naturalnie, że tak.
- Mam kilku ekspertów, którzy potrafią wkradać się do nieprzyjacielskich baz - stwierdził rzeczowo. - Mają duże doświadczenie w pokonywaniu systemów bezpieczeństwa, zarówno Imperium, jak i Nowej Republiki.

- A poza tym ma pan jego - wtrącił się Melvar. Wyciągnął zakończony srebrzystym paznokciem palec w stronę Kella.

- I jego nauczycielkę - dodał beztrosko Buźka. Generał wyglądał na zdumionego.
- Jego... nauczycielkę? - powtórzył jak echo.

Kell odrzucił włosy na plecy charakterystycznym ruchem. Sprawiał wrażenie znie-smaczonego.

- Jego nauczycielkę - podjął Garik. - Najbardziej śmiercionośną mistrzynię walki wręcz, jaką kiedykolwiek spotkałem. To kobieta o twarzy niewiniątka i urodzie bogini.

Wzbudza zaufanie wszędzie, dokąd się ją pośle. Wprawdzie nie może się z nim równać jako pilotka... ale kiedyś widziałem, jak gołymi rękami zabija Wookiego. Zsinj i Melvar wymienili spojrzenia.

- Z pewnością pan przesadza - stwierdził w końcu imperialny dostojnik.
- Wcale nie - odezwał się Kell i to były pierwsze słowa, jakie wypowiedział, odkąd zasiedli do stołu. - Istoty rasy Wookie są niewiarygodnie silne, zgodnie z naszymi ludzkimi standardami, ale nie są szybsze... i mają wiele wrażliwych miejsc, na przykład przeguby. Z istotą rasy Wookie nie można się brać za bary, bo to oznacza pewną śmierć dzięki dłuższemu zasięgowi jej ramion, ale zabicie jej gołymi rękami jest możliwe. Qatya, to znaczy moja nauczycielka, zaczęła od wymierzenia w kręgosłup ciosu, który zgniótł rdzeń i chyba uszkodził kilka kręgów, bo jej przeciwnik został częściowo sparaliżowany... miał bezwładne nogi. Kiedy usiłował wymierzyć jej cios, chwyciła go za rękę, wykręciła i złamała nadgarstek. Później złamała mu dwa palce, a potem, dla rozrywki, jeszcze dwa. Wie pan, jakie są kobiety. W końcu...
- Dissek, proszę - przerwał mu Buźka tonem upomnienia, ale w głębi duszy był zachwycony zaimprowizowanym wykładem rzekomego ochroniarza, a zwłaszcza ponurymi szczegółami sztuki walki wręcz. Nie znał się na tym na tyle dobrze, żeby je przytoczyć. Spojrzał na Zsinja. - Zechce pan mu wybaczyć. Walka to jego jedyna miłość.
- Nic nie szkodzi - odparł lord. - Musi mi pan przedstawić akta Jastrzębionietope-rzy, którzy mają techniczne doświadczenie, żebym miał czas się zastanowić, jaką rolę mogą odegrać w moim planie.
- Naturalnie - odparł Garik. - Proszę tylko wymyślić sposób, żebym mógł je panu przekazać.

- Zanim pan stąd odleci, Melvar poda panu zestaw częstotliwości HoloNetu - zapewnił Zsinj.
- I tyle danych, ile pan może na temat tej wyprawy, żebyśmy mogli przeprowadzić własne symulacje - dodał Buźka.

Melvar wyciągnął z kieszeni mały notes i pchnął go po stole ku gościowi.

- Czy nie miałby pan nic przeciwko przyjęciu niewielkiej zaliczki? - zapytał Zsinj.
- Naturalnie, że nie. - Buźka uprzejmie się uśmiechnął.

Nagle lord przeniósł spojrzenie na odcinek pomostu dowodzenia, którym Jastrzę-bionietoperze podchodzili przedtem do biesiadnego stołu. W ich stronę szli dwaj szturmowcy. Wlekli trzeciego, który sprawiał wrażenie nieprzytomnego. Nie miał hełmu, więc dobrze było widać jasne włosy.

- Muszę być pewien pańskiej lojalności i dlatego chciałbym poddać pana pewnej próbie - odezwał się Zsinj. - Wiem, że pan i pańscy podwładni nie wahacie się zabijać w ferworze walki, ale potrzebni są mi mężczyźni... i kobiety - dodał, spoglądając na Twi'lekankę - którzy umieją to robić w bardziej sprzyjających okolicznościach. Czy mógłby pan zastrzelić dla mnie tego osobnika?

Szturmowcy położyli przywleczonego kolegę obok biesiadnego stołu. Kolegą tym okazał się Castin Donn. Miał zamknięte oczy, na nodze zwęglony ślad po blasterowym strzale, a jego napierśnik rytmicznie unosił się i opadał.

Buźka przełknął kluchę, która uwięzia mu w gardle. Miał nadzieję, że nie zbladł. Czuł się paskudnie. Castinie, ty idioto, pomyślał. Przez ciebie już nie żyjemy.
Kell przeniósł z Castina na Garika pozbawione emocji spojrzenie. Buźka dostrzegł, że Tainer chce się zorientować, czy ma się rzucić na Zsinja od razu, czy trochę później. Dia patrzyła na Castina z dziwnym zachwytem.

- Kiepski cel - odezwał się w końcu Buźka. Starał się grać na zwłokę. Musiał coś wymyślić, żeby nie ujawniając ich prawdziwej tożsamości, ocalić wszystkim życie bez narażania na szwank wyprawy.

Niestety, nic nie przychodziło mu do głowy.

- To prawda - przyznał Zsinj. - A więc, czy zechciałby go pan zastrzelić?
- Och, nie mam nic przeciwko temu - odparł Garik, ale nie ruszył się z miejsca. - Gdybyśmy jednak zabili jednego z pańskich szturmowców, to byłaby dla pana zbyt kosztowna strata.
- To nie jest mój szturmowiec - oznajmił lord. - To intruz.

- Nie zamierza go pan najpierw przesłuchać? - zapytał Buźka. Zsinj pokręcił głową.

- Nie interesuje mnie, co ma do powiedzenia - stwierdził oschle. - To co, może go pan dla mnie zastrzelić?

Garik spróbował opanować ogarniającą go panikę. Siedzący przy stole oficerowie obserwowali go coraz uważniej, a on nie potrafił wymyślić żadnej wymówki.

- Naturalnie - odparł w końcu beztrosko. - Za ile? Zsinj wyglądał na zaskoczonego.
- Słucham? - zapytał.
- Za ile mam go dla pana zastrzelić? - powtórzył Buźka. - Ile chce mi pan za to zapłacić?
- Generale Kargin, jestem zdumiony - odparł lord. - Przebywa pan na pokładzie „Żelaznej Pięści", a koszt pojedynczego strzału z blasterowego pistoletu jest minimalny... zwłaszcza że to będzie nasz blaster. - Kiwnął głową w kierunku jednego z oficerów, który od razu wyciągnął pistolet z kabury. - Nie może pan po prostu wyświadczyć mi drobnej uprzejmości?
- Inteligentne życie jest najcenniejszym towarem w galaktyce - oznajmił Garik, starając się nadać głosowi pompatyczne brzmienie. - I dlatego nigdy nikogo nie zabijam bez odpowiedniego wynagrodzenia.

Dia wstała od stołu tak raptownie, że wszystkich zaskoczyła. Uśmiechnęła się do Zsinja, jakby zamierzała stopić jego serce.

- Szlachetny lordzie, generał dba tylko o dobrobyt swoich podwładnych - wyjaśniła, nadając głosowi ochrypłe brzmienie. - Nie może zrezygnować ze swojej polityki, bo stałoby to w sprzeczności z zasadami Statutu Jastrzębionietoperzy, aleja zrobię to dla pana jako osoba prywatna. Mogę prosić o pistolet?

Wyciągnęła rękę.

Buźka poczuł nagłe uniesienie. Zrozumiał, że Twi'lekanka ma jakiś plan. Zobaczył, że Kell chowa nogi pod krzesło, jakby przygotowywał się do szybkiego wstania od stołu. Uznał, że rosły pilot prawdopodobnie rzuci się na Zsinja, co oznaczało, że sam musi się uporać z generałem Melvarem. W tym czasie Dia będzie trzymała na muszce pozostałych oficerów... pod warunkiem że jej pistolet okaże się sprawny.

Melvar kiwnął głową i jego podwładny wręczył broń Twi'lekance. Dia sprawdziła zasobnik energii, podeszła do Castina, stanęła nad nim... i z zimną krwią strzeliła mu w gardło.

Gadatliwy młodszy oficer, widocznie uradowany i uspokojony zastrzeleniem intruza, odprowadził Jastrzębionietoperzy z powrotem do wahadłowca.

Kiedy goście opuścili fałszywy mostek, Zsinj wstał od stołu. Klasnął w dłonie i gwar rozmów ucichł jak ucięty nożem.

- Spisaliście się na medal - powiedział. - Dziękuję. To było wyśmienite przedstawienie.

Podwładni zasalutowali i jeden po drugim zaczęli opuszczać fałszywe nisze dla personelu mostka. Zsinj usiadł i spojrzał na Melvara.

- Jak się miewa ten... jak on się nazywa? Yorlin? - zapytał. Melvar odprężył się i wyglądał teraz całkiem niepozornie.

- Ten Dissek uderzył go tak mocno, że wybił mu kilka zębów i pozbawił go przytomności - zameldował.

- No cóż, biedakowi należy się uznanie za to, że wykonywał rozkazy nawet za cenę takich przykrości - stwierdził Zsinj. - Proszę udzielić mu pochwały, a kiedy opuści izbę chorych, może wziąć trzydniowy urlop. - Kiwnął głową w stronę zwłok intruza. Z ziejącej dziury w gardle Castina wciąż jeszcze ulatywały smużki dymu. - Proszę przekazać to naszym technikom - podjął po chwili. - Chcę wiedzieć, kim był, skąd się wziął, gdzie żył i jakim cudem znalazł się na pokładzie „Żelaznej Pięści”... Wszystko wskazuje, że jednak nie był jednym z Jastrzębionietoperzy.

- Rozkaz - odparł Melvar. - Ile nas kosztowała jego wizyta?

- Z wstępnych raportów wynika, że zastrzelił dwóch szturmowców i dwóch techników, a potem nasz najbardziej obiecujący Talz rozerwał na strzępy dwóch chirurgów i trzeciego szturmowca - odparł Zsinj. - Dopiero później zabili go żołnierze. Bardzo wysoka cena. - Obrzucił generała zaniepokojonym spojrzeniem. - Czyżbyśmy stracili także doświadczalnego Ewoka?

- Ten, o którym wspominali, nie pochodzi z laboratorium „Żelaznej Pięści” - uspokoił go generał. - Możliwe jednak, że wymknął się z laboratorium którejś planety, a dyrektor placówki zataił przed nami tę stratę.

- Zamierzam kogoś za to zabić, Melvar - stwierdził Zsinj. - Dowiedz się, komu uciekł ten Ewok, i zastrzel tego idiotę.

- Rozkaz, szlachetny lordzie.

Przyspieszyli i oddalili się od „Żelaznej Pięści”. Buźka nakazał gestami swoim towarzyszom, żeby zachowali milczenie. Pozwolił im mówić dopiero, kiedy pierwszy raz wskoczyli do nadprzestrzeni.

- Meldujcie - rozkazał.

- On już nie żył - wyrzuciła z siebie Dia. - On już nie żył, Buźko.

Jej głos drżał z bólu, a na widocznej w półmroku sterowni twarzy malowała się niewiarygodna udręka.

- Oddychał - przypomniał Garik.

- Nieprawda - zaprotestowała Twi’lekanka. - To była jakaś sztuczka. Umieścili tam mechaniczną pompę czy coś w tym rodzaju... sama nie wiem. - Wzdrygnęła się i głęboko odetchnęła. - Kiedy ciągnęli go do stołu, był zupełnie bezwładny. Nie tylko nieprzytomny. Zwisał jak martwy człowiek. Na dolnej płycie pancerza widniał zwęglony ślad po blasterowym strzale, który powinien zachodzić na napierśnik, ale nie zachodził, więc musieli go przebrać... żebyśmy nie zobaczyli zwęglonego śladu na tym pancerzu, który miał na sobie, kiedy zginął. Tamci szturmowcy ciągnęli go jak martwy przedmiot, a nie jak więźnia, który może w każdej chwili oprzytomnieć. Szli odprężeni, jakby pewni, że nie muszą się spodziewać żadnej niespodzianki z jego strony. - Dia zamknęła oczy i pochyliła głowę. - Znam się świetnie na wymowie ruchów i gestów ciała, Buźko - podjęła po chwili. - On już nie żył. Jestem tego pewna.

- Przyjmuję twoje wyjaśnienie. - Garik westchnął i rozsiadł się wygodniej na fotelu pilota. - Niech to zaraza! Jaka szkoda, że nie chciał usłuchać rozkazu! - Przeniósł zaniepokojone spojrzenie na koleżankę. - Nic ci nie jest? - zapytał.

- Ja... ja - zaczęła Dia i urwała. Przełknęła kilka razy ślinę i utkwiła w dziobowym iluminatorze niewidzące spojrzenie.

- Dia?

Istota jęknęła, jakby ugodzona w samo serce, i nagle zaczęła wymierzać ciosy na oślep we wszystkie strony. Niektóre wylądowały na Kellu, kilka następnych na kontrolnej konsolecie i ochronnej szybie, a jeszcze inne nawet na bocznej przegrodzie wahadłowca.

Tainer zerwał się z fotela i stanął przed pilotką, żeby zasłonić konsoletę przed jej ciosami.

- Buźko, zabierz ją stąd, zanim trafi w niewłaściwy guzik i pośle nas przez nadprzestrzeń szlakiem donikąd! - wykrzyknął.

Garik pochylił się, żeby złapać Twi'lekankę, ale chociaż się zasłaniał, dostał cios głowoogonem w szczękę.

- Dia! Uspokój się! - rozkazał.

Twi'lekanka wrzasnęła jeszcze głośniej i zaczęła wymierzać ciosy ze zdwojoną zaciekłością. Jej ciałem wstrząsały spazmatyczne dreszcze. Buźka chwycił pilotkę obiema rękami, ściągnął z fotela drugiego pilota i posadził sobie na kolanach. Zanim ją obezwładnił, zarobił jeszcze dwa niegroźne ciosy.

W końcu Dia krzyknęła przejmująco ostatni raz i zwiotczała w jego ramionach. Po jej policzkach spływały łzy, a Buźka patrzył na nie jak urzeczony. Nigdy by nie przypuszczał, że jego koleżanka jest zdolna do okazywania tak silnych emocji.

- Dia? - zagadnął.
- Ona nie żyje - jęknęła pilotka.
- Ona? - zapytał Garik. - Kto?

- Dia. Diap'assik - odparła takim samym tonem Twi'lekanka. - Nie żyje. Buźka postarał się nadać głosowi stanowcze brzmienie.

- Nie, to nieprawda - powiedział.

- Tak. Inaczej by tego nie zrobiła. Raczej sama by zginęła. Ona nie żyje, Buźko. Garik usłyszał cichy trzask i szelest metalu ocierającego się o skórę. Zrozumiał, na co się zanosi, i był gotów, zanim zobaczył dłoń Dii z Masterem wymierzonym w podbródek. Trzymając prawą ręką pilotkę, wsunął lewy kciuk między palec istoty a guzik spustowy.

Twi'lekanka znów jęknęła tak rozdzierająco, jakby chciała wyrazić własną agonię i bezgraniczne

poczucie winy.

- Buźko, pozwól mi skończyć ze sobą! - krzyknęła.

Garik wyszarpnął blaster z jej palców i ponad ramieniem Twi'lekanki podał Kel-lowi. Zaczekał, aż rosły pilot zabierze broń, a potem znów przytulił istotę.

- Nie - powiedział.
- Więc sam mnie zabij. - Nie.
- Tak. Nie chcę dłużej żyć.
- Musisz. Jesteś nam potrzebna.

Czekał, aż Dia się uspokoi. Nadal szlochała, a jej ciałem wstrząsały od czasu do czasu słabe dreszcze. Garik miał czas pomyśleć o tym, co się stało.

Gdzie się podziała Dia, która podczas ćwiczeń na symulatorach zestrzeliwała z zimną krwią nieprzyjaciół, budząc podziw, a nawet przerażenie u innych pilotów? Kim była podobna do niej, pogrążona w rozpaczy nieznajoma osoba w jego ramionach? To musiała być ta sama istota, która nosiła dotąd maskę bezwzględności. Możliwe, że tylko tyle pozostało z prawdziwej Dii, którą jako młodą osobę porwano kilkanaście lat wcześniej z Rylotha i zmuszono do niewolniczej pracy. Jej osobowość musiały opanować straszliwe wyrzuty sumienia.

- Dio, dziękuję ci - odezwał się Buźka, starając się nadać głosowi jak najłagodniejsze brzmienie.

Nie usłyszał odpowiedzi.

Powtórzył swoje słowa i w końcu Twi'lekanka wyprostowała się i spojrzała na niego. W jej oczach malowały się ból i dezorientacja.

- Co takiego? - zapytała.
- Dziękuję ci. Pilotka pokręciła głową.
- Za to, że strzeliłam do... że zabiłam... - zaczęła.
- Nie - przerwał Garik. - Za to, że ocaliłaś mi życie. Gdybyś nie zastrzeliła Castina, byłoby po mnie. Nie zdołałbym przekonać Zsinja, że jesteśmy gotowymi na wszystko piratami, a on kazałby nas wszystkich zabić. Cieszą się, że żyję. Dzięki tobie. Dziękuję.

W końcu zauważył w jej oczach iskierki zrozumienia. Kell odwrócił się i stanął na linii jej wzroku.

- Dio, ja także mam u ciebie ogromny dług wdzięczności - powiedział. - Dzięki twojemu poświęceniu nie jestem trupem. Zresztą gdyby się mną zajął Zsinj, byłoby to gorsze od śmierci. Buźka i ja zawdzięczamy ci życie.

Dia wpatrywała się w niego nieprzytomnym wzrokiem, jakby nie wiedziała, o co mu chodzi, a później znów przytuliła się do Buźki.

- Nie - powiedziała. Powtarzała to słowo bez końca. Nawet nie starała się powstrzymać łez,

które spływały po jej policzkach. W końcu zasnęła.

Buźka pozwolił, żeby Tainer zajął się rutynowymi czynnościami, które miały im umożliwić powrót do systemu Halmada. Przedtem jednak wylądowali w umówionym miejscu w pasie asteroid, gdzie spotkali się z Cubberem i osobą, która przejęła obowiązki Castina. Musieli dokładnie przeszukać wszystkie pomieszczenia wahadłowca, żeby się upewnić, czy podwładni Zsinja nie ukryli gdzieś nadajników śledzących trasę lotu „Narry". Dopiero później skierowali się do bazy Jastrzębionietoperzy.

Garik miał tylko tyle czasu, żeby sporządzić szczegółowy raport. Musiał w nim wytłumaczyć, jak to się stało, że w ciągu zaledwie kilku dni na jego oczach zginęło dwóch podwładnych komandora Antillesa.

ROZDZIAŁ 16

Wedge wysłuchał jego raportu. Od czasu do czasu przerywał, żeby poprosić o wyjaśnienia. Garik zrelacjonował cały przebieg spotkania z lordem Zsinjem. Miał w tym pewną wprawę, bo Jansonowi złożył raport jeszcze tego samego dnia, kiedy piloci Eskadry Widm wrócili do bazy Jastrzębionietoperzy, ale chociaż był dobrym aktorem, nie potrafił ukryć wyrzutów sumienia z powodu śmierci Castina. Po powrocie pilotów odpoczywających na Coruscant musiał zdać raport ponownie, tym razem komandorowi Antillesowi. Gdy powtórnie opowiadał o spotkaniu z Zsinjem, nadal targały nim silne emocje, których nie potrafiły zamaskować nawet jego umiejętności aktorskie.

Kiedy skończył, spojrzał przepraszająco na dowódcę.

- Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za jego śmierć, panie komandorze - powiedział.

Wedge popatrzył zaskoczony.

- Ty bierzesz na siebie odpowiedzialność? - zapytał.

- Tak jest, panie komandorze.

- Więc uważasz, że Castin Donn nie ponosi za swoją śmierć żadnej winy? - podjął Antilles. - Uważasz, że się do niej nie przyczynił?

- No cóż...

- Znam lepiej niż ty historię jego niesubordynacji i buntowniczy charakter, bo jestem dowódcą tej eskadry - ciągnął coraz bardziej stanowczym tonem Wedge. - Uważasz, że ja także nie ponoszę żadnej odpowiedzialności? Jesteś zdania, że cała wina spada na ciebie?

- No cóż...

- A jak sądzisz, co mogłeś zrobić, żeby zapobiec jego śmierci?

- Mogłem zarządzić dokładne przeszukanie przemytniczego przedziału, a tylko poleciłem Kellowi, żeby tam zajrzał.

- Dlaczego miałbyś to robić, skoro z pobieżnych oględzin wynikało, że Castina tam nie ma? - zdziwił się Antilles.

- Powinienem się upewnić, co się z nim dzieje, zanim wystartowaliśmy na tę wyprawę.

- Upewniłeś się - odparł komandor. - Na tyle, na ile to miało związek z twoją wyprawą. O ile mogłeś się zorientować, Castina nie było na pokładzie wahadłowca, więc wszelkie informacje na

temat tego, gdzie jest, nie miały dla ciebie znaczenia. Castin po prostu cię przechytrzył. Przechytrzył nas wszystkich. Czy wiedziałeś, że spreparował wykaz dyżurów w taki sposób, że miałby pełnić służbę dopiero po waszym powrocie ze spotkania z Zsinjem? Czy wiedziałeś, że skonstruował manekina, a nawet specjalny mechanizm na pryczę, aby wszystko wskazywało na to, że smacznie śpi w swojej kabinie i przewraca się z boku na bok?

- Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, panie komandorze - przyznał Garik. - Porucznik Janson powiedział mi o tym dopiero po powrocie.

- Opiekowanie się Castinem Donnem nie wchodziło w zakres twoich obowiązków - stwierdził stanowczo Wedge. - Jego śmierć to był nieszczęśliwy wypadek i, chociaż zdarzył się podczas twojej wyprawy, nie ponosisz za niego odpowiedzialności. A teraz powiedz mi, za kogo powinieneś czuć się odpowiedzialny.

- No cóż... za siebie, panie komandorze - odparł Buźka. - A także za Kella i Dię.

- I co zrobiłeś, żeby się o nich zatroszczyć?

- Poprosiłem, żeby na Dię mieli oko pozostali piloci Eskadry Widm, technicy eskadry, a zwłaszcza jej współlokatorka, Shalla. Wygląda na to, że Dia przestała myśleć o samobójstwie, ale jest jakaś... inna. Zachowuje się jak chronione skorupą zwierzątko, z którego ktoś nagle zerwał tę osłonę. Jest przerażona, nieszczęśliwa i szalenie podatna na zranienie.

Wedge pokiwał głową.

- Wygląda na to, że przedsięwziąłeś właściwe środki ostrożności - powiedział. - A co z Kellem?

- Nie rozumiem - zdziwił się Buźka. - Dlaczego miałbym się o niego troszczyć?

- To właśnie on przeszukiwał przemytniczą skrytkę - przypomniał Antilles. - Nie zauważył ukrytego tam Castina. Jak sądzisz, jak się teraz czuje?

Buźka się skrzywił.

- Podejrzewam, że mniej więcej jak ja - mruknął ponuro.

- I co zamierzasz z tym zrobić?

- Chyba powinienem z nim porozmawiać. Postarać się go przekonać, że to nie jego wina.

Wedge czekał w milczeniu i obserwował grę uczuć na twarzy podwładnego. W końcu zauważył, że odmalowało się na niej zrozumienie.

- Tak jest, panie komandorze - odezwał się w końcu Garik. - Podobnie jak śmierć Castina to nie moja wina.

- A widzisz - stwierdził dowódca. - Coś jeszcze?

- Tak jest, panie komandorze - przyznał Buźka. - Chciałbym podkreślić, jak duże znaczenie przywiązuję do reakcji Zsinja i Melvara na historię życia Prosiaka, którą im opowiedziałem. Naturalnie, przedstawiłem ją jako historię porucznika Kettcha, ale Zsinj i Melvar spojrzeli po sobie, jakby ich to przeraziło. Przypuszczam, że albo sami zorganizowali podobne eksperymenty, albo znają

kogoś, kto je prowadzi, i są bardzo zainteresowani jego wynikami.

- W takim razie uznam to za bardzo istotne i zobaczę, co z tego wyniknie - obiecał Antilles.

- Dziękuję, panie komandorze.

- Na razie to wszystko. - Obserwując wychodzącego Buźkę, Wedge chrząknął. - Jeszcze jedno, tak przy okazji...

Garik się odwrócił.

- Tak, panie komandorze? - zapytał.

- Jesteś dobrym oficerem, Buźko, ale powinieneś wiedzieć, że jeszcze raz możesz się znaleźć w podobnej sytuacji - zaczął Wedge. - Twoja wyprawa zakończyła się powodzeniem i może położyć kres działalności lorda Zsinja. Gdybym wiedział... gdybym miał absolutną pewność, że dla osiągnięcia celu będę musiał poświęcić życie jeszcze jednego z moich pilotów, zrobię to bez wahania. Ty też się przed tym nie zawahasz.

Garik wyraźnie zastanowił się nad tą możliwością. Potem spojrzał na dowódcę i nieznacznie kiwnął głową.

- Tak jest, panie komandorze - powiedział. - Chyba ma pan rację. Odwrócił się i zamknął drzwi za sobą.

Wedge usiadł i siedział nieruchomo, dopóki podwładny nie oddalił się na jakieś trzydzieści kroków od towarowego modułu, który komandor wykorzystywał jako ośrodek dowodzenia. W końcu grzmotnął pięściami w blat biurka i zamaszystym ruchem zgarnął z niego wszystkie komputerowe notesy, dokumenty i drobiazgi.

Jeszcze jeden pilot poniósł śmierć, tym razem bezsensowną. Jeszcze jeden list do napisania. Jeszcze jeden raport, w którym musiał wyjaśnić, jak to się stało, że w odstępie zaledwie kilku dni dwaj podwładni zginęli, służąc pod jego rozkazami.

Wyszedł szybko z modułu i skierował się w stronę hangaru. Janson siedzący po drugiej stronie Wąwozu, na tarasie kawiarenki, wstał i dołączył do niego.

- Jak ci poszło? - zapytał.

- Na tyle dobrze, na ile mogło - odparł wymijająco Antilles.

- Więc dokąd się tak spieszysz?

- Jeszcze nie jestem gotów zająć się analizą danych, jakie otrzymaliśmy od Zsinja.

- Mhm.

- I nie mam ochoty pisać listu do krewnych Castina.

- Mhm.

Obaj oficerowie odwzajemnili salut Patyka, który podążał Wąwozem w przeciwną stronę.

- Z pewnością po czymś takim morale naszej jednostki dozna poważnego uszczerbku.

- Mhm.

- Dowodzę eskadrą złożoną z dzieciaków i wiodę ich na śmierć.
- To prawda.

Wedge przystanął dopiero przed bramą hangaru.

- Co mówiłeś? - zapytał.

- To prawda. - Janson wzruszył ramionami. - Posłuchaj, postanowiłeś przyjąć do eskadry osoby kiepsko przystosowane do normalnego życia. Musiałeś wiedzieć, że nawet ci, którym uda się do niej zakwalifikować, będą ponosić straty większe niż w normalnej jednostce. Wielu boryka się z problemami emocjonalnymi, przez co w odpowiedniej chwili jest im trudniej wybrać właściwy kierunek.

- No cóż, może masz rację - przyznał niechętnie Antilles.
- Mimo to nawet z trudnymi problemami radzą sobie jako grupa lepiej, niż można się było spodziewać - ciągnął Wes. - Niektórzy mogliby jadać przy jednym stole z normalnymi ludźmi, a nawet latać z pilotami innych eskadr. Nie miałeś takich problemów, kiedy tworzyłeś Eskadrę Łotrów.
- Nie, chyba nie miałem. - Wedge poczuł, że ogarnia go zmęczenie, jakby nagle gdzieś znikła obłędna energia, jaka rozpierała go jeszcze przed minutą. Odwrócił się w stronę prowizorycznego ośrodka dowodzenia. - Co słychać u Lary Notsil? - zapytał.
- Przeżyła wstrząs, ale radzi sobie bardzo dobrze po tym, jak jej brat chciał ją zamordować - odparł Janson. - Donos nie spuszcza z niej oka.

- Ci spośród nas, którzy wciąż jeszcze mają rodziny... - zaczął Wedge i urwał. Musiał zaczekać, aż upora się ze wspomnieniem dawno zaginionej siostry Syal i jej męża, Soontira Fela, którego także uważano za zaginionego. - Musimy ich uprzedzić - ciągnął po chwili. - Na wypadek, gdyby Zsinj starał się dobrać do nich za pośrednictwem członków rodzin. To do niego bardzo podobne.

- To prawda - przyznał Janson. - Poinformuję pilotów Eskadry Widm, żeby wiedzieli, co mają mówić swoim bliskim.
- Tak, ale jeszcze nie teraz - sprzeciwił się Antilles. - Chciałbym, żebyś popracował ze mną nad informacjami, które dostaliśmy od lorda Zsinja.
- Ach, serdeczne dzięki - mruknął zastępca. - Przygody Wesa Jansona, mistrza statystyki...

Wedge i Janson spędzili resztę dnia na analizowaniu danych, jakie Zsinj przekazał Garikowi. Celem ataku lorda i jego floty miała być planeta przeciętnej wielkości i masy, co wynikało jasno z jej średnicy i siły ciążenia. Planeta była silnie broniona. Po orbitach krążyło dziesięć imperialnych gwiezdnych niszczycieli i siedem krążowników klasy Mon Calamari, a wspierała je wywierająca wrażenie liczba stacjonujących na powierzchni eskadr gwiezdnych myśliwców. Obaj oficerowie zwrócili uwagę na niezwykle dużą liczbę maszyn typu A-wing.

W pewnej chwili zdezorientowany Janson spojrzał na przełożonego.

- To Coruscant - powiedział. - Zamierzają zaatakować Coruscant! Wedge pokręcił głową.

- Tak można byłoby sądzić na pierwszy rzut oka, po pobieżnym zapoznaniu się z przekazanymi informacjami - powiedział. - Paru rzeczy jednak nie rozumiem. Wyprawa Zsinja musi rozpocząć się niedługo, gdyż w przeciwnym razie lord nie zdecydowałby się nam przekazać tylu szczegółów. Mimo to liczby wymienionych eskadr i okrętów nie odpowiadają liczbie jednostek floty broniącej stolicy Nowej Republiki... Byłem tam niedawno i wiele rzeczy się nie zgadza. Czyżby dane jego wywiadu były niedokładne albo niekompletne?

- To do niego niepodobne, prawda?

Wedge westchnął.

- Pozostaje pytanie, czym konkretnie się interesuje - powiedział. - Nasze zadanie miałoby polegać na zapewnieniu osłony oddziałom Zsinja, kiedy będą transportowały te towary do ładowni frachtowca... Dlaczego nie mogą zaczekać, aż łupy znajdą się w ładowni? Co takiego władze Nowej Republiki przechowują na pokładach krążących wokół Coruscant orbitalnych stacji, czego wojska Zsinja nie mogą znaleźć na powierzchni samej planety albo podczas transportu z powierzchni na pokład? Janson zaczął się zastanawiać.

- Prezydium? - zapytał w końcu.

- Co takiego? - żachnął się Antilles. - Bzdura. Oczywiście, gdyby udało im się ich schwytać albo zabić, dokonaliby nie lada sztuki, ale członkowie Prezydium obradują zawsze na powierzchni planety.

- Jesteś tego pewien?

- Nie, ale nie mam powodu podejrzewać, że jest inaczej - odparł Wedge. - A poza tym, organizowanie zebrań na pokładzie orbitalnej stacji stwarzałoby mnóstwo problemów logistycznych. O wiele trudniej byłoby też utrzymać fakt ich zwołania w tajemnicy i zapewnić bezpieczeństwo uczestnikom. Chyba puszczasz wodze wyobraźni.

- No dobrze, teraz twoja kolej - odparł Wes. - Co takiego można znaleźć na pokładach orbitalnych stacji, czego nie ma na powierzchni planety ani w dzielących je przestworzach?

- Na przykład same stacje - oznajmił Antilles. - Może Zsinj zamierza porwać którąś i odholować w sobie tylko znane miejsce?

Janson prychnął.

- Jeżeli nie interesuje go stacja, to może zawartość ładowni gigantycznego transportowca? - Wedge zmarszczył brwi. - Wiesz, krążą plotki, że księżniczka Leia wyruszyła na tajną wyprawę w celu zdobycia dodatkowych środków, które umożliwią dalsze prowadzenie walki przeciwko Zsinjowi. Jeżeli on wie, co to za środki i kiedy mają zostać ściągnięte na Coruscant...

- Teraz ty puszczasz wodze wyobraźni - odciął się Janson.

- Masz rację - przyznał komandor. - Więc pozostaje sam transportowiec. - Zmarszczył brwi, jakby nagle przyszło mu coś do głowy. Wbił spojrzenie w ekran komputerowego notesu. - Zaraz,

zaraz... - podjął po chwili. - Chyba wiem, o co mu chodzi. - Sięgnął po skrawek flimsiplastu i pisak i coś zanotował. Złożył arkusik kilka razy i wręczył zastępcy. - Przechowaj to gdzieś - polecił. - Wyciągniesz, kiedy znajdziemy odpowiedź, a wtedy zyskam opinię wojskowego wróżbity.

Janson schował świstek flimsiplastu do kieszeni bluzy.

- Już masz taką opinię - przypomniał.
- Więc będę miał dwie - mruknął Wedge. - A teraz powiedz Castinowi, żeby przyszedł do mojego gabinetu.

- Uhm, Castin... uhm... Wedge ukrył twarz w dłoniach.

- Prawda - powiedział. - Ja też jestem wyczerpany. Teraz, kiedy zabrakło Castina, kto jest najlepszym włamywaczem komputerowym i programistą eskadry?
- Prawdopodobnie Lara Notsil.
- Sprowadź ją tu.

Kiedy pilotka stanęła przed biurkiem komandora i zasalutowała, była trochę zdyszana, jakby pokonała biegiem odległość od swojej kabiny do gabinetu Antillesa.

- Pani podporucznik Lara Notsil melduje się na rozkaz, panie komandorze - wy-skandowała.

Wedge odpowiedział niedbałym salutem.

- Daruj sobie formalności, Notsil - powiedział. - Chcę, żebyś mi coś powiedziała. Wiesz, jakie mamy komputery. Jak sądzisz, czy moglibyśmy je wykorzystać, żeby przetworzyły dane statystyczne na temat znacznych sił wojskowych... to znaczy liczbę żołnierzy, okrętów, ich możliwości i tak dalej w taki sposób, aby reprezentowały siły zbrojne innej społeczności? Załóżmy, że dysponuję danymi statystycznymi na temat siły ognia oddziałów szturmowych Nowej Republiki, ale chcę się dowiedzieć, jak by wyglądał ich koreliański odpowiednik o tych samych cechach charakterystycznych.

Wyraźnie zdezorientowany Janson obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem. Lara zastanawiała się kilka sekund nad odpowiedzią.

- Nie sądzę, żeby nasze komputery poradziły sobie z tym problemem, panie komandorze - zaczęła. - To wymagałoby specjalistycznego oprogramowania, a my nie... - Urwała, jakby nagle sobie coś przypomniała. - To zależy od rodzaju i siły wojsk, panie komandorze, ale chyba jednak poradzę sobie z tym bez trudu - dokończyła.

- Szybko zmieniasz zdanie - stwierdził Wedge. Lara się uśmiechnęła.

- Zupełnie zapomniałam - wyjaśniła. - Mamy w bazie symulatory myśliwców typu X-wing i TIE, które zostały sprzężone i przystosowane do analizy danych statystycznych różnych okrętów i

dokładnej oceny sił wojsk nieprzyjaciół. Mogę adaptować to oprogramowanie, żeby wykonało wszystko, czego pan potrzebuje. To nie powinno być bardzo skomplikowane.

Wedge skopiował uzyskane od Zsinja informacje do pamięci innego notesu i wręczył urządzenie pani podporucznik.

- Chcę, żebyś możliwie jak najdokładniej przekształciła te dane na równoważne liczby okrętów i gwiezdnych myśliwców wyłącznie imperialnego pochodzenia - powiedział. - Wróć tu, kiedy skończysz, a wówczas porównamy je z danymi na temat wojsk obrony pewnej planety. Jak sądzisz, ile może ci to zająć?
- Nie jestem pewna - odparła pilotka. - Trzy kwadranse, dwanaście godzin... Będę wiedziała coś więcej, kiedy już wprowadzę te dane do pamięci symulatorów.
- Daj mi znać tak szybko, jak to możliwe - polecił Wedge.

Niecierpliwie czekając na wstępny raport Lary, jeszcze raz wyprostował nogi.

Jakiś czas wcześniej zauważył, że w mesie i na tarasie kawiarenki dzieje się coś dziwnego. Termiczny koc, który zazwyczaj pełnił rolę zasłaniającej iluminator kotary, był opuszczony na znak, że pomieszczenie jest zamknięte, a wszystkie stojące na tarasie krzesła i stoliki zsunięto na bok. Główne drzwi modułu zdobił ręcznie namalowany napis: MESA ZAMKNIĘTA Z POLECENIA PIRATA PATYKA.

Thakwaashanin stał pośrodku tarasu. Miał na oczach gogle i posługując się plecakowym rozpylaczem, który pożyczył od jednego z mechaników, natryskiwał na kamienną posadzkę warstwę matowej zielonej farby. Wedge podszedł bliżej i obserwował, jak Patyk kończy malować ogromny zielony krąg na szarej skale. Zaczekał, aż wyłączy natryskiwacz i zdejmie gogle.

- Patyku, co to ma znaczyć? - zapytał. Thakwaashanin spojrzał na niego.
- Malujemy, panie komandorze - odparł z powagą.
- Aha - mruknął Wedge. - Dlaczego?
- To przygotowania do ceremonii, panie komandorze.
- A więc zamierzasz urządzić tu jakąś uroczystość - domyślił się dowódca.
- Tak jest, panie komandorze - odrzekł Patyk.
- Coś, co mają zwyczaj obchodzić istoty twojej rasy? - nie dawał za wygraną Antilles.

Zastanawiając się nad odpowiedzią, Patyk zamrugał kilka razy.

- Coś, co mają zwyczaj obchodzić niektóre istoty naszej rasy - stwierdził w końcu.
- I doszedłeś do wniosku, że musisz zamknąć mesę, żeby urządzić tę uroczystość?
- Tak jest, panie komandorze - oznajmił Thakwaashanin. - Wciąż jeszcze trwają prace nad przygotowaniem posiłku. To niezbędny element całej ceremonii.
- A kto weźmie w niej udział? - zainteresował się Wedge.
- No cóż, chcieliśmy porozmawiać z panem na ten temat, panie komandorze - przyznał Patyk. - Pomogłoby, gdyby wydał pan rozkaz pilotom, żeby dzisiaj, dokładnie o ósmej zero, zero, stawili się tu wszyscy w wyjściowych mundurach.

Wedge usiłował zachować powagę. Patyk wyglądał na bardzo przejętego, bardzo szczerego.

- Naprawdę uważasz, że to konieczne? - zapytał.
- Tak. - Pilot pokiwał głową. - Chciałbym także, żeby zjawili się w uroczystych strojach wszyscy pracownicy personelu cywilnego, którzy nie będą wówczas pełnili służby.
- Dlaczego miałbym wydać im taki rozkaz? - zdziwił się komandor.
- Bo proszę o tak niewiele, a obiecuję bardzo dużo - odparł Patyk.
- Aha - mruknął Wedge. - A możesz mi powiedzieć, o co chodzi?
- No cóż, nie mogę, panie komandorze.
- Rozumiem. - Wedge pokręcił głową. - W takim razie nie przeszkadzaj sobie.

Przekształcenie danych zajęło Larze tylko dwie godziny, a po niespełna pięciu następnych minutach pilotka i Wedge ściśle dopasowali nowe dane do miejsca w opanowanym przez Imperium rejonie przestworzy.

- Chyba żartujesz - zdumiał się Janson na widok wyników ich pracy. - Kuat? Wedge wskazał kieszeń bluzy, w której zastępca schował arkusik flimsiplastu.

Janson wyciągnął go, rozłożył i przeczytał zapisane słowo. Brzmiało: Kuat. Gwizdnął.

- To Kuat, teraz już nie mam żadnych wątpliwości - stwierdził Wedge. - Zsinj zamierza zaatakować gwiezdną stocznię systemu Kuata.
- Jak się tego domyśliłeś? - zapytał Janson.
- Jest taki przebiegły, że czasami nietrudno przewidzieć, co zamierza - oznajmił dowódca. - Przekazał nam informacje, z którymi miało się zapoznać tylko ograniczone grono osób, a mimo to zrobił wszystko, żeby nikt nie odgadł prawdziwego celu ataku. Z pewnością inni odbiorcy tych samych informacji są teraz bardzo zadowoleni z siebie, że zidentyfikowali cel jako Coruscant. Będą nieco zdziwieni, kiedy wyskoczą z nadprzestrzeni w sąsiedztwie planet Jądra galaktyki.
- A więc wcale nie chodzi mu o zdobycie sprzętu ani towarów - odezwała się Lara. - Zależy mu na porwaniu gwiezdnego niszczyciela.

Wedge kiwnął głową.

- Gwiezdnego superniszczyciela - sprostował. - Dokładnie jak kilka tygodni temu przewidział Buźka.

Janson rozsiadł się na krześle, przesadnie powoli założył ręce za głowę i oparł obute nogi o blat biurka. Chytrze się uśmiechnął.

- Zsinj oddał się w nasze ręce - powiedział.
- Nie, jeszcze się nie oddał - poprawił go Wedge. - Jeszcze go nie pokonaliśmy. Załóżmy, że naprawdę pokaże się ze swoją flotą w systemie Kuata. Jak sądzisz, co się później stanie?

Wyskoczymy z nadprzestrzeni, żeby go zaatakować? Musielibyśmy dysponować większą częścią floty Nowej Republiki, żeby mu zagrozić, a równocześnie odeprzeć atak sił obrony samego Kuata... które mogą się poderwać z powierzchni bardzo szybko. Ponieślibyśmy zbyt ciężkie straty.

- Może po prostu ostrzeżemy władze Kuata - zaproponowała Lara.

- Nie... z pewnością Zsinj ma tam wielu szpiegów - odparł Wedge. - Nasz wywiad twierdzi, że kuatskie stocznie, zwłaszcza orbitalne, są zaminowane i mogą zostać wysadzone w przypadku inwazji. Zsinj musiał przedsięwziąć jakieś kroki, żeby do tego nie dopuścić. Z pewnością jego szpiedzy nie przeoczą niespodziewanych przygotowań do odparcia inwazji. - Wedge westchnął. - Chyba będziemy musieli pozwolić mu odlecieć z nową zabawką... a potem zaatakować go gdzie indziej.

- Skąd będziesz wiedział, w jakim miejscu? - zdziwił się Janson.

- Laro, znałaś plan Castina - powiedział Antilles. - Chodzi mi o ten tajny program, który zamierzał zainstalować w systemie łączności nad-przestrzennej „Żelaznej Pięści".

Pilotka kiwnęła głową.

- Czy potrafiłabyś go zmienić w taki sposób, żeby przemycić do systemu łączności nadprzestrzennej innego gwiezdnego superniszczyciela?

- Przypuszczam, że tak, panie komandorze - odparła Lara. - Pod warunkiem że wymyślony przez Castina sposób pokonywania zabezpieczeń imperialnych systemów komputerowych nie został uwrażliwiony na osobowość włamywacza.

- Postaraj się to sprawdzić - polecił Wedge, po czym przeniósł spojrzenie na Jansona. - Zamierzam opracować wstępny plan tej operacji i przekonać do niego admirała Ackbara.

- A ja zamierzam się przespać - stwierdził bezceremonialnie zastępca.

- Zajmij się lepiej obliczeniem współrzędnych nadprzestrzennych szlaków, którymi Zsinj może chcieć uciekać z systemu Kuata - poradził niezrażony Antilles. - Podaj mi parametry kilku najbardziej prawdopodobnych punktów, w których może wyskoczyć z nadprzestrzeni, a ja dopilnuję, żeby czyhały tam na niego okręty floty Nowej Republiki.

- To zajęcie podobne do snu, ale o wiele mniej przyjemne - mruknął Wes. Wedge się uśmiechnął i popatrzył na młodą pilotkę. - A jeżeli chodzi o ciebie, Laro, doskonała robota - powiedział. - Jestem ci bardzo wdzięczny.

Z każdą chwilą przygotowania Patyka w kambuzie nabierały coraz większego tempa. Thakwaashanin zdołał nawet nakłonić do współpracy kilka jednostek typu R2 i R5. Astromechaniczne roboty, trzymając w chwytakach niewielkie pędzle, pieczołowicie malowały na zielonym kręgu krzyżujące się czarne kreski. Wyglądały, jakby dziecko wyobrażało sobie źdźbła trawy.

Patyk postawił na skraju okręgu tyczkę, a na niej zawiesił reflektor w taki sposób, żeby oświetlał jaskrawym blaskiem wyłącznie zielony krąg.

Do tej samej tyczki przytwierdził głośniki. Wedge zauważył, że ich kable ciągną się pod sklepieniem do ośrodka łączności w głębi Wąwozu.

Od czasu do czasu Patyk wbiegał do kambuza, a mijający półprzymknięte drzwi piloci Eskadry Widm widzieli, że wydaje różne polecenia Skrzypkowi. Protokolarny android typu 3-PO, który był znakomitym szefem kuchni, ilekroć ktoś potrafił namówić go do gotowania, wyglądał na bardziej zaaferowanego niż zazwyczaj.

Wedge nie zapomniał o wydaniu stosownego rozkazu. Krótko przed ósmą zero, zero przed wejściem do mesy zaczęli się gromadzić piloci Eskadry Widm i pracownicy personelu cywilnego.

- Nie do wiary, że kazałeś mi się tutaj zjawić w wyjściowym mundurze! - jęknął Janson z udawaną urazą. - I to tylko dlatego że poprosił cię o to jakiś Patyk! Znasz mnie dłużej niż jego, więc powinieneś mnie bardziej lubić.

Wedge parsknął.

- Powiedzmy, że zaintrygowała mnie jego tajemniczość - powiedział.

- Tajemniczość? Ja ci pokażę tajemniczość! - mruknął Wes. - Cały jutrzejszy dzień spędzę ze stopami i czołem pomalowanym na czerwono i nikomu nie zdradzę, dlaczego. Czy wówczas będę ci się wydawał wystarczająco tajemniczy?

- Chcesz powiedzieć, że zrobisz wszystko, byle tylko się pozbyć tego munduru? - domyślił się Wedge.

- Wszystko.

Stopniowo, pojedynczo i w małych grupach, pojawiali się pozostali piloci. Niektórzy czuli się w wyjściowych mundurach podobnie jak Janson, inni jednak potraktowali rozkaz komandora niezupełnie poważnie. Prosiak wyglądał na niezadowolonego i raz po raz się drapał. Shalla pytała każdego na osobności, o co w tym wszystkim chodzi, a w końcu odeszła na bok i zaczęła niecierpliwie spacerować tam i z powrotem. Buźka ozdobił wyjściowy mundur tatooińską szarfą piaskowego koloru. Wyglądał jak oficer, który służył na pustynnej planecie tak długo, że przynajmniej do pewnego stopnia upodobnił się do tubylca. Niektórzy mechanicy, pocierając dłonie szmatkami nasączonymi rozpuszczalnikiem, w ostatniej chwili starali się zmyć z palców uparte plamy smaru lub lakieru.

Kiedy w końcu, niespełna minutę po wyznaczonej godzinie, przyszedł Donos, Patyk wciąż jeszcze krzątał się w kambuzie. Polecił wyłączyć główne oświetlenie Wąwozu, ale ciemności rozjaśniał blask kilku nowych reflektorów i płonących pod sklepieniem fałszywych gwiazd. W końcu Thakwaashanin wyszedł z pomieszczenia. Wyglądał dziarsko w wyjściowym mundurze.

- Moi przyjaciele - zaczął, wykonując rękami teatralne gesty. - Cieszymy się ogromnie, że postanowiliście przyjąć nasze zaproszenie.

Po tych słowach tu i ówdzie rozległy się chichoty, ale Patyk nie sprawiał wrażenia speszonego.

- Jesteśmy zmuszeni przyznać, że może przypadkiem wprowadziliśmy w błąd komandora Antillesa, kiedy opowiadaliśmy mu o tym wydarzeniu - podjął po chwili. - Prawdopodobnie doszedł do przekonania, że to thakwaashańska ceremonia.

Wedge zaplótł ręce na piersi i obrzucił podwładnego surowym spojrzeniem.

- Przypadkiem wprowadziliśmy w błąd? - powtórzył.

- No cóż, trzeba byłoby zapytać o to tego Patyka, z którym rozmawiał pan dzisiejszego popołudnia - stwierdził pilot. - Nie jesteśmy nim w tej chwili.

- Jesteśmy w tej chwili Patykiem, który robi uniki i wycofuje się, kiedy zarzuca mu się błędy w postępowaniu? - zapytał Wedge takim tonem, jakby domyślił się prawdy.

Thakwaashanin wyszczerzył w uśmiechu ogromne białe zęby, aż błysnęły w półmroku Wąwozu.

- Widzę, że Kell nie omieszkał udzielić panu kilku lekcji na temat tego, kim możemy być w danej chwili - powiedział. - Ale do rzeczy. Tę ceremonię podpatrzyliśmy u oficerów sił zbrojnych Nowej Republiki. Nazywa się uroczysta potańcówka. Namalowaliśmy trawnik. Wstąpcie na niego i zatańczcie pod gwiazdami.

Piloci Eskadry Widm i pracownicy personelu pomocniczego spojrzeli po sobie, jakby chcieli bez słów uzgodnić, który pierwszy ma wezwać żandarmów albo lekarzy psychiatrów. Prosiak sapnął.

- A jeżeli odmówimy? - zapytał. Patyk wyglądał na zaskoczonego.

- Będziemy żywili do niego sporą urazę, a ponieważ to obowiązkowa ceremonia, więc go zastrzelimy - odparł z powagą.

Kell podszedł bliżej, chwycił go za porośnięte sierścią uszy i żartobliwie potarmosił.

- Patyku! - powiedział. - To był taki żart... żart w ludzkim stylu. Jestem z ciebie bardzo dumny.

Thakwaashanin znów się uśmiechnął.

- Jesteśmy bardzo zadowoleni, że jesteś z nas dumny - przyznał z powagą.

Kell stanął pośrodku absurdalnego parkietu i wyciągnął rękę. Tyria podeszła do niego i z uśmiechem przyjęła zaproszenie. Tainer spojrzał znacząco na Patyka, który dał jakiś znak Klockowi. Strzegący tyczki z reflektorem astromechaniczny robot Tyrii pokręcił kopułką i nagle wszyscy usłyszeli głośne dźwięki muzyki. Wedge zorientował się, że to uroczysty taniec z Alderaana. Patyk wyciągnął rękę w stronę Klocka i powoli ją opuścił, żeby natężenie dźwięków osiągnęło niższy poziom.

Uśmiechając się do siebie, Kell i Tyria zaczęli tańczyć, jakby zapomnieli o reszcie otaczającego ich wszechświata.

Janson westchnął.

- Chyba wydam rozkaz, żeby ktoś zastrzelił tego Thakwaashanina - mruknął. Wedge obdarzył zastępcę wyrozumiałym uśmiechem.

- Zaczekaj na efekty, zanim zaczniesz wymierzać karę - powiedział.
- Teraz znów mówisz jak generał - odciął się Wes.
- Och, to był cios poniżej pasa.

Kilka sekund później na parkiet wskoczyła Shalla, która zaprosiła do tańca Donosa. Wedge zobaczył, że jedna z podwładnych Cubbera ciągnie na parkiet szefa mechaników, który wyrywał się i wydawał nieartykułowane pomruki.

Janson odwrócił się do Twi'lekanki.

- Zatańczysz ze mną, skrzydłowo? - zapytał. Dia wyglądała na zaskoczoną jego propozycją.
- Nie mam pojęcia, jak - przyznała.
- Sądziłem, że jesteś tancerką - zdziwił się Wes.
- Ale innego rodzaju - wyjaśniła Twi'lekanka. - Nigdy nie tańczyłam z kimś, zawsze sama... ku uciesze innych osób.
- Najwyższy czas się nauczyć. - Chwycił ją za rękę i poprowadził na zielony krąg parkietu.

Wedge pozostał sam.

Obserwował, jak pozostali także wchodzą na parkiet. Niektórzy się śmiali, inni wyglądali, jakby robili to dla świętego spokoju albo sprawiali wrażenie pogodzonych z losem. Przyglądał się, jak Patyk wraca do kambuza i wynosi stamtąd ze Skrzypkiem długi stół. Zaraz zaczęli rozkładać na nim sztućce i ustawiać naczynia. Przygotowali wprawdzie codzienną kolację, ale włożyli sporo wysiłku, żeby wyglądała jak uroczysta uczta. Kiedy skończyli i android wrócił do kambuza, Wedge postanowił zamienić kilka słów z Thakwaashaninem. Patyk ciął właśnie kulę dojrzałego sera na plasterki i układał je na tacy.

- Znakomity pomysł i doskonała robota, Patyku - powiedział. Podwładny wyprostował się i omal nie zasalutował.
- Bardzo przepraszam, panie komandorze - powiedział. - Przestraszył nas pan. Wrócił do krojenia sera.

- Nie musisz mnie przepraszać - oznajmił Wedge. - Nie musisz także zwracać się do mnie tak formalnie. To towarzyska ceremonia, nie oficjalna. Jakim cudem wpadłeś na taki pomysł?
- Chodzi o tę potańcówkę? - domyślił się Thakwaashanin. - Właściwie to był pański pomysł, panie... uhm, koman... uhm, Wedge. - Patykowi najwyraźniej z trudem przeszło to przez gardło. - Gdy przechodziłeś obok mnie, rozmawiałeś z porucznikiem Jansonem o uszczerbku, jakiego może doznać morale pilotów Eskadry Widm po śmierci Castina. Kiedy ludzie doznają jakiegoś uszczerbku, nie siedzą z założonymi rękami, lecz starają się coś z tym zrobić.

- Ale dlaczego właśnie potańcówka? - nie dawał za wygraną Antilles. Patyk długo się zastanawiał nad odpowiedzią.

- Zaobserwowaliśmy, że u ludzi z Nowej Republiki taniec czasami coś oznacza, a czasami nie.

Na przykład bywa czynnością łączenia się w pary. Wspiera tworzenie par. Pomaga w opiekowaniu się partnerami. Ułatwia wzajemne poznawanie się partnerów. Ostatnio piloci Eskadry Widm bez przerwy zaglądali śmierci w oczy. Tymczasem łączenie się w pary oznacza życie. To właśnie dlatego warto nadal żyć. Jaki może być lepszy sposób odwrócenia uwagi od śmierci niż skierowanie jej na partnera... bliskiego albo dalekiego?

Wedge zastanowił się nad tym, co usłyszał.

- Patyku, obawiam się, że właśnie awansowałeś na stanowisko oficera od morale - odezwał się w końcu.

Thakwaashanin wydał dźwięk pośredni między parsknięciem a kaszlnięciem.

- Uprzedzono nas, że pod twoim dowództwem nie można zrobić niczego dobrego, co nie przerodziłoby się w obowiązek - powiedział.

- Czy to miał być następny dowcip? - zapytał Wedge.
- Taką mamy nadzieję. Antilles się uśmiechnął.

- Staraj się tak nadal, Patyku - powiedział. - Doskonała robota. Odwrócił się, żeby odejść.

- Nie zatańczysz? - zdziwił się Thakwaashanin. Wedge przystanął i obejrzał się przez ramię.

- Zatańczę raz przez grzeczność, ale potem zniknę - powiedział. - Kiedy odejdę, moi podwładni poczują się o wiele swobodniej.

- A co z twoim morale? - zaniepokoił się Patyk.
- Właśnie je poprawiłeś - stwierdził Wedge, lekko się uśmiechając.

Buźka obserwował, jak tańczące pary wirują w rytm alderaańskiego walca. Nagle poczuł dotyk czyichś dłoni i w następnej chwili też znalazł się na parkiecie.
Odwrócił się, żeby spojrzeć w oczy napastnika... i przekonał się, że to Lara. Udając przerażenie, uniósł ręce w obronnym geście, ale pilotka chwyciła je i zmusiła go do tańca.

- To jawny bunt - zauważył Garik.

- Przedstaw mnie do raportu - zażartowała Lara. - Przynajmniej nie będę musiała brać udziału w następnej wyprawie na pokład „Żelaznej Pięści".

- Słuszna uwaga - mruknął Garik. - Kto wie, może i ja się zbuntuję.

- A poza tym, miałam szczególne prawo zaprosić cię do tańca - ciągnęła pilotka. - To przecież dzięki tobie trafiłam do tej eskadry.
- To prawda - przyznał Buźka, ale w następnej sekundzie poczuł, że opuszcza go cała radość. -

No cóż, obaj cię do niej ściągnęliśmy, ja i Ton - dodał po chwili.

- Nie chciałam sprawiać ci przykrości - zapewniła Lara. - Wiem, że byliście bliskimi przyjaciółmi, ale od jego śmierci chyba ani razu nie uśmiechnąłeś się ani nie zażartowałeś.

- Poznałem go zaledwie kilka tygodni temu - powiedział cicho Buźka - ale już pod koniec drugiego dnia kończyliśmy nawzajem rozpoczęte zdania i byliśmy tak nieznośni, że doprowadzaliśmy wszystkich wokół do szału.

- Teraz musisz być nieznośny za was obu - stwierdziła pilotka. - Phanan byłby tym zachwycony.

- Na pewno. - Buźka uśmiechnął się do niej. - Świetnie tańczysz.

- Ty też.

- Musiałem się nauczyć, żeby dobrze wyglądało na imperialnych hologramach. A gdzie i kiedy ty się nauczyłaś?

- Dawno temu, na Coruscant - odparła bez namysłu pilotka.

- Dawno temu? - zdziwił się Garik.

Lara zesztywniała, ale zaraz odprężyła się i uśmiechnęła.

- No cóż, wydaje mi się, jakby to było dawno temu - powiedziała. - Mam wrażenie, że kurs pilotażu ciągnął się całe lata.

- Chyba wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

- Tego tańca nauczyłam się na Coruscant - ciągnęła Lara. - Ale na Aldivie także tańczyliśmy cały czas. Taniec był bardzo ważnym elementem życia towarzyskiego. To właśnie podczas tańców młodzi się spotykali, a rodziny prowadziły handel wymienny.

Może to dziwne, ale chociaż wspominała życie, do którego nie mogła wrócić, nie wyglądała na zasmuconą ani przygnębioną.

- Więc dlaczego zaciągnęłaś mnie na parkiet? - spytał Garik. - Czyżbyś po prostu zamierzała sprawić przyjemność nowemu skrzydłowemu?

- To też, ale głównie chciałam cię usidlić - przyznała Lara.

- Nie chcę cię rozczarować, ale nie jesteś pierwszą kobietą, która ma wobec mnie takie zamiary - powiedział Buźka.

Lara uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Ach, ale ile kobiet uwiodło cię, a potem porzuciło? - zapytała.

W tej chwili taniec osiągnął fazę, w której bardziej konserwatywne pary tworzyły krąg, a młodsi i śmielsi unosili ręce i wirowali obok swoich partnerów - mężczyźni w lewo, kobiety w prawo - żeby w tej samej chwili znów zwrócić się ku sobie. Unosząc ręce, Lara dała do zrozumienia, że chce wykonać tę skomplikowaną figurę.

Buźka odwrócił się plecami do niej, ale poczuł, że jego dłoni dotknęły jakieś inne palce. Kiedy zakończył obrót, znalazł się oko w oko z równie zdumioną Dią Passik. Lara i Janson, którzy obecnie tańczyli razem, wyglądali na bardzo zadowolonych z siebie. Wkrótce potem wycofali się w inne

miejsce kręgu i stamtąd im pomachali.

Z postawy Twi'lekanki i napiętych mięśni wynikało, że istota nie czuje się swobodnie w tańcu, ale uśmiechnęła się odważnie do Garika.

- Chyba wystrychnięto mnie na dudka - powiedziała.

Buźka dostosował rytm kroków do bardziej powściągliwych ruchów Dii.

- Kiedy wpadli na taki pomysł? - zapytał.

- Widziałam, że zanim Lara zaczęła z tobą tańczyć, dawała jakieś znaki porucznikowi Jansonowi - odparła pilotka. - Przypuszczałam jednak, że to tylko flirt.

- No cóż, chyba oboje zostaliśmy uwiedzeni i porzuceni - stwierdził Buźka.

- Nie sądzę, żeby tylko o to chodziło - sprzeciwiła się Twi'lekanka. - Wydaje mi się, że to zamierzone działanie. Wszystko przez to, co kiedyś powiedziałam.

- A co takiego powiedziałaś? - zainteresował się Garik.

- To, że... - zaczęła pilotka i urwała, jakby chciała się zastanowić, co powiedzieć. - Że chciałam z tobą porozmawiać, ale zarazem obawiałam się tej rozmowy.

- Nie sądziłem, że jestem taki groźny - zdziwił się Buźka. - Zwłaszcza dla kogoś, kto nigdy nie oglądał moich holodramatów.

Uśmiechnęła się rozbawiona.

- Nie - odparła. - Chodziło o to, że nie wiedziałam, jak się wysłowić, gdy już zacznę z tobą tę rozmowę. Nie miałam pojęcia, kim będę, kiedy w końcu do niej dojdzie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zdziwił się Garik. - Jaki miałaś wybór?

- Mogłam się nazywać Dia Passik albo Diap'assik.

- Mogłaś być pilotką, którą się stałaś, albo małą twi'lekańską dziewczynką, którą porwano dawno temu z Rylotha - domyślił się Buźka.

Twi'lekanka kiwnęła głową i sposępniała.

- Kiedy się obudziłam następnego dnia po powrocie z wyprawy na pokład „Żelaznej Pięści", stwierdziłam, że nie jestem ani jedną, ani drugą - zaczęła. - Byłam kimś pośrednim między dziewczyną, którą od dawna uznałam za umarłą, a istotą zbyt krwiożerczą, żebym ją polubiła. Zaczęłam się jednak zastanawiać nad wszystkim, co mi się przydarzyło poprzedniego dnia, i ucieszyłam się, że żyję. Chciałam ci podziękować, że nie pozwoliłeś mi umrzeć.

Wypowiedziała te słowa jednym tchem, jakby się obawiała, że ktoś ją powstrzyma. Napięła mięśnie i spojrzała na Buźkę, jakby w obawie, że może ją uderzyć.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Garik.

Zastanawiał się, dlaczego z takim trudem zdobyła się na to wyznanie. Spróbował się postawić na jej miejscu... Była najpierw porwanym dzieckiem, potem niewolnicą imperialnego właściciela, a w

końcu pilotką walczącą o miejsce dla siebie pośród istot, których nie znała i z których tylko kilka było istotami jej rasy. Nigdy przedtem nie wyrażała się przychylnie o innych Twi'lekach, więc możliwe, że winiła ziomków za to, że nie zapobiegli jej porwaniu.

Nie bardzo potrafił zrozumieć drogę, jaką przeszła, ale kiedy się starał to pojąć, olśniła go nagle myśl.

- Dio, kiedy ostatni raz się odprężyłaś? - zapytał.
- Odprężam się cały czas - odparła Twi'lekanka.
- Wtedy, kiedy jesteś sama? - domyślił się Garik.

- Tak.

- Chodziło mi o to, kiedy ostatni raz czułaś się swobodnie pośród innych istot - uściślił Buźka. - Kiedy czułaś się bezpieczna w czyimś towarzystwie?

Pilotka się zastanowiła, jakby powędrowała myślami ku przeszłości.

- Swobodnie? - powtórzyła w końcu. - Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że kiedy byłam mała. A bezpieczna? - Wzdrygnęła się i chyba wróciła myślami do teraźniejszości. Spróbowała uwolnić się z objęć Garika. - Dziękuję ci za taniec - powiedziała. - Chyba czas już na mnie.

Buźka jednak jej nie puścił.

- Wiem, że jestem wścibski, Dio - zaczął - ale jeżeli nie będziesz ze mną teraz szczera, czy kiedykolwiek komuś się zwierzysz ze swoich problemów?
- Chyba bym nie umiała - wyznała Twi'lekanka.
- Możesz porozmawiać ze Skrzypkiem - zaproponował Garik. - Przyda mu się jakieś towarzystwo.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, a w końcu się uśmiechnęła i zaniechała dalszych prób wyślizgnięcia się z jego objęć.

- Znów żartujesz - powiedziała. - Czasami trudno mi się zorientować, kiedy jesteś poważny.
- Mnie także sprawia to pewien kłopot - przyznał Buźka.

Tańczyli w milczeniu kilka minut, na tyle długo, żeby z głośnika zaczęły się wydobywać wolniejsze i bardziej nastrojowe dźwięki tańca z Chandrili. Potem pilotka odezwała się tak cicho, że Garik tylko z trudem usłyszał jej słowa:

- Ostatni raz czułam się bezpieczna całkiem niedawno - wyznała.
- Kiedy to było? - zapytał Garik.
- Kiedy przeżywałam najtrudniejszą chwilę życia - odparła Dia. - Kiedy zastrzeliłam Castina. Kiedy zbezcześciłam zwłoki odważnego mężczyzny i udawałam, że sprawia mi to wielką radość.

Kiedy próbowałam się zabić, a ty mi nie pozwoliłeś. Zanim zasnęłam, uświadomiłam sobie, że nie pozwolisz nikomu mnie skrzywdzić. Nie dopuścisz nawet, żebym sama zrobiła sobie krzywdę. Właśnie wtedy poczułam się bezpieczna... chyba pierwszy raz od czasu, kiedy byłam dzieckiem.

Garik spojrzał w jej oczy... tak wielkie i świetliste, że nie mogły być oczami Dii. Już kiedyś je widział, ale nie znał ich właścicielki. Nie znał istoty, która się narodziła dopiero podczas wyprawy na pokład „Żelaznej Pięści".

- Właśnie to chciałam ci powiedzieć, ale aż do tej pory nie wiedziałam, jak - ciągnęła Twi'lekanka. - Pragnęłam ci uświadomić, że wiem, jak się czujesz. Wydaje ci się, że zawiodłeś Tona Phanana, ale zapewniam, że nie zawiodłeś mnie.

Garik ujął jej głowę w obie dłonie i pocałował pełne wargi. Oszołomiła go ich słodycz i aromat, tak niepodobny do żadnego, jaki czuł całując się z kobietami. Poczuł na karku dotyk jej palców. Otoczeni przez wirujące wokół pary, stali jakiś czas bez ruchu pod mrugającymi gwiazdami.

ROZDZIAŁ 17

- Naszym celem są prawie na pewno gwiezdne stocznie w systemie Kuata - poinformował Antilles pilotów zgromadzonych w zatłoczonym konferencyjnym module bazy Jastrzębionietoperzy. Wskazał holograficzny obraz unoszący się nad stołem w niewielkim pomieszczeniu. Przedstawiał słońce, wokół którego krążyło wiele orbitalnych stacji i planet. Wedge jeszcze raz pomyślał z żalem, że nie dysponuje odpowiednio dużą salą konferencyjną.

Sięgnął po wskaźnik i zatoczył krąg wokół pierścienia ze zdumiewającą liczbą orbitalnych stoczni otaczających system poza orbitą najbardziej oddalonej od słońca planety.

- To główne stocznie systemu Kuata, słynne Kuat Drive Yards - podjął po chwili. - Nie jest to jednak jedyne miejsce, w którym konstruuje się gwiezdne okręty.

Wskazał jedną z planet.

- To sam Kuat - oznajmił. - Po orbicie wokół niego krążą także doki rezerwowe. Zsinj przekazał Jastrzębionietoperzom dosyć szczegółowe informacje, a wśród nich wyliczenia opóźnień, jakich możemy się spodziewać, zanim zdecydujemy się na powrót do nadprzestrzeni. Są większe, niż gdybyśmy mieli do czynienia z łańcuchem krążących po odległych orbitach satelitów. Co więcej, z informacji na temat szybkości reakcji obronnej floty, która pojawi się na miejscu akcji, także wynika, że najbardziej prawdopodobnym celem ataku jest orbita Kuata. Z drugiej strony jednak Wywiad Nowej Republiki nie zdołał potwierdzić, że jest tam konstruowany wielki okręt, a co dopiero gwiezdny superniszczyciel, więc nie możemy być pewni, że naprawdę chodzi o stocznie samej planety. Musimy więc brać pod uwagę także inną planetę, stocznię nie-okrążającą żadnej planety, a nawet każdą inną stocznię w tym systemie.

Piloci Eskadry Widm słuchali jego wywodu z wielkim ożywieniem. Wyglądali na mniej przygnębionych i bardziej pewnych siebie, a niektórzy nawet na zadowolonych z dotychczasowych osiągnięć i gotowych do następnej walki. Kolejny raz Wedge podziękował zrządzeniu losu, który sprowadził do jego eskadry Patyka Ekwesha.

- Prosiak doszedł do kilku wniosków na temat tej wyprawy i chciałby was z nimi zapoznać - podjął po chwili. Odwrócił się do Gamorreanina. - Mogę cię prosić?

Pilot chciał wstać, ale po namyśle zrezygnował. Powinien wprawdzie wygłaszać mowę stojąc,

ale wokół stołu w konferencyjnym module było na to po prostu zbyt mało miejsca.

- Jeszcze raz muszę zwrócić waszą uwagę na problem Zsinja i piratów - zaczął. Jego generowany przez elektromechaniczne urządzenie głos wprawiał w drżenie blat stołu i stojące na nim kubki z kafeiną. - Tym razem mogę to zrobić, opierając się na dowodach, a nie tylko na przypuszczeniach. Zakładamy, że Zsinjowi chodzi o zdobycie następnego superniszczyciela. Poprosił, żeby Jastrzębionietoperze także wzięły udział w tej wyprawie. Jestem przekonany, że będziemy stanowić tylko część większej grupy najemników i piratów, których zadaniem ma być otoczenie gigantycznego okrętu ochronną tarczą, ale dopiero, kiedy superniszczyciel wyleci z orbitalnej stoczni.

Kell zamachał rękami, żeby zwrócić jego uwagę.

- Pominąłeś coś w swoim rozumowaniu - powiedział. - Skąd wiesz, że mamy zostać wcieleni do grupy najemników i piratów? I dlaczego uważasz, że wkroczymy do akcji dopiero, kiedy superniszczyciel będzie odlatywał z orbitalnej stoczni?

- Z punktu widzenia Zsinja optymalna skuteczność wymaga przedsięwzięcia kilku niezbędnych kroków - wyjaśnił Prosiak. - Lord nie może, na przykład, wyskoczyć z nadprzestrzeni pośrodku systemu Kuata i cierpliwie czekać, aż jego żołnierze wedrą się na pokład nowego okrętu. Z pewnością zajęłoby to dużo czasu, a w tym czasie wojska obrony Kuata zdążą się znaleźć na miejscu akcji. Oznacza to, że...

...opanowanie nowego superniszczyciela musi się zakończyć, zanim „Żelazna Pięść" wskoczy do systemu Kuata - domyślił się Tainer. Prosiak pokiwał głową.

- Zgadza się - powiedział. - Kiedy tylko nowy okręt opuści stocznię, a może nawet jeszcze wcześniej, do akcji przyłączy się flota obronna Kuata, żeby go odzyskać... albo zniszczyć.

- Przypuszczam, że to wtedy Zsinj wyśle do systemu „Żelazną Pięść" na czele najsilniejszej floty, jaką uda mu się zgromadzić - stwierdził Wedge. - Flota będzie działała jako tarcza ochronna nowego super-niszczyciela do chwili, aż porwany okręt znajdzie się wystarczająco daleko od najbliższej grawitacyjnej studni, żeby dokonać skoku do nadprzestrzeni.

- Jeżeli w początkowej fazie piraci z różnych band, a więc także Jastrzębionietope-rzy, wezmą na siebie cały ciężar walki z obrońcami Kuata, Zsinj straci mniej pilotów swoich eskadr myśliwców typu TIE - ciągnął Prosiak. - Piraci z rozgromionych band, którzy przeżyją - a najprawdopodobniej ocaleją tylko najlepsi - z pewnością zaczną się rozglądać za nowym pracodawcą.

Dia zmarszczyła brwi.

- Bardzo przepraszam, Prosiaku, ale czy to wszystko nie są tylko domysły? - zapytała.

Gamorreanin pokiwał głową.

- Uzasadnione domysły - poprawił z naciskiem.

- A jeżeli wszyscy się mylicie?

Prosiak spojrzał najpierw na Antillesa, a potem na Jansona.

- Nikt by nam nie darował, gdybyśmy wszyscy trzej aż tak się pomylili - powiedział.

Twi'lekanka uśmiechnęła się z przymusem.

- Prosiaku, a jeżeli ty się mylisz?
- Będziemy improwizowali - wtrącił się Wedge. - Doszliśmy do wniosku, że najbardziej prawdopodobny jest właśnie taki scenariusz planu Zsinja, ale bez względu na rozwój sytuacji na polu walki, nasze cele pozostają takie same. Ich przedstawienie może być bardzo proste, nawet jeżeli wykonanie okaże się bardzo trudne. Zanim do tego dojdę, musimy pamiętać, że to nasza najlepsza okazja rozprawienia się z „Żelazną Pięścią" i Zsinjem. Wszystko inne, a więc osobiste bezpieczeństwo, a nawet możliwość przeżycia, musi ustąpić na dalszy plan. - Powiódł spojrzeniem po twarzach pilotów i zauważył, że po jego słowach sposępnieli. - Nie każę nikomu brać udziału w samobójczym ataku, ale powinniście mieć na uwadze cele wyprawy i możliwe koszty, z którymi i ja się muszę liczyć. Zsinj jest sprawcą wielu zbrodni i nie zawaha się przed popełnianiem następnych, jeżeli mu na to pozwolimy. Musimy zadać sobie pytanie, czy gdybyśmy mogli położyć kres jego działalności za cenę życia, staralibyśmy się je oszczędzać? Oto nasze cele. Pierwszy i najważniejszy to zainstalowanie nadajników na pokładzie „Żelaznej Pięści" i nowego superniszczyciela albo przynajmniej jednego z tych okrętów. Możemy to osiągnąć na jeden spośród kilku sposobów. Pierwszym jest program opracowany przez Castina. Możliwe, że ktoś z nas, kogo Zsinj wcieli do pierwszej grupy komandosów, zainstaluje program w pamięci pokładowego komputera. Drugim sposobem jest przytwierdzenie do kadłuba okrętu nadajnika standardowego komunikatora. Takie urządzenie byłoby wprawdzie mniej subtelne niż program Castina, ale wysyłałoby sygnały wtedy, gdyby z głównych nadajników okrętu korzystał oficer łącznościowiec. Spodziewamy się, że pozwoli to opóźnić wykrycie naszego nadajnika. Trzecim sposobem jest przemycenie kogoś na pokłady obu okrętów albo jako pasażera na gapę, albo jako stałego współpracownika Zsinja.

Celem numer dwa jest przeżycie i wyeliminowanie z dalszej walki tylu nieprzyjaciół, ilu się da. Pamiętajcie, że chociaż obrońcy Kuata są nieprzyjaciółmi lorda, są również naszymi wrogami. Dochowują wierności szczątkom Imperium, więc im więcej strat im zadamy, tym lepiej przysłużymy się Nowej Republice. Jakieś pytania?
Donos uniósł rękę.

- Jakie będą nasze indywidualne role do odegrania podczas tej wyprawy? - zapytał.

Janson wystukał na klawiaturze osobistego notatnika jakieś polecenie i zamiast hologramu systemu Kuata nad stołem pojawił się wykaz obowiązków poszczególnych pilotów Eskadry Widm.

- Będziemy działali w dwóch, a może nawet, jak mam nadzieję, w trzech grupach - zaczął. - Grupa pierwsza to Jastrzębionietoperze. W jej skład wchodzą: komandor Antilles, Dia, Kell, Buźka, Tyria i Prosiak. Będą latali, strzelali i zabijali. Grupa druga to Dywersanci. Lara spreparowała fałszywe tożsamości dla siebie, Shalli i Dii i przekazała je Zsinjowi. - Przeniósł spojrzenie na panią

podporucznik Notsil. - Nie zapomniałaś o tym, prawda, Laro? - zapytał. - To dobrze. Liczymy na to, że lord wybierze kogoś z tej grupy, jedną albo może nawet dwie osoby, żeby towarzyszyły pozostałym członkom pierwszej grupy komandosów. Przypuszczamy, że jej zadanie będzie polegało na opanowaniu nowego superniszczyciela. Grupa trzecia to Eskadra Widm, do której należą wszyscy pozostali. Polecą tęponosymi myśliwcami na spotkanie z „Mon Remondą" i wezmą udział w bitwie, do jakiej dojdzie po wykryciu porwanego okrętu. Spodziewamy się, że Zsinj zdecyduje się na wykonanie tylko krótkiego skoku z systemu Kuata przez nadprzestrzeń, bo nie zechce ryzykować awarii niewypróbowanych jednostek napędu nadświetlnego. Rozmieścimy elementy floty Nowej Republiki, to znaczy okręty pod dowództwem generała Solo i wszystkie inne, które zdołamy ściągnąć, możliwie jak najbliżej punktów usytuowanych w sąsiedztwie prawdopodobnych tras ucieczki super-niszczyciela z orbitalnej stoczni. Naturalnie, punkty te będą się znajdowały daleko od głównych szlaków wojskowych i handlowych, co ma istotne znaczenie, bo będziemy działali w głębi opanowanego przez Imperium rejonu przestworzy. Zaczaimy się tam i zaczekamy na sygnał któregoś nadajnika. Jeżeli będziemy mieli szczęście i jeśli upłynie wystarczająco dużo czasu między pomyślnym porwaniem okrętu ze stoczni Kuata a odebraniem sygnału z pokładu „Żelaznej Pięści", biorący udział w pierwszej części operacji Jastrzębionietoperze przyłączą się do pilotów Eskadry Widm i także wezmą udział w trzeciej fazie operacji.

- A po odebraniu tego sygnału wskakujemy do normalnych przestworzy i spuszczamy ciężki młot na „Żelazną Pięść" i nowy super-niszczyciel, tak? - zapytał Donos.

- Zgadza się - odparł Wedge. - Zajmijcie się przygotowaniami do wyprawy. Przypuszczam, że Zsinj nie każe nam długo czekać, ale nie wiemy, kiedy się odezwie, więc trzeba zacząć jak najszybciej. Buźko, musimy mieć przebrania dla każdego, kogo Zsinj zechce dołączyć do pierwszej grupy. Kellu, przekażesz wybranym przez Zsinja osobom dodatkową broń, materiały wybuchowe, detonatory i tak dalej. Muszą mieć jak najwięcej szans powrotu do nas, gdyby sytuacja na polu walki nie potoczyła się po naszej myśli. Jakieś pytania? Żadnych? No to bierzcie się do roboty.

Wiadomość od Zsinja nadeszła jeszcze tego samego dnia po południu. Zawierała współrzędne kursu, którym rzekomi piraci mieli lecieć na spotkanie, ale wszyscy podejrzewali, że u celu natkną się na jeszcze jednego kierunkowego satelitę. Zsinj wyraził także życzenie, aby do pierwszej grupy dołączyła Qatya Nassin. Tak brzmiał pseudonim Shalli Nelprin, kiedy odgrywała rolę piratki z bandy Jastrzębio-nietoperzy.

Kilka godzin później piloci zgromadzili się w hangarze.

Shalla wyglądała jak ktoś zupełnie obcy. Dzięki troskliwym staraniom Buźki jej włosy przybrały przeraźliwie biały kolor, a lewe oko otaczał krąg białego makijażu. Jeżeli dodać do tego sztucznie uwydatnione kości policzkowe, jej twarz miała obecnie zupełnie inny wygląd. Shalla była ubrana w fałdzistą cywilną suknię, bo wszyscy byli pewni, że Zsinj i tak każe jej się przebrać w kombinezon, podobny do tego, w jakie mieli być ubrani dywersanci z pierwszej grupy komandosów.

Dia, Kell, Buźka, Tyria i Prosiak także mieli na twarzach charakteryzację i byli ubrani w typowe dla piratów z bandy Jastrzębionietoperzy szare kombinezony pilotów myśliwców typu TIE. Janson, Patyk, Donos i Lara mieli na sobie regulaminowe pomarańczowe, białe i czarne kombinezony pilotów gwiezdnych myśliwców Nowej Republiki.

- Komandor się spóźnia - stwierdził w pewnej chwili Garik. - Czyżby coś się stało?

- Nic podobnego - zapewnił go Janson. - Nie może mieć żadnych dodatkowych obowiązków ani spraw do załatwienia w ostatniej chwili. Nie musi się też zastanawiać, czy nie zawiedzie któryś etap planu, więc spóźnia się tylko dlatego, żebyście mieli czas lepiej się wczuć w nowe role.

- Tak przypuszczałem - mruknął Buźka.

Kiedy piloci Eskadry Widm czekali na pojawienie się Antillesa, członkowie załogi „Słonecznej Trawy" kończyli wykonywać ostatnie procedury przedstartowe. W pewnej chwili włączyli na próbę repulsory i zaczekali, aż archaiczny transportowiec uniesie się metr w powietrze i ponownie osiądzie na płycie lądowiska. Statek nie mógł wylecieć, dopóki do pilotów nie dołączy Shalla, a potem kapitan i tak musiał zaczekać w pobliżu asteroidy, aż Jastrzębionietoperze wlecą do ładowni swoimi myśliwcami i maszynami przechwytującymi typu TIE.

- Baczność! - wykrzyknął nagle Janson.

Na widok zbliżającego się dowódcy jego podwładni stanęli w mniej więcej równym szeregu i przyjęli postawę zasadniczą. W przeciwieństwie do pozostałych Jastrzę-bionietoperzy Wedge był ubrany w tradycyjny czarny kombinezon imperialnego pilota myśliwca typu TIE, ale z pewnymi różnicami, których zauważenie zajęło Garikowi kilka sekund. Wszystkie zazwyczaj błyszczące czarne powierzchnie, jak hełm czy aparatura do oddychania, były obecnie matowe. W oczy rzucały się także przyszyte na piersi i rękawach kombinezonu metalowe kółka. Wedge niósł na ramieniu sporą płócienną torbę w kształcie cylindra, ale kiedy stanął przed szeregiem pilotów Widm, postawił ją obok siebie na płytach pokładu.

- Nie zamierzam wygłaszać napuszonej i bezsensownej mowy na temat tego, dlaczego tu jesteśmy - zaczął bez jakiegokolwiek wstępu. - To dobre dla tłumów, nie dla pilotów gwiezdnych maszyn. Chciałem wam jednak coś powiedzieć. Widma musiały uczyć się szybko, szybciej niż piloci jakiejkolwiek innej jednostki, w której służyłem albo którą dowodziłem. Ubolewam z powodu tempa waszej edukacji. Wiem, że była męcząca i bolesna, ale jestem zadowolony, że się tyle nauczyliście. Ostatnie wydarzenia, a zwłaszcza wymyślona przez Patyka potańcówka i zachowanie niektórych spośród was podczas tej zabawy przekonały mnie, że nauczyliście się czegoś jeszcze, zarówno jako indywidualni piloci, jak i jako eskadra. Nowa lekcja polegała na wzajemnym troszczeniu się o siebie. Do tej pory stało się to waszą drugą naturą. Musicie o tym pamiętać dzisiaj może bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Jeżeli nie zapomnicie, więcej osób przeżyje.

Powiódł spojrzeniem po twarzach podwładnych, zatrzymując się na każdej krótką chwilę.

Nie zobaczył u nikogo niezachwianej pewności siebie. Kell, podobnie jak przed większością poprzednich wypraw, wyglądał na zdenerwowanego, a Tyria poświęcała chyba więcej uwagi jemu niż słowom dowódcy. Dia sprawiała wrażenie przerażonej.

Oczy miała otwarte szerzej niż zazwyczaj, a maskę dawnej bezwzględności zastąpiła niepewność. Buźka miał na twarzy kolekcję paskudnych blizn i tak dobrze wczuwał się w rolę generała Kargina, że wyglądał jak obca osoba. W oczach wszystkich malowało się jednak pragnienie zakończenia wyprawy sukcesem... nawet za wszelką cenę.

- Tym, którzy wierzą w Moc, życzę, żeby była z nimi i prowadziła ich do zwycięstwa - zakończył Antilles. - Tym zaś, którzy w nią nie wierzą, radzę, żeby pokładali zaufanie w instynktach, systemach uzbrojenia i w skrzydłowych. - Klasnął w dłonie. - Spocznij. Do dzieła, moi drodzy!

Piloci się rozeszli, wymienili uściski i skierowali do gwiezdnych maszyn. Ubrani w szare kombinezony piloci z bandy Jastrzębionietoperzy mieli zaczekać, aż „Słoneczna Trawa" znajdzie się w przestworzach, a potem wlecieć maszynami typu TIE do jej ładowni. Dopiero wtedy ubrani w pomarańczowe kombinezony piloci Eskadry Widm mieli sprowadzić wszystkie myśliwce typu X-wing do hangarów czyhającej poza orbitą najdalszej planety systemu Halmada „Mon Remondy". Za każdym razem - oprócz ostatniego - mieli wracać na pokładzie „Narry".

Kiedy oddalili się na tyle, że nie mogli go usłyszeć, Wedge zwrócił się do zastępcy.

- Wes, zechciałbyś poświęcić mi kilka sekund? - zapytał.

Podniósł płócienny worek i skierował się szybko do swojego myśliwca przechwytującego typu TIE. Janson podążył truchtem za nim.

Antilles znieruchomiał obok drabinki, po której miał się wspiąć do kabiny. Rozwiązał rzemienie worka i wyjął z niego... porucznika Kettcha. Kukła Ewoka była obecnie ubrana w szary kombinezon Jastrzębionietoperzy i miała przywiązane do rąk długie protezy z tworzywa, które wyglądało jak matowy metal, ale było tylko grubym, połyskującym plastikiem.

- Chyba żartujesz - odezwał się Janson.

- Wcale nie - odparł Wedge. - Pomyśl, jak zareagowałby któryś z naszych tymczasowych sojuszników, gdyby podleciał blisko i zobaczył istotę ludzką w kabinie myśliwca przechwytującego porucznika Kettcha. - Zaczepił do kółka na piersi karabińczyk przyszyty z tyłu do brezentowego hełmu Ewoka. - Pomóż mi przypiąć ręce.

Janson usłuchał i zaczepił karabińczyk na lewej rękawicy Kettcha do kółka na lewym przedramieniu Antillesa.

- To dlatego jesteś ubrany na czarno - domyślił się, po czym przypiął prawą rękawicę kukły do prawego przedramienia dowódcy. - Niewidoczne tło?

- Zgadza się.

- Czy kiedy pisałeś podanie o przyjęcie do Dowództwa Gwiezdnych Myśliwców, miałeś przeczucie, że któregoś dnia będziesz udawał Ewoka?

Wedge obrzucił go urażonym spojrzeniem.

- Teraz talia - powiedział.

- Jasne - odparł Janson. - Czy wiesz, że na niektórych planetach udawanie Ewoka jest poważnym przestępstwem?

- Wes.

- Osobiście uważam także, że zabawa lalkami podczas pilotowania gwiezdnego myśliwca to pogwałcenie wszelkich możliwych regulaminów.

- Wes.

Kiedy Janson skończył przypinać ostatni karabińczyk, wyprostował się i zasalutował.

- Zyg, zyg, komandorze - powiedział. Antilles odwzajemnił salut.

- Pomyśleć tylko, ile muszę wycierpieć dla dobra tej eskadry - mruknął do siebie. „Słoneczna Trawa" wyskoczyła z nadprzestrzeni w niewielkiej odległości przed frontem armady lorda Zsinja.

Pośrodku roju jednostek unosiła się „Żelazna Pięść", podobna do śmiercionośnego błękitnego grotu strzały. Otaczało ją wiele innych okrętów liniowych i pomocniczych, a pośród nich imperialny gwiezdny niszczyciel, krążownik klasy Interdictor, cztery lekkie krążowniki klasy Carrack oraz mrowie towarowych transportowców i korwet. Niektóre frachtowce były ozdobione pirackimi wzorami, inne zaś wyglądały zupełnie niepozornie. W przestworzach krążyło tylko kilka myśliwców typu TIE, ale nie było w tym nic dziwnego; piloci pozostałych powinni wystartować dopiero, kiedy znajdą się w niewielkiej odległości od celu.

- To „Zły Wiatr" - odezwał się kapitan Valton, dowódca „Słonecznej Trawy", pokazując przez iluminator sterowni mniejszy gwiezdny niszczyciel. - A tamten to „Sieć Imperatora" - dodał, wskazując krążownik klasy Interdictor. - Od dawna ich nie widziałem, przynajmniej od okresu poprzedzającego śmierć Palpatine'a.

Buźka, który siedział na fotelu oficera łącznościowca, pokiwał głową.

- Czy jeden albo drugi wchodził wówczas w skład floty dowodzonej przez lorda Zsinja? - zapytał.

- „Zły Wiatr" - odparł Valton. - „Sieć Imperatora" musiała dołączyć później. - Przeniósł spojrzenie na kontrolny pulpit. - Mamy wiadomość z pokładu superniszczy-ciela - podjął po chwili. - Chyba powinien pan się z nią zapoznać.

Kapitan „Słonecznej Trawy" otrzymał polecenie wylądowania w głównym hangarze „Żelaznej Pięści". Pilot archaicznego transportowca zwiększył pułap lotu, żeby się znaleźć na wysokości wrót, wleciał przez kurtynę pola magnetycznego i został skierowany na ogromne wolne lądowisko. Dopiero wtedy Buźka się zorientował, że naprawa hangaru została prawie ukończona. Jedynymi śladami po wywołanej przez pilotów Jastrzębionietoperzy eksplozji „Bastionu" był rufowy fragment lądowiska, w którym wciąż jeszcze nie wymieniono spękanej płyty, a także osmalone w kilku miejscach ściany hangaru. Wszystkie stojące w nim myśliwce, maszyny przechwytujące i bombowce typu TIE były jednak gotowe do natychmiastowego startu.

Garik i Shalla zeszli po rampie i skierowali się w stronę Melvara. Buźka uścisnął dłoń imperialnego oficera.

- To pański transportowiec? - zapytał generał, z wyraźnym niedowierzaniem spoglądając na kadłub „Słonecznej Trawy".

- Przyznaję, że nie prezentuje się specjalnie elegancko - powiedział Buźka - ale wciąż jeszcze oddaje nam nieocenione usługi.

- Wkrótce będzie was stać na coś lepszego, panie generale - obiecał Melvar.

- Proszę pozwolić, że przedstawię panu Qatyę Nassin, moją specjalistkę od walki wręcz - powiedział Garik.

Melvar serdecznie uścisnął dłoń Shalli.

- Jestem zachwycony, że mogę panią poznać - stwierdził ciepło. Obejrzał pilotkę od stóp do głów z protekcjonalnym uśmiechem. - To coruscańska cywilna suknia - zauważył. - Noszona przez kobiety niższej i średniej klasy, mieszkające niezbyt wysoko nad powierzchnią gruntu.

Shalla uśmiechnęła się, eksponując dołeczki w policzkach.

- Ma pan rację - przyznała.

- Znakomicie. Po co zabrała pani ten notatnik? - Generał zmarszczył brwi i spojrzał znacząco na pospolite urządzenie w lewej dłoni pilotki.

- To broń, panie generale - odparła Shalla, przeciągając palcem po krawędzi z zawiasami. - Standardowe skanowanie nie wykryje, że ta krawędź jest wzmocniona i opancerzona. Jeżeli dojdę do wniosku, że ktoś zasługuje, aby mu wbić trochę rozumu do głowy, mogę to zrobić ręcznie za pomocą tego notatnika.

Melvar zachichotał.

Buźka także się roześmiał, ale czuł się trochę nieswojo. Ani on, ani Shalla nie mogli dopuścić, żeby Melvar zainteresował się zbytnio notatnikiem. Obdarzeni technicznym talentem piloci Jastrzębionietoperzy spędzili wiele godzin, żeby zmieścić płytki z podzespołami mniejszego i nowocześniejszego notatnika w obudowie większego i starszego. Jak wspomniała Shalla, wzmocnili i opancerzyli krawędź z zawiasami, ale to nie była jedyna przeróbka, jakiej dokonali. Pozostawili także niepozorną szczelinę i zainstalowali w wolnych miejscach kilka zaprojektowanych przez Kella małych ładunków wybuchowych. Nie ujawniłyby ich pobieżne oględziny albo nawet skanowanie, bo ukryto je pod płytkami z podzespołami, ale bardziej staranne badania pozwoliłyby na odkrycie prawdy.

- No cóż, bardzo się cieszę, że panią poznałem - ciągnął Melvar. - Jest mi niewymownie przykro, ale muszę poddać panią pewnej próbie.

Odwrócił się i pstryknął palcami.

Z półokręgu szturmowców i oficerów, którzy zjawili się na lądowisku na powitanie „Słonecznej Trawy", wystąpił mężczyzna w mundurze oficera mostka. Był wyższy i bardziej rozrośnięty w barach niż Kell i wyglądał, jakby kilka roczników kończących naukę kadetów ćwiczyło na jego twarzy ciosy

młotkiem.

- To kapitan Netbers - oznajmił generał. - Jeden z naszych instruktorów walki wręcz. Obawiam się, że musi ocenić pani umiejętności.

Netbers ruszył w stronę do Shalli z uśmiechem na twarzy i wyciągnął rękę, żeby się przywitać. Pilotka podeszła bliżej, jakby chciała ją uścisnąć, ale niespodziewanie przejechała po jego twarzy opancerzoną krawędzią notatnika. Rozcięła nos oficera, a kiedy zaskoczony kapitan odskoczył do tyłu, kopnęła go obutą stopą w krocze. Rozległ się metaliczny brzęk i Buźka się domyślił, że Netbers ma tam opancerzoną osłonę.

Pilotka rzuciła Garikowi notatnik z nonszalancją, która zadawała kłam jego zawartości, i ponownie odwróciła się do przeciwnika. Nie zwracając uwagi na spływającą po twarzy krew ani na ból, jaki mimo pancerza musiał czuć w pachwinie, Netbers wykorzystał tę chwilę, żeby przyjąć postawę pięściarza. Zwrócił się do Shalli lewym bokiem i przeniósł większą część ciężaru ciała na lekko cofniętą prawą nogę. Uniósł ręce, jakby szykował się do zadania ciosu. Wyglądał na czujnego, ale w przeciwieństwie do wielu innych nie zaczął przed walką szydzić z przeciwniczki ani obrzucać jej obelgami.

Shalla odeszła w bok i zaczęła go obchodzić. Sprawiała wrażenie odprężonej, a na jej twarzy malował się kpiący uśmiech.

Melvar podszedł i stanął obok Garika.

- Mój oficer ma większy zasięg rąk - odezwał się półgłosem. - Pańska podwładna musi podejść bardzo blisko, jeżeli chce mu wyrządzić jakąś krzywdę.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa Shalla skoczyła pół kroku w stronę kapitana, ale Netbers odruchowo cofnął się o tę samą odległość. Mimo to pilotka Jastrzębionieto-perzy nie rzuciła się do ataku i zachowywała cały czas tę samą odległość od przeciwnika. Netbers uśmiechnął się z wyższością i gestem zachęcił ją do walki.

Shalla uniosła ręce obronnym gestem, przeszła jeszcze kilka kroków w bok i nagle skoczyła ku oficerowi.

Netbers uniósł wysoko lewą nogę, jakby chciał kopnąć przeciwniczkę. Przeniósł cały ciężar ciała na prawą stopę, ale się poślizgnął. Buźka zauważył, że kapitan wdepnął w kałużę własnej krwi, która ściekała mu z rozciętego nosa. Shalla chwyciła jedną ręką lewą stopę, a drugą łydkę kapitana. Szarpnęła w górę i pozbawiła rosłego mężczyznę równowagi, tak że zamiast ją kopnąć, zaczął wymachiwać rękami. Pilotka Jastrzę-bionietoperzy wykorzystała to i czubkiem lewego buta kopnęła przeciwnika w zagłębienie pod lewym kolanem.

Mężczyzna stęknął i runął na płytę lądowiska. Shalla skoczyła ku niemu, jakby chciała go kopnąć, ale Netbers przetoczył się i uniósł ręce, żeby zasłonić się przed ciosem albo schwycić jej nogę, gdyby zdecydowała się go zaatakować. Pilotka jednak tego nie zrobiła. Nie przestając się uśmiechać, znów zaczęła go obchodzić i zmusiła do obracania po pokładzie. Netbers usiłował wstać, ale kiedy się przekonał, że prawa noga nie może utrzymać ciężaru jego ciała, uklęknął.

- Wystarczy - odezwał się nagle Melvar. - Nie chodziło mi o to, żeby któreś odniosło poważne

obrażenia. Chciałem tylko dać swojemu podwładnemu okazję oceny umiejętności tej damy. Netbers, czy uważasz, że twoja przeciwniczka zna się na rzeczy?

Mężczyzna wyszczerzył zęby w wymuszonym uśmiechu.

- Jezeem tego pewien, paie geehale - powiedział. Czubkami palców lekko dotknął rozciętego nosa. - Mój noz jeht znów zhamany - dodał ponuro.

- Czy sądzisz, że potrafiłaby zabić Wookiego gołymi rękami, czy to były tylko takie przechwałki? - zapytał Melvar.

- Nie sązę, heby ktokolwiek móg zabić Wookiego goymi hękami, paie geehale, ale jezeem peien, że jej udaoby się to phędzej niż jakiejkolwiek innej ohobie, jaą wiziałem - odparł Netbers.

Melvar przeniósł na Shallę lodowate spojrzenie.

- Prawdę mówiąc, uciekła się pani do podstępnej sztuczki - powiedział oskarży-cielskim tonem. - Przed walką mieliście tylko uścisnąć sobie ręce.

Pilotka Jastrzębionietoperzy spoważniała.

- Nonsens - powiedziała pogardliwie. - Podchodził z zamiarem złapania mnie za rękę i zastosowania dźwigni. Zauważyłam, jak stawiał nogi.

Melvar odwrócił się do barczystego oficera.

- Netbers? - zapytał.

- Ma hację, paie geehale - odparł kapitan. - Jeeli bezie uczestniczyła w naszej wyprawie, cieszę się, że umie dostrzec tę hóżnicę.

- No cóż, niech będzie. - Melvar spojrzał na Garika. - Czy piloci pańskich myśliwców typu TIE będą startowali z naszego hangaru?

- Nie. - Buźka pokręcił głową. - Porucznik Kettch i bez tego jest bardzo podniecony, a widok wielu obcych mężczyzn mógłby go tylko rozdrażnić. Wolelibyśmy wystartować z ładowni „Słonecznej Trawy".

- Rozumiem - odparł generał. - Proszę przełączyć komunikatory na naszą częstotliwość i zrezygnować ze stosowania dotychczasowych kryptonimów gwiezdnych maszyn. Chciałbym, żeby nasi piloci mogli porozumiewać się ze sobą. Czekajcie w pogotowiu, gdzie zechcecie, a ja zaprowadzę tę utalentowaną młodą damę do grupy, z którą ma współpracować.

Było ich ośmioro, a wśród nich trzech mężczyzn i kobieta. Wszyscy byli wysocy i wyglądali jak urodzeni komandosi. Mieli na sobie trudnej do określenia barwy kombinezony stoczniowych robotników z napisem KUAT DRIVE YARDS na lewej kieszeni każdej bluzy. Czterech pozostałych mężczyzn nosiło pancerze szturmowców. Melvar przedstawił wszystkich Shalli, a pilotka postarała się zapamiętać ich nazwiska. Dopiero wtedy generał wyjaśnił zwięźle różnicę między poprzednio podanym a rzeczywistym celem wyprawy. Kiedy Shalla usłyszała, że prawdziwym celem nie będzie

ładownia orbitalnej stacji, ale gwiezdny superniszczyciel, otworzyła szeroko oczy i udała zdumienie.

- O tej porze i podczas tej zmiany pokłady „Pocałunku Brzytwy", bo taką nazwę nosi okręt, jeżeli Zsinj nie zechce jej zmienić, są prawie opustoszałe - ciągnął Melvar. - Po okręcie mogą się krzątać tylko strażnicy i robotnicy kończący instalowanie najważniejszych podzespołów. Ostatnie dwa lata pomagaliśmy pułkownikowi dowodzącemu pokładowymi wojskami desantowymi rozkręcić niezwykłe dochodowy interes, który polegał głównie na przemycie cennych towarów. Pułkownik nie wie, że za tym interesem stoimy my, to znaczy Zsinj i ja, ale dowie się, kiedy władze Kuata postawią go przed sądem wojennym albo nawet wcześniej. Tak czy owak, prowadząc na boku własny handel, musiał wymyślić sposoby, żeby jego podwładni mogli sobie radzić z kilkoma poziomami systemów ochronnych stoczni Kuata. Śledziliśmy go bardzo uważnie i wiemy, jak je pokonywać.

Wasza grupa wyląduje regulaminowym wahadłowcem w oficerskim hangarze „Pocałunku Brzytwy" dzięki kodom dostępu, które nasz pułkownik wykorzystuje do prowadzenia nielegalnych operacji. Dostaniecie się na pokład superniszczyciela... ale obawiam się, że później już nie będziemy mogli wam pomóc.

Przejdziecie z lądowiska na mostek i postaracie się go opanować, a potem wprowadzicie do pamięci komputera program, który umożliwi wam ograniczone kierowanie ruchami okrętu wyłącznie z mostka. Kiedy sekcja inżynieryjna i rezerwowy mostek opustoszeją po sygnale fałszywego alarmu o przecieku, zamkniecie oba pomieszczenia, żeby nie dopuścić do sabotażu. W końcu wyślecie nadprzestrzenny sygnał, aby poinformować dowódców okrętów naszej floty, że czas wskoczyć do normalnych przestworzy. Będzie to oznaczało, że „Pocałunek Brzytwy" jest gotów do obrania wektora ucieczki. Jakieś pytania?

Pozostali członkowie pierwszej grupy komandosów najwyraźniej zostali już wcześniej poinformowani o prawdziwym celu wyprawy.

- Rozumiem, że mam pełnić rolę przynęty? - domyśliła się Shalla. Melvar pokiwał głową.

- Większą część drogi na mostek będzie pani szła na czele grupy - powiedział. - Jest prawie pewne, że jej członkowie natkną się na robotników czy inżynierów, którzy będą się tam jeszcze czymś zajmowali. Powinna pani zwrócić na siebie ich uwagę na tyle długo, żeby pozostali zdążyli zająć dogodne pozycje do strzału. Przede wszystkim jednak nie może pani dopuścić, żeby któryś wysłał sygnał o tym, co się dzieje na pokładach superniszczyciela. Gdyby ktoś poinformował personel mostka, mogłoby to zniweczyć nasz plan.

Shalla kiwnęła głową.

- Jeżeli nie liczyć szturmowców, którzy mają komunikatory wbudowane w hełmy, moje zadanie nie powinno być bardzo trudne - powiedziała. - A nawet i w ich przypadku problem powinno rozwiązać kilka szybkich i wystarczająco silnych ciosów.

Powiodła spojrzeniem po twarzach pozostałych członków pierwszej grupy komandosów i zwróciła uwagę na drugą kobietę. Wyglądała bardzo niepozornie, ale gdyby zrobiła sobie makijaż i

bardziej zadbała o ubiór, mogłaby być całkiem atrakcyjna.

- To ty miałaś początkowo wykonywać moje zadanie? - zapytała.

Kobieta, której nazwisko brzmiało Bradan, jeżeli Shalla dokładnie zapamiętała, kiwnęła głową.

- Generał sądził, że kobieta niższego wzrostu wzbudzi mniej podejrzeń - powiedziała. - Uważał, że pełniący służbę na pokładzie „Pocałunku Brzytwy" strażnicy nie będą się czuli zagrożeni.

- Prawdopodobnie miał rację. - Shalla wzruszyła ramionami. - Bardzo mi przykro. Bradan obrzuciła ją badawczym spojrzeniem.

- Wywiąż się ze swojego zadania, a wszyscy okryjemy się sławą-oznajmiła. - Jeżeli nas nie zawiedziesz, zapomnę o urazie i ci przebaczę.

- Załatwione - mruknęła rzekoma piratka.

ROZDZIAŁ 18

- Bezbłędnie zaplanowana i przebiegająca bez niespodzianek wyprawa jest nudna - stwierdził kapitan Raslan.

Shalla kiwnęła głową. Ich wyprawa była do tej pory naprawdę nudna. Zaczęła się jeszcze w hangarze „Żelaznej Pięści". Członkowie pierwszej grupy komandosów weszli na pokład brudnego, trzeszczącego, wyglądającego jak wrak wahadłowca klasy Lambda pierwszej generacji i wykonali nim skok przez nadprzestrzeń do systemu Kuata. Położyli się na kurs wiodący do samej planety i przesłali kody dostępu, które chyba zostały przyjęte. Pilot wahadłowca kończył właśnie zataczać pierwszy krąg po orbicie i przygotowywał się do obrania wektora podejścia, który miał mu umożliwić zbliżenie się do orbitalnej stoczni pod właściwym kątem.

- Ale kiedy przestaje być nudna - ciągnął kapitan - dowódca zaczyna się orientować, że poniósł porażkę.
- Wygląda na to, że nie jest pan przyzwyczajony do porażek - stwierdziła Shalla.
- Dobrze się pani domyśliła. - Raslan przeniósł spojrzenie na urządzenia kontrolne wahadłowca. - Odbieramy wysyłany automatycznie sygnał zwrotny - podjął po chwili. - Przekazuję im nasz kod dostępu.

Bradan pochyliła się i szepnęła Shalli do ucha:

- Jeżeli wszystko się uda, nawet nie otrzymamy słownego potwierdzenia. Po prostu zapadnie kilkuminutowa cisza.
- Dzięki temu nasza wyprawa będzie jeszcze bardziej monotonna i nudna - mruknęła Shalla.
- To prawda - przyznała Bradan i wyprostowała się na fotelu.

Pilotkę Jastrzębionietoperzy zaciekawiło zdyscyplinowanie podwładnych Raslana. Na razie zachowywali się zupełnie inaczej niż oficerowie mostka „Żelaznej Pięści", których widział Buźka podczas uroczystej biesiady. Prawdę mówiąc, postępowanie komandosów było bardziej zrozumiałe i wyjaśniało, dlaczego Zsinj odnosił ostatnio tyle sukcesów. Widocznie nie wszyscy oficerowie naśladowali sposób bycia dowódcy.

Lot w kierunku orbitalnego doku, w którym spoczywał „Pocałunek Brzytwy", odbywał się niemal w zupełnej ciszy, ale wbrew opinii kapitana nie był monotonny ani nudny. Shalla obserwowała z narastającą fascynacją, jak maleje odległość dzieląca ich od gigantycznego okrętu w kształcie grotu strzały. Spoczywał na powierzchni stoczniowego satelity, a otaczający go las rusztowań, pomostów i

belek wyglądał jak monstrualny insekt, który żądli okręt, żeby zmusić go do uległości. Na widok superniszczy-ciela pilotka poczuła, że jej serce bije żywszym rytmem, a temperatura ciała rośnie. Zaczęła szybciej oddychać.

Wiedziała, że jeśli pozwoli sobie choćby na jedną pomyłkę na pokładzie tego okrętu, może stracić życie. Mogła zresztą zginąć, nawet gdyby nie popełniła żadnego błędu. Niewinnie wyglądający notatnik w jej kieszeni miał zdecydować o życiu lub śmierci tysięcy obywateli Nowej Republiki.

Pomyślała, że ojciec byłby z niej dumny.

Na wspomnienie skłonnego do wybuchów gniewu, starszego mężczyzny ogarnął ją dziwny spokój. Jej ojciec sfałszował informację o swojej śmierci i osiedlił się na planecie Ingo, żeby zająć się płodzeniem dzieci. Napominał córki, żeby wystrzegały się zła i szukały dobra w codziennym życiu. Gdyby siedział obok niej, z pewnością szeptałby do jej ucha: *Nazywasz się teraz Qatya. Staraj się jak najlepiej odgrywać rolę bezlitosnej najemniczki. Bądź miła dla tych ludzi, bo jeszcze kiedyś mogą cię wynająć, lecz uważaj, czy ktoś z nich nie zamierza ci zadać ciosu w plecy, żeby nie musieć wypłacić honorarium. Na pewno się na to nie zdecyduje, dopóki wszyscy nie dotrą na mostek. Na razie zależy im tylko na tym, żebyś wywiązała się z zadania. Możliwe, że w ogóle tego nie zrobią. Musieli zauważyć, że wywarłaś na MeWarze ogromne wrażenie.*

Shalla, słuchając w myślach tego szeptu, w końcu się odprężyła. Odwróciła się do Raslana i obdarzyła go uspokajającym uśmiechem.

- Nie poddawaj się nudzie, bo zaśniesz, zanim wylądujemy - ostrzegła żartobliwym tonem.

Sylwetka „Pocałunku Brzytwy" rosła w iluminatorach, aż w końcu przesłoniła resztę wszechświata. Raslan skierował wahadłowiec w stronę mikroskopijnej ciemnej plamki, która powoli się powiększała, aż przerodziła się w typowy prostokąt wrót oficerskiego hangaru. Kapitan wleciał do środka i osadził statek na płycie lądowiska wypełnionego w połowie innymi wahadłowcami. Oprócz nich Shalla zobaczyła jeszcze tylko parę myśliwców przechwytujących typu TIE.

Na płycie lądowiska nie było nikogo. Zmarszczyła brwi i zaczęła się nad tym zastanawiać. Czyżby nie zostawiono żadnej straży? Czy możliwe, że służby nie pełniła żadna grupa mechaników? A może dwulicowy pułkownik opracował zestawy automatycznych instrukcji, zgodnie z którymi strażnicy i mechanicy musieli opuszczać hangar, ilekroć wlatywały do niego jednostki poprzedzane specjalnym kodem albo hasłem?

Kiedy Raslan wyłączył silniki i w hangarze zapadła cisza, komandosi zeszli z pokładu wahadłowca. Shalla pierwsza opuściła lądowisko i ruszyła skąpo oświetlonym, długim korytarzem, którym sprawiał wrażenie wymarłego.

Od mostka superniszczyciela dzieliło ją ponad trzy kilometry. Skradając się pod ścianą, doszła do wniosku, że wymarły jest nie tylko korytarz, ale cały okręt. Każdy inny, na którego pokładzie przebywała, tętnił życiem, a płyty pokładu przenikało wyczuwalne nawet przez podeszwy butów lekkie drżenie. Wrażenie było tak normalne, że po kilku pierwszych dniach lotu pasażerowie i członkowie załóg przestawali zwracać na nie uwagę. Stąpając po płytach pokładu tego okrętu, pilotka Jastrzębionietoperzy nie czuła jednak żadnej wibracji. Doszła do wniosku, że w tym półmroku może spotkać najwyżej ducha.

Okazało się jednak, że pierwszą osobą, na jaką się natknęła na korytarzu „Pocałunku Brzytwy”, nie był duch, ale istota z krwi i kości. Po przejściu kilometra usłyszała cichy syk rozsuwanych płyt drzwi i z osobistej kwatery wyszedł szturmowiec.

Na jej widok zaczął unosić blasterowy karabin.

- Posłuchaj... - zaczął.

Shalla podeszła do niego tak blisko, że przycisnęła broń do napierśnika pancerza, a potem uderzyła żołnierza kantem dłoni w szyję. Pod wpływem siły ciosu z głowy szturmowca spadł hełm i potoczył się z łoskotem w głąb kabiny.

Żołnierz odskoczył do tyłu, żeby mieć więcej miejsca na uniesienie broni, ale pilotka Jastrzębionietoperzy wpadła za nim do kabiny. Skrzyżowała ręce, chwyciła oburącz karabin i pociągnęła do siebie z całej siły. Nadała broni moment obrotowy i wyszarpnęła ją z rąk żołnierza.

Szturmowiec rzucił się, żeby odebrać broń, ale Shalla grzmotnęła go kolbą w szczękę. Mężczyzna runął niczym znieczulony banth.

Pilotka rozejrzała się po niewielkiej kabinie i domyśliła się, że obezwładniony szturmowiec jest młodszym oficerem. Nie zauważyła w kabinie nikogo więcej, a drzwi w bocznej ścianie wiodły tylko do pustej łazienki.

Kiedy z niej wychodziła, do kabiny wchodził Raslan.

- Łoskot jego hełmu było słychać w promieniu pięćdziesięciu metrów - powiedział z urazą i wyciągnął do niej rękę.

Shalla podała mu karabin i prześlizgnęła się obok niego na korytarz.

- A huk blasterowego strzału byłoby słychać w promieniu trzystu - powiedziała. Pokonując następny kilometr, nie natknęła się na żadnego człowieka. Po drodze minęła tylko kilka czyszczących płyty pokładu automatów, ale roboty były tak prymitywne, że nie rejestrowały niczego oprócz posprzątanych fragmentów korytarza. Możliwe, że zaniepokoiłaby się na ich widok, gdyby je zobaczyła na pokładzie „Żelaznej Pięści”. Zapewne dowódca pokroju Zsinja zmodyfikowałby niepozorne automaty, żeby stały się jeszcze jednym elementem jego systemu bezpieczeństwa. Na korytarzu „Pocałunku Brzytwy” nie musiała jednak żywić takich obaw.

Sięgnęła po komputerowy notes i wpisała rozkaz wyświetlenia mapy pomieszczeń superniszczyciela, którą Bradan umieściła w pamięci urządzenia przed wyruszeniem na wyprawę. Skręciła w lewo w boczny korytarz... i zderzyła się ze szczupłym porucznikiem Imperialnej Marynarki. Mężczyzna zachwiał się i odruchowo sięgnął po pistolet, ale na widok Shalli odprężył się i postanowił nie wyciągać go z kabury.

- Kim jesteś i co tu robisz? - zapytał tonem zdradzającym raczej ciekawość niż niepokój.

Shalla ujęła się pod boki i przybrała minę naiwnej irytacji.

- Czyżbyś mnie nie znał? - zapytała. - Jestem Qatya.
- Chcę zobaczyć twoją przepustkę - nalegał oficer.

Shalla przyłożyła do ust wskazujący palec i zniżyła głos do szeptu.

- Ćśś - powiedziała. - Nie musisz mówić tak głośno. Szukam Stoghiego.
- Stoghiego? - Porucznik zmarszczył brwi. - Stoghina Learza? Majora Learza? - Właśnie jego.
- Jaki masz interes do majora Learza? Shalla wzruszyła ramionami.

- Stęskniłam się za nim - oznajmiła. - Od czasu jego ostatniej wizyty upłynęło już kilka dni, a on nie dał znaku życia.
- Rozumiem... - mruknął porucznik, ale z wyrazu jego twarzy wynikało coś wręcz przeciwnego. - Połączę się z mostkiem, żeby sprawdzić, gdzie przebywa.
- Byłabym ci bardzo wdzięczna, kotku. - Shalla uśmiechnęła się uwodzicielsko. - Nigdzie go nie znalazłam, chociaż przeszłam wiele kilometrów.

- Mhm - mruknął porucznik i wyjął komunikator.

Pilotka Jastrzębionietoperzy chwyciła go oburącz za rękę, wykręciła ją i odgięła dłoń w dół pod kątem, który musiał powodować silny ból. Zanim oficer miał czas się zorientować, co się dzieje, wypuścił komunikator z odrętwiałych palców, a kiedy napiął mięśnie i spróbował się uwolnić, Shalla wykręciła jego rękę do tyłu i pchnęła go na przegrodę. Na korytarzu rozległ się głuchy stuk głowy zderzającej się z metalową płytą. Pilotka zaczekała chwilę i przedramieniem uderzyła porucznika w ciemię. Czoło mężczyzny ponownie zderzyło się z przegrodą.
Oficer stracił przytomność i osunął się na pokład.
Shalla błyskawicznie wyszarpnęła jego pistolet z kabury i wsunęła za pasek sukni. Broń zniknęła pod fałdzistą tuniką. Skrępowała porucznika jego pasem i ukryła pustą kaburę pod kurtką munduru. Zanim zza zakrętu korytarza wyłonili się komandosi, kucnęła udając, że pilnuje nieprzytomnego jeńca. Nic nie wskazywało, że jest uzbrojona.
Na widok Raslana wstała.

- Czy teraz było ciszej? - zapytała.

Kapitan obrzucił ją zakłopotanym spojrzeniem.

- Tak - przyznał niechętnie. - Spisujesz się znakomicie. Właśnie po to cię wzięliśmy. Jestem ci winien przeprosiny.

Zgromadzili się przed drzwiami do przedsionka bezpieczeństwa, który oddzielał korytarz od mostka superniszczyciela. Bradan zajęła się umieszczonym obok drzwi panelem dostępu. Upewniła się, że nie zawiera alarmowych sensorów, i zaczęła go ostrożnie otwierać. Czterej fałszywi szturmowcy stali w pogotowiu obok drzwi, jakby czekali na ich otwarcie, żeby zmienić kolegów pełniących służbę na mostku. Pozostali komandosi starali się ukryć, na ile to było możliwe, w

mrocznych zakamarkach korytarza.

Dopiero po kilku długich minutach Bradan odwróciła głowę.

- Gotowe - szepnęła. - Wprowadziłam trzysekundowe opóźnienie. Skrzydła rozsuną się i po trzech sekundach zamkną. Jeżeli nie będziecie musieli, nie otwierajcie ognia przed upływem tego czasu. Nie chcemy, żeby odgłosy usłyszał ktoś, kto może przechodzić w pobliżu.

Szturmowcy wysunęli się na czoło, a Shalla przeszła na tył grupy. Chwilę później skrzydła drzwi rozsunęły się z zaskakującą szybkością, charakterystyczną dla wszystkich imperialnych mechanizmów.

Podwładni Zsinja weszli do przedsionka bezpieczeństwa. W przeciwieństwie do korytarza był rzęsiście oświetlony i Shalla musiała zamrugać, bo blask ją oślepił. Szturmowcy mieli hełmy z filtrami chroniącymi oczy, więc weszli bez wahania. Jeden przemówił do kogoś, kogo nie widziała:

- Nie ruszaj się, to nie zginiesz.

Shalla weszła ostatnia, a skrzydła drzwi z cichym sykiem zasunęły się za jej plecami. Usłyszała stuk butów szturmowców wchodzących z przedsionka na mostek i chwilę później odzyskała wzrok.

W przedsionku stał oficer Imperialnej Marynarki w stopniu kapitana. Miał uniesione ręce, a na jego okrągłej twarzy malowało się niezadowolenie.

Raslan lufą broni popchnął go na pomost dowodzenia.

- Ruszaj się - rozkazał. Obejrzał się na samotnego szturmowca, który został w przedsionku. - Pilnuj drzwi. Bradan, zaopiekuj się turbowindą. Nie możemy dopuścić, żeby jakiś ambitny głupiec zaatakował nas od tyłu. Później zabezpiecz wyjścia z zagłębień dla personelu mostka.

Kobieta kiwnęła głową i przywołała kabinę turbowindy, a szturmowiec stanął obok drzwi na korytarz. Pozostali komandosi pobiegli na wyznaczone stanowiska. Dwóch skierowało się do stanowisk systemów uzbrojenia i obrony, a pozostali wskoczyli do zagłębień i zajęli się obsługą kontrolnych konsolet. Trzej pozostali szturmowcy wymierzyli blasterowe karabiny w czwórkę członków załogi, którzy dotąd pełnili służbę na mostku okrętu.

Shalla została sama. Wprawdzie od szturmowca i Bradan dzieliło ją kilka metrów, ale wykonała swoje zadanie i nie miała nic innego do roboty. Wyglądało, że wszyscy o niej zapomnieli.

A główną komunikacyjną konsoletę superniszczyciela miała niemal w zasięgu ręki.

Niemniej, w każdej chwili szturmowiec i Bradan mogli się odwrócić i przyłapać ją na tym, co miała zrobić.

Z drugiej strony, jej ojciec zwykł mawiać, że zwłoka w działaniu uniemożliwia znacznie więcej operacji niż zdrada, niewłaściwe planowanie albo zwykły pech.

Poruszając się cicho jak duch, Shalla wyjęła z kieszeni cienki kabel. Wetknęła jeden koniec do szczeliny swojego notatnika, a drugi do standardowego gniazda najbliższej komunikacyjnej konsolety. Wywołała program Castina i wybrała automatyczny tryb wpisywania, dzięki któremu program miał sam, bez udziału Shalli, pokonać systemy bezpieczeństwa pokładowego komputera „Pocałunku Brzytwy". Położyła notes na siedzeniu fotela oficera łącznościowca i wsunęła fotel pod konsoletę, dzięki czemu notatnik stał się prawie niewidoczny.

Cały czas wsłuchiwała się w rozmowy dobiegające z zagłębień dla członków załogi i z wnęk dla

oficerów obsługujących systemy uzbrojenia i obrony.

- Opanowaliśmy sekcję inżynieryjną i rezerwowy mostek. Jesteśmy gotowi do wysłania umówionego sygnału.
- Zaczekajcie na wybranie uzgodnionej częstotliwości.
- Już została wybrana, panie kapitanie.
- Dlaczego nic mi o tym nie wiadomo?
- Właśnie skończyłem, panie kapitanie, i miałem panu o tym zameldować.
- W porządku. Wysłać sygnał. Co ze stanowiskami artylerii?
- Gotowe do strzału. Wpisałem współrzędne różnych punktów orbitalnej stoczni. Na mój rozkaz przemienia się w przegrzaną parę.

W końcu Shalla wyłączyła ekran monitora komunikacyjnego terminalu, aby nikt nie zobaczył, że program Castina wpisuje się do pamięci pokładowego komputera. Pospiesznie odeszła jak najdalej, usiadła na wolnym fotelu i oparła obute stopy o pulpit sąsiedniej konsolety.

Bradan wyłoniła się z kabiny turbowindy i zerknęła na nią kątem oka.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała.
- Nic. - Shalla założyła ręce za głowę. - Moje zadanie skończone. Zamierzam teraz pozwolić wam, zawodowcom, wykonać resztę pracy.

Bradan skrzywiła się, jakby połknęła coś kwaśnego.

- Masz rację - powiedziała. - No cóż, zostań tam. Nie ruszaj się z tego miejsca.
- Możesz na mnie liczyć - zapewniła ją pilotka. - Dopóki mi płacicie, będę siedziała zupełnie nieruchomo.

Bradan odwróciła się i weszła na pomost dowodzenia. Shalla się odprężyła, ale dyskretnie sprawdziła, czy może szybko wyciągnąć zdobyczny blaster. Gdyby ktokolwiek zauważył notatnik na siedzeniu fotela, musiała dopilnować, żeby nie zauważył już w życiu niczego więcej.

Nagle dał się słyszeć cichy trzask i na mostku „Słonecznej Trawy" rozległ się donośny głos generała Melvara.

- Odebraliśmy umówiony sygnał. Przygotować się. Za dwie minuty skok do nadprzestrzeni.

Buźka przełączył komunikator na nadawanie.

- Tu „Słoneczna Trawa". Proszę o zezwolenie na start - powiedział.
- Udzielamy zezwolenia - usłyszał w odpowiedzi. - Niech pańscy piloci będą gotowi do natychmiastowego startu.
- Będziemy gotowi - zapewnił go Garik. Przeniósł spojrzenie na kapitana Valtona, ale oficer zdążył już włączyć repulsory. „Słoneczna Trawa" uniosła się nad płytę lądowiska i kierowała w stronę wrót głównego hangaru „Żelaznej Pięści". - Powodzenia.

Valton kiwnął głową, a Buźka pospieszył do ładowni transportowca, gdzie stały jeden obok drugiego gwiezdne myśliwce.

Na mostku „Pocałunku Brzytwy" panowała niezwykła krzątanina. Artylerzyści baterii turbolaserów ogromnego okrętu rozpylili na atomy połączenia między superniszczycielem a orbitalną stocznią, a wielki okręt zaczynał się oddalać od kolebki, w której dotąd spoczywał. Nadawcy sygnałów ze zniszczonych stanowisk, z Kuata i z głównych ośrodków administracyjnych Kuat Drive Yards domagali się wyjaśnień od członków personelu mostka okrętu. Sensory dowodziły, że z powierzchni samej planety i z hangarów krążących w pobliżu okrętów liniowych startują eskadry gwiezdnych maszyn. Same okręty przyspieszały i obierały kurs na przechwycenie odlatującego superniszczyciela. Specjalista łącznościowiec grupy komandosów zajął miejsce przy pulpicie kontrolnej konsolety. Wydawał polecenia pełniącym służbę na mostku „Pocałunku Brzytwy" członkom szczątkowej załogi, żeby zajęli stanowiska i przygotowali się do odparcia imperialnego ataku.

Cały ten czas Shalla spędziła wygodnie rozparta na fotelu. Obserwowała i słuchała, jak pozostali starają się jak najlepiej wykonywać rozkazy.

W pewnej chwili z leżącego na siedzeniu fotela notatnika wydobył się cichy pisk. Pilotka zrozumiała, że program Castina został pomyślnie zainstalowany.

Skończył się wpisywać do pamięci głównego komputera. Strzegący drzwi szturmowiec odwrócił się do Shalli.

- Słyszałaś to? - zapytał.

- Słyszałam - odparła pilotka. Wstała, odwróciła się do niego i wbiła spojrzenie w coś za jego plecami.

- Na co się tak gapisz? - zapytał żołnierz.

- Na drzwi, głupcze - burknęła Shalla. - To właśnie stamtąd napłynął ten pisk. Zza drzwi, chyba z korytarza.

- Nie, od ciebie.

- Twój hełm nie pozwala rozróżniać kierunków, z których dochodzą dźwięki, idioto - oznajmiła Shalla. Kiwnęła znacząco głową w stronę drzwi. - Coś albo ktoś kryje się na korytarzu.

Szturmowiec podszedł do najbliższej konsolety systemu bezpieczeństwa okrętu, stojącej zaledwie trzy miejsca od fotela, na którym leżał jej notatnik. Włączył główny monitor i zaczął się gapić na przekazywany przez holograficzną kamerę obraz korytarza.

- Nikogo tam nie ma - powiedział, ale odwrócił się znów do drzwi.

Korzystając z tego, że na nią nie patrzy, Shalla pospiesznie chwyciła notatnik, wyszarpnęła kabel i ukryła go w kieszeni. Przyglądała się jakiś czas obrazom na ekranach monitorów. Udawała, że szuka intruzów, ale w rzeczywistości chciała się zorientować, jak długi odcinek korytarza znajduje się pod bezpośrednią obserwacją holograficznej kamery.

- Masz rację - mruknęła, jakby zawiedziona. - Nikogo tam nie widzę.
- Mówiłem ci - powiedział szturmowiec.

Shalla podeszła do drzwi, stanęła za jego plecami, spojrzała znacząco na lśniące płyty i pokręciła głową.

- Nie podoba mi się to - stwierdziła. - Coś się dzieje. Przepuść mnie. Wyjdę i sprawdzę, czy ktoś nie szykuje nam niespodzianki.

Szturmowiec zastanowił się nad jej propozycją, a potem włączył mikrofon komunikatora.

- Panie kapitanie, usłyszeliśmy jakieś dźwięki - zameldował. - Napływają zza głównych drzwi, ale holograficzna kamera nie pokazuje żadnych intruzów. Qatya zgłosiła się na ochotnika, że wyruszy na zwiad i sprawdzi, czy nie dzieje się coś podejrzanego.

Słuchał w milczeniu kilka sekund i w końcu spojrzał na pilotkę.

- Kapitan twierdzi, że to dobry pomysł - powiedział.
- Czy mogę prosić o pistolet? - zapytała Shalla.
- Nie będzie ci potrzebny, skoro idziesz tylko zobaczyć, co się dzieje - burknął żołnierz. - Masz komunikator?
- Mam, ale nie jest nastawiony na twoją częstotliwość. Szturmowiec wręczył jej swój komunikator.
- Powodzenia - powiedział.

Wpisał kod na kontrolnym panelu i skrzydła głównych drzwi się rozsunęły. Kiedy Shalla wyszła, zamknęły się za jej plecami. Powietrze na korytarzu nie było wprawdzie bardziej rześkie niż na mostku, ale pilotka Jastrzębionietoperzy odetchnęła z ulgą.

Na razie znajdowała się wciąż jeszcze w polu widzenia obiektywu holograficznej kamery. Dopóki się nie oddaliła poza jej zasięg, skradała się korytarzem; starała się zachowywać pewnie, ale zarazem rozważnie, jakby naprawdę się spodziewała, że w każdej chwili może się natknąć na oddział nieprzyjaciół.

Kiedy opuściła nadzorowany fragment korytarza, odczekała kilka minut i włączyła komunikator.

- Tu Qatya - szepnęła.
- Melduj - usłyszała głos Bradan.
- Kilkanaście metrów dalej widzę kilku strażników. Niektórzy są uzbrojeni. Chyba zakładają ładunek wybuchowy, żeby wysadzić drzwi na mostek.
- Dobra robota - pochwaliła Bradan. - Wycofaj się, a my ich stamtąd wykurzymy.
- Nie, zaczekaj - sprzeciwiła się Shalla. - Mam lepszą propozycję. Dwóch, którzy zakładają ładunki, stoi najbliżej mnie. Wygląda na to, że nie mają broni. Są odwróceni do mnie plecami i nie spodziewają się ataku z mojej strony. Mogę załatwić jednego albo obu, a potem spowoduję eksplozję ich ładunku. Jeżeli zdecydują się wysłać następnych, będą musieli się uporać z bałaganem po

eksplozji.

Zapadła krótka cisza.

- Masz zgodę - odezwała się w końcu Bradan. - Jeśli to się uda, kapitan zgłosi wniosek, żeby wypłacono ci premię.
- Qatya potwierdza - oznajmiła Shalla. - Bez odbioru.

Schowała komunikator, wytrząsnęła z komputerowego notatnika cztery przygotowane przez Kella ładunki wybuchowe i położyła dwa pod ścianą. Wyciągnęła zdobyczny pistolet i strzeliła trzy razy w sufit. Nastawiła zapalniki na dziesięciosekundową zwłokę i przycisnęła guziki, które miały wywołać eksplozję. Odwróciła się i puściła biegiem. Musiała znaleźć kapsułę ratunkową, żeby bezpiecznie zaczekać na zakończenie tej bitwy... i następnej, która dopiero miała się rozpocząć.

Jednostki floty lorda Zsinja wyskoczyły w głębi systemu Kuata, bo grawitacyjna studnia planety uniemożliwiała dalszy lot w nadprzestrzeni. Przekazywane z mostka „Słonecznej Trawy" sygnały sensorów ukazywały porwany superniszczyciel, alarmując o wielu nadlatujących ze wszystkich stron gwiezdnych myśliwcach.

- Start! - rozkazał Buźka i wyleciał, gdy tylko umożliwił mu to prześwit między skrzydłami rozsuwających się wrót ładowni. Jego tymczasowy skrzydłowy, Kell, przeleciał swoim myśliwcem przechwytującym typu TIE chwilę później, a kilka sekund po nim w przestworzach znaleźli się pozostali.

Ich oczom ukazał się gwiezdny system bardzo różny od tego, którego się powinni spodziewać. Słońce nie miało charakterystycznego odcienia gwiazdy Coruscant, a nadlatującym imperialnym niszczycielom nie towarzyszyły krążowniki klasy Mon Calamari. W kanałach komunikatorów zaroiło się nagle od zdumionych okrzyków i gniewnych pytań. Nie wypadając ze swojej roli, Garik pstryknął włącznikiem mikrofonu komunikatora.

- Dowódca Jastrzębionietoperzy do „Żelaznej Pięści" - powiedział.
- Co to ma znaczyć? Gdzie jest Coruscant?

W odpowiedzi rozległ się znajomy chichot. Buźka domyślił się, że słyszy głos Me-lvara.

- Nie mówiliśmy wam, że zamierzamy zaatakować Coruscant, Jastrzębionietope-rze - odparł generał. - Witajcie w systemie Kuata. Bądźcie uprzejmi jak najlepiej odegrać swoje role. Przekonacie się, że wszystko się dobrze skończy, a wy zarobicie fortunę. - Urwał, a chwilę później dokończył półgłosem: - Dowódco Jastrzębionietoperzy, z żalem informuję o meldunku, jaki przesłała mi grupa komandosów. Obawiam się, że twoja podwładna, Qatya, zginęła.

Buźka poczuł, że w jego żołądku tworzy się kula lodu.

- Jak? - zapytał.
- Osobiście wyeliminowała oddział wrogów podkładających ładunek wybuchowy, ale straciła

życie podczas eksplozji - odparł Melvar.

- Jej poświęcenie chyba zniechęciło nieprzyjaciół do ponawiania prób odbicia mostka superniszczyciela. Proszę przyjąć moje kondolencje.

- Dziękuję. - Garik trochę się odprężył, ale nie do końca. Ta historia to mógł być wybieg, do jakiego uciekłaby się Shalla, żeby się odłączyć od pozostałych członków grupy, ale musiał się także liczyć z możliwością, że naprawdę zginęła. Nie śmiał pytać generała, czy ktoś był świadkiem jej śmierci, bo wzbudziłoby to podejrzenia. Mógł się tylko modlić.

- Ktoś zapłaci mi za jej śmierć - burknął.

Z ładowni otaczających ich transportowców i z hangarów przestarzałych krążowników wylatywały ciągle eskadry gwiezdnych myśliwców. Maszyny Jastrzębionietope-rzy były nowoczesne i w bardzo dobrym stanie, inne, starszego typu, wyglądały, jakby właściciele nie interesowali się specjalnie ich wyglądem ani stanem. Niektórzy piraci pilotowali Brzydale, gwiezdne myśliwce sklecone byle jak z podzespołów różnych maszyn. Z pewnością nie mieli gdzie zdobyć odpowiednich części, żeby zastąpić stracone albo zniszczone podczas wcześniejszych pojedynków.

Eskadry różniły się także liczebnością. Niektóre składały się z pięciu czy sześciu, niektóre z dwunastu, a jeszcze inne z dwudziestu maszyn. Piloci wszystkich obrali jednak wyznaczone wektory i skierowali się w stronę nadlatujących jednostek nieprzyjaciół.

- Jastrzębionietoperze, lecieć za mną - rozkazał Buźka i skierował się w stronę imperialnego niszczyciela, od którego dzieliła go jeszcze spora odległość. Nie widział wylatujących z jego hangarów myśliwców typu TIE, ale ze wskazań sensorów wynikało, że wystartowały stamtąd trzy pełne eskadry. Buźka wiedział, że to tylko połowa maszyn, jakie powinny stacjonować w hangarze kompletnie wyposażonego gwiezdnego niszczyciela. Zastanawiał się, czy kapitan imperialnego okrętu nie dysponuje kompletem myśliwców, czy może tylko postanowił trzymać pozostałe w odwodzie.

Przełączył komunikator na kanał pilotów swojej eskadry i pstryknął włącznikiem mikrofonu.

- Ktoś wie, co to za okręt? - zapytał.

- Dowódco, tu „Piątka" - usłyszał w odpowiedzi głos Kella. - To „Miażdżyciel". Nic szczególnego.

Nic szczególnego, pomyślał Buźka. To tylko imperialny niszczyciel.

- Co za ulga - mruknął. - Dzięki, „Piątko". - Przełączył komunikator na częstotliwość wspólną. - Mówi dowódca Jastrzębionietoperzy - powiedział. - Kto jeszcze leci w kierunku „Miażdżyciela"?

W odpowiedzi usłyszał głos mężczyzny z wyższych coruscańskich sfer. Domyślił się tego, bo pilot połykał końcówki wyrazów.

- Dowódco Jastrzębionietoperzy, tu „Wibrotopór Jeden". Jesteś grotem, a my drzewcem włóczni.

Sensory Buźki dowodziły, że podąża za nim trzydzieści kilka sojuszniczych myśliwców różnych

kształtów i rozmiarów. Ich piloci lecieli wolniej niż Jastrzębionietope-rze, a sensory nie potrafiły precyzyjnie określić rodzaju maszyn, co mogło oznaczać, że to Brzydale.

- Chcesz zamienić się miejscami, „Jedynko”? - zapytał.

- Dziękuję, ale nie, dowódco Jastrzębionietoperzy - odparł pilot. - Pozwolę, żebyście pierwsi wykrwawili nieprzyjaciół.

- Przyłącz się do nas, kiedy ci się znudzi, „Wibrotoporze” - odparł Garik. - Dowódca Jastrzębionietoperzy, bez odbioru.

Wedge słuchał rozmowy Buźki z „Wibrotoporem Jeden”, ale nie chciał koncentrować się na niej całkowicie. Wciąż nie mógł się uporać z wypchanym Ewokiem, stanowiącym najbardziej widoczną część jego przebrania.

Kiedy usiadł na fotelu z porucznikiem Kettchem przypiętym do kombinezonu, kukła podjechała do góry i przesłoniła mu widok przestworzy. Uporał się z tym problemem dopiero, kiedy odpiął główny pas uprzęży ochronnej, owinął ją wokół nóg Ewoka i ponownie zapiął, ale gdyby sieć się rozluźniła podczas nagłych manewrów, kukła mogła mu jeszcze sprawić niejeden kłopot.

Kilkanaście sekund po zakończeniu rozmowy Buźki z Wibrotoporem pierwsza fala sześciu myśliwców z hangarów „Miażdżyciela” znalazła się prawie w zasięgu ognia pilotów Jastrzębionietoperzy. Wedge usłyszał ponownie głos Garika.

- Rozdzielić się na pary i przygotować do wykonania „Świdra Kettcha” - polecił rzekomy generał Kargin. - Możecie strzelać bez rozkazu.

Ze wskazań sensorów wynikało, że Buźka skręcił na bakburtę, a Kell, jego skrzydłowy, podążył za nim. Tyria i Prosiak skręcili na sterburtę, a Wedge pchnął drążek sterowniczy do przodu i obniżył pułap lotu. On i Dia mieli nadal lecieć prosto, ale na wysokości trochę mniejszej niż pozostali.

Kiedy wskaźnik dalmierza pokazał, że nadlatujący nieprzyjaciele znaleźli się na granicy zasięgu celnego ognia, Wedge zaczął trącać drążek w przód i w tył, żeby utrudnić wrogom namierzanie. Wystrzelił do jednego z najbliższej pary nadlatujących myśliwców typu TIE. Sensory pokazały, że strzał otarł się o kulistą kabinę, ale nie wyrządził żadnych zniszczeń. Wystrzelona przez nieprzyjaciela zielona błyskawica przeleciała nad górnym iluminatorem myśliwca Antillesa.

Ułamek sekundy później po stronie jego bakburty rozkwitła ognista kula, co oznaczało, że ktoś z lecącej tam pary Jastrzębionietoperzy, Buźka albo Kell, trafił innego przeciwnika. Wedge nie przestał ostrzeliwać swojego celu. W pewnej chwili strzały z luf jego czterech sprzężonych działek laserowych ponownie zatańczyły na kadłubie nieprzyjaciela i przeniknęły w głąb kabiny. Jej oświetlenie zgasło, ale maszyna leciała nadal dotychczasowym kursem. Bez wątpienia ciężko ranny pilot nie zdążył przed śmiercią ograniczyć dopływu energii do jednostek napędowych.

Chwilę później Jastrzębionietoperze minęli resztkę pierwszej fali wrogów.

Z pewnością nieprzyjaciele oczekiwali, że przeciwnicy zawrócą, żeby się wdać z nimi w indywidualne pojedynki. Wedge postanowił jednak obrać taktykę zwaną „Świdrem Kettcha”. Rzekomi piraci lecieli z dużą prędkością prosto w kierunku drugiej fali wrogów w sile pełnej eskadry. Obserwując ekran monitora sensorów, Antilles zauważył, że czterej pozostali przy życiu piloci z pierwszej fali zawracają i rzucają się w pościg za Jastrzębionietoperzami. Wykonali jednak

manewr trochę niepewnie i powoli, jakby zaskoczeni niespodziewaną taktyką przeciwników.

Wkrótce w zasięgu strzału znalazła się także druga fala nieprzyjacielskich myśliwców typu TIE. Cały czas zmieniając pułap lotu, Wedge otworzył ogień. W pewnej chwili strumienie światła z luf sprzężonych laserów wystrzeliły także z paneli słonecznych lecącego po stronie jego sterburty myśliwca przechwytującego Dii Passik. Po sekundzie wokół jego maszyny przeleciały smugi zielonych strzałów. Kiedy jedna otarła się o kadłub, jego myśliwiec zadygotał. Przychodząc do siebie po niespodziewanym wstrząsie, Antilles kolejny raz zapragnął się znaleźć w kabinie swojego myśliwca typu X-wing, który był wyposażony w generator ochronnego pola.

Zauważył, że on i Dia celują do tego samego myśliwca typu TIE. Chwilę później nieprzyjacielska maszyna przemieniła się w kulę szczątków i przegrzanych gazów. Antilles i jego skrzydłowa zatoczyli łuki, żeby minąć ją po obu stronach. Przelecieli między myśliwcami drugiej fali i skierowali się ku trzeciej.

Ze wskazań sensorów wynikało, że w pościgu za piratami z bandy Jastrzębionie-toperzy biorą udział nie tylko czterej piloci myśliwców typu TIE pierwszej fali, ale także kilku drugiej. Wedge się uśmiechnął. Na razie opracowana przez niego taktyka walki przynosiła znakomity skutek. Wprawdzie jego podwładnych ścigało półtorej eskadry nieprzyjacielskich maszyn, ale piloci Jastrzębionietoperzy powstrzymali impet eskadr myśliwców z hangarów „Miażdżyciela".

Jastrzębionietoperze wywiązywały się z umowy. Z pewnością dobrze przysłużyły się Zsinjowi. Nie kryjąc rozbawienia, Wedge usunął tę myśl z głowy i zwrócił uwagę na trzecią falę nieprzyjacielskich maszyn.

Sześcioro rzekomych piratów zanurkowało ku wrogom, a każdy wybrał cel i skierował się prosto ku niemu. Wszyscy lecieli zygzakami albo zmieniali pułap lotu, żeby utrudnić wrogom namierzanie, ale cały czas kierowali się prosto, jakby chcieli ich staranować. W pewnej chwili błyskawice ciągłego ognia Antillesa przeniknęły w głąb kadłuba nieprzyjacielskiej maszyny. Ułamek sekundy później Wedge, przelatując przez chmurę szczątków, usłyszał, jak zabębniły po kadłubie jego maszyny. Obserwując od czasu do czasu pulpit sensorów, zauważył, że w ostatniej chwili przed zderzeniem przeciwnik jego skrzydłowej zboczył z kursu, ale zderzył się z maszyną ścigającego ją pilota pierwszej fali. Sensory pokazały, że dwie plamki nieprzyjacielskich maszyn najpierw zlały się w jedną, a potem zniknęły z ekranu.

Wkrótce w zasięgu ognia znalazła się także czwarta fala w sile połowy eskadry. Wedge zobaczył, że Buźka rezygnuje ze „Świdra Kettcha", zatacza łuk i zawraca w kierunku, skąd przyleciał. Nie łamiąc szyku, pozostali piraci z bandy Jastrzębionietope-rzy powtórzyli jego manewr. W zajadły pościg za nimi puścili się piloci trzech niepełnych eskadr nieprzyjacielskich maszyn.

Ubrana w kompletny kombinezon pilota myśliwca typu TIE, który znalazła w szatni przylegającej do hangaru, Shalla zabrała także kilka dodatkowych urządzeń podtrzymujących funkcje życiowe. Wślizgnęła się do oficerskiego hangaru i przyczaiła na pomoście nad parą myśliwców przechwytujących typu TIE. Powinna poszukać bezpiecznej kryjówki w jednej z kapsuł ratunkowych, ale skoro już wywiązała się z zadania, przyszedł jej do głowy inny pomysł... Zostawiając wielu nieprzytomnych nieprzyjaciół w mijanych niszach i na korytarzach, odbyła niebezpieczny trzykilometrowy spacer z powrotem do hangaru, w którym wylądowała.

To dzięki temu pomysłowi kuliła się obecnie na pomoście. Przez niewidoczną kurtynę pola magnetycznego widziała oznaki toczącej się w przestworzach bitwy. Raz po raz na tle ciemności przestworzy pojawiały się mikroskopijne rozbłyski i cienkie nitki światła. Bitwa miała jednak

miejsce zbyt daleko, żeby mogła się zorientować w jej przebiegu.

Dochowujący wierności władzom Kuata szturmowcy, którzy prawdopodobnie zastanawiali się, co ma oznaczać start superniszczyciela, wpadli do oficerskiego hangaru zaledwie kilka sekund po niej i od razu zaczęli przeszukiwać pomieszczenia wahadłowca Raslana. Kilku zostało na straży obok drzwi wiodących na korytarz, ale Shalla się tym nie martwiła. I tak nie zamierzała tamtędy uciekać. Skradając się cicho jak duch, zeszła na lądowisko i wspięła się po drabince do kabiny myśliwca przechwytującego stojącego po lewej stronie obok ściany, z daleka od szturmowców. Nie zapinając pasów uprzęży ochronnej, zajęła się wykonywaniem procedur przedstartowych. Stwierdziła z niejakim zaskoczeniem, że zabrało jej to więcej czasu niż zazwyczaj. Jej myśliwiec z pewnością należał do wyższego stopniem oficera, bo został wyposażony także w jednostkę napędu nadświetlnego i miał bardziej skomplikowany nawigacyjny komputer niż standardowy myśliwiec przechwytujący typu TIE.

Wszystkie systemy wyglądały na sprawne, lecz Shalla nie włączyła repulsorów, w obawie, żeby ich głośny pomruk nie zaalarmował krzątających się po lądowisku szturmowców.

Wstała i wyszła z kabiny, ale stanęła na najwyższym szczeblu drabinki i chwyciła jedną ręką krawędź włazu. Wyjęła ostatnie dwa przygotowane przez Kella ładunki wybuchowe, nastawiła zapalniki i rzuciła najdalej jak mogła w przeciwległy kąt hangaru. Potoczyły się z grzechotem pod ścianę tuż za wahadłowcem komandosów Zsinja.

Szturmowcy nastawili uszu i skierowali lufy karabinów w stronę źródła dźwięku.

- Co to było? - zapytał dowódca. - Ty i ty, idźcie tam i...

Shalla wskoczyła do kabiny myśliwca przechwytującego i zatrzasnęła klapę włazu.

Właśnie kończyła zapinać pasy ochronnej sieci, kiedy usłyszała huk eksplozji. Po drugiej stronie wahadłowca pojawiła się kula żółtopomarańczowego ognia. Statek się zakołysał, a szturmowcy poszybowali w powietrze niczym kukły. Oba myśliwce prze-chwytające typu TIE zadygotały, a w przestworza za burtą superniszczyciela wyleciał ogromny bąbel atmosfery, wypchnięty przez falę udarową, ale spowolniony przez kurtynę pola magnetycznego.

Obserwując pozostałych szturmowców, którzy rzucili się do rannych towarzyszy, ale zachowywali się, jakby stracili słuch po huku eksplozji, uruchomiła repulsory i zaczekała, aż jej maszyna uniesie się nad płytę lądowiska. Nie włączając jednostek napędowych, przeleciała przez obszar pola magnetycznego i raptownie skręciła w kierunku rufy ogromnego okrętu. Od razu ograniczyła prędkość do niewiele większej niż tempo biegu dorosłego człowieka.

Jak się spodziewała, kadłub „Pocałunku Brzytwy" był zaśmiecony szczątkami rusztowań i pomostów orbitalnej stoczni. Długie węże i rury zwisały niczym pępowiny z miejsc, do których były dołączone, a do powierzchni kadłuba przylgnęło wiele metalowych przedmiotów. Shalla stwierdziła, że utrzymuje je nieruchomo albo przetacza z miejsca w miejsce siła sztucznego ciążenia superniszczyciela. Okręt nabierał prędkości i kierował się poza system z szybkością, na jaką mu pozwalały niewypróbowane jednostki napędowe. Załogi widocznych w przestworzach imperialnych niszczycieli z każdą chwilą zmniejszały odległość dzielącą je od uciekiniera.

Shalla głęboko odetchnęła i spróbowała nie zwracać uwagi na mrowienie w żołądku. Wymyśliła na poczekaniu plan, który mógł przyczynić się do jej śmierci, ale nie mogła przegapić nadarzającej się okazji.

Leciała obok kadłuba superniszczyciela na tyle blisko, na ile pozwalały jej umiejętności. Od czasu do czasu wprawiała myśliwiec przechwytujący w ruch obrotowy wokół osi, żeby wyglądał jak

jeden z wielu otaczających kadłub szczątków.

Nie powinna wzbudzać podejrzeń, nawet gdyby ktoś skierował na nią promienie sensorów, ale wiedziała, że gdyby uważny obserwator zwrócił na nią obiektyw holograficznej kamery, zorientowałby się, że w kabinie myśliwca siedzi żywa osoba. W każdej chwili jeden strzał z baterii turbolaserów porwanego okrętu mógł rozpylić ją na atomy. Mimo to Shalla leciała dalej absurdalnie powoli i tylko się modliła, żeby nikt jej nie zauważył.

ROZDZIAŁ 19

Ścigani przez pilotów myśliwców typu TIE z hangarów „Miażdżyciela” podwładni Antillesa skierowali się z rykiem silników w stronę chmary lecących wolniej Wibroto-porów. Piloci wyposażonych w zbieraninę przypadkowych systemów uzbrojenia Brzydali otworzyli ogień, jeszcze zanim znaleźli się w odległości skutecznego strzału, a Jastrzębionietoperze i piloci nieprzyjacielskich myśliwców typu TIE wpadali w gąszcz niszczycielskich pocisków, jakby zamierzali popełnić samobójstwo.

Wedge miał wrażenie, że zamiast żołądka ma komorę nastawionej na pełne chłodzenie zamrażarki. On i jego podwładni mogli się czuć bezpieczniejsi, lecąc na spotkanie wrogów, niż kiedy wlatywali w gąszcz maszyn sojuszników. Teoretycznie inni piraci mogli odróżnić na ekranach monitorów plamki myśliwców Jastrzębionietoperzy od wszystkich pozostałych... ale raczej nie mieli wystarczająco dokładnego sprzętu, żeby zrobić użytek z tego rozróżnienia. Obok pilotów Jastrzębionietoperzy przelatywały z każdej możliwej strony czerwone i zielone ostrza laserowych błyskawic, strzały z jonowych działek i błękitne ogniki protonowych torped.

W końcu rzekomi piraci przelecieli przez pierwszą linię Wibrotoporów i rozdzielili się w taki sposób, że każda para poleciała w inną stronę. Niektórzy ścigający ich piloci myśliwców typu TIE zrezygnowali z pościgu i zawrócili w przyzwoitej odległości przed rojem nadlatujących ku nim Brzydali, inni pogrążyli się w chmurze, a jeszcze inni przelecieli przed jej frontem, jakby chcieli ominąć ją z boku. W pewnej chwili pilotowanym przez Antillesa myśliwcem przechwytującym zakołysała siła eksplozji pobliskiej torpedy. Wedge zerknął kątem oka na ekran monitora sensorów, żeby sprawdzić, czy Dia leci cały czas obok skrzydła jego maszyny.

Z kanału łączności komunikatora korzystało tyle osób naraz, że nie sposób było się zorientować, kto co mówi.

- „Klucz Dwa”, rozkazuję lecieć ku pierwotnemu celowi.

- „Jastrzębionietoperz Pięć”, tu „Dwunastka”. Zalecam natychmiastową ucieczkę świecą w przestworza.

- Trafili mnie, trafili mnie, trafili...

- Niech ktoś zestrzeli z mojego ogona tego łobuza!

- Zrąbałem go, Banthu!

- „Łuczniku”, tu „Wibrotopór Jeden”. Poślij salwę torped w to maleństwo, a ja skieruję w pościg za nim całą eskadrę.

- To... na nos Imperatora, to Ewok! Mają pilota Ewoka!

Wedge pstryknął włącznikiem mikrofonu komunikatora wciąż jeszcze wyposażonego w zainstalowany przez Castina modulator, dzięki któremu jego głos brzmiał jak głos istoty z Endora.

- Wykrwaw się i giń, zyg, zyg! - powiedział.

Kiedy zobaczył jeszcze jedną eskadrę kierującą się ku porwanemu gwiezdnemu superniszczycielowi, skręcił raptownie na sterburtę i obniżył pułap lotu. Dziesięciu pozostałych przy życiu imperialnych pilotów opuściło rejon walki i zaczynało tworzyć szyk w przestworzach. Nie tracąc czasu na usuwanie punkcików sojuszniczych i wrogich maszyn z ekranu monitora sensorów, otworzył ogień i wszystkimi czterema błyskawicami trafił jakiś myśliwiec typu TIE w wylot dyszy jednostki napędowej. Strzał okazał się idealnie dokładny. Maszyna eksplodowała i przemieniła się w płomienistą kulę, która na krótko pochłonęła nawet myśliwiec skrzydłowego. Wedge zauważył jednak, że drugi pilot wyleciał z niej nietknięty.

W bakburtowy panel z ogniwami słonecznymi tamtej maszyny trafiły wystrzelone przez Dię błyskawice, ale tylko przeleciały na wylot, nie powodując uszkodzenia kabiny ani kadłuba. Wedge i jego skrzydłowa opuścili pole bitwy i puścili się w pościg za pilotami dziewięciu pozostałych maszyn typu TIE.

W pewnej chwili Shalla zauważyła, że prosto na kursie, nad kadłubem supernisz-czyciela, coś się porusza. Skierowała myśliwiec przechwytujący w dół, zawisła nieruchomo obok szczątków rusztowania orbitalnej stoczni i od razu odcięła dopływ energii do jednostek napędowych.

Zobaczyła na ekranie monitora sensorów kilka plamek, ale widziała ich źródła także przez iluminator. W jej stronę kierowało się pół eskadry myśliwców przechwytujących typu TIE. Kiedy znalazły się bliżej, zauważyła na panelach z ogniwami słonecznymi ozdoby w postaci poziomych czerwonych pasów elitarnego 181. Pułku Imperialnych Gwiezdnych Myśliwców... śmiercionośnej jednostki barona Soontira Fela. Wstrzymała oddech.

Piloci imperialnych maszyn przechwytujących przelecieli z rykiem silników obok niej w odległości mniejszej niż sto metrów. Żaden nie zmienił kursu, żeby obejrzeć jej maszynę z bliska. Shalla się odprężyła. Niewątpliwie podwładni Fela lecieli na zwiad, żeby obejrzeć stan kadłuba porwanego superniszczyciela. Chcieli się upewnić, czy niespodziewany odlot ogromnego okrętu z orbitalnej stoczni nie wyrządził dużych zniszczeń.

Ponownie przesłała energię do jednostek napędowych, wykonała kilka najważniejszych procedur przedstartowych i wzniosła się ponad kadłub „Pocałunku Brzytwy".

Jeżeli chciała wylądować na platformie wieży dowodzenia, musiała zwiększyć pułap lotu. Tym razem jej zadanie było trudniejsze, bo kadłub, który z daleka sprawiał wrażenie płaskiego, w okolicy wieży dowodzenia wyglądał jak pełen zdradliwych pułapek stromy ziggurat.

Shalla doskonale umiała latać nisko nad powierzchnią gruntu, więc pół minuty później osiadła precyzyjnie - i bardzo delikatnie - na szczycie wieży dowodzenia, w wolnym miejscu między kopułami generatorów ochronnych pól superniszczyciela.

Wyłączyła zasilanie wszystkich pokładowych urządzeń i podzespołów, z wyjątkiem systemów podtrzymywania funkcji życiowych kombinezonu pilota i komunikacyjnej konsolety myśliwca. Przełączyła komunikator na szeroki zakres częstotliwości, głęboko odetchnęła i włączyła mikrofon.

- „Pasożyt Dwa", do dzieła - powiedziała.

Spodziewała się, że jej meldunek usłyszą piloci Jastrzębionietoperzy. Pragnąc go uwiarygodnić, nadała głosowi męskie brzmienie.

- Wzywam Centralny Ośrodek Dowodzenia Kuata - zażądała. - Mówi inżynier Matę Vula z pokładu „Pocałunku Brzytwy". Okręt został porwany przez Rebeliantów albo piratów. Prawdopodobnie lecimy. Proszę o instrukcje.

Przełączyła komunikator na odbiór. Usłyszała szum, a po chwili zniekształcony przez zakłócenia głos jakiegoś mężczyzny.

- Vulo, tu wieża dowodzenia „Miażdżyciela". Wiemy o tym. Gdzie jesteś?
- Nie mogę powiedzieć - odparła pilotka. - Nadaję otwartym tekstem i obawiam się, że porywacze mnie słuchają.
- Postaraj się dotrzeć do najbliższej kapsuły ratunkowej i wystartuj nią w przestworza - usłyszała. - Spełniłeś swój obowiązek.
- Zrozumiałem. Bez odbioru. - Shalla wyłączyła mikrofon i westchnęła. Dostań się do najbliższej kapsuły ratunkowej, powtórzyła w myśli. Jakie to dziwne, że nieprzyjaciele wydawali jej rozkaz, którego już raz nie wykonała. Pomyślała, że jej rozmowa przez komunikator wywiedzie w pole podwładnych Raslana, i powoli zaczęła się odprężać.

Dia rozpyliła na atomy wrogi myśliwiec. Kierowała błyskawice laserowych strzałów tak długo w wierzch kabiny, że w końcu odstrzeliła klapę włazu. Kabina wypełniła się jaskrawym światłem, a z wnętrza wyleciały szczątki pilota. Niemal w tej samej chwili Wedge usłyszał dziwny tekst:

- „Pasożyt Dwa", do dzieła.

Zdumiony spojrzał na pulpit sensorów. Zaszyfrowana wiadomość oznaczała, że jeden z pilotów Jastrzębionietoperzy udał, że roztrzaskał myśliwiec o kadłub porwanego gwiezdnego superniszczyciela, i przygotowywał się właśnie do zniszczenia kopuł generatorów ochronnego pola. Na ekranie monitora zauważył jednak wszystkie myśliwce rzekomych piratów.

Głos miał wprawdzie męskie brzmienie, ale meldunek chyba złożyła kobieta. To musiała być Shalla. Wedge poczuł, że bryła lodu w jego żołądku zaczyna się roztapiać.

To dobrze, bardzo dobrze, i to nie tylko dlatego że ocalała po wykonaniu zadania. Jej meldunek oznaczał, że piloci Jastrzębionietoperzy muszą już tylko raz pokusić się o zainstalowanie Pasożyta. Nawet gdyby zdołali dwukrotnie dokonać tej sztuki, mogłoby to wzbudzić podejrzenia.

W pewnej chwili piloci dwóch ściganych myśliwców typu TIE zaczęli zataczać łuki, jakby chcieli zawrócić i zaatakować jego i Dię od tyłu. Dzięki tej taktyce pozostali mogli zyskać więcej czasu. Widocznie dowódca imperialnej eskadry doszedł do wniosku, że jego podwładni nie mają szans ucieczki przed pilotami szybszych i zwrotniej-szych maszyn przechwytujących, i postanowił poświęcić dwóch, żeby pozostali mogli dolecieć do celu, czyli do odlatującego „Pocałunku Brzytwy". Piloci obu skazanych na zagładę myśliwców typu TIE zataczali jednak bardzo szerokie łuki. Gdyby Jastrzębio-nietoperze leciały nadal tym samym kursem, wcześniej czy później wrogowie

zajęliby pozycje za ogonami maszyn przeciwników.

- „Czwórko”, zostań ze mną, ale odłącz się, kiedy przelecimy obok nich - rozkazał Antilles i skierował się w stronę jednego z nadlatujących myśliwców. Dia trzymała się jak najbliżej rufy i bakburtowego skrzydła jego maszyny.

Piloci obu nadlatujących myśliwców typu TIE otworzyli ogień na oślep, jakby polewali trawnik. Wedge wykonał kilka uników, ale odpowiadał ogniem, tylko kiedy ramka na ekranie monitora celowniczego komputera sugerowała, że imperialny myśliwiec został prawie namierzony. Zauważył jednak, że błyskawice jego strzałów nie docierają do celu. Ułamek sekundy później dwie pary myśliwców śmignęły jedna obok drugiej. Nieprzyjacielscy piloci zaczęli zataczać łuki, żeby przystąpić do następnego ataku.

Wedge zgrzytnął zębami i zaczął wykonywać najciaśniejszy łuk, na jaki mógł sobie pozwolić. Grawitacyjny kompensator jego myśliwca przechwytującego nie poradził sobie ze zmniejszeniem przeciążenia. Niezwykły manewr wcisnął plecy pilota w oparcie fotela i pchnął falę krwi do jego głowy. Wedge uświadomił sobie, że zaczyna tracić przytomność, i powiększył promień skrętu. Jego ofiara nie zdecydowała się jednak na tak karkołomny manewr, dzięki czemu Antilles znalazł się za ogonem nieprzyjacielskiej maszyny. Ścigany pilot zaczął wykonywać uniki, żeby utrudnić celowanie, ale Wedge trzymał się cały czas z tyłu. Zanim dał ognia, cierpliwie zaczekał, aż sylwetka ściganego myśliwca zatańczy w kwadracie na ekranie celowniczego monitora. Myśliwiec eksplodował i rozkwitł niczym ognisty kwiat. Antilles trącił w bok drążek sterowniczy, żeby ominąć chmurę szczątków.

Zauważył na ekranie monitora sensorów plamkę myśliwca swojej skrzydłowej i skręcił, żeby zobaczyć, jak sobie poczyna. Dia także leciała za myśliwcem swojego przeciwnika, cały czas posyłając ku niemu błyskawice laserowych strzałów. W pewnej chwili wspornik skrzydła nieprzyjacielskiej maszyny odłamał się u nasady, a z dyszy wylotowej jednego silnika strzeliły jęzory ognia.

Pilot odciął dopływ energii do uszkodzonej jednostki napędowej i starając się umknąć prześladowczym, raptownie skręcił na sterburtę.

Dia go nie ścigała. Pozwoliła, żeby pilot uszkodzonego myśliwca typu TIE odleciał w bezpieczne miejsce. Zatoczyła zgrabny łuk i zajęła pozycję obok myśliwca Antil-lesa.

Wedge skierował maszynę na poprzedni kurs i zaczął się zastanawiać nad tym, co zobaczył. Dawna Dia rozpyliłaby cel bez sekundy wahania, ale obecnej Dii chyba bardziej zależało na osiągnięciu celu niż zaliczeniu kolejnego zestrzelenia. Wedge miał nadzieję, że ta zmiana nie przyczyni się do jej śmierci.

- Doskonała akcja, „Czwórko” - powiedział.
- Zyg, zyg, „Jedynko” - usłyszał w odpowiedzi.

W pewnej chwili prosto na kursie, w pobliżu porwanego superniszczyciela, Wedge zauważył błyski światła.

Rzut oka na pulpit sensorów poinformował go, że zamiast sześciu myśliwców typu TIE widzi obecnie dwanaście, ale nowe maszyny były reprezentowane przez niebieskie plamki. Ich transpondery dowodziły, że to sojusznicy z pokładu „Żelaznej Pięści”. Czerwonych punktów szybko ubywało. Z sześciu zrobiło się najpierw pięć, potem cztery, później dwa... a w końcu zero. Wedge

zwolnił, a Dia powtórzyła jego manewr.

Nowi przybysze lecieli jednak nadal w ich stronę.

Wedge pstryknął włącznikiem mikrofonu komunikatora.

- Dowódco, co robić? - zapytał.

- Wciąż mamy mnóstwo kłopotów, „Jedynko" - usłyszał w odpowiedzi głos Buźki. - Wracajcie na pole bitwy.

Nagle do ich rozmowy włączył się jeszcze ktoś. Mężczyzna wymawiał słowa z charakterystycznym akcentem zawodowego wojskowego.

- Czy rozmawiam z pilotem Ewokiem? - zapytał.

To był głos Fela. Wedge poczuł, że temperatura jego żołądka ponownie osiąga wartość bliską absolutnego zera.

Sensory dowodziły, że źródłem nowego sygnału jest jeden z nadlatujących myśliwców przechwytujących typu TIE.

- Zyg, zyg. Tutaj Kettch - odparł Antilles. - Kto mówić?

- Nazywam się Fel - odparł baron. - Fel chcieć latać z Kettchem. Charakterystyczny akcent kłócił się z uproszczoną wymową. Kiedy Wedge sobie to uświadomił, pokręcił głową i skierował swój myśliwiec w stronę pola walki. Dia podążyła za nim. Litościwie postanowiła nie przeszkadzać mu w rozmowie.

- Tak - odparł Antilles. - Latać z Kettchem. Przekonać się na własne oka, że Ket-tch to najlepszy pilot.

- No cóż, z pewnością najlepszy Ewok - odparł Fel.

- Kettch nie być prawdziwy Ewok - oznajmił z dumą Wedge.

- Nie? - W głosie barona zabrzmiało zdziwienie.

- Musi nie być - ciągnął komandor. - Ewoki głupie. Nie rozumieć astronawigacja. Nie rozumieć sprawdzenie procedura przedstartowa. Głupie, głupie.

- To bardzo smutne - stwierdził Fel.

Wedge zauważył, że obok maszyn jego i Dii Passik zajęli pozycje piloci sześciu myśliwców przechwytujących typu TIE z czerwonymi pasami na skrzydłach.

- Smutne - przyznał ponuro. - Kettch nie mieć partnerka życia. Ewockie partnerki życia głupie.

- To jeszcze smutniejsze - powiedział Fel.

- A Fel mieć partnerka życia? - To było to... pytanie, które Wedge pragnął zadać, musiał zadać. Chciał się dowiedzieć, co się stało z jego siostrą Syal, która poślubiła Soontira Fela.

- Och, Fel mieć partnerka życia - uspokoił go baron.

- Mądra partnerka życia? - nie dawał za wygraną Antilles.

- Mądra partnerka życia - przyznał Fel. - Aktorka. Kettch rozumieć, co to aktorka?

- To jak gawędziarka - odparł komandor. - Ona być dobra partnerka?

- Dobra partnerka.
- Latać z tobą na okręt wielki jak wyspa?
- Nie, zajmować się własnymi sprawami - oznajmił Fel. - Ty rozumieć, co to własna sprawa?
- Rozumieć - odparł Antilles. - To jak robić bomba, naprawiać gwiezdny myśliwiec, sztyletować istota ludzka.
- Coś w tym rodzaju - mruknął rozbawiony baron.

Znaleźli się na skraju rejonu walki. Wedge zorientował się, że jej przebieg nie jest korzystny dla pilotów z bandy Wibrotoporów, których liczba zmalała do sześciu. Korzystając ze wsparcia czworga Jastrzębionietoperzy, sojusznicy Zsinja walczyli zawzięcie z pilotami piętnastu imperialnych myśliwców typu TIE.

- Trzymaj się z Kettchem - odezwał się Wedge. - Kettch nauczyć cię dobrze. Obrócił myśliwiec w locie i zanurkował w największy gąszcz nieprzyjacielskich maszyn, gdzie trzy dwójki pilotów imperialnych myśliwców typu TIE toczyły walkę z Buźką, Kellem i załogą jednostki dowodzenia Wibrotoporów, solidnie opancerzonego szturmowego wahadłowca.

- Fel nie potrzebować, żeby Kettch go uczyć - odparł baron. - Fel najlepszy pilot człowiek.
- Nie, inni ludzie twierdzić, że kto inny lepszy - sprzeciwił się Antilles.

Postaraj się go sprowokować, pomyślał. Może się zdenerwuje i w przypływie gniewu wyjawi coś, czego inaczej by nie powiedział. Nie otwierał ognia, bo piloci nieprzyjacielskich myśliwców typu TIE jeszcze nie zareagowali na pojawienie się nowych przeciwników na polu walki, a każda sekunda zwłoki zwiększała prawdopodobieństwo celnego strzału.

- Zapewne masz na myśli Luke'a Skywalkera - domyślił się Fel. - To rebeliancka szumowina, ale rzeczywiście znakomity pilot.

W końcu do rozmowy przyłączyła się Dia.

- Prawdę mówiąc, chcieliśmy wymienić Wedge'a Antillesa i pilotów jego Eskadry Łotrów - powiedziała, nadając głosowi jedwabiste brzmienie piratki Sęku.

Fel wybuchnął gromkim śmiechem.

- Antilles? - powtórzył pogardliwie. - Z pewnością ma niewiarygodne szczęście, ale jako pilot nie jest wart złamanego kredyta.

Z pewnym zaskoczeniem Wedge stwierdził, że w jego sercu wzbiera fala gniewu. Kiedy znalazł się w optymalnej odległości od nieprzyjaciół, otworzył ogień do najbliższego myśliwca typu TIE, którego pilot ścigał Tainera.

Fel wystrzelił w tej samej chwili do innego myśliwca. Błyskawice ich laserowych strzałów trafiły obie nieprzyjacielskie maszyny i w odstępie zaledwie kilku milisekund przemieniły je w

ogniste kule.

Wedge skręcił, żeby zająć pozycję za ogonem jednego z kilku przeciwników, którzy starali się ostrzeliwać Buźkę. Fel powtórzył jego manewr. Obracając myśliwce w locie i zataczając kręgi niczym mikroskopijne planety wokół niewidzialnego słońca, obaj zanurkowali, wystrzelili do wrogów ścigających Garika i rozpylili ich na atomy z taką samą śmiercionośną skutecznością.

Antilles i Fel, dwaj szwagrowie, ponownie lecieli obok siebie. Współdziałali pierwszy raz od wielu lat, od czasu zniknięcia Soontira, ale to nie był powód do radości. Baron sprawiał wrażenie zadowolonego ze służby dla lorda Zsinja. Wszystko wskazywało, że w ciągu tych lat stracił cały szacunek, jaki kiedyś żywił do Antillesa.

Obaj skręcili w stronę wahadłowca Wibrotoporów, ale statek spowijała przetykana masą szczątków chmura gęstego dymu. W ich stronę lecieli Dia i skrzydłowy Fela.

Ekran monitora sensorów wskazywał, że pozostali przy życiu piloci nieprzyjacielskich myśliwców typu TIE zawracają nie w kierunku „Miażdżyciela", ale innego imperialnego niszczyciela, który minął w dużej odległości rejon bitwy i zbliżył się na odległość strzału do „Żelaznej Pięści". Jego artylerzyści wymieniali błyskawice turbolase-rowych strzałów z artylerzystami flagowego superniszczyciela Zsinja. Tymczasem „Miażdżyciel" wirował powoli wokół osi, a z pięciu czy sześciu dziur w kadłubie uciekała atmosfera. Z otworów wyrzutni nie wylatywały jednak roje kapsuł ratunkowych. Z pewnością kapitan imperialnego okrętu był pewien, że opanuje trudną sytuację.

Wyeliminowanie „Miażdżyciela" z walki było pomyślną nowiną... ale wciąż jeszcze w stronę piratów kierowało się co najmniej kilkanaście innych gwiezdnych niszczycieli.

- Uwaga, Jastrzębionietoperze, Wibrotopory i Sto Osiemdziesiąty Pierwszy - rozległ się nagle głos Melvara. - Wycofać się. Powtarzam, wycofać się. Zbliżamy się do strefy skoku.

- Miło się z tobą latało, Kettch - powiedział Fel i raptownie zawrócił w stronę pozostałych pilotów swojej eskadry. - Musimy to jeszcze kiedyś powtórzyć.

- Zyg, zyg - odparł Wedge, starając się, żeby w jego głosie zabrzmiało więcej entuzjazmu, niż naprawdę odczuwał.

Wyglądało na to; że Fel czuje się świetnie w służbie Zsinja. Może nawet zaprzedał mu się ciałem i duszą. Istniało prawdopodobieństwo, że kiedy następnym razem się spotkają, Wedge będzie musiał go zabić.

„Żelazna Pięść" leciała w sporej odległości za „Pocałunkiem Brzytwy" i stanowiła środek jej obronnej tarczy. Lądujący w ładowni „Słonecznej Trawy" piloci z Eskadry Jastrzębionietoperzy zauważyli, że okręt flagowy Zsinja jest uszkodzony w kilku miejscach po stronie bakburty. Winę za to ponosili niewątpliwie artylerzyści unieruchomionego „Miażdżyciela" i innego imperialnego gwiezdnego niszczyciela o nazwie „Pozłacany Pazur", którego płonące szczątki zostały kilka tysięcy kilometrów za rufą „Żelaznej Pięści". Mimo to piloci myśliwców typu TIE z hangarów „Pazura" wciąż jeszcze ostrzeliwali zajadle okręt Zsinja.

- Dowódco, tu „Dwunastka" - odezwał się nagle Prosiak. - Chciałbym zestrzelić jeszcze kilku.

Nie czekając na zgodę, złamał szyk i skierował się w stronę „Żelaznej Pięści".

Buźka głęboko odetchnął. Słowa stanowiły umówiony znak, że Prosiak przystępuje do wykonania najważniejszego zadania, które było powodem przyłączenia się do sił zbrojnych Zsinja. Wykorzystywał pierwszą nadarzającą się podczas bitwy okazję, żeby przelecieć blisko „Żelaznej Pięści" bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń. Buźka musiał jednak zareagować na prośbę Prosiaka. Włączył mikrofon komunikatora.

- „Dwunastka", tu dowódca - powiedział. - Zabraniam. Wracaj do ładowni „Słonecznej Trawy".
- Nie słyszę cię, dowódco - odparł Gamorreanin.
- „Dwunastka", niech to zaraza... „Jedenastko", leć za nim!

- Potwierdzam, dowódco - odezwała się Tyria. Zatoczyła łuk i puściła się za myśliwcem Prosiaka.

Starając się opanować zdenerwowanie, Garik poświęcał część uwagi lądowaniu w ładowni transportowca, a pozostałą część śledzeniu wskazań sensorów i oczekiwaniu na meldunek z głośnika pokładowego komunikatora. Sensory dowodziły, że Prosiak i Tyria ścigają samotnego imperialnego pilota, który usiłował śmignąć świecą w przestworza za wieżą dowodzenia „Żelaznej Pięści". Z rozmów obojga Jastrzębionietoperzy wynikało, że lecą za nim, ale w pewnej chwili każde z nich zatoczyło łuk wokół wieży w przeciwną stronę... i nagle Prosiak wysforował się przed nieprzyjacielskiego pilota, którego ścigała Tyria. Buźka poczuł nagły ucisk w żołądku. Jeszcze nigdy nie był świadkiem równie szaleńczego i ryzykanckiego manewru. Gamorreanin świadomie wystawiał się na strzały imperialnego pilota, żeby operatorzy sensorów z pokładów „Żelaznej Pięści" mogli dojść tylko do jednego logicznego wniosku. W ciągu tych kilku sekund jego życie zależało od celności strzałów skrzydłowej.

Nagle z głośnika komunikatora rozległ się przejmujący wrzask Tyrii, wyrażający równocześnie triumf i grozę. W tym samym ułamku sekundy z ekranu monitora sensorów zniknęły plamki oznaczające myśliwiec Prosiaka i maszynę ścigającego go pilota.

W końcu z głośnika komunikatora wydobył się cichy i przesycony smutkiem głos Tyrii:

- Dowódco, muszę zameldować, że „Dwunastka" zginął. Nasz przyjaciel Mont stał się jeszcze jedną ofiarą okrutnego wszechświata.

Mont Gamorreański pasożyt. Meldunek pilotki Jastrzębionietoperzy oznaczał, że Prosiak przeżył i zajął pozycję do wykonania zadania na pokładzie „Żelaznej Pięści", ale oficjalnie był uważany za nieżywego. Tyria nazywała go montem, żeby poinformować o tym Garika bez powtarzania słowa pasożyt, które mogłoby wzbudzić podejrzenia. Buźka powoli wypuścił powietrze, ale poczuł się nagle dziesięć lat starszy i bardzo zmęczony.

- Bardzo mi przykro, „Jedenastko" - powiedział. - Zrobiłaś, co w twojej mocy, pamiętaj jednak, że do skoku została niespełna minuta, a my musimy jeszcze wylądować w ładowni „Słonecznej Trawy". Wieczorem wzniesiemy kielichy i uczcimy pamięć Monia.

Myśliwiec Prosiaka spoczywał na sterburtowym panelu z ogniwami słonecznymi, a Gamorreanin

utrzymywał się na fotelu pilota tylko dzięki ochronnej uprzęży.

Jego myśliwiec roztrzaskał się o kadłub „Żelaznej Pięści" tylko częściowo dzięki przypadkowi. Ostatni strzał imperialnego prześladowcy trafił w kabinę w miejsce pośrodku i powyżej bliźniaczych silników jonowych. Na pewno wyrządził sporo szkód pokładowej aparaturze elektronicznej, bo zanim Prosiak wyłączył dopływ energii do jednostek napędowych, pulpit diagnostyczny rozjarzył się niczym niebo podczas pokazu ogni sztucznych.

Przed sobą, ale za metalowym zigguratem wieży dowodzenia „Żelaznej Pięści" widział wierzchołek jednej z kopuł osłaniających generator ochronnego pola superniszczyciela.

Na razie jednak musiał uzbroić się w cierpliwość. Skupił się i zaczął rozwiązywać skomplikowane wzory matematyczne wyrażające zawiłe związki między normalnymi przestworzami a nadprzestrzenią.

Wisiał przekrzywiony, ale kiedy flota Zsinja wskoczyła do nadprzestrzeni, zauważył, że punkciki gwiazd rozciągnęły się i przerodziły w ogniste smugi.

Kiedy „Słoneczna Trawa" wylądowała w głównym hangarze „Żelaznej Pięści", Buźka otworzył właz śluzy i zeskoczył na płytę lądowiska.

Na piratów z różnych band czekał komitet powitalny w postaci przynajmniej kompanii szturmowców. Pośrodku, przed szeregiem żołnierzy Zsinja, stał generał Melvar. Ściskał ręce przypadkowej zbieraninie pilotów i oficerów i od czasu do czasu wręczał niektórym piratom nowiutkie i lśniące komputerowe notatniki.

Kiedy Garik ruszył w stronę Melvara, jeden z piratów właśnie wymyślał generałowi. Podskakując i wygrażając mu pięścią, wykrzywiał twarz w teatralnym grymasie wściekłości. Wszystko wskazywało, że nie żartuje. Pirat był Devaronianinem i chyba lubował się w ozdobach i świecidełkach. Z jego głowy wyrastały pozłacane rogi, a ostre zęby rzucały takie błyski, jakby utwardził je błyszczącą substancją. Miał na sobie strój podobny do munduru imperialnego admirała, ale uszyty z czerwonego materiału i skóry, a jego ramiona okrywała krzykliwa, czerwono-złota krótka peleryna.

Kiedy Buźka podszedł jeszcze bliżej, usłyszał głos Devaronianina i zorientował się, że to „Wibrotopór Jeden".

- ...perfidnymi kłamstwami. Tak się nie postępuje w stosunku do sojuszników. Melvar wzruszył ramionami.

- Kłamstwa były konieczne, jeżeli mieliśmy utrzymać cel akcji w najściślejszej tajemnicy - powiedział. - Nie zaniżyłem siły ognia ani liczebności przeciwników, z którymi mieliśmy się wszyscy zmierzyć.

- Może nie, ale wprowadził pan nas w błąd! - wybuchnął Devaronianin. - Moi podwładni spisaliby się o wiele lepiej, gdyby mieli do czynienia z myśliwcami typu X-wing i Y-wing. Ćwiczyliśmy na symulatorach walkę z takimi maszynami wiele godzin, które raczej należało poświęcić na ćwiczenia pojedynków z pilotami myśliwców typu TIE. Zmarnowaliśmy ten czas. Straciłem osiemdziesiąt procent maszyn i prawie połowę pilotów.

- Kiedy będziemy wypłacali drugą ratę honorarium, otrzyma pan premię, jaką obiecywałem za te straty - przypomniał kojącym tonem generał.

- Nie będzie żadnej drugiej raty - warknął „Wibrotopór Jeden". - Chcę wszystko od razu. I niech

pan nie zawraca mi głowy żadnymi kontami. Interesują mnie wyłącznie cenne surowce, kosztowne klejnoty i towary. Nie okpi mnie pan żadnymi notatnikami.

Buźka przepchnął się przez tłum czekających piratów, stanął przed generałem i zmarszczył brwi.

- Jakimi notatnikami, Melvar? - zapytał.
- Ach, generał Kargin. - Melvar wyciągnął rękę do tyłu i jeden z doradców wręczył mu następny komputerowy notatnik. - Dwadzieścia osiem procent strat i niewiarygodnie wysoka liczba zestrzelonych nieprzyjaciół. Już za samo to dostanie pan premię podczas drugiej wypłaty. Na razie otrzyma pan tylko obiecywaną zaliczkę.

Wyciągnął do niego rękę z notatnikiem.

- Co to jest? - zapytał Garik. - Gdzie imperialne kredyty?
- To informacja, jakiej pan potrzebuje, żeby uzyskać dostęp do konta, na którym złożono te kredyty - uspokoił go generał. - Zdeponowaliśmy je w banku na Halmadzie. Uznaliśmy, że takie rozwiązanie będzie dla wszystkich najwygodniejsze.
- Możliwe - odparł Buźka, spoglądając na notatnik z wyraźnym powątpiewaniem. - A gdybym, podobnie jak dowódca Eskadry Wibrotoporów, wybrał dobra materialne?
- Otrzymałby je pan - zapewnił Melvar. - Stanowiłyby połowę sumy uzgodnionego honorarium. Gdybyśmy jednak musieli zadać sobie trud sprowadzania na pokład gotówki i towarów, musielibyśmy w istotnym stopniu ograniczyć wysokość wypłaty. Żadnych negocjacji.

Buźka wzruszył ramionami i wyciągnął rękę po notatnik.

- Ufam Zsinjowi - oznajmił głośno. - Choćby tylko dlatego że nie opłaci mu się nas oszukiwać. Wiadomość o tym obiegłaby całą galaktykę i dotarła do wszystkich eskadr piratów działających w rebelianckich i imperialnych przestworzach. Zsinj nie mógłby się spodziewać od nich żadnej pomocy... z wyjątkiem blastera wymierzonego między oczy.

Melvar się uśmiechnął.

- Jak zawsze, Jastrzębionietoperze dokonują inteligentnego wyboru - powiedział. - Ubolewam z powodu poniesionych strat. Szczególnie współczuję z powodu śmierci Qatyi, która bardzo się nam przysłużyła.
- Mam nadzieję, że będziecie długo pamiętali, jakie oddała wam usługi - mruknął Buźka. - Do zobaczenia przy okazji wypłaty drugiej raty honorarium, Melvar.

Niedbale zasalutował notatnikiem, odwrócił się i ruszył z powrotem do „Słonecznej Trawy".

Nieco udobruchany „Wibrotopór Jeden" i przywódcy pozostałych band piratów zaczęli chować notatniki albo wdawać się w negocjacje w sprawie wypłaty honorarium w zmniejszonej wysokości, ale za to w postaci dóbr materialnych.

Kapitan „Słonecznej Trawy" wykonał pierwszy skok przez nadprzestrzeń w stronę Halmada, ale

przeleciał tylko jakiś rok świetlny, zanim powrócił do normalnych przestworzy. Dopiero po drugim skoku wyłonił się w głębi przestworzy, w punkcie, w którym czekała „Mon Remonda".

I nie tylko ona. W punkcie zbornym zobaczył także inne okręty floty generała Hana Solo, a wśród nich fregatę klasy Nebulon-B, krążownik klasy Quasar Fire przerobiony na lekki transportowiec gwiezdnych myśliwców i cokolwiek zaniedbaną i przestarzałą korwetę klasy Marauder, którą zazwyczaj widywało się tylko w przestworzach Sektora Wspólnego. Wedge doszedł do przekonania, że Han Solo ściągał jednostki z przypadkowych, a może nawet podejrzanych źródeł.

Kiedy Antilles dotarł na mostek kalamariańskiego krążownika, generał Nowej Republiki czekał na niego z uśmiechem na twarzy i wyciągniętą ręką.

- Nadeszła wiadomość z któregoś gwiezdnego superniszczyciela? - zapytał komandor bez żadnego wstępu.

- Dziękuję, świetnie - odparł Han. - A ty? Wedge wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Och, przepraszam - powiedział. - Jak się miewasz?

- Nie, na razie ani słowa. - Han odwrócił się i wskazał zajmującą większą część środka mostka holograficzną mapę przestworzy. Zgromadzeni wokół niej oficerowie, przeważnie Kalamarianie, ignorowali obecność ludzi i zajmowali się swoimi sprawami. - Odpręż się. Twoim pilotom przyda się trochę odpoczynku.

- Prosiak zabrał wprawdzie kilka rezerwowych zasobników do podtrzymywania funkcji życiowych, ale w kabinie jego myśliwca nie zostało dużo powietrza - przypomniał Antilles. - Niedługo stanie przed koniecznością dokonania trudnego wyboru. Może spróbować odlecieć, ale to mu nic nie pomoże, skoro się znajdzie w głębi przestworzy, z daleka od wszelkich tras i szlaków. Nawet jeżeli zdoła wywieść w pole obsługę generatora promienia ściągającego i artylerzystów „Żelaznej Pięści", nie odleci daleko myśliwcem typu TIE, bo nie ma jednostek napędu nadświetlnego. Może się poddać, ale to byłoby jeszcze gorsze rozwiązanie... z wiadomych powodów i kilku innych, o których nie muszę ci przypominać. Może także spróbować się dostać na pokład superniszczyciela, co na pewno okaże się bardzo trudne, a może wręcz niemożliwe. Nie mamy również pojęcia, co się stało z Shallą Nelprin, więc nawet jeśli pomyślnie zainstalowała tajny program, nasze Pasożyty mogą się okazać częściowym niewypałem.

- No cóż, mimo to postaraj się odprężyć - odparł Han. - Możliwe, że kapitanowie „Żelaznej Pięści" i drugiego superniszczyciela zechcą najpierw poskakać z miejsca w miejsce. Może upłynąć sporo czasu, zanim na dobre wrócą do normalnych przestworzy i zdecydują się włączyć nadajniki nadprzestrzennych sygnałów. Oczywiście, zakładając, że twój program został zainstalowany i będzie funkcjonował...

Kalamariański kapitan krążownika, Onoma, odwrócił się nagle na fotelu dowodzenia i podjechał na szynach w stronę obu ludzi. W jego chrapliwym głosie brzmiało podniecenie.

- Oficer łącznościowiec właśnie odebrał sygnał wysłany przez program Donna, panie generale - zameldował. - Wiadomość pochodzi sprzed zaledwie kilku minut. Zdołaliśmy umiejscowić poszukiwany okręt w przestworzach.

- Wiesz, chyba nigdy nie będę miał racji - mruknął półgłosem Solo. Odwrócił się do Kalamarianina i dodał głośno: - Proszę zaznaczyć jego pozycję na hologramie.

Pośrodku holograficznej mapy zaczął mrugać żółty punkcik. Han, Wedge i Onoma podeszli do mapy i stanęli obok punkcika.

- Wygląda, że Zsinj obrał kurs prostopadły do tego, który pozwoliłby mu wrócić do opanowanego przez siebie rejonu przestworzy - stwierdził Han. - To pomyślna wiadomość. „Mon Remonda" i nasza flota znajdują się najbliżej tego miejsca.
- Zamierzasz wskoczyć prosto do punktu, z którego pochodzi ten sygnał? - zapytał Wedge.

Han pokręcił głową.

- Nie, mam zamiar trochę rozproszyć swoją flotę - powiedział. - Chcę zablokować wszystkie możliwe wektory ucieczki tego superniszczyciela. Znajduje się w głębi przestworzy, z daleka od znanych grawitacyjnych studni, i jeżeli go szybko nie wykończymy, wskoczy do nadprzestrzeni i zniknie, tym razem na dobre. Wiesz może, jak długo Zsinj zechce przebywać w normalnych przestworzach, zanim się zdecyduje na dokonanie następnego skoku?

Wedge zastanawiał się kilka sekund, zanim odpowiedział.

- Prawdopodobnie spędzi jakiś czas w tym samym miejscu i poleci technikom, żeby sprawdzili jednostki napędu nadświetlnego nowego superniszczyciela - odezwał się w końcu. - To oznacza, że zastopuje albo będzie powoli dryfował. Po dokonaniu pierwszego skoku z systemu Kuata leciał nadal tym samym wektorem... Czy możesz zaznaczyć na mapie kurs, jakim uciekał z Kuata do tego punktu w normalnych przestworzach?

W głębi hologramu pojawiła się cienka biała linia, która połączyła gwiazdę systemu Kuata z odległym o kilka szerokości dłoni, żółtym mrugającym punktem.

- Tak przypuszczałem - stwierdził Wedge. - Będzie nadal leciał powoli tym samym kursem, dopóki się nie upewni, że dokonanie następnego skoku nie spowoduje uszkodzenia niewypróbowanych jednostek napędu nadświetlnego.
- Proszę powiększyć obraz - rozkazał Han i hologram zaczął puchnąć, aż biała linia, reprezentująca pierwszy skok „Żelaznej Pięści" przez nadprzestrzeń, zajęła większą część mapy. W obrębie powiększonego obszaru pozostało już tylko kilkadziesiąt najbliższych gwiazd.

Han wskazał na miejsce usytuowane w niewielkiej odległości na przedłużeniu białej linii.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Proszę obliczyć, ile czasu zajmie nam dokonanie skoku do tego punktu, a potem oszacować prędkość lotu „Żelaznej Pięści" w normalnych przestworzach i określić prawdopodobną pozycję superniszczyciela po upływie tego czasu. To właśnie tam powinna wyskoczyć „Mon Remonda". Zakładając, że Zsinj zechce powrócić do opanowanego przez siebie rejonu przestworzy, określimy dwa najbardziej prawdopodobne wektory, jakimi może tam dolecieć. Na przedłużeniu pierwszego zostawimy „Tedevium", a na przedłużeniu drugiego resztą grupy.

- „Tedevium”? - Nie ukrywając zdumienia, Wedge spojrzał przez dziobowy iluminator i odszukał fregatę. - To okręt szkoleniowy, nie bojowy - powiedział.

Han wzruszył ramionami. Nie wyglądał na beztroskiego, ale bezradnego.

- Rozdzieliłem flotę na trzy grupy, starając się, na ile to było możliwe, żeby każda dysponowała mniej więcej taką samą liczbą jednostek i siłą ognia - odparł ponuro. - Musimy się posługiwać tym, co mamy. Na pokładach „Tedevium” służy ostatni rocznik pilotów myśliwców typu Y-wing. Kończą szkolenie pod dowództwem osoby, na której zawsze można polegać podczas bitwy.

- To prawda - przyznał Antilles. - Ale przecież... to jeszcze kadeci. Pokręcił głową i uczynił wysiłek, by nie wzruszyć ramionami. Han wyciągnął do niego rękę.

- Powodzenia, komandorze - powiedział. - Przykro mi, że nie miałeś okazji skorzystać z mojej propozycji odpoczynku.

Wedge uścisnął jego dłoń.

- Wygląda na to, że już niedługo to zrobię - obiecał.

ROZDZIAŁ 20

- Dokładność była prawie idealna, czcigodny lordzie - odezwał się kapitan Raslan, a ściślej jego holograficzny wizerunek unoszący się w przedsionku bezpieczeństwa mostka „Żelaznej Pięści". - W przeciwieństwie do skuteczności. Na skok zużyliśmy prawie trzy razy tyle energii, ile powinniśmy w optymalnych warunkach.

Zsinj pohamował irytację. Wiadomość nie była całkiem niepomyślna. Ryzykował wszystko, zakładając, że „Pocałunek Brzytwy" jest prawie ukończony, jak meldowali kuatscy stoczniowcy swoim przełożonym, a jego szczątkowa załoga pomyślnie dokonała skoku w bezpieczne miejsce. Wszystko inne miało drugorzędne znaczenie.

- A co z uszkodzeniami? - zapytał.
- Wygląda na to, że niektórzy dokerzy nie przestrzegali przepisów bezpieczeństwa i zablokowali klapy śluz w położeniu otwartym, żeby przeciągnąć węże i rurociągi. Kiedy superniszczyciel wyrwał się z kołyski, atmosfera z tych sekcji szybko uszła w przestworza, więc chyba rozwiązaliśmy problem, jak ukarać ich za to zaniedbanie. Stoczniowcy z Kuat Drive Yards, którzy tam pracowali, zostali po prostu wyssani w próżnię i zginęli. Nie sądzi pan, że to odpowiednia i natychmiastowa kara dla osób łamiących przepisy?

Zsinj wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale szybko spoważniał.

- Bardzo dobrze, kapitanie - powiedział. - Lećcie dalej i informujcie mnie o wszystkim.
- Tak jest, lordzie. - Wizerunek Raslana zamigotał i zniknął.

Zsinj odwrócił się i aż podskoczył na widok generała Melvara. Oficer usunął z twarzy charakteryzację i ponownie wyglądał jak niepozorny, chociaż uśmiechnięty podwładny.

- Znów to zrobiłeś - burknął Zsinj z urazą.
- Tak jest, proszę pana - przyznał Melvar.
- Czy wszyscy dowódcy band piratów są zadowoleni?
- Ani jeden nie był zadowolony, ale żaden mnie nie zastrzelił, co uznałem za dobry znak - odparł generał. - Przypuszczam, że większość zechce nadal z nami współpracować. Szczególnie liczę na tych, którzy przyjęli gwarancje kredytowe, bo kiedy polecą z nimi do macierzystych systemów, przekonają się, że są prawdziwe. - Obrzucił przełożonego zaskoczonym spojrzeniem. - Dziwię się, że jeszcze nie poleciał pan na pokład „Pocałunku Brzytwy" - podjął po chwili. - Byłbym gotów się

założyć, że od dawna ogląda pan każdy nit i każdą warstwę lakieru.

- Och, niedługo się tam wybiorę - zapewnił beztrosko Zsinj. - Chciałem zaczekać, aż nasi komandosi wyeliminują ostatnich stoczniowców i możliwych sabotaży stów.

Z zagłębienia dla personelu mostka dobiegł gwar prowadzonych podniesionymi głosami rozmów i okrzyków. Kapitan „Żelaznej Pięści", Vellar, zdradzający pierwsze oznaki otyłości mężczyzna o surowym wyrazie twarzy, stanął na skraju pomostu dowodzenia, pochylił się i zaczął nasłuchiwać. Kiedy się wyprostował i odwrócił do Zsinja, na jego twarzy malował się niepokój.

- W pobliżu właśnie wyskoczyło z nadprzestrzeni kilka okrętów - zameldował. - Jeden prosto na naszym kursie, a pozostałe po stronie sterburty i za rufą. Ze wstępnej identyfikacji wynika, że ten przed nami to kalamariański krążownik.

Zsinj poczuł się, jakby nagle ktoś wystawił go na podmuch lodowatego wiatru. Musiał walczyć ze sobą, by się nie wzdrygnąć.

- „Mon Remonda", tu? - zapytał.

- To jeszcze nieustalone, lordzie, ale...

- Zamknij się - uciął Zsinj. - Powiadomić załogę „Pocałunku Brzytwy", że lecąc nadal tym samym kursem, przeskoczymy pięć lat świetlnych przez nadprzestrzeń. Wykonać.

- Proszę pana, kalamariański krążownik zajmuje pozycję prosto na naszym kursie - wyjaśnił kapitan. - Staranujemy go, zanim wskoczymy do nadprzestrzeni. Czy zmienić kurs, żeby go ominąć?

- Nie, idioto - burknął Zsinj. - Jeden kalamariański krążownik na kursie dwóch gwiezdnych superniszczycieli? Skierować na niego działa obu okrętów. Zanim przyspieszymy do prędkości światła, uwolnimy galaktykę od najbardziej irytującego okrętu Rebeliantów... i od spuścizny Hana Solo.

Kiedy z głośnika komunikatora nastawionego na kanał łączności Nowej Republiki wydobyły się nagle głosy, Shalla ocknęła się i podskoczyła. Zaniepokojona, sprawdziła stan zasobnika powietrza rezerwowego systemu podtrzymywania życia. Zdrzemnęła się i pozwoliła, żeby zbiornik prawie się opróżnił. To byłaby naprawdę głupia śmierć, pomyślała. Wyjęła ze schowka na bagaż drugi pojemnik i podłączyła w miejsce zużytego.

Nie rozumiała ani słowa z zaszyfrowanych rozmów, ale wytężając wzrok, zobaczyła na tle bezkresnej ciemności przestworzy, między świecącymi punkcikami odległych słońc, cienką igiełkę światła, które z pewnością nie było gwiazdą. Sensory powiedziałyby jej, co to za okręt, ale gdyby je włączyła, szczątkowa załoga „Pocałunku Brzytwy" mogłaby się zorientować, że jakiś intruz kryje się na platformie wieży dowodzenia.

Nagle kopuły po prawej i po lewej stronie zaczęły pulsować pełną mocą i wieżę dowodzenia gwiezdnego superniszczyciela otoczyło ochronne pole. Shalla doszła do wniosku, że członkowie załogi mają na głowach inne sprawy, i przystąpiła do wykonywania procedur przed-startowych.

Wedge wyleciał z rykiem silników z bakburtowego hangaru „Mon Remondy", zatoczył łuk i zrównał się z kadłubem krążownika. Zaczekał, aż podwładni utworzą szyk za ogonem jego maszyny.

Kell pilotował tęponosy myśliwiec Prosiaka, ale przez to pozbawił eskadrę jednego X-winga.

Dia siedziała za sterami myśliwca przechwytującego typu TIE, naprędce polakierowanego znów w szare barwy Eskadry Widm, żeby nikt się nie zorientował, że jakiś czas wcześniej pilotowała go jako piratka z bandy Jastrzębionietoperzy. Wedge starał się usunąć niespokojne myśli z głowy. Nie musiał mówić Wesowi, żeby miał na oku słabo chroniony myśliwiec jego skrzydłowej. Nie musiał... ale z trudem się powstrzymywał, żeby mu o tym nie przypomnieć.

Zaczekał, aż ostatni podwładni, Buźka i Lara, zajmą pozycje na tyłach szyku. Chwilę później z czeluści hangaru „Mon Remondy" zaczęli się wyłaniać parami piloci Eskadry Łotrów. Pierwsi wylecieli Tycho Celchu i Corran Horn, ale kilkanaście sekund później dołączyli do nich skrzydłowi. Po drugiej stronie krążownika podobny szyk tworzyli piloci myśliwców typu A-wing z Eskadry Włóczników i ciężkich myśliwców szturmowych typu B-wing z Eskadry Nova.

Nagle rozległ się cichy trzask i w słuchawkach hełmofonu Antillesa zabrzmiał głos Hana Solo.

- Wiedzą o naszej obecności, ale nie wysyłają przeciwko nam myśliwców. Wszystko wskazuje, że zamierzają się przedrzeć przez naszą flotę i pokusić o skok do nadprzestrzeni.

- A pozostali z naszej grupy? - zainteresował się Wedge.

- Lecą za nimi i szybko się zbliżają - odparł Han.

- Poinformuj ich, że jeżeli się nie pospieszą, nie zostawimy im nic, do czego mogliby postrzelać - zażartował Antilles.

Kiedy „Mon Remonda" położyła się na wektor umożliwiający przechwycenie ogromnego okrętu, Han zaobserwował, że wszechświat za iluminatorami się obrócił.

W pewnej chwili zorientował się, że patrzy na niego kapitan Ono-ma. Odwrócił się do niego i pokręcił głową.

- Jeszcze nie - powiedział. - Proszę nie otwierać ognia. Wszystko wskazuje, że to będzie ospała walka.

- Mówi pan, jakby było panu przykro z tego powodu - zauważył Kalamarianin.

- Nie znoszę ospałej walki - mruknął Solo.

Prosiak włączył zasilanie, żeby rozpocząć wykonywanie procedur przedstarto-wych.

Nic się nie zmieniło. W kabinie pilota panowały nadal ciemność i cisza.

Sensory Shalli informowały ją, że nadlatują cztery eskadry gwiezdnych maszyn. Pilotka zastanawiała się, kiedy przystąpić do działania. Im później ostrzela emitery ochronnego pola, tym bardziej może się przysłużyć pilotom swojej eskadry. Domyślała się, jak bardzo cierpią jej koleżanki i koledzy. Zbliżali się do celu, ale nie wiedzieli, czy wykona zadanie.

Opierając się na wskazaniach sensorów, obliczyła szybkość ich lotu. Kiedy jej koleżankom i kolegom zostało trzydzieści sekund do otwarcia ognia, przesłała energię do repulsorów, uniosła swój myśliwiec przechwytujący jakiś metr nad platformę wieży dowodzenia „Pocałunku Brzytwy" i oddaliła się od kopuł emiterów na bezpieczną odległość. Obróciła maszynę w kierunku sterburtowej kopuły i dała ognia.

Z rozerwanej kopuły strzeliły chmury gazu i płonące szczątki. Kilka zabębniło po kadłubie jej

myśliwca. Shalla obróciła maszynę w drugą stronę, ponownie wystrzeliła i z taką samą skutecznością rozpyliła na atomy bakburtową kopułę.

Odczekała sekundę i ostrożnie wylądowała na usianej szczątkami platformie wieży dowodzenia. Postanowiła zaczekać ze startem na odpowiednią chwilę. Doszła do wniosku, że kiedy w przestworzach zapanuje chaos, nie będzie stanowiła łatwego celu.

- Z pokładu „Pocałunku Brzytwy" meldują o zniszczeniu górnych generatorów ochronnych pól!

Zsinj spojrzał na kapitana Vellara z tak bezgranicznym zdumieniem, jakby oficerowi wyrosły nagle devaroniańskie zęby i rogi.

- Proszę powiedzieć, że pan kłamie - odezwał się błagalnym tonem.

Vellar rozłożył bezradnie ręce i pokręcił głową. Zsinj grzmotnął pięścią w pobliską przegrodę.

- Zmienić kurs na osiem-pięć - rozkazał. - Niech załoga „Pocałunku Brzytwy" zbliży się i wykorzysta nas jako tarczę ochronną przed strzałami turbolaserów „Mon Remondy". Obliczyć współrzędne nowego skoku i rozpocząć go tak szybko jak to możliwe. - Przeniósł spojrzenie na Melvara. - Wydać pilotom wszystkich myśliwców rozkaz startu.

Wedge spojrzał na pulpit sensorów i stwierdził, że górne pole ochronne drugiego superniszczyciela zanika. Ekran monitora poinformował go o tym bez emocji... nieświadomy, jak po tej wiadomości podskoczyło serce pilota.

Włączył mikrofon komunikatora.

- Wszystkie eskadry, tu dowódca Widm - powiedział. - Przygotować się do zaatakowania drugiego superniszczyciela. Zignorować na razie „Żelazną Pięść". Piloci myśliwców typu X-wing i B-wing, rozpocząć ostrzał z wyrzutni protonowych torped, ale zachować kilka na jednostki napędowe.

Zatoczył łuk, obrał kurs na drugi superniszczyciel i w duchu pogratulował Shalli.

„Żelazna Pięść" skoczyła jak rumak spięty ostrogą, a artylerzyści dziobowych tur-bolaserów otworzyli ogień do nadlatujących myśliwców Nowej Republiki. Okręt zaczął powoli kłaść się na sterburtę, a załoga drugiego superniszczyciela powtórzyła ten manewr. Wedge dokonał poprawki kursu, żeby przelecieć na dużej wysokości nad dziobem „Żelaznej Pięści".

Chwilą później znaleźli się w rejonie ostrzału. Raz po raz przelatywały między nimi słupy energii z luf jonowych dział, a potężne błyskawice z baterii turbolaserów rozjaśniały ciemność przestworzy. Kiedy obok jego myśliwca przemknęła kolumna energii jonowego strzału, Wedge poczuł, że wszystkie włosy stają dęba na jego głowie. Światła w kabinie przygasły, ale komputer i astromechaniczny robot typu R5 nie straciły zasilania. W pewnej chwili z głośnika komunikatora wydobył się okrzyk przerażenia pilota, który stracił skrzydłowego, i z ekranu monitora sensorów zniknęła plamka myśliwca „Włócznika Pięć".

Kiedy piloci eskadr Nowej Republiki, namierzani i ścigani przez słupy energii i strugi światła z

„Żelaznej Pięści", przelecieli nad pierwszym superniszczycielem, ogień do nich otworzyli artylerzyści drugiego okrętu.

Obecnie jednak podwładni Antillesa mogli już odpowiedzieć ogniem.

- Strzelać bez rozkazu - polecił Wedge.

Niektórzy piloci wystrzelili protonowe torpedy, jeszcze zanim skończył mówić. Z wyrzutni gwiezdnych myśliwców pomknęły błękitne smugi światła. Wylądowały na dziobie porwanego superniszczyciela i ułamek sekundy później przerodziły się w oślepiająco jasne kule niszczycielskiego ognia.

Nieco dalej, na platformie wieży dowodzenia, ukazały się nikłe smugi gazów wylotowych z dysz bliźniaczych silników jonowych. Siedząca za sterami myśliwca przechwytującego typu TIE osoba spłynęła z wieży, zatoczyła krąg i otworzyła ogień. Na mostku wylądowały cienkie nitki zielonych błyskawic, roztrzaskane iluminatory eksplodowały, a z wnętrza wypłynęły atmosfera i grad szczątków.

- Armado Nowej Republiki, tu „Widmo Dziesięć" - rozległo się nagle z głośnika komunikatora. - Włączam transponder. Proszę oznaczyć mnie jako sprzymierzeńca.

- Potwierdzam tego sprzymierzeńca - odezwał się Wedge. - Przyjaciele, to dama, która otworzyła nam frontowe drzwi tego superniszczyciela.

Wszyscy usłyszeli chór radosnych okrzyków. Piloci Nowej Republiki przelecieli nad wieżą dowodzenia ze zniszczonymi kopułami generatorów ochronnego pola i obok sojuszniczego myśliwca przechwytującego, którego pilotka zatoczyła łuk i przyspieszyła, żeby za nimi nadążyć. Podwładni Antillesa posłali kilkadziesiąt torped w rufę imperialnego okrętu i zawrócili, żeby dodać do listy ofiar także dysze wylotowe jednostek napędowych.

Chwilę później z głośnika wydobył się chrapliwy głos Kalamarianina.

- Uwaga, grupo szturmowa Nowej Republiki, tu „Mon Remonda". Sensory pokazują, że z hangarów „Żelaznej Pięści" startuje wiele eskadr gwiezdnych myśliwców typu TIE.

- Zrozumiałem - potwierdził Wedge. - Wszystkie eskadry, zachować szyk. Położyć się na kurs dziewięć-zero, ale nadal ostrzeliwać cel, dopóki będzie się znajdował w zasięgu strzałów. Przygotować się do indywidualnych pojedynków.

- Straciliśmy łączność z mostkiem „Pocałunku Brzytwy" - zameldował kapitan. Był jak odrętwiały od nadmiaru niepomyślnych wieści, jakie musiał przekazywać Zsin-jowi. - Sensory wskazują, że mostek został poważnie uszkodzony. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wszyscy nasi ludzie zginęli.

Zsinj wpatrywał się w przekazywany na żywo hologram z wizerunkiem „Pocałunku Brzytwy". Drugi superniszczyciel, jeszcze kilka minut wcześniej tak potężny i piękny, sprawiał wrażenie, jakby stał w płomieniach od dziobu do rufy. Z głównego pokładu strzelały setki słupów ognia.

A co z naszym człowiekiem na rezerwowym mostku? - zapytał w końcu.

- Również się nie zgłasza - odparł Vellar. - Prawdopodobnie zabity w wyniku ostrzału.

Gdyby superniszczyciel miał pełną załogę, jej członkowie gasiliby te pożary. Mostek obsługiwałby kto inny, a zastępca zabitego oficera łącznościowca usiłowałby przywrócić kontakt z „Żelazną Pięścią". Na nieszczęście, „Pocałunek Brzytwy" nie miał pełnej załogi.

- Jakim lecą kursem? - zainteresował się Zsinj, starając się nadać głosowi beznamiętne brzmienie.
- Położyli się na osiem-pięć, jak pan rozkazał, ale nie zdążyli przyspieszyć i nie zajęli pozycji za naszą rufą - zameldował kapitan. - Jeżeli szybko nie zwolnimy, zostawimy go daleko za rufą.

- Zmniejszyć...
Przerwał mu głos oficera pełniącego służbę w zagłębieniu dla personelu mostka.

- Meldunek z pokładu „Pocałunku Brzytwy"!
- No cóż, przekaż go - rozkazał Zsinj.

Ponury wizerunek uszkodzonego superniszczyciela został zastąpiony niewyraźnym hologramem szturmowca. Imperialny żołnierz nie nosił hełmu, miał nalaną twarz, grubą szyję i czarne włosy, trochę zbyt długie jak na wymogi regulaminu, ale wyglądał na zdecydowanego.

- Tu starszy szeregowiec Gatterweld - wyskandował.

Zsinj zmarszczył czoło. Znał z nazwiska wszystkich agentów, którzy przeniknęli na pokład „Pocałunku Brzytwy", ale ten szturmowiec do nich nie należał.

- Jesteś funkcjonariuszem okrętowej służby bezpieczeństwa? - zapytał.
- Tak jest, proszę pana.

Lord się uśmiechnął. Prowadził towarzyską pogawędkę z nieprzyjacielem, który nawet nie był oficerem. Absurdalność sytuacji sprawiała mu jednak pewną przyjemność.

- Co mogę dla ciebie zrobić tego pięknego dnia, żołnierzu? - zapytał.
- Proszę pana, zanim doszło do tego ataku, opanowałem rezerwowy mostek, żeby przejąć kontrolę nad okrętem, ale lepiej niech wpadnie cały w pańskie ręce, niż gdyby miał zostać zniszczony przez Rebeliantów - odparł Gatterweld.

Zsinj poczuł się, jakby nogi nie chciały utrzymać ciężaru jego ciała.

- Przekazuję mikrofon oficerowi łącznościowcowi - powiedział. - Będzie z tobą rozmawiał i powie ci, jak podporządkować mostek „Pocałunku Brzytwy" rozkazom wydawanym przez personel naszego mostka. Może w ten sposób ocalimy twój okręt.
- Tak jest, proszę pana.
- Gatterweld, zrobię cię bogaczem - obiecał Zsinj.

- Nie dbam o to, proszę pana - odparł szturmowiec. - Wykonuję po prostu swój obowiązek.

Zsinj przekazał mikrofon Melvarowi i odszedł na bok. Poczuł się nagle tak zmęczony, że musiał się osunąć na fotel stojący przed konsoletą systemów łączności.

Wydarzenia podobne do tego przypominały mu od czasu do czasu, że istnieje dobro we wszechświecie... że może jeszcze wygrać, jeżeli będzie w to mocno wierzył i zdecydowanie dążył do wytkniętego celu. Może zdobyć wszystko, czego zapragnie.

Prosiak pogrążył się po pachy w plątaninie kabli i przewodów i w końcu znalazł przyczynę uszkodzenia. Bakburtowy silnik jego myśliwca nie działał, bo jakiś odłamek rozerwał zasilające go przewody. Odizolowane żyły kabli łączących silnik z generatorem mocy zwarły się z innymi przewodami i zniszczyły nie wiedzieć ile podzespołów.

Musiał połączyć końcówki kabli dostarczających energię do uszkodzonego silnika najlepiej, jak umiał, a później spróbować go uruchomić. Żałował, że nie ma do pomocy Tainera, który był doskonałym mechanikiem.

Z drugiej strony jednak, nie mógł żałować, że nie towarzyszy mu ktoś, kogo bardzo lubił.

Zabrał się do pracy.

Wylatywały z obu stron „Żelaznej Pięści" niczym roje rozwścieczonych owadów z uszkodzonego ula... eskadra po eskadrze myśliwców i maszyn przechwytujących, a nawet bombowców typu TIE. Piloci zataczali łuki i kierowali się w stronę eskadr Nowej Republiki.

Buźka usłyszał, że Wedge wydaje podwładnym rozkazy... prawdopodobnie ostatnie przed końcem walki, jakie mieli usłyszeć, lecąc w zwartym szyku.

- Rozdzielić się na pary. Jeżeli możecie, ostrzelajcie „Żelazną Pięść", ale waszym głównym zadaniem jest uważanie na siebie i powstrzymanie nieprzyjaciół. Włócznicy, pilotujecie najszybsze myśliwce, więc jesteście grotem strzały. Zanim wrogowie dotrą do nas, macie złamać ich szyk i pozbawić impetu. Łotry, będziecie drugą linią. Widma, zostajecie w odwodzie. Każda para pilotów ma chronić dwójkę ciężkich myśliwców szturmowych typu B-wing Eskadry Nova. Powodzenia.

- Dowódca Eskadry Włóczników potwierdza przyjęcie rozkazu.
- Tu dowódca Łotrów. Zabieramy się do pracy.
- Tu dowódca Novej. Dzięki.

Jeżeli chodzi o pilotów Eskadry Widm, wydali zbiorowy jęk zawodu. Buźka zastanawiał się, czy nie zaprotestować. Otrzymali rozkaz niańczenia pilotów Eskadry Nova, podczas gdy główny ciężar walki miał spoczywać na barkach Włóczników i Łotrów, ale w głębi duszy znał powód. Więcej niż połowa Widm wróciła nieco wcześniej z poprzedniej akcji. Byli zmęczeni, chociaż nawet sobie tego nie uświadamiali.

Lecący na czele piloci myśliwców w kształcie ściętego klina zanurkowali ku chmurze maszyn typu TIE z prędkością, o jakiej osiągnięciu mogli tylko marzyć piloci X-wingów. Buźka obserwował, jak śmiercionośny klin maszyn typu A-wing zbliża się ku eskadrom myśliwców typu TIE, a błyskawice laserowych strzałów zbierają krwawe żniwo w otoczeniu obfitującym w cele. Wkrótce formacje nieprzyjacielskich maszyn zaczęły jeszcze bardziej przypominać rój rozwścieczonych owadów. Piloci myśliwców eskadr Zsinja złamali szyki i każdą maszynę Włóczników ścigało dwóch, czterech, a czasami nawet sześciu nieprzyjaciół.

Chwilę później wpadli między nich piloci Eskadry Łotrów. Buźka obserwował, jak eskadra dzieli się sprawnie na dwójki, każda dwójka wykonuje manewry jak jeden mąż, a każdy pilot strzela celnie niczym diabeł wcielony. Poczuł coś w rodzaju zgrozy i niemal współczucia dla pilotów nieprzyjacielskich myśliwców, którzy musieli stawić czoło tak bezlitosnym i doświadczonym przeciwnikom. Jakiś czas nawet się obawiał, że popadnie w kompleks niższości. Uświadomił sobie, że nigdy im nie dorówna.

- Rozkazy? - Głos Lary w słuchawce hełmofonu przypomniał mu, że powinien pomyśleć o skrzydłowej.

- Racja. Leć za mną - powiedział i zanurkował, żeby zająć pozycję przed dwójką myśliwców typu B-wing. Zmniejszył moc wyjściową pokładowego komunikatora. - Tu „Widmo Osiem" i „Widmo Trzynaście" - zameldował po chwili. - Tego wieczoru jesteśmy waszą eskortą. Czego sobie życzycie?

- Macie za sobą „Novą Trzy" i „Novą Cztery" - usłyszał w odpowiedzi. - Moglibyśmy się pobawić z pilotami tych maszyn typu TIE, ale spiszemy się o wiele lepiej, jeżeli zrzucimy nasz ładunek na tę paskudną bryłę metalu z lordem na pokładzie.

- Trzymajcie się jak najbliżej. Zaraz was tam zabierzemy - odparł Buźka. Zwiększył dopływ energii do jednostek napędowych i czwórka gwiezdnych maszyn skręciła, żeby ominąć pole walki i skierować się w stronę „Żelaznej Pięści".

Z kłębowiska myśliwców odłączyło się dziewięć maszyn, trzy czwarte eskadry, i skierowało na kurs, który miał umożliwić nieprzyjacielskim pilotom przechwycenie czworga śmiałków. Buźka przełączył lasery w taki sposób, żeby strzelały parami, i otworzył ogień zaledwie się znalazł w zasięgu strzałów.

Nawet gdyby nie trafił żadnego przeciwnika, jego błyskawice kierowały się w kadłub „Żelaznej Pięści". Nie zamierzał tracić energii na inne strzały.

Pragnąc utrudnić celowanie, piloci myśliwców typu TIE zaczęli wykonywać rozpaczliwe uniki i zmieniać pułap lotu. Garik żałował, że wcześniej wystrzelił wszystkie protonowe torpedy w kadłub porwanego superniszczyciela. Z drugiej strony, wznieciły wiele malowniczych pożarów, więc nie mógł powiedzieć, że nie spełniły swojego zadania.

Nagle jeden z nadlatujących myśliwców typu TIE, trafiony ciągłym ogniem Lary, eksplodował. Buźka usłyszał głośny syk swojej skrzydłowej:

- Jessst!

Ciekaw był, skąd ta radość. Ach, tak. Lara przystąpiła do tej bitwy z czterema sylwetkami zestrzelonych maszyn na owiewce kabiny pilota. Właśnie zasłużyła na tytuł asa.

Pilot innego myśliwca typu TIE przeleciał przez smugę zjonizowanych gazów wystrzeloną z luf działek jednego z myśliwców typu B-wing. Podwładny Zsinja stracił panowanie nad sterami i lecąc dalej, zaczął bezradnie koziołkować. W pewnej chwili Buźka się zorientował, że pilot jednego z nadlatujących myśliwców typu TIE wykonuje nieprzewidywalne manewry, ale w możliwych do przewidzenia odstępach czasu. Zaczekał, aż jeden z takich okresów dobiegnie końca, i postarał się przewidzieć następny manewr. Posłał w tamto miejsce błyskawice laserowych strzałów i z

satysfakcją zauważył, że nieprzyjacielski pilot rzeczywiście skręca w tamtą stronę. Jego maszyna eksplodowała, ale chociaż myśliwiec skrzydłowego zniknął w ognistej kuli, wyleciał z niej bez szwanku.

Nagle Buźka poczuł silny wstrząs. Na dziobowych osłonach wylądował tak silny laserowy strzał, że część jego energii przeniknęła do kadłuba. W następnej sekundzie przemknęli między ostatnimi gałami i stwierdzili, że już nic nie zagradza im drogi do „Żelaznej Pięści".

- „Trzynastko", zostań z tyłu i prześlij całą rezerwę energii do rufowych pól siłowych - rozkazał. - Musimy zapewnić obu Novym jak najlepszą ochronę.

Innymi słowy, posłużymy im jakiś czas jako tarcze, pomyślał. Zupełnie jak piloci, którzy pierwsi zanurkowali w głąb metalowych kanionów pierwszej Gwiazdy Śmierci, zanim zginęli.

- Zrozumiałam.

Wedge, który nie musiał się krępować obecnością skrzydłowego, zmienił szyfr tak, żeby mogli go zrozumieć piloci Eskadry Łotrów.

- Tu dowódca Widm - powiedział. - Są tam gdzieś w pobliżu piloci Sto Osiemdziesiątego Pierwszego?

W odpowiedzi usłyszał pełen napięcia głos Tycha Celchu:

- Jest ich tu co niemiara. Chcesz nam pomóc?

Antilles westchnął. Bardzo chciałby uświadomić baronowi Felowi błąd w ocenie swoich umiejętności, ale spojrzał do tyłu, na parę lecących jego śladem ciężkich myśliwców szturmowych typu B-wing Eskadry Nova.

- Chcę, ale nie mogę - powiedział. - Wkrótce się tu pojawią.
- Zrozumiałem.

Pojawili się prosto przed nim: sześć maszyn typu TIE, cztery myśliwce i dwa bombowce. Wedge zauważył, że pilot pierwszego myśliwca z pary nieprzyjaciół skręca na sterburtę. Spodziewając się, że drugi pilot zechce wykonać taki sam manewr jak jego dowódca, wziął na cel skrzydłowego i dał ognia przed dziób jego maszyny. Skrzydłowy wykonał ten sam zwrot i jego myśliwiec przemienił się w usianą odłamkami ognistą kulę. Antilles uświadomił sobie, że zestrzelił pierwszego wroga w pierwszej sekundzie pojedynku.

- Położyliśmy się na wektor ucieczki „Żelaznej Pięści" - zameldował kapitan Onoma.
- Zastopować silniki - rozkazał Han. Czuł łaskotanie w żołądku, jakby zagnieździli się tam przybysze z innej planety, ale starał się nie okazywać niepokoju. - Artylerzyści wszystkich sterburtowych baterii, na mój rozkaz otworzyć ogień. Przygotować się do obrotu wokół podłużnej osi. Panie kapitanie, proszę utrzymywać pozycję prosto na kursie „Żelaznej Pięści". Dokonywać

poprawek kursu, jeżeli pilot superniszczyciela zmieni wektor lotu. Jeśli zasoby energii jakiejkolwiek baterii turbolaserów zmaleją poniżej osiemdziesięciu procent, obrócić okręt, żeby ogień mogła rozpocząć obsługa następnej baterii, a równocześnie wzmocnić jej ochronne pola.

- Tak jest, panie generale.

W tej samej chwili ogień otworzyli artylerzyści „Żelaznej Pięści". Strzały luf ich baterii wyglądały jak gwiazdy, które na początku nad-przestrzennego skoku przemieniają się w ogniste smugi. Han napiął mięśnie i przygotował się na nieuniknione ciosy.

- Otworzyć ogień - rozkazał.

Prosiak pstryknął głównym włącznikiem i w nagrodę usłyszał przerywany skowyt bliźniaczych jednostek napędowych. Pulpity systemów uzbrojenia i urządzeń kontrolnych rozjarzyły się słabym blaskiem.

Mimo to pulpit diagnostyczny sygnalizował, że wszystkie pokładowe systemy są niesprawne.

Gamorreanin mruknął. Nie ma sensu słuchać ludzi ani systemów, które ciągle ci wmawiają, że czegoś nie da się zrobić, pomyślał. Obawiając się, że przesłanie pełnej energii do jednostek napędowych mogłoby ujawnić jego obecność, włączył system celowniczy i próbował skierować ramkę na ekranie monitora celowniczego komputera na odległą kopułę emitera ochronnego pola.

Co jakiś czas, na krótko, niewielki fragment kopuły trafiał do celowniczego kwadratu i drżał w nim na znak, że został dokładnie namierzony.

Wedge zamrugał, żeby powstrzymać łzawienie oczu. Pilot trzeciego myśliwca typu TIE trafił w kadłub jego X-winga sekundę wcześniej, zanim Antilles rozpylił jego maszynę na atomy, i kabina zaczynała się wypełniać gryzącym dymem.

Sensory dowodziły, że z dziewięciu nieprzyjacielskich maszyn, których piloci ich zaatakowali, cztery zostały zestrzelone. Ostatniego trafił jedyny pozostały przy życiu pilot myśliwca szturmowego typu B-wing Eskadry Nova. Za rufą tęponosego myśliwca Antillesa leciała już tylko jedna maszyna ze zwęgleniami na kadłubie po trafieniach przez błyskawice laserowych strzałów. Druga została kilkanaście kilometrów z tyłu i wyglądała jak chmura raptownie rozprzestrzeniających się i gasnących gazów.

Wedge skierował ramkę celowniczą na kolejny myśliwiec typu TIE, ale kiedy imperialny pilot wykonał unik, strzały Antillesa przeleciały obok niego. Nagle nieprzyjacielska maszyna, trafiona przez kogoś z boku, eksplodowała i zmieniła się w ognistą kulę.

Wedge spojrzał na ekran monitora sensorów i zauważył, że od strony drugiego su-perniszczyciela nadlatuje myśliwiec typu A-wing, a za nim szyk w kształcie klina złożonego z nietkniętych myśliwców typu Y-wing. Wszyscy strzelali i chwilę później pod ich zmasowanym ogniem eksplodowały pozostałe maszyny typu TIE, których piloci nękali dotąd Antillesa.

Komandor pstryknął włącznikiem mikrofonu pokładowego komunikatora.

- Dowódca Widm do nowo przybyłych - powiedział. - Z kim mam przyjemność?

W odpowiedzi usłyszał głos lekko rozbawionego wojskowego nawykłego do wydawania

rozkazów:

- Coś takiego, panie komandorze! Tak szybko zapomina pan o starych przyjaciołach?

- Generał Crespin! - wykrzyknął Wedge. Zorientował się, że w końcu na polu bitwy pojawiła się eskadra gwiezdnych myśliwców z pokładu szkoleniowej fregaty „Te-devium", która wyskoczyła z nadprzestrzeni niedaleko za rufą „Pocałunku Brzytwy".

- I ćwiczebna eskadra Wrzaskliwi Wookie - dodał Crespin.

- Możecie się podjąć eskortowania „Novej Trzy"? - zapytał Antilles.

- Przekaż nam wszystkie myśliwce typu B-wing, chłopcze, a udowodnimy ci, co może zdziałać staroświecka taktyka zmasowanego ognia.

- Uwaga, piloci Eskadry Nova, tu dowódca Widm. Przekazuję was pod opiekę Wrzaskliwych Wookiech. - Wedge zakrztusił się dymem i zakasłał. - Zostawiam was, panie generale, żeby odwiedzić innych starych przyjaciół.

- Powodzenia.

- Widma, przekazuję was pod dowództwo generała Crespina, a później dołączycie do Eskadry Łotrów.

Antilles zawrócił i skierował tęponosy myśliwiec w największy gąszcz nieprzyjacielskich maszyn.

Zauważył, że artylerzyści unoszącej się daleko przed dziobem „Żelaznej Pięści" świecącej nitki, która musiała być „Mon Remondą", otworzyli ogień z baterii turbolase-rów. W przestworza pomknęły słupy światła, ale rozbryzgnęły się bezużytecznie na ochronnych polach ogromnego okrętu.

- Czy sądzi pan, że zamierzają poświęcić „Mon Remondę", żeby uniemożliwić nam skok do nadprzestrzeni? - zapytał Zsinj. Stał przy iluminatorze z dłonią na policzku i nie przestawał obserwować niewielkiej, ale z każdą sekundą coraz większej sylwetki kalamariańskiego krążownika.

- Cały czas dokonują poprawek kursu, żeby znajdować się na naszym wektorze lotu - odparł Melvar. - Nie możemy być pewni, co zamierzają, dopóki nie miniemy punktu, z którego zawrócenie będzie niemożliwe. Dopiero wtedy się przekonamy, czy ustąpią nam z drogi, żebyśmy mogli przelecieć obok nich i wskoczyć do nadprzestrzeni... czy też staranujemy „Mon Remondę" i oba okręty wyparują.

- Prawdę mówiąc, dysponują większą siłą ognia niż my w tej chwili - mruknął Zsinj. - W każdej sekundzie mogą skierować na nas prawie połowę baterii turbolase-rów, podczas gdy my możemy do nich strzelać tylko z dziobowych dział, których lufy zdołamy obniżyć pod takim kątem, żeby nasi artylerzyści mogli ich namierzyć. - Zsinj pokręcił głową. - No dobrze, proszę rozkazać, żeby personel wszystkich stanowisk wziął na cel ich silniki. Postaramy się ich zmusić do zastopowania w przestworzach. Im szybciej to osiągniemy, tym większe prawdopodobieństwo, że prześlizgniemy się obok nich i odlecimy.

Zsinj poczuł w żołądku dziwne mrowienie. Wciąż jeszcze mógł marzyć o wygraniu tej bitwy, ale irytował go zaskakujący atak floty Nowej Republiki, a zwłaszcza to, że ich wojskowi tak dokładnie przewidzieli jego pozycję w przestworzach. Zbyt łatwo domyślili się także, że będzie chronił „Pocałunek Brzytwy" nawet za cenę zmniejszenia prędkości lotu „Żelaznej Pięści".

Wedge zobaczył myśliwiec przechwytujący, ale maszyna leciała bardziej ospale niż standardowa jednostka tego typu. Pilotująca go osoba znajdowała się kilka kilometrów od mostka „Żelaznej Pięści". Ścigała i namierzyła myśliwiec typu TIE i zasypywała go seriami błyskawic z luf nastawionych na strzelanie parami laserowych działek, ale pozycję za ogonem jej maszyny zajmował inny pilot Zsinja.

Antilles wziął na cel jego maszynę i zanim pilot go zauważył, namierzył ją i rozerwał na kawałki błyskawicami z luf wszystkich czterech sprzężonych laserów. W tej samej chwili pilot ospałego myśliwca przechwytującego rozpylił na atomy swojego przeciwnika.

Wedge uśmiechnął się do siebie.

- „Dziesiątko", czy to ty? - zapytał.

- Cieszę się, że pana słyszę, dowódco - usłyszał w odpowiedzi. - Nie cierpię tej maszyny. Jest równie wrażliwa jak myśliwiec przechwytujący typu TIE i równie leniwa jak X-wing.

- No cóż, przestań się bawić sama, „Dziesiątko" - odparł Wedge. - Będziesz odtąd moją skrzydłową.

- Rozkaz, panie komandorze.

Chociaż dym w kabinie wciąż jeszcze wyciskał mu łzy z oczu, zauważył na tle kadłuba „Żelaznej Pięści" w dole cienką nitkę zielonego światła. Niepewny strzał trafił bakburtową kopułę emitera ochronnego pola, trafił ją drugi raz, trafił trzeci... i kopuła eksplodowała.

Siedzący za sterami myśliwca typu TIE pilot i autor celnego strzału oderwał maszynę od kadłuba superniszczyciela. Przedarł się przez osłabione pole ochronne ogromnego okrętu tak nieporadnie, jakby jego manewr był całkiem przypadkowy, a potem równie niezgrabnie zawrócił, co wyglądało, jakby za sterami siedział pijany kierowca śmigacza. Wyglądało na to, że chce obniżyć pułap lotu i ostrzelać sterburtową kopułę emitera ochronnego pola, ale nagle tuż przed nim przeleciała struga zjonizowanej energii. Pilot zawrócił i skierował dziób myśliwca typu TIE ku przestworzom.

W głosie kapitana Vellara brzmiało uniesienie.

- „Mon Remonda" straciła zdolność manewrowania, lordzie! - wykrzyknął. - Trafiliśmy ich silniki!

- Doskona...

Mostek zakołysał się, światła przygasły, a fragmenty sufitu wpadły do zagłębienia dla członków załogi. Zsinj zachwiał się i runął na płyty pomostu dowodzenia. Spojrzał w górę, ale Melvar odwrócił głowę i nie wyciągnął do niego ręki. Zachował się prawidłowo, postąpił słusznie. Nikt nie powinien widzieć, że lord stracił równowagę.

Wstał z wysiłkiem i otrzepał mundur z kurzu.

- Co się stało? - zapytał.

W ciągu ułamka sekundy uniesienie kapitana Vellara przerodziło się w rozpacz.

- Straciliśmy sterburtowy generator ochronnego pola - zameldował. - Osłona śródokręcia osłabła

do połowy normalnego natężenia.

Zsinj poczuł się, jakby i on stracił połowę energii. Zaczął obliczać coś w pamięci.

- Czy tamta fregata za rufą wciąż nas ściga? - zapytał.
- Z każdą chwilą zmniejsza odległość - odparł Melvar. - Jeżeli jej kapitan nadal będzie leciał z tą samą prędkością, w ciągu dwóch minut zbliży się do nas na odległość strzału.

Zsinj zamknął oczy.

- Wezwać do powrotu pilotów myśliwców typu TIE - rozkazał. - Przyspieszyć do prędkości bojowej. Nawiązać łączność z „Pocałunkiem Brzytwy" i wydać rozkaz opuszczenia okrętu.

Nie musiał dodawać, że stracił wszelką nadzieję. Ta bitwa była przegrana.
Buźka zwrócił uwagę, że od roju myśliwców odłączyło się kilka maszyn przechwytujących typu TIE. Ich piloci skierowali się w jego stronę.

- „Trzynastko", nadlatują! - ostrzegł. Skręcił w ich stronę i wyciągnął rękę do przełącznika, żeby przesłać wszystkie rezerwy energii do generatora dziobowych pól ochronnych...

Zbyt późno. Laserowy strzał pilota lecącego na czele szyku myśliwca przechwytującego przedarł się przez słabe pola i dotarł w głąb kabiny. Garik poczuł w lewym boku nieznośne pieczenie, które po chwili przeszło w równie intensywny chłód. Przyglądał się obojętnie, jak z kabiny tęponosego myśliwca uchodzi atmosfera i jak z nagłym spadkiem ciśnienia usiłuje poradzić sobie awaryjne pole magnetyczne kombinezonu pilota. Kątem oka dostrzegł czerwony pas na skrzydle przelatującego obok niego napastnika.

- „Ósemka", słyszysz mnie?

Nie usłyszał odpowiedzi pilota i uświadomił sobie, że ogarnia go smutek. „Ósemka", kimkolwiek był, musiał zostać rozpylony na atomy.

- „Ósemka", tu „Trzynastka". Słyszysz mnie?

Chwilę później usłyszał melodyjny świergot Rozpylacza, astromechanicznego robota typu R5 swojego myśliwca. Pomyślał, że bardzo chciałby, aby cały wszechświat po prostu dał mu święty spokój.

- Eskadro, tu „Trzynastka". Potrzebuję pomocy. Nie poradzę sobie z tymi dwoma...
- Tu „Widmo Trzy". Trzymaj się. „Czwórka" i ja już lecimy do ciebie.
- Tu „Piątka". Zaraz będę przy tobie.

Dopiero po kilku minutach Buźka zrozumiał, co się stało. Został trafiony, był załatwiony. Nie mógł się poruszać z powodu dotkliwego bólu. Sylwetka widocznej w pobliżu „Żelaznej Pięści" cały

czas rosła w iluminatorze jego kabiny. Pomyślał, że roztrzaska się o kadłub superniszczyciela i w ten sposób wreszcie spłaci swój dług.

Powinno go to uspokoić. Cały czas się spodziewał, że osiągnie spokój, ale spokój go nie ogarniał. Czyżby czegoś nie zrobił, o czymś zapomniał?

No cóż, pozostawała jeszcze kopuła drugiego emitera ochronnego pola. Gdyby poruszył ręką, może skierowałby swój X-wing w tamtą stronę. Gdyby nie zestrzelili go artylerzyści superniszczyciela, gdyby nie powstrzymały go ochronne pola, może po prostu skierowałby myśliwiec w stronę tej kopuły i ją zniszczył.

Miał szansę jedną na milion, a nawet jeszcze mniejszą, ale pomyślał, że to dobry sposób zakończenia życia. Wyciągnął zimną jak lód rękę w kierunku drążka sterowniczego i zacisnął palce na rękojeści. Nie czuł, że je zaciska, ale widział.

- Mam go, mam go... niech to zaraza! Wyślizgnął się!
- Tu „Piątka". Zajmuję się tym drugim.
- Trzymaj go, trzymaj go...
- Nie pozbędzie się mnie tak łatwo, „Trójko". Zajmij się „Ósemką".

Ach, tak. To on jest „Ósemką". Dlaczego się tak nim przejmują? Czy nie wiedzą, że już nie żyje?

Nie, nie wiedzieli. Błogosławił ich dobre serduszka, bo naprawdę sądzili, że go uratują. Zrozumiał, jak się czuł Phanan, kiedy starał się go utrzymać przy życiu. Piloci Widm nie uświadamiali sobie, że nadszedł jego czas... i pora ostatecznego wyrównania wszelkich rachunków.

Twoje konto jest czyste. Nikomu nic nie jesteś winien i niczego nie musisz spłacać - usłyszał głos Phanana z dawno zapominanej rozmowy.

- Nie możesz traktować inteligentnych istot jak suche liczby i wymieniać je, jakby to byty kredyty.

Jego tęponosy myśliwiec zadygotał jak po trafieniu przez kilka następnych laserowych błyskawic. Musiały się wbić w rufową sekcję kadłuba X-winga, bo nie poczuł żadnego nowego bólu. Z każdą chwilą sylwetka „Żelaznej Pięści" stawała się coraz większa.

Ton miał rację. Ton, który wycierpiał z powodu sukcesów Imperium więcej niż ktokolwiek inny, powinien to wiedzieć. Przyjaciel się nie mylił. Buźka nie był nikomu nic winien; nie musiał wyrównywać żadnych rachunków.

Jakiś myśliwiec typu X-wing śmignął obok niego po stronie bak-burty, ale pilot wykonywał rozpaczliwe uniki. Buźka pomyślał, że to „Widmo Jedenaście" - Tyria.

Jeżeli wykonywała takie manewry, musiał ją ktoś ścigać. Starając się zmusić do posłuszeństwa zdrętwiałe z zimna palce, przyciągnął system celowniczy i nakierował trochę w bok od trajektorii lotu swojej maszyny.

Kiedy w celowniczej ramce zatrzepotała sylwetka nieprzyjacielskiego myśliwca przechwytującego typu TIE, dał ognia. Obojętnie obserwował, jak błyskawice jego strzałów rozrywają na strzępy sterburtowy panel z ogniwami słonecznymi i wspornik, a potem docierają w głąb kabiny. Nieprzyjacielska maszyna eksplodowała, a odłamki rozjarzyły się w zetknięciu z

dziobowym polem ochronnym jego X-winga.

- Doskonały strzał, „Ósmego”! - usłyszał nagle głos Donosa. - Jesteś znów z nami?
- ...stem.

- „Ósmego”, tu „Trzynastka”. Trzymaj się. Zajmuję pozycję obok ciebie. - Zauważył, że myśliwiec Lary pojawił się po stronie jego ster-burty, a później nawet wysunął się na prowadzenie. - Kieruję cię na pokład „Tedevium”. Polecisz za mną?
- Jasne.
- Dasz sobie radę?
- Naturalnie. Obudź mnie, jeśli zasnę.
- Masz to jak w banku.

Kilkoma celnymi strzałami Wedge rozerwał na kawałki kolejny myśliwiec typu TIE i nagle stwierdził, że ma wolną drogę w kierunku środka rejonu bitwy, gdzie oczekiwali na niego piloci Sto Osiemdziesiątego Pierwszego... i baron Soontir Fel.

Zauważył jednak, że piloci nieprzyjacielskich maszyn z czerwonymi pasami na skrzydłach zawracają w kierunku „Żelaznej Pięści”.

Po chwili w stronę superniszczyciela zaczęli się kierować wszyscy piloci myśliwców typu TIE, nawet jeżeli miało to oznaczać, że wystawiają się na ogień pilotów Nowej Republiki.

A „Żelazna Pięść” przyspieszała.

- O nie, nie możecie mi tego zrobić! - Wedge pchnął do oporu dźwignię przepust-nicy i przesłał do jednostek napędowych jeszcze trochę rezerwowej energii. Piloci szybszych maszyn typu TIE wysforowali się na czoło roju, nurkowali w kierunku gwiezdnego superniszczyciela i znikali w czeluściach hangarów. Piloci eskadr Widm, Łotrów, Włóczników i Novych posyłali w ślad za nimi serie pożegnalnych strzałów. W ciągu zaledwie kilku sekund zestrzelili więcej maszyn niż w trakcie całej walki, ale mimo to piloci myśliwców typu TIE czmychali z pola bitwy.

„Żelazna Pięść”, lecąc coraz szybciej, minęła w odległości kilku kilometrów unieruchomioną „Mon Remondę”, której silniki stały w ogniu. Artylerzyści obu okrętów liniowych wymieniali śmiercionośne strzały. Krążąc nad korytarzem ognia między okrętami, Wedge zauważył, że błyskawice z baterii turbolaserów wyrywają z kadłubów obu jednostek ogromne bryły metalu. Siedzący za sterami myśliwców typu B-wing piloci Eskadry Nova nadal ostrzeliwali rufę „Żelaznej Pięści” z tak bliska, jak mogli, ale ochronne pola okrętu pochłaniały energię wszystkich strzałów.

W pewnej chwili ogromny superniszczyciel skoczył do przodu jak rumak spięty ostrogą i zniknął w nadprzestrzeni.

Od kadłuba pozostałego daleko z tyłu „Pocałunku Brzytwy” odłączały się podobne do zarodników mchu roje kapsuł ratunkowych, a z otworów w pokładzie i burtach strzelały kolejne gejzery ognia. Nagle w ogniu stanęło śródokręcie. Po sekundzie czy dwóch przerodziło się w płomieniste piekło, które zaczęło pochłaniać dziób i rufę. Piloci pozostałych w pobliżu kilku gwiezdnych myśliwców Nowej Republiki zawrócili i najszybciej jak mogli zaczęli się wycofywać na bezpieczną odległość.

Oczom wszystkich ukazał się ostatni błysk, jaskrawy niczym eksplozja supernowej, i we wszystkie strony poszybowały fragmenty gwiezdnego superniszczyciela o rozmiarach asteroidy.

ROZDZIAŁ 21

Wiele godzin później Wedge, odświeżony, wypoczęty i ubrany w regulaminowy mundur, wszedł na pokład „Mon Remondy". Krótka kuracja w płynie bacta usunęła z jego płuc drażniący nalot, jaki osadził się w wyniku oddychania gryzącym dymem, ale zostawiła w ustach nieprzyjemny smak.

Mostek kalamariańskiego krążownika zmienił się prawie nie do poznania. Onoma musiał stać przed kontrolną konsoletą, bo szyny, po których się ślizgał fotel kapitana, były wygięte i przerwane. W płytach pokładu widniała siatka pęknięć, pulpit kontrolnej konsolety był wciąż jeszcze osmalony po szalejącym pożarze, a służbę na mostku pełniła inna zmiana oficerów. Han Solo stał zwrócony plecami do wejścia i pogrążony w zadumie, wpatrywał się w pustkę nadprzestrzeni.

Wedge stanął przed nim.

- Komandor Antilles melduje się na rozkaz - powiedział.

Solo dłuższy czas nie odpowiadał. Wyglądał na zmęczonego, a bruzdy na jego zasępionej twarzy sprawiały wrażenie głębszych niż kiedykolwiek. W pewnej chwili Han westchnął.

- Zgubiliśmy go - odezwał się w końcu.

- Wyrządziliśmy mu wiele szkód - przypomniał Antilles. - Unicestwiliśmy drugi superniszczyciel, „Pocałunek Brzytwy".

- Ale Zsinj się nam wymknął.

- Dopadniemy go następnym razem.

- Mam już dość następnych razów - mruknął Han. Spojrzał na niego i w końcu się uśmiechnął. Przez chwilę wyglądał jak dawniej. - Idę o zakład, że ty też masz dość ponurego Hana Solo.

- Wspólnie rozpylimy go na atomy i odtąd będziemy zawsze wiedli radosne i beztroskie życie.

- Wypiję z tej okazji - odparł Han. - Jak tam twoi podwładni?

- Całkiem nieźle - oznajmił Wedge. - Porucznik Loran odzyska zdrowie. O mało nie straciliśmy Prosiaka saBinringa... Dryfował w głąb przestworzy, bo jego myśliwiec nie miał sprawnych jednostek napędowych, laserów ani komunikatora. Na szczęście Shalla Nelprin obliczyła, dokąd może go zaprowadzić ostatni znany wektor lotu, a załoga „Słonecznej Trawy" ściągnęła go na pokład transportowca. Przy okazji zdobyliśmy także myśliwiec przechwytujący wyposażony w jednostkę napędu nadświetlnego.

- Jeżeli kiedykolwiek zostaniesz generałem, poproś, żeby cię mianowano głównym kwatermistrzem - stwierdził Han. - Szybko się uczysz, jak osiągać zyski w każdej sytuacji.

Wedge zauważył, że jego przyjaciel znów markotnieje, pogrąża się w zadumie i zaczyna

wpatrywać w pustkę nadprzestrzeni.

- Hanie, o co chodzi? - zapytał. - Czy Zsinj to twój osobisty wróg?
- To jest okropne, ale po prostu nie mogę przekazać tego zadania komuś innemu - odparł Solo. - Nie zrobię tego, dopóki będę do niego czuł to, co czuję.
- Nadal masz chęć się napić? - przypomniał Antilles. Han parsknął.
- A co sobie wyobrażasz? - spytał.

Melvar wślizgnął się, jak zawsze cicho jak duch, do osobistej kabiny lorda Zsinja. Stanął przed biurkiem i otworzył komputerowy notes z jakimiś cyframi na ekranie.

- To ostateczne podsumowanie strat - powiedział.

Zsinj prawie się nie poruszył. Wyglądał, jakby opuściła go energia... jakby obwisły nawet jego fałdy tłuszczu.

- Zapoznam się z tym później - odparł cicho.
- Jak mogli tego dokonać? - zdziwił się generał.
- To na pewno sprawka jakiegoś pirata - stwierdził Zsinj. - Kiedy odbierał zapłatę, musiał zainstalować nadajnik na pokładzie „Żelaznej Pięści". Na nic się zdały rewizje i skanowania. Nie mam pojęcia, jak to zrobił, ale sprawdzimy później.
- Pańskie rozkazy?

Lord obojętnie pokiwał głową.

- Ściągnąć do ostatniej strefy bitwy wszystkie dostępne transportowce, holowniki i frachtowce - powiedział. - Chcę, żeby ich kapitanowie wzięli na pokład albo na hol każdy kawałek „Pocałunku Brzytwy", na jaki się natkną w przestworzach... bez względu na jego rozmiar. Mają przetransportować wszystkie do Bazy Rankor.
- Rozkaz, proszę pana. - Melvar odczekał kilka sekund. - Czy wolno zapytać, dlaczego?
- Jutro mnie pan o to zapyta - burknął Zsinj. - Na dziś wystarczy tej rozmowy. Generał zasalutował - tym razem przepisowo i bez zwykłej ironii - i wyszedł z kabiny.

Kiedy Kell wpadł przez drzwi z wazonem pełnym kwiatów, Buźka o mało nie podskoczył. Rosły mężczyzna rozejrzał się po niewielkiej sali szpitalnej i ignorując leżącego pacjenta, postawił bukiet kołyszących się fioletowych roślin na niewielkim nocnym stoliku. Dopiero potem zwrócił uwagę na Dię, która siedziała obok szpitalnego łóżka. Jedną ręką obejmowała Buźkę, a drugą gładziła jego czoło. Wyglądała na odprężoną i napięła mięśnie dopiero na widok Tainera.

- Och, rozumiem - odezwał się Kell. - Uroczystość już się rozpoczęła. Buźka obrzucił go urażonym spojrzeniem.
- Jaka uroczystość? - zapytał.
- Komandor ci powie - odparł Tainer.

Po jego słowach do sali weszli Prosiak, Janson i pozostali piloci Eskadry Widm. Tyria trzymała szarą figurkę wysokości mniej więcej trzydziestu centymetrów. Posążek przedstawiał mężczyznę, który coś trzymał w uniesionej ręce. Wreszcie w szpitalnej sali pojawił się komandor Antilles.

- Wszyscy obecni? - spytał.
- Nikogo nie brakuje - zapewnił Janson. Wedge odwrócił się do Garika.

- Poruczniku Loran - zaczął, starając się nadać surowy wygląd rysom twarzy. - Wylądowałeś wprawdzie w hangarze szkoleniowej fregaty „Tedevium", ale twój tępo-nosy myśliwiec był w takim stanie, że mechanicy dotąd czegoś takiego nie widzieli. Sam zresztą przyleciałeś w nie lepszym stanie. Jeżeli dobrze zrozumiałem, twoje kończyny i elementy X-winga były dokładnie przemieszane.
- Trzeba cię było wycinać z kabiny - potwierdziła Lara. - Cały czas mówiłeś mechanikom, że chcesz się poddać operacji.

- No cóż, właśnie chciałem wam o tym powiedzieć - bąknął Buźka.

- Za twoje osiągnięcia - ciągnął Wedge - postanowiliśmy wręczyć ci Nagrodę Koszmaru Mechaników.

Tyria podała mu posążek. Garik przyjrzał się figurce. Przedstawiała mechanika Nowej Republiki z kluczem uniesionym jak do zadania ciosu. Na twarzy mężczyzny malowała się czysta, chociaż zabawna wściekłość.

- Idę o zakład, że to robota Cubbera - powiedział. Uniósł głowę i powiódł spojrzeniem po szpitalnej sali. - Chciałbym podziękować wszystkim, którzy pozbierali kawałki mojego ciała i kawałki mojego X-winga, a zwłaszcza tym, którzy rozdzielili jedne od drugich.

- A teraz coś poważnego - odezwał się Antilles. - Baczność!

Piloci Eskadry Widm stanęli w postawie zasadniczej... wszyscy z wyjątkiem Buźki, który starał się usiąść, i Dii, która mu na to nie pozwoliła.

- Ostatnio mieliśmy tyle ciekawych spraw - ciągnął Wedge - że zupełnie zapomniałem o drobiazgu, o którym powinienem pamiętać wiele dni temu. Jestem jednak zadowolony, że mogę to zrobić teraz, kiedy w uroczystości weźmie udział także Buźka. Shallo Nelprin, wystąp!

Pilotka usłuchała, z trudem udając, że nie jest zaskoczona.

- Odkąd rozpoczęłaś służbę w Eskadrze Widm - podjął Wedge - wykazałaś się nie tylko doskonałym opanowaniem umiejętności pilotażu, ale także dowiodłaś, że jesteś znakomitym komandosem i dywersantem. Twoja zdolność do improwizacji dobrze się przysłużyła eskadrze i Nowej Republice. Z radością informuję cię, że otrzymujesz awans do stopnia porucznika Dowództwa Gwiezdnych Myśliwców. - Wręczył jej nowe odznaki i uścisnął rękę. - Moje gratulacje, Shallo.

Pilotka otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale dopiero po kilku sekundach odzyskała mowę.

- Dziękuję, panie komandorze - powiedziała.

- To nie mnie powinnaś dziękować. To wszystko twoja zasługa - odparł Wedge. - Zapracowałaś na ten awans. Nie bez znaczenia dla twojej dobrej opinii jest też fakt, że Dowództwo Gwiezdnych Myśliwców określiło rolę, jaką odegrałaś podczas bitwy z „Pocałunkiem Brzytwy”... i doszło do wniosku, że możesz namalować na owiewce kabiny swojego myśliwca pół sylwetki gwiezdnego superniszczyciela. Przypada ci w udziale połowa zasługi za jego zniszczenie.

Shalla przyłożyła dłoń do ust, a pozostali piloci Widm, wznosząc radosne okrzyki, zaczęli poklepywać japo plecach.

Dia, która cały czas głaskała czoło Buźki, w pewnej chwili zamarła.

- Hej, co to takiego? - zapytała.

Słysząc zaskoczenie w jej głosie, pozostali umilkli. Dia oderwała kawałek skóry z czoła Garika, a wszyscy zobaczyli, że to początek blizny, która dotychczas przecinała jego twarz. Twi’lekanka lekko pociągnęła.

Buźka się skrzywił.

- Uhm, no cóż... to coś nowego - zaczął niepewnie. - Nie miałem jeszcze okazji powiedzieć wam o tym...

Dia pociągnęła mocniej i blizna zaczęła się odklejać. Ukazywała się pod nią zaróżowiona, ale zdrowa skóra.

- Buźko? - zapytała zdumiona istota. Garik westchnął.

- Powierz swój los w ręce istoty płci pięknej, a zacznie sobie wyobrażać, że może cię obedrzeć ze skóry - powiedział.

Dia oderwała już połowę blizny, która szpeciła dotąd prawą połowę twarzy Gari-ka. Szarpnęła mocniej i w jej ręku pozostała cała blizna. Patrzyła na nią z bezgranicznym zdumieniem. Miejsce, w którym kiedyś szpeciła ciało, miało różową barwę, ale po samej bliźnie nie zostało ani śladu.

Buźka powiódł spojrzeniem po twarzach koleżanek i kolegów i zauważył, że nie odrywają oczu od jego twarzy. Wzruszył ramionami.

- To wina Tona Phanana - odezwał się w końcu. - Zostawił mi masę pieniędzy... Wystarczyło na operację plastyczną. Gdybym się jej nie poddał, dostałyby się komuś, kogo nie cierpiałem. Właściwie zmusił mnie do zrobienia tego, co chciał.

- No cóż, dobrze ci tak - stwierdziła Dia. - Wyglądasz równie młodo jak wówczas, kiedy grałeś główną rolę w Czarnym banthu.

Buźka spiorunował ją spojrzeniem.

- A mówiłaś, że nigdy nie oglądałaś żadnego z moich holodramatów - powiedział. Twi'lekanka się uśmiechnęła.
- Kłamałam - wyznała beztrosko.

Patyk wyjrzał na korytarz i wciągnął do sali wózek na kółkach. Na blacie stały kieliszki i kilka wiaderek z lodem, z których wystawały szyjki butelek.

- Buźka nie może jeszcze pić - powiedział - ale my wypijemy za jego zdrowie. Wręczył jedną butelkę Jansonowi.

Zastępca dowódcy Eskadry Widm zaczął wyciągać korek.

- A także uczcimy pamięć Tona Phanana i Castina Donna - powiedział.

- I wypijemy za blizny, które można ściągać z twarzy, kiedy przestają nam być potrzebne - dodała Dia.
- I za... - zaczął Buźka.

Twi'lekanka zatkała mu usta elastyczną fałszywą blizną.

- I za przyjaciół, którzy nie próbują cały czas nas oszukiwać - dokończyła. Garik wyciągnął sztuczną bliznę i obrzucił ją posępnym spojrzeniem.

- Moja droga, to Eskadra Widm - przypomniał. - Nigdy się tego nie doczekasz!

O AUTORZE

Aaron Allston jest powieściopisarzem i doświadczonym projektantem gier. Pochodzi z okolic Austin w Teksasie. Urodził się w 1960 roku w Corsicanie w stanie Teksas - mieście słynącym z wypieku owocowych ciast, ale sam pisarz nie uważa tego faktu ani za istotny, ani za symboliczny.

Do ulubionych rozrywek Allstona należą gry, ping-pong, hodowla kotów i spekulacje, jak mógłby poprawić świat, gdyby miał władzę niszczenia ludzi samymi myślami.

Żelazna Pięść jest jego ósmą ukończoną powieścią i drugą z serii trzech książek z cyklu *X-wingi*. Jego adres internetowy to: http://www.io.com/-allston/

PODZIĘKOWANIA

Na szczególną wdzięczność zasługują:

Steven S. Long, Beth Loubet, Bob Quinlan, Luray Richmond i Sean Summers, moje „sokole oczy", którzy mężnie rzucali się między mnie a nadlatujące pociski moich pomyłek; wszyscy autorzy powieści z cyklu Gwiezdne Wojny, *z których dzieł mogłem czerpać szczegóły, a zwłaszcza Michael A. Stackpole i Timothy Zahn;*

Drew Campbell, Shane Johnson, Paul Murphy, Peter Schweighofer, Bill Slaviscek, Bill Smith, Curtis Smith i Dan Wallace - za opracowanie nieocenionych materiałów źródłowych;

Sue Rostoni i Lucy Wilson z Lucas Licensing - za pomoc; a także Denis Loubet oraz Mark i Luray Richmond, moi współłoka-torzy, za to, że ściągali mnie do normalnych przestworzy, ilekroć mój mózg groził, że dokonam skoku do nadprzestrzeni.